R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
Part Code ST1316
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

JERZY MILEWSKI

WSPOMNIENIA I DOKUMENTY

JERZY MILEWSKI

LEON BILIŃSKI
B. MINISTER SKARBU POLSKIEGO

WSPOMNIENIA I DOKUMENTY

TOM II

1915—1922

WARSZAWA 1925
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

OBYDWA TOMY WYDAŁ I DO DRUKU PRZYGOTOWAŁ
L. B. SZARLITT

WSZELKIE PRAWA, A W SZCZEGÓLNOŚCI PRAWO
PRZEKŁADU NA OBCE JĘZYKI ZASTRZEŻONE

COPYRIGHT 1924 BY F. HOESICK WARSAW

SÄMTLICHE RECHTE, INSBESONDERE DAS DER ÜBERSETZUNG (AUCH EINZELNER ABSÄTZE) VORBEHALTEN.

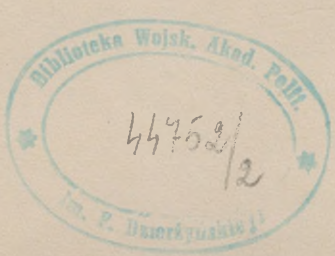

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

TREŚĆ:

Rok			Str.
1915	1917.	XV. Drugie prezesostwo w Kole Polskiem	1
1917 –	1918.	XVI. W Izbie Panów . . .	153
1918	1920.	XVII. Służba w Polsce niezawisłej . .	189

ZAŁĄCZNIKI:

Załącznik

Dom przy Wallnerstrasse 389

A). List kancelarji wojskowej Ces Franciszka Józefa I . 394

B). Denkschrift des Polenklubs 398

C). Projekt Konstytucji „Królestwa Galicji“ . . . 413

D). List posła Wallnera do ministra Twardowskiego . 431

E). I List prezydenta ministrów Paderewskiego do ministra skarbu Bilińskiego 437

F). Umowa w sprawie pożyczki amerykańskiej. . . 442

G) List p. O'Laughlin 449

H). List otwarty Dr. L. Bilińskiego do JE. Dr. St. Głąbińskiego 452

I). List do Naczelnika Państwa 454

K). List do Wice-Prezydenta Daszyńskiego . . . 468

L) Protocole 3 conférence de Vienne 472

XV.

1915—1917: Drugie prezesostwo w Kole Polskiem.

Choroba żony.

Rok 1915, tak strasznie ciężki dla narodu polskiego i jego ziemi, przyniósł i mnie osobiście prócz dymisji, ciężkie choroby drogiej mojej żony. Od kilku lat już tworzyła się na jej lewem oku katarakta, która w dniu 18 maja została szczęśliwie zdjęta przez znakomitego okulistę Dr Leopolda Müllera. Ale radość z operacji, dokonanej wśród największej trwogi mojej nie była długą. Już przy badaniu oczu lekarz spostrzegł po lewej stronie mózgu pewne osłabienie w reakcji organów mózgowych z których też wynikła wkrótce nietylko pewna neutralizacja skutków operacji, lecz — po pobycie w Ischlu i przykrych tam objawach sercowych, wykluczających spacery piesze — częściowa przerwa w komunikacji między mózgiem a językiem. W dniu 5 października objawiła się nagle, bez jakichkolwiek symptomów apopleksji, pewna niemoc w mówieniu, która zdaniem lekarza miała ustać do trzech dni, tygodni, miesięcy lub lat, ale niestety nie ustała aż do najcięższego dla mnie po upływie pięciu lat końca. Największe to było dla mnie nieszczęście w dotychczasowym życiu mojem szczęśliwem, zwłaszcza że z czasem i w chodzeniu nastąpiło osłabienie. Wszystko to były symptomy sklerozy, na którą tylko Bóg jeden mógł pomódz. Z cierpliwością i wiarą w Opatrzność Boską poddałem się wówczas i przy końcu Jej wyrokom!...

Wallnerstrasse.

Prace narodowo-humanitarne.

Wśród takich to warunków mego życia duchowego wszedłem w nowy okres czynności publicznej, poświęconej znowu, jak w ostatnim okresie mego ministerstwa, wyłącznie sprawie polskiej, a przytem wstrząsającej niekiedy całem mojem jestestwem, niezamąconej jednak jeszcze w pierwszych miesiącach troskami domowemi. Pan Ofenheim wraz z p. Flandrakiem sprawili mi miłą niespodziankę: za wpływem zwłaszcza pierwszego z nich, przemysłowcy wiedeńscy urządzili w domu przy Wallnerstrasse 1 A, na I piętrze praktyczny i śliczny lokal dla prezesa komitetu uchodźczego. Zaprosili mnie tam na dzień 15 lutego i wprowadzili niespodzianie do lokalu. Byłem mocno wzruszony. Biuro dla prezesa i salon przyboczny były umeblowane tak wystawnie, że określiłem to zaraz za zbytek, acz go musiałem przyjąć chętnie, i dopiero po roku zdołałem przy sposobności salon cokolwiek kazać uprościć. Po zatem niespodzianka była nie tylko miła, ale także praktyczna, bo lokal zawierał prócz dwóch przedpokoji: od frontu pokój dla sekretarza a od podworca kilka pokoji dla urzędników, na konferencję, na umieszczenie kas itd. Ten skład biura dozwolił mi połączyć w niem dwojaką pracę publiczną. Przedewszystkiem naturalnie pracę uchodźczą, która się z czasem rozrosła i przeżyła pierwotne instytucje domu polskiego, zwinięte w jesieni 1915. Bo oto po zajęciu części Królestwa przez państwa centralne powstał z inicjatywy min. spr. zagr. Komitet pomocy dla ludności Królestwa, którego prezesem został nominalnie marszałek sejmu dolno-austrjackiego, książe Alojzy Liechtenstein, wiceprezesem byłem ja, a przewodniczącym komitetu wykonawczego książe Lubomirski. Komitet urzędował stale przy Wallnerstrasse, szczególnie Komitet wykonawczy, złożony z szefa sekcji ministra spr. zagr. p. Ugrona (o którym będzie jeszcze często mowa), posła Alfreda Halbana (dzielnego polityka i później rektora uni-

wersytetu lwowskiego) oraz Flandraka. Komitet ten obradował często u mnie. Wysłano żywności i ubrania dla ludności Królestwa w okupacji austrjackiej za niespełna 1 miljon koron, rozdziałem zajmowali się gorliwie ks. Lubomirski i pan Flandrak. Później, gdy okupanci wysyłali całe zastępy ludności cywilnej z Królestwa celem internowania w zakładach austrjackich, stworzył się Komitet dla internowanych z Królestwa pod mojem przewodnictwem i urzędował znowu przy Wallnerstr. Rozdawnictwem ubrań, butów itp. zajmował się ksiądz, polecony nam przez ks. biskupa z Krakowa, dalej najgorliwszy poseł hr. Lasocki (dziś minister Polski dla Austrji) i znowu pan Flandrak. Całą korespondencję z osławioną władzą policyjno-wojskową „Kriegsüberwachungsstelle" (Węgry były od niej wolne) w sprawach ulg i uwolnień dla internowanych prowadziliśmy na Wallnerstrasse. Z drugiej strony znowu powstała z inicjatywy p. Ugrona czy też gubernatora wojskowego w Lublinie jen. Dillera (pierwszego i może jedynego oddanego Polsce oficera wojsk austrjackich), myśl urządzenia centrali handlowej dla Królestwa. Zjechali ztamtąd do Wiednia ks. Aleks. Drucki-Lubecki (znakomity obywatel i przemysłowiec pełen inicjatywy), Jan Stecki (późniejszy minister spraw wewn.) i pan Śliwiński, wówczas prezes syndykatu rolniczego, później (1919 r.) minister aprowizacji. Często, w rozmaitych czasach i rozmaitym składzie — wymienieni panowie nie zawsze bywali między sobą zgodni — odbywały się u mnie konferencje za udziałem Dillera i Ugrona, ks. Lubomirskiego i Flandraka. Znając dobrze dyrektora Escompte-Gesellschaft p. Krasny'ego, pozyskałem go dla myśli sfinansowania centrali handlowej, która po wielu naradach za udziałem wspomnianego banku powstała w Radomiu i dziś cieszy się w Kongresówce bardzo dobrą opinją. Z pp. Steckim i Śliwińskim miałem wówczas raz sposobność dłuższej rozmowy na temat polityki austro-polskiej i zdołałem bez trudności przekonać tych polityków narodowo-demokratycznych o pożytku tej polityki w danej

chwili, co zresztą później stwierdził p. Stecki swojem zachowaniem się w r. 1916. Jeszcze podobna akcja dotyczyła na Wallnerstrasse doli jeńców rosyjskich narodowości polskiej. Kierował nią bardzo gorliwie, przy mojej niejakiej pomocy, p. Habicht, wówczas sekretarz prezydjalny N. K. N., pomieszczonego, jak obaczymy później, także na Wallnerstrasse, ale o jedno piętro niżej. Pan Habicht objeżdżał obozy jeńców z wielkiem poświęceniem, spowodował wiele ulepszeń w traktowaniu jeńców i był w toku uwolnienia ich gwoli przyjęcia ich do Legjonów, gdy nagle cesarz Karol zawiesił tę akcję pod wrażeniem argumentów, podobnych do argumentów Tiszy przeciw proklamacji cesarskiej.

Tak to biura przy Wallnerstrasse były przedewszystkiem świadkiem rozległej i ciągłej akcji narodowo-humanitarnej, trwającej aż do ich opróżnienia po $2^1/_4$ roku. Niestety dzienniki polskie odmówiły wówczas przyjęcia szkicu o dziejach tego lokalu. Pragnę tylko dodać, że prace rachunkowe prowadzili tam cały czas przydzieleni na moją prośbę przez Bank austr.-węg. wyższi urzędnicy p. Bigo (później najznakomitszy kierownik filji Polskiej krajowej Kasy pożyczkowej w Krakowie a dziś naczelny prezes Kasy w Warszawie*) i drugi jego kolega. Za ich gorliwość patrjotyczną należy im się jeszcze teraz podzięka*). Ale obok tej akcji zawrzała przy Wallnerstrasse druga, większa, szesza robota narodowa.

W pierwszych dniach lutego 1915 r., zanim jeszcze otrzymałem dymisję, zgłosili się do mnie przy Johannesgasse posłowie stronnictwa ludowego Długosz i Kędzior z propozycją przyjęcia wyboru na prezesa Koła. Naturalnie przyjąłem tę myśl z wdzięcznością, mimo trudności, pochodzącej stąd, że nie posiadałem mandatu poselskiego, a nie mogłem go z powodu wojny zdobyć na nowo. Moi goście wskazali na możność zmiany statutu w postanowieniu dotychczasowym, według którego prezes mógł być wybrany tylko z pośród członków Koła, jakimi mogli być tylko posłowie. Postawili mi natomiast dwa warunki: że do Koła nie

*) Usunięty w roku 1923. Przyp. wydawcy.

zostaną przyjęci ani socjaliści, ani Stapiński ze swoją grupą, powstałą z czasu przesilenia w r. 1913. Nie widząc prawdopodobieństwa takich zmian w składzie Koła, nie stawiałem oporu wyrażonym warunkom, czego zawsze później żałowałem, bo powinienem był pamiętać, że siła wypadków politycznych przechodzi do porządku dziennego nad umowami i obietnicami. Doświadczyłem tego sam co do socjalistów, a mój następca co do Stapińskiego. To też w przyjęciu powyższych warunków tkwiło od początku niemal pierwsze zarzewie dysonansu między mną i grupą ludowców, której miałem do zawdzięczenia inicjatywę mego wyboru. Myśl mojej kandydatury przedostała się naturalnie do opinji wiedeńskiej i podobno znalazła na krótko przeciwników w otoczeniu czy u przyjaciół kołowych hr. Stuergkha. Niewiem, dlaczego zaczęto sobie opowiadać, że jako prezes będę się starał zwalić rząd hrabiego. A może on sam tak sądził, w poczuciu faktu, że jego przyzwolenie na pożądane przez Tiszę usunięcie moje z urzędu było mi z natury rzeczy znane. Ale ja byłem bardzo daleki od podobnych uczuć i zamiarów; przeciwnie zachowałem dawne uczucia dla hr. Stuergkha i pragnąłem je tylko spożytkować dla dobra kraju i Polski. I tak później zarzucano mi znowu w Kole zbytnią dla hr. Stuergkha przyjaźń. Ogół posłów polskich zaś nie miał wcale powyższych obaw; demokraci i konserwatyści zgłosili się do mnie osobiście, endecy byli przygnieceni wojną, tak że wyborowi nie stało nic na przeszkodzie. W dniu 17 lutego, t. j. w 10 dni po dymisji mojej z ministerstwa finansów wspólnego, uchwalono w Kole zmianę statutu na moją korzyść jako członka Izby Panów i wybrano mnie znaczną większością poraz drugi prezesem Koła polskiego. W przemowie mojej dziękczynnej podniosłem wielką sprawę polską, sprawę odbudowy kraju i sprawę komitetu narodowego w związku z zajściami mszańskiemi i poruszyłem dalej myśl wciągnięcia w tych czasach walki o zmartwychwstanie Polski także członków polskich Izby Panów, w szczególności hr. Gołuchowskiego do pracy Kołowej; postawi-

łem w końcu wniosek wyboru trzech komisyj: politycznej, dla odbudowy i dla celów wojennych z udziałem jednego zawsze członka Izby Panów. To ostatnie przyjęto z dodatkiem, że ja mam przewodniczyć wszystkim trzem komisjom; do komisji politycznej wybrano hr. Gołuchowskiego.

Posiedzenie powyższe odbyło się w sali Koła polskiego w gmachu parlamentu, w sali, którą ongiś r. 1884 zajął był dla Koła po raz pierwszy Grocholski, ale którą nam potem na długie lata odebrano. Dla mnie było to dziwne odnowienie starej znajomości. Ale już wówczas w lutym 1915 używana była sala do spółki także przez Czechów; nie można więc było używać jej według potrzeby dowolnie. Obradowaliśmy tam jeszcze aż do sierpnia, potem nam oświadczono z zarządu gmachu, że z uwagi na inne kluby będące bez sali, i my już nie dostaniemy sali. O używaniu zaś sali dla naszych komisyj włącznie z tak zw. parlamentarną, która obradowała bardzo często, nie było nawet mowy. Powodem wszystkich tych ograniczeń było obrócenie gmachu parlamentarnego na szpital wojskowy. Myśl sama w sobie bardzo humanitarna i patrjotyczna, tylko że nie odpowiadała praktyce innych państw, a w szczególności w Wiedniu wywołała dość powszechne podejrzenie, że hr. Stuergkh, nie chcąc wogóle zwoływać parlamentu w czasie wojny, uniemożebnił to przez oddanie gmachu na cele szpitalne. Niestety — muszę to powiedzieć o swoim przyjacielu — iż środek ten był niezbyt stosowny i cel bardzo szkodliwy. Czasami, w słabszych godzinach prezesa rządu, zwracałem uwagę jego na wielki, kardynalny błąd usunięcia parlamentu od odpowiedzialności za wojnę, jej środki, ale i skutki, a przyjęcia całej tej straszliwej odpowiedzialności na siebie i ostatecznie na — nieodpowiedzialnego konstytucyjnie — cesarza. Prezes gabinetu nie lubił tej kwestji, był absolutnie przekonanym o słuszności swego stanowiska, zapewniał mnie, że w razie zwołania parlamentu byłaby opozycja stanęła na stanowisku zdrady stanu itd. Ja wierzę przeciwnie, że wszystkie ludy — nie wyjąwszy nawet Czechów — byłyby się opowiedziały przy cesarzu,

choćby z obawy gwałtownego zakrzyczenia przez chętnych wojnie; wszak jeszcze r. 1917 Czesi złożyli uroczystą w parlamencie (później zwołanym) deklarację homagialną. Ale przedtem musiał biedny hr. Stuergkh opłacić swój upór głową, dosłownie głową, w którą wymierzył brauningiem Fryderyk Adler i to, jak zeznał w śledztwie wyraźnie, za niezwołanie parlamentu.

Z powyższego stanu rzeczy wynikła konieczność dostarczenia Kołu polskiemu innego lokalu, a jako taki nadarzył się i nadawał się zajęty już przezemnie na cele humanitarne, lokal przy Wallnerstrasse. Do zebrań pełnego Koła można go było używać od biedy, tak, że w innych razach najmowaliśmy salę izby handlowej, o ile Koło nie udawało się na posiedzenie do Krakowa, uwolnionego już wtedy od groźby moskiewskiej. Ale za to komisja parlamentarna, trzy komisje nowo wybrane i nieskończone konferencje i narady posłów samych lub z wysłannikami kraju odbywały się przez $2^1/_4$ roku w moim lokalu. Mówię „w moim", bo tak się złożyło, że miałem go z tytułu uchodźtwa, ale i dlatego, ponieważ koledzy kołowi, używając lokalu przez 27 miesięcy, nie pytając, skąd pokrywane są jego koszta, jak niemniej koszta najmowania sali, wiecznie krytykowali, że preses, który w parlamencie nie ma swego osobnego biura, przy Wallnerstrasse posiada je, przyjmuje tam posłów, każe czekać innym, aż się jego biuro opróżni itd. Cóż radzić na niewdzięczność ludzi?! Sekretarzem ówczesnym Koła był p. Wincenty Jabłoński, z zawodu sędzia, doświadczony znawca psychy*) Koła polskiego i każdego z jego członków. Przez $2^1/_4$ roku był ten mąż czcigodny, nieustraszony, niejednokrotnie trochę nerwowy, moim nieodstępnym współpracownikiem, pomocnikiem, doradcą, zajadłym obrońcą, a w razie potrzeby otwartym krytykiem i admonitorem. Ten to kolega, znany w Kole i poza niem pod imieniem „Wicuś", był żywym świadkiem prac i trosk

*) Piszę dnia 4 marca 1920 w dzień św. Kazimierza, w 36-letnią rocznicę pierwszej mowy mojej parlamentarnej we Wiedniu (1886).

moich dla Koła, kraju i narodu; on też dzielił się ze mną troskami nie tylko około każdej sprawy publicznej a i częstokroć prywatnej, obijającej się o moją głowę, lecz także około finansów Koła. Ciało to składało się z osób przeważnie niezamożnych, którym nadto z powodu zamknięcia parlamentu ubyły należne dyjety: godziło się więc ulżyć im w pracy publicznej. Ale też godziłoby się było ze strony moich kolegów, uznać choć raz jeden, że przez moją interwencję oszczędzonym im był udział w ponoszeniu ciężarów finansowych Koła. Nikomu z nich nie przyszło na myśl spytać, zkąd się pokrywają koszta światła, opału i usługi, koszta przelicznych „pilnych" telegramów, wysyłanych na żądanie posłów, koszta druków i stenotypji, najmowanie sali w Izbie handlowej, wreszcie koszta tysiącznych korespondencji itd. W kasach naszych były pieniądze, ale z przeznaczeniem na uchodźców, na Królestwo, na internowanych, a chociaż te sprawy prowadziłem — w początkach ze współudziałem hr. Dzieduszyckiego — już od lipca 1915 r. znowu tylko głównie przy pomocy Wicusia, który wkońcu objął także wszystkie kasy, to jednak pieniędzy odnośnych nie mogłem obracać dla Koła. Przeciwnie, tak dla Koła, jak wogóle dla spraw ogólnych polskich, potrzeba było starać się o fundusze odrębne. O ile to przekraczało siły moje własne, zdołałem wyżebrywać na te cele od czasu do czasu subsydja u dobroczyńców i to wcale nie Polaków. I jakoś Bóg dał wytrzymać aż do zwinięcia lokalu przy Wallnerstrasse, a raczej aż do wyzucia mnie z godności prezesa w chwili, gdy wraz ze zwołaniem parlamentu otwarto sale dla Koła i wyasygnowano posłom należne dyjety! A gdy w owej chwili przychylny mi publicysta pan Grotger, nasz pomocnik w Kole, skreślił w krótkim artykule wielki zasób prac przy Wallnerstrasse, żadna z redakcyj krakowskich nie chciała go już wydrukować. Dopiero dużo później nastąpiło to z innego tytułu.

I otóż na tej Wallnerstrasse skoncentrowały się były prace nad sprawami następującemi: 1) odbudowa kraju, 2) uregulo-

wanie stanowiska N. K. N., 3) budowa Polski, 4) wyodrębnienie Galicji, 5) bieżące sprawy Królestwa, 6) sprawa ruska.

1. Odbudowa Kraju.

Wybór mój na prezesa przypadł w najnieszczęśliwsze czasy wojenne: wszak krzesło to zostało opróżnione przez ustąpienie Dr Lea, który musiał jako prezydent miasta pozostać w Krakowie, oblęganym przez wojska rosyjskie. Z wyjątkiem powiatów, położonych na zachód od Krakowa i kilku powiatów górskich zachodnio-południowych przedstawiała cała Galicja obraz strasznego zniszczenia przez wojska rosyjskie. Pierwszym przeto obowiązkiem Koła było, przygotować wszystko, aby w miarę spodziewanego zwolnienia pasów kraju od inwazji ratować skutecznie pozostałą tam ludność. Dla uzyskania tej pomocy zgłosiłem się poraz pierwszy jeszcze w lutym u hr. Stuergkha oficjalnie — w towarzystwie ministra Morawskiego, który mi we wszystkich nieskończonych konferencjach był zarówno znakomitym pomocnikiem jak uczciwym świadkiem i zasłużył sobie wdzięczność narodu, zarówno jak moją. Na moją prośbę zaproszony był na konferencję także minister skarbu baron Engel, którego osobiście bardzo lubiłem, o ile nie stał, jak sobie opowiadano, na stanowisku, że Galicję należy oddać Rosji, bo każdy odzyskany powiat będzie wymagał wielkich ofiar skarbowych. Ja zajmowałem naturalnie całkiem inne stanowisko i domagałem się od rządu utworzenia banku wojennego z funduszów państwowych dla udzielania pomocy na odbudowę zniszczonych gospodarstw. Minister Engel był zdania, że bank powinnoby się raczej założyć wspólnemi siłami rządu i wielkich banków; na żądanie szefa rządu podjął się minister wdrożyć o to z bankami rokowania. Nie mogłem się temu sprzeciwić i prosiłem tylko o przyspieszenie rzeczy. Hr. Stuergkh, przyrzekając mi tę akcję, rozpoczął tem czynność 20-miesięczną, w ciągu której aż do swej nieszczęśliwej śmierci dawał czynami nieustające dowody gorliwej troski około odbudowy zniszczonego kraju na-

szego. Potrzeba było niejednokrotnie naciskać na niego, potrzeba było wysnuwać nieraz z rozmów prowadzonych, że działa więcej z obowiązku szefa rządu, niż z uczuć sympatji dla narodu, którego nieznał dostatecznie; ale krzywdę wyrządzał mu każdy, kto nie chciał uznać jego wielkodusznej pomocy dla kraju, a ja chętnie brałem na siebie zarzuty słabości dla tego polityka (— którego rzekomo zamierzałem obalić —), byle mu tylko nie wyrządzić krzywdy. Pierwszych podobno dni marca Stuergkh zaprosił nas (mnie i ministra Morawskiego) na konferencję dla wysłuchania ministra skarbu. Minister Engel referował długo i bardzo obszernie, ale zakończył ostatecznie ubolewaniem, że banku wojennego założyć teraz nie może, bo dyrektorowie banków, wyjeżdżając wkrótce na wywczasy przedwielkanocne, nie dają się nakłonić do udziału natychmiastowego w tej akcji. Na to ja zabrałem głos i mówiłem także dość długo, ale w tonie sposobie, jakiego na sobie samym nigdy nie doświadczyłem w całem mem życiu publicznem. Przedstawiłem tak gorąco potrzebę pomocy dla kraju, wpadłem w taką lawinę zarzutów przeciw zastraszonemu widocznie ministrowi skarbu, że prezydent ministrów zaraz po mnie odezwał się w sposób następujący: „Ależ Ekscelencjo proszę się tak nie irytować; stanie się wszystko, czego Pan żądasz; pan minister skarbu założy w najkrótszym czasie bank wojenny środkami wyłącznie rządowemi i wyasugnuje zaraz na rachunek przyszłego kapitału 20—30 miljonów koron". Biedny Engel przyjął to w milczeniu, a ja przyjąłem z podziękowaniem do wiadomości i znowu tylko prosiłem o pośpiech. Po tej pierwszej skutecznej konferencji nastąpiły liczne dalsze, z których opiszę tylko najważniejsze; ale zawsze były równie skuteczne, czy się odbywały w małem naszem gronie, czy w gronie poselskiem.

Na najbliższem posiedzeniu prezydjum Koła, zdawałem sprawę z ostatniej konferencji, dodając żartobliwie — w trawestacji codziennych biuletynów wojennych — że potrzeba było użyć cokolwiek „szrapneli", aby zrealizować myśl banku wojen-

nego. Potwierdził to minister Morawski słowy: „oj było tam sporo tych szrapneli". Gdy zresztą akt założenia banku się nie pojawiał, napisałem Stuergkhowi list z żądaniem, by bank rozpoczął czynności od 15 kwietnia. Prezydent ministrów jeszcze się nie był wtedy przyzwyczaił do listów moich, których było setki; odpisy leżą w aktach Koła. Wówczas na list ów pierwszy zauważył wobec Morawskiego: „wie Pan, ja bardzo chętnie spełniam życzenia Bilińskiego, ale że mi prezes wyznacza terminy, to mi już nieznośne". Jednakowoż 15 kwietnia był bank gotów. Swoją drogą ze statutu jego nie byliśmy od razu zadowoleni. Właśnie znowu zdawałem sprawę prezydjum Koła, czy raczej komisji parlamentarnej o pożądanym dla banku statutu, gdy niespodzianie wszedł do sali marszałek Niezabitowski, ażeby nam donieść, że statut już podpisany. Marszałek wracał właśnie od ministra Engla, który mu oświadczył, że podpisał statut, wypracowany na jego żądanie przez dyrektora Steczkowskiego. Dzielny ten i energiczny finansista (później dwukrotnie minister skarbu polskiego, w międzyczasie prezes gabinetu) chętnie zabierał inicjatywę w ważnych sprawach gospodarczych i niejednokrotnie spotykał się z opozycją Koła, częstokroć uzasadnioną. Ale jak zawsze i wszędzie działał pożytecznie, tak i wtedy objął ofiarowaną mu pozycję dyrektora (bezpłatnego) nowego banku, któregu statut musiało Koło przyjąć chcąc niechcąc do wiadomości. Ludowcy pragnęli stworzyć niejaką łączność nowego banku ze swojemi organizacjami w kasach Reiffeisena i Kółkach rolniczych. Zaś poseł Adolf Gross ze stronnictwa demokratycznego, bardzo pożyteczny i energiczny pracownik fachowy w sprawach finansowych, pragnął zabezpieczyć w statucie możność pomocy przy odbudowie miast. I jedno i drugie nie udało się na pierwszy moment, ale się z czasem zrealizowało w ten czy ów sposób. Tymczasem czekano, jak będzie działał bank, do którego powołano na dalszych dyrektorów b. sekretarza prezydjalnego mego i Engla, bardzo zdolnego i zręcznego p. Kazimierza Baudę, niemniej

porządnego i bezstronnego dyrektora Rusina (nazwisko zapomniałem).

Czynności banku rozwijały się naturalnie z początku powoli, jakby po omacku; przytem były warunki kredytów niekorzystne, bo wynosiły $5^1/_2$ od sta. Główną czynność stanowił w początkach wymiar kredytów dla instytucyj hipotecznych na pokrycie kuponów od listów zastawnych, których nie mogły wykupować, nie otrzymawszy z powodu wojny przeznaczonych na to rat od dłużników. Była to dla kraju rolniczego sprawa pierwszorzędnej doniosłości: we dwa lata później uzupełniono ją przez regulację rat zaległych drogą dodatkowych pożyczek ze strony instytucyj za przyznaniem pewnych przywilejów ze strony rządu. Poza temi instytucjami było z początku niewiele interesów w banku już dlatego samego, że kraj bardzo powoli się uwalniał od inwazji, to znaczy, że bardzo mało gospodarstw można było odbudowywać. Ale wielka ofenzywa z lipca r. 1915 i wyzwolenie kraju aż po za Lwów ku Tarnopolowi stworzyła, przy całej towarzyszącej jej radości, dokładny obraz straszliwych zniszczeń domostw, gruntów i całych miejscowości, których odbudowa stała się nagle najważniejszym obowiązkiem rządu względnie Koła polskiego.

Powstała przy tej sposobności kwestja miljardowych odszkodowań wojennych, co do których zachodziły rozmaite wątpliwości: czy się odszkodowanie należy ispo facto, czy wymaga odrębnej ustawy? Czy ustawa, wydana w zniszczonej Austrji znajdzie uzupełnienie w nietkniętych jeszcze do ówczas Węgrzech? Czy rząd może, na podobieństwo rządu niemieckiego w Prusach Wschodnich przeprowadzić samoistnie całą odbudowę (opisał to świetnie wysłany do Prus za zgodą Koła przez Wydział krajowy p. Dr Aleksander Raczyński), zaliczając środki państwa austr. na rachunek monarchji (w Niemczech Prusy na rachunek Rzeszy), lub czy musi oczekiwać ustawy ogólnej, a tymczasem dawać pomoc za pośrednictwem banku wojennego. Obok tego stanęła równie miljardowa kwestja zwrotu

mieszkańcom Galicji za dobrowolne i niedobrowolne dostawy w zbożu, bydle, inwentarzach nieżywych, za niszczone dla celów strategicznych domy, lasy i t. d. sum olbrzymich, należących się im w moc ustawy o świadczeniach, a nie zapłaconych z rozmysłu lub z konieczności. Wkońcu powstała kwestja premij lub subwencyj na zasiewy w okolicach, zwolnionych od inwazji. Nad wszystkiem tem radziło Koło polskie osobno, a osobno rząd, ale przez kilka miesięcy nie zdołano się porozumieć. W pierwszej połowie lipca odbyła się nad tem wszystkiem narada Koła, bardzo gorąca i podrażniona: mówiono o zbiorowem złożeniu mandatów, a poseł Średniawski zaklinał mnie wymownie, bym całego wpływu użył dla ratowania kraju. Jużci było to bez tego moim obowiązkiem, który zamierzałem spełnić. Po tem posiedzeniu (ostatniem w gmachu parlamentarnym) wyjechałem zaraz do Ischlu. Bardzo mi ten wyjazd wzięto w Kole za złe, a hr. Gołuchowski, którego ja sam wciągnąłem w pracę i który później miesiącami przebywał (swoją drogą u żony) w Szwajcarji, atakował mnie bardzo energicznie pod moją nieobecność za wyjazd, podnosząc, że moim obowiązkiem siedzieć w Wiedniu. Nie bardzo mnie wzruszały te jeremjady kolegów, niesłusznie miotane przeciw mnie — nota bene w moim własnym jakby domu — z powodu rzekomego zaniedbania obowiązku, który nigdy nie obowiązywał żadnego prezesa. Ale rozumiałem, że ciężka dola kraju dyktowała im te słowa i dowiodłem im wkrótce, że akcja w Ischlu jest skuteczniejszą niż wprost z Wiednia. Dotychczas omawiałem wszystko od czasu do czasu ustnie z hr. Stuergkhem: bynajmniej nie mogę twierdzić o nim, by nie dotrzymywał przyrzeczeń, ale rozmowy ustne były — po za stworzeniem banku wojennego — nieuchwytne i nie mogły obowiązywać ściśle. Inaczej szło wszystko drogą piśmienną. Do Ischlu zabrałem ze sobą stenotypistkę z maszyną i na pierwszy ogień podyktowałem obszerny bardzo list do prezesa ministrów, w którem streściłem i określiłem cały szereg żądań kraju, zagrażając pod

koniec, iż w razie bezowocności starań, Koło przedstawi cesarzowi trudności swego położenia i w ręce jego złoży mandaty wszystkich swoich członków. Odpis tego pisma posłałem do Wiednia p. Jabłońskiemu, który mnie tam zastępował a i bronił z równą zawsze gorliwością, a raz lub dwa razy przez lato dojeżdżał do Ischlu dla ustnego porozumienia i kilkudniowego wypoczynku (w Ebensee nad jeziorem). Gdy Wicuś odczytał posłom odpis mego listu do Stuergkha, nastąpił zwrot w opinji posłów. Posypały się wyrazy zachwytu, podziękowania, uchwała poczynienia i rozpowszechnienia odpisów itd. Mimo to zresztą puszczono wiadomość do dzienników, że ja się noszę z myślą ustąpienia i po powrocie moim interpelowano mnie o to przez usta wiceprezesa komisji rolniczej p. Długosza w formie swoją drogą uprzejmej. Na pismo długie otrzymałem obszerną odpowiedź od hr. Stuergkha, który — obok dobrych wiadomości w sprawie ogólnej polskiej, o czem niżej — dał bardzo ciepłe przyrzeczenia na rozmaite moje petita, dodając, że sam rząd nie może bez armji przeprowadzić odbudowy rolnictwa, że armja Böhma-Ermoly'ego współdziała bardzo skutecznie i że byłoby pożądanem to samo ze strony innych armij. Swoją drogą to „pożądanie“ nie zostało spełnione, bo gdy z powołaniem na uwagę prezesa ministrów zatelegrafowałem arcyks. Fryderykowi z prośbą o pomoc innych armij, otrzymałem w odpowiedzi telegram grubjański, odsyłający mnie do namiestnika. Stało się to wkrótce po bardzo serdecznej z arcyksięciem rozmowie. O grubjaństwo pożaliłem się pisemnie, a później ustnie u arcyks. Izabelli; nie uzyskawszy jednak satysfakcji, zerwałem wszelkie stosunki z parą arcyksiążęcą i nigdy więcej z nimi nie mówiłem, ani też nigdy nie byłbym się już do nich zbliżył. (Swoją drogą, gdy z końcem r. 1921 jako wygnanka prosiła mnie arcyksiężna o rozmowę, nie mogłem jej tego odmówić). Ale odpowiedź hr. Stuergkha przekonała mnie, że należy w każdej sprawie ważniejszej używać drogi pisemnej, celem uzyskania odpowiedzi na piśmie. Postępowałem odtąd

tak zawsze, także we Wiedniu, odczytywałem później prezydjum Koła lub komisjom korespondencję i zwykle kolegów zadowalałem.

Arcyksiąże powołał się we wspomnianym telegramie na namiestnika oczywiście tylko dlatego, że nim był generał. Pozatem był każdorazowy namiestnik istotnie ważnym bardzo czynnikiem w odbudowie kraju i dlatego muszę tu opowiedzieć historję namiestnika wojskowego. Usunięcie namiestnika Bobrzyńskiego za wpływem min. Zaleskiego, a pośrednio endeków, było wielkim błędem politycznym tak ze stanowiska polskiego jak i austrjackiego. Skoro jednak fakt ten nastąpił, należało nam popierać nowego namiestnika w osobie doświadczonego administratora p. Korytowskiego. Takie było moje stanowisko od początku aż do jego dymisji. Nowy namiestnik przeprowadził niedokończoną reformę wyborczą, swoją drogą przy pomocy endeków, których sprowadził do Wiednia do Stuergkha, w czem zresztą nie było nic zdrożnego, a przeprowadzenie reformy było zasługą namiestnika, któremu ja ze swej strony pomagałem swym wpływem (jako minister) u Polaków i Rusinów. Ale w czasie wojny zaczęły się żale na namiestnika. Już przed tem zaszkodził mu proces staroruski o zdradę stanu we Lwowie, zakończony zwolnieniem oskarżonych moskalofilów; potem wzięto mu za złe potajemny wyjazd ze Lwowa przed najazdem rosyjskim, jakkolwiek postępował w tem podobno według wskazówek władz wojskowych. Przeniósłszy się z namiestnictwem do Biały, na granicy śląskiej, walczył z wojskowością o prawa obywatelskie i narodowe w Galicji; walka ta jednak była tak dalece bezskuteczną, że musiał pod naciskiem wojskowości wystąpić przeciw własnym swoim sojusznikom endeckim, mianowicie kazać internować Cieńskiego i doradzać ucieczki Skarbkowi. W sprawie odbudowy — już za czasów mego prezesostwa — starał się p. Korytowski współdziałać z Kołem, ale go nie zdołał zadowolić i coraz więcej miał w kraju przeciwników. Mimo to wszystko nie taiłem przed nikim, że mamy obowiązek popierać go, choćby z uwagi na nieprzyjaźń wojsko-

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

wości. Nieprzyjaźń ta wobec władz centralnych objawiła się po raz pierwszy jeszcze za czasów mego ministerstwa, gdy naczelna komenda postawiła przez arcyks. Fryderyka u cesarza wniosek o zastąpienie p. Korytowskiego jenerałem. Z rozkazu cesarskiego przesłał mi szef kancelarji wojskowej bar. Bolfras 2 akta dołączone, mianowicie pod datą 22/X. 1914 dol. 3187 odpis relacji arcyksięcia*). Pod datą 3/XI. przesłano mi broszurę „Das Galizien der Gegenwart". Pierwsze pismo zawiera bezczelne zarzuty przeciw narodowi polskiemu, który ma ponosić winę za zdradę ruską. Broszura drugiego pisma, którą musiałem zwrócić, była vademeeum, wydane przez komendę rosyjską dla oficerów rosyjskich, wkraczających do Galicji. Zawierała ona rzeczy całkowicie znane każdemu, kto choćby krótko przebywał w Galicji: ludność, religję i narodowość, potem stronnictwa. Najstraszniej była widocznie przerażoną komenda armji austrjackiej ustępem broszury, w którym stronnictwo narodowo-demokratyczne z wymienieniem nazwisk Stanisława Grabskiego i Głąbińskiego, określone jest jako przychylne Rosjanom i nakazano, by wkraczające oddziały rosyjskie zwracały się przedewszystkiem do tego stronnictwa. Sympatje rosyjskie endeków były znane każdemu dziecku politycznemu już od szeregu lat przed wojną, choćby z polityki Dunajewskiego w Dumie rosyjskiej. Przestrach więc naczelnej komendy przed okropną broszurą był rażącym dowodem „świetnego" przygotowania politycznego dowództwa armji austrjackiej i stał chyba na równi z tragikomicznem zdziwieniem jenerała, goszczącego u posła Hubki w przeddzień wkroczenia jego oddziału do Kongresówki, gdy mu gospodarz całkiem przypadkowo wspomniał, że w Kongresówce zamieszkują Polacy. Godny ten uczeń polityczny szefa sztabu bar. Conrada był święcie przekonany, że napotka w Sandomierskiem samych czystej krwi Moskali!

Zaraz po otrzymaniu pierwszej odezwy z kancelarji woj-

*) Patrz załącznik A) na końcu książki.

skowej udałem się do cesarza, aby mu przedstawić, jaki błąd popełniłaby Austrja, gdyby w chwili zdobywania Kongresówki na rzecz przyszłej Polski wprowadziła we własnym swoim polskim kraju w Galicji instytucję gubernatora, tak znienawidzoną w Kongresówce. Cesarz wcale nie oponował, słuchał chętnie dalszych argumentów na temat dotychczasowej autonomji narodowej w Galicji itd. i zdawał mi się być przekonanym; mimo to, widocznie dla zapewnienia sobie tyłów, polecił hr. Berchtoldowi wnieść tę sprawę na wspólną radę ministrów, która się odbyła w kilka dni później. Tam nie przyszło do formalnej zgody — niechcę z zasady używać słowa „uchwały" — bo hr. Tisza zakwestjonował kompetencję naszego zgromadzenia w sprawie czysto austrjackiej. Ale sprawę wyjaśniły dwie przemowy. Hr. Stuergkh uznał braki administracji i brak kandydatów ze stanu cywilnego na namiestnika; oświadczył się jednak przeciw jenerałowi, wyrażając gotowość zamianowania w danym razie jedynego kandydata: Bobrzyńskiego. Ja zaś rozwinąłem argumenta, przedstawione już cesarzowi, i w szczególności położyłem nacisk na szkodliwy wpływ nominacji jenerała na opinję polską w Królestwie. Zakończyłem zaś swoją przemowę oświadczeniem, że w razie nominacji jenerała będę musiał ustąpić z urzędu ministra, co zanotowano w protokule. Na drugi dzień Berchtold poszedł do cesarza i, jak mi sam oświadczył, przekonał go użyciem mego argumentu co do wpływu na opinję w Kongresówce. I tak namiestnik Korytowski, nie mając nawet przeczucia o niebezpieczeństwie, jakie mu groziło, pozostał nadal na swoim posterunku.

Od owego dnia październikowego 1914 r. minęło było sporo miesięcy, które przyniosły wiele zmian w polityce. Berchtold i ja ustąpiliśmy z rządu, ja zostałem prezesem Koła: to zmiany podrzędne. Ale w czerwcu 1915 r. nastąpiła wielka zwycięska ofenzywa w Galicji, Lwów został odebrany Moskalom, państwa centralne szykowały się do marszu na Warszawę, stolicę przyszłego Państwa Polskiego. Prawda, że nie było chyba

sposobniejszej dla „politycznie wielce wyszkolonego“ austrjackiego dowództwa chwili, ażeby dotknąć boleśnie Polaków nominacją wojskowego namiestnika?! Świetna metoda polityki austro-polskiej!.. Hr. Stuergkh zaprosił mnie do telefonu, ażeby mi donieść, że w najbliższym czasie cesarz zawezwie mnie do siebie w sprawie namiestnika wojskowego, która została wznowioną energicznie przez A. O. K.*) (naczelną komendę). W istocie nadeszło zawezwanie na audjencję. W chwili, gdy zamknęły się za mną drzwi z poczekalni do gabinetu monarszego, cesarz, stojąc przy biurku i nie czekając mego zbliżenia się zawołał: „Wiem, wiem, że Pan jesteś przeciwny mianowaniu namiestnikiem jenerała, ale tym razem nie mogłem się już oprzeć“. Takie były niestety skutki oddania władzy braciom sijamskim: arcyks. Fryderykowi i jen. Conradowi. Gdy zbliżywszy się do biurka, usiadłem na krześle, odwiecznie przeznaczonem dla audjencyj prywatnych, wypowiedziałem otwarcie moje niezmienione zdanie o zamierzonym kroku i moje zasadnicze zarzuty. Cesarz, podkreśliwszy, że nie może postąpić inaczej, zaczął mnie uspokajać słowy następującemi: „Widzi Pan, mianowanie generała nie ukróci wcale praw autonomicznych Galicji, ani co do władz autonomicznych, ani co do języka urzędowego polskiego w urzędach państwowych. A pozatem: „Mein Verhältniss zu den Polen, Sie wissen ja, mein Verhältniss zum Polnischen Volke, wird durchaus keine Veränderung erleiden. Proszę Pana wszystkim swoim ziomkom i każdemu z osobna powtórzyć te moje słowa“. Przyjąwszy z wdzięcznością te deklaracje do wiadomości, zapytałem wkońcu, czy kandydatem na namiestnika musi być koniecznie jenerał Colard, wymieniony mi przez prezydenta ministrów, lub czy nie możnaby zamianować rzeczywistego Polaka, np. jenerała Rozwadowskiego. Na to cesarz odrzekł, że tuż przedemną był u niego hr. Gołuchowski i taką samą udzielił mu radę i że on — cesarz — kazał natychmiast powołać telegraficznie Rozwadowskiego z frontu,

*) Armee-Ober-Kommando.

tak, że dziś popołudniu będzie u niego. Względnie zadowolony, wyszedłem z audjencji, pełen nadzieji w osobie Rozwadowskiego, który, będąc właśnie w konflikcie z naczelną komendą, już tem samem byłby ochroną kraju przed soldateską.

Po powrocie na Wallnerstrasse, zwołałem na drugi dzień prezydjum czy też komisję parlamentarną; pod wieczór nadszedł hr. Gołuchowski, z którym podzieliliśmy się wrażeniami z audjencji. W ciągu tego nadszedł jen. Rozwadowski, już z powrotem z audjencji, ażeby mnie zawiadomić, że kombinacja z jego powołaniem rozbiła się. Gotów był przyjąć namiestnikostwo pod warunkiem, żeby mu oddano inspekcję „etapów" tak w Galicji, jak w Królestwie. Na to się naturalnie cesarz nie zgodził. Byliśmy zrozpaczeni takim obrotem rzeczy, pocieszając się tylko refleksją, że Rozwadowskiego temperament żywy i rzutki usposabia go nie tyle do prowadzenia systematycznej administracji, ile do roli, którą potem objął istotnie w Polsce jej przedstawiciel wojskowo-dyplomatyczny w Paryżu. Ale zarazem wznowiła się kandydatura Colarda, ponieważ nie mieliśmy do dyspozycji jenerała Polaka, bo taki był błąd Polaków, szczególnie szlachty polskiej w Austrji, że jej synowie szybko występowali z wojska w celu poświęcenia się służbie cywilnej, kiedy Niemcy, Węgrzy i Czesi wysyłali synów z najlepszych rodów do armji, którzy dosiągłszy stopnia jeneralskiego, używali całego swego wpływu u dworu, rządu i armji dla interesów swego narodu.

Na komisji kołowej przedstawiłem obraz audjencji i widoki nominacji Colarda. Słowa cesarskie przyjęto radośnie i polecono mi je — zgodnie z intencją monarchy — opublikować. Mniejszą przyjemność sprawiła perspektywa pana Colarda. W tym czasie przypadał mój wyjazd do A. O. K. w Cieszynie, do czego potrzeba było, jak opiszę później, interwencji kancelarji wojskowej cesarza. W rozmowie opowiedział mi jenerał baron Bolfras, że Rozwadowski przebywał w Wiedniu bezowocnie, że cesarz powrócił w braku innych jenerałów Polaków do kandydatury Colarda, że zresztą Colard jest Polakiem, o czem

mógłbym się przekonać naocznie, gdybym się chciał z nim rozmówić. Nie mogłem się temu naturalnie sprzeciwić, tak że Bolfras zawołał swego późniejszego następcę Marterera (o którego sztuczkach późniejszych przy sposobności opowiem) i rozkazał mu, by Colarda obstalował telefonicznie do mnie na Wallnerstrasse. Znałem go już z czasów jego kandydatury na szefa rządu w Kielcach: wtedy był „Polakiem od stóp do głowy", jakkolwiek łatwiej mówił po niemiecku ze zwyczaju wojskowego. Teraz przybył do mnie, z powierzchowności i manier bez dystynkcji, mówił swobodnie po polsku, powołując się na pochodzenie z Tarnopola, gdzie już ojciec jego, także oficer, czuł się Polakiem. Coś podobnego opowiadał mi baron Conrad, który znając Colarda od młodości jako Polaka, uznał Rozwadowskiego za niezdolnego z uwagi na jego długoletni pobyt za granicą (jako attaché wojskowy). Ażeby zrobić próbę, sprowadziłem przy drugiej wizycie jenerała Colarda znowu mowę na temat jego polskości. Usłyszawszy ponownie gorące przyznanie się do narodu polskiego, wyjąłem przygotowaną karteczkę i zaproponowałem mu, by np. przy powitaniu przez Wydział krajowy (bawiący wtedy na wygnaniu w Wiedniu) pomieścił w swej przemowie następujący ustęp, odczytamy mu w tej chwili z mej karteczki: „Przestrzegając równouprawnienia obu zamieszkujących kraj narodowości, będę jako Polak pamiętał zawsze o prawach i interesach ludności polskiej". Jenerał wziął karteczkę do ręki, przeczytał ją uważnie i odrzekł: „Tego nie mogę wypowiedzieć, ponieważ jako jenerał austrjacki nie znam różnic między pojedynczemi narodowościami". To mi wystarczyło, tak że urwałem rozmowę na temat powyższy. Komisji parlamentarnej opowiedziałem szczegóły tej sceny, poczem w braku dalszych środków obrony, postanowiliśmy odczekać postępowania przyszłego namiestnika. Nominacja nastąpiła w drugiej połowie lipca, gdy już byłem w Ischlu; pan Korytowski iotrzymał nadzwyczajnie łaskawe pismo odręczne od cesarza tegoż portret w złotej ramie z własnoręcznym podpisem, ale

z łatwo zrozumiałych przyczyn nie przebaczył nigdy Stuergkhowi, który tak łatwo poświęcił swego osobistego przyjaciela. Niestety prezes gabinetu austrjackiego nie umiał, czy nie mógł naśladować swego kolegi węgierskiego, który gwałtem wszystko przeprowadzał w Naczelnej komendzie i nigdy się nie poddawał narzucanym z Cieszyna wymaganiom. Nie było to chyba wynikiem różnicy w osobistości obu prezesów, bo Stuergkh rozumem i zmysłem politycznym dorównywał Tiszy; powodem słabszego stanowiska rządu austrjackiego był brak oparcia o parlament, którym Tisza operował po mistrzowsku!

Wyczytawszy nominację jen. Colarda, napisałem mu list z powinszowaniem, zapewniając, że Koło polskie będzie go popierało, o ile on będzie z niem utrzymywał trwałe porozumienie w ważnych sprawach krajowych. Odpowiedź otrzymałem bardzo uprzejmą, ale nic poza tem. Przez następne trzy miesiące objeżdżał nowy namiestnik kraj zniszczony; dnia 1 listopada 1915 r. wziął udział w konferencji poselskiej u prezydenta ministrów, na której zrobił na mnie tak dobre wrażenie, że mu wyraziłem uznanie. Po tej konferencji przepraszał mnie, że z powodu audjencji i nagłego wyjazdu nie może mnie tym razem odwiedzić, a uczyni to następnym razem. Ale w rzeczywistości ani ja ani Koło, nie widziało go odtąd aż do jego śmierci w r. 1916 ani razu. O czynnościach jego wiedzieliśmy tyle, że wprawdzie pragnie odbudowy kraju, ale politycznie jest wrogiem polskości, popierając na każdym kroku nieuzasadnione żądania Rusinów z jednej i wojskowości z drugiej strony. Autonomja nasza, którą nam cesarz obiecał był zachować, znalazła się w rękach najdziwaczniejszych nominatów ruskich (np. w Drohobyczu!) i licznych oficerów, pomianowanych przy starostwach. Namiestnictwo i odbudowa znalazły się w dezorganizacji: sądzę, że nie popełniam tym wyrazem niesprawiedliwości. Wprawdzie adjutant namiestnika, dzisiejszy major przy misji wojskowej w poselstwie wiedeńskim, p. Barański odwiedził mnie przy Wallnerstrasse i zapewnił, że tak jego, jak i pani Colardo

wej*) jest staraniem, aby namiestnika skłonić do nawiązania stosunków z Kołem polskiem. A że według całej sytuacji wolno było przypuszczać, że awersja przeciw Kołu wynikała nie tyle z uczuć osobistych jenerała Colarda, ile z nakazu wrogiej nam komendy naczelnej (A. O. K.), więc byłoby może przyszło do zgody namiestnika z Kołem i do naprawy stosunków w kraju. Ale tymczasem z początkiem r. 1916 zmarł jenerał Colard, nie pozostawiając u narodu polskiego ani krzty żalu.

Prawem przyrodzonem, rządzącem i w polityce, utrzymała się już nadal i instytucja namiestników wojskowych aż do końca przynależności Galicji do Austrji. Koło polskie nie miało też tym razem zbytniego zapędu do opierania się temu, gdy się dowiedziało, że cesarz upatrzył sobie na następcę jen. Dillera, prawdziwego ulubieńca narodu polskiego. Po ucisku niemieckim w Warszawie i okupacji niemieckiej, po tysiącznych błędach i złośliwościach czeskich, żydowskich, a po części niestety także polskich (przypominam „Polaka“ Turnau'a) oficerów austrjackich, po katowaniach ludności polskiej przez żandarmów czeskich, stanął nareszcie na czele okupacji austrjackiej w Lublinie jenerał Diller, Niemiec, mówiący dobrze po polsku, ukończony prawnik i były urzędnik administracyjny, zaprzyjaźniony z szerokiemi warstwami ludności Krakowa, stał się generał w krótkim czasie dla swojej przychylności dla Polaków, jakoteż dla swojej gorliwości około ich spraw ekonomicznych a i politycznych pierwszym jenerał-gubernatorem lubelskim. To też o ile powszechnym był żal w Królestwie z powodu ustąpienia Dillera, o tyle nieszczęśliwa ludność Galicji odetchnęła na wiadomość o jego powołaniu na namiestnika. Wprawdzie powstało pewne zaniepokojenie z powodu następcy w Lublinie w osobie jenerała Kuk'a, do ówczas komendanta warowni krakowskiej, nie umiejącego ani słowa po polsku. Ale najprzód sam Kuk miał istotnie chęci najlepsze i poczucie wielkich obowiązków, jak się mogłem przekonać z długiej z nim rozmowy przy Wallnerstrasse; a także

*) rodowitej i naprawdę dobrej Polki.

pani Kuk, niezbyt dobrze zapisana pod względem taktu w Krakowie, dała mi najlepsze przyrzeczenia i podobno ich dotrzymała w miarę możności. Powtóre zaś dodano nowemu gubernatorowi do pomocy jako cywilnego adlutesa szefa sekcji w min. oświaty wiedeńskiem Jerzego Madeyskiego, później ostatniego ministra oświaty rozpadającej się Austrji, syna znakomitego Stanisława. Stało się to za staraniem hr. Gołuchowskiego i mojem. Madeyski rozwinął też czynność gorliwą. Potem nie wszyscy podobno byli z niego zadowoleni, zarzucając mu — słusznie czy niesłusznie — zbyt ścisłe stosunki z endekami. Zaprzeczyć nie można jednak, że dzielny wódz tego stronnictwa p. Stecki (późniejszy minister spraw wewn.) stanął widocznie pod wpływem Madeyskiego w listopadzie 1916 r. stanowczo przy Austrji. Zresztą p. Jerzy Madeyski dowiódł w r. 1921 swoją czynnością w Gdańsku swego uzdolnienia na posła polskiego w Berlinie.

Jak wspomniałem, jen. Kuk przedstawił się przed nominacją prezesowi Koła: nie wchodzę w to, czy z przyzwolenia naczelnej komendy, czy — co prawdopodobniejsze — z polecenia jen. Bolfrasa. Gubernator Diller stał był w tym względzie jeszcze pod zakazem komendy i mimo całej swojej miłości dla Polaków, nigdy — z jedynym wyjątkiem — nie zaglądnął do Koła polskiego, jakkolwiek mieszkał zawsze przy częstych pobytach wiedeńskich w sąsiednim domu przy Wallnerstrasse, a nawet w naszym domu odwiedzał o ścianę odemnie komitet ratunkowy dla Królestwa polsk. Tylko przy tworzeniu „Centrali handlowej dla Królestwa“ tyle dlań pożądanej, musiał do mnie przybyć i przedstawić się, bo wszystkie prace przygotowawcze musiały odbywać się wprost pod mojem przewodnictwem. Inaczej zachowywał się namiestnik Diller. I w początku powołania na ciężki urząd i przez cały czas tegoż piastowania bywał u mnie, brał udział w komisjach i konferencjach, jak wogóle uważał się za najbliższego krajowi współpracownika i przyjaciela. Pokochano go też tam powszechnie, widziano w nim głównego

obrońcę wobec Wiednia i naczelnej komendy, dziękowano mu za troskliwą i dobrotliwą administrację i zrobiono dlań wyjątek od reguły, że namiestnikiem powinien być zawsze cywilny obywatel kraju, Polak, czujący się częścią kraju i narodu. Po ustąpieniu bar. Dillera miałem sposobność wypowiedzenia tych uczuć w Izbie Panów, której członkiem będąc, p. Diller wstąpił do stronnictwa konserwatywnego i do frakcji polskiej. A to ustąpienie przyjęte było w kraju z tem większą goryczą i oburzeniem, że nastąpiło w formach brutalnych i niesprawiedliwych. Oto w styczniu 1917 r. przybył namiestnik znowu raz do Wiednia i przedstawił się naturalnie także panującemu od końca listopada 1916 cesarzowi Karolowi. Zdawał sprawę o bieżących stosunkach w Galicji i uzyskał od monarchy nietylko zgodę na wnioski, lecz nadto gorące uznanie. Dla pilnych spraw krajowych nie mógł być wtedy u mnie, lecz wprost niemal od cesarza wyjechał do Krakowa. Przybywszy tam, zastał telegram, czy też telefonemat ministra spraw wewn. bar. Handel z wezwaniem do natychmiastowego powrotu. Bar. Diller wsiadł ponownie do pociągu i chyba wprost z dworca udał się do ministra. Tam otrzymał zawiadomienie, że cesarz żąda jego natychmiastowej dymisji i gotów jest przy tej sposobności wynieść go do stanu hrabiowskiego lub dać mu wysoki order. Diller odrzekł, że odznaczenia żadnego nie przyjmie, ale naturalnie wniesie zaraz podanie o zwolnienie z urzędu. Po tej scenie odwiedził mnie na Wallnerstrasse, nie tyle rozżalony osobiście, ile zmartwiony marnością podobnego zajścia. Warto też opowiedzieć, co było powodem raptownej utraty „łaski“ u równie niezdolnego jak zmiennego monarchy w ciągu kilkunastu godzin, bo między ludźmi normalnymi musiałaby chyba zajść w tym czasie jakaś zbrodnia stanu, czy wcale zbrodnia zwyczajna! Oto cesarz interesował się bardzo sprawą żywności w Galicji. To tak zw. „interesowanie się“ — zresztą zwykle bardzo przemijające — objawiło się w ten sposób, że z polecenia cesarskiego wyjechał z Wiednia do Galicji jakiś nieznany ze zwycięstw jenerał Wei-

gel dla przyjrzenia się stosunkom i zdania sprawy cesarzowi. Na nieszczęście jechał Weigel tej samej nocy z Krakowa z powrotem do Wiednia, w której Diller jechał z Wiednia z powrotem do Krakowa. Pełen gorliwości „urzędowej“ acz nie bardzo bohaterskiej, pospieszył p. Weigel natychmiast do Baden, gdzie cesarzowi zdał sprawę o wyżywieniu jego „umiłowanych“ poddanych polskich i ruskich. Ile tam było rzeczy złych czy dobrych pozostanie dla świata tajemnicą; o losie bar. Dillera rozstrzygnął tylko jeden fakt, „historycznej doniosłości“. Będąc mianowicie w Przemyślu na dworcu przy kolacji, kazał sobie jen. Weigel podać kawałek bułki*); kelner uważając za swój obowiązek, być posłusznym tak wysokiemu dygnitarzowi, przyniósł mu w istocie bułkę. I oto ten fakt, sam jeden dosłownie, pozbawił Dillera urzędu namiestnika, a Weiglowi przysporzył w Wiedniu szlachetny przydomek: „der Semmel- (bułczany) Weigel“!

Kraj był ustąpieniem bar. Dillera i formami, w jakich ono nastąpiło zgorszony i tem silniej domagał się powrotu do namiestnika cywilnego. Ja, będąc właśnie w owej chwili u cesarza Karola, przedstawiałem potrzebę tego powrotu. W odpowiedzi na to zażądał cesarz propozycję; gdy mu na to wymieniłem Adama Federowicza, wieloletniego delegata namiestnika i starostę w Krakowie, cesarz nie zgodził się na tę kandydaturę z tego motywu, ponieważ nie śmiałby zamianować kogoś, na kogo ś. p. cesarz Franciszek Józef nie chciał się zgodzić. A przecież jak mi wiadomo i jak opowiedziałem młodemu cesarzowi, awersja jego poprzednika nie uwłaczała bynajmniej Federowiczowi. Byłem jeszcze ministrem wspólnym, gdy mnie odwiedził starosta krakowski, powróciwszy z audjencji u cesarza Franciszka Józefa, z którym — jak mi opowiadał — przez całą godzinę omawiał wszystkie najważniejsze sprawy krajowe. Federowicz miał formy tak wykwintne i łagodne, że w audjencji u monarchy musiały tem widoczniej wystąpić na zewnątrz; on sam był oczywiście z tego, a temsamem

*) Wypiek bułek był w czasie wojny zakazany. (Przy . wydawcy).

i z wyniku audjencji bardzo zadowolony i uszczęśliwiony, kiedy przeciwnie cesarz, lubiący u mężów kierujących energję — według złośliwego aperçu mrgb. Bacquehema: w poczuciu braku własnej energji! — znalazł Federowicza zbyt mało energicznym i odsądził go wobec hr. Stuergkha od namiestnikostwa, które istotnie wymaga energji. Ten fakt przeszedł w spadku na młodego cesarza i tak Adam Federowicz, starszy i podobno zdolniejszy od młodszego swego brata Władysława, pozostał na swem dawnem stanowisku aż do śmierci — może ze szkodą dla kraju... Ja z mej strony nie miałem pod ręką innego kandydata cywilnego, a zresztą wiedziałem od ministra dla Galicji Bobrzyńskiego, że cesarz już sobie upatrzył kandydata w jen. hr. Huyn'ie. Za parę dni nastąpiła też jego nominacja, po której nowy namiestnik odwiedził mnie w domu moim przy Tulpengasse. W przeszło godzinnej rozmowie poznałem człowieka rozumnego i chętnego dla kraju; z kół ziemiańskich znano go jako oficera trochę narwanego, ale dobrze dla kraja usposobionego. Ostatecznie przyjęto nominację bez oporu i przekonano się, że hr. Huyn może nawet energiczniej i systematyczniej umiał pracować, niż ulubieniec narodu Diller. Ja jednak pozostałem przy swej deklaracji późniejszej w Izbie Panów, a naród zawiódł się na hr. Huyn'ie w pierwszych chwilach po odzyskaniu swej niezawisłości, gdy się dowiedział, że namiestnik-jenerał, a więc nie prosty zastraszony cywilista, dał się rzekomo steroryzować Ukraińcom i 1-go czy 2-go listopada 1918 r. złożył w ich ręce władzę, otrzymaną jeżeli nie za zgodą formalną Polaków, to jednak z tytułu przyjaźnych jego dla nich stosunków. Tak więc instytucja namiestników wojskowych zginęła równocześnie z państwem austrjackiem i armją austro-węgierską. Do zajść zaś listopadowych powrócimy jeszcze w innem miejscu. Tu natomiast musimy raz jeszcze wspomnieć o akcji odbudowy kraju, która niezbyt silnie postąpiła za hr. Huyn'a, ale niestety od czasu powstania Państwa Polskiego, w ciągu niespełna półtora roku (piszę w końcu marca 1920) nie tylko nie postąpiła naprzód, lecz

raczej utknęła boleśnie z przyczyn zasadniczych zarówno jak biurokratycznych.

Rząd polski nie bez pewnej zasadniczej racji wzdragał się od przejęcia zobowiązań finansowych Austrji, któreśmy w Kole polskiem przeparli u rządu zaborczego a nam przychylnego: tam wymusiliśmy wprost bezgraniczne wypłaty skarbu na odbudowę, tu mają ten obowiązek przyjąć instytucje finansowe, gwarantowane przez rząd polski. Byle tylko biurokratyzm polski, straszniejszy od austrjackiego, dozwolił wreszcie zrealizowania tej zasady! Nasze żądania wobec Austrji przeprowadzaliśmy najpierw w licznych konferencjach i korespondencjach prezesa Koła z szefem rządu, a potem dla ostatecznego i zasadniczego ugruntowania wyniku tych rokowań, w konferencjach u prezydenta ministrów, w których pod jego przewodnictwem brali udział: fachowi ministrowie z urzędnikami, marszałek krajowy, namiestnik i prezes Koła z desygnowanymi przez niego członkami Koła. Konferencja taka odbyła się r. 1915 i 1916 pod przewodnictwem hr. Stuergkha, a r. 1917 jego następcy hr. Clam-Martinica.

Na podstawie tego wszystkiego, co omówiłem z szefem rządu od lutego 1915 r. i co się potem było skoncentrowało w moim liście z Ischlu i odpowiedzi hr. Stuergkha, odbyła się pierwsza konferencja w dniu 1 listopada 1915 r. Stwierdzono tam po długiej dyskusji: 1) że rządu najpierwszym w tej chwili obowiązkiem, zapewnić ludności w okolicach zniszczonych tymczasowy przynajmniej dach nad głową. Wiceprezydent namiestnictwa p. Grodzicki podał dane tak co do ogółu potrzeb, jak co do wykonanych już prac tymczasowych, przyczem stosowano bądź odbudowę chałup, domków i stajni, bądź budowę baraków prowizorycznych; tu właśnie namiestnik Colard wypowiedział się bardzo zręcznie i energicznie za tą akcją. Rząd przyjął rzeczywiście ten obowiązek na skarb państwa. 2) Stwierdzono dalej, że równocześnie należy wdrożyć prace przygotowawcze co do odbudowy stanowczej tak budynków

jak gospodarstw i że organ dla tej odbudowy ma być stworzony w 1916 r. 3) Działalność banku wojennego omawiano w duchu rozszerzenia i potanienia pomocy bankowej, przyczem minister skarbu bar. Engel w obszernem exposé wyraził całkiem oficjalnie przekonanie, że żaden rząd nie będzie mógł żądać zwrotu pożyczek, udzielanych przecież z tytułu należnych odszkodowań wojennych. Nie tak czysto oficjalnie, ale niemniej półoficjalnie powtórzył to samo hr. Stuergkh w ciągu przerwy południowej kilkakrotnie w rozmowach z rozmaitemi grupami posłów, określając swoje stanowisko jak następuje: „albo przyjdzie do skutku ustawa o odszkodowaniach, a w takim razie zostaną sumy przyznane na jej podstawie skompenzowane z udzieloną pożyczką, albo ustawa nie przyjdzie do skutku, a wtedy strony zatrzymują pożyczki ipso facto bezzwrotnie". Myśli tej nie przeprowadzono wówczas jeszcze w szczegółach; nastąpiło to dopiero w konferencjach następnych. 4) Wyrażono żal, że niedostateczny wymiar premij za zasiewy spowodował wielką wstrzemięźliwość w zasiewach jesiennych i żądano premij podwyższonych dla zasiewów wiosennych r. 1916, czego swoją drogą rząd nie wykonał bądź z umysłu, bądź z krótkowidztwa. 5) W końcu omawiano depekorację kraju wraz z brakiem nawozu zwierzęcego, a ztąd potrzebę nawozów sztucznych i żądano poparcia przy utworzeniu tow. budowy zaprowadzającego fabryki „Azot" systemu szwajcarskiego. Armja zupełnie niepotrzebnie zmarnowała wspaniałe zarody właściwej Galicji rasy bydła rogatego, dając marnotrawnie hojne pożywienie mięsne ludności, wcale do niej nie przyzwyczajonej. Ile w owym roku wspomnianym zmarnowano mięsa, ile skór wyrzucano i oddano zgniliźnie na szkodę rolnictwa i konsumentów cywilnych, to kiedyś może wykaże historja. Ale rząd cywilny — zwłaszcza późniejszy zacny, niestety zmarły r. 1919 minister skarbu Wimmer, popierał kilkakrotnie „Azot", acz ostatecznie dopiero ja jako minister skarbu polskiego umożliwiłem dokończenie budowy fabryki pod opieką prof. weterynarji w Krakowie zasłużonego Juliana Nowaka.

Koło było narazie zadowolone z konferencji i rozpoczęło zaraz prace nad przygotowaniem odbudowy stanowczej na r. 1916. Ze strony posłów Lea i Adolfa Grossa wyszedł projekt organizacji ciała, mającego się w przyszłości zająć odbudową. Miała to być ich zdaniem centrala zupełnie autonomiczna, na co się komisja kołowa zgodziła. Ale wyjednanie tej konstrukcji napotykało na nieprzełamane trudności ze strony rządu. Przedewszystkiem z powodu, któremu trudno było odmówić racji: odbudowa miała się odbywać wyłącznym kosztem państwa; jakżeż miał rząd oddać dyspozycję funduszami wyłącznie w ręce organów samorządowych, niezawisłych od niego? Od pierwszego przeto momentu stanęła zasada ze strony rządu, że centrala odbudowy ma podlegać namiestnikowi i tworzyć samoistny oddział namiestnictwa. Chodziło więc tylko o to, jakiego można było uzyskać wpływu dla czynników samorządowych w tej centrali. To zaś zawisło od stosunku sił poszczególnych interesowanych ministerstw. Hr. Stuergkh zarządził w początkach 1916 r. utworzenie w łonie rządu komitetu, składającego się prócz ministra dla Galicji, z ministrów: rolnictwa, handlu, finansów i robót publicznych pod przewodnictwem prezesa ministrów. Ponieważ przełożonym przyszłej centrali miał być z natury rzeczy minister robót publicznych, udałem się z posłem Leo do ministra p. Trnki, Czecha bardzo oddanego i Kołu, a i mnie z czasów, gdy jako minister skarbu austr. ułatwiłem mu finansowo objęcie urzędu dyrektora kolei państwowych dla sieci czeskiej. Rozumny i umiarkowany ten mąż stanu, który także w późniejszej konferencji polskiej w swojem biurze był nam bardzo pomocnym w kwestji dostarczania opału węglowego dla miast galicyjskich (odznaczył się przytem bardzo zasłużenie poseł Diamand), a jeszcze później w Izbie panów przedstawiał element umiarkowany Czechów aż do swej śmierci tragicznej pod kołami automobilu (r. 1918?). Trnka okazał się więc dla myśli naszej centrali bardzo przyjaźnie usposobiony. Ale znalazł silną opozycję u kolegi swego, ministra rolnictwa,

Zenkera, również Czecha (który nam przeszkadzał także w sprawach czysto rolniczych). Hr. Stuergkh musiał zwołać powyższy komitet najprzód bezemnie, potem za udziałem moim, i tam stanął przy pomocy prezesa rządu kompromis tej treści, że centrali rządowej zostanie dodaną rada przyboczna, mianowana przez rząd w porozumieniu z Kołem polskiem. Była przytem jeszcze sporna kwestja co do ilości członków rady, którą rząd chciał pierwotnie bardzo ograniczyć, ale później kilkakrotnie podwyższył, a ponadto spór co do procentu dla udziału Rusinów w tejże radzie, który został wkrótce załatwiony. Chodziło już teraz tylko o wprowadzenie w życie centrali. Swoją drogą komisja odbudowy kołowa niebardzo chętnie godziła się na tę instytucję biurokratyczną; mimo to, uznając ją za mniejsze zło od braku centrali, domagała się jej wprowadzenia, tak że w kwietniu na posiedzeniu Koła w Krakowie musiałem ja sam wytoczyć sprawę opóźnienia i spowodowałem stosowną uchwałę Koła.

To też pod tym wpływem hr. Stuergkh zwołał konferencję poselską i ministerjalną na połowę maja z udziałem podobnym jak w listopadzie r. z. Główną w tem różnicę stanowiła tylko zmiana ministra skarbu. Minister Engel, który ostatecznie dał i wyposażył jako tako bank wojenny, ale zbyt cynicznie traktował tak nietykalność Galicji jak sprawę ruską*), musiał pod naporem polskim w późnej jesieni ustąpić miejsca dotychczasowemu gubernatorowi Kasy pocztowej p. Lethowi. Znany mi z najlepszej strony tak z czasów obu moich ministerstw austrjackich, jak z ministerstwa wspólnego, należał p. Leth do mężów równie rozumnych jak serdecznie dobrych; był też dla nas bardzo przychylnym, jak się to okazało z zachowania się jego co do naszych i Rusinów żądań podatkowych, które jeszcze w grudniu 1915 r. przedstawiałem

*) Dlatego nie mogłem mu przesłać pożądanego przezeń pisma dziękczynnego, które miał rzekomo dostać od Rusinów.

był na wielkiej u niego konferencji. Następca jego Spitzmüller bardzo później okroił przyznane przez Letha koncesje, oparte swoją drogą na inicjatywie jeszcze Engla, spowodowanej na poufnej u niego konferencji ze mną, Leem i Grossem. Ale z temi wszystkiemi cnotami łączyła się u ministra Letha słabość czy miękkość charakteru, która mu szkodziła tak w ministerstwie i w Kole polskiem, jak później w „Bodenkreditanstalt", gdzie zostawszy w grudniu 1916 r. na wniosek Spitzmüllera gubernatorem w miejsce Siegharta, wygnanego przez cesarza Karola, musiał dla braku wszelkiej inicjatywy ustąpić temu samemu Sieghartowi, który równo w trzy lata, w grudniu 1919 r. został za zgodą rządu republikańskiego powołany ponownie na „prezydenta" autonomicznej Rady banku. Dla nas było trudno ocenić sprawiedliwie zmianę w ministerstwie: bo kiedy Engel usunął od wszelkiego wpływu wszystkich swoich referentów i szefów sekcji i sam załatwiał wszystko autokratycznie źle lub dobrze (— jeszcze w parę tygodni po objęciu urzędu przez Letha chodził najpilniej do biura i załatwiał pod datą starszą literalnie tysiące osławionych swoich aktów zaległych —), to nowy minister był zupełnie zawisłym od swoich urzędników, z ktorych część pewna nas nienawidziła, a reszta mimo dobrych chęci zaniedbywała. Stąd przyszło na konferencji majowej do konfliktu; choć się objawił w formach innych, niż t. zw. „szrapnelowej" z Englem, to jednak osłabił nasze stosunki przyjaźne z mężem takiego serca, jak Leth, który dużo później przejechawszy się po Galicji, rozpłakał się gorzkiemi łzami wobec stron i urzędników i powróciwszy do Wiednia, oświadczył Stuergkhowi zamiar wypłat „świadczeń" na własną rękę, bez względu na Węgrów i Naczelną Komendę. Tylko, że i ten zamiar ministra austr. rozbił się o opór naszych „przyjaciół węgierskich".

Głównym a przynajmniej pierwszym przedmiotem narad majowych była, stosownie do uchwały zasadniczej konferencji listopadowej, definitywna odbudowa kraju. Omówiono tam

ali, zgodzono się na utworzenie czterech sekcyj: rolniczej (szefem został potem prof. Nowak), przemysłowej (szefem bar. Battaglia, człek niesłychanie zdolny i energiczny, ale ciągle słusznie czy niesłusznie atakowany osobiście), technicznej (szefem inż. Ingarden) i ogólnej (z szefem jenerałem hr. Lamezan, spolszczonym Niemcem, najzacniejszym opiekunem spraw polskich, zwłaszcza rolniczych). Na te sekcje mieli być rozdzieleni członkowie rady nadzorczej, urzędujący po za tem także w całości. Traktowano również zakres działania centrali, w szczególności w kierunku subwencyj, pożyczek, budżetu itd. Ostatecznie przyszło do porozumienia. Potem rozpoczęto kwestję rozwoju banku wojennego. Zabrawszy głos, oświadczyłem, że będę zmuszony bardzo silnie zaatakować p. ministra skarbu, ponieważ nie wykonał licznych ułożonych z ministerstwem reform. Ponieważ p. Leth nie znał tych spraw, odroczono posiedzenie do popołudnia, ażeby się minister mógł poinformować w biurze. Niestety oświadczył on na początku posiedzenia popołudniowego, że nie czuje się winnym żadnego zaniedbania. Wtedy ja mu przedstawiłem cały szereg spraw, co do których musieli jego referenci przyznać mi rację zaraz stante sessione. Stosunek nasz z p. Lethem nie popsuł się mimo moich energicznych zarzutów, ponieważ on najserdeczniej obiecał wszystko zaraz przeprowadzić; ale pozycja ministra bardzo się osłabiła. Uchwalono też cały szereg reform banku wojennego, w szczególności obniżenie stopy procentowej na 3%, rozpoczęcie 20-letniej spłaty kapitału w 5 lat po zawarciu pokoju, wreszcie ustanowienie osobnego referenta dla szkód miejskich. Były to reformy, dokładnie między Kołem względnie bankiem i ministerstwem już ułożone, ale nie mogły na żaden sposób ujrzeć światła. W dalszym ciągu stwierdzono potrzebę założenia osobnego Banku wojennego miejskiego. Mówię „stwierdzono“, bo założenie zostało już także przedtem ułożone między prezesem Koła a ówczesnym szefem sekcji kredytowej, późniejszym ministrem skarbu, a w następstwie

gubernatorem banku austr.-węg. bar. Wimmerem. Znowu na wniosek posłów Lea i Grossa uchwaliła komisja odbudowy żądanie stworzenia Banku miejskiego, któryby miał stanąć obok starszego wojennego: tenże był przeznaczony dla udzielania pożyczek z powodu szkód tak wiejskich jak miejskich — ztąd osobny referent miejski — ale bezpośrednio, jak zburzenia domów; natomiast bank nowy miał działać z tytułu szkód pośrednich, spowodowanych wojną, np. ubytki w czynszach z domów, stagnacja w przemyśle itd. Zaprosiłem do siebie szefa sekcji Wimmera, który najprzód ze mną samym, a potem wespół z Leem i Grossem omówił kwestję i zgodził się w zasadzie na bank, dotowany znowu z funduszów państwowych (na początek 30 milj. Kor.) na podobieństwo dawnego. Minister Leth zaakceptował wnioski szefa sekcji, a konferencja majowa nową kreację potwierdziła. W sprawie wypłaty świadczeń nie doszliśmy znowu do układu, ponieważ rząd austrjacki ciągle jeszcze walczył z węgierskim, nam bardzo nieprzychylnym, a hr. Stuergkh był niewyczerpany w coraz to nowych konstrukcjach, przedstawionych Węgrom. Tak więc mimo chęci i szefa rządu i kompetentnego ministra obrony krajowej bar. Georgi'ego i tegoż szefa sekcji bardzo inteligentnego — sprawa świadczeń musiała jeszcze spoczywać prawie rok cały. Ale jeszcze jedna sprawa, poruszona przezemnie na końcu, doznała pewnego pogorszenia. Jakkolwiek na konferencji listopadowej minister skarbu Engel, oświadczył był, że zwrotu pożyczek z banku wojennego nikt nie będzie żądał, a hr. Stuergkh w czasie przerwy rozwijał jurydycznie tę samą myśl, jakkolwiek wskutek tego ja w Kole zdeklarowałem bezzwrotność pożyczek, którą Koło naturalnie bardzo chętnie przyjęło, bank odmawiał stanowczo przyjęcia tej zasady tak długo, aż nie otrzyma odnośnego polecenia od rządu. Pragnąc przeto ulegalizowania oświadczeń listopadowych, zapytałem na konferencji majowej hr. Stuergkha, ażali dobrze interpretowaliśmy deklaracje obu ministrów? Prezydent ministrów nie chciał na to

odpowiedzieć bezpośrednio, powołując się na brak upoważnienia ustawowego. Od listopada nastąpiła zmiana w osobie ministra skarbu, a pan Leth nie podzielał stanowiska prawnego p. Engla; hr. Stuergkh zaś przemawiał w listopadzie po za salą posiedzeń, niejako tylko półoficjalnie, miał więc pewne skrupuły przeciw oświadczeniu oficjalnemu. Odrzekł mi przeto, że rząd będzie od parlamentu stanowczo żądał ustawy o odszkodowaniach wojennych, na co Węgrzy, dawniej przeciwni, byliby się zgodzili po doświadczeniach kampanji siedmiogrodzkiej: wtedy oczywiście byłaby nastąpiła kompenzata pożyczki z odszkodowania. Na moje dalsze pytanie wszakże, co nastąpi na wypadek nieprzyjścia do skutku ustawy o odszkodowaniach i czy w takim razie pożyczki zostaną odpisane, hr. Stuergkh nie chciał już powtórzyć oficjalnie listopadowej deklaracji półoficjalnej. Po dłuższej dyskusji zakończył jedynie urzędowem zapewnieniem, iż rząd nie pozostawi poszkodowanych wojną obywateli bez jakiegoś odszkodowania... Niestety były to, jak przyszłość wykazała, spory tylko teoretyczne, bo jeszcze dziś, kiedy piszemy kwiecień 1920 r., poszkodowani w Galicji, a i w Królestwie nie dostają odszkodowania, ani nawet pożyczek od banku wojennego, który ciągle oczekuje bezowocnie zapowiedzianej przemiany z instytucji o dotacjach państwowych w instytucję, emitującą obligacje z gwarancją państwową. Skarb polski znajduje się w ciężkich opałach, wyzyskiwać go na podobieństwo skarbu austrjackiego nie dozwala patrjotyzm, a ztąd wynika stagnacja i znaczne pogorszenie stanu w porównaniu z czasami konferencyj Koła polskiego z rządem austrjackim.

Konferencja majowa stanowiła na każdy sposób znaczny postęp, byle tylko jej uchwały były wykonane. Z tem były pewne trudności, oparte jedynie na wadach biurokratyzmu austrjackiego, dość przykrym, acz może nie tyle, ile przykrym jest niestety biurokratyzm nasz rodzimy! Wykonanie przepisów bankowych wymagało zarządzeń samego tylko ministra skarbu. Porozumiałem się tedy z dyrekcją banku, by w myśl

uchwał konferencji przedłożyła ministrowi wnioski, a potem wespół z ministrem Morawskim tak długo forsowaliśmy na Himmelpfortgasse (gmach ministerstwa skarbu), aż nastąpiło zatwierdzenie wniosków. Trudności nie robił sam minister, ile każdy z jego doradców osobno... Trudniej było z uchwałami co do organizacji centrali odbudowy. Ponieważ tu wchodziła w grę kompetencja trzech ministrów fachowych, skomplikowana walka dwóch ministrów czeskich, przyjaźnego nam Trnki z nieprzychylnym Zenkerem, a przytem, jak zawsze, uzasadniona prepotencja ministerstwa skarbu, przeto zatwierdzenie statutu zwlekało się do późnego lata. Nie mogąc do tego dopuścić, prosiłem jeszcze przed wyjazdem do Ischlu ministra Morawskiego, by hr. Stuergkhowi zagroził największemi z mej strony awanturami, jeżeli rząd w czas nie zrealizuje uchwał konferencji. Szef rządu wydał odpowiednie polecenia i w ciągu lipca czy sierpnia doniósł mi p. Morawski, że rozporządzenie odnośne odeszło nareszcie do Krakowa. Ale i przy tej sposobności jeszcze biurokracja wyrządziła nam przykrego psikusa. Bo oto projekt rozporządzenia, wypracowany przez ministerstwo robót publicznych, został przed ekspedycją przesłany według przepisów ministerstwu skarbu; wrogowie nasi młodzi w tej władzy zażądali w odpowiedzi do min. robót publicznych umieszczenia w rozporządzeniu długiego ustępu, zabraniającego udzielania poszkodowanym „zapomóg“ jako zaliczek na koszta odbudowy. Minister robót publicznych Trnka, zastraszony naszym naciskiem o przyspieszenie rozporządzenia, pozwolił wcielić do tegoż ów ustęp, skreślając równocześnie projektowane obowiązkowe zapytanie do ministra dla Galicji co do jego zgody. Akt więc odszedł z dodatkiem nieprzyjemnym i potrzeba było znowu kilkumiesięcznych starań, by to naprawić.

Oprócz tych trudności co do wykonania uchwał konferencji miałem jeszcze osobistą przykrość w sprawie rady przybocznej. Na posiedzenie majowe u prezydenta ministrów przybył także namiestnik Colard z wiceprezydentem Grodzickim,

któremu rząd poruczył ustalenie listy członków rady. P. Grodzicki przyniósł mi swój projekt, w którym się znajdowało dość osób obojętnych lub mało pożądanych, tak że na komisji kołowej wyraziłem się, że namiestnictwo „pfuscht uns in's Handwerk". Byłbym zapomniał o tych słowach, gdyby mi ich później nie przypomniano niemile. Mnie jako prezesowi zależało na wprowadzeniu do rady przybocznej trzech posłów: Starowieyskiego jako konserwatywnego znawcy stosunków budowlanych wiejskich w małej i wielkiej własności, ludowca hr. Lasockiego (późniejszego posła naszego w Wiedniu), znanego mi z najgorliwszej troski o dobro ludu wiejskiego i socjalisty Diamanda, znanego mi zarówno z niezwykłej czystości charakteru jak z niezwykłego znawstwa nauki i praktyki ekonomicznej. Na pierwszych dwóch zgodził się p. Grodzicki, zaś trzeciemu zarzucił, że miał niedawno na stacji kolejowej wyrazić się głośno nieprzychylnie o namiestniku Colardzie. Ponieważ mnie ten argument nie przekonał, pozostałem przy swoim wniosku, a gdy go potem nie uwzględniono, przeprowadziłem powołanie posła Diamanda drogą bardzo energicznej korespondencji z Namiestnikiem. Przyznaję szczerze, że w tej całej robocie przeoczyłem brak nazwiska posła Kędziora na liście, któremu się ze względu na jego długoletnią pracę około spraw wodnych w kraju, miejsce w Radzie przybocznej przedewszystkiem należało: gdybym był zoczył brak jego nazwiska, byłbym naturalnie bezwzględnie żądał korektury, boć szef budów wodnych w kraju był chyba jako pierwszy powołany do pracy w centrali odbudowy. Tymczasem przyszedł do mnie poseł Kędzior i swoim zwyczajnym, niestety zjadliwym sposobem zasypał mnie wyrzutami na temat powyższych moich słów niemieckich. Znaczyło to, że jeżeli namiestnictwo zaglądało nam w karty, to tem bardziej prezes powinien był oprzeć się pominięciu p. Kędziora. Na taką formę rekryminacji i na zarzut, że się ujmowałem za „niefachowymi" — rozumiał przez to niesympatycznego mu Lasockiego — odrzekłem, że naturalnie

natychmiast spowoduję powołanie p. Kędziora, ale zarazem wyraziłem zdanie, że czasem niefachowy praktyk bywa pożyteczniejszy od fachowca. Powiedziałem to zapewne bez potrzeby, ale też zapamiętano mi to po wszystkie czasy aż do upadku mego z krzesła prezydjalnego. Nie potrzebuję dodawać, że tego samego dnia poprosiłem do siebie wiceprezydenta Grodzickiego, który uznał przeoczenie i natychmiast zgodził się na wstawienie posła Kędziora do listy dla Rady przybocznej, w której potem istotnie działał bardzo pożytecznie. Hr. Stuergkh zaś zgodził się na pomnożenie ilości członków rady na ten i inne podobne cele osobiste.

Centrala zabrała się do pracy z całym zapałem i to pod kierunkiem tak pierwszego, jak zwłaszcza drugiego namiestnika wojskowego (Dillera). Prace jej wszakże zaczęły kierującym osobistościom wyrastać ponad głowę, nie tylko swojemi rozmiarami, ale także zwłaszcza budżetową swoją doniosłością. Ułożenie pierwszego budżetu trwało długo, z konieczności i może z pewnego niedołęstwa; kompetencja była zawsze jeszcze niejasna; prace zaczęły szwankować. Okazała się potrzeba nowej konferencji. Tymczasem mijał r. 1916, zmieniły się dwa rządy, a prezydent hr. Clam-Martinic nie mógł się zdecydować na konferencję przed bliższem poinformowaniem się u swego ministra dla Galicji Bobrzyńskiego.

Zwołano ją wkońcu na dzień 19 go marca (św. Józefa). A była ona pod względem formalnym odmienną od poprzedniczek. Prezydował zamiast Stuergkha, Clam-Martinic, w tem także różny od Stuergkha, że ten ostatni jeszcze za rządów śp. cesarza Franciszka Józefa mógł przewodniczyć spokojnie stale i bez przerwy, kiedy Clama odwoływano na rozkaz cesarza Karola kilkakrotnie na dłuższą za każdym razem rozmowę telefoniczną; zamiast min. Morawskiego był ministrem p. Bobrzyński; zamiast Engla względnie Letha był ministrem skarbu Spitzmüller; w zastępstwie nowego namiestnika Dillera jenerał hr. Lamezan; a tylko poczciwy minister

Trnka jak dawniej zastępował min. robót publicznych i bronił interesów naszych. Toż dzięki jemu i hr. Lamezanowi załatwiliśmy bardzo szybko: 1) sprawę budżetu centrali, na który też się zgodził minister finansów. Natomiast właśnie z p. Spitzmüllerem mieliśmy wielkie trudności przy 2) kwestjach bankowych. Przedewszystkiem musiało się Koło polskie liczyć z przekonaniem ludności poszkodowanej, że otrzymując w miejsce odszkodowania wojennego tymczasowe pożyczki, w zasadzie bezzwrotne, a formalnie przez 5 lat niezwrotne, nie może opłacać procentu od inwestycji, która się w pierwszych latach z pewnością nie może opłacić. W dłuższej tedy przemowie starałem się udowodnić potrzebę zwolnienia pożyczek od oprocentowania także w ciągu pierwszych lat pięciu. P. Spitzmüller, bardzo gorąco kąpany, przerywał mi ciągle kontrargumentami, co doprowadziło do dyskusji bałamutnej i bezskutecznej. Dopiero prezes ministrów, powróciwszy z jednej ze swoich wycieczek telefonicznych, ujął się za nami i wyjednał u ministra skarbu zgodę na mój wniosek. Mając jakieś przeczucie potrzeby zabezpieczenia tej uchwały, zaproponowałem p. Spitzmüllerowi, że mu napiszę tekst uchwały o procentach, a uczyniwszy to i uzyskawszy nań jego zgodę, ułożyłem znowu za jego zgodą i w jego obecności odnośną karteczkę do kajetu, który miał przed sobą minister. Było to systematyczne zestawienie wszystkich obowiązujących przepisów co do banku wojennego: wyszukałem tedy w tym kajecie stronicę, na której znajdowało się postanowienie co do 5-cio letniej zwłoki w spłacie kapitału i tam włożyłem dostosowany zresztą nawet w brzmieniu do tego postanowienia mój wniosek, a raczej uchwałę o procentach. Minister z wdzięcznością przyjął to wszystko, ale mi tej wdzięczności nie okazał w praktyce. Przypuszczałem, że zaraz zostanie wydane stosowne polecenie do dyrekcji banku, aż po kilku miesiącach dowiedziałem się, że dyrekcja nic o tem nie wie i dalej pobiera procenta. Było to w lipcu, gdy już miejsce p. Spitzmüllera zajął był w nowym gabinecie Seidlera dawny

szef sekcji Wimmer. Pisałem o tem z Ischlu do Wiednia i pokazało się, że nikt w ministerstwie nie wie o naszych procentach; wysłałem więc bardzo energiczny list do ministra skarbu z odpisem dla nowego ministra dla Galicji Twardowskiego, poczem nareszcie wykonano uchwałę marcową. Tak to nas traktowali ministrowie skarbu, z wyjątkiem śp. Wimmera, który wprawdzie otrzymywał odemnie gorące i grożące listy, ale pełen dobrotliwości ukrócał niechętne zakusy swoich biurokratów i jeszcze r. 1918 poruczył sprawy banku wojennego radcy Dziedzickiemu, chętnemu nam mimo swoich dziwactw rodakowi.

Jako trzecia zajęła nas na konferencji marcowej sprawa świadczeń, nigdy nie wyczerpana i nie załatwiona do dzisiaj. W sprawie tej wypracował był dla Koła i rządu poseł Loewenstein bardzo cenny memorjał; minister Bobrzyński bardzo się zajął tym elaboratem i z tego studjum wynikł nowy sposób tymczasowej wypłaty świadczeń wojennych. Oto upoważniono bank wojenny, by na rachunek świadczeń niewątpliwych („liquide Forderungen“) dawał stronom zaliczki. Ale wykonanie tej myśli napotkało znowu na przeszkody w ministerstwie skarbu: zażądano tam mianowicie dla tych zaliczek intabulacji i oprocentowania. Nie mogłem dość energicznie tłumaczyć rządowi, że nie płacąc stronom bez ich winy całej należności za świadczenie, nie może za zaliczkę kazać sobie płacić procentu, boć raczej stronie należałaby się prowizja zwłoki za sumy niewypłacone. Po długich walkach musiał p. Sptzmüller to przyjąć; stoczył za to batalję jeszcze przy sprawie intabulacji, którą nareszcie można było jakoś motywować na wypadek, gdyby „liquiditas“ okazała się płonną. Zgodziłem się ostatecznie na kompromis, że zaliczki będą tylko prenotowane w księgach gruntowych aż do wyjaśnienia stanu rzeczy.

Od czasu konferencji marcowej i wyjaśnień lipcowych co do procentu szła odbudowa kraju jako tako. Zawadzały tylko potrochę sprawy osobiste. Pierwotnie był następcą namiestni-

ctwa p. wiceprez. Grodzicki, człek bardzo zacny, zdolny i patrjotyczny, ale obrany z należytej odwagi. Za czasów hr. Clama powstała myśl zastąpienia go szefem sekcji Herbstem. Muszę przyznać, że pierwotnie ja sam byłem tego zdania, gdy kandydat mój, drugi wiceprezydent namiestnictwa p. Ustyanowski, stał się niemożebnym, bo grzesząc znowu nadmiarem energji, naraził się podobno namiestnikowi Dillerowi tak mocno, że musiał się podać do emerytury. Wtedy zaprosiłem do siebie p. Herbsta, któregośmy wszyscy cenili bardzo wysoko jako jedynego we Wiedniu polskiego, i to znakomitego reprezentanta umiejętności i praktyki budowy kanałów. Ale p. Herbst sam, acz gotów do każdej służby dla kraju na żądanie Koła, wyraził wobec mnie wątpliwości co do pożytku swej działalności w centrali odbudowy. To mnie przekonało, zwłaszcza z uwagi na niebezpieczeństwo utraty jedynego we Wiedniu (w kraju dorównywał mu min. Kędzior) fachowca wodnego, bez zabezpieczenia dobrej działalności prezydjum centrali. Ale wkrótce potem zapalił się do powołania Herbsta min. Bobrzyński i bez oporu z mojej strony przeprowadził jego nominację dla Krakowa. Niestety stało się przewidziane nieszczęście: budowę kanałów osierocono, a na czoło centrali postawiono znakomitego technika, świetnie uzdolnionego do referatu robót wodnych, ale obranego ze wszelkiego zmysłu do kierowania pracami olbrzymiej władzy krajowej, jaką była centrala odbudowy. Sam p. Herbst podobno gotów był powrócić do ministerstwa handlu w Wiedniu, tak że w drugiej połowie 1918 r. mogła nastąpić nominacja jego następcy w osobie p. Aleksandra Raczyńskiego. Prawnik i ekonomista, dał się p. Raczyński przedewszystkiem poznać przez wspomnianą już świetną pracę swoją o odbudowie wojennej w Prusach wschodnich, gdzie przy sposobności jego tam pobytu nawet Prusacy musieli uznać i honorować naszego wysłannika. Rząd austrjacki powołał był Raczyńskiego na stanowisko radcy przy urzędzie aprowizacyjnym, gdzie nominat imponował swoim kolegom; później powołano go na referenta przy

centrali dla odbudowy, w szczególności dla aprowizacji. Ztamtąd przesunięto go na czoło centrali. Dekret austrjacki nie został mu jednak już doręczony. W ciągu 1918 r. przeniesiono centralę odbudowy wraz z innemi władzami do stolicy kraju do Lwowa; dekret wiedeński nadszedł do Lwowa podobno już po przewrocie i za rządów ukraińskich; faktem jest, że panu Herbstowi zarzucono, że w czas nie oddał urzędowania swemu oficjalnemu następcy. Gdy potem rząd polski zdecydował się, prowadzić odbudowę nie wprost na koszt państwa lecz za pośrednictwem banku (co niestety do dziś — 9. IV. 1920 — nie jest jeszcze wdrożone), poruczono p. Daszyńskiemu likwidację centrali, nie wiem czy już ukończoną. Polski zaś minister robót publ. p. inż. Kędzior, objął z końcem 1919 r. w energiczne i fachowe swe ręce całą akcję odbudowy i byłby ją przeprowadził niezawodnie dla dobra narodu, gdyby nie był musiał ustąpić z rządu. Czy i o ile zostanie na cel ten wypłacone jakieś odszkodowanie wojenne i przez kogo, to zależy od wykonania traktatu wersalskiego z całą jego organizacją komisji „de reparation". Jak wreszcie stoi sprawa „świadczeń wojennych", to mi w moim dzisiejszym stanie prywatnym nieznane.

2. Budowa Polski.

Z odbudową kraju łączyłaby się właściwie logicznie bezpośrednio budowa Polski, o ile do niej sięgał wpływ Koła. Ale wpływ ten był ograniczony nietylko prowincjonalną cechą Koła, wyszłego z wyborów w Galicji i na Śląsku, lecz w znaczniejszej części także działalnością N. K. N. i tegoż składem. Od początku ery konstytucyjnej w Austrji staliśmy w Galicji na stanowisku, że „Koło polskie" bądź złączone z posłami sejmowymi w „Koło sejmowe polskie" w Radzie Państwa, bądź w razie potrzeby samo jako takie reprezentuje nietylko naród polski w Austrji, lecz interesa narodu polskiego wogóle. Tylko przy takiej konstrukcji politycznej mogło Koło polskie wszczynać wobec rządu austrjackiego czy też austrjacko-węgierskiego ogólno-

polską akcję i zabierać w parlamencie czy delegacji wspólnej głos w takich sprawach, jak: sprawa Polski w czasie powstania 1863 r. i w czasie wojny rosyjsko-tureckiej (1877/8 r.), jak sprawa prześladowań pruskich, szkoły we Wrześni, wywłaszczeń w Poznańskiem, ucisku obieżysasów, wreszcie jak sprawa gubernji Chełmskiej i t. d. Jużci w czasie wojny światowej, która według przepowiedni wieszczów naszych i wiary kilku pokoleń miała nam przynieść wskrzeszenie Polski, nie mogło Koło, jedyna reprezentacja polska z wpływem stanowczym na rząd zaborczy, wyrzec się swego posłannictwa. I w samej istocie Koło w tym czasie poruszyło liczne sprawy, w szczególności także traktatu Brzeskiego i samego zmartwychpowstania niepodległej Polski. Wszelako w pierwszych dwuch niespełna latach wojny stał Kołu w tej akcji cokolwiek na przeszkodzie Naczelny Komitet Narodowy, ustanowiony swoją drogą przez rozszerzone Koło poselskie i kierowany w początku przez prezesa Koła polskiego.

Nie mam ani powodu, ani powołania, ani możności pisania dziejów Naczelnego Komitetu; zajęty jest tem powołany w wysokim stopniu p. Konstanty Srokowski w Krakowie, równie niezwykły polityk jak pisarz. Świadczą o tem choćby świetne jego ekspozycje polityczne w „N. Reformie". Mojem zadaniem jest tylko skreślenie historji stosunku N. K. N. do Koła. Zaraz po uchwale krakowskiej z dnia 10 sierpnia 1914 r. N. K. N. objąwszy misję tworzenia Legjonów, przybrał charakter reprezentacji polityczno-narodowej wogóle. Przyczyniły się do tego: i znaczenie par excellence Legjonów i chwilowe usunięcie się Koła polskiego z szerokiej areny od czasu zamknięcia Rady państwa z początkiem 1914 r. i wreszcie koncentracja wszystkich bez wyjątku stronnictw w N. K. N. w odróżnieniu od Koła, do którego zwłaszcza nie należeli socjaliści. A właśnie socjaliści z energicznym posłem Daszyńskim na czele objęli ster działania politycznego i wraz z prezesem Leem, a zwłaszcza z wiceprezesem oddziału „zachodniego", p. Jaworskim wdrożyli energiczną polityką austro-polską. Ale ta energja natknęła

się najpierw na inwazję rosyjską i rozwiązanie Legjonu wschodniego, potem zaś po przeniesieniu się N. K. N. z prezesem Jaworskim z powodu oblężenia Krakowa do Wiednia, na opór stronnictw konserwatywnych w Kole przeciw rozszerzeniu działalności N. K. N. w Kongresówce. W tej to właśnie chwili nastąpił mój wybór na prezesa Koła, połączony z wciągnięciem członków Izby Panów do pracy politycznej Koła. Jak już wspomniałem przy innej sposobności, wiceprezes Jaworski zgłosił się do mnie przed moim wyborem na prezesa Koła z gotowością ustąpienia mi także miejsca prezesa N. K. N. Nie zgodziłem się wtedy na to, najprzód w poczuciu ogromnych zasług Jaworskiego i wielkiej jego pozycji w N. K. N., a powtóre z obawy przed nadmiernem rozszerzeniem zakresu obowiązków moich. Po wyborze wypowiedziałem to w Kole i nie znalazłem wprost oporu; ale z tem musiałem się liczyć, że w Kole, bardzo czynnem i pełnem inicjatywy — jakiem pragnąłem je uczynić — spór kompetencyjny z N. K. N. nie da się długo powstrzymać. Nie długo też na to czekałem. W komisji politycznej, gdzie zasiadali między innemi tak Jaworski jak skrajnie konserwatywny hr. Gołuchowski, przyszło zaraz na pierwszem posiedzeniu do żalów na N. K. N. za zagarnięcie władzy politycznej, za wyrzucenie stronnictw opozycyjnych, za postępowanie wysłanników w Królestwie, za postępowanie oddziałów Legjonów (n. p. w Bolesławicach, gdzie miano zastrzelić kilku włościan) itd. Dla wyjaśnienia i w danym razie złagodzenia sytuacji zaprosiłem także wkrótce kilkunastu reprezentantów szlachty wschodnio-galicyjskiej i przedłożyłem im myśl zgody i ponownego wstąpienia ich stronnictw do N. K. N. Celu tego nie osiągnąłem, podobnie jak przed kilku miesięcy w ministerstwie, bo na zarzut przekroczenia zakresu działania przez N. K. N. nie mogłem odpowiedzieć skutecznie. Mimoto stan rzeczy uspokoił się na jakiś czas cokolwiek, gdy na najbliższem posiedzeniu komisji politycznej prezes Jaworski złożył z uchwały i imieniem N. K. N. oświadczenie uroczyste, iż odtąd we wszystkich sprawach politycznych będzie postępo-

wał tylko w porozumieniu z prezesem Koła. Tą deklaracją przeżyliśmy zgodnie kilka miesięcy. Z jednej strony ja na zaproszenie p. Jaworskiego przybyłem kilka razy na posiedzenie pełnego komitetu. Gdy na pierwszem z nich, na powitanie prezesa, odrzekłem, że Koło stosownie do swej dawnej tradycji prowadzi politykę austro-polską, zarazem ja i w N. K. N. nie mógłbym prowadzić innej, zapewnił mnie nie kto inny, jak ówczesny generalny sekretarz N. K. N., dziś poseł nasz w Finlandji, p. Sokolnicki, reprezentant niepodległościowych z Królestwa, że i N. K. N. tylko taką robi politykę. Z drugiej strony prezes Jaworski z wszelką lojalnością spełniał dane przyrzeczenie: codziennie niemal odwiedzał mnie około południa w biurze przy Wallnerstrasse i omawiał ze mną wszelkie dane incydensy polityczne. Wydarzył się zresztą wtedy incydens dość ciekawy i komiczny zarazem, gdy mi doniesiono z N. K. N., że według wiadomości z kół dworskich budapeszteńskich, cesarzowa niemiecka życzy sobie rozmowy o sprawie polskiej z kierownictwem spraw polskich w Wiedniu. Byłbym się może zachował więcej odpornie, gdyby między wysłańcami N. K. N. z powyższą wiadomością nie znajdował się był poważny radca Rosner. Musiałem wierzyć w sam fakt i poszedłem z tem do bar. Buriana, ażeby mu donieść o wszystkiem i prosić o ułatwienie podróży wysłannika naszego do Berlina, którym miał być prezes Jaworski, ponieważ ja stanowczo oświadczyłem i Burianowi i Jaworskiemu, że tej misji bym się nie podjął. Minister spraw zagr. przyjął moje opowiadanie z pewnym dobrotliwym skeptycyzmem, ja zaś wróciłem do biura dla omówienia dalszych szczegółów. W kilka dni później zaczęła się sprawa nie wyjaśniać lecz zaciemniać: wiadomość o życzeniu cesarzowej niemieckiej przywiózł z Pesztu gorliwy, ale młody i niedoświadczony sekretarz prezesa N. K. N., hr. Morsztyn; otrzymał ją podobno od hrabiny Palffy, ur. hrabianki Tarnowskiej (córki prezesa Akademji); ta pani znowu słyszała o tem od jakiejś damy dworskiej pruskiej w Peszcie, która jednak nie rozmawiała oso-

biście z cesarzową, lecz czytała tylko jakiś list, pisany przez cesarzową do innej damy. Dowiedziawszy się o tym galimatjaszu, poradziłem prezesowi Jaworskiemu, by się zniósł listownie ze znajomą mu osobiście hrabiną Palffy. Odpowiedź hrabiny rozwiała wszelkie iluzje; myśl wyjazdu do Berlina upadła, o czem zawiadomiłem bar. Buriana listownie.

Nadeszła nareszcie chwila, w której porozumienie dwu prezesów niedopisało. Prezes Jaworski przyniósł mi pewnego razu uchwałę N. K. N., projektującą wysłanie do Ojca Świętego adresu w duchu naszej orjentacji politycznej i posłannictwa Legjonów. Zaraz w pierwszej chwili wyraziłem wobec prezesa N. K. N. skrupuły tak ze stanowiska naszego, jak i z uwagi na ciężkie położenie Ojca św. (już podobno Benedykta XIV) wobec Włoch wojujących. Mimo to przyrzekłem zgodę i mój podpis na adresie, jeżeli informacje, których pragnąłbym pod tym względem zasięgnąć u Nuncjusza Apostolskiego, wypadną korzystnie. Za zgodą więc prezesa Jaworskiego udałem się do Nuncjusza i omówiłem z nim całą sprawę; miałem jednak już wtedy wrażenie, że adres nie jest pożądany. Dla pewności prosiłem atoli o kilka słów informacji piśmiennej. Wkrótce nadszedł bardzo uprzejmy i obszerny list, w którym Nuncjusz zapewniając o gorących sympatjach Ojca św. dla Polski, odradza stanowczo wysłania adresu z dwóch powodów: albo adres nasz dojdzie do Rzymu i będzie tam Ojcu św. po przejrzeniu w cenzurze wzięty bardzo za złe, albo co prawdopodobniejsza, nie dojdzie tam tak samo, jak wszystkie sprawozdania Nuncjatury, lecz dostanie się w ręce niepowołane. W obu wypadkach Ojciec św. będzie narażony na wielkie przykrości i nie zdoła nawet dać nam odpowiedzi. Pismo to przesłałem w oryginale prezesowi N. K. N. z uwagą, że stosownie do umowy nie mógłbym podpisać adresu, zaczem sądzę, żeby go wcale nie wysyłać. Na to mi odpowiedziano faktem: adres został wysłany od samego tylko N. K. N.

To zajście, niezbyt zresztą doniosłe merytorycznie, wywo-

łało kryzys w stosunku Koła do N. K. N. Komisja polityczna stanęła na stanowisku, że skoro dwie nasze magistratury nie mogą działać równolegle zgodnie, należy dokonać rozdziału ich zadań i połączyć je potem tylko wspólnością w osobie prezesa. W tym czasie — było to już po oswobodzeniu Galicji zachodniej i Lwowa od inwazji rosyjskiej — N. K. N. zajął siedzibę swoją znowu w Krakowie i tam udał się z Wiednia członek komisji politycznej zarazem prezes N. K. N. Jaworski. Ztamtąd otrzymaliśmy od niego informacje, że zdaniem komisji N. K. N. tenże powinien pozostać przy swoim pierwotnym zakresie: tworzenia i rozwoju Legjonów, kiedy wszystkie inne sprawy polityczne, w szczególności sprawa polska jako taka, winne powrócić do zakresu działania Koła polskiego. Tak przedstawił tezę komitetowi jego prezes i tak ją tam mniej więcej przyjęto z warunkiem, że równocześnie z reformą obie korporacje uzupełnią się stronnictwami, które z nich wystąpiły lub do nich nie należały. Innemi słowami żądano tam, i słusznie, by obie korporacje przedstawiały reprezentację całego społeczeństwa polskiego w Galicji. Komisja polityczna zgodziła się na tę konstrukcję i na jej podstawie rozpoczęły się rokowania: formalne co do układu, materjalne co do przesunięć partyjnych.

Już same rokowania formalne nie szły tak gładko, jakby się zdawało i przeciągnęły się aż do końca 1915 r. czy też pierwszego miesiąca 1916 r. Projekt układu wypracowano w Krakowie, skąd go przywiózł prezes Jaworski do Wiednia. Tu pracowaliśmy nad nim najprzód we dwójkę, poczem wnieśliśmy go na komitet ściślejszy komisji politycznej. Tam żądano zmian rozmaitych, z któremi ofiarny p. Jaworski wrócił do Krakowa, aż po kilkakrotnych takich jego wędrówkach przyszedł nareszcie do skutku pakt, oparty na pierwotnej uchwale z dnia 16. VIII. 1914 r.: paktem tym pozostawiono Komitetowi Narodowemu sprawy legionowe wraz z odnośną działalnością finansową, niemniej i wielką jego działalność literacką. Reszta spraw pol-

skich miała powrócić do Koła. Uchwała zapadła po stronie Koła tylko w komisji politycznej w zastępstwie pełnego Koła.

Więcej jeszcze trudności sprawiły rokowania stronnictw. W Krakowie przeprowadził p. Daszyński jako prezes stronnictwa socjalno-demokratycznego uchwały wstąpienia do Koła; była to wielka zasługa narodowa, wywalczona z równie wielkiemi trudnościami. Poseł Daszyński przybył zaraz potem (podobno w styczniu 1916 r.) do mnie do Wiednia, ażeby omówić całą tę ciężką sprawę. Dla mnie osobiście przedstawiała ona niejaki konflikt obowiązków. Jako Polak musiałem być przekonania, że w chwili walki o odbudowę Polski nie wolno nikomu odmawiać udziału w pracy narodowej, że owszem zjednoczenie stronnictw przedstawia w takiej chwili wielkie zwycięstwo idei narodowej. Jako prezes zaś Koła musiałem o tem pamiętać, że stronnictwo ludowe postawiło mi było przed rokiem niedopuszczenie socjalistów jako warunek mego wyboru. Ale czyż wolno było zobowiązanie z czasu inwazji rosyjskiej aż po Wieliczkę i Kraków, uważać za istniejące po zdobyciu Lwowa i zajęciu Warszawy, to znaczy w chwili, gdy już miało się tuż tuż rokować o odbudowaniu Polski?! Osobiście więc pozostałem przy uczuciu szczęśliwego zadowolenia z powodu spodziewanego połączenia stronnictw i nie znalazłem się nawet w formalnej kolizji ze stronnictwem ludowem, bo gdy w komisji politycznej traktowano o ugodzie z N. K. N., członkowie tego stronnictwa, jak p. Kędzior, Długosz, wcale nie zachwyceni działalnością Komitetu Narodowego, chcąc nie chcąc musieli przystać na wstąpienie socjalistów w zamian za okrojenie zakresu działania N. K. N. U wszystkich nas zresztą działała mimowolnie może myśl uboczna, że wszakżeż Koło polskie w niedługim czasie przestanie istnieć i że powstanie Sejm polski, w którym będą naturalnie zasiadali także socjaliści i to już nie we wspólnym z innymi stronnictwami klubie, lecz w osobnym klubie socjalistycznym (dzisiejsze P. P. S.!) Dlaczegóż więc nie przyjąć ich na krótki czas jako mniejszość do Koła? Tu też, gdy na wiosnę 1916 r. odbyło się pełne posie-

dzenie Koła z porządkiem dziennym przyjęcia posłów socjalno-demokratycznych do Koła, przeważyła nuta patrjotyczna, tak że mogliśmy wśród oklasków powitać zaproszonych do wzięcia udziału w pracach narodowych Koła nowych kolegów; co przy tem sobie myśleli ci i owi, to już było ich rzeczą.

Przyjęcie socjalistów do Koła nie było rzeczą terminową, bo oni zasiadali już w K. K. N., trudniejszą natomiast i pilniejszą była kwestja wstąpienia do N. K. N. także narodowych demokratów, centrum i podolaków. W sprawie tej byli u mnie w Wiedniu posłowie Garapich, Leon Piniński, Aleksander Dąbski i Stan. Starzyński. Odwiedziwszy przedtem hr. Gołuchowskiego, przybyli do mnie już przekonani o konieczności poniesienia ofiary politycznej, ale chcieli przecież jeszcze obszerniej omówić ze mną kwestję dla nich tak doniosłą. Znakomici ci mężowie zgodzili się wreszcie na wstąpienie do N. K. N.; ale ta rozmowa nasza nie była sama przez się dostateczną: potrzeba ich bowiem było jeszcze przekonać o konieczności zmiany swoje kluby. Powołanym do tego byłby przedewszystkiem książę Witold Czartoryski, jako członek komisji politycznej i równocześnie jako prezes centrum. Ale książę wyjechał właśnie w tym czasie — chyba nie przypadkowo — do Szwajcarji na konferencję z komitetami w Lozannie, nie zbyt chętnemi naszej polityce wojennej. O korespondencji z księciem z niniejszej okazji opowiem w następnym rozdziale. W jego częściowem zastępstwie (dla centrum) objął był czynności prezes stronnictwa Podolaków p. Garapich, człowiek trochę może w kierunku swoim politycznym fanatyczny, ale zacny, prawdomówny, otwarty i absolutnie pewny. Wiele ciężkiej korespondencji kosztowało mnie to, nim pozyskałem posła Garapicha dla naszej akcji; ale też pozyskawszy go, miałem już do dyspozycji jego głos i wpływ bez dalszych wysiłków. Przekonałem się o tem, gdym przybył do Krakowa i przed rozstrzygnięciem jeszcze złożył mu wizytę. U niego, jak nie mniej u obecnego wraz ze mną w jego domu Aleksandra

Dąbskiego, znalazłem wszelką gotowość do wspólności pracy, podobnie jak zawsze u brata Aleksandra Dąbskiego, posła i członka Wydziału krajowego, męża hors concours w kierunku pracy publicznej tak politycznej jak fachowej.

Ale otóż i wyjazd do Krakowa. Cała akcja, dążąca do zjednoczenia stronnictw dla sprawy polskiej odbywała się za wiedzą ministra spraw zagranicznych, bar. Buriana, który jak obaczymy, podążał z nami — acz niezdarnie — do jednego celu. Zawiadomiłem go więc z upoważnienia komisji politycznej, że z końcem kwietnia zamierzamy urządzić zjazd wszystkich stronnictw w Krakowie. Na nieszczęście jednak był to czas, w którym p. Burian znajdował się w toku bardzo gorących rokowań z Niemcami co do sprawy polskiej. Toż przestraszywszy się tej konincydencji, oświadczył mi minister, że właśnie w tym czasie wyjeżdża do Berlina, że sprawa polska ma się tam rozstrzygnąć, i że przeto nie mógłby przyjąć odpowiedzialności za wyniki rokowań, gdyby przemowy krakowskie miały wychodzić poza ramy zjednoczenia i tegoż celów politycznych. Skrupulatnie zdałem o tem sprawę na komisji politycznej już w Wiedniu i powtórzyłem to samo w Krakowie. Pod wrażeniem tych moich wywodów i słusznej obawy, by rządowi nie dawać pretekstu do zwalenia kiedyś na nas odpowiedzialności za jego własne błędy, uchwalono na komisji w Krakowie na wniosek nie pomnę czyj, ale stanowczo nie na mój wniosek (bodaj czy nie na wniosek hr. Stanisława Tarnowskiego), że przemowy na uroczystem posiedzeniu mają się ograniczyć do jednej od każdego stronnictwa i podlec uprzedniej cenzurze z mojej strony. Dla wielkiej sprawy podjąłem się tej niesympatycznej roli i więcej dla formy niż rzeczy przestudjowałem z pp. Stan. Tarnowskim, Daszyńskim, Witosem i Germanem przygotowane ich przemowy; moją własną przemowę przysposobiłem także bardzo ostrożnie. Dnia 30-go kwietnia przed południem zgromadziło się w wielkiej sali posiedzeń rady miejskiej Koło sejmowe poselskie polskie, zasilone

członkami komitetu narodowego. Przemowy nasze wszystkie były zarówno uroczyste, jak patrjotyczne i spowodowały jednogłośnie uchwałę zjednoczenia; ale pamięć „cenzury“ tych przemów nie dała się tak prędko zatrzeć, a zarzut „sejmu niemego“ spotykał mnie niejednokrotnie, tem na pozór słuszniej, że, jak zobaczymy, bar. Burian poniósł w tym czasie sromotną klęskę. Tylko, że nie mógł za to zwalić odpowiedzialności na nas, dzięki właśnie naszej „niemocie“... Po uchwale Koła sejmowego, która zarazem powołała mnie na prezesa wspólnego, nastąpiło „itio in partes“, Koła i Komitetu Narodowego. Komitet Narodowy przedsięwziął na wniosek stronnictw wybory uzupełniające i został zwołany na drugi dzień do swego własnego lokalu. Tam objąłem prezydjum N. K. N., podniosłem zasługi Jaworskiego i powitałem nowych członków, wysłanych dzięki patrjotycznemu zjednoczeniu. Ale to zjednoczenie tak szczęśliwie przeprowadzone, nie znalazło równie jednogłośnego uznania w społeczeństwie. Przedewszystkiem nie było jedności w duchowieństwie. Gorący patrjota ksiądz biskup Pelczar, do dziś pełen temperamentu w swoich latach ośmdziesiątych, doniósł mi listownie, że przybędzie do Krakowa, odprawi uroczyste nabożeństwo na Wawelu i przemówi na zgromadzeniu Koła sejmowego. Uszczęśliwiony tym zwrotem, udałem się po przybyciu do Krakowa do księcia biskupa Sapiehy z prośbą o przyzwolenie odprawienia nabożeństwa na Wawelu. Miałem wrażenie, że prośba moja przyjęta przychylnie. Ale tymczasem nadjechał ze Lwowa czy z Warszawy także ksiądz arcybiskup Teodorowicz i skutecznie przewrócił cały program. Wieczorem dnia 29 kwietnia otrzymałem w hotelu list ks. biskupa Pelczara, w którym mi doniósł z ubolewaniem, że musi bezowocnie wracać z Krakowa do Przemyśla i wyrzec się tak nabożeństwa uroczystego, jak udziału w zgromadzeniu i przemowy. Istotnie też żaden z ks. biskupów nie pojawił się na Kole poselskiem... Przyjąwszy tę zmianę z wielkim bolem, wyjechałem dnia 30 kwietnia cokolwiek wcześniej z domu,

ażeby w towarzystwie wiernego towarzysza pracy Wicusia Jabłońskiego pomodlić się w kościele Najśw. Panny Marji na intencję zjednoczenia sprawy polskiej. W chwili, gdy wychodziłem z domu, doręczono mi list niezapieczętowany, drukowany, opatrzony w szereg podpisów. W pośpiechu i w mniemaniu, że chodzi o jakąś z licznych żebranin drukowanych, wrzuciłem list nieczytany do kosza i odjechałem. Po uroczystem posiedzeniu, a przed zebraniem N. K. N. było przyjęcie u b. namiestnika Bobrzyńskiego i jego gościnnej małżonki i tam dopiero dowiedziałem się o frondzie endeckiej przeciwko przyjętemu przez całe społeczeństwo zjednoczeniu; na jej czele stanął był niestety brat ministra, czczony przez wszystkich jako człowiek, uczony profesor uniw. Jagiell., prezes akademji umiej. Kazimierz Morawski. Od tej to frondy wyszło owe pismo drukowane, które byłbym niezawodnie traktował poważniej, gdybym był dostrzegł podpis szanownego profesora Morawskiego, w którym się widocznie odezwała była niechęć Poznańczyków nietylko przeciwko Prusakom — konstatowałem to samo niejednokrotnie u kochanego przezemnie ministra i z nim zgodnie — lecz także przeciwko Legjonom... Ale stało się faktem, że pisma frondy już nie miałem w rękach. Gdy więc na drugi dzień, objąwszy przewodnictwo N. K. N. przy ul. Gołębiej, zostałem zainterpelowany przez p. Daszyńskiego, czy i co zamierzam uczynić wobec frondy, odrzekłem zaskoczony, całkiem szczerze, że pismo jej wrzuciłem do kosza. Odpowiedź tę przyjęto frenetycznemi oklaskami.

Już w ciągu przygotowań do zjednoczenia, oświadczałem zawsze p. Jaworskiemu, że w sprawach legjonowych łącznie ze skarbowemi, a i w sprawach bieżących N. K. N. pozostawię mu zupełną swobodę urzędowania. Należało mu się to przedewszystkiem za jego niespożyte około Legjonów zasługi i jego najwszechstronniejszą w tych sprawach znajomość rzeczy. Wszak zresztą on sam jeden ponosił w akcji legjonowej nieskończone przykrości ze strony komendy naczelnej (A. O. K.) i jej refe-

renta legjonowego, pułkownika Hranilovića; o niego też odbijały się fale nienawiści partyjnej wrogich Legjonom stronnictw, oskarżających go nawet o denuncjowanie ich przed rządem austrjackim, co zresztą niestety potwierdza ówczesny namiestnik p. Korytowski. Po za tem wszystkiem N. K. N., powróciwszy z wygnania wiedeńskiego, musiał oczywiście urzędować dalej w Krakowie, kiedy ja musiałem jako prezes Koła mieszkać w Wiedniu. Wziąwszy więc tylko udział w posiedzeniu wydziału wykonawczego i odbywszy dnia 2 maja posiedzenie Koła, na którem zapadła między innemi uchwała energicznego żądania od hr. Stuergkha przyspieszenia akcji odbudowy kraju — miano zamiar utrącić mnie wówczas dla powolności tej akcji — wyjechałem wieczorem do Wiednia, gdzie spowodowałem zaraz odbycie znanej wielkiej konferencji majowej Koła polskiego. Zaś dla N. K. N. zorganizowałem sobie tylko biuro prezydjalne N. K. N., które nie było jeszcze przeniesione z Wiednia: przeprowadziłem je tylko z „Erzherzog Karl", na mezanin pod mojem biurem, tak że na Wallnerstrasse skoncentrowały się wszystkie organizacje polskie. Naczelnik biura b. dyrektor Banku krajowego Alfred Zgórski, członek Izby panów, mąż zasłużony, ale wówczas już bardzo schorzały*), ustąpił miejsca, na które powołałem za zgodą Jaworskiego p. prokuratora Habichta, pozostawiając dalszą swobodę działania. Zastrzegłem sobie tylko wszystkie sprawy natury politycznej i bardzo często przyjmowałem p. Habichta, który miał do pomocy bardzo dzielnego prof. Bergera z uniwersytetu rzymskiego, niemniej tęgiego referenta dziennikarskiego prof. gimn. Parnesa (dziś obaj wysocy urzędnicy w poselstwie Polskiem w Wiedniu). Prócz spraw bieżących zajmowaliśmy się z Habichtem więźniami polskimi, o których już była mowa na innem miejscu. Równie ważną była pretensja, którą podnosił N. K. N. wobec skarbu monarchji z tytułu zaliczanych na jej

*) Wkrótce też zmarł w Wiedniu.

rachunek wydatków na uzbrojenie i umundurowanie Legjonów, przejęte od chwili zaprzysiężenia przez ministerstwo wojny. Po długich rokowaniach powiodło się nam — ja wpłynąłem na ministrów wojny i skarbu — uzyskać zwrot w wysokości z górą 900.000 K., czyli około miljona. Była to wielka ulga dla administracji N. K. N. Według umowy osobistej z wiceprezesem Jaworskim miały być z tej sumy pokryte rozmaite zaległości rachunkowe, a kwota $^1/_2$ miljona miała być rezerwowaną na koszta spodziewanego (o sancta simplicitas nasza!) udziału naszego w przyszłej konferencji pokojowej, to znaczy w pierwszym rzędzie na wydatki na pracowników fachowych; bo na pokrycie kosztów osobistych moich, Jaworskiego i sekretarjatu ofiarowałem ze swej strony sumę 100.000 K.; braki miały być pokryte z zaoszczędzeń z pierwszej połowy miljona. Przyznaję, że wobec wydarzeń ostatecznych wojennych i pokojowych i zamiary nasze i sumy preliminowane były określone bardzo skromnie, prawie naiwnie skromnie. Ale w sytuacji ówczesnej były one uzasadnione. Zwycięstwo państw centralnych wydawało się prawie pewne; konferencje pokoju byłyby się prawdopodobnie odbywały w Berlinie lub co najdalej może w Hadze; koszta konferencji musiałyby pokrywać w pierwszym rzędzie same państwa centralne, interesowane w utworzeniu państwa polskiego; a w ówczesnej sytuacji naszej udział mój osobisty w pracach przygotowawczych dla kongresu i obok niego na miejscu był nieodzowny, — nie tyle dla Polski samej, niezależnej od mojej drobnej siły, ile dla zabezpieczenia mnie od zarzutu, iż gdziekolwiek lub w czemkolwiek zaniedbałem interesów tej Polski, która miała — przynajmniej pierwotnie — powstać według mojej, a raczej naszej koncepcji politycznej.

Opatrzność przeznaczyła nam posłannictwo większe i szersze, aniżeli dało się przewidzieć z punktu widzenia pól bitew na wschodzie i na południu. W miarę zbliżającego się zwycięstwa Ententy rola N. K. N. stawała się coraz trudniejszą i wątpliwszą. Objawiło się tu już dużo wcześniej — z początkiem

r. 1918 — w Kole polskiem, gdy poseł Daszyński, ongiś najgorętszy i najenergiczniejszy współpracownik Jaworskiego na polu polityki austro-polskiej, stanowczo bardziej „czarno-żółty“ niż terroryzowany przez niego Jaworski, wytoczył przeciw temu na posiedzeniach Koła formalne oskarżenie o zdradę Polski. Ja osobiście, po wystąpieniu z prezydjum Koła, nie wykonywałem już formalnie także urzędu prezesa N. K. N.; a tymczasem w Krakowie zapadła na wniosek socjalistów likwidacja N. K. N. i jego funduszów, oparta o Regencję Warszawską... Ale to prowadzi już do sprawy polskiej w szerokiem znaczeniu tego słowa.

Koło polskie przy budowie Polski.

Ze wszystkiego co opisuję ze zdarzeń długiego życia mego, najważniejszą jest treść niniejszego rozdziału. Jak cała wojna, tak budowa Polski połączoną była dla każdego Europejczyka, a zwłaszcza dla każdego Polaka z wielkiemi bólami i ofiarami. Ale myśl, że się należało do wybranych przez Boga ludzi, którym danem było doczekać budowy nowej Polski, a i potrochę wziąść w niej udział, usuwa w dal wszelką przebytą boleść materjalną czy moralną i wszelką doznaną krzywdę. Ja, nie z woli czy z winy własnej, lecz ze zrządzenia losu znalazłem się w tej wielkiej chwili dziejowej jako obywatel państwa austrjackiego na wysokich stanowiskach ministra austr.-węgierskiego i prezesa Koła polskiego, osłonięty pięćdziesięcioletnią na daleką metę obliczoną polityką polską Koła polskiego w monarchji habsburskiej z jej wielkim monarchą i z całym niemal narodem polskim dzisiejszej Małopolski. Niechżeż mi wolno będzie nakreślić moją, a raczej naszą działalność wojenną z punktu widzenia tej polityki.

Austrja wzięła już r. 1772 udział w pierwszym podziale Polski. Myśl podziału wyszła od Prus, które wraz z Rosją zagroziły wojną, jeżeliby Austrja nie chciała wziąść w nim udziału. Groźba ta wespół z naporem następcy tronu, późniejszego cesa-

rza Józefa II, skłoniła cesarzową Marję Teresę, jeden z największych talentów politycznych swego czasu, do ustępstwa, które na odnośnym akcie kanclerza wyraziła własnoręcznie w formie natępującej rezolucji, skropionej łzami: „Placet, ponieważ tylu wielkich i uczonych mężów doradza; ale w najdłuższym czasie po mojej śmierci przekona się świat, co wyniknie z tego pogwałcenia wszystkiego, co było dotychczas uważane za święte i sprawiedliwe". Mimo tego szlachetnego oporu cesarzowej i mimo krótkiej ery rządów młodszego jej syna, podobnie usposobionego dla Polski Leopolda II, już poprzednik tegoż Józef II, a potem dalsi następcy jego Franciszek I i Ferdynand I, przyjęli chętnie fait accompli z r. 1772, a kanclerz ich Metternich zatracił wszelką myśl sympatji dla Polski. Jeszcze i rządy z czasów pierwszej młodości Franciszka Józefa od r. 1848—1866 trzymały się tej tradycji, bo nawet w czasie powstania z 1863 r. próba pomocy dla Polski zakończyła się cofnięciem jej i stanem oblężenia w Galicji. Cóż zaś mówić w szczególności o rządach niedołężnego Ferdynanda, które się nie zawahały, na niebezpieczeństwo powstania polskiego w Galicji r. 1846 odpowiedzieć nie represją wojskową lecz pobudzeniem ludzi do rzezi bratobójczej*). Jednem słowem, długa epoka 94-letnia od r. 1772—1866 życia polskiego w Austrji upłynęła — z wyjątkami — wśród nieprzyjaźni rządu zaborczego.

A jednak naród polski wskazywał od samego początku swej niewoli nie na Austrję, lecz zawsze i wytrwale na inne państwo zaborcze jako na wroga głównego, na wroga dziedzicznego, na Rosję. Powstanie Kościuszki, przeważna część walk z r. 1809, udział w wojnie r. 1812, powstanie z r. 1830, powstanie z r. 1863 a nawet 1905: wszystko to było wskazówką, że naród nie zapoznając krzywd, doznawanych w Berlinie i Wiedniu, jest przekonania, że droga do wolności Polski prowadzi przez zwycięstwo nad Rosją. Było

*) Szela.

to zgodne z tradycją Batorego, kontynuowaną w w. XX. przez Piłsudskiego, było zgodnem z intuicjami największych wieszczów naszych; było zgodne z prozą dynamiki międzynarodowej. Wszystkie powyższe próby od r. 1794 do 1863 zawiodły tylko dlatego, ponieważ własne siły narodu nie mogły starczyć same na zgnębienie potężnej Rosji. Wyjątkowo tylko nie zawiodły rok 1807—9, gdy pod egidą Napoleona wywalczyliśmy byli choćby tylko Księstwo warszawskie. Na zgodę zaś z Rosją nie przystał naród ani przed r. 1830, ani po r. 1863, utrącając rządy nawet wielkiego zresztą patrjoty Wielopolskiego; a próby zgody za pośrednictwem stronnictwa Dmowskiego w Dumie, nie doprowadziły do skutku innego jak do demoralizacji społeczeństwa, która już po dokonanej odbudowie Polski znalazła wyraz n. p. w zdradzieckiej moskalofilskiej — bez oporu społeczeństwa — polityce narodowej demokracji wobec antibolszewickiej i antirosyjskiej, ukrainofilskiej polityki Piłsudskiego na wiosnę 1920 r. Dopiero lato 1920 r. złączyło wszystkie stronnictwa do walki z Moskwą.

I oto w chwili, gdy nieprzyjaźń między narodem polskim i rosyjskim przybrała charakter nienawiści po obu stronach, gdy nie rząd tylko, lecz naród rosyjski wyszedł na wytępienie narodu polskiego — po upadku powstania z r. 1863 — w tej samej chwili powstały dwie przemiany w życiu naszem narodowem: jedna w wewnętrznem, druga w zewnętrznem, obie na gruncie zaboru austrjackiego. W Krakowie wydano po r. 1865 hasło zaprzestania „rewolucji", do której nie starczą nasze siły własne, hasło zabrania się do pracy organicznej celem wzmocnienia sił naszych narodowych i ekonomicznych i przygotowania się na czas walki w warunkach korzystniejszych. Hasła „Stańczyków" nie przeszły bez oporu: i ja za młodych lat politycznych zwalczałem je ze stanowiska taktycznego w broszurze: „Znamiona polityki narodowej i krajowej tak zw. „Stańczyków", Lwów 1883. Ale kierunek zasadniczy polityki Stańczyków, przyjęty bezwarunkowo przez stronnictwo konserwatywne tak zw.

krakowskie, spenetrował także resztę całego prawie stronnictwa polskiego w Galicji o tyle, iż je usposobił do zmiany frontu wobec rządu zaborczego, któryby sam ze swej strony uznał za potrzebne front zmienić wobec narodu naszego. To nastąpiło w Austrji w bardzo krótkim czasie po ogłoszeniu pism Józefa Szujskiego i Stanisława Tarnowskiego, bo jeszcze przed rokiem klęski pod Sadową (1866), t. j. r. 1865 powołał ces. Franciszek Józef do steru rządów hr. Belcrediego, który miał wstąpić w ślady b. ministra stanu hr. Agenora Gołuchowskiego (ojca), utrąconego r. 1860 przez Niemców jako twórcę tak zw. „dyplomu październikowego" dla równouprawnienia narodów Austrji. Po przegranej zaś wojnie pruskiej cesarz dokonał już wyraźnego zwrotu ku dwom narodom o gorącym patrjotyźmie narodowym: ku Węgrom i Polakom. Na Sejmie lwowskim potoczyły się układy rządu z narodem: Sejm uchwalił adres ze znanym, a tak często później wyśmiewanym ustępem „przy Tobie Najj. Panie stoimy i stać będziemy", monarcha zaś oparł na tych słowach całą swą 50-letnią (1866—1916) politykę polsko-austrjacką. Tegoż samego roku 1866 odbył hr. Gołuchowski wjazd swój trjumfalny do kraju po raz drugi jako namiestnik, a we dwa lata później dał car Aleksander II boleśnie uczuć cesarzowi swą zemstę za jego przychylność dla Polski, wysyłając doń z Warszawy telegrafem formalny jakby „zakaz" odwiedzenia wraz z cesarzową Galicji i jej dwóch stolic.

I Polacy w Galicji i cesarz Franciszek Józef dotrzymali wiernie układu z r. 1866. W ciągu pięćdziesięciu lat stosunek ten nie tylko zacieśniał się stale, lecz ponadto wyjaśniał się co do ostatecznych celów swoich. Środki do tych celów były: po stronie Polaków troska o potęgę militarną Austrji, po stronie cesarza starania o narodowy i ekonomiczny rozwój Polaków w Galicji. A celem postawionym na daleką metę była wspólność przyszłej walki ze wspólnym wrogiem śmiertelnym: z Rosją. Nie można było celu tego wyjawić publicznie lub określić pisemnie, ale wśród entuzjastycznych zetknięć monarchy z narodem

cel ów wyjawiał się w czynach lub słowach. Hołd Krakusów na błoniach krakowskich — to czyn; odpowiedź cesarza na powitanie szlachty we Lwowie: „my się rozumiemy“ — to słowa pełne znaczenia. Że zaś interpretacja czynu i słów była trafną, dowodem rok 1914 i następne.

Ledwie wojna światowa została wypowiedzianą 1 sierpnia 1914, już rząd i reprezentacja polska znalazły się na jednej linji. Od pierwszego dnia należało do programu rządu wspólnego z hr. Berchtoldem na czele: odbudowa Polski w związku z monarchją austro-węgierską. Publicznie nie ogłaszano tego aż do czasu porozumienia się z Niemcami, do którego, jak zobaczymy, nigdy nie przyszło. Ale programu tego nie tajono. Gdy w pierwszych tygodniach zażądali ode mnie wyjaśnień w tym względzie prezes Koła Leo z posłem księciem Witoldem Czartoryskim, zaprowadziłem ich do Berchtolda, który na moje stosownie wystylizowane zapytanie, odpowiedział dosłownie: „Tak jest w istocie. Program rządu polega istotnie na tem, ażeby na wypadek pokonania Rosji, całe Królestwo Polskie oderwać od niej, przyłączyć je do Galicji i z tych dwóch krajów utworzyć samoistne Państwo Polskie w obrębie związku austrjacko-węgierskiego“. A na dalsze zapytania prezesa odrzekł minister: „Naturalnie nie jest to tajemnica; przeciwnie, upoważniam Panów powtórzyć moją deklarację wobec kogokolwiek“. A więc rząd austr.-węgierski stanął odrazu na stanowisku polityki, od lat 50-ciu przygotowanej. Co się na tem polu działo przez pierwszych 6 miesięcy wojny, to znaczy w czasie mego urzędowania jako ministra skarbu wspólnego, to opisałem w stosownem miejscu. Jak postępowano później w czasie mego prezesostwa, to będę opowiadał tutaj. Że popełniano błędy bezwiedne i ze złej woli, o tem wszyscy wiedzą, że dynastja nie zdołała doprowadzić myśli austro-polskiej do zrealizowania, to w części wina jej rządów a w końcu jej samej, w części bru-

talna mina Niemców po niekorzystnym dla monarchji w r. 1916 zwrocie w wojnie. Ale to nie zmienia faktu, że rząd monarchji w r. 1914 wyciągnął konsekwencje polityki cesarskiej od r. 1866. To samo jednak musimy powiedzieć o narodzie polskim, o ile zamieszkiwał Galicję i Śląsk cieszyński. Uchwała z d. 16.VIII. 1914 r. wystawienia Legjonów u boku Austrji, została powziętą przez wszystkie bez wyjątku stronnictwa: konserwatystów i demokratów, ludowców i narodowych demokratów, socjalistów i niepodległościowych wszystkich odcieni. I wszyscy mieli jeden cel na oku: walkę z Rosją. Piłsudski złożył urząd prezesa tajnego rządu narodowego w Warszawie i pierwszy wyruszył ze swojemi drużynami na Moskala. Wszyscy wtedy w Galicji i Wiedniu mieli „orjentację austrjacką", nie z „lojalności", nie z niemożności zwalczania polityki rządu w czasie wojny, lecz jedynie i tylko z miłości dla tej samej Polski, której służyliśmy bezpośrednio, czy pośrednio bez przerwy przez naszą politykę 50-letnią. To też nieszczerze i niepotrzebnie tłumaczył ksiądz arcybiskup Teodorowicz w Sejmie polskim w marcu 1920 r., że duchowieństwo polskie „musiało" odprawiać nabożeństwa o zwycięstwo Austrji z obawy przed jej szykanami. Czcigodny prałat i polityk narodowo-demokratyczny wie najlepiej, że nabożeństwa urządzano chętnie, bo one miały ubłagać Boga o zwycięstwo dla Polski nad Moskalami. Przeciwnie, sam ks. arcybiskup Teodorowicz odmówił wraz z kolegami swymi odprawienia w czasie inwazji rosyjskiej nabożeństwa za Rosję i sam osobiście wraz z najczcigodniejszymi kolegami swymi duchownymi ks. arcybiskupem Bilczewskim i ks. biskupem Pelczarem zgłosił się po odsieczy Lwowa u cesarza Franciszka Józefa, ażeby za to otrzymać wyrazy uznania i podziękowania monarszego! A wszakżeż po uwolnieniu Lwowa przez Austrję cała ludność wraz z episkopatem i z hr. Leonem Pinińskim na czele jako mowcą przyjmowała entuzjastycznie wjazd armji austrjackiej z jej wodzem Böhm-Ermollim na

czele; zaś przybyłemu wkrótce potem arcyksięciu Fryderykowi, nominalnemu „zwycięzcy“ całowano ręce na ulicach miasta. A chyba ani jedno ani drugie nie nastąpiło „z obawy przed szykanami“. Tylko, że myśmy w Austrji nie obdarzali zaraz jenerałów szablami złotemi, jak to się miało zdarzyć w Warszawie z Brusiłowem; przeciwnie, gdy u mnie jako prezesa Koła zjawiła się deputacja z myślą wybicia medalu dla jenerała Böhm-Ermolli, ja przy całem uznaniu jego dzieła sprzeciwiłem się skutecznie tej myśli.

I wolno szanownym przywódcom N. D., którzy po „upadku“ Warszawy w sierpniu 1915 r., wyniósłszy się wraz z Moskalami do Petersburga, oddawali się tam Rosji bezgranicznie („wasza wojna, nasza wojna!“), zarzucać nam „austrjackość“ i „progermanizm“. Ale mimo to każdy polityk polski dawnej Austrji musi i może z czystem sumieniem twierdzić wobec całego świata, że — bez względu na spór dziecinny, która „orjentacja“ była lepszą i praktyczniejszą — tylko dzięki naszej polityce został stworzony pierwszy i niezbędny warunek wskrzeszenia niezawisłego Państwa polskiego: rozbicie Rosji. Nie mogła tego już dokonać Koalicja, której głównym członkiem była przecież Rosja. Dokonać tego mogły tylko państwa centralne z sukursem moralnym a częścią i materjalnym Legjonów polskich, których wiekopomną jest zasługą, że naród polski nie bez żadnego a żadnego współudziału własnego, nie bez własnej krwi poświęcenia, nie z czystej „łaski“ a raczej z interesu Europy uzyskał wolność i samoistność! I cóż w tym samym czasie, gdy myśmy stawiali Legjony do walki z Moskalami, działali dla Polski nasi patentowani patrjoci z endecji? Oto w pełnem poczuciu swego moskalofilstwa zachwycali się manifestem — nawet nie cara — nie, lecz wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, obiecującym nam „autonomję“ w ramach Rosji, pod berłem Romanowów!! Czy nie

było lepsze „Państwo Polskie“ w ramach Austrji pod berłem Habsburgów?! Prawda, że manifest obiecywał złączenie wszystkich dzielnic; ale te należało dopiero zdobyć, co się Moskalom wobec Prus nie powiodło wcale, a wobec Austrji tylko przemijająco. Myśmy zaś liczyli się z widocznym rozrostem zwycięstw państw centralnych i z podbojem prawie połowy Europy, wobec czego wiara w zwycięstwo Koalicji wydawała nam się — może niesłusznie — fantazją. Zresztą czegoż mogliśmy się spodziewać od Ententy przed rozbiciem Rosji? Jużci nie odebrania „Królestwa“ sprzymierzonej Rosji dla naszych pięknych oczu! Bylibyśmy niesprawiedliwi, żądając od niej tego. Przeciwnie, musieliśmy zrozumieć jej stanowisko, że sprawę polską uznawała stale i jawnie jako sprawę wewnętrzną Rosji. A czyniła to Koalicja nie w początkach wojny, w oczekiwaniu zwycięstw Rosji, lecz i później po zdobyciu Kongresówki przez państwa centralne (1915) i w rok potem po ich manifestach o utworzeniu samoistnej Polski (1916) i w dalsze pół roku potem, gdy, według opowiadań autentycznych Kiereńskiego w Paryżu, Anglja a nawet Francja zgodziły się były z początkiem r. 1917 na układ z carem, zapewniającym mu nieograniczone prawo ustanowienia granic zachodnich Rosji, to znaczy zabrania całej dzielnicy polskiej dla „Polski autonomicznej“. Tylko, że na szczęście w rok potem Rosja została tymczasem ostatecznie rozbita przez rewolucję, której rząd pierwszy z pomiędzy rządów Ententy w odpowiedzi na ofiarowane carowi „prawo“ uznał Polskę niezawisłą. I wobec tego wszystkiego, czyż my w Austrji nie robiliśmy polityki „realnej“, przyjmując Polskę okrojoną i małą ze strony państw centralnych, zamiast żadnej ze strony Ententy?! I czy nasi Moskalofile z Królestwa, którzy się w czasie wojny zachwycali „autonomją“, którzy dopiero po ostatecznem zwycięstwie Koalicji odkryli swój „wyłączny“ patrjotyzm w duchu Polski wielkiej i niepodległej, którzy nawet jeszcze w czasie rokowań pokojowych, objąwszy wyłączne zastępstwo Polski w Paryżu i Londynie, przegrali: Galicję wschodnią(!)

Śląsk jeden i drugi (plebiscyty!), Gdańsk i granice wschodnie — czy ci Moskalofile mają prawo uczyć nas patrjotyzmu i potępiać nasz „progermanizm"?!

Niech mi więc wolno będzie powtórzyć: z rozpoczęciem wojny miało całe społeczeństwo polskie w Galicji, miały Legjony, jedyny objaw samoistnej armji polskiej, a również i pułki polskie z Galicji, idące z entuzjazmem w bój za „cesarza i Polskę", przekonanie słuszne, że pobicie Moskwy jest pierwszym warunkiem dla zmartwychwstania Ojczyzny! To było właśnie odczucie „orjentacji austro-polskiej", wynikłej z 50-letniej polityki narodu polskiego w Galicji wespół z Habsburgami. Za tę politykę „Sabaudji polskiej", „pepiniery polskości" zasłużyła sobie Galicja wdzięczność narodu, nie zaś nienawiść, pielęgnowaną do dziś troskliwie w Warszawie i Poznaniu. Polityka ta była w całej pełni skuteczną, bo Rosja została w samej istocie pobitą jako członek Ententy przez państwa centralne. Wymagać zaś od Polaków w Austrji, by równocześnie z niezbędną, jak wykazałem, polityką austro-polską, robili — w niewątpliwem u nich, jak i u reszty narodu pragnieniu niezawisłości — także politykę Ententy, znaczyło żądać od nich nietylko zdrady wobec monarchy, sojusznika idei polskiej, lecz także nierozsądku. Nawet Czesi, którym zwycięstwo państw centralnych nie mogło przynieść samoistności państwowej, zatajali swą zdradę i jeszcze z początkiem r. 1917 złożyli w parlamencie dla młodego cesarza Karola, najlojalniejszą deklarację homagjalną. Cóż dopiero mówić o Polakach, którym widniała z polityki Austro-Węgier wyraźna nadzieja utworzenia Państwa Polskiego, chociaż na razie bez zaboru pruskiego, którego zwrotu żądać od sprzymierzonych z monarchją, zwycięskich potężnych Niemiec — nie dozwalał politykom austro-polskim zdrowy rozum. Mogły niektóre osobistości, czy sfery, czy choćby stronnictwa wierzyć mimo to w ostateczne zwycięstwo Ententy: może im w tem były pomocne nerwy przeczulone i może im to słusznie sprawiało satysfakcję po zwycięstwie Ententy. Ale odpowiedzialnym politykom polskim nie

wolno było narażać nierozsądnie korzyści prawdopodobnych przez zajęcie stanowiska nieprzyjaźnego wobec ówczesnych zwycięzców. Że zaś wkońcu dwa mocarstwa rozbiorcze, pobiwszy trzecie, zostaną jedno i drugie także rozbite ze strony reszty Koalicji, to nie było ani zasługą endecką, ani winą „progermańską", jeno prawdziwym cudem Bożym dla Polski, który nie mógł być obowiązkowo przewidzianym przez polityków. A zresztą i temu cudowi utorowała drogę tylko polityka nasza, bo najprzód musiały państwa centralne zdobyć Królestwo, a dopiero potem państwa koalicyjne, pouczone przez państwa centralne i przez Kiereńskiego o konieczności odbudowy Polski, dały nam resztę ziem polskich. To też żaden z polityków polskich w Galicji nie ma potrzeby wypierania się swojej taktyki: spełniliśmy raczej nasz obowiązek dziejowy skutecznie i nikt z nas nie potrzebuje naśladować dziecinnej iście metody pewnych grup politycznych, które przyczyniwszy się ongiś z pełni przekonania do rozwoju polityki austro-polskiej, z chwilą zwycięstwa Koalicji i do dziś jeszcze odgrywają taką rolę, jak gdyby „już od urodzenia swego" były zawsze za Ententą. Tacy zwolennicy nie imponują chyba Koalicji!

Jeżeli ad salvandam animam musiałem wyjawić powyższe sumienne wyznanie moje polityczne, to z tego nie wysnuwam bynajmniej ani przekonania ani twierdzenia, jakoby państwa centralne a zwłaszcza monarchja habsburska — bo o Niemcach niema co i mówić — prowadziły politykę austro-polską zgodnie z jej zasadami, zgodnie z interesem Polski lub choćby zgodnie z interesami swemi własnemi! Przeciwnie, to co mam opisywać z czasów mego prezesostwa, zawiera same niemal dowody niezdarnej tych państw polityki polskiej.

Minister spraw zagranicznych bar. Burian, którego miałem powitać jako nowo wybrany prezes Koła, znał już z czasów mego ministerstwa zapatrywania moje i ludności polskiej o spra-

wie polskiej. Wszak interwenjował swego czasu na moją prośbę u Tiszy i brał jako tegoż zastępca lub adlatus udział w konferencjach sierpniowych 1914 r. Z końcem stycznia 1915 r. został ministrem spraw zagranicznych, a w drugiej połowie lutego rozmawiał już ze mną jako prezesem. Rozmowy te powtarzały się często, zdawałem o nich sprawę na komisji politycznej Koła. Minister był bardzo zadowolony, że Polacy austrjaccy pragną połączenia ziem polskich w związku monarchji austr.-węg. Było to i jego przekonaniem, podobnie jak jego poprzednika hr. Berchtolda. Ale między zapatrywaniami tego ostatniego ministra, naszemi a bar. Buriana co do szczegółów powyższej polityki znaczna zachodziła różnica. Przedewszystkiem — nie byłby Węgrem! — nie zgadzał się z ideą trjalizmu, to znaczy wcielenia Polski do monarchji jako równouprawnionego z Austrją i Węgrami trzeciego państwa. Hr. Tisza skonstruował był myśl subdualizmu w tej formie, że Polska miała wejść w równouprawniony związek dualistyczny z Austrją, Bośnją i Hercegowiną, to samo z Węgrami, poczem Austro-Polska z jednej strony i Węgro-Bośnja z drugiej strony miały pozostać ze sobą w takim samym nadal związku dualistycznym, jak były do ówczas Austrja z jednej i Węgry z drugiej strony. Sprawą tą zajmowała się często nasza komisja polityczna; uważała ona subdualizm za komplikację bezsensowną, która nawet w razie wprowadzenia musi się przemienić ostatecznie w trjalizm, albo w razie potrzeby w kwadrjalizm. Bo jak Polska nie mogła być konstytucyjnie porównaną z samą Bośnją i Hercegowiną, która musiałaby się była zadowolić autonomją w ramach królestwa chorwackiego, tak w razie połączenia wszystkich południowo-słowiańskich narodów monarchji w osobne państwo, musiałoby to „państwo południowo-słowiańskie“ stanowić „czwartego“ sojusznika w monarchji habsburskiej. Ale o tem wszystkiem nie chcieli słyszeć Węgrzy wówczas, kiedy mogliby byli przez ofiarę prowincyj południowo-słowiańskich wyratować dynastję i siebie samych. Bar. Burian był, przynajmniej w czasie pierwszego minister-

stwa swego, zdania swego mistrza Tiszy: stał twardo przy dualizmie względnie subdualizmie. Tłumaczył mi raz bardzo szczegółowo, co u Węgrów przemawia przeciw trjalizmowi. „Przemawia jak twierdził, „przedewszystkiem dualizm". Dualizm bowiem przedstawia stosunek krajów korony Św. Szczepana do krajów tak zw. dziedzicznych wspólnego monarchy. Nic nie pomogły moje zarzuty, że wszakże ani Galicja ani Bukowina, ani Bośnja i Hercegowina nie są bynajmniej „krajami dziedzicznemi" Habsburgów, to znaczy nie były niemi w chwili zawarcia tak zw. „sankcji pragmatycznej" z Węgrami z r. 1713. Nie mogłem przekonać ministra, który niechciał być przekonanym, bo jemu i Tiszie chodziło o prosty interes: w trjalizmie trzech państw musiałyby dwa z nich móc się sprzeciwić skutecznie trzeciemu, którem mogłyby być Węgry, kiedy w dualizmie rządziło z natury liberum veto każdego z dwóch państw, a raczej jednego, tj. państwa węgierskiego, którego rząd według doświadczenia 50-letniego (od r. 1867) potrzebował tylko przez usta swego prezesa ministrów odpowiedzieć na wszystkie żądania austrjackie znane słówko „nem" („nie"), ażeby na Austrji wymusić wszystko, czego pożądały Węgry. Pomimo to wszystko subdualizm nie miał żadnej szansy w przyszłości, gdyby nawet plany monarchji były się ziściły. Bo z jednej strony rząd austrjacki nie był gotów do pełnego równouprawnienia Polski z Austrją. Dowiedziałem się o tem potajemnie po za plecyma hr. Stuergkha z projektu konstytucji, przesłanego z Wiednia do Berlina, gdzie między innemi na czele Polski miał stać „Namiestnik", co znowu zresztą, jak zobaczymy później, Niemcom wcale nie dogadzało. Z drugiej strony ani Polacy galicyjscy, ani zwłaszcza Królewiacy nie byliby się nigdy zgodzili na subdualizm; o ile bowiem orjentacja austrjacka zaczęła się była przyjmować na gruncie Królestwa w czasie 1915/16, o tyle stawiano zawsze jako conditio sine qua non: trjalizm! Ale właśnie w tym okresie bar. Burian stał przy subdualizmie, jakkolwiek w ciągu roku marzył

już o jakiejś deklaracji Królestwa na rzecz monarchji. A to już było wielkie z jego strony ustępstwo. Bo w ciągu r. 1915 zapewniał mnie jeszcze zawsze, że monarchja chce wprawdzie stworzyć Królestwo Polskie, ale dla siebie, nie dla Polaków. Dlatego też zasadnicze podstawy tego tworu muszą być zadecydowane przez państwa centralne zupełnie niezawiśle bez wpływu Polaków. Dopiero co do szczegółowych zarządzeń tego państwa polskiego mieliśmy być pytani. Zwłaszcza opinja Galicji nie robiła na ministrze żadnego wrażenia. Gdy go raz w czasie jego rokowań z Berlinem pytałem, czy nie byłoby mu pożądanem urządzenie jakiejś manifestacji ludu polskiego na rzecz monarchji, odrzekł bar. Burian, że Prusacy będą to uważali za rzecz obstalowaną przez rząd, boć Polacy galicyjscy muszą jako „poddani austrjaccy" popierać politykę rządu.

Tak pojmowano wtedy politykę austro-polską. A kiedy tak było po stronie rządu cywilnego (— hr. Berchtold stał nam był znacznie bliżej) — czegoż można się było spodziewać po naczelnej komendzie armji t. zw. A. O. K.*), która siebie uważała nie za wojenny organ dyplomacji monarchji, jeno za panią monarchji, nie wyłączając osoby monarchy. Na prawdziwe nieszczęście swoje i monarchji cesarz Franciszek Józef, jedyny gruntowny znawca wojskowości z pełnią znawstwa dyplomacji, oddał był tuż przed wojną całą władzę nie tylko wojskową, lecz i cywilną niedołężnemu arcyksięciu Fryderykowi i to tylko dlatego, że to zero było wnukiem zwycięskiego w czasach Napoleońskich arcyksięcia Karola! Ile to ztąd nieszczęść wynikło dla Austrji i Polski! Imieniem niezdolnego kompletnie „naczelnego wodza" rządził w rzeczywistości po części szef sztabu bar. Conrad, a po części także jego świeżo w ciągu wojny zaślubiona małżonka, rozwiedziona z przyjacielem Conrada i przebywająca przy mężu w niby tajemniczym, a w rzeczywistości całemu światu znanym „Standort des A. O. K.!",

*) Armee-Oberkommando.

Cieszynie, w zamku arcyksięcia, odnajętym skarbowi za drogie pieniądze! A po za pp. Conradami rządzili szczególnie jenerałowie i inni oficerowie często niższej rangi, zwykle Czesi lub Węgrzy, niejednokrotnie Żydzi. W sprawach gospodarczych nietylko armji, lecz i państwa, a zwłaszcza obszarów zdobytych rządziło „Armee-Etappen(?) Kommando“ (później „Quartiermeisteramt“) z referentami mniej lub więcej rozsądnymi. Zarząd okupacji lubelskiej stał w najwyższej instancji tylko pod tą władzą. Legjonami naszemi rządzili wszyscy, począwszy od ministra obrony krajowej w Wiedniu, ale każdy więcej lub mniej nieprzychylnie; specjalnie w Cieszynie podpułkownik Hranilović, przypadkiem Chorwat, ale także nam nienawistny. Jako szef t. zw. „K-Stellen“, ale bynajmniej nie „kasteli“ lub „fortu“, lecz „Kundschafter-Stellen“, to znaczy organu szpiegowskiego, nie był jużci Hranilović powołany do zarządu sprawami Legjonów; ale właśnie dla tego mu je oddano. Obok tych wszystkich „organów rządzących“ stał cesarz. Oddawszy niestety władzę arcyksięciu Fryderykowi, zamiast objąć we własnej osobie rząd Naczelnego Wodza, który można było spełniać telefonicznie równie dobrze z Wiednia lub z Ischlu, jak z Cieszyna, świeży jeszcze wówczas i energiczny monarcha dowiadywał się z Cieszyna tylko o tem, co mu chciano donosić i musiał często przez szefa kancelarji wojskowej, jen. Bolfrasa staczać walki z Cieszynem. Dalej znacznie stali: minister Tisza, który groźbą parlamentu węgierskiego wymuszał coś czasem w Cieszynie, a obok niego hr. Stuergkh, dla braku parlamentu obrany z wszelkiego wpływu, namiestnik Korytowski, zmuszony żebrać o wszystko osobiście u arcyksięcia, wkońcu bar. Burian, który czasem coś uzyskał w A. O. K., zwłaszcza, gdy tam pojechał osobiście. Ale prawda, jeszcze ktoś rządził w Cieszynie i to mocno: Rusini, bądź przez klub wiedeński, bądź przez wpływy osobiste energicznego p. Wassilki. Cóż wobec tego wszystkiego miało czynić Koło polskie? Starało się działać przez ministra spraw zagranicznych i prezydenta

ministrów, obu bardzo słabych; w razach ważniejszych używałem nie bez skutku wpływu osobistego hr. Bolfrasa. Poza tem trzeba było próbować działać w Cieszynie w drodze bezpośredniej korespondencji, zwłaszcza później, gdy w miarę postępów okupacji dochodziły mnie nieskończone zażalenia z Królestwa ze sfer przemysłowych, uciskanych przez oficerów, popadających w megalomanję ekonomiczną. Wszystko to miało jednak skutek minimalny, bo AOK uważało, że Koło polskie jest „niepotrzebnem w czasie wojny organem".

Wkrótce po objęciu prezesostwa Koła, kiedy jeszcze Moskale stali pod Krakowem i gdy potem powoli zaczęli ustępować, rozpocząłem w Cieszynie akcję na wypadek, że Austrja — w cośmy wszyscy wierzyli — znajdzie się zwycięską w Królestwie. W obawie, że armja zajmując kraje polskie, zacznie niemi administrować przez Węgrów i Czechów, z krajem nieobeznanych, wniosłem do cesarza na ręce dyrektora kancelarji cywilnej bar. Schiessla projekt powołania do komendy w Cieszynie jako doradcę dla spraw narodowych i ekonomicznych przedstawiciela narodu polskiego bar. Konopki. Zamożny szlachcic z Galicji Zachodniej, b. prezes klubu krakowskiego w Sejmie, syn dawnego oficera austrjackiego, człowiek wykształcony, spokojny, taktowny, nadawał się do tego urzędu znakomicie; został też później (w r. 1917) zamianowany przez rząd reprezentantem przy okupantach niemieckich w Warszawie. Ale wówczas (1915) na mój obszerny memorjał nadeszła z Cieszyna odpowiedź, że AOK zawsze się posługuje osobami znającemi stosunki krajowe. W tem było tyle „prawdy", że w olbrzymim aparacie cieszyńskim nie pracował ani jeden wojskowy narodowości polskiej. Przeciwnie AOK wydało rozkaz wojenny z zakazem używania gdziekolwiek wyrazu „sprawa polska", której armja nie uznaje wcale; można sobie wyobrazić uczucia komendy Legjonów polskich, do której także był wystosowany ów rozkaz. Nie pamiętam jego tekstu dosłownego, ale sam czytałem jego odpis, który się zapewne znajdzie w aktach NKN, a może i Koła polskiego. Zaś

na terenie okupacyjnym działali albo tacy „Polacy“ jak pułkownik Turnau, albo wrodzy nam oficerowie innych narodowości. Tylko z czasem przyjęto z Galicji trochę urzędników cywilnych, nie zawsze stojących na wysokości swego zadania.

W ciągu czerwca 1915 zajmowało się Koło ofenzywą galicyjską. Zwycięstwa powitaliśmy telegramem do cesarza z życzeniem, by zwycięstwa rozrzerzyły się na kraje polskie gwoli odbudowy Polski, na co serdeczna nadeszła odpowiedź. W naszej ówczesnej „Korespondencji Centralnej“, redagowanej przez p. Jabłońskiego, napisałem artykuł o Lwowie, przejęty potem przez prasę niemiecką. Odbicie Lwowa przyjęte zostało z entuzjazmem tak w Wiedniu jak we Lwowie samym. Imieniem Koła urządziłem wielkie nabożeństwo dziękczynne w kościele Augustynów, gdzie 13 września 1683 r. król Jan Sobieski był obecnym na „Tedeum“ dziękczynnem. Ale już w owej chwili podniecenia rozpoczęły się rozczarowania. Na prośbę hr. Gołuchowskiego i moją wydał cesarz telegraficzny rozkaz do Lwowa, by z okazji czasów inwazji nie wytaczano nikomu procesów. „Maffia“ A. O. K., nieposłuszna prawowitemu monarsze, postanowiła jednak co innego: najzasłużeńszych i najpoważańszych obywateli pociągano przed sąd wojenny, a w dalszym pochodzie na wschód wieszano bez pamięci chłopów i baby ruskie, pod zarzutem „zbrodni stanu“ w postaci jakowychś wydawanych przez nich opinji co do różnicy wojsk rosyjskich i austrjackich. Bezpośrednio po tych „niespodziankach“ nastąpiło mianowanie namiestnika wojskowego, o którym pisałem obszernie. A dla dogodzenia przysłowiu: „omne trinum perfectum“ urządzono nam dla uświetnienia zdobyczy Lwowa całkowitą germanizację kolei państwowych.

Sprawa języka narodowego na kolejach państw. powstała z chwilą akcji upaństwowienia z r. 1880. Gdy przybyłem r. 1883 do Wiednia jako nowo wybrany poseł, zastałem już na porządku obrad Koła, opisaną w końcu rozdziału VII tych „Wspomnień“ moich walkę o „decentralizację“ zarządu kolejowego. Ponieważ cesarz

z wojskowością, uważając słusznie koleje państwowe za instrument wojenny, który w razie wojny mógłby zostać sparaliżowany przez poliglottyzm, dążył do jednolitego z językiem komendy, niemieckiego języka kolejowego — swoją drogą przełamanego już na Węgrzech — przeto Koło polskie, pomne swego programu popierania potęgi mocarstwowej monarchji, nie mogło żądać zupełnej „decentralizacji językowej", to znaczy wyłącznego używania języka polskiego na kolejach galicyjskich. Ale też bynajmniej znowu nie poświęciło języka polskiego, lecz zawarło kompromis, który znalazł wyraz w rozporządzeniu językowem ówczesnego prezydenta kolei bar. Czedika podobno z r. 1884. Postanawiało ono, że językiem służby wewnętrznej, to znaczy w korespondencji władz kolejowych a i do pewnego stopnia w „komendzie kolejowej" w służbie ruchu był język niemiecki, kiedy korespondencja władz lub ustne ich zarządzenia wobec stron, a także urzędowanie przełożonych z niższemi organami odbywały się w języku narodowym („krajowym"). Nie potrzebuję zapewniać, że gdy r. 1892 objąłem po bar. Czediku urząd prezydenta kolei państwowych wraz z owem rozporządzeniem, używałem wprawdzie w przelicznych objazdach moich języka niemieckiego wobec Niemców, Czechów, Słoweńców, Włochów itp., natomiast w Galicji rozmawiałem w ciągu najoficjalniejszego urzędowania z całym personalem tylko po polsku i czyniłem to samo we Wiedniu przy audjencjach choćby najwyższych urzędników. Gdy po mojem wejściu do rządu Badeniego przeprowadzono w mojem biurze ministerjalnem obrady nad nową organizacją kolei, utrzymało się w mocy postanowienie rozporządzenia językowego z r. 1884 i tak wtedy, jak przez cały czas aż do r. 1915 nie wynikały stąd żadne trudności. Tak jak ja (jako prezydent) i wyżsi urzędnicy polscy rozmawiali ze wszystkimi bez wyjątku osobami urzędowemi (Polakami) po polsku — ze stronami naturalnie już według przepisu — tak już za mojej prezydentury i w mojej obecności przełożeni czescy, włoscy itd. używali wobec całego personalu własnego języka ojczystego. Najmniejszej zaś nie miał

nikt o tem wątpliwości, że ze służbą niższą, rekrutowaną wprost z ludu, wyszłą co najwyżej ze szkół ludowych, nie można było, choćby tylko ze względu na bezpieczeństwo ruchu używać innego języka, jak jej ojczystego.

I otóż w ten stan dobry i racjonalny uderzył maczugą, niepomny zasady „quieta non movere", minister kolei p. Förster.*) Już r. 1911 wypowiedziałem, jak to już wspomniałem, obawy wobec hr. Stuergkha co do wyboru osoby ministra kolejowego. Mimo wszystkich przyrzeczeń p. Förster nie taił się ze swojemi przekonaniami „narodowo-niemieckiemi". W czasie wojny zaś przełamał wszystkie szranki, wydając rozporządzenie z lipca 1915, którem wprowadził dla Galicji dwa postanowienia językowe: 1) ktokolwiek chce być przyjęty do służby kolei państwowych, choćby na stopniach najniższych, musi się wykazać znajomością języka niemieckiego w słowie i piśmie; obecni już przyjęci nie zostaną w służbie ustaleni („stabilizowani"), dopóki nie wykażą tego samego. Postanowienie to nie było niczem innem, jak wykluczeniem Polaków i Rusinów od wszelkiej służby kolejowej, choćby chodziło o miejsce sługi, woźnego, ślusarza, robotnika itd., boć ludzie tej kategorji nie umieli u nas nigdy po niemiecku i nigdy ich tego języka w szkołach ludowych nie uczono. A chodziło o wiele tysięcy osób. Zastosowawszy tę zasadę ściśle także do urzędników, minister wygnał faktycznie całą prawie służbę kolejową z kraju, a powołując w jej miejsce tysiące Niemców i Czechów, nie dał naszym rodakom innego zajęcia w innych prowincjach, lecz zmuszał ich do roli „uchodźców" z charakterem „zdrajców", za co też miała ich ludność innych krajów monarchji i stosownie do tego traktowała ich często bardzo brutalnie. Wszystko to było krwawą krzywdą dla urzędników naszych, dla obu narodowości w kraju. 2) Drugie postanowienie zawierało przepis, że urzędnikom nie wolno w służbie, to znaczy w biurze, na dworcu lub na torze

*) Zmarł z początkiem 1922.

rozmawiać między sobą po polsku. To była obelga, której nie możnaby wyrządzić bezkarnie nawet hotentotom, a cóż dopiero narodowi z językiem wysoko cywilizowanym i gorącą dla niego miłością! A jednak minister rozesłał zaraz po całym kraju Niemców urzędników „Inspekcji generalnej", powołanej do kontroli techniki służby, z poleceniem usuwania każdego urzędnika Polaka, któregoby przydybali na rozmowie zabronionej. I mnóstwo takich urzędników usunięto. Zaś specjalnie po dworcach naszych tropili Polaków ustanowione przez rząd szpiegi czeskie — już wtedy, jak zawsze, jak n. p. w żandarmerji w Królestwie stali Czesi po stronie naszych wrogów — szpiegi, którzy na każdego konduktora czy portjera nakładali stante pede kary pieniężne za jedno słówko polskie.

Dowiedziawszy się o tem bezeceństwie, napisałem obszerny i bardzo ostry, miejscami gwałtowny memorjał na ręce szefa kancelarji wojskowej cesarza bar. Bolfrasa z prośbą o porozumienie się z A. O. K., która widocznie zażądała tych zarządzeń od ministra. Zapytałem tam między innemi, czy sądzi, że dwóch urzędników Niemców gdziekolwiek na kuli ziemskiej dałoby sobie zabronić rozmowy w języku ojczystym. List mój jak i odpowiedź znajdują się w aktach Koła polskiego. Baron Bolfras doniósł mi, że zapytana z rozkazu cesarza naczelna komenda zapewnia, iż wprawdzie zażądała od ministra ścisłego wykonania rozp. z r. 1884 jak uczyniła to już w jesieni 1914 r. z początkiem wojny, od tego czasu zaś, zwłaszcza na wiosnę 1915 r., nigdy nie stawiała żądań językowych wobec ministra kolei. A więc to sam bar. Förster, nasz dawny „przyjaciel", wymyślił reskrypt dla wzmocnienia swego stanowiska drogą A. O. K.! Wszak w tym samym widocznie celu ustanawiał po udanej ofenzywie „komisje rehabilitacyjne" po całym kraju, których zadaniem było badać zachowanie się urzędników, pozostałych w kraju przez czas inwazji i — lucus a non lucendo! — utrudniać im „rehabilitację". Mogę śmiało mówić o tem utrudnieniu, bo wiem, że wszyscy urzędnicy odsiadywali we Lwowie na

wniosek tej „komisji“ areszt śledczy aż do zupełnego uwolnienia przez sądy wojskowe i wiem dalej, że prezydent kolei w Krakowie, radca dworu Zborowski otrzymywał nagany za odrzucanie wniosków komisyj rehabilitacyjnych, nieprzychylnych dla urzędników. W dalszym tych nagan ciągu, minister, który sam delegował do tych komisyj osobnych urzędników „odpowiednich“, Niemców z Wiednia, zastrzegł sobie w końcu osobiście zatwierdzanie wniosków. Otrzymawszy powyższe wyjaśnienie z kancelarji wojskowej, wysłałem energiczny list do hr. Stuergkha z żądaniem zniesienia rozporządzenia lipcowego, ale niestety i to nie pomogło, a w odpowiedzi przyrzeczono mi tylko „łagodne“ wykonywanie rozporządzenia.

W tej sytuacji zdawało mi się pożądanem, udać się do Cieszyna, ażeby omówić sprawę polską wogóle i stosunki w okupacji w szczególności. Napisałem więc grzeczny list do Komendy z prośbą o wyjednanie mi audjencji u naczelnego wodza, arcyks. Fryderyka, znanego mi już od lat wielu z wizyt przygodnych w pałacu, gdzie ongiś przyjmowała mnie i żonę moją nadzwyczajnie rozumna i uprzejma jego matka, arcyksiężna Elżbieta. Na to pismo otrzymałem telegram z A. O. K., wyrażający żal z powodu, że arcyksiąże, musząc objeżdżać fronty w Królestwie, nie może znaleść czasu na moje przyjęcie. Było to w czasie, gdy z powodu niezałatwionej jeszcze sprawy namiestnika dla Galicji bywałem często u jen. Bolfrasa. W ciągu takiej wizyty wspomniał jenerał, że cesarz bardzoby sobie życzył, żebym ja się udał do Cieszyna. Odrzekłem naturalnie, że sam tego pragnąłem, ale otrzymałem odpowiedź odmowną. Na propozycję Bolfrasa, ażebym zażądał ponownie audjencji z powołaniem na życzenie cesarskie, nie zgodziłem się wcale z uwagi na ubliżający mi fakt odmowy i zapewniłem, że więcej się nie mogę już starać o audjencję. Na drugi dzień musiałem być znowu u bar. Bolfrasa, który mnie przyjął wiadomością, że cesarz rozkazał arcyksięciu telegraficznie, by mnie z własnej inicjatywy zaprosił do Cieszyna. Wkrótce też nadszedł nadzwyczaj uprzejmy tele-

gram, w którym arcyksiąże zaprasza mnie na d. 15 lipca 1915 do Cieszyna. Nocą 14 na 15 wyruszyłem z Wiednia. Nazajutrz o g. 9 rano zgłosił się do mnie rotmistrz sztabu generalnego, jako przydzielony mi przez arcyksięcia do służby przez cały czas pobytu. Była to ze strony komendy i grzeczność i ostrożność. Autem wojskowym podążyliśmy najprzód do zamku na audjencję u arcyksięcia Fryderyka. Przyjęcie było naturalnie bardzo serdeczne; wiele było mowy o wojnie, nie wiele o rzeczach polskich. Ja z mej strony poruszyłem wobec niezbyt inteligentnego arcyksięcia tylko ponownie sprawę przedstawiciela polskiego w komendzie dla spraw Królestwa. Z powołaniem na odmowę co do bar. Konopki zaproponowałem tym razem nie obywatela niezawisłego, lecz urzędnika, znakomitego od wielu lat delegata namiestnictwa dla miasta Krakowa, pana Fedorowicza starszego (młodszy Władysław był komisarzem cywilnym w armjach galicyjskich). Nie znalazłszy w tym względzie oporu u arcyks. Fryderyka, poruszyłem tę samą myśl u następcy tronu, arcyks. Karola, u którego miałem z rzędu audjencję. Następca tronu zwyczajem swoim nie wypowiedział się o mojej propozycji i przerwał po krótkiej chwili audjencję z motywem, że, jak mu wiadomo, szef sztabu jenerał bar. Conrad v. Hötzendorf pragnie ze mną mówić długo przed objadem. Rozmowa z Conradem odbyła się w jego wielkiej pracowni, zapełnionej ogromnemi stołami z mapami terenów wojennych. Rozmowa obracała się głównie około wielkiej sprawy polskiej i muszę — mimo niewielkiego mego podziwu dla zdolności p. Conrada — przyznać, że ta rozmowa zrobiła na mnie wrażenie bardzo dobre. Bo na moje twierdzenie, że uważam zasadniczo wojnę za jeden ze środków polityki dyplomatycznej rządu i że przeto kierownicy wojny obecnej winni mieć wyrobione zdanie o celach polityki polskiej monarchji, jenerał odrzekł z pewnem zacięciem, jakby wobec niewidomego przeciwnika: „Naturalnie, że tak jest i dlatego właśnie niedawno po naszych zwycięstwach napisałem bardzo energiczny list do min. bar. Bu-

riana ze stanowczem żądaniem, by nareszcie wyjednał u rządu niemieckiego jasną i wyraźną deklarację co do przyszłego losu Polski, którą my chcemy mieć złączoną konstytucyjnie jako samoistne państwo z monarchją". Nie mogłem, jak tylko przyklasnąć tym słowom, niezgodnym z niedawnym zakazem wymawiania słów „sprawa polska" i przyrzekłem poprzeć je w Wiedniu u ministra, który nigdy nic nie domówi całkowicie, a w sprawie polskiej słucha rozkazów Tiszy. Do sprawy tej powrócę później. Wówczas poruszyłem dalej sprawę namiestnika dla Galicji. Nie kwestjonowałem już zasady, bo było to już po audjencji u cesarza i tegoż decyzji na korzyść jenerała, ale za to podawałem w wątpliwość kandydaturę Colarda i oświadczyłem, że cesarz na naszą propozycję myśli o powołaniu jen. Rozwadowskiego. Szef sztabu odrzekł, że kancelarja wojskowa już mu w tym duchu telegrafowała, że jen. Rozwadowskiego już wysłano do Wiednia — o czem już naturalnie wiedziałem — że jednakowoż AOK oświadczyło się w swem sprawozdaniu do cesarza przeciw Rozwadowskiemu jako byłemu wieloletniemu attaché wojskowemu zagranicą, nie znającemu stosunków krajowych, zaś za Colardem, którego p. Conrad od dzieciństwa do ówczas nigdy w innym charakterze, jak jako Polaka... opowiadałem już wyżej o tej „polskości" Colarda! W końcu poinformowałem jenerała o mojej propozycji co do Fedorowicza, na co odrzekł, że zna go z najlepszej strony i zastanowi się nad moją propozycją.

Przy objedzie dworskim siedział arcyksiąże na pierwszem miejscu gospodarza, na prawo koło niego siedział następca tronu, na lewo ja. Rozmowa była niepolityczna. Jenerałowie rozmaici dawali mi bardzo uprzejme wyjaśnienia. Po objedzie udałem się do adjutanta arcyks., nazwiskiem hr. Muhr, ażeby mu powiedzieć, że go uważam za przeciwnika politycznego, który arcyksięcia usposabia przeciw sprawie polskiej. Pan pułkownik zapewniał mnie, że to podejrzenie niesłuszne i przyrzekł wszelkie poparcie; nie miałem jednak ani wtedy, ani przy sposobności

późniejszego listu w jakiejś sprawie polskiej, wrażenia szczerości tych deklaracyj. Z zamku udałem się do naczelnictwa administracji wojennej (AEK), któremu podlegały komendy administracyjne w Królestwie. Omawiałem cały szereg spraw, poruszanych w pismach z Królestwa do mnie. Dano mi mnóstwo wyjaśnień z przedłożeniem aktów, co robiło wrażenie dobrych tej władzy chęci; ale i tutaj nie dopisała korespondencja późniejsza w sprawach poszczególnych, jak węglowa, jak sprawa nawozów sztucznych, wywóz przymusowy surowców z fabryk polskich do czeskich lub węgierskich itp. Odwiedziłem także szefa sekcji z min. spraw wewn. p. Eichhoffa, który miał w ręku sprawy urzędników cywilnych, przydzielonych komendom w Królestwie. Na mój zarzut, że brak tam urzędników Polaków, zaczął mi odczytywać szereg nazwisk polskich. Na moją prośbę o wydanie mi spisu, odpowiedział, że będzie to mógł uczynić dopiero po uzyskaniu przyzwolenia szefa rządu. W tym wypadku był wynik korzystny; ale za to, gdy otrzymany później we Wiedniu wykaz urzędników Polaków w Królestwie, dałem do druku w mojej „Polnische Central-Korespondenz", został on przez cenzurę skreślony. Dopiero, gdy zagroziłem hr. Stuergkhowi, że pójdę na skargę do cesarza, który mnie sam wysłał do Cieszyna, szef rządu kazał w następnym numerze umieścić mój wykaz. Nie zawadzi zresztą dodać, że p. Eichhoff był swego czasu ulubieńcem arcyks. Franciszka Ferdynanda, jako taki został po tegoż śmierci w czasie wojny usunięty z Wiednia do Cieszyna. Ale też, gdy na tron wstąpił cesarz Karol, ślepy wykonawca „testamentu politycznego" arcyks. Franciszka Ferdynanda, zwłaszcza w sprawach personalnych, powołano powyższego urzędnika znowu do Wiednia i umieszczono go widocznie tak blisko cesarza, że z końcem października r. 1918 poruczono mu wypracowanie „Manifestu", którym monarcha sprowadził dobrowolnie ruinę monarchji i dynastji. Wieczorem owego dnia pobytu mego w Cieszynie, zaprosiłem przydzielonego mi adjutanta na kolację do mego wagonu, a późną nocą odjechałem

z powrotem do Wiednia, pożegnany przez arcyksięcia „symbolicznym“ uściskiem! Gdy po powrocie udałem się do cesarskiej kancelarji wojskowej, celem omówienia wyników podróży mojej, przywitał mnie jen. Bolfras słowy: „a więc Fedorowicz będzie przydzielony do komendy“. Na moje zdziwienie wyjaśnił mi, iż w tym samym co ja pociągu przybył dziś rano — o czem nie wiedziałem — także arcyksiążę Karol, że zaraz o rannej porze zdając cesarzowi sprawę o stosunkach cieszyńskich, doniósł mu także o mojej podróży i nominacji Fedorowicza jako jej wyniku, i że dalej cesarz z wielkiem zadowoleniem podzielił się tą wiadomością z szefem kancelarji wojskowej w czasie tegoż codziennego sprawozdania. Naturalnie, że i ja byłem zadowolony tak z rzeczy samej, jak z jej formy i o tyle łatwiej zdołałem przełknąć nominację Colarda. Ale i to było iluzją, jak wszystkie spodziewane „zyski“ z mojej podróży. Minęły tygodnie, ja bawiłem w Ischlu, a klice nam wrogiej, rządzącej w Cieszynie nie przyszło na myśl, powołać reprezentanta polskości do A. O. K. Wkońcu zaś jeszcze się okazało, że ta niechęć kliki była chyba zgodna z intencjami mego kandydata. Pan Adam Fedorowicz na zypytanie nie wiem czyje odpowiedział, że ani nie otrzymał zawezwania do Cieszyna, ani nie byłby go był przyjął: może pierwsze było powodem drugiego! Ja się wprawdzie nie pytałem pana Adama poprzód o jego intencje; ale znając jego patrjotyzm i ambicję, nie wątpię, że byłby był przyjął, gdyby go był arcyksiążę poprosił. Mnie samego zresztą zapewniał później kilkakrotnie, że nie byłby istotnie przyjął z niechęci opuszczenia Krakowa, gdzie w samej rzeczy miał wielką pozycję, a przytem rzadką pomoc gospodarczą i towarzyską swojej wytwornej siostry Florentyny. Nie tak długo zresztą potem stracił go niestety Kraków i straciła siostra wskutek ciężkiej choroby zakaźnej! Zaś A. O. K. dalej sobie poczynało w Królestwie z coraz to gorszym skutkiem, bez porady polskiej!

Zajęcie Warszawy.

W ciągu mego pobytu w Ischlu doszła mnie wieczorem dnia 9 sierpnia 1915 r. telegraficzna i telefoniczna wiadomość o zajęciu Warszawy (i Dęblina) przez wojska państw centralnych. Natychmiast zwołał sekretarz p. Jabłoński według umowy poprzedniej Koło polskie do sali w parlamencie, a ja nazajutrz w południe wyjechałem do Wiednia, przygotowawszy przedtem projekt uchwały Koła z powodu zajęcia naszej stolicy i ucieczki z niej Moskali. W Wiedniu zastałem z okazji tego faktu historycznego tak szalony ruch na ulicach, tak olbrzymie masy entuzjastyczne z muzykami i lampjonami, że z dworca nie mogłem się dostać do mego hotelu w I-szym okręgu, gdzie leżą prawie wszystkie większe hotele (mieszkanie moje było bowiem na czas feryj letnich zamknięte). Tak słusznie oceniła publiczność wiedeńska wielki fakt dziejowy: oswobodzenie Warszawy od knuta moskiewskiego. Czy wszyscy ziomkowie moi, zamieszkali wówczas w Warszawie, byli tego samego zdania, co prości mieszczanie i proletarjusze wiedeńscy, to stało mi się wątpliwem, od kiedy w samej Warszawie zajrzałem za kulisy. Kwiat świata politycznego stolicy naszej wyjechał wówczas razem z uciekającą armją do Petersburga; najznakomitsi mężowie dopiero po latach wracali pojedynczo do kraju dla objęcia posad w Polsce wolnej, które często bardzo godnie piastują. Nie chcę w tym wyjeździe z kraju widzieć z góry coś zdrożnego, bo mężowie znakomici jak Aleks. Lednicki, Stan. Wojciechowski, Władysław Grabski, Maciej Radziwiłł, Stanisław Lubomirski i wielu innych stoją ponad wszelkie podejrzenie co do patrjotyzmu polskiego. Chciałem tylko zaznaczyć, że wyjazd z własnej stolicy przed nieprzyjacielem, który bądź co bądź — choćby w swoim własnym interesie — zamierzał ją uwolnić od ucisku moskiewskiego, był dowodem sympatji dla tej samej Rosji, którą myśmy zwalczali na śmierć i życie. Ale kiedy już takie były uczucia pewnych sfer w Warszawie, dlaczegoż w ich przekonaniu wszyscy, garnący się w czasie

wojny pod skrzydła Austrji, wspólniczki 50-letnich prac narodowych szczerze polskich, stoją do dziś pod pręgierzem „germanofilstwa“, „progermanizmu“, „lokajstwa dla Habsburgów“ itp.?! Dlaczegoż, pytam dalej tych uciekinierzy, udanie się pod opiekę wroga nieubłaganego, tępiciela wytrwałego wszelkiej polskości i zachowanie dotąd uczuć miłościwych dla niego, ma być dowodem większego patrjotyzmu polskiego? Tego wszystkiego nie wiedziałem jeszcze owej nocy, w której przygotowywałem manifest Koła polskiego, rzekomo imieniem całego narodu polskiego; natomiast bolałem bardzo nad tem, że wbrew układom z Niemcami, Austrjacy nie wysłali byli na czoło armji wkraczającej, awangardy z ułanów legjonowych. Był to jeden z tysiącznych błędów zarządu wojskowego (A. O. K.).

Na drugi dzień po przyjeździe rano przerobiłem mój projekt z sekr. Jabłońskim i kilku przyjaciółmi politycznemi i zaraz potem zaprosiłem sobie pana posła Ugrona z min. spraw zagran., ażeby mu mój projekt odczytać i dać mu odpis dla min. Buriana z uwagą, że niechciałbym nic uczynić, coby mogło utrudnić ministrowi pracę w sprawie polskiej i że przeto chętnie będę się starał uwzględnić jakieś jego uwagi. Pan Ugron sam miał tylko jeden szkopuł: wolałby był, żeby zamiast „samoistnego“ Królestwa polskiego umieścić słowo „autonomiczne“, na co się ja oczywiście absolutnie zgodzić nie mogłem. Popołudniu otrzymałem od Ugrona pismo z doniesieniem, że minister, odczytawszy mój projekt, oświadczył, iż uznaje moje prawo nieograniczone co do tegoż treści. Formułka ta czysto dyplomatyczna, na pozór przychylna i ułatwiająca mi akcję w Kole, była, jak się okazało wkrótce, pułapką. Projekt mój spotkał się w Kole z silną opozycją, nie tyle z przyczyny jego treści, ile dlatego, że go nie przedłożyłem poprzednio komisji politycznej. Zarzut był w gruncie słuszny; ale najprzód uważałem, że wobec wielkiego wydarzenia dziejowego nie wolno zwlekać z manifestacją, a powtóre nie miałem chęci, zabrania w komisji miejsca wraz z hr. Gołuchowskim w kilkanaście

dni po jego tak gwałtownych wycieczkach z powodu mego wyjazdu do Ischlu. Później mu to opowiedziałem otwarcie i pracowałem z nim razem doskonale; ale wtedy było mi to za ciężko. Poznawszy niezadowolenie kolegów już zaraz „po ich nosach", zaproponowałem sam, by mój projekt odesłano do specjalnej komisji bez mego udziału. Wniosek ten przyjęto i usposobienie się złagodziło. Merytorycznie chodziło o dwa główne zdania. W projekcie znajdował się ustęp mniej więcej tej treści (wszystko to pozostało w aktach Koła): „ciężkie musiał naród polski przejść koleje, jeżeli wbrew idei unji lubelskiej, godzi się na granice etnograficzne". Bardzo gwałtownie wystąpił przeciw temu wielce patrjotyczny, ale niestety wielce apolityczny poseł Rey („Milunio"), zarzucając mi, że mi ten ustęp rząd podyktował. Z większą jeszcze gwałtownością odparłem, że nie uznaję żadnych dyktatów rządu i że sobie wypraszam podobnych uwag, nie przeczuwając, że podobnych nie zbyt głęboko filozoficznych uwag będę musiał w przyszłości wysłuchać niejednokrotnie jeszcze ze strony tego patentowanego patrjoty-ludowca. Co do rzeczy samej nie robiłem trudności, boć ów frazes nasunął mi się w czasie dyktowania manifestu. A zresztą, mój Boże, dziś już niema Polski „etnograficznej" z łaski państw centralnych, jest jeno „historyczna" z daru Ententy, a jednak wielka zjednoczona Polska musiała stracić z powodów entnograficznych część Poznańskiego i Gdańska oraz wielką część Litwy (walka o Wileńszczyznę!) i kawał Wołynia i całe Podole z Ukrainą!, a przeciwnie, wielki wódz nasz Piłsudski, idąc na sławne, acz krótkotrwałe zdobycie Kijowa, sam zawarował Ukrainę Ukraińcom; zaś postawione wówczas przez Polskę teoretyczne tylko żądanie desaneksji historycznej granic z r. 1772, spotkało się ze strony Ententy z silnym uporem jako sprzecznej rzekomo z „zasadą etnograficzną".

W referacie, który na drugi dzień przedstawił Kołu imieniem komisji poseł Starowieyski nie było już naturalnie wzmianki o etnografji. Ważniejsza zaś daleko druga kwestja

wątpliwa, merytoryczna, została załatwiona na podstawie referatu dopiero w pełnem Kole przy udziale posła Lea i moim: ustalono mianowicie skreślenie stosunku konstytucyjnego przyszłego państwa polskiego do monarchji. Tekst autentyczny, znajdujący się w aktach Koła, opiewał, o ile go zapamiętałem, jak następuje: „z niepodzielnego Królestwa polskiego, rozszerzonego i zabezpieczonego należycie od Wschodu, ma być wespół z niepodzielną Galicją utworzone w związku monarchji austro-węgierskiej (nie „z monarchją“) samoistne państwo polskie“. Manifest w tym duchu uchwaliwszy po dłuższej dyskusji, Koło polskie przyjęło zarazem proponowany przezemnie tekst telegramu do cesarza, w którym prócz powinszowań z powodu zdobycia Dęblina i Warszawy, wyrażono życzenie, by Warszawa stała się pod jego berłem wierną stolicą niezawisłego państwa polskiego. Jedno i drugie przesłano naturalnie zaraz pod noc dziennikom do publikacji. Ale na tem polu napotkaliśmy na bezdroże. Najprzód przybył do mnie nazajutrz rano p. poseł Ugron, ażeby mi donieść, że min. bar. Burian musiał z wielką przykrością kazać przez cenzurę wstrzymać publikację naszego manifestu. Potrzeba było osobnego mózgu dla zrozumienia tej abnegacji państwa, któremu część narodu ofiaruje najwspanialszą przyszłość! Pojechałem natychmiast do ministra, ażeby mu gorzkie uczynić wyrzuty z powołaniem się na moją lojalną otwartość z dnia poprzedniego. Na to odrzekł, żem go źle zrozumiał i on uznał moje nieograniczone prawo wnoszenia na Koło rezolucyj, ale za to ja muszę uznać jego nieograniczone prawo cenzury. Na zapytanie, co w rezolucji jest mu niewygodne, wziął minister ołówek i zaczął z rezolucji naszej wykreślać ustępy o państwie polskiem w związku z monarchją habsburską; tak skreślona rezolucja mogłaby być publikowaną. Zgorszony i oburzony odpowiedziałem, że publikować wolno mi tylko autentyczną uchwałę Koła, z której zresztą na żaden sposób nie dozwoliłbym usunąć właśnie tych ustępów zasadniczych, które ministrowi tejże samej monarchji nie dogadzają. Taki był ze strony rządu

niejako chrzest oficjalny idei austro-polskiej! Tylko że nikt nie imputował rządowi, iż tej idei jest przeciwny; czy przeciwnym jej był ambasador niemiecki p. Tschirschky sam, czy też jego rząd, o tem na owe czasy należałoby było, jak zobaczymy, wątpić. Mimo to faktem jest, że ambasador dowiedziawszy się z dzienników o fakcie uchwały i o jej treści — a to właściwie dla nas było już dostateczne — poleciał do ministra Buriana z gwałtownem żądaniem cenzury. Dziwny człowiek! Znałem go z czasów ministerstwa mego bardzo dobrze, oficjalnie i prywatnie; znałem go z oporu przeciw uciskaniu Serbów r. 1912/13. Stosunek jego już do Berchtolda a wcale do Buriana był ile możności najgorszy; nie dziw więc, że może czasem był ostrzejszym w swem postępowaniu, niż rząd jego i to nawet w chwili wspólnych zwycięstw. Ale ja nie mogłem osobiście na to nic poradzić, bo znając właśnie stosunek ambasadora do podejrzliwego ministra, nie utrzymywałem z ambasadą żadnych a żadnych stosunków od wyboru prezesem (luty 1915) aż do października 1916 r. (o czem później). I tak więc pierwszy na drodze polityki austro-polskiej krok oficjalny Koła spotkał się z oporem własnego sojusznika Austrji; inne podobne kroki spotykały się z naganą Warszawy albo całej, albo ks. Zdzisława Lubomirskiego, albo endeków warszawskich itd. Taki to już był los polityki, bez której powodzenia Moskale byliby wprawdzie może zaraz w pierwszym roku dotarli do Berlina, ale byliby zabrali wszystkie ziemie polskie gwoli uszlachetnienia ich bytu politycznego honorem „autonomji“ moskiewskiej!

Tego samego wieczora wyjeżdżałem z powrotem do Ischlu. Na pożegnanie przyszedł na dworzec poczciwy Wicuś Jabłoński (sekretarz Koła) z dobrą wiadomością: oto wśród hałasu o cenzurę naszego manifestu wyratował się telegram do cesarza. Właśnie mu doniesiono, że telegram ten przeszedł już szczęśliwie cenzurę i w tej chwili znajduje się w druku wszystkich dzienników porannych jutrzejszych. Bardzo mnie uradowała ta wiadomość, bo neutralizowała skutki kroku ambasadora: wszak

w telegramie zawarta była treść manifestu. Żegnając się więc z Jabłońskim, podziękowałem mu za dobrą wiadomość i prosiłem, by mi nazajutrz telegraficznie potwierdził publikację telegramów w dziennikach. Na drugi dzień otrzymałem też około południa depeszę od Wicusia z doniesieniem, że nasz telegram do cesarza został jeszcze po północy przyłapany w redakcjach i z rozkazu wyższej władzy skonfiskowany! Tak to wyglądały skutki decyzji cesarskiej, oddania władzy arcyksięciu Fryderykowi: organa tegoż arcyksięcia odważyły się konfiskować publikację telegramu do monarchy! Mówię „publikację", bo urzędowi telegraficznemu pozwolono przecież łaskawie wyekspedjować naszą depeszę do cesarza; a i ja otrzymałem w ten sam dzień serdeczną od cesarza odpowiedź z podziękowaniem. Tak to przedstawiały się stosunki dwóch sojuszników! W rok niespełna później było jeszcze gorzej.

Po moim powrocie do Ischlu, przybył do Wiednia kanclerz niemiecki Bethmann-Hollweg głównie w tym celu, ażeby wpływem swoim bezpośrednim i pośrednim spowodować Tiszę do nadania autonomji Rumunom siedmiogrodzkim. Rumunja była z dawnych lat sojuszniczką monarchji, związaną z nią konwencją militarną. Król Karol Hohenzollern, wielki wódz i mąż stanu, pragnął z serca dotrzymać przyjaźni, którą mu cesarz Franciszek Józef przypomniał przez wysłannika zaufanego, jenerała Conrada-Hötzendorfa. Ale naród żywił całkiem inne uczucia: widząc w państwie węgierskiem wroga Rumunów, stawał coraz natarczywiej po stronie Ententy. Posłowie austrjacki hr. Czernin (późniejszy minister) i niemiecki Von dem Busche pracowali gorliwie za państwami centralnemi, znajdowali jednak główną przeszkodę w ucisku narodowym Rumunów siedmiogrodzkich ze strony Węgier. Między tymi Rumunami była znaczna, może przeważająca część gotową do porozumienia z rządem węgierskim w zamian za dość daleko idącą autonomję kościelną i szkolną. Chodziło więc rządowi niemieckiemu o to, by wyjednywując taką autonomję u króla

Węgier, wpłynąć przez Rumunów siedmiogrodzkich na państwo rumuńskie w duchu utrzymania sojuszu z państwami centralnemi. Podobno także szerokie warstwy Węgrów siedmiogrodzkich (Szeklery) zgadzały się na autonomję, o którą zabiegał kanclerz niemiecki rzeczywiście jeszcze bardzo w porę, bo w rok cały przed zwrotem rumuńskim. Ale co to wszystko znaczyło wobec nieubłaganego szowinizmu twardego jak spiż i kamień Tiszy. Ani wpływ cesarza, ani perswazja Stuergkha nie zdołały zjednać Tiszy dla misji kanclerza: katastrofa państwa węgierskiego wzięła wówczas swój początek, sam Tisza skazał na śmierć Siedmiogród wespół z Szeklerami, a wspaniałe walki orężne jenerałów niemieckich Falkenhayna, a zwłaszcza Mackensena (twórcy ofenzywy galicyjskiej) przy oswobodzeniu Siedmiogrodu i zdobyciu dawnych Multan w r. 1916 zdołały tylko opóźnić katastrofę Węgier. Wielce zgorszony i stroskany tem niepowodzeniem p. Bethmann-Hollweg, składając wizytę pożegnalną hr. Stuergkhowi, prorockim duchem przepowiedział skutki odmowy Tiszy. A dla plastycznego uwidocznienia niepojętości tej odmowy, zawołał słowy, powtórzonemi mi potem przez Stuergkha: „Ich begreife den Tisza nicht, der die Zeichen der Zeit nicht kennt! Glauben Sie denn, dass wir Preussen es nicht zu verstehen wissen, dass wir nach dem Kriege unser Verhältnis zu unseren Polen völlig auf den Kopf stellen müssen? Nur die Ungarn scheinen derartiges nicht zu wissen und zu verstehen!"...*)

Dobrze natomiast stała w owym czasie sprawa polska z punktu widzenia polityki austro-polskiej. Tuż po odjeździe kanclerza niemieckiego pisał mi do Ischu hr. Stuergkh obszerny list w odpowiedzi na mój wspomniany już memorjał, zagrażający złożeniem mandatów przez całe Koło polskie; przy

*) „Nie pojmuję tego Tiszy, który nie widzi znaków czasu! Czy sądzi Pan, że my Prusacy nie umiemy rozumieć, iż po wojnie będziemy musieli stosunek nasz do naszych Polaków odwrócić do góry nogami? Tylko Węgrzy zdaje się tego nie wiedzą i nie rozumieją".

końcu tego listu zapewnił mnie, że sprawa polska stoi dobrze i że pragnienia narodu polskiego zostaną spełnione w duchu wiadomym. Było to chwili wspólnych zwycięstw obu mocarstw; Austrja stała z Niemcami równorzędnie; kanclerz w Berlinie zabiegał w parlamencie o przyjaźń z narodem polskim. Mógł więc ten sam kanclerz zapewnić szefa rządu austrjackiego, że Niemcy są gotowe odstąpić Królestwo Kongresowe na cele, wyrażone w rezolucji Koła polskiego, przed przybyciem kanclerza jeszcze zwalczanej przez ambasadora tychże Niemiec. To znaczy, że rezolucja nasza była mimo konfiskaty potrzebną i pożyteczną, przynajmniej dla polityki Stuergkha, który ją interpretował w duchu omówionego tu już „subdualizmu". Czy także dla polityki bar. Buriana? Należy przypuszczać, że kanclerz złożył swoje oświadczenie przedewszystkiem kompetentnemu ministrowi spraw zagranicznych austrjackiemu; ale czy to nastąpiło proprio motu, czy wskutek noty austro-węg., która powinnaby była być wystosowaną do Berlina na żądanie szefa sztabu jeneralnego bar. Conrada — to znowu niepewne. Ja nie wierzę w taką notę z przyczyn zawisłości Buriana od Tiszy, a poprę to zaraz faktami.

We wrześniu 1915 r. bawiło dwóch bliskich nam mężów stanu z monarchji w Berlinie: hr. Andrassy, przyjaciel Bethmanna i hr. Gołuchowski, który za zgodą bar. Buriana (czy może na tegoż prośbę) skierował swoją podróż do Warszawy na Berlin i zarówno jak Andrassy miał dłuższą rozmowę z Bethmanem. O rozmowach tych doszła mnie znacznie wcześniej wiadomość od hr. Agenora, który, znalazłszy w Warszawie wśród żywiołów konserwatywnych bardzo wiele oświadczeń austrofilskich, skierowanych nawet wprost do cesarza, był zaraz po powrocie u cesarza ze sprawozdaniem o Berlinie i Warszawie, a tuż potem podzielił się swemi wrażeniami ze mną. Formalne „homagium", przesłane przez szlachtę polską za pośrednictwem hr. Gołuchowskiego cesarzowi Franciszkowi Józefowi, uradowało mnie z uwagi na wielkie tegoż

monarchy zasługi około sprawy polskiej, ale nie zadziwiło, bo wówczas nie znałem jeszcze polityki warszawskiej, z zasady przeciwnej wszystkiemu, co gdziekolwiek zrobi znienawidzona „Galileja". Natomiast zajęły mnie wywody Bethmana: ustąpienie całej Kongresówki na rzecz monarchji było przecież wypowiedziane całkiem jasno i bez zastrzeżeń, natomiast nie przypadał do gustu Niemcom tak zw. „subdualizm", który hrabia Stuergkh ubrał był w projekt konstytucji. Kanclerz Rzeszy stanął mianowicie na stanowisku, że konstytucja musi dać Polakom jak najdalej idącą samoistność, która im odbierze sposobność, ewentualnego wpływania na losy Niemców w Austrji w duchu słowiańskim. Toby znaczyło trjalizm, czyli równorzędność z Austrją i Węgrami, zamiast „subdualizmu" w obrębie-Austrji. A więc Niemcy nie tylko się poznali na bredni „subdualizmu" wogóle, lecz uznali go nadto za niebezpieczny dla żywiołów niemieckich w Austrji. Hr. Gołuchowski przywiózł więc najlepsze wiadomości: poparcie „trjalizmu" przeciw „subdualizmowi", któryśmy uważali w najgorszym razie za bezsens przejściowy.

Deklaracje kanclerza wobec hr. Stuergkha, potwierdzone przez rozmowę kanclerza z hr. Gołuchowskim, zostały jeszcze osobno sprawdzone w najwyższej, że się tak wyrażę, instancji. Oto w jesieni r. 1915, zgłosili się do mnie Najprzewielebniejsi arcybiskupi lwowscy Bilczewski i Teodorowicz, wezwani do cesarza, celem usłyszenia podziękowania monarszego za ich lojalne zachowanie się w czasie 9-miesięcznej inwazji rosyjskiej we Lwowie; w towarzystwie ich znajdował się także ks. biskup Pelczar z Przemyśla. Moi najczcigodniejsi goście przyszli się ze mną poradzić co do niektórych szczegółów zapowiedzianej na drugi dzień audjencji. W szczególności chcieli zasięgnąć mojej opinji, czy wypada im zapytać cesarza o przyszłość Polski pod berłem jego, a zatem także o ustąpienie Austrji Królestwa ze strony Niemców. Z całą stanowczością doradzałem, by się ks. biskupi bez skrupułów wprost o to zapytali

cesarza. Na trzeci dzień miałem znowu dwóch dostojnych gości u siebie: arcybiskup łaciński musiał wyjechać wieczorem dnia audjencjonalnego. Usłyszałem tedy odpowiedź cesarską, daną naszym biskupom w następującej formułce sakramentalnej: „Jawohl, der deutsche Kaiser erklärte mir, dass ganz Polen mir angehören soll".*)

To bardzo wyraźne! Dlaczegoż jednak bar. Burian, z którym mówił w Wiedniu kanclerz, u którego byli po powrocie hr. Andrassy i hr. Gołuchowski, i który musiał znać zacytowane powyżej słowa cesarskie, dlaczego, pytam, p. minister spraw zagran. w licznych konferencjach ze mną o rozwiązaniu sprawy polskiej, ani słówkiem nie wspomniał mi w ciągu jesieni 1915 r. o tych trzech objawach wielkiego historycznego zdarzenia. Chyba nie z innego powodu, jak z tego, że wiedząc, iż każdą jego deklarację zwykłem był powtarzać komisji politycznej Koła, nie chciał, bym komisji podał do wiadomości fakta, przeciw którym on, minister, rozpoczął kampanję oficjalną. Ciężki to zarzut, który robię bar. Burianowi i od którego się w ciągu czasów wypierał przedemną tak prywatnie, jak publicznie (w delegacji austr.), ale który muszę utrzymać w mocy gwoli prawdy dziejowej! Nie chcę przez ten zarzut powiedzieć, że minister porzucił był myśl austro-polską; przeciwnie, stał przy niej i walczył za nią jeszcze prawie rok cały; ale strach przed Tiszą i „trjalizmem" skłonił go do kroków, które w końcu tylko dlatego nie były katastrofalne, bo miasto Polski habsburskiej, powstała Polska zjednoczona, niezawisła. Zarzut mój polega na tem, że kiedy Niemcy pod jesień 1915 r. — widocznie po powrocie kanclerza z Wiednia i stosownie do tegoż deklaracji — zaproponowały Austrji w formalnej nocie dyplomatycznej przyłączenie Kogresówki do Galicji i do monarchji austro-węgierskiej w postaci równorzędnego

*) „Tak, cesarz niemiecki oświadczył mi, że cała Polska do mnie ma należeć".

Królestwa polskiego, że wtedy minister Burian — horibile dictu! — odrzucił tę propozycję!! O tem wydarzeniu dowiedziałem się dopiero w ciągu roku 1916. Niemam wprawdzie na jego potwierdzenie dowodów piśmiennych, ale wierzę w jego prawdziwość na podstawie faktów następujących, które przytaczam tu w całości, jakkolwiek wyprzedzają nieco bieg opowiadania mojego.

Hr. Gołuchowski wróciwszy z Berlina pod wrażeniem niemal oficjalnem, iż Niemcy myślą zaproponować monarchji Polskę „tryalistyczną", mówił o tem kilkakrotnie z przyjacielem swoim hr. Juljuszem Andrassym, który mniej więcej w tym samym czasie bawił w Berlinie i rozmawiał z kanclerzem. Uwagi, które o tych rzeczach słyszałem od hr. Gołuchowskiego, skłoniły mnie do zaciągnięcia wiadomości wprost u hr. Andrassego. Było to, jeśli się nie mylę, już na wiosnę r. 1916, po powrocie Buriana do Berlina z odkoszem (o czem później), gdy mi się powiodło złapać Andrassego w hotelu Bristol w Wiedniu. Rozmowa trwała z górą godzinę i ja byłem przeważnie słuchaczem, narratorem na moją prośbę Andrassy. Otóż sławny ten mąż stanu węgierski, największa Węgrów powaga na polu dyplomatycznem, autor licznych artykułów, ogłaszanych w czasie wojny w „N. fr. Presse" wiedeńskiej, a domagających się — jakby pochodziły z gorącego patrjotyzmu Polaka — z wielką stanowczością i dokładną znajomością rzeczy Polski „trjalistycznej" w monarchji, opowiedział mi niemal dosłownie co następuje: „W jesieni 1915 r. nadeszła do Wiednia nota rządu niemieckiego z propozycją objęcia przez monarchję całej Polski rosyjskiej pod pewnymi warunkami. Ja tę notę sam czytałem w ministerstwie spraw zagranicznych i osobiście o niej mówiłem z Burianem. Na tegoż zarzuty co do warunków radziłem mu stanowczo, by propozycję przyjął, bo ją musi przyjąć i by sobie w odpowiedzi, przyjmującej propozycję niemiecką, zastrzegł swobodę osobnej odpowiedzi na wa-

runki tej propozycji po ich gruntownem zbadaniu. Bar. Burian nie usłuchał tej mojej rady pod pozorem, że Niemcy nie mają(!) innego wyboru, jak oddać monarchji Królestwo polskie, że przeto później będą to musieli uczynić bez dodawania warunków. Pod tym pozorem, a w rzeczywistości z obawy przed Tiszą, pan Burian odrzucił propozycję niemiecką".

Z tych słów hr. Andrassego, które mnie poruszyły do głębi, musiałem wysnuć wnioski, że minister Burian albo wprost zdradził sprawę polską dla miłości rzekomych interesów węgierskich (acz Węgier Burian nie był ministrem węgierskim, lecz wspólnym!), albo wystawił sobie przedziwne świadectwo ubóstwa jako mąż rządzący, do którego się stosuje prawidło: „gouverner c'est prevoir". Bo jużci, jego „przewidywanie" nie spełniło się, jak wiadomo, co do joty. Poszedłem też zaraz do ministerstwa, ażeby ministra zapytać o fakt powyższy; jeżeli się nie mylę, wymieniłem mu źródło mojej informacji. Minister zaprzeczył najkategoryczniej, jakoby coś podobnego zajść miało i odwołał się do stanowiska opozycyjnego hr. Andrassego. Prawda, że Burian ulubieniec i ślepy wykonawca poleceń Tiszy, nie był zbyt miłowanym przez opozycję parlamentu węgierskiego. Ale czyż można przypuszczać na jedną chwilę, by mąż stanu, znany z charakteru czystego i najpatrjotyczniejszych dla monarchji i dla Węgier przekonań, mógł opowiadać ze szczegółami w sprawie doniosłości europejskiej bajki kłamliwe, skomponowane tylko z nienawiści do rządzącego ministra?! Psychologicznie jest bardziej dopuszczalne kłamstwo ministra, wypierającego się ciężkiego przewinienia, aniżeli kłamstwo posła opozycyjnego, narażającego się na najstraszniejszą kompromitację. Można oponować rządowi, można się posługiwać w tem nawet nieprawdą, ale nie wolno pod grozą własnej ruiny komponować kłamliwych baśni... Więc mnie p. Burian nie przekonał. Od niego poszedłem do jego referenta Ugrona i opowiedziałem mu rzecz całą. Zapewnił mnie pod słowem

honoru, że podobnego aktu nie widział wcale. Wówczas (w lecie 1916) wątpiłem w duszy w szczerość tego słowa honoru; później miałem — jak zobaczymy — powody zmiany tej opinji. Ale rzecz sama nie została wcale tem uchylona. Hr. Adam Tarnowski, który bardzo ufał w polskie uczucia Buriana (ale właściwie tylko słuszniej, nie ufał jego następcy Czerninowi), zajął się także osobiście wyjaśnieniem, czy opowiadanie Andrassego było na prawdzie oparte. W październiku 1916 r., zanim ja na posiedzeniu Koła w Krakowie wspomniałem o propozycji niemieckiej z r. 1915, hr. Tarnowski przybył także do Krakowa, ażeby mi oświadczyć, że sam osobiście, jako urzędnik ministerstwa spraw zagr. przeszukał wszystkie akta polskie w tem ministerstwie i zapewnił honorem, że noty niemieckiej i odmownej na nich odpowiedzi niema wcale w aktach. Pod tem wrażeniem nie wyjawiłem Kołu wszystkiego; ale choć naturalnie ślepo wierzyłem zapewnieniom hr. Tarnowskiego formalnym i zgodnym z oświadczeniem Ugrona, nie wątpiłem ani na chwilę o prawdzie opowiadania hr. Andrassego co do rzeczy samej.

Na cztery dni przedtem zresztą, w dniu 30. IX. 1916 r. byłem na audjencji u cesarza Franciszka Józefa, ostatniej już niestety przed jego zgonem. Celem mojej audjencji było wytoczyć przed monarchę skargę z powodu opowiadanego mi przez hr. Andrassego faktu; przytem miałem w zanadrzu rozliczne inne żale. Po raz pierwszy — i ostatni — znalazłem najczcigodniejszego monarchę, dawniej zawsze bez wyjątku świeżego, przytomnego i energicznego, naprawdę starym, zmęczonym, osłabionym, cichutkim. Toż na te wszystkie moje szczegółowe żale odpowiadał półgębkiem lub przyjmował je do wiadomości milcząco. Gdy jednak, opowiedziawszy moją rozmowę z Andrassym i Burianem, dodałem, że nie znam absolutnej prawdy, że wszakże w razie potwierdzenia, uważałbym postępowanie „za zbrodnię", cesarz ożywił się i odpowiedział: „już to, czy przed rokiem była formalna ze strony Niemiec nota,

tego nie pamiętam dokładnie, ale że była wyraźna i stanowcza propozycja ze strony niemieckiej objęcia całego Królestwa polskiego przez monarchję, to nie ulega żadnej wątpliwości". Takie to historyczne słowa, zgodne z odpowiedzią cesarską na zapytanie biskupów z przed roku usłyszałem na wieczne pożegnanie z ust najszlachetniejszych, które w najbliższym czasie miały się już zamknąć na wieki!

Nadszedł czas formalnego upadku idei austro-polskiej; a fakt ten przyjęło Koło na powyższem swem posiedzeniu październikowem (1916) z taką rozpaczą i z takim do mnie żalem do wiadomości, że postanowiłem, bez dalszego zapytania Koła, uczynić jeszcze jeden krok gwoli uratowania tej idei. Boć „niezawisła" Polska z ramienia mocarstw centralnych, o której będzie mowa później, mogła być rebus sic stantibus faktycznie tylko Polską „niemiecką". A to w przekonaniu mojem byłoby było przedewszystkiem największem nieszczęściem dla narodu polskiego, skłonnego raczej do współżycia jako równy z innemi równemi w związku monarchji, niż do egzystencji pod pruską pikelhaubą, choćby najbardziej wywatowaną. To przekonanie moje zapowiadało mi dalej, że i dla samych Prusaków, niezdolnych absolutnie zrozumieć duszę równouprawnionego drugiego narodu, koncepcja niemiecko-polska byłaby ostatecznie także nieszczęściem. Postanowiłem tedy pojechać do Berlina, ażeby kanclerzowi przedstawić jego plany w świetle ich szkodliwości dla jego własnej ojczyzny. Wypracowawszy stosowny memorjalik, opowiedziałem się — ażeby mój wyjazd za granicę nie był poczytany za „zdradę" — ministrowi Burianowi. Uczyniłem to telefonicznie za pośrednictwem jego gabinetu, gdyż od posiedzenia Koła zerwałem z ministrem stosunki osobiste. Otrzymałem odpowiedź, że minister nie sprzeciwia się wyjazdowi memu, ale nie może się w niczem przyczynić do ułatwienia tej podróży, lub wcale polecić mnie w Berlinie, bo wtedyby Niemcy mnie uważali za wysłannika rządu, czego ja przecież nie pragnę. Po-

twierdziwszy mu to ostatnie, kazałem mu telefonicznie powiedzieć, że się co do zamierzonej podróży zniosę z ambasadorem niemieckim, na co przyszła odpowiedź, że minister niema nic przeciw temu.

I otóż poraz pierwszy od mojej dymisji z ministerstwa skarbu wspólnego udałem się do p. Tschirschky'ego osobiście z prośbą o ułatwienie mi podróży tak na kolejach, nieprzystępnych w czasie wojny dla podróżnych prywatnych, jak u rządu w Berlinie. Ambasador wysłuchawszy mnie, odrzekł: „Jeżeli pan obstajesz przy podróży, jestem gotów udzielić Mu wszelkich możliwych ułatwień; ale muszę jej Panu odradzać stanowczo, ponieważ rząd niemiecki — potem co zaszło — nie mógłby na żaden sposób powrócić do idei austro-polskiej. Wszakże w jesieni 1915 r. ja sam zaniosłem do austr. ministerstwa spraw zagr. notę rządu mojego, w której ofiarowano monarchji całą Polskę pod dwoma warunkami: 1) zabezpieczenie Niemców austrjackich od majoryzacji w parlamencie austrjackim, co po ustąpieniu Polaków z parlamentu wypływało bez tego ze statystyki, o ileby nie sporządzono nowej ordynacji wyborczej; 2) zabezpieczenia wspólnej granicy niemiecko-polsko-austrjackiej drogą konwencji militarnej, ile że Austrja, Węgry i Polska same nie zdołają zabezpieczyć długiej linji wschodniej od Rygi wokoło Litwy, Rusi i Węgier aż do Rumunji, dalej na południu od Serbji, Czarnogóry, Albanji i aż do całej granicy włoskiej. A wie Pan co się z tą notą stało? Odwrotną pocztą otrzymałem odmowę bez dalszych motywów z wyjątkiem uwagi, że szanse wyborów do parlamentu austr. nie są zawisłe od rządu. Nie mając stosunków bliższych z Burianem, nie mogłem z jego odmową zwrócić się jeszcze raz do niego samego, udałem się więc o pośrednictwo do min. wspólnego skarbu Koerbera, ale nic nie uzyskałem. Odesłałem tedy notę do Berlina, który po jej otrzymaniu nigdyby się już nie zgodził na odstąpienie Polski monarchji... Więc kanclerz

wysłucha Pana niezawodnie bardzo uprzejmie, ale do koncepcji austro-polskiej nie da się już nawrócić, zwłaszcza w tej chwili, kiedy w Berlinie bawi deputacja polska w sprawie utworzenia Polski niezawisłej... Zapewne nie będzie do niej przyłączoną Galicja; ale Wy ją bez tego chcecie urządzić autonomicznie jako „Małopolskę", która się wkrótce sklei z resztą Polski".

Co miałem odrzec na to wszystko? Do Berlina nie było już istotnie poco jechać. Ale te rewelacje potwierdziły mi w sposób kategoryczny opowiadanie Andrassego. Znalazłem w nich nawet także potwierdzenie zapewnień Ugrona i hr. Tarnowskiego! Zanadto dobrze jest mi znany tok manipulacji rządowej w Austrji, ażebym mógł przypuszczać, że nota doniosłości historycznej, decydująca o losach monarchji w całej przyszłości, mogła być w drodze urzędowej odrzuconą „odwrotną pocztą"! Wszakżeż minister spraw zagranicznych musiał i z natury rzeczy i z mocy konstytucji porozumieć się o sprawie tak doniosłej z oboma prezesami ministrów, powinienby był także zwołać wspólną radę ministrów, musiał złożyć sprawozdanie cesarzowi, który przynajmniej co do konwencji wojskowej musiałby się był naradzić z ministrem wojny, a prawdopodobnie także z naczelną komendą. To wszystko wespół z naradami w łonie ministerstwa, z pisaniem odpowiedzi itd. wymagało czasu 10—14 dni przy największym pośpiechu. A tymczasem wiemy z mojej audjencji u cesarza, że mu tylko coś opowiedziano ustnie o jakiejś propozycji niemieckiej. Zaś hr. Stuergkh, któremu w dzień przed jego śmiercią opowiadałem o rewelacjach ambasadora, zapewnił mnie najuroczyściej w obecności ministra Morawskiego, że mu o nocie niemieckiej nic nie wiadomo! I on wspomniał, podobnie jak cesarz, że mu plany Niemców były znane i że wskutek tego wysłał do Berlina projekt konstytucji dla przyszłego „subdualizmu" austro-polskiego, znany nam już zkąd inąd i nie zadawalający rządu niemieckiego z powodu braku samoistności państwa polskiego poza Niemcami austrjackimi; ale co do noty i odmowy

radził mi hr. Stuergkh prowadzić dalsze dochodzenia. Pocóż mi jednak było dochodzeń dalszych?! Wszak widziałem teraz rzecz jasno: Niemcy ofiarowali monarchji Polskę, pod warunkami, które się pp. Tiszy i Burianowi nie podobały wcale; nie podobał się im zwłaszcza warunek pierwszy, równający się samoistności Polski, czyli „trjalizmowi“: więc nie wdając się w krytykę warunków — zupełnie jak to opowiadał Andrassy — i niechcąc już podzielić się wielką tą wiadomością z szeregiem osób, które mogłyby być innego od nich samych zapatrywania na propozycję niemiecką wysłali odpowiedź odmowną w drodze najkrótszej „odwrotną pocztą“. To znaczy nie kazali aktu „zaprotokułować“ w ministerstwie spraw zagranicznych i załatwić w drodze biur tegoż ministerstwa, jeno najprawdopodobniej przez biuro p. Tiszy, a jeszcze prawdopodobniej przez biuro węgierskiego ministerstwa á latere w Wiedniu (zkąd bezpośrednio przeszedł p. Burian na Ballplatz). I wysłali ją bez wiedzy innych, powołanych konstytucją czynników! Umarł w październiku Stuergkh, umarł w listopadzie Tschirshky, nie mogłem więc już nic więcej dowiedzieć się od nich, a tylko pozostały przy życiu Koerber, dezygnowany po śmierci Stuergkha prezes ministrów, nie umiał w owym czasie strasznych dla niego irytacyj dać mi jakiegoś wyjaśnienia o wizycie Tschirshky'ego u niego, którą otrzymał przeszło rok temu. Ale to nie odebrało mi wiary w egzystencję i w sposób załatwienia noty niemieckiej. I jeszcze ostatnich dni żywota monarchji, kiedy bar. Burian drugi raz z całkiem innym programem polskim zasiadł na Ballplatzu, rzuciłem mu w oczy zarzut co do noty niemieckiej publicznie na komisji delegacji austrjackiej dla spraw zagranicznych. Naturalnie, że minister i wtedy znowu zaprzeczył w odpowiedzi swojej bardzo miękkiej istnienia podobnej noty.

A teraz można sobie — sub specie tej tajemniczej noty — wyobrazić sytuację Koła polskiego! W sierpniu 1915 r. po

zajęciu Warszawy uchwaliło ono manifest na korzyść rozwiązania austro-polskiego, nie przeczuwając, że w miesiąc później przyłączy się do tego manifestu oficjalnie rząd Rzeszy niemieckiej. Koło wiedziało tylko o interwencji ambasadora w celu konfiskaty manifestu i telegramu do cesarza. Nie wiedząc nic o fakcie, doniosłością równającemu się wypędzeniu Moskali z Warszawy, oddało się Koło usiłowaniom wzmocnienia swego stanowiska przez zjednoczenie stronnictw. To nam zajęło czas aż do końca kwietnia 1916 r. Zajmująca się temi pracami komisja polityczna, nie świadoma grzechu ministra austrjackiego, stała dalej stale i wiernie przy programie austro-polskim. A gdy jej wtedy ten grzeszny minister kazał zapowiedzieć, że jedzie do Berlina na ostateczną walkę o tenże program i prosi o powstrzymanie się od wszelkiej akcji, któraby mu mogła utrudnić tę walkę, Koło polskie zniżyło się do cenzury przemówień na zgromadzeniu z dnia 30 kwietnia 1916 r. Musieliśmy wówczas połknąć nawet jeszcze jedną horrendalną pigułkę: konfiskatę telegramu cesarskiego, wysłanego do mnie z Wiednia i doręczonego mi w Krakowie jako podzięka za wysłany ze zgromadzenia i opublikowany telegram hołdowniczy do cesarza. Nic nie pomogły żale telegraficzne do Schiessla, szefa kancelarji cesarskiej i premiera Stuergkha: ten ostatni odpisał, że konfiskaty tj. zakazu publikacji telegramu cesarskiego nie spowodował, uczynił to wojskowy „Kriegsüberwachungsamt“ mimo, że cesarz był „oberster Kriegsherr“. Minister zaś pojechał do Berlina, wiedząc doskonale, że po zajściach w jesieni 1915 r. nic nie może uzyskać; ponadto zaś musiał wiedzieć i o tem, że w Niemczech tymczasem wojsko, wielka szlachta i ciężki przemysł zmieniły zdanie o Polsce i nie dopuściły do oddania jej Austrji nawet wtedy, gdyby rozpoczęta w czerwcu ofenzywa Brusiłowa nie była tak fatalnie wypadła dla Austrji. Toż mimo walk najgorętszych, które według opowiadań Ugrona stoczył w kwietniu 1916 r. minister Burian w Berlinie, poniósł on tam

klęskę kompletną wbrew swemu przekonaniu, że „Niemcy nie mają innego wyboru, jak oddać Polskę monarchji".

Myśmy tego wtedy jeszcze tak dokładnie i szczegółowo nie wiedzieli; ale już na posiedzeniu Koła z dnia 1 maja 1916 r. po zjednoczeniu stronnictw, zapadła na wniosek posła Daszyńskiego uchwała, wysłania do rządu memorjału w sprawie niedołężnego prowadzenia akcji austro-polskiej w okupacji austr., niemniej jak w Galicji. Po powrocie do Wiednia zająłem się zaraz wypracowaniem memorjału; a chociaż pod koniec maja nabawiłem się ciężkiego, groźnego w moim wieku kokluszu, zdołałem w dniu 6 czerwca przedłożyć komitetowi komisji politycznej memorjał*), który wśród ciężkiego kaszlu odczytany przezemnie, znalazł wielki poklask u wszystkich stronnictw: Daszyński i Gołuchowski, Jaworski i Głąbiński wyrazili zupełne swoje zadowolenie, a tylko na żądanie Jaworskiego miałem przy końcu dodać kilka zdań uprzejmych dla arcyks. Fryderyka i dla jen. Conrada. W dniu 6 czerwca kazałem doręczyć memorjał bar. Burianowi, hr. Stuergkhowi i bar. Schiesslowi dla cesarza. Memorjał dostał się do Królestwa i obiegał w tłumaczeniu polskiem w rozmaitych kołach ludności: podobno zjednał mi tam wielu zwolenników. Czy w skutkach swoich był w Austrji i okupacji pożytecznym, nie umiem powiedzieć.

W dniu 15 czerwca 1916 r. przypadała 70-letnia rocznica urodzin moich. Wicuś, (kochany Jabłoński) pragnął, by Koło się do mnie odezwało z tej okazji; sprzeciwiłem się temu i przy jego pomocy skłoniłem przyjaciół moich, by nie urządzali najmniejszej owacji; tylko wiceprezes Jaworski nadesłał mi imieniem N. K. N. telegram uprzejmy. Jeszcze parę dni nie mogłem się z powodu kokluszu wydostać z Wiednia, aż wyruszywszy 19 czerwca nocą, popadałem przez całą noc z jednego ataku w drugi i przybyłem do Ischlu rano 20 czerwca w sam

*) Patrz na końcu książki załącznik B.

dzień rocznicy śmierci śp. matki mojej. Ale też od tej samej chwili straciłem wszelkie napady kaszlu. Przed wyjazdem wymieniłem jeszcze telegram z hr. Tiszą, który wbrew oczekiwaniu memu wypowiedział w Sejmie bardzo życzliwą dla sprawy polskiej mowę. Jakoby marnotrawnemu synowi telegrafowałem może cieplej, niż potrzeba było, co też wywołało niejakie niezadowolenie u kolegów; z pewnością byłbym to był uczynił w tonie mniej serdecznym, gdybym był wiedział wówczas to, co Tiszy było naturalnie już wiadomem z ust Buriana po tegoż powrocie z Berlina: zupełny upadek idei austro-polskiej!

W Ischlu starałem się obok spraw bieżących Koła usunąć pozostałości choroby, co mi przychodziło tem trudniej, że żona moja, chora od niemal roku, znacznie mocniej zapadła w Ischlu na zdrowiu, zapewne pod wpływem przestrachu z powodu moich kilkutygodniowych strasznych nocnych erupcyj kokluszowych. Dopiero pod koniec pobytu naszego letniego złagodziły się te jej cierpienia przy bardzo troskliwej pomocy znakomitego lekarza tamtejszego, podwładnego mi dawniej lekarza salinarnego Dr Stieger'a. Niestety, skutki tej pomocy lekarskiej nie potrwały zbyt długo... Ale tymczasem już w początkach miesiąca lipca odwiedził mnie poseł Daszyński, ażeby ze mną jako wspólnym N. K. N. i Koła prezesem omówić stan sprawy polskiej. Z dłuższych rozpraw naszych tak w pomieszkaniu mojem, jak w hotelu Elisabeth, gdzie był gościem moim, wynikła konieczność zwołania Koła i komisji politycznej, a przedewszystkiem konieczność konferencji u ministra Buriana w obecności podkomitetu komisji. Celem przygotowania materjału dla tej konferencji napisałem ministrowi list bardzo obszerny, wyłuszczając mu przyczyny, dla których wypadnie mu przyjąć deputację takich radykałów, jak hr. Gołuchowski, Abrahamowicz, Jaworski, obok Daszyńskiego, Głąbińskiego i Długosza. Posiedzenia nasze wyznaczone były podobno na 28 i 29 lipca, o czem także zawiadomiłem ministra. Na list mój otrzymałem w Ischlu zgodę co do materjału obrad i szereg

wyjaśnień; po przybyciu zaś do Wiednia zastałem drugi list ministra, w którym odmawia przyjęcia kolegów moich, tłumacząc się tem, że właśnie znajduje się w toku bardzo intenzywnych korespondencyj z rządem niemieckim o sprawie polskiej— było to po powrocie z klęski berlińskiej! — a mając silną nadzieję uzyskania tego, co odpowiada życzeniom Polaków, nie chciałby narazić sprawy przez omawianie jej w szerszem kole. Jakkolwiek z góry zapewniłem ministra, że nie potrzebuje się obawiać niedyskrecyj, ponieważ kierunek dyskusji będzie w jego ręku, a ew. publikację poddamy chętnie jego cenzurze, nie widziałem ostatecznie nic zdrożnego w jego ostrożności i jestem do dziś przekonany, że koledzy po odczytaniu jego listu podzieliliby moje uczucia. Ale niestety do tego odczytania nie przyszło wcale, bo — risum teneatis! — tuż przed posiedzeniem doręczono mi list Ugrona, napisany z polecenia ministra z prośbą, bym wspomnianego drugiego listu ministra (o układach z Niemcami) nie odczytywał na komisji, jeno podał jego treść ustnie do jej wiadomości. Był to baron Burian w całej pełni swego charakteru i temperamentu! Naturalnie, że postąpiłem według jego życzenia, bo nie chciałem przyjąć odpowiedzialności za jakiekolwiek „popsucie“ akcji ministra i ustnie prawie cały list nakreśliłem wobec kolegów; ale to nic nie pomogło, bo po części mnie nie dowierzali, po części złościli się, i słusznie na dziwaka-ministra. Od tego dnia stosunek Koła do bar. Buriana stał się nieprzychylnym i pogarszał się coraz bardziej aż do votum nieufności jesiennego. Opowiedziałem mu o tem, z uwagą, że byłby sobie był zjednał łatwo serca Polaków, którzy teraz są nań rozżaleni. Na to odparł gniewnie: „wszystko mi jedno, jakie ich dla mnie uczucia, bylem doszedł do celu“. A ładnie doszedł do celu — teraz i w dwa lata później! Co mu przyniosła chwila szczęśliwa z jesieni 1915 r. i czem pogardził, to — jak zawsze w życiu ludzkiem — przepadło na wieki! Przepadło dla jego reputacji jako męża stanu, a pozornie i dla naszej

przyszłości narodowej, której zwrot szczęśliwy z r. 1918 był wówczas wiadomym tylko Bogu!

Jeszcze odbyłem w salach Izby handlowej posiedzenie Koła pełnego, na którem, mimo wszelkich tajemnic komisyjnych, odbywały się refleksy postępowania ministra. Byłem tam nawet na chwilkę w stanie dymisji, gdy z powodu niemożliwie nierozsądnego napadu posła Reya w złości złożyłem prezydjum. Votum ufności, uchwalone na wniosek współtowarzysza klubowego Reya, posła i poety ludowego Bojki, skłoniło mnie do wycofania się z kroku nierozważnego, za który mi Wicuś Jabłoński wypowiedział wiele słów nagany. Wieczorem wyjechałem z powrotem do Ischlu.

Ale ledwie tam zabawiłem dni parę, nadeszła wiadomość, że do Wiednia przybyli kanclerz niemiecki Bethman-Hollweg z sekretarzem stanu Jagowem, ażeby oświadczyć rządowi austro-węg., że Niemcy nie są już więcej w położeniu przyzwolenia na austro-polskie rozwiązanie sprawy polskiej. Natomiast zaproponowali, by ze samego Królestwa — bez Galicji — utworzyć niezawisłe Państwo Polskie. „Niezawisłe“ w tem znaczeniu, że nie miało być przyłączone ani do monarchji austro-węg., ani — bo i o tem myślało kilku dziwacznych polityków — do Prus. Ale ta niezawisłość pozbawiała to państwo Galicji i nadawała mu cechy małego państwa buforowego między trzema wielkiemi mocarstwami rozbiorowemi. Rząd tak mało opublikował wiadomości o tej konferencji międzypaństwowej, a i Ugronowi tak mało wolno było udzielić mi wiadomości na moje zapytanie, że nie pozostawało mi nic innego, jak przeczekać spokojnie kilka tygodni i zabrać się potem do dalszej akcji. W połowie września odwiedziłem Buriana, ażeby usłyszeć jego wrażenia i plany z powodu zmiany sytuacji. Znalazłem go znowu „całym Burianem“. Najprzód zauważył całkiem niewinnie, jak młoda panienka: „jużciż nie mogliśmy wojny prowadzić z Niemcami o Polskę“, a potem roztoczył „swoje plany“. Bo trzeba wiedzieć, że bar. Burian, mało komu dając

przyjść do słowa, zwykł był każdemu przedstawiać swoje zdanie w kształcie skombinowanej z kazaniem mowy, całkowicie dokładnie wystylizowanej. Toż opowiadano sobie, że młody cesarz Karol, usunąwszy go z Ballplatzu prawie raptownie, motywował to tem, że dalsze rozmowy z bar. Burianem byłyby jego (cesarza) przyprawiły o utratę rozumu. I dlatego właśnie ten znany(?) z rozumu i konsekwencji monarcha w półtora roku później zamianował ministrem spraw zagranicznych, wbrew opinji tak Austrji jak Węgier i tylko na „rozkaz“ prywatyzującego już wówczas p. Tiszy, nie kogo innego, jeno znowu — Buriana!! Otóż we wrześniu 1916 r. wyrozumiałem z długiej perory ministra, że zamierza wdrożyć w Warszawie akcję ochronną dla Polaków przeciw zakusom jednostronnym Niemców. To znaczyło, że zepsuwszy sobie samemu interes z winy nie Niemców, lecz własnej, zapragnął teraz psuć interesa Niemców. I osiągnął ten cel w najwyższym stopniu: on przeszkadzał Niemcom, ci Austrji, a jedni i drudzy narodowi polskiemu!

Po owej perorze zapytałem go, czy, skoro już Galicja ma w nowej konstrukcji pozostać przy Austrji, nie byłby skłonnym spowodować nadanie krajowi szerokiego samorządu. P. Burian zgadzał się na tę myśl moją: podobno myśl tę już przedtem podsunął mu Bobrzyński, znany mu z czasów kandydatury na komisarza cywilnego w Kielcach. Ale ta autonomja była w owej chwili cura posterior; akcja warszawska była pilniejsza... Zabrał się tedy do niej minister gwoli „ochrony Polaków!“ Zamianował więc bar. Konopkę przedstawicielem monarchji w Warszawie, dodając mu do boku znanego już tam posła Rosnera. Wysłano tam także któregoś jenerała, a później dla spraw ściśle dyplomatycznych dotychczasowego w ministerstwie referenta posła Ugrona, zastępując go w Wiedniu bar. Andrianem, odwołanym z Warszawy. Ponad głowami tych wszystkich bądź dzielnych, bądź dobrych mężów działał od tego czasu na gruncie warszawskim w charakterze nieoficjalnym znakomity hr. Adam Tarnowski. Wszyscy ci nasi dzia-

łacze poświęcali z pewnością całą swą siłę i pracę dla dobra Polski; ale nowa formułka bar. Buriana nie wiele im chyba była przy tem pomocną, bo w rzeczywistości nie chodziło odtąd dyplomacji austrjackiej o to lub nie tylko o to, by Polskę chronić od Prusaków, lecz głównie o to, by wpływem swoim oskrzydlić wpływ niemiecki, a przy tej walce często nadwerężano lub przynajmniej strasznie przewlekano interesa Polski.

Na dzień 4 października 1916 r. zwołałem do Krakowa Koło celem przedstawienia mu nowej sytuacji w sprawie polskiej. Nad przyszłem sprawozdaniem mojem odbyłem wieczorem dnia 3 października długie i gruntowne narady z posłem Jabłońskim. Stanęło na tem, że mam przemawiać otwarcie i nie brać już dalej w obronę ministra, dla którego wyjednywałem u Koła zawsze względy i uwagi, jak długo nie był zaprzepaścił naszej konstrukcji co do Polski. Rano nazajutrz przedstawiłem z wszelką otwartością zmiany na szachownicy polskiej państw centralnych; nie odmawiałem dawnych zasług ministrowi, ale musiałem dać przynajmniej do poznania, że zaniedbał korzystać z chwili dla nas najsposobniejszej; uważałem, że należy przyjąć za fakt przyszłe państwo niezawisłe bez Galicji, ale dodałem, że tem gorliwiej należy nam się zająć autonomją Galicji i zrobić z „Małopolski“ „małą Polskę“. Długa moja przemowa zyskała taki poklask i tyle powinszowań, że mógłbym był być z nich zadowolony. Ale doświadczenia tyloletnie przestrzegły mnie przed tem. Gdy po mowie mojej zamknięto zaraz posiedzenie dla narady stronnictw i wyznaczono dalszy jego ciąg na wieczór, pozostałem w sali z Wicusiem Jabłońskim i podyktowałem mu z pamięci mowę, której zwyczajem swoim nigdy naprzód nie miałem nakreślonej. Stało się to szczęśliwie, bo później tłumaczono sobie mowę w sposób dowolny, najrozmaitszy, a mnie chronił tekst autentyczny, spisany przez sekretarza Koła. Już przed wieczornem posiedzeniem wiedziałem, że kluby są na mnie wściekłe. Najbardziej tym razem demokraci, których leader poseł German określił całą mowę jako „Schwindel“, a za

myśl konstytucyjnego wyodrębnienia Galicji, niedopuszczonej do związku z Polską niezawisłą, był na mnie w najwyższym stopniu oburzony. Socjaliści i ludowcy podzielili między siebie role: pierwsi przez usta Daszyńskiego wnieśli votum nieufności dla mnie „za niedopilnowanie rozwiązania austro-polskiego i za to, że w czas nie przestrzegłem Koła o grożącem temu rozwiązaniu niebezpieczeństwie“ — prawda, że motyw całkowicie czarno-żółty?! — drudzy wnieśli przez usta Witosa votum nieufności dla ministra Buriana. Rozprawy Koła, trwające do późna w nocy były bardzo gorące. Najpierw motywował Daszyński votum przeciw mnie, traktując mnie zresztą przytem bardzo uprzejmie, powiedziałbym dobrotliwie. Za to z ludowców zaatakował mnie Rey tak obraźliwie (zarzucał mi prawie oszukiwanie Koła, że musiałem sobie to natychmiast wyprosić bardzo energicznie. Przy głosowaniu odrzucono wniosek Daszyńskiego, zapewne z obawy przed nieuniknioną moją dymisją, a może i z uwagi, że wszakże zawsze opowiadałem komisji politycznej wszystko mi wiadome; natomiast został uchwalony wniosek przeciw Burianowi nieznaczną większością. In merito uchwalono po długich obradach i ich kilkukrotnych przerwach wniosek Witosa, wyrażający w formie trochę niejasnej, że Koło polskie trwa niezłomnie przy swojem dotychczasowem przekonaniu co do rozwiązania sprawy polskiej i sprzeciwia się — co się oczywiście w takim razie rozumie samo przez się — wyodrębnieniu części Polski.

Uchwały nasze nie zdołały, jak wiadomo, obalić nowego układu państw centralnych, miały jednak wielką doniosłość zasadniczą. Wniosek merytoryczny został przyjęty jednogłośnie: ztąd to wysnułem obowiązek udania się jeszcze w ostatniej chwili na konferencję do Berlina, od czego musiałem jednak, jak opisałem wyżej odstąpić pod wpływem wszystkich argumentów ambasadora niemieckiego. Uchwała zaś przeciw Burianowi wywarła w Wiedniu wielkie wrażenie. Przypisywano ją na Ballplatzu mojej mowie, która miała być „eine

Brandrede"; mój stosunek z ministrem został cicho zerwany, mimo, że p. Burian mógł się przekonać z przedłożonego mu później przez Ugrona tekstu mojej mowy, iż go w niej traktowałem z pewnemi względami. Mimo to twierdzono, że votum nieufności ja wywołałem; a choć tak nie było, to zerwanie stosunków z Kołem, nie dały się nikomu uczuć, a natomiast votum nieufności przyczyniło się po kilku tygodniach do upadku ministra. W samem Kole kotłowało, ale coraz bardziej wykluwała się myśl, że rebus sic stantibus należy przecież przyznać pewne znaczenie faktowi niezawisłości Polski. Przyczyniło się do tej zmiany w wysokim stopniu pojawienie się w Wiedniu deputacji warszawskiej, powracającej z Berlina. Członkowie jej przybyli do Koła na Wallnerstrasse właśnie w czasie obrad komisji parlamentarnej. Przyjęliśmy ich naturalnie in corpore i po raz pierwszy doznaliśmy uczucia rozrzewnienia na widok nie tylko braci z Królestwa, lecz także przedstawicieli idei Polski, acz niewielkiej, ale niezawisłej! W tej myśli obracały się obustronne przemowy powitalne, w tej myśli szły wzajemne opowiadania. Naturalnie opowiadali więcej Warszawianie, niż my: ś.p. Brudziński, Dzierżbicki, Łempicki, hr. Ronikier i inni opowiadali wiele o Berlinie i o Niemcach w okupacji, nie omieszkali też zawiadomić nas o illuzjach Beselera co do możliwości stworzenia armji polskiej bez udziału jakiejś władzy polskiej narodowej. Od tej iluzji nie podobna go było na nieszczęście odwieść. Na drugi dzień byli wszyscy uczestnicy tej narady moimi gośćmi na śniadaniu w hotelu Sachera. Tylko hr. Gołuchowski nie mógł się zjawić z powodu wyznaczonej na ten sam dzień operacji; za to był obecny jako b. namiestnik galicyjski p. Bobrzyński. Usposobienie było bardzo miłe i niemal słoneczne i mój toast jako gospodarza zakończył się okrzykiem tak dla nas drogim: „Niech żyje Polska!" Jako najstarszy w gronie mogłem w moim toaście zacząć od czasów powstania z r. 1863, w którem nie byłem całkiem nieczynny i przejść aż do r. 1916, razem lat 53,

zanim powstała Polska naprawdę. Wszyscy, nie wyjąwszy naturalnie połączonych już z nami socjalistów (Diamand i Daszyński) byli w usposobieniu bardzo podniosłem: poseł Diamand bardzo uprzejme wyraził mi słowa z powodu mej mowy. Po śniadaniu opowiadali nam goście szczegóły ich przyjęcia u Buriana i odczytali nam jego oficjalną odpowiedź. „Konstytucyjna monarchja“, oto był cel nowej akcji.

Zanosiło się tym sposobem na manifestację obu państw centralnych w duchu utworzenia Królestwa Polskiego, bez Galicji, przyczem Galicji — miała to być smutna ale konieczna konsekwencja — miała być zabezpieczona szeroka autonomja. Ażeby się tedy zabezpieczyć co do tej ostatniej kwestji, obchodzącej nie monarchję, lecz samą Austrję, której część składową stanowiła Galicja, udałem się pewnego wieczora owego października 1916 r. wraz ministrem Morawskim do hr. Stuergkha. Nie pomnę w tej chwili dnia kalendarzowego, ale to pamiętam, że był to piątek, w który całe popołudnie aż do godz. 8 konferowaliśmy o najrozmaitszych sprawach polskich. Wtedy to ja opowiadałem o moich rozmowach z Andrassym i Tschirschky'm, wtedy szef rządu opowiadał o projektach konstytucji „subdualistycznej“, przesłanych do Berlina, i wtedy wreszcie zwróciłem Stuergkhowi uwagę na potrzebę wydania równocześnie z aktami, tworzącemi Królestwo Polskie, akt o samorządzie Galicji. Przyrzekł mi to biedny Stuergkh i wiem, że na drugi dzień rano, w sobotę, wezwał na rozmowę telefoniczną ministra spraw wewn. bar. Handla, referenta konstytucyjnego w radzie ministrów, przedstawił mu potrzebę jak najpilniejszego opracowania „pisma odręcznego“ cesarskiego w sprawie autonomji galicyjskiej i zakończył rozmowę — wiem to od Handla — słowy: „idę teraz na objad, popołudniu mam ważne czynności w biurze, nocą jadę na niedzielę do Pesztu, a rano w poniedziałek zechcesz przyjść do mnie z elaboratem galicyjskim, bo teraz te res polonicae są bardzo pilne“. Więc jak zawsze i we wszystkich sprawach polskich i galicyjskich,

omówionych ze mną i z Morawskim, tak i w powyższej hr. Stuergkh był nieskazitelnej słowności, za którą mu zawsze i do dziś dochowuję wdzięczności. „Ale człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi"!... Wstał hr. Stuergkh, zebrał się, poszedł na objad i zasiadł na zwykłem swojem znanem mi miejscu w hotelu Meissl i Schaden na I. piętrze od frontu Kärntnerstrasse, na prawo w kącie. A gdy w towarzystwie kilku przyjaciół spożył objad, wstał inny gość od jednego z dalszych stołów także po spożyciu objadu, zbliżył się do prezydenta ministrów i na miejscu go zastrzelił!! Był to Dr Fryderyk Adler, syn szlachetnego wodza socjalistów niemieckich Dra Wiktora Adlera, późniejszego pierwszego sekretarza stanu (ministra) dla spraw zagran. Rzeczypospolitej austrjackiej, zmarłego na tem stanowisku. Szalony zbrodniarz, mimo zasądzenia sądowego niemal że nie ogłoszony został świętym, a wkońcu za republiki ułaskawiono go i obrano szefem socjalistów radykalnych.

Ministra Morawskiego i mnie, którzyśmy od połowy lutego 1915 r. niemal co kilka dni obradowali z Stuergkhem o sprawach polskich — a ja ponadto zasypywałem go w tym czasie listami — przeraziła śmierć tego rozumnego i szlachetnego męża stanu więcej może, niż wielu innych. Mnie stała przed oczyma w skutkach nietylko niepewność co do osoby przyszłego szefa rządu, lecz ponadto pewne prawie ustąpienie tak idealnie lojalnego i gorliwego współpracownika, jak min. Morawski. On sam to wiedział w poczuciu przeczulonem swoich „słabych stron", które w rzeczywistości były tylko przesadną skromnością... Po wrażeniu, jakie odniosłem z ostatniej audjencji (30. IX. 1916) u cesarza, obawiałem się zbyt silnego na jego zdrowie wrażenia śmierci doradcy, z którym na spół nosił na swych barkach całą wyłączną odpowiedzialność za wszystko, co zaszło w Austrji od dwóch przeszło lat, t. j. od czasu wypowiedzenia wojny. Tymczasem obawy moje były na szczęście płonne. Ojciec i mąż, który przeżył najtragiczniejszą śmierć

jedynego syna i żony, przeniósł także równie tragiczną śmierć przedostatniego swego prezydenta ministrów. Następcą jego wyznaczył monarcha Koerbera, i nie mógł chyba lepszego uczynić w ówczesnych stosunkach wyboru. Dla mnie, którego łączyły tyloletnie stosunki przyjaźni z tym istotnym mężem stanu, wydawał się wybór cesarski wybawieniem z ciężkiego w charakterze moim prezesa Koła kłopotu. Zaraz też, to znaczy w czasie rokowań o utworzenie rządu, poszedłem do Koerbera, z którym jako sąsiadem (mieszkał o kilkanaście domów odemnie) widywałem się bez tego od czasu do czasu. W długiej, wieczornej rozmowie znalazłem u niego — do ówczas jeszcze następcy mego na fotelu wspólnego ministra finansów — wiele głębokich myśli politycznych, przedewszystkiem uznanie konieczności powrotu do parlamentu, którego zgładzenie młody Adler, jak sam zeznał, odpłacił Stuergkhowi zgładzeniem go ze świata. Ale już wtedy uderzyło mnie u Koerbera mimo całej świetnej wymowy politycznej, pewne osłabienie energji duchowej; nie mogłem mianowicie zrozumieć, jakim sposobem Koerber mógł w październiku 1916 r. nie pamiętać, że właśnie przed rokiem był u niego w biurze ambasador niemiecki ze skargą na Buriana z powodu odrzucenia noty austro-polskiej. Boć sprawa sama była doniosłości tak pierwszorzędnej, że mózg normalny nie mógł chyba o niej zapomnieć, ani po roku, ani po latach, zaś posądzać Tschirschky'ego o kłamstwo nie mogłem choćby już dlatego, że szczegół o rozmowie z Koerberem — dla mnie ważny z powodu dalszego świadka afery — był dla meritum opowiadania ambasadora bez żadnego znaczenia. Może zresztą sądziłem wtedy niesłusznie o stanie umysłowym Koerbera. Ale wpadła mi po chwili inna rzecz w oko: że nie mówiąc przedemną o kandydatach do nowego rządu, nie uczynił wyjątku co do ministra dla Galicji, acz byłem w tem jako prezes Koła bardzo interesowany. Nie chcąc być niedyskretnym — a był to zresztą pierwszy dzień rokowań z kandydatami — nie pytałem go dalej, zwłaszcza że miałem w wyodrębnieniu Galicji

temat ważniejszy, do którego też przeszedłem. Tymczasem, jeżeli może milczenie o tej nominacji było premedytowane, to świadczyło ono, jak się zaraz okaże, o pewnem osłabieniu nowego szefa rządu w ocenianiu sytuacji politycznej.

Minister dla Galicji w r. 1871 po raz pierwszy i niejako tylko przypadkowo ustanowiony przez rząd Hohenwarta, w osobie K. Grocholskiego, stał się od r. 1873 począwszy, t. j. od Ziemiałkowskiego, ważną równie dla rządu jak dla Koła „instytucją". Nazywam umyślnie napozór nielogicznie osoby „instytucją", ponieważ reskrypt cesarski z r. 1873 ustanawia nie „ministerstwo" dla Galicji, jeno „ministra", a więc nie resort, lecz szefa zapożyczającego sobie resort od prezydjum ministrów. Minister dla Galicji uważany był zawsze jako mąż zaufania Koła polskiego i mianowany po zasięgnięciu opinji Koła! Czyż o tem mógł nie wiedzieć lub zapomnieć pan Koerber, już od 1886 r. prezydjalista i Egerja polityczna ministra margr. Bacquehema, a od r. 1893 hr. Wurmbranda, później szef prezydjalny Badeniego, dalej dwa razy minister, a przez dalszych pięć lat (1900—1904) prezydent ministrów?! A przecież na drugi dzień po mojej wizycie u Koerbera odwiedził mnie wieczorem b. namiestnik Bobrzyński, ażeby mi opowiedzieć, że na wezwanie desygnowanego prezesa rządu był w Schönbrunnie, gdzie mu cesarz powierzył urząd ministra dla Galicji. Nie zataiłem przed moim przyjacielem Bobrzyńskim, że mnie ta wiadomość dotknęła nad wyraz niemiło, bo wiedziałem, że tym sposobem wywoła się niepotrzebną burzę w komisji parlamentarnej o kandydata, którego poza tem całe Koło musi powitać z radością. Zrobiłem wyrzut gościowi, dlaczego mnie nie zawiadomił bodaj telefonicznie, ażebym mógł był zawczasu uprzedzić Koło. Na to mi odrzekł: „jeżeli Ty zechcesz, to Koło mnie przyjmie". Naturalnie, że chciałem i zrobiłem to z łatwością, ale pragnąłem przecież właśnie męża miary Bobrzyńskiego nie narażać na jakiś opór ze strony Koła. W tym celu użyłem drobnego podstępu: zwoławszy na następny dzień przedpołudniem

komisję parlamentarną, opowiedziałem jej rzecz całą i zaproponowałem rezolucję, wyrażającą niezadowolenie Koła z postępowania nowego szefa rządu. Rezolucja taka byłaby wniesioną niezawodnie z łona komisji, gdybym ja był chciał rząd spardonować odrazu; ponieważ jednak ja wniosłem naganę, koledzy, podejrzliwi jak zawsze, sprzeciwili się jej, a ja się przy niej upierałem. A gdy tak rozprawa toczyła się dość leniwo około pożądanego zachowania się Koła, służący zaanonsował przybycie prez. Koerbera. Naturalnie musiałem go zaraz przyjąć. Komisja więc tymczasem zatrzymała się w sali posiedzeń, a ja wyszedłem do gościa, który wprost od cesarza, jeszcze w stroju odświętnym, przyszedł do Koła wytłumaczyć się z błędu, na który widocznie zwrócił uwagę jego Bobrzyński. Wizyta trwała przeszło godzinę, tłumaczenia były nieskończone, pan Koerber był nawet gotów, udać się ze mną do drugiego pokoju, aby się wytłómaczyć przed komisją; nie dopuściłem jednak do takiego upokorzenia znakomitego męża stanu, który bez tego, jak słyszałem później, żalił się na postępowanie moje, niezgodne ze stosunkiem naszym przyjacielskim. Po jego odejściu zreferowałem zaraz komisji, która naturalnie była zadowolona, a w kilka godzin potem przyjęła osobiste przedstawienie się Bobrzyńskiego z należną radością i serdecznością. O naganie nie było już więcej mowy.

Ciężki bo też był ów październik. Zaledwie ogłoszono nominację nowego rządu, Bobrzyński zażądał od Koerbera wydania „pisma odręcznego“ cesarskiego w sprawie autonomji galicyjskiej. Szef rządu poruczył opracowanie pisma Bobrzyńskiemu, który swój bruljon pisma cesarskiego przyniósł nam na komisję parlamentarną do poufnego przejrzenia. Po przyjęciu niektórych poprawek z naszej strony, udał się minister na Herrengasse 7, gdzie ustalono dla Rady ministrów i cesarza tekst ostateczny w komitecie ministrów, złożonym pod przewodnictwem szefa, z Bobrzyńskiego, z ministra spraw wewnętrznych i ministra sprawiedliwości. Wyrósł tym sposobem akt cesarski datowany

z d. 4. XI. 1916, w którym zawarte było zasadnicze postanowienie wyodrębnienia Galicji z nowym dla nas dodatkiem, że to wyodrębnienie ma nastąpić „w drodze legalnej" („auf gesetzlichem Wege"). Słowa na pozór całkiem naturalne i niewinne, a jednak pełne niebezpieczeństw dla naszej sprawy. Bo trzeba wiedzieć, że przez cały czas rządów bezparlamentarnych hr. Stuergkha Niemcy austrjaccy omawiali z nim plan i uzyskali u niego zgodę na ten plan, ażeby rząd wyjednał u monarchy patent absolutystyczny, którym miały być w drodze „octrois" wydane ustawy: o zmianie regulaminu w parlamencie, o uregulowaniu stosunków czesko-niemieckich i o wyodrębnieniu Galicji. Te zamiary niekonstytucyjne nie były wcale tajne, lecz znane całemu światu a więc i nam Polakom; a jakkolwiek meritum wyodrębnienia Galicji w koncepcji Niemców austrjackich było, jak obaczymy, bardzo chude, to jednak przyjmowaliśmy dla tej sprawy z radością zasadę „octrois", wiedząc bardzo dobrze, że w parlamencie w „drodze legalnej" nie znajdzie się pod żadnym warunkiem przepisana konstytucją większość $^2/_3$ głosów za wyodrębnieniem, któremu się muszą sprzeciwiać namiętnie Rusini i Czesi. Dlatego to słowa „auf gesetzlichem Wege", umieszczone w piśmie odręcznem przez Koerbera samego, planującego zwołanie parlamentu, były dla sprawy autonomji prawie zabójcze. Poszedłem więc do niego, ażeby sprawę omówić krytycznie; przedstawiłem mu, że na drodze parlamentarnej autonomja nie przyjdzie do skutku. Opierał się, wił się, kręcił p. Koerber, ale mówił tak nie jasno i tak nie dokańczał w rozmowie zdań porozpoczynanych, że znowu strzeliła mi do głowy myśl, jakby pewnego osłabienia... Jak długo zresztą jeszcze nie zwołano Rady Państwa, była to sprawa sporna dość niewinna; wszak jeszcze we dwa miesiące później, w styczniu 1917 r., oświadczył mi już młody cesarz, że autonomja dla Galicji musi być zarządzona „auf imperialistischem Wege". Jak natomiast było w maju 1917 r., gdy min. spr. zagr. Czernin na dowód demokratycznej cechy

monarchji wobec Ententy, zażądał faktycznego zwołania parlamentu, zobaczymy później.

Tymczasem pojawiło się, jak wspomniałem, pod datą 4. XI. 1916 pismo odręczne cesarskie o wyodrębnieniu Galicji — data wcześniejsza dla ochrony treści późniejszych manifestów, zaś pod datą 5. XI. wyszły dwa manifesty obu cesarzy (austrjackiego i niemieckiego) o utworzeniu z Kongresówki niezawisłej Polski jako monarchji konstytucyjnej. Zbyt ważne były to akty, żeby społeczeństwo polskie w Galicji mogło przejść nad nimi obojętnie; nareszcie słowa „Polska niezawisła“ miały za nadto uroku nieznanego od lat 150, by reprezentacja polska mogła się wobec nich zachować biernie. W Krakowie, który był w owych czasach duchową stolicą kraju, rozszerzał się entuzjazm z powodu manifestów; a wysłany do mnie Antoni Wodzicki doniósł mi o tem i objął misję przygotowania w Krakowie programu na uroczyste posiedzenie Koła sejmowego (Sejm i obie Izby Rady Państwa), które wyznaczyłem na 10 listopada. Przed wyjazdem z Wiednia przygotowałem projekt mowy, którą miałem odczytać na uroczystem święcie. Przybywszy w czas d. 8. XI. rano do Krakowa, udałem się najprzód zaraz rano do proboszcza kościoła NP. Marji, najprzewiel. ks. arcybiskupa Simona z prośbą o odprawienie uroczystego nabożeństwa w kościele Marjackim przed posiedzeniem jutrzejszem. Spędziłem nadzwyczaj miłą chwilę u tego najczcigodniejszego kapłana-męczennika z pod zaboru rosyjskiego, podziwiając jego głęboki rozum w tak bardzo podeszłym wieku. Ztamtąd pojechałem do księcia biskupa Sapiehy, ażeby go zaprosić na jutrzejszą uroczystość; o nabożeństwie na Wawelu nie marzyłem już po doświadczeniu z ostatniego kwietnia. Ponieważ zresztą doszły mnie słuchy, że książe biskup, prawdopodobnie pod wpływem ks. arcyb. Teodorowicza, pragnie propagować myśl unji personalnej Austrji z Polską, ośmieliłem się wyrazić wobec niego prośbę, by najdostojniejszy episkopat raczył w tej sprawie czysto świeckiej i politycznej pozostawić inicjatywę Kołu polskiemu... W ratuszu

radziliśmy już za udziałem nowego ministra dla Galicji nad mojemi projektami i uroczystą mową na temat Polski niezawisłej i adresu dziękczynnego dla cesarza Franciszka Józefa za pismo odręczne w sprawie wyodrębnienia Galicji. Było to 8. XI. wieczorem. Powstało przytem tyle wątpliwości stylistycznych, że musieliśmy uchwałę odroczyć do dnia następnego. Załatwiłem to w ten sposób, że po południu zaprosiłem do siebie posła Loewensteina, głównego oponenta i wielkiego stylistę i z chęcią przyjąłem do mego tekstu kilka bardzo pięknych ustępów z jego projektu. Tak uzupełniony mój tekst przemowy został pod wieczór przyjęty ostatecznie. Jeszcze tylko na drugi dzień rano, tuż przed posiedzeniem, domagał się ktoś z posłów (osobę zapomniałem), w mojej obecności od sekretarza Jabłońskiego tak natarczywie jakiejś zmiany, że stąd powstała bez skutku dla tekstu niejaka awantura. Co się zaś tyczy adresu do cesarza, to stanęło w ciągu dnia 9. XI. na tem, że będzie uchwalony jutro na zgromadzeniu jeno fakt wysłania adresu, który ja mam ostatecznie wypracować. A ja ze swej strony zaprosiłem do siebie jeszcze po kolacji 9. XI. kilkunastu z kolegów i zasięgnąłem u nich rady w sprawie treści adresu.

W dniu 10. XI. 1916 r. o godz. 10 rano odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele Marjackim; ponieważ Koło urządzało je, przeznaczono dla mnie wielki fotel w środku kościoła tuż przed wielkim ołtarzem; po obu moich bokach siedzieli marszałek Niezabitowski, minister Bobrzyński. Nabożeństwo odprawił ks. arcybiskup z wielką uroczystością; kazanie bardzo patrjotyczoie wypowiedział ks. biskup Pelczar z Przemyśla. Od g. 11 zaczęła się zapełniać wielka sala rady miejskiej gośćmi pierwszorzędnymi, ze świata kościelnego i politycznego. Tym razem pojawił się wreszcie cały episkopat; pojawili się wszyscy prawie posłowie i członkowie Izby panów. Z wielkiem wzruszeniem, z głębokiem poczuciem wielkiej chwili dziejowej, która mnie przypadkowo wyniosła na jedną z fal najwyższych, odczytałem akt prawdziwie podniosły i historyczny. Na

mój wniosek uchwalono jednogłośnie obu cesarzom wdzięczność za manifesty z d. 5. XI., a zarazem uchwalono wysłać do cesarza Franciszka Józefa adres dziękczynny za pismo odręczne z dnia 4. XI. Po uchwale wniosłem okrzyk od półtora wieków nie słyszany: „Niech żyje Polska wolna i niezawisła!“ po którego entuzjastycznem przyjęciu muzyka odegrała hymn „Boże coś Polskę“ i mazurek „Jeszcze Polska nie zginęła“. Poczem zamknąłem pamiętne posiedzenie, ostatnie wogóle, jakiemu w życiu przewodniczyłem w Krakowie.

Powróciwszy do Wiednia, zabrałem się zaraz do ostatecznej stylizacji adresu dziękczynnego; ale wiadomości, które nas już w Krakowie dochodziły o niepomyślnym stanie zdrowia cesarza, potwierdziły się w sposób zastraszający. Nie było już czasu przedstawić adresu wspaniałomyślnemu monarsze. W dniu 21 listopada 1916 r. zamknął oczy na wieki monarcha, któremu historja przyzna — mimo rozpadnięcia się za jego następcy monarchji — z pewnością wszystkie zalety najcelniejsze: wielki rozum, ogromne doświadczenie, niesłychaną pamięć, szczególniejszy zmysł dyplomatyczny, wszystko to, co razem stanowi cechę wielkiego monarchy, w połączeniu z najdobrotliwszem sercem. Niejednokrotnie, kiedy Franciszek Józef żalił się przedemną na przeciążenie głowy swojej, musiałem mu powiedzieć z najgłębszego przekonania, że ma więcej rozumu, niż my wszyscy razem. Zarzucano mu brak przywiązania do ministrów! Jużciż nie mógł ich zawsze wszystkich kochać, ale nigdy ich nie opuszczał, ani z łatwością usuwał, jak to o nim opowiadano. Przeciwnie, starał się wytrwać wiernie przy ministrze; gdy się jednak przekonał, że się musi z nim rozstać dla dobra państwa, czynił to nadzwyczaj szybko, jak gdyby się bał swojej słabości. Za to pożegnanie było potem tem serdeczniejsze: wiem to z częstego doświadczenia, które za każdym razem utwierdzało we mnie najgłębszą cześć i synowską iście miłość dla tego męża, pełnego czaru niewymownego... A już dla narodu polskiego był Franciszek Józef od czasu zawarcia

przyjaźni w r. 1866 najwierniejszym aż do śmierci. Dwuletnie rządy jego następcy miały nas dopiero przekonać, kogo straciliśmy w Franciszku Józefie.

Koło polskie przyjęło zgon cesarza z głębokim żalem. Na zwołanem posiedzeniu żałobnem (w parlamencie) odczytałem w enuncjacji naszej wyrazy naszych uczuć i nie zataiłem przy końcu, że w ostatnich dwóch latach nie doznawaliśmy od zmarłego monarchy już tak skutecznej opieki, ale dodałem zarazem zgodnie z prawdą, że w tych latach i on sam cesarz doznawał skutków osłabienia swej władzy monarszej. Po przyjęciu jednogłośnie uczuć żałobnych wyraziłem z ciężkiem — przyznaję się — sercem obok kondolencji także życzenia pomyślności młodej parze cesarskiej. Dobrze się stało, żem tego nie ominął, bo, jak się dowiedziałem od panny Czerkawskiej z dworu już przez cały szereg miesięcy zarzucano mi, że Koło nie wyraziło życzeń nowemu monarsze. Zdaje się, że w kancelarji gabinetowej znalazł się jakiś Rusin, który schował czy „odłożył“ nasz telegram gratulacyjny z dnia 22 listopada 1916 r. Dopiero w lutym czy marcu odnaleziono go pod naciskiem samej cesarzowej Zyty i wtedy otrzymaliśmy bardzo zresztą suche podziękowanie, i nawet nie wprost, jak to zawsze czynił zmarły monarcha, lecz za pośrednictwem namiestnictwa wiedeńskiego. Tak to się zaraz wszystko zmieniło w stosunku do nas Polaków...! Wprost z posiedzenia żałobnego udaliśmy się wszyscy z Koła do kaplicy dworskiej, gdzie złożyliśmy własnemi rękami wieniec u stóp katafalku. Nie umiem powiedzieć z jakim żalem klęczałem u trumny człowieka, który dla mnie był zawsze ojcem i — o ile zależało od niego — dobrodziejem, a dla narodu polskiego niezachwianym w wierności opiekunem. Przyszła historja Polski, uwolniona od dzisiejszych naleciałości partyjnych, stwierdzi to kiedyś z pewnością, ile zasług około przyszłej wolnej Polski położył był cesarz Franciszek Józef, przygotowując, zgodnie z interesami dynastji, świetny narodowy i gospodarczy rozwój polskiego Piemontu, tak

niesprawiedliwie mało cenionej dziś w związku Państwa Polskiego Galicji! Opatrzność zaoszczędziła mu doczekać rozbicia monarchji i wszystkiego, czemu poświęcił pracowite szlachetne życie swoje!

Aczkolwiek nie mogłem już niestety doręczyć właściwemu adresatowi dziękczynnego adresu Koła, uważałem za swój obowiązek, wykończyć ten adres i wręczyć go młodemu cesarzowi ze stosownym dla jego osoby zakończeniem. Ale rzecz tak na pozór prosta, nie była już teraz tak łatwa do ziszczenia, jak za rządów cesarza zmarłego. Już same drogi do podobnych zamierzeń zmieniły się całkowicie z chwilą dokonanej na tronie zmiany... Jeszcze za czasów duumviratu mego z p. Jaworskim w N. K. N. miałem sposobność poznania u siebie w biurze przy Wallnerstrasse pannę Czerkawską, gorącą patrjotkę polską, pochodzącą z Galicji, zamieszkałą od szeregu lat z matką w Monachjum, gdzie znalazła z czasem wielkie zaufanie i wielkie łaski u księżniczek dworu bawarskiego. Ztamtąd rozwijały się jej stosunki polityczne tak na północ do dworu berlińskiego, jak na wschód do Wiednia, gdzie posiadła szczególne zaufanie księżnej Parma i co za tem idzie arcyksiężnej Zyty i jej małżonka, jakoteż arcyksiężnej Marji Teresy, siostry księżnej Parmeńskiej. Za czasów wszechmocnych rządów N. K. N., to znaczy przed zjednoczeniem stronnictw, panna Czerkawska niejednokrotnie była używana w sprawach polskich. Ze mną widywała się wtedy bardzo rzadko aż do drugiej połowy 1916 r. Jeszcze za życia Franciszka Józefa zgłosiła się u mnie z poufną niejako „misją". Było to w październiku, gdy Koło polskie oświadczyło się w Krakowie za utrzymaniem rozwiązania austro-polskiego i kiedy to ja zamierzałem był wyjechać do Berlina i odstąpiłem od tej myśli pod wpływem ambasadora niemieckiego. Nie jest mi całkiem jasne, zkąd panna Czerkawska wiedziała o tym zamiarze moim, dość że pewnego razu przyszła do mnie z wiadomością, że arcyks. Karol (przyszły cesarz) na niedawnej konferencji z cesarzem niemieckim w Pszczynie

walczył bardzo za utrzymaniem rozwiązania austro-polskiego i że sobie bardzo życzy, bym ja pojechał w tej sprawie do Berlina. Po kilkakrotnych takich doniesieniach odrzekłem tej damie, że ja nie widzę szans dla wyjazdu do Berlina, że jednak zdecydowałbym się nań w razie, gdyby — mimo całego zaufania w charakter panny Czerkawskiej — arcyksiążę dał mi poznać swoje życzenia bezpośrednio. Na to za kilka dni otrzymałem odpowiedź, że arcyksiążę musiał wyjechać do Siedmiogrodu i przeto nie mógł się już znieść ze mną. Wkrótce potem zmarł cesarz Franciszek Józef, a panna Czerkawska przyniosła mi wiadomość, że młody cesarz zaraz po załatwieniu spraw najpilniejszych, połączonych z objęciem tronu, zawezwie mnie na audjencję w sprawie polskiej. Bardzo mi to konwenjowało choćby tylko dlatego, żeby wręczyć monarsze zaległy adres dziękczynny. Ale zapowiedź audjencji pozostała zapowiedzią. W dzień manifestacji żałobnej Koła pytała mnie panna Czerkawska telefonicznie, czy powitaliśmy także młodą parę cesarską: na to odczytałem jej dosłownie brzmienie telegramu naszego kondolencyjnego i gratulacyjnego do cesarza. Wspomniałem już wyżej, że ten telegram „zaginął“ i mogę teraz dodać, że wiadomości o nim podawała mi panna Czerkawska imieniem „obrażonych“ rzekomo naszem milczeniem cesarstwa. Później cesarzowa wymusiła w odnośnych sferach odszukanie naszego telegramu, o czem wspomniałem wyżej. Gdy zapytałem p. Czerkawską nieznacznie, co się stało z ową zapowiedzianą audjencją, odrzekła, że cesarz obawia się przyjąć prezesa Koła polskiego, nie przyjąwszy jeszcze ruskiego(!) Zabawna ta naiwność cesarza tchnie tym samym duchem, który się już dawniej objawił wobec prof. hr. Jerzego Mycielskiego z Krakowa, gdy oprowadzał ówczesnego następcę tronu Karola po naszych skarbach narodowych w Krakowie: czy znakomity nasz Cicerone powiódł go do odnawianego zamku wawelskiego, grobów wawelskich, czy też do muzeum Czartoryskich, zawsze najgorliwsze zajęcie znalazł u arcyksięcia tylko w wypadkach, gdy natrafił na rzadką

jakąś a bezwartościową pamiątkę ruską. Panna Czerkawska dodała zresztą w dalszym ciągu swej odpowiedzi, że cesarz pomimo to pragnie mnie widzieć, bylem się doń zgłosił, a cesarzowa miała mi w tym celu doradzać bardzo stanowczo, bym się o audjencję udał nie do kogo innego, jak do nowego szefa kancelarji wojskowej, jen. Marterera, ponieważ szef kancelarji gabinetowej bar. Schiessel już ustępuje. Na takie wezwanie musiałem oczywiście napisać list pod adresem zupełnie niestosownym. Ale też ku memu wielkiemu zgorszeniu jenerał odpisał mi dość szorstko, że audjencje nie należą do niego i że zresztą mnie samemu wiadomo, że cesarz pojedynczo nie przyjmuje nikogo. Pożaliłem się o to przed panną Czerkawską i napisałem ponownie do bar. Schiessla, który jednak tymczasem w istocie był ustąpił. Spotkał go ten los na równi z całym szeregiem mężów zasłużonych, bo według zdania młodego cesarza, wypowiedzianego wobec p. Koerbera, „świat myślałby, że wszystko pozostaje po staremu, gdyby on, cesarz, pozostawił dawnych ludzi (a więc i Koerbera) na dawnych posterunkach". Miał zresztą rację jenerał Marterer co do swojej uwagi końcowej. Na moje bowiem zapytanie nowego prezesa ministrów, hr. Clama-Martinitza, o którym później, co do audjencji u cesarza, gwoli doręczenia mu adresu dziękczynnego, otrzymałem odpowiedź, że cesarz zamierza przyjąć równocześnie wszystkich prezesów stronnictw! Zapewne według alfabetu!! Już w Kole odzywały się głosy nagany z powodu postponowania Koła. Rusini byli podobno już wówczas u cesarza, za poparciem metropolity hr. Szeptyckiego, ulubieńca cesarzowej. Kołu polskiemu zaszkodził, po za polityką rutenofilską młodego cesarza, prawdopodobnie także fakt, że jego prezes stał na wiadomym indeksie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Toż z czasem wyrzekłem się już tacite przedkładania adresu, a tem samem starania się o audjencję. Ale pewnego dnia i to dopiero przy końcu stycznia 1917 r. zawiadomił mnie nagle minister Bobrzyński, że na jego żądanie

prezes ministrów wyrobił mi audjencję na jutro. (Panna Czerkawska niejednokrotnie jeszcze pojawiała się u mnie, zawsze z intencjami najlepszemi, ale bez skutku widocznego). O audjencji tej i o całym moim stosunku do cesarza Karola, a raczej o jego stosunku do Polski nie ma do opowiadania zbyt wiele, a zwłaszcza dobrego.

Nie wszystkim wiadomo, że cesarz Karol prawie nigdy nie przyjmował w Wiedniu i to, jakby się należało, w samym „Burgu". Ministrowie, którzy mieli odwagę, mówić młodemu monarsze prawdę, jak np. minister kolei bar. Banhans, zwracali wprawdzie jego uwagę na to, że publiczność szuka go w stolicy i to w starodawnym zamku cesarskim. Ale to nie pomagało: złe języki opowiadały, że cesarz, acz co chwila naradzał się z posłem Rennerem, przywódzcą socjalistów, boi się w Wiedniu rewolucji, nie mogąc pomieścić załogi ochronnej — węgierskiej! — w jedynej pobliskiej kasarni (Stiftkaserne), zajętej wówczas pod szpital. A że niedaleki cudowny Schönbrunn, istne Versailles austrjackie, nie wydawało mu się stosowne jako umiłowana przez Franciszka Józefa siedziba, przeto wyniósł się do Baden pod pozorem, że tam przeniesiono z Cieszyna Naczelną Komendę Armji (A. O. K.), której on był nominalnym, acz — przyznaję — stokrotnie lepszym i mądrzejszym (!) od Fryderyka szefem. Audjencje osób cywilnych odbywały się przeto także przeważnie w Baden, dokąd się w braku automobilu jechało przydługą koleją elektryczną. Wielu mężów stanu, bardzo zajętych, a przytem starszych lub niezbyt zdrowych narzekało słusznie na kapryśne to żądanie młodego monarchy. Owego więc dnia w styczniu 1917 r. wyjechałem koleją elektryczną tak wcześnie, by stanąć w Baden (po $1^1/_2$ godż. jeździe) około $^1/_2$5. Audjencja była wyznaczoną na 5-tą. U starego cesarza odbywało się to tak, że minister czekał przed godziną wyznaczoną jaki kwadrans u adjutanta, poczem ściśle na jedną minutę przed wyznaczoną godziną audjencji odzywał się ostry dzwonek cesarski, wzywający adjutanta

do wprowadzenia ministra. W ciągu tej minuty adjutant przeprowadzał ministra przez kilka sal, wszedł do cesarza z oznajmieniem, a wyszedłszy otworzył ministrowi drzwi na ścieżaj. Tak się działo przez lat 60 bez wyjątku w Wiedniu, Schönbrunie i Ischlu. Tak przeprowadzał mnie niejednokrotnie także oficer marynarki p. Horthy, dzisiejszy Regent węgierski. W Baden było całkiem inaczej. Zgłosiwszy się o godz. $^3/_4$ na 5, zostałem wprawdzie przyjęty zamiast przez młodego adjutanta, przez starego adj. jeneralnego, otyłego księcia Lobkowitza, ale usłyszałem prośbę niejakiej cierpliwości, ponieważ niespodziewanie nadjechała matka cesarska (arcyks. Marja Józefa, bardzo dobra, uprzejma i w zakresie spraw społeczno-narodowych czynna osoba), z którą cesarz wyjechał na krótki spacer. Naturalnie usiadłem i czekałem, aż spacer się skończył, a po nim rozpoczęła i skończyła się herbata, to znaczy aż do wyjazdu gościa. O godzinie 6-tej wieczorem rozpoczęła się audjencja, która swoją drogą trwała do godz. $^1/_2$8 i tak zajęła cesarza, że przez długi czas nie spotrzegł otaczających nas w pokoju ciemności i dopiero około 7-mej zadzwonił o światło. Rozmowa obracała się prawie wyłącznie około sprawy polskiej. Znając słowa cesarzowej Zyty, wypowiadziane przy przedstawieniu się hr. Zdzisławowej Tarnowskiej: „Mon mari et moi, en rêvant quelque fois, nous rêvons, de possède toute la Pologne", kierowałem rozmowę — cesarz bowiem nie kierował jej wcale — ku sprawom polskim. Opowiadałem mu rzeczy rozmaite. Interesowała go bardzo intryga węgierska z 1915 r. co do noty niemieckiej, bezczelność konfiskowania telegramu cesarskiego („die hätten es wagen sollen, mein Telegramm zu konfiszieren!" — wtrącił cesarz wtedy) — sprawa wyodrębnienia Galicji (Dies muss auf imperialistischem Wege erledigt werden"), sprawa namiestnika Galicji (na niekorzyść Adama Fedorowicza) itd. Wkońcu sam cesarz skierowawszy rozmowę na sprawę ruską, zapytał mnie: „Przecież pan nie zaprzeczy, że polscy starostowie krzywdzą chłopów ruskich?" Na

to odrzekłem: „Niezawodnie może się to niekiedy wydarzyć, zarówno, jak niejednokrotnie sędziowie ruscy krzywdzą szlachtę polską". „Giebt es denn ruthenische Richter in Galizien", wykrzyknął cesarz! Tableau! „Ależ Najj. Panie", odrzekłem, „w sądach powiatowych wschodniej Galicji urzędują prawie sami tylko Rusini, w sądach kolegjalnych, gdyż rezerwuje się zawsze pewną ilość posad radców dla Rusinów. Wszak te posady obsadza minister sprawiedliwości"!.. Taki to był monarcha! Co mu bajali posłowie ruscy — bo nie chce mi się wierzyć, by ks. metropolita Szeptycki rozpowiadał podobne baśnie przy częstych u cesarzowej herbatach — w to (cesarz) wierzył i nie przyszło mu na myśl, kazać sobie przedłożyć przez ministra odpowiednie wykazy. I tak do końca wierzył wszystkiemu, co mu Rusini opowiadali przeciw Polakom, — usque ad finem w jesieni 1918 roku!

Z marca na kwiecień 1917 r. widział się pan minister Bobrzyński zniewolonym, zagrozić prezesowi ministrów Clam-Martinitzowi dymisją, o ile sobie przypominam, z powodu powolnego postępu prac rządowych nad wyodrębnieniem Galicji. Myśmy w Kole byli przeciwni dymisji, szef gabinetu i cesarz także. Hr. Clam dał zresztą Bobrzyńskiemu satysfakcję w dołączonym komunikacie:

Komunikat prezydenta ministrów hr. Clam-Martinitza do ministra dla Galicji Dra Bobrzyńskiego:

„Die Regierung will für die Verwirklichung des kaiserlichen Handschreibens vom 4. November 1916 sich mit vollem Ernst einsetzen. Sie beabsichtigt, diesbezüglich sich mit dem Polenklub unverzüglich in's Einvernehmen zu setzen und ein von demselben aufzustellendes Programm in Erwägung zu ziehen und tunlichst zu berücksichtigen. Selbstverständlich wird die Regierung dabei bemüht sein, eine Annäherung beider das Königreich Galizien bewohnender Völker zu erzielen. Dabei wird sie von dem Bestreben geleitet sein, Mittel und Wege zu finden, um dem

Land Galizien die unerlässlichen Bedingungen seiner wirtschaftlichen Entwickelung und die geordnete Führung seines Haushaltes zu sichern. Bei der Regelung des finanziellen Verhältnisses Galiziens zum Staat will sie periodische Abmachungen vermeiden.

Die Regierung will sich für die Gutmachung der durch den Krieg verursachten Schäden unter gebotener Rücksichtnahme auf die Staatsfinanzen einsetzen und dabei eine dem Land in Jahresraten auszuzahlende Pauschalsumme in Aussicht nehmen, die durch Vermittlung der Landesverwaltung für die Beschädigten zu verwenden sein wird. Die Regierung ist bestrebt, auf die sofortige Auszahlung der Kriegsleistungsvergütungen ihren ganzen Einfluss zu üben. Wenn der Krieg viele Entbehrungen und Opfer mit sich bringt, so will die Regierung, dass die hartgeprüfte Bevölkerung Galiziens von allem verschont bleibe, was als unnötige Härte, Misstrauen oder Uebelwollen gedeutet werden könnte.

Clam-Martinitz m. p.“

Wkrótce potem szef rządu zapytał mnie telefonicznie, czy nie chciałbym pojechać w tej sprawie do cesarza. Naturalnie, że się zgodziłem i wypożyczonym od ministra skarbu Spitzmüllera automobilem udałem się — tym razem — do Laxenburga, pałacu letniego monarchów habsburskich. Znowu czekałem dość długo z powodu, że przeciągnęło się było śniadanie dworskie (!) Zaraz potem wybiegł cesarz i rozpoczął rozmowę; co do osoby Bobrzyńskiego, porozumieliśmy się szybko. Zabawną była groźba cesarza, że w razie ustąpienia Bobrzyńskiego nie zamianuje wcale następcy; przekonał się też młody pan w parę tygodni później, że nominacja taka jest jego obowiązkiem na podstawie regulaminu 1873 r. Okazało się zresztą przy tej sposobności, że ani monarcha, ani hr. Clam-Martinitz i tegoż urzędnicy nic a nic nie wiedzieli o podstawach istnienia i organizacji urzędu ministra dla Galicji! Dopiero po studjum tych aktów zamianowano później po Bobrzyńskim jeszcze Twardowskiego i Gałec-

kiego. Ale wówczas pozostał Bobrzyński ku ogólnemu zadowoleniu; w komisji parlamentarnej wypowiedziałem mu wyrazy zaufania Koła... Po tej kwestji omawiałem z cesarzem sprawę unji personalnej, o której będzie mowa później. W dalszym ciągu rozmowy wybuchał cesarz ogniem nienawiści przeciwko Niemcom, o których wspomniałem w mowie, że mają „rozum". Nie chciał im przyznać tej cnoty, ale jak z tem pogodzić „wiernopoddańcze" niemal telegramy cesarza Karola do cesarza Wilhelma?! Razem zebrawszy, była to audjencja dość pusta, co było tem zabawniejsze, że cesarzowa, zawiadomiona widocznie natychmiast o mojej audjencji, przysłała mi jeszcze wieczorem pannę Czerkawską, ażeby mnie uprzedzić, że cesarz zamierza tym razem bardzo gruntownie omówić ze mną sprawę polską i dać mi bardzo stanowcze deklaracje. Nic z tego nie urzeczywistnił i nawet wbrew wyraźnej obietnicy, nie dał mi później nic znać przez ministra Czernina (o czem później).

O deputacji Koła u cesarza w czasie pobytu jego w Krakowie pomówimy przy innej sposobności. Natomiast chciałbym wspomnieć o jednej audjencji — niedoszłej. Było to już na wiosnę 1918 r., gdy mnie odwiedził w Wiedniu młody lekarz Dr Kühnelt, syn ulubionego mego radcy z gen. dyrekcji kolei państwowych. Mieszkając stale w Baden, pozostawał on w stosunkach zażyłych z jenerałem Arz'em, szefem sztabu generalnego, następcą Conrada. Jenerał ten pragnął bardzo mnie poznać; odrzekłem, że go z przyjemnością przyjmę w domu; na to mój gość zapewnia, że Arz o tem myślał, ale cesarz tak go trzyma na uwięzi, że nie może się wydalić z Baden. Ostatecznie powiedziałem sobie, że odmawiając rozmowy, mogę w czemś zaszkodzić sprawie polskiej. Stanęło więc na tem, że państwo Kühneltowie (znałem także panią K.) zaproszą raz na herbatę popołudniową mnie i Arza. Tak się też stało. Po herbacie rozpoczął się formalny „interwiew". Jenerał chciał przedewszystkiem poznać dokładnie moje zapatrywanie na rozwiązanie sprawy polskiej, a potem chciał coś usłyszeć o sprawie południowo-

słowiańskiej. Po jakiejś godzinie tej rozmowy politycznej wyszedłem z domu przed jenerałem, musząc spieszyć na pociąg elektryczny. Zająłem miejsce w pociągu i jak się pokazało, miałem jeszcze cały kwadrans czasu do odjazdu. Za kilka minut nadbiegł do pociągu zziajany Dr Kühnelt z następującem opowiadaniem: oto po mojem odejściu jenerał, zachwycony mojemi wywodami, zawołał, że zmusi cesarza choćby groźbą dymisji, żeby mnie przyjął i wysłuchał mojej opinji w sprawie polskiej, bylem tylko ja się na to zgodził. Na to odrzekłem Dr Kühneltowi dosłownie co następuje: „Naturalnie, że na żądanie cesarza zjawię się na audjencji; ale o sprawie polskiej mówiłem z cesarzem już dwa razy bardzo obszernie i nie przekonałem go wcale, czego dowodem ciągłe zmiany w jego polityce polskiej. Natomiast bardzo chętnie pójdę do cesarza, jeżeli będzie z góry wiedział i z tem się liczył, że mu przedstawię krytykę błędnej jego polityki we wszystkich dziedzinach: w sprawach czeskich, niemieckich, południowo-słowiańskich, węgierskich i polskich. Jeżeli chce to wszystko usłyszeć, jestem do jego dyspozycji". Na to mi odrzekł Dr Kühnelt, że jen. Arz ma u cesarza wpływ nieograniczony i że jest zdecydowany przeforsować absolutnie rozmowę na warunkach, jakie ja postawię. Stanęło przeto na tem, że otrzymam z Baden telefoniczne zawiadomienie o audjencji... I tyle też było wiadomości o zamiarach cesarskich! Przewidywałem to, wiedząc, iż cesarz nie znosi krytyki, przeciwnie, otacza się ludźmi, którzy mu udzielają rad najniemądrzejszych, byle były zgodne z jego intencjami. Przegrał też cesarz Karol na tym systemie tron, i monarchję habsburską a przedewszystkiem za swoich rządów przegrał najgruntowniej sprawę polską i przyszły swój tron polski.

c) Wyodrębnienie Galicji.

Po uroczystościach listopadowych 1916 r. w Krakowie znacznie się zmniejszył wpływ Koła polskiego na sprawę budowy Polski, o ile przez to rozumiano Polskę w granicach manifestów

z dnia 5 listopada 1916 r. Z wykluczeniem Galicji od związku z Polską wykluczał się niejako także wpływ posłów galicyjskich na sprawy Polski. Ale to były tylko pozory. Formalnie rzecz stała istotnie tak, że cesarz Franciszek Józef, niestrudzony w chęciach zadowolenia narodu polskiego, postanowił dać Galicji tymczasowo odszkodowanie w formie szerokiej autonomji. Jako monarcha Austrji, której część integralną stanowiła Galicja, nie mógł jużci ani dobrowolnie bez widocznego pożytku politycznego dla swej dynastji odstąpić Galicję Polsce, rządzonej przez króla obcego, ani insynuować swoim poddanym polskim, by dążąc do oderwania Galicji, znaleźli się wobec dotychczasowego państwa i monarchy w kardynalnej kolizji. Ale przytem tak monarcha, wydający pismo odręczne z dnia 4 listopada o wyodrębnieniu Galicji, jak Koło polskie, dążące do przeprowadzenia tego pisma, mieli na myśli dalszą budowę Polski — bez widocznej szkody dla Austrji. I myśmy się w Kole polskiem nigdy z tem nie taili, że przeprowadzenie wyodrębnienia Galicji ma na celu: albo przygotowanie sprawniejszego jej połączenia z Polską w formie unji personalnej, albo przynajmniej stworzenie wzmocnionego o tyle środowiska polskości w dotychczasowej już autonomicznej i polskiej Galicji, by między nią a sąsiadującą Polską zwarły się stosunki i związały się coraz bardziej aż do chwili historycznej, która w jakiejś innej formie konstytucyjnej umożliwi złączenie. Tak myśleli wszyscy w Kole: konserwatyści i socjaliści, ludowcy i demokraci, a przez jakiś czas i endecy tak pojmowali pracę około wyodrębnienia Galicji. Zapewne, że znajdowali się w kraju politycy jak książe Witold Czartoryski, tak dalece przeciwny wpływowi Koła na sprawy Polski, że kazał w Warszawie opublikować list mój (niestety sfałszowany bez jego winy), w którym wobec księcia najlojalniej wypowiedziałem, iż skoro ciężkie stosunki będącego pod okupacją niemiecką Królestwa nie dozwalają ludności tamtejszej wyrazić otwarcie swej opinji o przyszłości Polski, musi to przynajmniej uczynić wolna pod względem politycznym Galicja. Austrjackie ministerstwo spraw

zagranicznych przestraszone wrażeniem rzekomego mego listu w Warszawie, uspokoiło się dopiero, gdy pan Ugron otrzymawszy oryginalny tekst mego listu, zatelegrafował do Warszawy ścisłą prawdę... Ta grupka polityków galicyjskich z pośród „Centrowców“ oskarżała też i Koło polskie o zrezygnowanie z Polski za „misę soczewicy“ w kształcie wyodrębnienia Galicji. Dochodziły nas wieści, że takie zdania wychodziły także z ust księcia Witolda. To też zaproszony razu jednego na komisję Koła, spotkał się ks. Czartoryski z bardzo ścisłem, bardzo energicznem i bardzo gruntownie umotywowanem zapytaniem ze strony hr. Zdzisława Tarnowskiego, na które musiał ostatecznie odpowiedzieć w duchu zgody na politykę Koła. Naturalnie co do publikacji listu, nie uważał książe Czartoryski ani wtedy, ani kiedy indziej za potrzebne wytłumaczyć się przedemną, tak jak bez wiedzy prezesa Koła wybrał się był właśnie w czasie naszych prac unifikacyjnych (1916 r.) do Szwajcarji celem wyniesienia przybyłego tam wprost z moskiewsko-patrjotycznych opałów petersburskich Romana Dmowskiego na wodza politycznego Polski wobec Ententy. Gdańsk więc, oba Śląski, a przedewszystkiem Galicja wschodnia zawdzięczały to między innymi także księciu Witoldowi, że na ich ciężkim później losie mógł pan Dmowski święcić nieszczęsne swoje trjumfy!

Praca nad wyodrębnieniem Galicji nastąpiła, gdy w grudniu 1916 r. okazało się, że rząd nie zabierze w tej pracy inicjatywy ani przez prezesa ministrów, ani przez ministra dla Galicji. W powyższym tedy duchu rozpoczęła komisja parlamentarna Koła polskiego pracę swoją. Na krótko przed tem, po objęciu tronu, cesarz Karol, zabrawszy ze sobą Koerbera, prezesa ministrów z nominacji zmarłego cesarza, w podróż do Cieszyna na konferencję w Naczelnej Komendzie Armji, już tam na miejscu oświadczył hr. Tiszie, że Koerbera usunie, o czem tenże dowiedział się za powrotem do Wiednia z telegramu Tiszy do któregoś dziennika. Koerber został usunięty, jak już wspomnia-

łem w innem miejscu, dla zasady, ażeby nie powiedziano, że wszystko zostało „po staremu". Naturalnie nie zastosowano tej zasady tak pur et simple wobec Tiszy, bo bano się stojącego za nim silnego parlamentu. Dopiero gdy się naraził dworowi, przeforsowawszy w parlamencie przeciw katolickiemu arcyks. Józefowi, ustanowienie swojej (Tiszy) kalwińskiej osoby na zastępcę palatyna przy najściślej katolickim akcie koronacyjnym, został Tisza, uwikłany w korespondencję z cesarzem co do reformy wyborczej, w dalszym ciągu usunięty. Tylko że Koerber odtąd raz czy dwa razy podobno był pytany poufnie o radę, kiedy Tisza jako przywódca stronnictwa większości, rządził dalej cesarzem i oboma rządami. Następcą Koerbera został zamianowany hr. Henryk Clam-Martinitz, jeden z przywódców prawicy w Izbie panów, z wielkiej szlachty konserwatywnej czeskiej, stojący w bliskich stosunkach z Polakami, choćby dlatego, że był synem hr. Ryszarda Clama, ongiś wiceprezydenta Izby posłów za czasów Taaffego oraz bratankiem i spadkobiercą Henryka Clama, najwpływowszego przywódcy Czechów i prawicy w tychże czasach (ongiś także centralistycznego naczelnika Galicji zachodniej w Krakowie). Nowy prezes ministrów przyszedł na Wallnerstrasse, ażeby mi się przedstawić jako prezesowi Koła w nowym swym urzędzie i prosić o poparcie Koła. Mogłem to przyrzec w zasadzie, zwłaszcza gdy mi oświadczył oficjalnie, iż młody cesarz przejmuje całe zobowiązanie cesarza zmarłego co do wyodrębnienia Galicji, proklamowanego odręcznem pismem z dnia 4 listopada 1916 r. (umyślnie na dzień przed proklamacją Polski). Kto jednak, kiedy i jak ma się zabrać do tej pracy, hr. Clam ani mi nie powiedział, ani też nie mógł tego uczynić, nie będąc wogólności wcale obeznanym z tokiem prac kierowniczych w państwie (był on tylko parę tygodni ministrem rolnictwa w gabinecie Koerbera). Praca ta miała więc przypaść ministrowi dla Galicji. Obsadzenie tej teki napotykało z początku na trudności, ponieważ p. Bobrzyński po pierwszej rozmowie z Clamem zachwiał się w postanowieniu przejścia do jego gabi-

netu. Dopiero po niejakich namowach i widocznie obietnicach zdecydował się Bobrzyński przyjąć zgodnie z życzeniami Koła propozycję Clama, która także dogadzała cesarzowi. Przedstawiwszy się Kołu jako mianowany ponownie minister dla Galicji, oświadczył p. Bobrzyński dość wyraźnie, że pragnie zabrać inicjatywę w pracach około wyodrębnienia Galicji. Powziął też w istocie plan utworzenia przy swojem biurze osobnej komisji z posłów, uczonych i urzędników, któraby miała była zabrać się do tej pracy. Gdy jednak po upływie krótkiego czasu komisja ta nie powstała, postawiłem w komisji parlamentarnej wniosek, ażeby się unała za kompetentną do stworzenia projektu konstytucji dla wyodrębnionej Galicji. Wniosek ten przyjęto, jeżeli się nie mylę, w obecności ministra, który nietylko nie sprzeciwiał się jego przyjęciu, lecz po rozpoczęciu prac stanął zaraz w szeregu najgorliwszych współpracowników konstytucji. Niechże to więc będzie tutaj dla historji stwierdzone wbrew wszelakim utartym baśniom, że konstytucję galicyjską wypracowała komisja parlamentarna Koła polskiego pod przewodnictwem prezesa (Bilińskiego), równocześnie jeneralnego sprawozdawcy i za gorliwym udziałem ministra Bobrzyńskiego!

Na mój wniosek podzieliła się komisja parlamentarna na cztery komitety (konstytucyjny, finansowy, gospodarczy i komitet odszkodowań wojennych), które wszystkie pod przewodnictwem prezesa, za najgorliwszym udziałem członków komisyj wszystkich stronnictw, pracowały prawie bez przerwy od połowy grudnia 1916 do połowy kwietnia 1917 r. Sobie przypisuję bez przechwałek zasługę, że na każde z przelicznych posiedzeń przychodziłem z gotowemi napisanemi uchwałami z poprzedniego posiedzenia i wnioskami na bieżące. Wszystkim zaś kolegom należy się zasługa tak współpracy jak i inicjatywy; w szczególności celowali: Leo i Stesłowicz z demokratów, Daszyński i Diamand z socjalistów, Kędzior, Średniawski i Bojko z ludowców, Gołuchowski i Starowiejski z zachowawców, a przedewszystkiem Głąbiński z narodowych demo-

kratów. Najwięcej inicjatywy rozwijali Leo, Diamand, Głąbiński i Bobrzyński. Do pracy tej wielkiej, iście narodowej, wciągnęliśmy z kraju cały wielki szereg najznakomitszych znawców wszelakich materyj (przy tej sposobności znawca konstytucyjny prof. Stanisław Starzyński pojednał się z dawnym namiestnikiem, min. Bobrzyńskim), a i ze strony episkopatu zyskaliśmy współudział najdostojniejszych ks. arcyb. Bilczewskiego i biskupa Pelczara, który we wspaniałej przemowie (bardzo pochlebnej także dla mnie) udzielił pracom naszym błogosławieństwo pasterskie.

Dołączając egzemplarz uchwalonej ostatecznie w komisji parlamentarnej konstytucji*), nie potrzebuję przedstawiać zbyt wielu z niej szczegółów. Podam tylko ważniejsze punkty polityczne, częstokroć bardzo sporne, a potem skreślę dalsze dzieje tej konstytucji. Oparliśmy tedy konstytucję na Sejmie dwuizbowym: Izba posłów z wyborów powszechnych czteroprzymiotnikowych (kobietom odmówiono prawa wyboru mimo gorącego poparcia ze strony pani Moraczewskiej), proporcjonalnych, ewentualnie z pomocą katastru narodowego i Izba panów ze składem bardzo skomplikowanym, mocno zwalczanym przez socjalistów. Kurje narodowe (polska i ruska) w Izbie posłów dla wyborów w łonie Sejmu i dla samoistnego budżetowania i opodatkowania narodowego na cele, nie określone finansowo ustawami (to ostatnie myśl Bobrzyńskiego). Rząd samoistny, odpowiedzialny Sejmowi, złożony z podsekretarzy stanu pod przewodnictwem kanclerza dla spraw, zastrzeżonych ustawodawstwu krajowemu. Walka formalna toczyła się co do proponowanych przezemnie określeń: „Małopolska", „ministrowie", „prezydent ministrów"; ustąpiliśmy nomenklaturze skromniejszej. Cięższa była także walka o meritum kompetencji Sejmu i rządu, a ośrodkiem jej sprawa skarbowa. Mimo widocznego niebezpieczeństwa, że na tej sprawie może się rozbić

*) Patrz na końcu książki załącznik C.

wszystko, stanęliśmy w zwartej większości przeciw ministrowi i konserwatystom za bezwzględną samoistnością skarbową. Tylko oddanie krajowi wszystkich bez wyjątku źródeł dochodu, z obowiązkiem opłacania skarbowi państwowemu pewnego stałego procentu, stosowanego do wydatków rządowych własnych (austrjackich) i wspólnych, — tylko taki system mógł nam dać i niezawisłość polityczną, dorównywającą Polsce i możność szerokiego rozwoju ekonomicznego. W tej ciężkiej walce o zasadę, którą uważałem za najwyższą zdobycz ekonomiczną i polityczną, i za którą walczyłem do ostatniej chwili, byli mi głównymi pomocnikami: Diamand, Leo i — aż do chwili opuszczenia naszej wspólnej pracy także Głąbiński, głównymi przeciwnikami: ministrowie Bobrzyński i Gołuchowski, a ku końcowi także Abrahamowicz. Zwycięstwo moich wniosków znalazło wyraz w rozdziale 13, ust. 1 konstytucji. Po za tem było porozumienie nietrudne co do spraw, które wypadało pozostawić przy państwie austrjackiem, zwłaszcza o ile wchodziły w skład spraw wspólnych austro-węgierskich (dyplomacja, wojsko), których nie zamierzaliśmy tykać. Tylko przy kolejach i prawie taryfowem była znowu walka, która się również skończyła na korzyść kraju... Podzieliliśmy kraj na „ziemie“ (bo „województwa“ także upadły) z ludnością około 1 miljon na ziemię, przyczem Lwów i Kraków miały stanowić ziemie osobne. Na czele „ziemi“ miał stać prezydent ziemski, mianowany przez rząd, przy którego boku stała „rada ziemska“ (znowu nie „sejmik“), wybierana kurjalnie, podzielona w ziemiach mięszanych na dwie kurje narodowe, z prawem budżetowem analogicznem sejmowem; z podstawą katastru narodowego podatków bezpośrednich. Każda ziemia rozpadała się na powiaty ze starostą i radą powiatową, podobnie jak w ziemiach. Gmina nie miała być pod władzą administracyjną (po długich walkach przyznano jej drobną część policji). Dla każdej sprawy dopuszczalne być miały tylko dwie instancje: powiat i ziemia, albo ziemia i ministerstwo. Orze-

czenia drugiej instancji mogły być na żądanie strony skasowane lub zrewidowane w drodze sądownictwa administracyjnego przez trybunał stanu. Na polu szkolnictwa: zniesiono na wniosek ministra Bobrzyńskiego obowiązek nauki drugiego języka krajowego, dalej przeniesiono obowiązek zakładania szkół ludowych dla mniejszości narodowych z gminy na kraj, a z drugiej strony przeniesiono ze Sejmu na rząd zakładanie szkół średnich z językiem wykładowym niepolskim (dawniej źródło walk namiętnych z Rusinami o każde gimnazjum ruskie). Postanowiono założyć zaraz uniwersytet ruski bez określenia siedziby, jakkolwiek komisja cała była za Lwowem, a tylko na żądanie posła Głąbińskiego pozostawiła to ze względów taktycznych do targu. Utrzymując język urzędowy wewnętrzny polski, dano radom ziemskim, powiatowym i gminnym prawo ustanowienia dowolnego języka urzędowego wewnętrznego dla siebie; język zewnętrzny dla stron pozostawiono decyzji każdej strony, o ile jej narodowość w odnośnym okręgu (ziemia, powiat) dosięga pełnych 10% ludności. W postanowieniach przejściowych zawarowano, że zaległe wynagrodzenia za świadczenia wojenne mają być wypłacone bezzwłocznie, że dalej na pokrycie szkód wojennych ma być wypłaconą krajowi suma ryczałtowa w wysokości wówczas jeszcze nie oznaczonej (zarządziliśmy ankietę, z której byłaby prawdopodobnie wynikła suma $3^1/_2$ miljarda koron) i że wreszcie udzielane przez skarb Wydziałowi krajowemu w czasie wojny zaliczki na zalegające u stron podatki (wówczas około 130 mil. kor.) będą odpisane bez odszkodowania.

Oto główne zasady konstytucji, objęte czternastoma rozdziałami projektu. Dla jej zrealizowania — w drodze octrois, bo w parlamencie nie było dla niej absolutnej, a cóż dopiero kwalifikowanej większości — potrzeba było zwartej zgody trzech czynników: stronnictw niemieckich, rządu i Koła polskiego. Mówię najprzód o Niemcach, bo od nich wyszło już z począt-

kiem 80-tych lat XIX-go stulecia (tak zw. program lincki)*) hasło wyodrębnienia Galicji gwoli zapewnienia większości stronnictwom niemieckim w gronie reszty stronnictw i oni też w ciągu całych rządów Stuergkha stawiali żądanie wyodrębnienia Galicji w drodze patentu cesarskiego. Niestety Stuergkh swoim powolnym sposobem, a może i z uwagi na niewyjaśniony stan sprawy polskiej, zwlekał z decyzją aż do swojej nieszczęśliwej śmierci. Jego następca Koerber, jak wspomniałem, wstawił już do pisma odręcznego słowa „w drodze ustawowej", ponieważ zamierzał zwołać zaraz Radę państwa. Nie przyszło jednak do tego, gdyż skłoniwszy młodego cesarza do pisma odręcznego, zapowiadającego przepisaną w konstytucji przysięgę cesarską na konstytucję, usunął właśnie możność wydania patentów, które tenże cesarz pragnął wydać jeszcze przed zwołaniem Rady Państwa dla Niemców w Czechach i dla nas w Galicji. To też czy tak czy owak, my liczyliśmy na drogę pozaparlamentarną, bo inaczej nie bylibyśmy mogli i to właśnie za rządów Koerbera rozpocząć prac naszych nad konstytucją, a tego samego zdania byli także i Niemcy. Toteż ich przywódzca, poseł Dr Gustaw Gross, późniejszy prezydent Izby posłów, ostatni przed jej zgonem, zgłosił się do mnie raz i drugi, ażeby wejść w stosunki z Kołem polskiem najprzód w sprawie wyodrębnienia, a później w sprawach parlamentarnych. W zasadzie byliśmy naturalnie zgodni co do konieczności wyodrębnienia; ale w treści przyszłej konstytucji galicyjskiej dzieliła nas cała przepaść. Niemcom chodziło tylko o to, ażeby się pozbyć galicyjskich posłów z parlamentu przy obradowaniu nad sprawami, w których chcieli mieć większość z pobudek narodowych: w sprawach administracji wewnętrznej, oświaty, sądownictwa i rolnictwa. Te przeto agendy miały być ich zdaniem, wydzielone dla Galicji z kompetencji Rady państwa i oddane Sejmowi względnie rządowi galicyjskiemu. Na te cele miał skarb państwa dawać skarbowi krajowemu dotację. Po zatem pozostawaliby posłowie galicyjscy

*) od miasta Linz w Austrji górnej.

w Radzie państwa tak w Izbie niższej jak wyższej, a kraj pozostawałby nadal w zupełnej zawisłości finansowej, kolejowej, przemysłowo-handlowej od państwa. Na to — odrzekłem wyraźnie i stanowczo p. Grossowi — Koło polskie i kraj przenigdy się nie zgodzą. My chcemy pozostawić nietkniętemi tak sprawy monarchji jako takiej, jak dalsze sprawy uregulowanych układem między Austrją i Węgrami, jako to: rekruty, wojsko i urządzenie ceł i podatków spożywczych, bank biletowy i traktaty handlowe z zagranicą. Pozatem musimy uzyskać absolutną niezawisłość skarbową i ekonomiczną, to znaczy: chcemy pobierać wszystkie bez wyjątku dochody państwowe, nie wyłączając dochodów z podatków spożywczych, regulowanych ugodą węgierską i chcemy mieć własną, niezawisłą politykę gospodarczą, a w szczególności kolejową, co nie wyklucza dobrowolnych umów kraju z państwem. Przekonanie to wypowiedziane z całym naciskiem wobec Grossa, miała nie tylko większość komisji parlamentarnej wraz ze mną, lecz także mieli je wszyscy przesłuchiwani przez komisję znawcy z kraju, bo tylko taka autonomja zdołałaby była zastąpić nam na krótki czas Polskę i przygotować należycie kraj do połączenia z Polską. Toż powiedziałem sobie, że od tej zasady nie odstąpię, choćby cała sprawa upadła i tego postanowienia dotrzymałem do ostatniej chwili. Poseł Gross, przyjąwszy moje wywody do wiadomości, wręczył mi paragrafowany projekt autonomji Galicji. Projekt ten jednak zawierał kilka ubliżających wprost stanowisku narodu polskiego postanowień, a ponadto żądał tak niemożliwej rzeczy, jak oddanie dla Śląska miasta Biały (z okręgiem), kiedy ja żądałem przeciwnie oddania całego Śląska cieszyńskiego dla Galicji, — że wolałem na razie schować ten projekt, aby nie wykluczyć z góry wszelkich rokowań z Niemcami. Później przedłożyłem go naturalnie Komisji. Takie zatem było wobec wyodrębnienia Galicji stanowisko Niemców, którzy widocznie przy ewentualnem głosowaniu w Izbie oświadczyliby się byli wespół z Czechami i Rusi-

nami przeciw znacznej części naszych propozycyj. To znaczy: okazałaby się zamiast przepisanej konstytucją większości kwalifikowanej nawet nie większość absolutna, lecz wprost mniejszość za naszemi wnioskami!

A jakże się zachował wobec nas rząd? O ile w ciągu pierwszych kilku miesięcy pracy naszej reprezentowanym był dla nas rząd przez min. Bobrzyńskiego, to, jak już wspomniałem, nie mogliśmy sobie życzyć gorliwszego i bardziej doświadczonego współpracownika jak był nim minister. Wszelako już i w jego osobie objawiało się „ale", które się wkońcu stało fatalnem. Pan Bobrzyński, a za nim hr. Gołuchowski nie wierzyli w możność uzyskania niezawisłości skarbowej i kolejowej. Może mieli rację, może się mogli wkońcu powołać na stanowisko całego rządu; ale to nie dowodzi niczego, bo Komisja miała najniezawodniej rację tak ze stanowiska fachowego, jak politycznego, że bez niezawisłości szkoda było czasu na pracę nad wyodrębnieniem Galicji. I dlatego muszę przy całem uznaniu wielkich narodowych zasług min. Bobrzyńskiego uczynić mu zarzut, że zamiast,choćby przeciw własnemu przekonaniu, pójść za Komisją, próbował — niezawodnie z pobudek czysto patrjotycznych — spowodować rząd do kompromisu przeciw opinji Komisji. W początkach nie było do tego sposobności. Gdy mianowicie prace nasze dojrzały już były dostatecznie, p. Bobrzyński zażądał przesłania mu naszych propozycyj do tymczasowego użytku wobec rządu. Już w tem stadjum tak go widocznie raziła nasza konstytucja, zbyt, że się tak wyrażę „państwowa" (a „Małopolska" i „ministerstwa" już były podobno znikły wtedy!), że zamiast kazać dla rządu tłumaczyć po prostu na niemieckie tekst naszych uchwał, robił z każdego działu wolne niejako wyciągi dla rządu. System ten był zupełnie bezskuteczny. Bo najprzód wywoływał zwłokę w pracy ministerstwa dla Galicji, a powtóre dawał pojedynczym ministrom pretekst do wymówki, że nie znają jeszcze właściwej treści naszych uchwał. To też wkońcu musiałem ja sam sporządzić tłumaczenie niemieckie całej

konstytucji i wręczyć ją rządowi! Ale nim to nastąpiło, ministrowie a zwłaszcza szef ich tak ślamazarnie i obojętnie zajmowali się wyciągami sporządzonemi przez ministra dla Galicji, że p. Bobrzyński czuł się zniewolony do zagrożenia dymisją.

Wszystko to zresztą działo się jeszcze w czasie, kiedy nie była zwołaną Rada Państwa, tak że mimo tekstu cesarskiego pisma odręcznego z dnia 4/XI 1916 r. można było jeszcze myśleć o wprowadzeniu wyodrębnienia w drodze octrois. Ale w marcu 1917 r. wybuchła rewolucja rosyjska, która tak silnie podziałała na mentalność powołanego tymczasem na ministra spraw zagranicznych hr. Czernina, że dla rzekomego zjednania dla monarchji ludów Ententy: najprzód przyjął uroczyście proklamowaną przez rewolucję zasadę „samostanowienia narodów", a powtóre zażądał — mimo będących w toku manifestów dla Czech i Galicji — zwołania Rady Państwa. I wobec słabości tak hr. Clam-Martinitza, jak młodego cesarza uzyskał hr. Czernin zgodę na swoje wnioski, śmiertelnie zabójcze dla monarchji. Koło polskie było zawsze zwolennikiem czynnego parlamentaryzmu i nie pochwalało antyparlamentarnej polityki hr. Stuergkha. Ale ostatecznie, stanąwszy na fakcie dokonanym tej polityki, wdrożyło prace nad nową konstytucją dla Galicji. W takiej chwili zostało zaskoczone znienacka wiadomością o zwołaniu Rady Państwa na dzień 29 maja 1917 r. Było to w drugiej połowie kwietnia, gdy konstytucja galicyjska była już gotowa i miała być wniesiona na posiedzenie Koła. Wiadomość o zwołaniu Rady Państwa zastała Komisję parlamentarną zgromadzoną przy pracy nad formą przedłożenia sprawy konstytucji Kołu późnym wieczorem. Uchwalono natychmiast zgłosić się do hr. Clama, który też przyjął nas o godz. 10-ej w nocy. Narady toczyły się około skutków prawdopodobnych zwołania parlamentu na sprawę wyodrębnienia. Prezes rządu nie zaprzeczał niebezpieczeństwa, ale mając dość pessymistyczne— jak się okazało niesłusznie — wyobrażenie o skuteczności prac parlamentu, wyraził przekonanie, że na teraz najważniejszą jest

rzeczą doprowadzenie do zgodnego między rządem a Kołem zapatrywania co do konstytucji galicyjskiej. Faktycznie nie pozostawało mi nic innego, jak zgodzić się na tę myśl, a gdy hr. Clam całkiem w duchu moich pragnień, zażądał, by to porozumienie było doprowadzone do 8-miu dni, przyklasnąłem temu bez oporu innych kolegów i stanęło na tem, że terminy ja z nim oznaczę osobiście. W dalszym zaraz ciągu naszego posiedzenia przy Wallnerstrasse omówiliśmy rzecz jeszcze do gruntu.

Na drugi dzień byłem u hr. Clama i ułożyłem, że pertraktacje Koła z rządem rozpoczną się dnia 3 maja rano i mają być ukończone, stosownie do życzenia rządu, szybko t. j. około 10—12-go maja, tak by ich wynik mógł być wniesiony na posiedzenie Koła najdalej 15 maja. Pośpiech rządu pojmowałem w ten sposób, że nie chciał się narazić, by mu Koło tuż przed 29 maja chciało narzucić swoje żądania pod groźbą obstrukcji czy też silnej opozycji. Tak też taktykę hr. Clama tłumaczyłem jemu samemu później w lipcu, gdy już nie byłem prezesem Koła. Niestety, szef rządu ani wtedy, ani przedtem nie wiedział dlaczego żąda pośpiechu; już w owej rozmowie kwietniowej pokonferencyjnej przekonałem się, że hr. Clam, który w styczniu 1917 r. przy pierwszem naszem spotkaniu nic nie wiedział o wyodrębnieniu, a w marcu przed konferencją na św. Józefa, bardzo jeszcze mało co o niem słyszał, teraz w chwili krytycznej powziął już opinję, ale zupełnie błędną. Wspomniałem już, że min. Bobrzyński nie wierzył w nasze plany skarbowe i kolejowe uważając i widocznie za swój obowiązek, przygotować w łonie rządu to, co uznał za możliwe, konferował w tym duchu z ministrami spraw wewnętrznych, skarbu i kolei. Pierwszy z nich, bar. Handl, referent konstytucyjny w łonie rządu jeszcze z czasów hr. Stuergkha, wygotował na podstawie tych konferencyj krótki projekt konstytucji, którego byśmy nie byli nigdy przyjęli. Baron Handl wiedział bardzo dobrze z obszernej rozmowy ze mną z przed kilku tygodni, że bezwzględna autonomja skarbowa jest osią naszych projektów; wówczas nie czynił mi

zbytnich objekcyj, zwłaszcza, że z całego rządu był dla wyodrębnienia najlepiej usposobiony. Jeżeli więc tym razem w swoim projekcie wyjął podatki spożywcze i monopole, niemniej podatek majątkowy z dochodów Galicji, to uczynił to widocznie, oparty na powadze Bobrzyńskiego. To też i hr. Clam, omawiając ze mną ostatecznie krótkie terminy majowe, motywował je tem, że wszakże „kompromisowe wnioski podatkowe min. Bobrzyńskiego ułatwią bardzo obrady". Ani chwili jednak nie pozostawiłem mu tej iluzji, przeciwnie, zapewniłem bardzo stanowczo, że Koło na żaden sposób nie zgodzi się na kompromis p. Bobrzyńskiego; a zdając o tej rozmowie sprawę w Komisji parlamentarnej, zaznaczyłem równie stanowczo wobec min. Bobrzyńskiego, że jego wnioski nie mają żadnej szansy.

I tak nadszedł dzień 2 maja 1917 r., na którym zgromadziliśmy się (Abrahamowicz, German, Głąbiński, Leo, Kędzior — socjaliści musieli wyjechać — pod mojem przewodnictwem) przy Herrengasse, u prezesa ministrów hr. Clama, któremu towarzyszyli min. spraw wewn. bar. Handl, min. skarbu bar. Spitzmüller, min. kolei bar. Förster i min. Bobrzyński. Na zaproszenie gospodarza przedstawiłem w $1^1/_2$-godzinnym wywodzie treść i myśl naszego elaboratu; wiedząc zaś, że rozszerzenie zakresu działania ciał i władz galicyjskich stawia zawsze władze austrjackie przed kwestją, czy i jakie czynności może „rząd" odstąpić „samorządowi", starałem się tak z tekstu pisma odręcznego z dnia 4. XI. 1916 r. jak i z jego konstrukcji politycznej przeprowadzić dowód, że jak pismo odręczne nie używa wcale wyrazu „samorząd", znanego w konstytucjach sejmowych dotychczasowych krajów (włącznie z Galicją), lecz mówi o „prawie... samoistnego zarządu swemi sprawami" („das Recht... seine Landesangelegenheiten... selbständig zu ordnen"), tak i w rzeczy samej chodzi tu o to, ażeby „rząd austrjacki centralny", odstąpił co do Galicji przeważną część swoich agend znowu „rządowi polsko-austrjackiemu we Lwowie". To znaczy: rząd sam rozdziela się na dwie części, ale

pozostaje pomimo to w Wiedniu i we Lwowie rządem austrjackim, złożonym z niemieckich a względnie polskich ministrów, mianowanych przez cesarza, a odpowiedzialnych tu i tam parlamentowi (sejmowi). Nie miało więc wcale nastąpić „rozszerzenie“ autonomji Galicji w jej znaczeniu dotychczasowem, t. j. że przez to miałyby wzrastać agendy Sejmu wzgl. Wydziału krajowego kosztem agend rządu wiedeńskiego i zawisłego od niego namiestnictwa, lecz przeciwnie miało nastąpić utworzenie osobnego dla Galicji „państwa“ z „rządem państwowym“ na czele. Że zaś te rządy miały się dostać w ręce Polaków przy udziale Rusinów, to nietylko wynikało z dotychczasowych dziejów administracji galicyjskiej, lecz było, jak znowu wyraźnie podnosi monarcha ze „wzruszonem sercem“ w piśmie odręcznem, owocem „ciężkich ofiar“, poniesionych przez ludność Galicji w czasie wojny, i miało ponadto być, co znowu zaznacza pismo cesarskie, wyrównaniem faktu utworzenia Polski bez Galicji „w chwili utworzenia nowego Państwa Polskiego i ręka w rękę z tym rozwojem“ chce cesarz nadać to prawo samoistności Galicji. Jednem słowem politycznem: miało być ukonstytuowane w Galicji „Państwo małopolskie“ pod rządami cesarza austrjackiego“. Ponieważ zaś z drugiej strony znowu pismo odręczne zastrzegało pewne ograniczenia rządów Sejmu galicyjskiego uzasadnione w „przynależności do państwowej całości“, przeto projekt nasz wyjmuje z pod zarządu i ustawodawstwa galicyjskiego pewne najważniejsze sprawy państwowe, a nawet dopuszczał wbrew zasadzie poddanie „rządu“ galicyjskiego jako niższej instancji rządowi wiedeńskiemu, o ile chodzi np. o sprawy wojskowe, celne itp. Rzecz naturalna, że w mojem exposé kładłem szczególniejszy nacisk na bezwzględną niezawiłość skarbową; że zaś hr. Clam, był, jak wiemy, zdania, iż w tym względzie będzie przyjęty „kompromis“ min. Bobrzyńskiego, przeto już z góry, dla zapobieżenia nieporozumieniom, poddałem ten znany mi z posiedzeń komisyjnych „kompromis“ bardzo stanowczej krytyce. Zakończyłem prośbą

o najszybsze traktowanie sprawy, która wskutek umowy z szefem rządu ma być już 15 maja 1917 r. przedmiotem obrad Koła. Hr. Clam odpowiadając kilku słowy uprzejmemi, wyraził żal, że z powodu jakiegoś pogrzebu, w którym rząd będzie musiał po południu wziąść udział, dzień dzisiejszy nie będzie mógł być odpowiednio zużytym, zwłaszcza, że zdaniem prezesa i bez tego ministrowie skarbu, kolei, spraw wewnętrznych będą musieli porozumieć się odrębnie z Kołem, co może nastąpić w najkrótszym czasie. Stanęło tedy na tem, że nazajutrz po południu odbędzie się konferencja z min. skarbu Spitzmüllerem.

Tymczasem dnia 3 maja rano zgłosili się do mnie w mojem biurze w parlamencie pp. Gołuchowski i Abrahamowicz, przyodziani w długie surduty czarne i z wyrazem min bardzo poważnych. Przemówił hr. Gołuchowski w tym duchu, że musi jako gorący zwolennik wyodrębnienia Galicji „wyprosić sobie bardzo stanowczo“ i zaprotestować przeciw zajętemu przezemnie stanowisku na wczorajszej konferencji u rządu, bo żaden rząd nie zgodzi się na zupełną autonomję służbową itp. Działali widocznie pod wpływem min. Bobrzyńskiego, dotkniętego moją wczorajszą krytyką. Usłyszeli jednak odemnie bardzo ostrą odpowiedź, jako, że „ja znowu wypraszam sobie bardzo stanowczo“, ażeby się mieszali w akcję odpowiedzialnego prezesa Koła, który najlepiej może ocenić, na co zdoła uzyskać zgodę Koła i kraju. Poczem rozeszliśmy się bardzo grzecznie, ale zimno, co zresztą nie popsuło naszych stosunków.

Po południu obradowaliśmy aż do późnego wieczora u ministra, który wobec nas od początku zajął stanowisko zupełnie przeciwne z uchwałami naszej komisji parlamentarnej. Zaczął przedewszystkiem wyliczać, które podatki lub opłaty mógłby nam odstąpić, a których nie. A gdy ja, wskazawszy, że już dziś potrzeby Galicji wymagają 300 milj. kor. rocznie, nie licząc przyszłych nakładów ekonomicznych, wykazałem ministrowi, że jego propozycje nie zapewniają nam nawet połowy tego dochodu, p. Spitzmüller odrzekł, że nie jest na szczegóły przygoto-

wany, że musi się porozumieć jeszcze z ministrem kolei i że dopiero wtedy poda cyfry dokładne. Zastrzegłszy nasze stanowisko zasadnicze, zgodziłem się na odroczenie. Nie omówiliśmy przytem dnia dalszej konferencji, bo min. Bobrzyński, który zresztą bardzo zręcznie i ostrożnie przedstawiał swoje plany kompromisowe, żądał dla sprawy tak pilnej natychmiastowego końca sesji. Opuściwszy ministra skarbu, zastałem w poczekalni oczekującego mnie p. Bobrzyńskiego, który zaprosił mnie tam na miejscu na odrębną rozmowę. Przytem najprzód uczynił mi wyrzut z powodu mojej krytyki niemiłosiernej; gdy go jednak zapewniłem, że nie miałem zamiaru ubliżenia mu osobiście, podał mi przyjaźnie rękę do zgody. Potem zawiadomił mnie, że na jego wniosek cesarz z cesarzową przybędą do Krakowa w dniu 7 maja i zapytał czy nie chcę się tam udać także. Odrzekłem, że skoro to być musi, pojadę. Omówiwszy rozmaite jeszcze szczegóły, rozeszliśmy się do domów.

Na dzień następny, t. j. 4 maja 1917 r. sprosiłem prezydjum Koła dla narady, czy mam jechać do Krakowa. Zdania były podzielone; ale gdy telefonicznie doniosłem o tem Bobrzyńskiemu, otrzymałem odpowiedź, że na podstawie moich słów wczorajszych zdał sprawę cesarzowi, który już zatwierdził program uroczystości z przyjęciem Koła polskiego z prezesem na czele. Mieliśmy tedy wyjechać nazajutrz wieczorem do Krakowa. Mając tym sposobem bawić jakie trzy dni poza Wiedniem, musiałem się postarać, by w naradach nad wyodrębnieniem Galicji nie było niepotrzebnej przerwy. Zaprosiłem sobie więc do telefonu ministra Spitzmüllera, ażeby zwrócić jego uwagę, iż zapowiedziana przez niego druga konferencja musi się odbyć najpóźniej dnia 8 maja, ponieważ według umowy z prezesem ministrów, a zwłaszcza na jego żądanie cała sprawa wyodrębnienia musi być wniesioną na Koło już dnia 15 maja, zaś przedtem musi się odbyć posiedzenie Komisji parlamentarnej. Na to mi odrzekł minister: „Ależ moje sprawy są tak ważne i trudne, że ja sam nie mógłbym być gotów wcześniej jak za dwa tygo-

dnie, a cóż dopiero inni ministrowie". Musiałem mu na to ponownie zwrócić uwagę, że tym sposobem upadnie cała umowa z prezesem ministrów i cała sprawa wyodrębnienia. Bar. Spitzmüller, któremu powyższe terminy nie były znane — bo hr. Clam nic nie przewidywał wczas — nie mógł mi na to nic konkretnego odpowiedzieć i istotnie z jego powodu wspomniana sprawa upadła. Ale gdy w kilka miesięcy później opowiadałem całe to zajście przy rozprawach budżetowych w Izbie panów, przybył do mnie wkrótce potem do Izby p. Spitzmüller, wówczas już nie minister, z wielkiemi wyrzutami, jakobym go niesłusznie oskarżył o ubicie sprawy wyodrębnienia. Musiałem mu przypomnieć, że to co opowiadałem w Izbie, odpowiadało dokładnie faktom. Swoją drogą odrzekł mi na to, że hr. Clam wcale tak nie rozumiał terminu, jak ja; ale wszakżeż ustalonych wspólnie dat kalendarzowych nie podobna pojmować rozmaicie, a daty te skonstatowano tak na Komisji parlamentarnej Koła z uwagą, iż rząd uniemożliwił obrady nad wyodrębnieniem, jak i na pełnem Kole w dniu 15 maja, gdzie ja sam za zgodą wszystkich ogłosiłem to samo.

I otóż przechodzę do omówienia stanowiska samego Koła wobec kwestji wyodrębnienia. Opowiedziałem już, że aż do marca 1917 r. czyli do wybuchu rewolucji rosyjskiej Komisja parlamentarna bardzo chętnie i gorliwie pracowała nad konstytucją dla Galicji. Ale najprzód nie było to jeszcze samo Koło, jeno Komisja i to działająca z własnej inicjatywy, nie z odrębnego upoważnienia Koła, a powtóre i w tej Komisji popsuły się szyki wskutek rewolucji. A stało się to nie tyle u socjalistów, którzy z wybuchem rewolucji wyrzekli się orjentacji zarówno dawnej austrjackiej, jak wyznawanej przez nich później od jesieni 1916 r. orjentacji niemieckiej, ile u Narodowej Demokracji, która przez p. Głąbińskiego kazała w liście do mnie pisanym oświadczyć Komisji, że przestaje brać udział w jej pracy około określenia stanowiska Galicji w Austrji, ponieważ sam hr. Czernin jako minister spraw zagranicznych opowie-

dział się publicznie przy zasadzie rewolucji, „samostanowienia narodów". Naród polski, — taką była nie treść, lecz tendencja p. Głąbińskiego — uznany już w swojej całkowitej państwowości przez rewolucyjny rząd Kiereńskiego, nie potrzebuje zastanawiać się nad ustrojem konstytucyjnym Galicji w Austrji, lecz ma prawo żądać jej dla niezawisłej Polski. A trzeba wiedzieć, że w czasie wielkanocnym Endecja zdołała dla tej myśli zjednać także stronnictwo ludowe, tak że i ono już również ostygło w zapale pracy nad wyodrębnieniem Galicji. Czy zresztą i o ile te dwa stronnictwa nie zasiągnęły były już w owej chwili wiadomości poufnych o szansach zwycięstw dla Ententy i w tem znalazły słuszny motyw do zmiany frontu, tego nie umiem ocenić. Większość Komisji wszelako czuła i wiedziała dobrze, że wypada jej elaborat wnieść na Koło i z tego powodu szukała bardzo gorliwie formułki ogólno-polskiej, z którąby należało łączyć konstytucję galicyjską.

Już w ciągu uroczystości listopadowych (1916) wyłoniła się w Krakowie po raz pierwszy myśl unji personalnej Polski z Austro-Węgrami w osobie monarchy wspólnego, któryby miał wnieść w ten związek dla Polski jako wiano Galicję. Gdy wkrótce po śmierci cesarza Franciszka Józefa musiał ustąpić z urzędu ministra spraw zagranicznych baron Burian, skompromitowany upadkiem idei austro-polskiej, dotknięty votum nieufności Koła, a młodemu cesarzowi — wówczas przynajmniej— osobiście nieznośny, następca jego hr. Ottokar Czernin, autor znakomitych, jasno przewidujących sprawozdań poselskich z Bukaresztu, chwycił się od razu myśli unji personalnej. Już w pierwszej oficjalnej rozmowie ze mną (w grudniu czy też styczniu) oświadczył mi to otwarcie, acz poufnie; a że przy tem uznał wszystkie błędy tak poprzednika swego („ich musste die polnische Frage aus dem Dreck hervorziehen" *)!), jak władz okupacyjnych w Królestwie i naczelnej komendy, ponadto zaś, już jako przyjaciel polityczny stronnictw niemieckich, zgodził

*) Musiałem sprawę polską wyciągnąć z błota.

się na myśl formy octrois wogóle i dla wyodrębnienia Galicji w szczególności, — przeto zrobił na mnie najlepsze wrażenie, którem się też podzieliłem z komisją polityczną. Zgodnie z jej życzeniem zaproponowałem hr. Czerninowi wkrótce, by przyjął u siebie nasz subkomitet, na co się minister, o sto lat postępu wyprzedzający Buriana, zgodził natychmiast. Na konferencji stwierdził fakt, że mu się powiodło wobec Niemców, jak się wyraził, „otworzyć znowu dyskusję nad kwestją polską", zamkniętą przedtem patentami listopadowemi. Nie mógł on wprawdzie ani sam, ani i z naszą zgodą, starać się o uchylenie tych patentów, uroczyście przez nas przyjętych; ale właśnie dążył dla ich uzupełnienia do unji personalnej monarchji z Polską, do której miałaby być przyłączona Galicja, tymczasem bez tego już wyodrębniona. Swoją drogą, hr. Czernin nic z tego wszystkiego nie przeprowadził, sam ubił najprzód wyodrębnienie a potem unję i stał się z czasem wrogiem Polski, którą chciał, jak sam przyznaje w swoich pamiętnikach, bez skrupułów oddać Prusakom w zamian za Alzację i Lotaryngję, okroiwszy jej terytorjum w pokoju brzeskim. Ale w czasie 1916/17 był hr. Czernin doskonałym ministrem według potrzeby ówczesnego stanu sprawy polskiej i uzyskał na owej konferencji nasze uznanie przez usta hr. Gołuchowskiego. Toż delegaci Komisji politycznej byli, podobno z wyjątkiem p. Daszyńskiego zadowoleni z konferencji; nawet, jak wspomniałem innym razem, p. Głąbiński bardzo zręcznie zaznaczył, że w Lubelskiem mimo błędów administracji wojskowej znaczne są sympatje austrjackie, za co pozwoliłem sobie wyrazić mu uznanie, co znowu on słusznie przypomniał w jednym z nieprzyjemnych listów swoich po wybuchu rewolucji rosyjskiej.

Pod temi wrażeniami odbyły się ostateczne narady Komisji parlamentarnej nad przedłożeniem elaboratu o wyodrębnieniu Galicji pełnemu Kołu. Wkońcu wyłoniła się myśl pozyskania Koła dla idei wyodrębnienia przez związanie jej z unją personalną. Udałem się tedy do ministra spraw zagranicznych, ażeby

mu przedstawić, że Koło zaczynające się wahać w swojej orjentacji austro-polskiej, dałoby się w niej naszem zdaniem wzmocnić i utwierdzić, gdybym miał upoważnienie powiedzieć na Kole publicznie, że monarchja stoi na stanowisku unji personalnej, czy też zamierza dążyć do jej urzeczywistnienia. Minister, nie dość zapewne doceniający znaczenia mego oświadczenia, zajął cokolwiek odmienne stanowisko, odpowiadające jego własnym zamierzeniom. Chciał on unji personalnej; od Niemców uzyskał był ówczas tylko otwarcie dyskusji; w ciągu tej dyskusji chciał w czasie stosownym postawić kwestję unji. Przedwczesne wyjawienie sprawy przez Koło polskie uważał przeto za rzecz niebezpieczną. Prosił mnie więc, bym dla sprawy samej, dla niepłoszenia Niemców, odstąpił od żądania swego. Cóż miałem robić? Odszedłem. Ale gdy wkrótce potem właśnie z powodu trudności z wyodrębnieniem p. Bobrzyński podał się do dymisji, a cesarz wezwał mnie do Laxenburgu, postanowiłem poruszyć tam znowu kwestję unji personalnej. A mogłem to uczynić tem pewniej, ile że, jak wspomniałem wyżej przy opisie tej audjencji, panna Czerkawska zapowiedziała mi z polecenia cesarzowej, iż cesarz zamierza mi dać bardzo stanowcze deklaracje właśnie w sprawie unji personalnej. Jakież było moje zdziwienie, gdy cesarz — musiało to być zapewne bezpośrednio po „wesołem śniadaniu“ — ani słówkiem poza sprawą Bobrzyńskiego nie wspomniał o Polsce, czy unji. Zacząłem ja tedy dyskusję, przedstawiając mu unję jako wzmocnienie idei Jagiellońskiej, które jednak samo z siebie nie może powstać, jeno może i musi być tylko wynikiem obopólnych, dynastji i narodu polskiego usiłowań. Podkreślałem konieczność żmudnej w tym kierunku pracy, którą nazwałem z poetą „des Schweisses der Edlen wert“*). Ale mimo zapowiedzi panny Czerkawskiej cesarz zachowywał się biernie. Dopiero gdy mu zwróciłem uwagę, że utrata Galicji jest nieuniknioną, a może nastąpić tylko albo w drodze unji, albo w drodze „zbrodni stanu“,

*) „godne potu szlachetnych ludzi“ (cytat z Kloptocka „Jezioro zurychskie“)

zrozumiał wreszcie, o co chodzi. Musiałem mu się naturalnie przyznać, że Czernin, acz zwolennik unji, opiera się jej otwartemu postawieniu z obawy przed Niemcami. Te obawy oczywista cesarz podzielał i właśnie wtedy tak się rozsierdził, gdym wyraził nadzieję, że Niemcy będą mieli rozum i uznają potrzebę unji dla Austrji. Wkońcu, gdy już żadnych nie mogłem się doczekać od cesarza rewelacyj, prosiłem go, by po naradzie z ministrem dał mi zezwolenie oświadczenia na Kole, iż monarchja stoi na stanowisku unji personalnej z Polską. Tylko pod tym warunkiem spodziewałem się utrzymać Koło na linji dotychczasowej. „Dobrze", odpowiedział cesarz na pożegnanie, „ja się więc naradzę i dam Panu przez Czernina odpowiedź". Wyszedłszy z audjencji, spotkałem w poczekalni Czernina, który przybył do Laxenburgu, ażeby towarzyszyć cesarzowi — jeżeli się nie mylę — do Bozen w Tyrolu. Przechodząc koło niego w chwili, gdy miał wchodzić do cesarza, opowiedziałem mu kilku słowy o mojej rozmowie w sprawie unji... I cóż się stało?! Odpowiedzi przyobiecanej tak uroczyście przez cesarza, nie otrzymałem wcale! Fakt ten nie da się usunąć. Ale może nie całkiem winien był sam cesarz. Bo oto nie długo potem, zanim jeszcze aspekta co do wyodrębnienia Galicji, spadły były do zera, radziliśmy na Komisji parlamentarnej bardzo gorąco nad tem, w jakim by „sosie" należało podać sprawę wyodrębnienia Galicji Kołu, już bardzo w klubach endeków i ludowców zdegustowanemu. Przerwaliśmy posiedzenie na chwilę, ja poszedłem — było to jeszcze na Wallnerstrasse — do mego pokoju sąsiedniego po jakiś tam akt, a za mną zebrało się tam do małego pokoju „kupą" cała prawie Komisja i po gorących nie naradach, lecz rozmowach, krzykach itp. zgodziliśmy się na rezolucję p. Daszyńskiego, przezemnie trochę przerobioną. W tej rezolucji zgodziliśmy się przedstawić Kołu w kilku zdaniach trzy etapy: rozwiązanie austro-polskie, manifesty listopadowe, wyodrębnienie Galicji wraz z unją personalną Polski z monarchją. Że do przedstawienia i uchwalenia tej rezolucji nie przyszło,

było zasługą z jednej strony pp. Clama i Spitzmüllera, z drugiej cesarza i Czernina. Bo cóżby Kołu było przyszło z uchwały o wyodrębnieniu, nie przyjętem przez rząd, i z uchwał o połączonej z tem wyodrębnieniem unji personalnej bez zapewnienia, że monarchja do niej dąży?! Dlatego to ja domagałem się był od ministra i od cesarza upoważnienia mnie do dania autorytatywnej deklaracji w imieniu rządu za unją personalną. A że na to nie otrzymałem upoważnienia, przeto czyniłem bez ogródek odpowiedzialnymi ministra i cesarza, który mi nie dotrzymał przyrzeczenia. Kiedyś później wyraziłem się z żalem przed Bobrzyńskim o tej sprawie i otrzymałem dość niejasną i wodnistą wiadomość, że wszakże Czernin wiedział, że zgodziliśmy się na rezolucję i nie potrzebował już dawać mi odpowiedzi. Wysunąłem sobie z tego wniosek, że Bobrzyński, który był obecny na owem posiedzeniu Komisji parlamentarnej, a często odwiedzał Czernina, usłyszał od niego o przyrzeczonej mi odpowiedzi, a nie zrozumiawszy kardynalnej różnicy między pożądaną przezemnie deklaracją rządu a wnioskiem rezolucyjnym Komisji parlamentarnej, uznał odpowiedź za zbędną rzecz i za załatwioną. Nie chcę przez to powiedzieć, że Bobrzyński popsuł sprawę, bo odpowiedź byłaby prawdopodobnie wypadła po myśli Czernina, ale niemniej przeto zachodzi uzasadnione podejrzenie, że własny nasz minister spowodował konfuzję w sprawie pierwszorzędnej doniosłości... Skutki tego wszystkiego objawiły się w strasznych wybuchach gniewu cesarza na rozmaitych ówczesnych kierowników Koła po tegoż uchwale z 28 maja 1917 r.; ale nikt mu nie powiedział — mnie tam już u niego nie było — że uchwała ta była jego własnem, dla nas chwalebnem, dla niego zgubnem dziełem! Ale przystąpimy teraz do działań Koła w maju owego roku!

Im bardziej zbliżało się zwołanie Rady Państwa, tem trudniejszem stawało się moje stanowisko jako prezesa Koła. Będąc jako członek Izby Panów powołany na mocy odrębnej zmiany statutu Koła na jego prezesa, byłem tak długo uznany czy też

tylko tolerowany, byłem tak długo rzeczywiście czy też tylko pozornie pożytecznym kierownikiem Koła, jak długo trzeba było w czasie wojny i w braku parlamentu bronić interesów narodu i kraju wobec rządów faktycznie absolutnych. Nie moja rzecz stwierdzać, czy to zadanie spełniłem dostatecznie; o usiłowaniach moich opowiadałem tu obszernie. Ale z chwilą, gdy miała się zebrać Izba posłów, rola moja musiała się skończyć choćby tylko dlatego, ponieważ Koło potrzebowało od tej chwili prezesa z prawem obecności w Izbie posłów, z gotowością do każdoczesnego wpływu na Koło i do każdoczesnego przemawiania w Izbie, — a do tego potrzeba było posła. To też ja dużo wcześniej, jeszcze w ciągu narad naszych na Wallnerstrasse zapowiedziałem całkiem otwarcie i oficjalnie ustąpienie moje z urzędu prezesa z chwilą zwołania Izby posłów. Koledzy moi mieli pod tym względem zdania podzielone: bliżsi mi osobiście wierzyli, iż przebywając jako prezes w kuloarach lub w jakimś pobliskim sali posiedzeń pokoju, zdołam dyrygować niejako in absentia postępowaniem Koła w Izbie; inni, a i ja byłem tego zdania, czuli słabą pozycję prezesa, który nie może w Izbie i bezpośrednio na nią i na jej stronnictwa wpływać. Środek pozornie bardzo prosty rozpisania wyborów uzupełniających w Galicji i wybrania mnie posłem, nie dał się zastosować dla braku podobnych warunków w innych krajach: toż ofiara posła Jaworskiego złożenia mandatu dla mnie, popierana wobec mnie przez hr. Zdzisława Tarnowskiego w Krakowie (w maju), byłaby bezowocną. W takim stanie rzeczy, przeciwnicy moi, których liczba wzrastała u mnie, jak u każdego zresztą prezesa, z dniem każdym byli gotowi, wprost postawić w Kole wniosek o moje ustąpienie, gdybym sam nie był tego w czas uczynił. A składało się to tak dziwnie, że gdy Rada Państwa została zwołaną na koniec maja do gmachu parlamentarnego wraz z tegoż lokalami klubowemi, mój kontrakt o lokale przy Wallnerstrasse expirował właśnie także z końcem kwietnia 1917 r. Nie bez uczucia żalu i rozczarowania Wicuś Jabłoński i ja

przeprowadziliśmy te przenosiny z domu, pełnego dumnych wspomnień, do parlamentu, gdzie przeciwnicy moi ze stronnictwa ludowego zaraz z góry zaznaczyli zupełną „republikę“ w tem znaczeniu, że prezesowi nie służy żaden pokój odrębny. Był obok sali posiedzeń Koła maleńki gabinecik z oknami na korytarz: tam odbywały się rozmaite mniejsze narady, a także i praca biurowa moja z Wicusiem. Ale w czasie jakiejś konferencji klubów poseł Długosz, patrząc na mnie, zawołał: „gdybyście nas tylko chcieli tutaj pozostawić samych, to już my się jakoś pogodzimy“. P. Jabłoński i ja wyszliśmy zaraz z tem jasnem poczuciem, żeśmy im solą w oku. Byłem też istotnie i stanowczo zdecydowany złożyć prezydjum, boć kierownictwa Koła z poza sali Izbowej nie dałoby się, sądzę, zaryzykować nawet wtedy, gdyby wszystkie kluby jednogłośnie przyjęły na siebie za to odpowiedzialność. Tymczasem klub ludowców był mi z dawna przeciwny za liczne sprawy publiczne (socjaliści) i prywatne (Kędzior, Długosz), a do tych żalów przybył jeszcze jeden, może nie całkiem niesłuszny, który zadecydował ostatecznie.

Oto w kilka dni po przeprowadzeniu się naszem do parlamentu wypadła, jak wspomniałem, podróż pary cesarskiej do Krakowa, którą miałem witać imieniem Koła na czele jego przedstawicieli. Ułożyłem najprzód bruljon przemowy mojej do cesarza, którą Bobrzyński zabrał do Clama dla recenzji i dostosowania do niej mowy cesarza. Zaproponowałem treść taką, że liczymy na to, że cesarz będzie popierał tak budowę nowej Polski, jak wyodrębnienie Galicji. Na to się zgodzono i cesarska odpowiedź była ułożona w tym duchu. Przemowa moja powoływała się jednak w obu kierunkach na przychylność i miłość cesarza Franciszka Józefa dla nas i zawierała nadzieję, że podobne uczucia z czasem powziśmie także młody cesarz.

Zgon Małżonki najukochańszej.

Warszawa dnia 4 sierpnia 1920. Nie pomnę, którego dnia lipca przerwałem powyższy ustęp, traktujący sprawy

z przed lat trzech; z r. 1917. Na każdy sposób było to przed dn. 14 lipca 1920 r., który mi przyniósł najcięższą boleść życia: stratę jedynej, idealnej, uwielbianej mojej Małżonki. Straciłem istotę najszlachetniejszą, która już 54 lat temu, bo od pierwszego poznania w dniu 28 kwietnia 1863 r., była mi źródłem niezamąconego niczem szczęścia i która, zostawszy po zaręczynach z lata 1867, w dniu 23 września 1871 r. moją żoną, przez lat niespełna 49 była celem i treścią życia mego, była mojem słońcem, moją gwiazdą przewodnią, moim całym światem. Najidealniejsza, najcnotliwsza, najwierniejsza, pełna bojaźni Bożej, pełna dobroci niewysłowionej, niezrównana towarzyszka życia, była mi krynicą niewyczerpanej dobroci i rozkoszy, była mi troskliwą opiekunką i gospodynią pracowitą, była mi w życiu publicznem nigdy nie zawodzącą doradczynią i Aniołem stróżem, była mi wiernym towarzyszem w pracy i rozrywkach, była ośrodkiem szerokiego życia towarzyskiego wśród swoich i obcych, celując słodką uprzejmością i dystynkcją, niewygasłym taktem i wielkim, rozległym głębokim, na wierze w Boga opartym rozumem, z którym szła w parze skromność, ujmująca wszystkie serca. Niemka z rodu, nie wypierająca się swego pochodzenia, była w życiu publicznem gorliwą Polką, a w życiu potocznem umiłowała język polski i ojczyznę moją. Poświęciła się też dla niej, idąc wbrew przeczuciom smutnym, za głosem Polski, która w lipcu 1919 domagała się jednogłośnie mego wstąpienia do rządu polskiego. Acz skromnie i cichutko wyraziła w ówczesnem cudownem miejscu pobytu naszego w Tullnerbach pod Wiedniem życzenie, bym nie jechał do Warszawy, zrozumiała bez szemrania moją odpowiedź, że wezwaniu Naczelnika Państwa odmówić mi nie wolno. A gdy, uzyskawszy postawione warunki, przyjąłem w dniu 31 lipca 1919 r. (dokładnie w 48 lat po pierwszej nominacji profesorem) tekę skarbu, opuściła na moje żądanie cicho i znowu bez szemrania, mimo ciężkiej już wówczas choroby, Wiedeń, w którym przeżyła ze mną najszczęśliwszych 36 lat życia (od r. 1883) i wybrała się ze mną w ciągu 48

godzin — nie, jak było naszym zamiarem pierwotnym do Lwowa, gdzie zakwitło było pierwsze, cudowne nasze życie małżeńskie wśród profesury mojej od 1871 do 1883 r., a w części do 1892 r. — lecz do Warszawy, stolicy Polski, miasta nam do ówczas nieznanego. W uczuciu szczęścia z powodu przywróconego mi w narodzie zaufania i przy znacznie na początku polepszonem zdrowiu używała rozkoszy nowej mojej władzy w państwie i naszego pobytu w ślicznej Warszawie. Gdy jednak naród po niewielu miesiącach odsądził mnie od roli „zbawcy skarbu polskiego", przyznanej mi w lipcu 1919 r. rozżaliło się chore serce drogiej towarzyszki mojej i straszna „skleroza" zaczęła postępować krokiem zatrważającym. Korzystając z ustąpienia z rządu (13 grudnia 1919 r.) poświęciłem się zupełnie pielęgnowaniu mojej nieszczęsnej męczennicy, przy pomocy wiernej sługi z Wiednia i pielęgniarki Liny Fukownej. Warszawa była mi w tem o tyle pomocną, że w mieszkaniu, ciepłem, słonecznem, na ogród prześliczny wychodzącem, zdołałem przy dobrem odżywianiu o kilka może miesięcy przedłużyć żywot tak dla mnie ukochany, w przeciwieństwie do Wiednia, gdzie w braku opału, światła i żywności wspaniałe, ale północne mieszkanie nasze mogłoby było być wprost zabójcze. Ale ostatecznie Warszawa zabrała mi najprzód 35-letnią reputację polityczną, a potem skarb mój jedyny na świecie: żonę. Dzień 13 lipca spędziła jeszcze, ale bardzo osłabiona, w krześle i bardzo czule, jakby w przeczuciu pożegnania, głaskała mnie milcząc — bo mowa już prawie całkiem była ustała — po twarzy. Z wielką trudnością ułożyliśmy ją wieczór do łóżka, w nocy stwierdziłem gorączkę, która przez dzień 14 lipca wzrastała, aż wieczorem o godz. $^1/_4$ na 10-tą rozpoczęło się konanie, przy którem z łaski Boga mogłem być obecnym. Za ciężkie 5-letnie cierpienia dał Jej Stwórca śmierć śliczną, prawie poetyczną: oddech Jej rytmiczny był jakby śpiewem łabędzim, a o $^3/_4$ na 10 godz. otworzyła oczy w najcudowniejszym przepychu tęczowym, jakby zachodzące słońce. Śliczne, jak zawsze, Jej oczy, mój podziw od pierwszego poznania

były jeszcze śliczniejsze, i wśród łez wypowiedziały pożegnanie najprzód mnie, a potem pielęgniarce i towarzyszącej nam (już od r. 1908) krewnej pannie Karli Nudera. Trzymając Ją z pomocą tych dwóch osób w ramionach swoich, szeptałem Jej przez całą $^1/_2$ godziny do ucha zamierającego, ale — jak wiadomo — bardzo czujnego, najtkliwsze słowa miłości i wierności, najgorętsze zapewnienia doznanego z Nią szczęścia. W ramionach moich skończyła życie, do moich ust całujących oddała ostatnie tchnienie, a ja sam musiałem zamknąć te Jej oczy, które były dla mnie rajem, które mi całe umajiły życie.. Ból straszny i nie do ukojenia! Ale Bóg dał był to szczęście niezwykle długie i głębokie, Bóg wziął je, niech będzie Imię Jego błogosławione!... Osamotniony nie tylko przez Jej stratę, ale i dosłownie całkiem samotny wśród służby, wspomagany tylko przez starego przyjaciela z Wiednia, p. Marjana Bogdanowicza, bez pomocy jej rodziny, zamieszkałej w Austrji i Czechach, a i mojej, zagrożonej przez bolszewików, sam, z pomocą Boską przeszedłem moją drogę golgocką i złożyłem drogie Jej zwłoki — z wyrazem na twarzy ślicznego anielskiego spokoju — w krypcie kościoła Św. Krzyskiego, ażeby je później pomieścić w grobie rodzinnym w Cieplicach, miejscu, które mi to wszystko dało, co Warszawa mi wzięła... Wiara w miłosierdzie Boskie, które dla życia ziemskiego, tam, gdzie „niema łez i rozłąki“, obiecuje ponowne połączenie serc kochających, będzie mnie utrzymywała w ciągu krótkiej zapewnie już resztki żywota mojego. A słowa powyższe, które może kiedyś ujrzą stosownie do mego stanowczego życzenia, bez uszczerbku światło dzienne w pamiętniku niniejszym, mają być skromnym tylko wyrazem tej czci, tej miłości, tej wdzięczności, jakich nie przestanę aż do ostatniego tchu życia żywić dla Niej, dla mojej żony najlepszej i najtroskliwszej, najcnotliwszej, najszlachetniejszej, niezrównanej! Oby słowa te moje, mogły dojść jeszcze teraz do Niej, tam, gdzie — wierzę w to głęboko — przypuszczoną jest

ta wysoce cnotliwa, czysta, nieskalana dusza: do Tronu Stwórcy Najwyższego! Niech będzie Imię Pańskie błogosławione!!

Warszawa, d. 23 września 1920 r. Po bolesnej przerwie przeszło dwumiesięcznej, rozpoczynam dalszy ciąg pracy mojej na arkuszu, znalezionym w Jej rzeczach, w dniu dla mnie po dniach 14 i 17 lipca najboleśniejszym: w pierwszą od Jej straty rocznicę naszych zaślubin. W dniu 23 września 1871 r. Bóg mi dał najwyższe, możebne dla śmiertelnika szczęście. Wszystkie moje prace domowe, nie wyłączając niniejszej, prowadziłem pod Jej okiem i w Jej obecności: jeszcze ostatni arkusz Nr. 229 był pisany w pobliżu Jej krzesła i pod Jej tchem ulatającym. Dziś po latach 49-u jestem człowiekiem najnieszczęśliwszym, bo rozpoczynam pracę w Jej nieobecności. Wszak Ona była dotychczas duchem obecną przy każdej mej pracy także po za domem, do każdej kreśliła mi codziennie ręką na mem czole lub na przedmiocie pracy krzyż Święty na znak błogosławieństwa!... Byłem przed chwilą u Jej trumny, złożonej tymczasowo w krypcie u Św. Krzyża: zrosiłem ją łzami gorącemi i tą rozmową duchów naszych wzmocniony, z głęboką wiarą, że duch Jej najdroższy krąży stale wokoło mnie i zastępuje mi błogosławieństwo Jej ręki dobroczynnej, błogosławionej, — poddaję się Woli Boga Wszechmocnego i w Jego Imię rozpoczynam dalszy, iście sierocy ciąg pracy mojej! Boć oto na 9 dni przed Jej niepowetowaną stratą, w dniu 5 lipca 1920 r. czytałem Jej głośno z jakiegoś pamiętnika francuskiego następujące znalezione przypadkowo i bardzo mnie rozrzewniające słowa: „Mon Dieu! je veux ce que Vous voulez, parce que Vous le voulez, comme Vous le voulez et constant que Vous le voulez"!.. Niech będzie Imię Pańskie błogosławione!

* * *

W projekcie mojej przemowy do cesarza zażądał rząd zmiany w ustępie o przyszłych cesarza uczuciach. Mianowicie

hr. Clam oświadczył, że wyrzeczenie takiej nadzieji nie jest na swojem miejscu, ponieważ młody cesarz już obecnie żywi dla nas takie same uczucia, jak jego wielki poprzednik. Naturalnie, że wskutek tego przemieniłem „nadzieję“ we „wdzięczne stwierdzenie“. Ale dzieje najbliższej przyszłości stwierdziły niestety, że chyba nawet tylko „nadzieja“ oparta była na słabych bardzo podstawach. Omówimy to później.

Ustalony w powyższy sposób tekst mojej przemowy opiewał w języku niemieckim i w tymże samym języku wygotowałem go ostatecznie! Wprawdzie w ciągu podróży do Krakowa minister Bobrzyński i poseł Leo mieli co do języka pewne wątpliwości, a podobnie w ostatniej chwili w Krakowie także brat mój Marjan w hotelu i poseł Daszyński (tuż przed przyjęciem u cesarza). Ale ja zajmowałem stale stanowisko, że jak organizacje krajowe używają wobec monarchy jezyka polskiego czyto w kraju, czy w Wiedniu, tak organizacja państwowa (Koło polskie parlamentarne) porozumiewa się z cesarzem w języku niemieckim nie tylko w Wiedniu, ale i w kraju... Za chwilę staliśmy przed monarchą. Odczytawszy mowę w języku niemieckim, wniosłem na jego cześć okrzyk w języku polskim. Cesarz odpowiedział naturalnie po niemiecku, poczem odbył przy moim współudziale cercle, mówiąc po niemiecku, a tylko z posłem Witosem (dzisiejszym prezesem rządu) w języku polskim (właściwie czeskim!)

Było to zdaje się 8 maja 1917 r. w południe, nocą wyjechałem do Wiednia, a przybyli po mnie wkrótce ludowcy orzekli, że język niemiecki użyty w Krakowie podkopał ostatecznie moje prezesostwo. Może tak było i może mieli rację, ale to było dla mnie tem lepiej, bo mogłem ustąpić z krzesła prezydjalnego w czasie najstosowniejszym. Z jednej strony rokowania o wyodrębnienie rozbite; z drugiej strony broń unji personalnej wytrącona z ręki; pozatem — co najważniejsza — ludowcy, porozumiawszy się z endekami, dowiedzieli się od nich autentycznie o szansach zwycięstwa Ententy i na rok przedtem w nie uwie-

rzyli. W takiej sytuacji rządzić Kołem z kuluarów parlamentarnych, było fizycznem niepodobieństwem. Wszakże już 28 maja 1917 r. zapadła w Krakowie uchwała koalicyjna, antyaustrjacka, której w owym czasie — między manifestami listopadowemi z 1916 r., a spodziewana na wrzesień 1917 r. Rada Stanu i Regencja — ja przynajmniej nie byłbym był w stanie zaakceptować. A coby była znaczyła moja rezygnacja z powodu takiej uchwały, skoro opozycja przeciw niej w samej dyskusji ze strony konserwatystów, połączona z głosowaniem za tą rezolucją ogłoszoną była za „zdradę". Oczywiście za „zdradę" w obliczu widoków Polski zjednoczonej, chociaż to się działo w maju 1917 r., zaś odparcie Niemców od Amiens nastąpiło dopiero w maju 1918 r., a cud nad Marną dopiero w jesieni tegoż roku!

Na posiedzeniu z dnia 14 maja 1917 r. zdałem sprawę z niepowodzenia akcji wyodrębnienia i w związku z tem wniosłem rezygnację z prezesury z uwagi na zwołanie parlamentu i brak mandatu poselskiego: uprzedziłem tem ewentualny wniosek ludowców żądający mego ustąpienia. Przyjaciele moi chcieli mnie utrzymać, ale moim warunkiem było, by wszystkie bez wyjątku stronnictwa, żądając mego pozostania, przyjęły tem samem odpowiedzialność za skutki braku mandatu poselskiego i za skutki komendy z kuloarów. Wiedziałem z góry, że ludowcy na to nie przystaną; na naradach wieczornych zapadła też najprzód uchwała odmowna ludowców (hr. Rey przyznawał mi zasługę tylko około uchodźtwa!), poczem konsekwentnie i inne stronnictwa zgodziły się na moją rezygnację. Na drugi dzień, 15 maja 1917 r. odbyło się posiedzenie pożegnalne pod przewodnictwem wiceprezesa Germana. Przemawiali: imieniem konserwatystów ks. Andrzej Lubomirski, przedstawiając wymownie moje zasługi narodowe i polityczne od młodości; imieniem demokratów poseł Leo, przypominając moją trwałą, posilającą Koło wiarę w odbudowę Polski; imieniem socjalistów mój przyjaciel Dr Diamand, chwaląc moją bezstronność w kierownictwie

i zmysł mój polityczny; imieniem swojem, a potem wskutek protestów moich przyjaciół, imieniem ludowców żegnał mnie kilku słowy oddany mi zresztą bardzo hr. Lasocki. Po mojej odpowiedzi przyjęto jednogłośnie rezygnację moją. Ale zato żaden z dzienników polskich nie chciał podać mów pożegnalnych, ani krótkiego szkicu mojej działalności przy Wallnerstrasse.

Tak więc skończyła się moja czynność pięcio-kwartałowa na posterunku prezesa Koła. Zabrawszy się zaraz w pięć dni potem do „Wspomnień“ niniejszych, przypomniałem sobie, że od 1900 r. jestem członkiem Izby Panów, w której aż do ówczas prawie wcale nie byłem czynny. Teraz przeniosłem czynność moją do tej ostatniej trybuny publicznej i wstąpiłem do organizacji polskich członków Izby Panów pod przewodnictwem hr. Agenora Gołuchowskiego.

XVI.

1917—1918: W Izbie Panów.

Organizacja polska w tej Izbie była, dzięki prezesowi, bardzo czynna i wobec poszczególnych jej członków bardzo łagodna: każdy, bez względu na barwę swoją polityczną, mógł brać udział w pracy, dlań dogodny, byle w duchu patrjotycznym, polskim.

Zaraz w początkach mego współpracownictwa zgromadził się był liczny komplet na skutek uchwał krakowskich Koła z 28 maja. Hr. Zdzisław Tarnowski tłumaczył zgromadzeniu, dlaczego konserwatyści, mimo swej opozycji, głosowali za rezolucją. Książę biskup Sapieha żądał zasadniczo wpływu Kościoła na politykę, a ks. arcyb. Teodorowicz krytykował dotychczasową politykę Koła, odmawiając jej „rozumu politycznego“. Jako b. prezes broniłem tej polityki tak energicznie i ostro, że ks. arcybiskup w drugiem przemówieniu cofnął swoje zarzuty, a nawet zapewnił, że niesłusznie jemu znowu zarzucałem kolpor-

taż owego sfałszowanego listu mego do księcia Czartoryskiego po Warszawie. Obecny na tem posiedzeniu Bobrzyński, z którym episkopat całkiem jak wiadomo endecki (z wyjątkiem ks. biskupa Przemyskiego) prowadził za czasów jego namiestnikowskich ostrą wojnę, bardzo był kontent z mojej polemiki!

Niedługo po ustąpieniu mojem z prezesostwa ustąpił hr. Clam-Martinitz z urzędu prezesa ministrów. Na krótki czas przedtem zaprosił mnie do siebie na przydługą konferencję polityczną, w ciągu której starałem mu się dowieść wielkości szkód, wynikłych z taktyki rządu co do wyodrębnienia Galicji. Hr. Clam opowiadał mi przy tej sposobności o planie bardzo dziwacznym, mianowicie ustanowienia obok ministrów fachowych i tyleż narodowych („Landsmannminister") ile jest narodowości, — niby to na wzór ministra dla Galicji, który wszakżeż był dygnitarzem „sui generis". Nie mogłem premierowi wyrazić akcesu do tej myśli. Traktowali z nim o tem reprezentanci wszystkich stronnictw, oczywista i Polacy, z natury przeciwnicy takiego „równouprawnienia" co do ministrów narodowych. Ja naturalnie już w tem nie brałem udziału, jakkolwiek cesarz powiedział wiceprezesowi Koła Germanowi, że „Biliński w najniestosowniejszej chwili złożył prezesostwo" i dopiero od niego dowiedział się, że ustąpienie nastąpiło dla braku mandatu poselskiego. Ale podobno istotnie polscy reprezentanci byli w parę dni później obecni u Clama w chwili, gdy cesarz — po rozmowie z posłem Korosecem, przywódzcą Słoweńców, późniejszym ministrem w Belgradzie — telefonicznie zażądał, by się podał do dymisji. Hr. Clam miał Polakom opowiedzieć o fakcie tym otwarcie „stante sessione". I w samej istocie hr. Clam ustąpił wtedy, robiąc miejsce najniezdolniejszemu i najnieszczęśliwszemu w swej taktyce panu Seidlerowi, którego cesarz powołał i do ostatniej chwili trzymał jako swego dawnego nauczyciela rolnictwa!.. Jeżeli przy tej sposobności przytoczę drobny epizodzik, to chciałbym z góry przypomnieć, że jeszcze za czasów hr. Stuergkha utrzymywano zasadę, iż Polacy, stojący już jedną nogą po za Austrją,

nie mogą mieć pretensji do ressortu lub wcale do prezydjum w rządzie w Austrji. W ten sposób sam hr. Stuergkh odmówił Kołu na moje ręce teki rolnictwa, zanim ją objął hr. Clam. Ale w owej chwili ustąpienia Clama ze stanowiska premiera, znalazł się poseł, doradzający powołania na czoło rządu Polaka. Był nim poseł Wassilko, bardzo zaufany przyjaciel Clama, któremu na pożegnanie doradzał gorąco, by cesarzowi nie kogo innego, jeno mnie zaproponował jako kandydata. Gdy Clam w osłupieniu zapytał, jak właśnie on Wassilko, zajadły wróg Polaków, może proponować Polaka, odrzekł Wassilko: „właśnie dlatego mogę stwierdzić, że Biliński jest najczynniejszym w parlamencie członkiem, który np. myśli Pańskie o ministrach narodowych, jeżeli je zaakceptuje, przeprowadzić zdoła do 24 godzin. Niewinna ta anegdotka, na której podobieństwo np. Dr Heilinger, jeden z najradykalniejszych posłów wiedeńskich, zawsze mnie kandydował na prezesa ministrów!

Sposób upadku hr. Clama interesował mnie jako członka Izby Panów głównie dlatego, ponieważ zaraz w lecie 1917 r. przy dyskusji budżetowej w tejże Izbie b. minister Plener bardzo ostro napadł Polaków za to, że w braku poczucia państwowego odmówili rządowi w Izbie deputowanych budżetu i skompromitowali przez to państwo w czasie wojennym. Pan Plener od owego czasu uprawiał formalny sport antypolski; a ztąd i ja jako naówczas leader polskich członków Izby prowadziłem z nim bardzo energiczną polemikę mimo całego uznania dla jego wiedzy i znajomości polityki. Już w pierwszej, jeżeli się nie mylę, mowie swojej opowiedziałem w sposób nieco humorystyczny, ku wielkiej uciesze licznie zgromadzonych słuchaczy, szczegóły upadku hr. Clama. Ubił go Korosec do spółki z cesarzem, a nie Polacy: tego starałem się dowieść. Swoją drogą hr. Clam, zamianowany przez cesarza po ustąpieniu jenerałem i gubernatorem wojskowym Czarnogóry, nie był obecny przy mojej mowie; a powróciwszy po roku, czynił mi z jej powodu gorzkie wyrzuty. Nie mogłem mu odpowiedzieć nic

innego, jak tylko, że szczegóły mojej mowy pochodzą z autentycznych opowiadań prezydjum Koła polskiego. Gdy zaprzeczył tym opowiadaniom, musiałem go przeprosić i uścisnęliśmy sobie ręce. Ale przecież prawda była chyba po naszej stronie.

We wrześniu 1917 r. zaprowadzono w Polsce dekretem cesarzy niemieckiego i austrjackiego Regencję, złożoną z trzech osób: ks. arcyb. Kakowskiego (dziś kardynała), księcia Zdzisława Lubomirskiego i pana Ostrowskiego. Polska grupa Izby Panów wyraziła Regencji hołd należny, na co nadeszła na moje ręce odpowiedź dziękczynna, podpisana przez sekretarza Regencji, uczonego księdza Chełmickiego. W Izbie Panów nadarzyła się sposobność roztoczenia sprawy polskiej: na polecenie grupy naszej przemawiałem w duchu unji personalnej. W długiej przemowie przedstawiałem wielkie błędy, jakie popełniał rząd austro-węg., a zwłaszcza naczelna komenda w okupacji austr. Królestwa i między innemi użyłem zwrotu, że armja przez swoje błędy prowadziła faktycznie politykę rusofilską. Uczyniłem to w odpowiedzi na zarzuty członka Izby jenerała Dankla, który w przemowie swojej zarzucał ludności Polskiej zdradę wobec wojsk austrjackich, podobnie jak swego czasu chciał w Tyrolu oddać pod sąd za „zdradę“ słynnego patrjotę, marszałka Sejmu tyrolskiego Katreina. Był to ten sam zarzut przeciw Królestwu, jaki równie niesłusznie podnosili przeciw ludności polskiej w Galicji arcyksiążęta Józef Ferdynand i Leopold Salwator, jakoteż ich sztaby. Tylko, że zarzut przeciwko ludności Królestwa był jeszcze mniej na swojem miejscu, bo skoro armja okupacyjna nie umiała jej sobie zjednać, to była sama sobie winną za jej zachowanie się niezbyt przyjazne. Swoją drogą jenerał Dankel, nie bardzo widocznie dowcipny, zrozumiał mój zarzut jakoby posądzenie go o „rusofilstwo“, przeciw czemu gorąco protestował, a ja mu znowu nie pozostałem dłużny odpowiedzi. Pan Plener stanął naturalnie po stronie oszczerców narodu polskiego.

Tejże samej jesieni 1917 r. bawiło sporo aktywistów w Wiedniu, między innymi prezes gabinetu Jan Kucharzewski, mąż równie światły jak zręczny, pan Simon, pan Stefan Dziewulski (mój późniejszy w Warszawie kolega z Tow. ekonomistów), książę Maciej Radziwiłł, hrabia Ronikier i inni. Wszyscy sprawiali mi zaszczyt odwiedzenia mnie w domu. Tylko księcia Janusza Radziwiłła, dyrektora spr. zagran. za późniejszego znacznie gabinetu Steczkowskiego nigdy nie mogłem poznać, będąc w czasie jego wizyt w Wiedniu nieobecnym. Z tytułu jednego z takich pobytów jesiennych mężów politycznych warszawskich w Wiedniu wydał minister spr. zagr. hr. Czernin objad, na który i ja byłem proszony. Brało w nim udział trzech podobno gości warszawskich, bez p. Kucharzewskiego, wówczas nieobecnego, a główną rolę odgrywał hrabia Ronikier. Zaraz po objedzie zabrał go gospodarz do swego biura na dłuższą konferencję, z której zdał nam p. Ronikier sprawę zaraz na schodach, gdyśmy wracali do domu. Hr. Czernin złożył wówczas wobec niego oświadczenie w sprawie granic Polski, które po raz pierwszy wywołało u mnie pewne co do dobrych chęci ministra wątpliwości. Odezwał on się w ten mniej więcej sposób: „dyplomatycznie mogę Wam dać wszelką możliwą pomoc w celu utrzymania zachodnich granic Kongresówki“ — jak wiadomo Niemcy chcieli je silnie skrócić z przyczyn rzekomo strategicznych — „ale militarnie wobec Ludendorfa nie mam żadnego wpływu. Musisz więc Pan po powrocie do Warszawy wziąść sobie do pomocy Kucharzewskiego i z nim razem wyjechać samochodem do naczelnej komendy, ażeby obrobić Ludendorfa“. To nie była chyba zbyt zachęcająca recepta ze strony energicznego ministra spraw zagranicznych. Wywołała też wielkie rozczarowanie między gośćmi z Warszawy; a i ja przychwyciłem ministra na nieostrożnym zwrocie o niebezpieczeństwie dla naszej sprawy, gdybyśmy mu nie pomagali!

Wkrótce potem wyjechał hr. Czernin na rokowania poko-

jowe do Brześcia Litewskiego, zkąd nie bez pewnej w tym pierwszym odcinku czasu aureoli powrócił na Święta Bożego Narodzenia do Wiednia. W tym czasie — podobno ostatnich dni grudnia, czy też pierwszych dni stycznia 1918 r. — odbył się u ministra objad na cześć p. Kucharzewskiego, prezesa rządu polskiego. Byłem i ja na tym objedzie, w którym wzięli udział m. i.: hr. Gołuchowski, obaj prezesowie ministrów, Wekerle i Seidler i późniejszy wiceminister polski, a mój dobry kolega, Wł. Skrzyński. Po objedzie hr. Czernin wziąwszy mnie na ubocze, odezwał się w te słowa: „widzi Pan, ja czuję w sobie dość siły, aby Niemców skłonić do oddania nam całej Kongresówki" — dwa tygodnie przedtem mówił Ronikierowi zupełnie co innego! — „ale i Polacy muszą ze swej strony pomagać. Niech Pan to powie Kucharzewskiemu, który widocznie niema chęci po temu". Przyrzekłem to i zwróciłem się ku p. Kucharzewskiemu, rozmawiającemu właśnie z hr. Gołuchowskim i Weckerlem, który próbował bezskutecznie podsuwać nam myśl owego znanego już „subdualizmu" austro-polskiego. Z panem Kucharzewskim, któremu według późniejszego opowiadania posła Jaworskiego zarzucał na Ballplatzu niechęć przyrzeczenia ze strony rządu polskiego unji personalnej, udałem się, poinformowawszy go, o co chodzi, do gospodarza, rezonującego dalej przeciw „trjalizmowi" Weckerlego i doprowadziłem go wreszcie do tego, że obiecał przyjść do mnie do mieszkania mego w celu ostatecznego omówienia formy konstytucyjnej Polski w monarchji. Wkrótce się wszyscy rozeszli: p. Kucharzewski dał mi wyjaśnienie dopiero później w obecności Regencji, a p. Weckerle dał się na drugi dzień po długiej konferencji przekonać o niemożliwości planów węgierskich. Wytłumaczyłem mu rzecz całą, jak następuje. Oto jak długo stało na porządku obrad państw centralnych t. zw. rozwiązanie austrjacko-polskie, tj. odbudowa Państwa Polskiego w związku monarchji austro-węgierskiej, można było przypuszczać, że przyszła Polska zgodzi się na ograniczenia

swojej suwerenności na podobieństwo Węgier i Austrji, to znaczy zgodzi się na wspólność przynajmniej armji, dyplomacji i traktatów handlowych. Z chwilą jednak, gdy — acz z wykluczeniem Galicji — stwarzano manifestami niezawisłe zupełnie Państwo Polskie, jest rzeczą wprost wykluczoną, ażeby się Polska wyrzekła osobnej armji i osobnego ministerstwa spraw zagranicznych, nie mówiąc już o monecie, podatkach spożywczych, cle itd. Dziś przeto możebna jest tylko forma konstytucyjnego przyłączenia niezawisłej Polski w drodze unji personalnej do monarchji, przyczem może dałoby się dobrowolnie osiągnąć pewne organa wspólne, jak np. sztab jeneralny itp. Mój gość uznał te argumenty i oświadczył, że nie będzie więcej powracał do idei subdualizmu. Zaś hr. Czernin tego samego dnia powrócił do Brześcia.

Bezpośrednio po pierwszym powrocie hr. Czernina do Brześcia — może to było ułożone umyślnie — przybyła do Wiednia Regencja Polska wprost z Berlina z wrażeniami przyjęcia uprzejmego przez cesarza Wilhelma i przemowy księcia Lubomirskiego do cesarza, która się w Berlinie podobała, ale w Wiedniu zrobiła wrażenie mniej dodatnie. Tu zresztą przyjęto Regencję całkiem inaczej, niż w Berlinie, mianowicie z wielkiemi honorami dworskiemi, z etykietą należną monarchom. Ekwipażami galowemi dworskiemi przywieziono Regentów i ich świtę z dworca do Burgu cesarskiego, gdzie ich pomieszczono w wspaniałych apartamentach cesarskich i otoczono honorami monarszemi. Widziałem ich, jadących Ringiem, chodziłem się zapisać do księgi powitalnej, brałem udział w śniadaniu „dworskiem“, przy którem pierwsze miejsce zajmował książę Zdzisław Lubomirski, ze strzelcem cesarskim za sobą, a wielkim kuchmistrzem hr. Bellegarde naprzeciw siebie przy stole. Regencja przyjmowała liczne deputacje, między innemi Koło polskie z wiceprezesem p. Daszyńskim na czele. W letnim pałacyku cesarskim w Laxenburgu odbyło się na cześć Regencji śniadanie dworskie, na którem oboje cesarstwo

zapewniali swoich gości, że pod względem wielkości i rozmiarów Polski interesa dynastji są identyczne z interesami narodu polskiego. Było to w pierwszej połowie stycznia 1918 r. Należy sobie tę datę zapamiętać, ażeby ją sobie tem dokładniej przypomnieć w miesiąc później!.. Na dwa dni przed odjazdem Regencji odbyła się u niej w Burgu tajna konferencja, w której wzięli udział: hr. Gołuchowski, hr. Adam Tarnowski, (podobno i Zdzisław), p. Bobrzyński i ja, niemniej prezes Kucharzewski i generalny sekretarz Regencji ksiądz Chełmicki. Przewodniczący ksiądz arcyb. Kakowski przedstawił nam obszernie umotywowane pytanie, która „orjentacja“ wydaje nam się dla Polski najzbawienniejszą. Gdy hr. Gołuchowski, ja i p. Bobrzyński przemówiliśmy równie obszernie za konstrukcją „austro-polską“, oświadczył ks. arcybiskup, że do tego samego przekonania doszła także Regencja, a to na podstawie jednozgodnej uchwały rządu, stwierdzonej własnoręcznemi podpisami wszystkich członków ministerstwa... Po tej konferencji odbyło się śniadanie, na którem powstała myśl wyjazdu kilku z nas do Warszawy dla propagowania idei austropolskiej. W marcu miał wyjechać Bobrzyński, na mnie zaś przypadł kwiecień. Gdy po śniadaniu w rozmowie z ks. prałatem Chełmickim zrobiłem uwagę, że nie wiem dokładnie, jaki ma być cel mojej podróży, odrzekł uczony ks. sekretarz: „Przyjazd Waszej Ekscelencji jest sam przez się programem!!“

Tak to się przedstawiały wówczas szanse rozwiązania sprawy polskiej według orjentacji austrjackiej, zmodyfikowanej na modłę unji personalnej. Jakkolwiek przy tych wizytach i obradach nie był obecnym min. hr. Czernin, brał on jednak gorliwy udział ,w przygotowaniach do zrealizowania powyższych planów. Minister zastąpił w Warszawie barona Andriana panem Ugronem, bardzo tam z czasów dawniejszych lubianym; przez niego był p. prezydent Kucharzewski wtajemniczony w plany Czernina, a ten odwrotnie w plany Kucharzewskiego. Kucharzewski przygotował wszystko, co było w jego

mocy: między innemi spowodowano — wobec braku Sejmu — we wszystkich powiatach Kongresówki wybór delegatów każdego stronnictwa. Wybrane w ten sposób około 850 osób miało się zgromadzić w niedzielę około 20 lutego w Warszawie, ażeby po krótkich naradach po prostu obwołać cesarza Karola królem polskim. Cesarz wiedział o tem i w tym duchu życzył sobie utrzymania nietykalności terrytorjalnej Królestwa. Ugron i Kucharzewski wierzyli święcie w plany Czernina i w ich uczciwość.

Pod temi to wrażeniami odbyły się wstępne obrady delegacji wspólnej austrjackiej i jej komisji dla spraw zagranicznych.

Ostatnie delegacje wspólne.

Jeszcze w grudniu 1917 r. zwołano delegacje wspólne do Wiednia; ostatnie, z r. 1914, o których już wspomniałem, obradowały w Peszcie, gdzie to odwiedził mnie był jenerał Potiorek w sprawie podróży mojej urzędowej. Przed wojną brałem w obradach obu delegacyj udział jeszcze jako wspólny minister skarbu, po wojnie zostałem wybrany do delegacji austrjackiej z Izby Panów. Na 20 członków, wybieranych z tej Izby do delegacji przyznano grupie polskiej dwa miejsca: grupa radziła obszernie nad kandydatami i wybrała wkońcu Jędrzejowicza i mnie, przeznaczając zarazem mnie do komisji spraw zagranicznych, a Jędrzejowicza do komisji wojskowej. Z wyboru byłem naturalnie bardzo zadowolony, bo stanowił summum tego, co Izba mogła dać członkowi grupy. Izba wybrała mnie pozatem wiceprezydentem delegacji, bo miejsce prezydenta przypadało z porządku odwiecznego członkowi Izby Deputowanych. We wszystkiem tem bardzo mnie popierał hr. Gołuchowski, za co mu jestem do dziś wdzięczny.

Obrady komisji dla spr. zagr. rozpoczęły się około połowy stycznia 1918 r., ażeby umożliwić wzięcie w nich udziału hr. Czerninowi, powracającemu wkrótce po raz wtóry z Brześcia Litewskiego. Było to tuż po odjeździe naszej Regencji do Warszawy. Moje stanowisko w komisji zaczęło mnie napawać pew-

nym niepokojem od chwili, gdy co do szczerości zamiarów hr. Czernina w sprawie polskiej budziły się u mnie pewne wątpliwości. Minister zaprosił był jeszcze przed rozpoczęciem prac komisyjnych wszystkich delegatów Izby Panów do siebie na konferencję, na której przedstawił poufnie szczegółowo exposé polityczne i militarne. W dyskusji zabierałem także głos, a jakkolwiek odpowiedź ministra w sprawie Litwy nie była zadowalająca, a raczej nie świadczyła o dokładnej znajomości rzeczy u ministra, to jednak po zakończeniu dyskusji zabrałem na życzenie kolegów jeszcze raz głos, ażeby wyrazić radość z powodu silnej ręki i tęgiej głowy, kierującej nawą państwową. Ale już w parę dni później doszły mnie wiadomości niepokojące. Mianowicie hr. Adam Tarnowski, równie znakomity dyplomata, jak gorący patrjota polski, wyraził wobec hr. Gołuchowskiego i mnie obawę, iż hr. Czernin nie postępuje wobec nas otwarcie w sprawie ruskiej. Dla wyjaśnienia rzeczy zamówiłem się do ministra na konferencję, na której postawiłem mu wprost pytanie co do Rusinów. P. Czernin mocno się w swej odpowiedzi zająkał, a nie dając mi odpowiedzi bezpośredniej, zapewnił, że jego tylko zasługą jest zjednanie cesarza dla naszej doktryny ruskiej; to ostatnie wydawało mi się nawet prawdopodobnem po moich rozmowach z cesarzem. Było to jednak pierwsze rozczarowanie co do Czernina. Mimoto nie było jeszcze jasnego powodu do wypowiedzenia mu przyjaźni. Przeciwnie, koledzy polscy wydelegowali mnie do subkomitetu, który miał zaproponować komisji votum zaufania dla Czernina, a w tem votum znajdował się na mój wniosek warunek, że Państwo Polskie ma być utworzone bez jakichkolwiek choćby najdrobniejszych okrojeń terytorjalnych. Przed głosowaniem, a raczej jeszcze przed rozpoczęciem posiedzenia dla głosowania zaszedł ciekawy epizod ministra z delegatem Daszyńskim, który zamierzał dodać do votum także zadanie przyłączenia do Polski Śląska Górnego z uwagi na etnograficzny program ministra. Pan Czernin oświadczył się w mojej

obecności przeciw tej poprawce, grożąc, że utrąci inaczej całą rezolucję, zawierającą nietykalność terytorjalną Polski. Na posiedzeniu dnia następnego uchwalono późnym wieczorem votum ufności. Swoją drogą w głosowaniu nie wzięli udziału członkowie komisji polskiej, pozornie dlatego, ponieważ tegoż wieczora wyjechali do Krakowa (Daszyński, Głąbiński), w rzeczywistości zaś z powodu niezadowolenia z mojej przemowy porannej *).

I tu zaczyna się niejaka — i nie pierwsza — w mojem życiu publicznem tragedja polityczna. Któż nie zrozumie, że po zajściach w czasie wizyty Regencji ja przynajmniej musiałem silniej niż ktokolwiek inny być przejęty przekonaniem o zbawienności austro-polskiego rozwiązania na podłożu unji personalnej? Ponieważ zaś w publicystyce austrjackiej nigdy jeszcze nie objaśniano bliżej tego rozwiązania, przeto postanowiłem uczynić to w mojej przemowie komisyjnej. Przytem musiałem naturalnie pamiętać o tem, że grono moich słuchaczy składało się przeważnie z Niemców, wówczas jeszcze dobrych Austrjaków. Wypowiedziawszy się więc w tym duchu przed Kołem polskiem, które mi pozostawiło swobodę opinji, przedstawiłem treść orjentacji austr. i unji personalnej i podniosłem znaczenie jej dla monarchji, która musi się na nią zgodzić choćby dlatego, że nie może się dobrowolnie skazać na nieuchronną

*) Wiedeń d. 30 października 1920 r. Po przesiedleniu się w d. 24/X do Wiednia, o czem opowiem później, miałem spełnić pierwszy, najboleśniejszy i najdroższy obowiązek, sprowadzenia zwłok najdroższych mojej najszlachetniejszej, niezrównanej małżonki z Warszawy do grobu rodzinnego w Cieplicach. Wczoraj w piątek w dniu 29 października 1920 r. oddałem z woli Bożej skarb mój najcenniejszy matce naszej wspólnej, ziemi. Bóg jeden widzi boleść straszliwą serca mego: ułożyłem Ją do snu wiekuistego obok ojca, matki i brata, zabezpieczając sobie zarazem miejsce tuż przy Jej boku, gdy Bóg mnie powoła do połączenia się z Nią tam, gdzie niema ani łez, ani rozłąki!.. Na pomniku kazałem wyryć odrazu także moje nazwisko i dzień urodzenia mego z miejscem wolnem na datę śmierci mojej. Boże zmiłuj się nademną!

utratę Galicji. W dalszym ciągu zaznaczyłem, że takie rozstrzygnięcie nie może nastąpić bez zgody przyszłego Sejmu polskiego, dodając uwagę, że ze względu na wielki z tej orjentacji pożytek dla Polski żałowałbym, gdyby Sejm miał się oświadczyć inaczej. Później przeszedłem na sprawę ruską i dowodziłem obszernie, że z uwagi na mieszaną ludność polską i ruską w Galicji wschodniej Polacy nie mogą zgodzić się na oddzielenie Galicji wschodniej, ale są gotowi do najdalszych dla Rusinów koncesyj autonomicznych. Wkońcu wezwałem ministra Czernina, by nie zawiódł naszego votum ufności. Pan Czernin w długiej przemowie na to wszystko nic nie odpowiedział i po otrzymaniu votum wyjechał nazajutrz po raz trzeci do Brześcia dla ostatecznego zawarcia pokoju.

Zanim jeszcze nadeszły wiadomości o pokoju brzeskim, spadła na moją głowę straszliwa burza w zgromadzeniu ludowem krakowskiem z d. 2/II 1918 r. Na podstawie krótkich notatek dziennikarskich ogłoszono mnie wprost za zdrajcę, uchwalono za gorliwym współudziałem pp. Daszyńskiego i Długosza straszną rezolucję, której interpretację p. Długosz przedsięwziął w artykule wstępnym „Piasta“, a cała moc listów bezimiennych wzywała mnie pod szubienicę. Wieszano mnie nawet „in effigie“ (fotografje) na latarniach... W kilka tygodni później dopiero mogłem na Kole polskiem przypomnieć, że przed zebraniem delegacyj, sam się poddawszy jako członek Izby Panów uchwałom członków delegacji z Izby deputowanych, to znaczy z Koła polskiego, przedstawiałem na Kole rozwiązanie austro-polskie jako najstosowniejsze (naturalnie z unją personalną). Wtedy Koło postanowiło zostawić delegatom wolną rękę, ale nie sprzeciwiło się wywodom moim. W międzyczasie zaś bawiła w Wiedniu Regencja, a pod wrażeniem odbytej z nią konferencji nie mogłem jużci mówić inaczej jak w duchu austro-polskim. Swoją drogą nie mogłem się na ten ostatni argument powołać na ówczesnem — podobno w marcu zebraniu — Koła, ponieważ tymczasem upadła cała orjentacja austrjacka

z powodu traktatu brzeskiego, a należne Regencji uszanowanie nie dozwalało mi, odkryć jej słabą stronę po jej klęsce brzeskiej. Wreszcie cała moja „wina“ polegała na zwrocie co do Sejmu przyszłego: „żałowałbym, gdyby inaczej uchwalił“. Pan Daszyński, który mnie na owem posiedzeniu Koła bardzo atakował, potwierdził, że użyłem owych słów. Mój Boże, był to lapsus, któregoby mi wobec dzisiejszego rzeczywistego Sejmu nie wzięto tak za złe, jak wówczas wobec przyszłego idealnego. Przyznałem się też do tej „winy“. Ale wogóle sąd w Krakowie i w Kole odbywał się tylko na podstawie króciutkich wyciągów z mowy mojej w dziennikach wiedeńskich. Że mówiłem patrjotycznie jako Polak, że wzywałem pomocy narodu niemieckiego przeciw wrogim nam, zaborczo wobec Królestwa usposobionym generałom, jak Ludendorff, że w sprawie ruskiej zastępowałem gorliwie interesa polskie, to wszystko było niczem, albo poszło w zapomnienie. Po Daszyńskim napadł mnie Skarbek opowiadaniem bajek z czasów konferencyj rusko-polskich w 1911 r. tj. przed 7-u laty: miałem się wówczas wobec Rusinów zdeklarować jako „Rusin“, a mówiłem w istocie tylko o mojem szlachectwie z Wielkiej Biliny na Rusi!; po Skarbku oświadczył się przeciw mnie także Witos, poczem na wniosek Stapińskiego Koło przyjęło większością moje tłumaczenie do wiadomości. Tak się zakończył epizod, w czasie którego nawet mój przyjaciel polityczny Dr Diamand stanął po stronie mnie przeciwnej.

Nie dziwna zresztą, że mnie mogli na Kole zasądzić, bo miałem dużo wcześniej sposobność zabrania głosu publicznie w wielkiej sprawie polskiej. Oto około 9 lutego 1918 r. nadeszła do Wiednia wiadomość o treści traktatu brzeskiego, jeszcze przed powrotem Czernina, który wyjechał wprost do Bukaresztu na „roki“ pokojowe (opowiadano sobie w Wiedniu o bacchanaljach bukareszteńskich!). W traktacie tym odstąpiono jak wiadomo przyszłej Ukrainie ziemię Chełmską, jeden z najdroższych sercu polskiemu skarbów. Oburzył się na to

cały bez wyjątku naród polski. W Królestwie ustąpił rząd Kucharzewskiego, z którym hr. Czernin przygotowywał unję personalną i podał się do dymisji poseł Ugron, któremu hr. Czernin jeszcze w ostatniej chwili kazał przez bar. Andriana przyspieszać powołanie ces. Karola na tron tej samej Polski, która wbrew tegoż monarchy zapewnieniom miała teraz być za jego uprzedniem zezwoleniem okrojoną od wschodu. W imieniu Regencji ks. Lubomirski zerwał z rządem austrowęg. wszelkie stosunki dyplomatyczne. W Galicji powstały odruchowo manifestacje, jak strajk demonstracyjny wszystkich bez wyjątku władz i organów rządowych, pochody uliczne, zrywanie orłów austr., odsyłanie orderów, nawet, jak twierdził cesarz Karol, zawieszanie tych orderów psom na szyję. W Wiedniu zerwała się burza nie tylko w Kole posłów polskich, ale i między członkami Izby Panów. Hr. Gołuchowski poszedł na własną rękę do prez. ministrów Seidlera, by mu zapowiedzieć opozycję członków Izby Panów. Członkowie ci radzili w wielkim komplecie bardzo energicznie: ks. arcyb. Teodorowicz i hr. Leon Piniński, mogli się przekonać naocznie, jak gorącym jest patrjotyzm tych okrzyczanych polityków konserwatywnych. Uchwalono bardzo ostrą opozycyjną rezolucję, którą na wspólnem naszem z Kołem polskiem posiedzeniu odczytał hr. Gołuchowski. Była ona w gruncie rzeczy ostrzejszą, aniżeli odczytana imieniem posłów rezolucja p. Daszyńskiego.

Ponieważ pod nieobecność ministra spraw zagranicznych, nie można było zwołać pełnej delegacji, zwołano posiedzenie Izby Panów. Na odbytem poprzednio posiedzeniu prawicy, której stanowiliśmy część integralną, zerwała się burza z powodu niezbyt konserwatywnej naszej opozycji: staraliśmy się wytłumaczyć kolegom obcoplemiennym niezbędną naszą politykę, ale nie mogliśmy powstrzymać ustąpienia z prawicy pewnych ultrakonserwatywnych żywiołów niemieckich, które później w niedługiem już życiu Izby Panów utworzyły frakcję osobną. W Izbie Panów

stanęła na porządku dziennym rezolucja połączonych stronnictw niemieckich centrum (br. Beck) i lewicy (ks. Auersperg) wyrażenia hr. Czerninowi votum zaufania. Myśmy musieli naturalnie przemawiać i głosować przeciw tej rezolucji: biskupi pragnęli przemawiać; na życzenie hr. Gołuchowskiego przemawiałem ja pierwszy z Polaków, potem ks. biskup przemyski Pelczar. Ks. arcyb. Teodorowicz musiał na żądanie prezydenta Izby odwoływać publicznie namiętne, jak zwykle, wycieczki swoje polityczne.

W mojej mowie, wypowiedzianej po naradzie z komisją parlamentarną Koła, gdzie ton nadawał p. Daszyński — przedstawiłem znaczenie i polskość Ziemi Chełmskiej z danemi statystycznemi, poczem gwałtownie zaatakowałem hr. Czernina, który do Brześcia nie chciał dopuścić ani wysłannika rządu ks. Kucharzewskiego, ani hr. Adama Tarnowskiego, a zato powołał posła ruskiego p. Wassilkę. Od tegoż posła, który jeszcze do ostatniej chwili zdołał swym wpływem złagodzić postanowienia traktatu co do Ziemi Chełmskiej (co nam naturalnie nie wystarczyło), dowiedziałem się, że cesarz telegraficznie naciskał na Czernina o zawarcie pokoju i równie telegraficznie zgodził się na wszelkie obcinania ziemi polskiej. Wobec hr. Tarnowskiego wyraził się cesarz, że w ziemi Chełmskiej żyje 75% Rusinów, kiedy w istocie jedynie w Hrubieszowskiem procent ich dosięga 50. Bez skrupułów przeto oświadczyłem w Izbie Panów, że z dynastją i rządem ustają wszelkie nasze stosunki i układy, że przechodzimy do najenergiczniejszej opozycji na tak długo, aż — według formułki Daszyńskiego z komisji parlamentarnej — dynastja i rząd nie powrócą do dawnej polityki polskiej: unja personalna z nienaruszonem terytorjalnie Królestwem Polskiem. I tę mowę wypowiedziałem wobec ogromnej liczby słuchaczów ze wszystkich stronnictw; a z loży poselskiej, z której przysłuchiwali się liczni koledzy z Koła, otrzymałem przez usta posła Loewensteina zapew-

nienie, że mowa ta moja stała na równi z ową mową październikową (1911) w Izbie posłów, która obaliła rząd bar. Gautscha. Opinja poważna w kraju stanęła całkiem po mojej stronie: nikomu nie przyszło na myśl powracać do mojej mowy w komisji delagacyjnej. A przecież i z okazji tej mowy otrzymałem kilka bezimiennych, jak zawsze dekretów śmierci z kraju, ponieważ zrywając stosunki z dynastją i rządem, dodałem z grzeczności frazes, że gdy nastąpi zupełny powrót do dawnej polityki polskiej, nastąpi też chwila, gdzie może znowu powrócimy do dawnych z dynastją i rządem stosunków.

W czasie tych obrad lutowych nie było nam jeszcze wiadome, że hr. Czernin prócz odstąpienia Ziemi Chełmskiej w traktacie samym, podpisał z Rusinami tajną umowę o podział Galicji i oderwanie wschodniej części jako całości samoistnej. Wiadomość o tem otrzymaliśmy dopiero znacznie później po rozmowie, którą miałem z posłem niemieckim z Izby posłów Bukowińczykiem Langehanem, obznajomionym dokładnie z akcjami hr. Czernina. Po zawiadomieniu o tem hr. Gołuchowskiego, postanowiliśmy, że z premjerem p. Seidlerem ma w tej sprawie traktować najprzód hr. Adam Tarnowski, który pierwszy wytropił był przeniewierstwo Czernina w sprawie ruskiej. Po bezowocnych rozmowach ambasadora udaliśmy się ja z p. Korytowskim do prezydenta ministrów. Dowiedzieliśmy się od p. Seidlera przedewszystkiem, że hr. Czernin przyjął wobec Ukrainy obowiązek skłonienia rządu austrjackiego do wydzielenia z dotychczasowego kraju koronnego Galicji jej części wschodniej jako osobnego kraju. Dlatego minister spraw zagran. przesłał swój układ z Rusinami przedewszystkiem do p. Seidlera, który, jak nam sam przyznał, zaopatrzył go swoim podpisem. Później podpisać go miał także prezes rządu węgierskiego Dr Weckerle. Ponieważ p. Seidler w położeniu podpisu swego zdawał się upatrywać przedewszystkiem tylko przyjęcie do wiadomości zobowiązania ministra spr.

zagr. bez dalszych zobowiązań dla prezesa ministrów, tłumacząc się, że jużci faktu przeczytania nie mógł zaprzeczyć, zaś podpisać z protestem, jak myśmy uważali za stosowne, niechciał czy niemógł, — więc zapytaliśmy, co zamierza z całą sprawą uczynić. Nie otrzymawszy odpowiedzi jasnej, zażądaliśmy, by w danym razie w kwestji przeprowadzenia podziału Galicji trzymał się drogi konstytucyjnej, to znaczy, by go traktował jako zmianę konstytucji, wymagającą specjalnej ustawy, która musiałaby być uchwaloną w obu Izbach Rady Państwa większością $^2/_3$ głosów. Kręcił się jak piskorz „czcigodny", najniezdolniejszy pod słońcem prezes ministrów; a gdyśmy mu na drugiej konferencji w dniu 20 czerwca 1918 r. przedłożyli formalną rezolucję w podanym tu tekscie*), oświadczył, że wprawdzie się na nią zgadza, ale nie może jej przyjąć, bo nie wie, czy ona odpowie życzeniom monarchy. Privatissimum o odpowiedzialności ministra za monarchę i wobec niego nie odniosło skutku.

O ile tym sposobem ustaliły się obojętne ze stanowiska polskiego losy prezydenta ministrów, ulubieńca cesarskiego, który swego monarchę dobijał konsekwentnie i w kilka miesięcy później jako dyrektor kancelarji gabinetowej dobił ostatecznie, — o tyle to mogliśmy stwierdzić rzecz najważniejszą, dla nas, że mianowicie hr. Czernin nadużył na całej linji zaufania, jakiem go tak hojnie obdarzało Koło polskie. Jeżeliby bowiem można było może jeszcze przypuścić, że ten minister, zarówno lekko-

*) Der Herr Ministerpräsident gibt dem Polenklub zu Handen des Präsidiums desselben die feierliche Erklärung:

1) dass er weder mit Verordnung des Ministeriums, noch mit neuer § 14-Verordnung, noch durch sonstige administrative Verfügung irgend welche auf die Organisation Galiziens oder dessen Verwaltung bezügliche Massregeln einleiten oder durchführen wird, bevor er hiezu nicht die Zustimmung des Polenklubs erlangt haben wird.

3) dass er alle dem Polenklub bereits wiederholt zugesagten Massregeln für den Wiederaufbau Galiziens u. die Wiederherstellung der Zivilverwaltung daselbst sofort und ohne Verzug durchführen wird.

3) Beide Erklärungen werden v. Herrn Ministerpräsidenten veröffentlicht werden.

myślny jak zdolny, nie umiał ocenić ważności sprawy chełmskiej, sprawa ruska w Galicji była mu znaną najdokładniej z licznych rozmów z nami, a w szczególności tuż przed odjazdem jego ostatnim do Brześcia była mu przypomniana bardzo stanowczo i wyraźnie przez hr. Adama Tarnowskiego i przezemnie. Działał on więc na tym punkcie z zupełną premedytacją, nie zatajając zamiarów swoich przed cesarzem. Tak mu imponowała „potęga“ przyszłego, nie istniejącego jeszcze państwa ukraińskiego, wrogiego wówczas Polsce (— r. 1920 Polska je stworzyła na chwilę z bronią w ręku! —) że skłonił cesarza do upoważnienia go (ministra) w drodze telegraficznej, by w razie potrzeby dopuścił do zmiany terytorjalnej w monarchji. Taki czy też podobny telegram czytał w Brześciu p. Wassilko, który nam swoją otwartością po powrocie z Brześcia więcej prawie okazał lojalności jako przeciwnik nasz narodowy, niż dążący do korony polskiej cesarz i jego minister. Ale mieli też wkrótce obaj skończyć swoją „karjerę“, jak zasłużyli, a Izba Panów wypowiedziała im przez moje usta należne im wyrazy oburzenia ze strony całego narodu polskiego.

A przecież pomimo to wszystko jeszcze na wiosnę tego samego roku, więc już po traktacie brzeskim, toczyły się w Wiedniu interesujące rokowania w sprawie polskiej! Była to próba najostateczniejsza: niedopisały nam dynastja i rząd, spróbowaliśmy więc jeszcze z politykami niemieckimi. Już od początku wojny zajmowali się byli wybitni politycy niemieccy dawnego autoramentu, po większej części już członkowie Izby Panów, bardzo gorąco sprawą polską. Na ich czele stał aż do ostatka mój dawny kolega i przyjaciel polityczny b. minister Baernreiter. Do jego pomieszkania przy Brahmsplatz zaglądali zmarły przedwcześnie śp. Marchet, b. minister oświaty w gabinecie Becka, zdaje mi się, że także Plener, hr. Andrassy z Budapesztu, wierny nasz przyjaciel, hr. Gołuchowski, ja, Jaworski i wielu innych. Omawiano tam zawsze odbudowę Polski w konstrukcji pierwotnej austro-polskiej: sympatje dla tej myśli były

wielkie i opierały się zawsze na zrozumiałym interesie monarchji, złączenia się konstytucyjnego z odrodzoną Polską wraz z Galicją. Konferencje te osłabły i prawie ustały z chwilą, gdy w jesieni 1916 r. monarchja musiała pod naciskiem Niemiec wyrzec się Polski jako swej przyszłej części składowej i zgodzić się na samoistne Państwo Polskie, złożone z Kongresówki bez Galicji. Ale z biegiem czasu wyłoniła się jak wiadomo, pośród Polaków myśl unji personalnej między Polską samoistną włącznie z Galicją a władcą niezmienionej w swym składzie monarchji austr.-węg. O tym pomyśle ja mówiłem w styczniu 1918 r. na posiedzeniu komisji delegacyjnej dla spraw zagranicznych, kiedy jeszcze wszystkie szanse zdawały się za nim przemawiać; to samo uczyniłem w powyższej rozprawie w Izbie Panów, gdy szanse spadły były do zera. Zaś na wiosnę wznowił ten sam pomysł minister dla Galicji Dr Juliusz Twardowski, zapraszając towarzystwo polskie na kolację do hotelu Imperialu, gdzie na jego prośbę ja znowu przedstawiłem rzecz całą w obecności prezydjum Koła polskiego, wzmocnionego obecnością hr. Ronikiera po tegoż powrocie z Berlina. Na następną kolację proszeni byli także Niemcy, jako to: Baernreiter, posłowie Langenhan, Dinghofer (burmistrz miasta Linzu, później dygnitarz w republice austr.), Friedmann, p. Waldner, podobno także burmistrz m. Wiednia Weisskirchner i inni. Ja znowu — na żądanie gospodarza i za zgodą prezydjum Koła — zagaiłem rzecz, a Baernreiter bardzo ją gorąco poparł, przedstawiając Polskę w unji personalnej z monarchją jako tejże zbawienie. Postanowiono tam wejść z posłami niemieckimi w bliższy kontakt, który przygotowałem w mojem mieszkaniu najprzód sam w obecności ministra Twardowskiego i dwóch członków prezydjum Koła: Germana i Stapińskiego, a bez Niemców. Obaj ci przywódzcy Koła zgodzili się na akcję, jednak z tem zastrzeżeniem, żeby Koła nie angażować, to znaczy, żebym tylko ja prowadził rokowania z Niemcami za udziałem ministra Twardowskiego. Zaraz wtedy na mój wniosek naszkicowano pro-

jekt układu, który ja — po porozumieniu z min. Twardowskim — wystylizowałem, poczem zaprosiłem prezesa liberalnych Niemców, posła Waldnera i wręczyłem mu w obecności p. Twardowskiego wraz ze stosowną informacją i interpretacją. Dołączono tu projekt i zobowiązanie Niemców austr. do spowodowania kierowników Rzeszy Niemieckiej, by na tę unję się zgodzili we wszystkich podanych pod literami szczegółach, a zwłaszcza w kierunku nietykalności terytorjalnej Królestwa Polskiego. Oznaczało to: z jednej strony odwrót od traktatu brzeskiego w sprawie Chełmskiej, z drugiej odstąpienie od pomysłów Ludendorffa w sprawie okrojenia zachodniej części Królestwa. Po wyliczeniu dalszych akcyj rządu austrjackiego, pozostawiliśmy jako 2 rozdział białą kartę dla Niemców, celem wypisania żądań, jakie zechcą postawić wobec nas w zamian za poparcie w Berlinie i Wiedniu. Przywódzca niemiecki wziął mój projekt dla zorjentowania się i w danym razie porozumienia się ze stronnictwem chrześcijańsko-społecznem, zwłaszcza z bawiącym wówczas w Linzu prałatem Hauserem, wiceprezesem tegoż stronnictwa i wybranym niedawno prezydentem delegacji austrjackiej.

Nigdy nie wątpiłem o niedojrzałości politycznej Niemców austrjackich, a szczególnie o ich ignorancji w sprawach polskich; ale nie przewidywałem rekordu, jakie na tem polu miał osiągnąć poseł Waldner. W kilka dni mianowicie po doręczeniu mu projektu naszego zgłosił się on do mnie na konferencję, która się wespół z min. Twardowskim odbyła u mnie w domu. Przywódzca niemiecki zdał nam sprawę ze swoich zabiegów. Oto udał on się w towarzystwie kilku kolegów do min. spraw zagr. bar. Buriana i stwierdził tam, że to wszystko, cośmy mu opowiadali o planach polskich państw centralnych, odpowiadało rzeczywistości. Z tego wstępu przekonaliśmy się dowodnie, że o planach powyższych, przetrawionych i zmienianych od początku wojny z r. 1914, kierujący politycy niemieccy dowiedzieli się po raz pierwszy dopiero na wiosnę 1918 r. i to najprzód od nas, a potem od rządu. Już sam ten fakt był horen-

dalnym dowodem nieporadności i bierności politycznej Niemców austr., zwłaszcza z obozu wolnomyślnego. Ale dalsza deklaracja posła Waldnera była już wprost przygnębiająca, niemal tragikomiczna. Oto bar. Burian, wtajemniczając deputację niemiecką w plany polskie, nie zataił jej naturalnie także planów Ludendorffa i trudności, stawianych nam i monarchji ze strony partji wojennej w Berlinie. Prezes Waldner wywiódł tedy z tych opowiadań konsekwencje, które ubrał w następujące słowa: „...Ale minister opowiedział nam także, że rząd niemiecki jest przeciwny planom monarchji co do Polski i unji personalnej. A skoro tak jest, to Panowie nie możecie chyba żądać, byśmy — partje niemieckie — sprzeciwiły się zamiarom rządu niemieckiego". Tableau! Na takie dictum acerbum pozwoliłem sobie odpowiedzieć dosłownie: „Naturalnie, że nam jest wiadomym opór rządu niemieckiego; ależ właśnie dlatego udaliśmy się do Panów o pomoc! Bo gdybyśmy nie przewidywali tego oporu, to jużci nie ofiarowalibyśmy stronnictwom niemieckim ekwiwalentu (pod IV) za ich pomoc. A na czyjąż pomoc skuteczną mogliśmy w Berlinie liczyć, jeżeli nie na Panów, którzy najskuteczniejszego potrafią w Berlinie użyć argumentu, że stworzenie Polski w unji personalnej z monarchją zabezpieczy stale interesa narodowe Niemców w Austrji".

Odpowiedź moja była bezskuteczną, zaczem cała akcja polsko-niemiecka upadła ostatecznie. Zdawałem o niej sprawę Kołu polskiemu w jesieni i znalazłem dla akcji tej bardzo mało sympatji; ale bo też wtedy zbliżała się już klęska państw centralnych.

Tymczasem wyjechałem z żoną chorą na wieś. W zakątku tym nie mieliśmy mimo dzienników z Wiednia jasnego poczucia zbliżającej się katastrofy na polu bitwy. Acz bez wyjątku towarzyszyłem wszędzie żonie, mogłem przed południem, mając ją tuż pod bokiem, pracować i nad „Wspomnieniami" niniejszemi i nad artykułem niemieckim o sprawie ruskiej w Galicji, który obiecałem w Wiedniu Sieghartowi dla jego organu wiedeń-

skiego „Tagblatt“. Napisawszy artykuł, miałem według umowy przestudjować go wspólnie z moim bratem Marjanem, który obiecał przybyć w tym celu z Zakopanego. Ale brat nie mógł dotrzymać przyrzeczenia i odradził mi publikacji artykułu bez wiedzy Koła polskiego. Usłuchałem tej rady, ale żałowałem tego postanowienia, bo redakcja miała straszny żal do mnie, a publiczność niemiecka straciła sposobność zaznajomienia się ze sprawiedliwem naszem ocenianiem sprawy ruskiej. Wprawdzie wówczas podobno ministrowie Twardowski i Gałecki mieli się spodziewać tej publikacji; ale wkrótce później tuż przed zwycięstwem Ententy wniosłem osobiście ten elaborat do prezydjum Koła polskiego, które za gorącą zgodą ministra oświaty Madeyskiego (Jerzego) i min. dla Galicji Gałeckiego przesłało wyciąg z tego elaboratu do Warszawy, gdzie swoją drogą utonął w biurach bezpowrotnie jak wszelkie inne akta, memorjały, sprawozdania władz, a nawet pisma reprezentacyj dyplomatycznych państw zaprzyjaźnionych. Wszak jeden z dyplomatów warszawskich ułożył wówczas taką „zagadkę“: „co się stanie, gdy Ameryka wypowie Polsce wojnę?“ — Odpowiedź: „nic, bo pisma odnośne schowa do biurka szef sekcji politycznej i nigdy o niem nie wspomni nikomu!!“

Na wsi bawił z nami wuj mojej żony, gen. konsul Tschinkel z min. spr. zagr., z którym niejednokrotnie rozmawiałem o sytuacji wojennej. I ten bardzo inteligentny urzędnik i ja odczuwaliśmy wątpliwości z powodu brzmienia biuletynów niemieckich; ale dopiero po powrocie do Wiednia (11-go września) zacząłem widzieć sytuację jaśniej. Wprawdzie stan zdrowia najdroższej żony mojej nie pozostawiał mi już swobody w myślach politycznych.

Ale nadeszła chwila, w której o polityce myśleć musiałem. Ententa zwyciężyła, Austrja zaczęła rozpadać się, Polska wielka, niezawisła, miała powstać. Zwołano jeszcze po raz ostatni austrjacką delegację, na której stronnictwa składały deklaracje. Delegat, poseł Daszyński zamierzał z uchwały konwentyklu

polskiego, na który mnie nie zaproszono, złożyć oświadczenie, iż odtąd czujemy się obywatelami przyszłego Państwa Polskiego. Ja z kolegą Jędrzejewiczem podnosiliśmy zarzut, że takie oświadczenie stoi w sprzeczności z naszym niewygodnym w onej chwili charakterem delegatów parlamentu austrjackiego, obradujących w gmachu austrjackim. Delegat poseł German, podzielając, jak mi później w cztery oczy zapewnił, moje skrupuły, zaproponował, by do deklaracji polskiej dodać słowa „także". Chętnie się zgodziłem na tę propozycję, motywując moją zgodę uwagą, że słowa „także obywatelami polskimi" oznaczają dopuszczalność podwójnego obywatelstwa, polskiego i austrjackiego, tak zw. „sujéts mixtes". Deklarację z dodatkiem podpisaliśmy dwaj członkowie z Izby Panów i tak została wydrukowana w protokole posiedzenia. Ale w dziennikach opuszczono podobno nasze dwa nazwiska, wskutek czego na wieczornem tego samego dnia posiedzeniu komisji delegacyjnej dla spraw zagranicznych — było to podobno w początkach października 1918 r. — podniósł tę rzekomą sprzeczność między polskimi delegowanymi obu Izb delegowany ruski Wassilko. Poseł ten przemawiał bardzo szczegółowo w sprawie ruskiej, żądając podziału Galicji pod groźbą materjalnego oporu ludności ruskiej, która się niestety, jak wiadomo, ziściła. Przy tej sposobności atakował gwałtownie br. Buriana, starającego się w sprawie nieszczęsnej chełmskiej naprawić ciężkie błędy swego poprzednika hr. Czernina. Na wszystkie te uwagi wypadało nam odpowiedzieć; a że prócz Jędrzejewicza nie było obecnych innych delegowanych polskich, ja się zapisałem do głosu. Obszernie zbijałem żądania w sprawie podziału Galicji, nawołując Rusinów, by zasiedli z nami do jednego stołu, czego odmawiali konsekwentnie. Wziąłem dalej w obronę Buriana, przyznając, że tym razem traktuje sprawę polską szczerzej, niż wówczas, gdy propozycję niemiecką w sekrecie odrzucił. A mogłem to uczynić tem łatwiej, ponieważ już w jesieni, gdy po ukonstytuowaniu delegacji Burian zaprosił był członków komisji

dla spr. zagr. z Izby Panów na konferencję do biura swego, wypowiedziałem był ministrowi żal z powodu jego dawnej taktyki polskiej i uznanie za teraźniejszą, między innemi za wypowiedziany na konferencji zamiar nie uznania traktatu brzeskiego w punkcie Chełmszczyzny. Toż i na posiedzeniu komisji, o której piszę, minister podziękował za uznanie, ale zarazem zapewnił ponownie, że pisma niemieckiego w sprawie austro-polskiej nie było wcale. Nie mogłem się niestety powoływać publicznie na świadectwa Andrassy'ego i Tschirskhy'ego! Wkońcu mojej przemowy na komisji sprostowałem twierdzenie Wassilki co do podpisów Jędrzejewicza i mego na rezolucji delegowanych polskich. Wyjaśniłem naszą poprawkę, tłómacząc przyjęte słowo „auch" przypuszczeniem, że w razie przyjęcia zasady „obywatelstwa mieszanego" starzy austrjacy narodowości polskiej przyjmą obywatelstwo narodowości polskiej, zachowując zarazem austrjackie.

I znowu nastąpiło z tą moją mową to samo, co ze styczniową: stenograf dziennikarski umieścił w krótkim wyciągu tylko moje uwagi co do obywatelstwa — bo to czytelników wiedeńskich najbardziej mogło interesować — a kolega Daszyński wydał z Krakowa na cały kraj hasło, że ja w chwili budowy Polski nazywam siebie „alter Oesterreicher": jużci ani obywatel pruski, ani rosyjski, a zawsze, jak od urodzenia Polak! Ale do wieszania mnie in effigie na latarniach krakowskich była to ponownie piękna pobudka!

Nie zawadzi zresztą dodać, że na posiedzeniu powyższem p. Burian przemawiał po raz ostatni jako minister. Było to istotnie posiedzenie historyczne, na którem przyjaciele Ententy więcej posiadali informacyj co do przyszłości Europy, niż rząd austr. i zwolennicy państw centralnych. Toż jak my, nie przeczuwając zupełnego bez śladu jakiejś władzy centralnej rozbicia monarchji, mówiliśmy o możliwości obywatelstwa „mieszanego", tak baron Burian (wkrótce potem hrabia!) nie wiedział lub niechciał wiedzieć o Słowaczyźnie jako części państwa czeskiego. Bardzo stanowczo i z całym spokojem przekonania i wie-

dzy zapewniał go czeski delegowany Stransky o przyłączeniu węgierskiej Słowacji do Czech, na co minister, bądź bez informacji, bądź w poczuciu patrjotyzmu węgierskiego zapewniał komisję, że Słowacja nie jest wcale odrębnym krajem narodowym i że zatem o jej oderwaniu od Węgier nie może być mowy.

Tak to skończyły się dzieje delegacji austrjackiej w monarchji! Reszta naszej czynności pożegnalnej przeniesioną została do Izby Panów. Tam jeszcze odbyło się posiedzenie merytoryczne ostatnie w d. 26 października 1918 r. Rozkład Austrji dobiegał szczytu; a że z tej okazji zarzucano nam w publicystyce i u publiczności, iż lekko porzucamy państwo i dynastję, z któremi wiedliśmy przez lat przeszło 50 politykę wspólną, przyjazną, członkowie polscy Izby Panów uznali za swój obowiązek, wyjaśnić nasze uczucia wobec nowo powstającej Polski w stosunku do monarchji. I znowu mnie przypadło to zadanie. W mowie tej swojej, rzeczywiście łabędziej, przedstawiłem na pamiątkę dla przyszłego dziejopisarza dwie kwestje: ruską ze stanowiska etnografji i polską ze stanowiska dynastji habsburskiej. W tamtym kierunku starałem się dowieść cyframi i geografją zaczerpniętemi z mego wyż wspomnianego artykułu, że Galicja wschodnia nie da się logicznie oddzielić od części zachodniej, jeno raczej musi się ją złączyć do reszty z Polską przy pomocy bardzo daleko idącej autonomji dla większości i mniejszości, zarówno polskich jak ruskich, absolutnie równouprawnionych po obu stronach. Nie mam pretensji, by moją mowę ktoskolwiek znał i pamiętał; ale mam nadzieję, że przyszły dziejopisarz, traktując dwuletnią okrągło od owego czasu krwawą, niemiłosierną wojnę Ukraińców przeciw Polakom, przeciw nieszczęśliwemu Lwowowi i jego dzieciom, nie zapomni wspomnieć o tem, jakie propozycje czynili przedtem Polacy Ukraińcom. Ta część mojej mowy była niezawodnie odbiciem pojedynku z Wassilką w komisji delegacyjnej; ale może też wynikła po części z przeczucia zbliżającej się tragedji na polach Galicji

wschodniej... W sprawie polskiej przedstawiłem Izbie krótki zarys naszej polityki od Sejmu z 1866 r. aż do traktatu brzeskiego z 1918 r. i ponowiony zarys naszej polityki wojennej, gwałconej przez błędy i grzechy tak wojskowości jak rządu cywilnego, zwłaszcza hr. Czernina. W mowach moich poprzednich podnosiłem był zawsze naszą tendencję do unji personalnej; tego samego domagał się odemnie tuż przed zabraniem przezemnie głosu mój kolega Stanisław Koźmian. Na to jednak mimo całego uznania dla rozumu i dobrej woli tego męża stanu absolutnie i wyraźnie nie przystałem. Przeciwnie, przedstawiwszy unję personalną jako ważny czynnik w historji naszych usiłowań około odbudowy Polski, oświadczyłem uroczyście, że nikt nas nie może pomówić o brak przywiązania do dawnej monarchji, jeżeli, zamiast wznawiać dawniej wielką, dziś bezwartościową myśl unji personalnej, zwracamy się całem sercem ku Polsce zjednoczonej i niezawisłej, skoro sprawiedliwość dziejowa urzeczywistnia to marzenie całego szeregu pokoleń od półtora wieku. Mowę moją oklaskiwano bardzo gorąco, a tylko pp. Plener i Czernin przemawiali przeciw niej: minister bronił bezskutecznie traktatu brzeskiego, Plener zarzucał mi opuszczenie idei unji personalnej. Czyż dzieje najbliższych tygodni nie dowiodły, że między nieszczęśliwą, zdruzgotaną Austrją i wielką Polską unja personalna byłaby niemożliwą? i czyż choćby dla nowo powstałej malutkiej Austrji pas graniczny czeski dzielący ją od Polski nie byłby sam przez się dostateczną przeszkodą unji?!

Tymczasem wielki akt dziejowy, — przewrót w centralnej Europie — dokonywał się w szybkim tempie. Dnia 2 paźdz. wręczył cesarzowi Karolowi były minister, polityk konserwatywny hr. Sylva-Tarucca projekt manifestu do ludów, wzywającego je do stworzenia związku państwa pod władzą Habsburgów, opartych o rząd i parlament centralny z najściślejszym zakresem działania. Jak każdy projekt rozsądny, pozostał u tego cesarza i manifest Sylvy w biurku; natomiast powoławszy

do rządów po nieudolnym Seidlerze b. min. oświaty, klerykalnego bar. Hussarka, wydał Karol pod datą 18 października manifest inny, którym sam monarcha bez potrzeby i bez nacisku ze strony zwycięzców, rozbił dobrowolnie swoje wielkie państwo na drobne części niezawisłe, bez jakiejkolwiek spójni. Była to niespodzianka dla całego świata politycznego, z wyjątkiem chyba samego cesarza, który rzucił na ulicę starodawną koronę habsburską i z wyjątkiem bar. Hussarka, który przez kontrasygnację manifestu zabił wobec historji swoją ugruntowaną reputację polityczną. Nikt w Europie nie oczekiwał takiego aktu: podobno nawet sam Kramarz nie spodziewał się państwowości czeskiej, włącznie z agendami wojskowemi i dyplomatycznemi, w Pradze w pierwszej chwili nie zdołano się zorjentować co do doniosłości manifestu. Na radzie ministrów pod przewodnictwem cesarza uchwalono go podobno według opowiadań p. Spitzmüllera pod naciskiem Węgrów i pod oświadczeniem monarchy, że to jedyna droga do korzystnego pokoju! Dla kogo miał być pokój „korzystny“ po rozbiciu monarchji w strzępy, to chyba trudno zrozumieć. Przeciwnie, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że gdyby manifest, zwolniwszy Galicję i Węgry w ścisłem znaczeniu ze związku państwowego, przyznał był cechy państwa samoistnego Czechom, Niemcom austr. i południowym Słowianom z Austrji, Kroacji i Bośnji, zachowując wojskowość i sprawy zagraniczne cesarzowi (z rządem i parlamentem wspólnym), korona habsburska byłaby uratowaną. Naturalnie, w szczupłych stosunkowo granicach: nie w granicach, które dawała nasza unja personalna, haniebnie zdradzona w pokoju brzeskim, i nie w granicach odrzuconej przez dynastję oferty Ententy z sierpnia 1917 r., która utrzymując całą monarchję (z wyjątkiem Trentino i Trjestu) ofiarowała jej w dodatku Bawarję i Śląsk pruski i całą Polskę w granicach 1772 (!) Ale zawsze byłaby to była „Austrja“ w ścisłem znaczeniu, zdolna żyć i rozwijać się, zdolna do sojuszów. Ale to wszystko przepadło! Propozycja Ententy, uczyniona przez

jej przedstawiciela hr. Armanda, przedstawicielowi Austrji hr. Revertera, upadła w części pod wrażeniem chwilowych wówczas zwycięstw państw centralnych, w części z obawy zarzutu „zdrady“ Austrji wobec Niemiec, co byłoby bardzo pięknie, gdyby takich „zdrad“ nie było już przedtem sporo, ale nie z tak praktycznym skutkiem, jaki się nadawał w sierpniu 1917 r. Zaś kombinacja z małą „Austrją“ musiała upaść, skoro Węgrzy z góry byli przeciwni „państwu południowo-słowiańskiemu“, a nawet podobno za zgodą cesarza, Tisza jeszcze w ostatniej chwili jeździł do Sarajewa dla skaptowania Bośniaków „dla Węgier“(!), a min. Spitzmüller w tymże czasie perswadował Bośniakom, że kwestje narodowe stracą(!) znaczenie po wojnie!!

Zamiast tych wszystkich illuzyj ogłoszono manifest, dzięki któremu monarchja w proch się rozsypała. Tylko jeszcze Izba Panów miała ochotę po raz ostatni wypowiedzieć się w manifeście z d. 17 paźdz. i może coś poradzić skutecznie. Ale do tego już nie przyszło: dwa razy zwołaną została Izba już po mojej mowie z d. 20 paźdz. z porządkiem dziennym: deklaracji rządu przez usta prezesa gabinetu Hussarka. Obydwa razy pan Hussarek nie zgłosił się na posiedzenie, które też po dłuższem czekaniu zgromadzonych odroczono. A po tem drugiem odroczeniu, Izba Panów automatycznie żyć przestała: bo oto zaraz po odroczeniu pełnej Izby zgromadzili się zaledwie w lokalu swoim członkowie grupy konserwatywnej pod przewodnictwem księcia Alfr. Windischgrätza dla narady nad sytuacją, gdy wszedł służący z doniesieniem, że gmach parlamentarny oblężony przez lud, a policja nas wzywa pod groźbą pogaszenia świateł do opuszczenia lokalu i gmachu. Wyszliśmy od strony Reichsratsstrasse, gdzie jeszcze nie było rozruchów i byliśmy świadkami śmierci Izby Panów.

Były to też ostatnie już chwile w życiu monarchji, spowodowane przegraną wojną, zdradą węgierskiego prezesa ministrów Michała Karolyego na tyłach armji nadpiaweńskiej i wreszcie

manifestem cesarskim, nakazującym przewrót z góry. Dnia 18-go paźdz. objął rządy w miejsce hr. Buriana hr. Juljusz Andrassy, który zaraz na drugi dzień odstąpił Polsce Galicję przez osobnego posła — czy to znane u nas w Polsce? — i rozpoczął w Szwajcarji rokowania o pokój odrębny, wkrótce przerwane przedwczesnem ustąpieniem z tronu Karola. Wprawdzie min. skarbu wspólnego p. Spitzmüller, wracając ze Sarajewa, gdzie, jak wspomniałem w wielkiej mowie, przepowiadał upadek znaczenia idei narodowej (!!), wyrażał podobno w d. 26 paźdz. w Peszcie niejakie nadzieje. Ale tego samego dnia zdrajca Michał hr. Karolyj, przyszły kierownik rewolucji, zrewoltował rezerwy węgierskie nad Piawą, oddając tem zwycięstwo Włochom w owej chwili już pobitym; d. 30 paźdz. ustąpił Andrassy w tym samym dniu, w którym hr. Tisza został zamordowany przez własnych żołnierzy; a ostatni prezes ministrów austr. Dr Lammasch, po nieudałej wraz z Andrassym próbie powołania do min. spr. zagr. wysłanników każdej „rady narodowej", utworzonej z manifestu, złożył swój urząd w ręce cesarza ustępującego.

Dla nas polskich członków Izby Panów pozostało jeszcze tylko jedno zadanie. W projekcie rządowym manifestu miała być Galicja wciągniętą w ogólną organizację „rad narodowych". Na radzie ministrów jednak został nasz kraj na wniosek min. dla Galicji Dra Gałeckiego, obmyślany we wspólnej ze mną naradzie, wyłączonym z prawa i obowiązku, organizowania się w radzie narodowej jako państwo osobne. Skoro bowiem monarchja odstąpiła Galicję Państwu Polskiemu, istniejącemu wówczas jeszcze w formach manifestów cesarskich z d. 5 listopada 1916 r., a przeobrażającemu się w formy państwa zjednoczonego, niezawisłego, potrzeba było tylko odczekać spokojnie chwili przyjęcia oferty monarchji przez Polskę i włączenia odstąpionej Galicji do Polski. Aż do owej chwili musiałaby Austrja ponosić jeszcze, choćby już tylko rachunkowo wszystkie ciężary państwowe w Galicji. Tymczasem rzeczy poszły innym torem. Rusini uznali dla siebie kompetencję manifestu i zwołali

radę narodową, która uchwaliła utworzenie „państwa ukraińskiego“. Polacy zaś powzięli zamiar założenia w Krakowie „Polskiej komisji likwidacyjnej“. Miało to nastąpić w poniedziałek, dn. 27 paźdz. 1918 r. Wieczorem przedtem zgromadzili się członkowie Izby Panów dość licznie za współudziałem jenerała hr. Szeptyckiego u hr. Gołuchowskiego i po dłuższej dyskusji, przewidującej krwawą wojnę ukraińską, uchwalili w oryginalnym bruljonie wysłać do Rady regencyjnej dołączony telegram*). Z uwagi na nagłość sprawy i grożące Polsce niebezpieczeństwo połączyłem się telefonicznie z gabinetem urzędującego jeszcze hr. Andrassy'ego i wyjednałem natychmiastowe wysłanie telegramu do Warszawy drogą urzędową. Ekspedycja nastąpiła tak szybko, że zastępca rządu polskiego, smutnej pamięci Świrczyńkiego, minister spraw zagr. p. Głąbiński zjawił się w Krakowie na zgromadzeniu poselskim już z telegramem naszym w ręku. Niewiem, jakie miał od rządu polskiego instrukcje; ale to pewne, ze zamiast przestrzec zgromadzonych w imieniu rządu, okazał telegram nasz, wśród zarzutów i gróźb przeciw „niepatrjotycznym“ naturalnie konserwatystom. W takim stanie rzeczy utworzono istotnie Komisję

---

*) *Telegram do Rady Regencyjnej w Warszawie.*

Na jutro poniedziałek zwołane do Krakowa zgromadzenie poselskie dla wyboru komisji likwidacyjnej, która miałaby objąć rządy w Galicji. Krok ten, sprzeczny z oficjalną Austrji zapowiedzią oddania Galicji na rzecz Polski, musi wywołać środki represyjne ze strony Austrji i skłonić ją do oparcia się na kontrrewolucji Rusinów. Walki rewolucyjne polsko-ruskie w Galicji z grożącą bezpośrednio nominacją osobnego ministra Rusina dla Galicji wschodniej, musiałyby przechylić ostatecznie szalę za oderwaniem Galicji wschodniej.

W imię najdroższych interesów narodowych Polski prosimy Najjaśniejszej Regencji o najłaskawsze natychmiastowe zarządzenie, by Rząd polski przestrzegł natychmiast w drodze telegraficznej stronnictwa ludowe i narodowo-demokratyczne oraz partję socjalistyczną w Krakowie przed katastrofalną akcją poniedziałkową, zwłaszcza, że wkracza ona w kompetencję Rządu polskiego w Warszawie.

Zebrani pod moim przewodnictwem członkowie Izby Panów.

Gołuchowski.

Likwidacyjną wbrew naszym radom, a za karę wykluczono konserwatystów wprawdzie nie jeszcze z komisji, ale z przyszłego Sejmu Polskiego.

Czy przez utworzenie Komisji Likw. stał się błąd, szkodliwy dla Polski? Nie chcę wypowiadać sądu bezwzględnego o fakcie zbyt świeżym — piszę 17 grudnia 1920 r. — może się mylę: ale sądzę, że bez owej Komisji byłoby niejedno poszło gładziej. Nie myślę zaprzeczać, że Komisja zajęła się gorliwie wszystkiemi działami administracji i że w szczególności hr. Skarbek zdołał bardzo zręcznie i energicznie uwolnić Kraków od władz wojskowych austrjackich. Ale chodzi najprzód o to, czy te wysiłki byłyby istotnie potrzebne, gdyby Austrja, stosownie do treści manifestu cesarskiego, była spełniła swoje ostatnie wobec Galicji obowiązki? Komisja Likwidacyjna musiała, często siłą pięści, „zdobywać“ cały szereg powiatów dla Polski, jakkolwiek zarządzali nimi starostowie-Polacy, którzy w krótkim zapewne już czasie musieliby i tak oddać swoje okręgi Polsce. To samo odnosi się także do władz wojskowych w całej Galicji, a w szczególności w Krakowie. A powtóre, Austrja byłaby musiała aż do oddania rządów Polsce, ponosić całe koszta administracji, wypłacać dotacje na odbudowy itp. Tymczasem Komisja Likwidacyjna, zagarnąwszy zarząd, musiała przy znacznej podobno rozrzutności swojej zaciągnąć w Banku austro-węgierskim wielomiljonową pożyczkę, która na szczęście wskutek korzystnej konstrukcji „likwidacji“ tegoż banku przy ostatecznym obrachunku nie obciąży Polski. A i w sprawie ruskiej, w której nieszczerość i nieprzychylność monarchji Polska uczuła już w lutym 1918 r. byłaby Austrja po naszej ówczesnej twardej opozycji może przynajmniej bez pretekstu nie popełniła takiej wobec nas zdrady, jaką popełniła pod pretekstem zawartym w utworzeniu naszej Komisji Likwidacyjnej. Być może, że było inaczej, że zdrada była z góry przewidzianą; ale dlaczegoż tworzyć dla niej podstawę pozornie ją usprawiedliwiającą?!

Rządy ukraińskie we Lwowie.

Faktem jest, że stało się, cośmy przewidywali w telegramie swoim do Warszawy. Pan Głąbiński, kilkudniowy, odstraszający swym przykładem minister spraw zagranicznych, uśmiechał się wprawdzie swoim sposobem nad telegramem naszym w dn. 27 paźdz. 1918 r. w Krakowie; ale już w nocy z dnia 1 na 2 listopada austrjacki komendant, jenerał z rodu Niemiec, wydał zdradzieckim sposobem miasto Lwów w ręce Ukraińców, a namiestnik hr. Huyn, także jenerał austrjacki, Niemiec, nam do ówczas bardzo przychylny, oddał im rządy kraju. Z powracających z frontu południowego niepobitych, jeno zdemoralizowanych przez Węgrów armij, wysłano podobno pospiesznie pułki ruskie do Galicji, wstrzymując się z wysyłką pułków polskich, które się tak spóźniły, że Komisja Likwidacyjna nie zdołała na czas wysłać posiłki do Lwowa i mimowolnie naraziła naszą nieszczęśliwą stolicę Małopolski na najstraszniejsze uciski i morderstwa ze strony Ukraińców. A niema chyba klęski straszniejszej nad wojnę domową! — Nadeszły wreszcie posiłki, odbiły miasto Lwów, wygnały najeźdźcę; ale klęski w mieście, w ludności, w dorosłych i dzieciach pozostały, ale opresji dalszej z długiego oblężenia nie uniknięto. A pozatem wybuchły ciężkie prześladowania żydów. Niezawodnie, żydzi sami dali do tego pochop, poddając się dobrowolnie rządom ukraińskim, a po części walcząc nawet po ich stronie. Ja sam miałem później jako minister polski sposobność, tłumaczenia żydom-sjonistom na konferencji oficjalnej, że „przyjaciel“ — a takimi byli nam żydzi przez czas 50-letnich rządów polskich w Galicji — przybierający w nieszczęściu swego towarzysza rolę „neutralnego“, staje się faktycznie „nieprzyjacielem“, bo przyjaciel prawdziwy walczy otwarcie po stronie towarzysza. Ztąd słusznie chyba przezwano w Warszawie żydów „neutralnymi“! Ale już wtedy, tuż po „pogromie“ lwowskim, musiałem się w Wiedniu zdecydować wyjątkowo na interwiew z N. Fr. Presse, ażeby podkreślić, że „pogrom“ ten nie tylko jest potępienia godnym ze

strony etyki, ale i na polu polityki praktycznej będzie wyzyskanym w Europie zachodniej na naszą niekorzyść. I niestety spełniło się to dosłownie. Ileż to pogromów żydowskich bywało — ku zgrozie cywilizacji — w całej Europie wschodniej, — a przecież w Londynie i Nowym Yorku zajmowano się tylko polskimi! Zapewne, że w wysokim stopniu przyczynił się do tego reprezentant Polski w Paryżu i Londynie, wódz Endeków pan Dmowski, który nie tylko wyśmiewał się jawnie w Londynie z „żydowskiej kochanki“ Lloyd-Georgea, lecz ponadto jako szczyt agitacji swojej antysemickiej wyrzekł wobec Lloyd-Georgea, proponującego do jakiejś komisji historycznej naszego wielkiego historyka Aszkenazego, pamiętne słowa: „Aszkenazy to nie historyk, to żyd“. Jeżeli, jak zapewniają, słowa te padły istotnie, to zawdzięczamy im całą dalszą antypolską politykę angielską w Gdańsku, na Śląsku Górnym, w Galicji wschodniej, w wojnie bolszewickiej, w Wilnie itd. Bo przywódzcy polskiemu w Paryżu powinno być wiadomem, że żydzi stanowią w Anglji i Ameryce czynnik polityczny potężny, że w rządzie angielskim zasiada zawsze kilku żydów, że najwpływowsi sekretarze Wilsona byli żydzi, że przeto „dowcipy“ pana Dmowskiego musiały doprowadzić do wielkich demonstracyj ulicznych w Londynie przed poselstwem polskiem i zwrócić opinję publiczną, a tem samem i rząd przeciw Polsce. Ciężkie jeszcze będzie miała Ojczyzna nasza przeprawy ze sprawą nie tylko mniejszości narodowych, ale i żydów tak u nas rozrosłych; ale zanim jeszcze zdołała — napadana przez wszystkich niemal sąsiadów — zabrać się do tych spraw, Endecy skrzywdzili Polskę boleśnie na całem jej ciele przez nierozsądny swój antysemityzm.

Wydarzenia lwowskie stały się dogodnem podłożem polityki tej i jej skutków i tem bardziej musimy boleć nad ich źródłem, nad wojną domową w Małopolsce. Otóż z pewnością nie odpowiada to moim uczuciom patrjotycznym, wojnę tę przypisywać winie naszej. Przeciwnie, p. Wassilko wyraźnie oświadczył na ostatniej komisji delegacyjnej, że w razie odmowy na podział

kraju, Rusini uciekną się do siły fizycznej. Ale mnie chodzi o to, czy postępowanie tonącego w przepaści rządu austrjackiego było nieuchronne. Samego faktu nikt niezaprzeczy. I ja sam, tak zw. „czarno-żółty", tak zw. „stary Austrjak" — acz nigdy nie byłem czem innem, jak gorącym Polakiem, przez Austrję dążącym do odbudowania Polski — i ja sam stwierdzam, że postępowanie Austrji, jej wysyłki pułków i wydanie Lwowa, było zdradą haniebną, było przekreśleniem 50-letniej polityki polskiej ces. Franciszka Józefa, było straszliwem pożegnaniem z zaprzyjaźnionym przez lat 50 narodem polskim i że — jeżeli naprawdę cesarz Karol wiedział o zarządzeniach komendy — stał się tem niegodnym nie tylko swego wielkiego poprzednika, lecz i wszystkich tych nadzieji, jakie on sam i małżonka jego łączyli z odbudowaniem Polski. Ale... czy dobrze się stało, że my, tworząc bez potrzeby Komisję Likwidacyjną, daliśmy pretekst sferom wojskowym do urządzenia nam wojny domowej w Galicji, to inne pytanie.

Jakkolwiek więc podwalinę do nieprzyjaznej nam polityki rządu angielskiego w sprawie Galicji wschodniej i innych sprawach stworzyli Endecy niewczesnym antysemityzmem swoim, to jednak muszę powtórzyć, że winę poniósł pośrednio także fakt stworzenia Komisji Likwidacyjnej. Gdybyśmy bowiem nie byli przedwcześnie utworzyli „P. Komisji Likwidacyjnej", moglibyśmy z wszelką swobodą oświadczyć, że bez naszej winy rząd austrjacki wywołał w kraju wojnę domową, że młody cesarz, przegrawszy z kretesem sprawę polską, zapragnął bez naszej winy na naszej skórze stworzyć sobie „państwo ukraińskie", może z „Wasylem" Habsburgiem na czele.

I dla tego staję przy przekonaniu, że ostatni akt czynności polskich członków Izby Panów, ów telegram do Regencji był zdrowym i doniosłym aktem politycznym. Ale też dla tych samych powodów, a zwłaszcza z uwagi na doznaną w Krakowie porażkę, byłem w owym czasie zdania, byśmy o stanowisku konserwatystów w sprawach narodowych odezwali się krótkiem

słowem do narodu. Komisja Likwidacyjna, wtedy ukonstytuowana, dopuściła do swego kompletu jednego podobno konserwatystę, ale żadnemu z nich nie poruczyła jednego z działów administracji. Kierownicy, niejako ministrowie, powołani byli tylko z tamtych trzech grup dawnego Koła Polskiego: z ludowców, socjalistów i demokratów. Konserwatyści zostali widocznie jako „zdrajcy" wykluczeni. To samo przecież stało się wkrótce później przy wyborach styczniowych (1919) do Sejmu, do pierwszego Sejmu polskiego przy zmartwychwstaniu Ojczyzny: ani jeden konserwatysta nie został wybrany z Galicji zachodniej a ze wschodniej weszło ich do Sejmu polskiego kilku, i to tylko dlatego, ponieważ zamiast wyborów powołano dawnych posłów do austr. Rady państwa. Zaś w Królestwie znowu całe stronnictwo ziemiańskie, z natury jużci zachowawcze, przeszło ławą do tak zw. „demokracji" narodowej, czyli do Endeków! Na taki ostracyzm społeczeństwa przeciwko stronnictwu konserwatywnemu, filarowi 50-letnich rządów austrjackich i całego „Franciszko-Józefinizmu" wypadało może odpowiedzieć kilku słowy, choćby z pożegnaniem. Tak przynajmniej ja sądziłem i w tym celu napisałem dołączoną*) deklarację, przeznaczoną

*) W pełnym poczuciu obowiązków, ciążących na każdym prawym synu Ojczyzny w czasie wznowienia i odbudowy jej bytu państwowego, polscy członkowie Izby Panów parlamentu austrjackiego wespół z całem stronnictwem zachowawczym i na równi z wszystkiemi innemi stronnictwami, gorliwie czynni dla sprawy polskiej od samego początku wojny światowej aż do dzisiejszej najważniejszej i najpoważniejszej od 150 lat chwili dziejów narodu polskiego.

W d. 16 sierpnia 1914 r. byli wszyscy konserwatyści przy utworzeniu Legjonów dla zwalczania caratu. Po myśli uchwał sierpniowych braliśmy w latach 1915 i 1916 przez delegatów, a i przez prezesa Koła polskiego czynny udział w pracach komisji politycznej Koła około urzeczywistnienia tak zw. austro-polskiego rozwiązania sprawy polskiej. W związku z tem powzięliśmy w tej komisji inicjatywę w przywróceniu zjednoczenia wszystkich stronnictw polskich w Galicji na modłę r. 1914 i byliśmy czynnymi świadkami tego zjednoczenia w dniu 30/4 1916 r., jakoteż uzupełnienia N. K. N. delegatami konserwatystów, a uposażonego pełną kompetencją narodową Koła polskiem stronnictwem socjalno-demokratycznem. W listopadzie 1916 r. uczestniczyliśmy w uroczystości święcenia powstania nie-

pierwotnie dla Regencji — była więc nakreśloną zaraz pierwszych dni listopada 1918 r., a później dla dzienników. Dla przygotowania szerszego posiedzenia członków Izby Panów zaprosiłem hr. Gołuchowskiego i min. Korytowskiego. Po odczytaniu mego projektu oświadczył się przeciw niemu min. Korytowski, a potem także hr. Gołuchowski. Poddałem się ich decyzji i bruljon swój schowałem; ale oddając go niniejszem w ręce publiczności, muszę stwierdzić, że dziś w cztery lata później, jestem jeszcze silniej przekonany, że pozycja kon-

---

zawisłego Państwa Polskiego. Z powodu wykluczenia Galicji z tego Państwa wzięliśmy najprzód w jesieni w 1916 r. i na wiosnę 1917 r. udział w pracach komisji parlamentarnej Koła około konstytucji dla wyodrębnienia Galicji, a w lecie 1917 r. zabraliśmy w Izbie Panów głos za unją personalną niezawisłej Polski z monarchją habsburską w zamian za ustąpienie Polsce Galicji. W lutym 1918 r. wnieślimy w Izbie energiczny protest przeciw bezprawnemu zabraniu nam ziemi Chełmskiej i Podlasia, a w lecie 1918 r. takiż sam protest przeciw podziałowi Galicji. W d. 24 października ponowiliśmy ten protest, a zarazem i przedewszystkiem przyłączyliśmy się na ostatniem już posiedzeniu Izby Panów do manifestu Rady Regencyjnej z d. 7 paźdz., z uroczystem oświadczeniem, że czując się kością z kości i krwią z krwi narodu polskiego, święcimy wskrzeszenie Wielkiej Polski, jako najszczęśliwsze ziszczenie marzeń i pragnień naszych i wszystkich pokoleń od lat 150-u. Odpowiadało to udziałowi naszemu w uchwaleniu rezolucji Koła polskiego z d. 28 maja 1917 r. Że po zawarciu pokoju brzeskiego przeszliśmy jawnie do opozycji, wszystkim wiadomo; że przez 4 lata działaliśmy bezustannie poufnie w kołach dyplomatycznych, to może kiedyś zapiszą dzieje.

Mało kto tak dosadnie, tak bezwzględnie i energicznie piętnował ucisk narodu polskiego w Galicji i Królestwie przez państwa centralne, jak to czynili mowcy nasi w ciągu dwóch lat ostatnich! Byliśmy przecież współpracownikami słynnego memorjału Koła polskiego z d. 6 czerwca 1916 r., w którym wyliczano wobec rządu monarchji cały system krzywd aż do strasznych justyfikacyj, jakie ze strony jej organów wojskowych musiał przenieść na sobie naród polski. Ale pomimo to trwaliśmy w przekonaniu, które w pierwszem dwóchleciu wojny dzieliła z nami ludność Galicji i wszystkie prawie jej stronnictwa, a w drugiem znaczna część ludności Królestwa, że z uwagi na przewidywane zwycięstwo ostateczne państw centralnych, a w szczególności potężnych Niemiec, zdołamy zjednoczyć na teraz tylko Królestwo z Galicją i znaleść dla tego małego Państwa Polskiego największe stosunkowo bezpieczeństwo w związku z monarchją habsburską.

serwatystów byłaby znacznie lepszą pod wpływem ogłoszenia powyższej deklaracji, aniżeli jest do dziś, mimo stworzonej tymczasem organizacji konserwatywnej i jej dość teoretycznej działalności.

Próba deklaracji była ostatecznym odruchem członków Izby Panów przed powstaniem zjednoczonej Polski niezawisłej.

XVII.

1918—1920: Służba w Polsce niezawisłej.

Wiedeń, 31. XII. 1920 r.

Dziwne to zrządzenie losu, że do skreślenia nieudałych i prawie nieszczęśliwych prób moich, poświęcenia sił swoich dla bezpośredniej służby ukochanej Ojczyźnie, zabieram się właśnie ostatniego dnia roku, w którym, odtrącony przez tąż Ojczyznę i obrany z dawnego splendoru kilkudziesięcioletniej pośredniej pracy dla Polski, dotknięty zostałem najcięższem,

---

Losy wojny światowej rozstrzygnęły sprawę polską nie w myśl naszej trzeźwej, jak się zdawało, polityki realnej, lecz po myśli idealistycznej wiary innych stronnictw politycznych w zwycięstwo Ententy. Losy rozstrzygnęły tem samem na niezmierną korzyść Polski. Nie możemy się przyznać do błędu, ale przyznajemy z najwyższą radością tamtym stronnictwom szczęśliwy instynkt polityczny. Kto przynosi narodowi wielką zjednoczoną Polskę, acz niezdobytą niestety orężem polskim, temu należy się uznanie wszystkich, temu też służy prawo bezpośredniego wpływu na ostateczne ukształtowanie najdroższej Ojczyzny naszej, temu każdy Polak, choćby skrajnie konserwatywny, musi być w pracy pomocnym bez zastrzeżeń.

Do obowiązku tego poczuwa się całe stronnictwo konserwatywne, poczuwają się członkowie dawnej Izby Panów, tak zamieszkali w kraju, jak zagnani przed laty do stolicy Austrji, gwoli służby dla Polski w obrębie monarchji habsburskiej. Wszyscy się czujemy dziećmi wielkiej zjednoczonej Polski, wszyscy się zapiszemy w poczet jej wolnych obywateli, wszyscy jesteśmy gotowi do pracy na zawołanie Polski!

Wiedeń d. 4 listopada 1918 r.

najgłębszem, najboleśniejszem nieszczęściem, stratą niezrównanej żony! Kończąc więc rok najnieszczęśliwszy z całego życia mego, zabieram się do krótkiej stosunkowo opowieści moich losów w Polsce Odrodzonej.

Regencja nasza ogłosiła wprawdzie już w d. 7 paźdz. 1918 r. powstanie Polski zjednoczonej i niepodległej; dopiero jednak 11/XI. owego roku wypędzono z Królestwa Niemców, to znaczy sławna i świetna armja niemiecka została rozbrojoną przez nielicznych Legjonistów, a sławny zdobywca Antwerpji jen. Beseler, zażarty wobec klik berlińskich obrońca myśli niepodległej, acz małej, ale nie rozrywanej przez Niemcy Polski, uszedł nocą z Zamku królewskiego przez Wisłę. Po osławionych rządach endeckich próbował p. Daszyński dorwać się do władzy, ustanawiając w sposób, urągający wszelkim uczuciom patrjotycznym, rząd samozwańczy w Lublinie; ale przybyły tymczasem z więzienia na fortecy magdeburskiej Piłsudski zdołał oparty o powszechne zaufanie narodu, uprzątnąć tak Regencję, mianowaną przez rządy państw centralnych, jak i rząd Daszyńskiego, mianowany przez tegoż samego pana Daszyńskiego. Legitymacje chyba niezbyt równe, bo państwa centralne przynajmniej zdobyły od Rosji Kongresówkę, a p. Daszyński tylko gorliwym austro-polskim patrjotyzmem w N. K. N. dopomagał tym państwom do zwyciężenia Rosji, będącej niebezpiecznym dla nas członkiem Ententy.

Faktyczny Naczelnik Państwa z woli ludu powołał do steru rząd p. Moraczewskiego, socjalistyczny, ale pierwszy prawny, wyszły za pośrednictwem Naczelnika Państwa pośrednio od ludu. Wielkie były błędy tego pierwszego rządu polskiego: położył on bowiem podwaliny pod dzisiejsze klęski skarbowe i wydał ordynację wyborczą, która wykluczyła z pierwszego Sejmu polskiego wszystkie warstwy średnie narodu, t. j. konserwatystów z wyjątkiem włościańskich i demokratów, na korzyść włościaństwa średniego i małego, robotników i radykalnych endeków. Moje pierwsze uczucie było: wyrazić hołd pierwszemu

rządowi polskiemu. Uczyniłem to zaraz w listopadzie po nieudałej próbie wywołania deklaracji członków Izby Panów. Zarzucano mi akces do socjalistów: ależ to nie jest zgodne z prawdą, powitałem tylko rząd prawowity. Kolega Korytowski zarzucał mi wprost „hołd": ależ uczucie to skierowane było do pierwszego od lat 150-u rządu polskiego, a uczyniłem to, nie mógłszy w deklaracji rozwinąć stanowiska naszego. Rząd ogłosił odnośną część listu mego, z czego byłem zupełnie zadowolony.

Z listem tym zresztą wiąże się pierwsza drobna próba bezpośredniej z mej strony służby dla Polski. W liście wspomniałem przy końcu, że jest nas w Wiedniu cały szereg ludzi politycznych, gotowych objąć sprawy likwidacyjne z Austrją bez jakiegokolwiek wynagrodzenia. Była to chwila, kiedy p. Filipowicz, pierwszy obok hr. Przeździeckiego wysłannik polski do Austrji powołany został na wiceministra spraw zagranicznych do Warszawy. Następcą jego tymczasowym został b. prokurator austr. Habicht, jak wiadomo, dawny szef prezydjum N. K. N., za mego w tym komitecie prezydjum. Niemal równocześnie został ostatni minister dla Galicji, pan Kazimierz Gałecki powołany przez krakowską Komisję Likwidacyjną na likwidatora stosunków austro-polskich w Wiedniu. Między tymi dwoma panami, z którymi bardzo dobre utrzymywałem stosunki, powstał tedy konflikt o używanie lokalności w domu przy Rennweg Nr. 1. Dom ten miał odrębną swoją historję. Przed dawnemi czasy, za młodych jeszcze lat naszych we Lwowie, żyli tam pp. Karolowie Mierowie, on miły, grzeczny i bogaty obywatel, właściciel Kamionki Strumiłowej, ona śliczna dama salonowa. Znałem ich pobieżnie z salonów mego wuja Konstantego bar. Brunnickiego. Państwo Mierowie byli bezdzietni. Hrabia Mier zmarł właśnie i zapisał cały ogromny swój majątek swej żonie hrabinie Helenie z Turkułłów Mierowej. Hrabina osiadła z czasem w Wiedniu i przed laty kilkunastu ofiarowała tam na cele ministerstwa dla Galicji piękny pałacyk przy Lichtensteinstrasse. Dom ten był jednak

położony tak daleko od miasta, że ówcześni ministrowie woleli pozostać w domach najętych. Dopiero r. 1910 za ministerstwa Bienertha, w którem ja byłem ministrem skarbu a Dr. Władysław Dulęba ministrem dla Galicji, skłoniono panią Mierową do zmiany rozporządzenia na rzecz tegoż ministerstwa. Pewnego razu zgłosił się u mnie w biurze minister Dulęba z wysokim urzędnikiem swego ministerstwa Dr. Ignacym Rosnerem (wielka zdolność wogóle, a zwłaszcza na polu publicystycznem — ongiś szef prasowy prezesa ministrów hr. Thuna, dziś znakomity redaktor „Kurjera Polskiego“ w Warszawie) z następującym projektem. Hrabina Mierowa cofnęła swoją dawną darowiznę, a natomiast oświadczyła gotowość, zakupienia domu przy Rennweg 1, na własność galicyjskiego Wydziału krajowego, który go bezpłatnie odnająć miał ministerstwu dla Galicji. Za moim zezwoleniem został interes przeprowadzony, a dziś dom ten, o wartości parę miljonów, przeszedł po niejakich przeszkodach formalnych, spowodowanych przez Rusinów, na własność Państwa Polskiego. Hrabina Mierowa zasłużyła się tym darem Ojczyźnie.

Otóż w chwili, którą zacząłem opisywać, stosunki prawne co do domu były jeszcze niekorzystne. Nie było jeszcze formalnego skarbu polskiego, ale nie było też już ministerstwa dla Galicji. Pan Gałecki, zostawszy prowizorycznym likwidatorem, zabrał jure caduco dom z całem urządzeniem, z automobilem, z konsumem polskim i podobno także jure caduco pobierał dalej płacę ministerjalną z funduszów pozostałych austrjackich. W danych warunkach trudno było zapewne postąpić inaczej. Ale też i p. Habicht argumentował chyba równie słusznie, że skoro dom ów przeszedł na cele służby polskiej — zapewne krakowskiej! —, powinien być przystępny także dla legacji polskiej — zapewne warszawskiej! —. Pragnął więc p. Habicht przenieść się z malutkiego lokalu przy „Linke Wienzeile“ do domu przy Rennwegu. Tego z początku nie chciał dopuścić p. Gałecki i ztąd konflikt; ale w końcu

musiał p. Gałecki zrobić ustępstwo i oddał I. piętro poselstwu do dziś tam urzędującemu, a sobie zatrzymał dotychczasowe II. piętro.

Do mnie, jakby z skargami, przychodzili obaj ci panowie. Pan Gałecki radził się przy tej sposobności w rozmaitych sprawach likwidacyjnych, wchodzących w zakres moich wiadomości fachowych, przyczem byłem mu bardzo chętnie pomocnym. Pan Habicht znowu opowiadał mi o swoich kłopotach, w szczególności o oporze pana Gałeckiego przeciw jego (Habichta) udziałowi w obradach likwidacyjnych; a gdy mu wręczyłem mój list wspomniany dla przesłania kurjerem rządowi do Warszawy, zaznaczył przy tej sposobności, że zdaniem jego p. Twardowski i ja powinnibyśmy wziąść udział w sprawach likwidacyjnych, na co mu odrzekłem bez jego oporu, że przytem nie można pominąć p. Gałeckiego. To też gdy pewnego razu pojawił się u mnie p. Gałecki w towarzystwie p. dyrektora Steczkowskiego (późniejszego ministra skarbu), gwoli omówienia spraw Banku austro-węgierskiego — na drugi dzień byliśmy też razem, w tych sprawach nie bez skutku u gubernatora Grubera, — skorzystałem ze sposobności, ażeby przy końcu rozmowy u mnie poruszyć sprawę likwidacji. Zaproponowałem mianowicie panu Gałeckiemu, ażeby się zgodził na objęcie likwidacji przez nas trzech: jego, Twardowskiego i mnie, z prawem prowadzenia prezydjum miesięcznie per ternum. Gdy i p. Steczkowski bardzo gorąco zalecał mój wniosek, p. Gałecki zgodził się nań po trzema warunkami: a) ażeby prezydjum pozostało stale w moim ręku, b) ażeby się poseł nie mięszał absolutnie do spraw likwidacyjnych, c) ażeby automobil urzędowy był do użytku nas wszystkich trzech. Jakkolwiek dyskusja nad I warunkiem była dla mnie cokolwiek żenująca, zgodziłem się na wszystkie trzy warunki i uzyskałem zaraz telefonicznie zgodę p. Habichta na mój wniosek ze wszystkiemi warunkami p, Gałeckiego.

Stanął tedy co do likwidacji układ, który naturalnie był

sam w sobie tak długo aktem prywatnym, dopóki nie uzyska aprobaty rządu. Ale którego rządu? O tem rozmawialiśmy bezpośrednio po uzyskaniu zgody. Ja z p. Steczkowskim stanęliśmy na stanowisku, że likwidacja austro-polska jest akcją zbyt doniosłą, by mogła być kierowaną tylko przez przemijającą z natury komisję likwidacyjną. Wszakżeż, jak okazało się w przyszłości, komisja ta przemieniła się, po uwolnieniu Lwowa w „Komitet rządzący", we Lwowie który sam znowu w krótce został rozwiązany. Pan Steczkowski tedy i ja byliśmy zdania, że sprawy likwidacyjne, a więc i sprawa ustanowienia likwidatorów należą do rządu polskiego w Warszawie, że przeto nasz układ wymaga zatwierdzenia rządu warszawskiego. Pan Gałecki, nie był zdania odmiennego; ale przystępując do opinji naszej, zastrzegł sobie naturalnie, że przedtem rozwiąże swój stosunek służbowy z Komisją krakowską.

Ale niestety plany nasze nie tylko się nie ziściły, lecz doprowadziły wkrótce do najkłopotliwszych konfuzyj. Zanim jeszcze pan Gałecki mógł wyjechać do Krakowa dla zdania sprawy — było to może w 2-giej połowie listopada 1918 r. — nadeszły na wniosek p. Habichta, o którego postanowieniu nic nie wiedziałem, dwa telegramy z Warszawy, w których ministerstwo spraw zagranicznych (ministrem był p. Wasilewski) zaprasza p. Twardowskiego i mnie do brania udziału imieniem rządu polskiego w obradach „konferencji poselskiej" państw sukcesyjnych dla spraw likwidacyjnych. Zawiadomiliśmy o tem p. Gałeckiego i kilka dni jeszcze z nim razem uczestniczyliśmy w konferencji, przedstawiwszy się przedtem jej przewodniczącemu, sekretarzowi austrjackiemu dla spraw zagranicznych, p. Ottonowi Bauerowi, bardzo znakomitemu i zdolnemu uczonemu barwy mocno czerwonej, może nawet — jak należy wnosić z jego późniejszej czynności w parlamencie austrjackim — prawie bolszewickiej. Posiedzenia odbywały się w ministerstwie spraw zagranicznych w dawnej przepysznej sali kongresowej, mocno wówczas zabrudzonej. Cisnęły mi się mimo

woli do głowy słowa „vanitas vanitatum“ na wspomnienie, że w tej sali obradował kongres wiedeński z roku 1814/15, którego przywódcy, cztery wielkie mocarstwa, mieli do dyspozycji dla równorzędności cztery drzwi wchodowe, i że w 100 lat później w tej samej sali odbywały się wielkie bale i wielkie obrady dyplomatyczne, w których braliśmy niedawno jeszcze udział z niezrównaną moją małżonką. Niedługo potem pan Gałecki wyjechał do Krakowa i zamiast wrócić wkrótce z decyzją „zgubił się“ gdzieś na jakie trzy tygodnie. Tymczasem z początkiem grudnia nadeszły do p. Twardowskiego i dla mnie, w zatwierdzeniu telegramów, dekrety nominacyjne na likwidatorów, wystawione na papierze urzędowym, z nagłówkiem ministerstwa skarbu i z podpisem „za ministra spraw zagranicznych: wiceminister Filipowicz“. Na ich podstawie brałem z p. Twardowskim kilkakrotnie udział w obradach, tak w kwestji objęcia wypłaty płac i emerytur w Wiedniu, przez państwa sukcesyjne, jak co do likwidacji zapasów wojennych (które rabowali do spółki na szkodę reszty państw Czesi z Niemcami austrjackimi), jak wreszcie co do utworzenia Centralnej Komisji Likwidacyjnej przez wszystkie państwa. Udział nasz w dyskusji był intenzywny i skuteczny, posłowie obcy — z wyjątkiem Czechów bardzo przyklaskiwali i ofiarowali nam dwom miejsca delegata i zastępcy Polski w Komisji Likwidacyjnej. Wówczas nie przeczuwano naturalnie, że traktatem w St. Germain będzie dla kwidacji ustanowioną w Paryżu centralna „Komisja Reparacyjna“ z filją w Wiedniu, do której wszystkie państwa sukcesyjne wyślą swoich delegatów (polskim był, jak wiadomo, znakomity sędzia najwyższy p. Mrozowski); tak samo nikt nie przeczuwał, że traktat zastąpi „likwidację“ systemem terytorjalnym.

Tymczasem przed świętami Bożego Narodzenia pojawił się nareszcie p. Gałecki w Wiedniu. Zaraz na drugi dzień przybył do mnie — z mocy Komisji Likwidacyjnej — z podpisanym przez Naczelnika państwa dokumentem, mocą którego został posłem polskim i likwidatorem w jednej osobie; p. Habicht

został powołany na szefa sekcji do ministerstwa spraw zagr.; zaś p. Twardowski i ja nie otrzymaliśmy wcale pism odwołujących, zostaliśmy wyrzuceni via facti bez jakiegokolwiek słowa podzięki czy przeproszenia. Pan Gałecki przedstawił mi przedewszystkiem historję swojej nominacji. Oto w Krakowie spotkał się ze stanowczym oporem tak przeciw skróceniu władzy Komisji Likwidacyjnej w sprawach likwidacyjnych, jak zwłaszcza przeciw powołaniu do tych spraw „zdrajców narodowych". Ażeby tedy odrobić tyle „niepatryotyczny" akt rządu warszawskiego z grudnia, poruczono p. Gałeckiemu udać się do Warszawy i dodano mu do pomocy kilku członków Komisji Likwid., (między innymi mego przyjaciela Diamanda). W Warszawie udali się wszyscy razem do ministra Wasilewskiego, który pod grozą swoich gości wyparł się udziału swego w naszem powołaniu i odesłał gości do wiceministra Filipowicza. Ten nie zaprzeczając wcale swego podpisu, oświadczył, że dokonał naszej nominacji nie tylko z mocy swego rządu, ale także z upoważnienia wypierającego się ministra. Nie trudno chyba domyśleć się, kto z tych dwóch dygnitarzy rozminął się z prawdą; ale to rzecz obojętna, bo rację ma zawsze silniejszy. Wyrzucono więc pana wicemin. Filipowicza z ministerstwa, wyrzucono, jak rzekłem, nas dwóch brevi manu, a panu Gałeckiemu wręczono dekret nominacyjny z bardzo drobniutkiem zastrzeżeniem, do którego się wobec mnie sam przyznał: że mianowicie z uwagi na brak traktatu pokojowego Austrji z Ententą, nie wolno p. Gałeckiemu ani się przedstawić rządowi austrjackiemu w charakterze posła, ani przedstawić swego pisma uwierzytelniającego. A więc urządzono tę komedję tylko na to, ażeby Komisja Likwidacyjna miała ustalonego kandydata na dalsze prowadzenie likwidacji z usunięciem mianowanych już przedtem dwóch likwidatorów z ramienia Warszawy.

Muszę przyznać, że cała ta mise-en-scéne, dająca przedsmak późniejszego osławionego „bałaganu warszawskiego" podziałała na mnie raczej wesoło, niż zasmucająco, zwłaszcza, gdy

p. Gałecki na moje zapytanie, jak zdoła pogodzić stanowisko swoje nowe posła i likwidatora w jednej osobie z dawnym oporem przeciw mięszaniu się p. Habichta do likwidacji, odpowiedział mi naiwnie, że na to niema rady, że tak w Warszawie zadecydowano! Poseł polski, którego Komisja Likwidacyjna zdołała zmusić do dalszego prowadzenia likwidacji! To też odrzekłem mu spokojnie, że wprawdzie pragnąłem bezinteresownie służyć Ojczyźnie, że jednak poddaję się naturalnie decyzji rządu polskiego. Ale nie liczyłem się w tej odpowiedzi z dawnemi p. Gałeckiego sympatjami dla mnie i z jego przekonaniami o mojem uzdolnieniu co do likwidacji. Bo oto mój gość — powołując się na te właśnie uczucia swoje, za które mu jestem do dziś obowiązany — oświadczył mi stanowczo, że on mnie — z wykluczeniem p. Twardowskiego — nie wypuści z prac likwidacyjnych u boku poselstwa. Odrzekłem, że dla dobra kraju i na to też się zgodzę, zwłaszcza że w konferencji posłów mówiono o mojem powołaniu do Centralnej Komisji Likwidacyjnej z ramienia Polski i jej posła. Ale na to znowu p. Gałecki nie chciał się zgodzić, gdyż, jak mi się przyznał, współpracy mojej w konferencji poselskiej sprzeciwiają się — nie ogół posłów, lecz poseł czeski, słynny socjalista Rady państwa (austr.) i późniejszy prezes ministrów w Pradze p. Tusar zarzucając mi moje tak zw. sympatje niemieckie, zdaje się z układów lipcowych w parlamencie. Na mój zarzut, że przecież Państwo Polskie nie będzie czyniło zawisłem powołania delegata do komisji międzynarodowej od przyzwolenia posła czeskiego, p. Gałecki odpowiedział: „owszem, powołanie Pańskie wykluczone z powodu sprzeciwu Czechów; takie też jest zapatrywanie Komisji Likwidacyjnej w Krakowie". Taką to „imperjalistyczną" politykę polską wdrożyła była pierwsza wogóle magistratura polska, powstała jeszcze przed rządem warszawskim! Taką czołobitność okazywała Czechom, widocznie w przeczuciu ich „przyjacielskich" kroków na Śląsku Cieszyńskim! Ale ja, chcąc pracować i temu się poddałem i stanęło na tem, że ja

mam objąć w poselstwie i pod ingerencją posła kierownictwo fachowe wewnętrznej Komisji Likwidacyjnej polskiej, złożonej z polskich referentów urzędników, ustanowionych już wówczas przez p. Gałeckiego lub mających być w przyszłości ustanowionych dla każdego w likwidacji znajdującego się ministerstwa austrjackiego lub wspólnego. Z góry zresztą zastrzegłem, że za tę pracę nie będę pobierał wynagrodzenia, jeno otrzymam w poselstwie biuro i sekretarza, prowadzącego protokół posiedzeń, a ponadto do użytku samochód dla jazdy z domu do biura, do poszczególnych ministerstw i t. p. Na to zgodził się p. Gałecki.

Rokowania między mną a p. Gałeckim trwały od stycznia do kwietnia 1919 r. i były dla mnie istną pracą Syzyfa. Przyjąłem na siebie wypracowanie statutu dla projektowanej przez p. Gałeckiego dla mnie komisji likwidacyjnej polskiej w Wiedniu. Musiałem takich statutów wypracować cały szereg, bo każdy projekt otrzymany odemnie, przynosił mi p. Gałecki po niejakim czasie na powrót osobiście, a skłoniwszy mnie za każdym razem do niepotrzebnych zmian, przynosił mi potem każdy taki, zmieniony według jego życzenia projekt z wnioskami do nowych zmian i t. d. in dulce infinitum. Pozatem proponował mi czasem zmiany, których znowu nie mogłem absolutnie przyjąć. Myśl jego była zawsze: pracę musi wykonywać likwidator (t. j. ja), ale poseł musi nie tylko wiedzieć o wszystkiem, ale i zarządzać i decydować. Pewnego razu chciał mi zabronić prawa podpisywania się na aktach wypracowanych przezemnie, „bo toby raziło Polską Kom. Likwidacyjną w Krakowie"; innym razem miał poseł mieć prawo, dawania instrukcji moim referentom i to tak po wydaniu już instrukcji przezemnie — wbrew mnie —, jak przedemną — z przesądzeniem opinji mojej. — Ileż to razy musiałem prosić, by mnie p. poseł zwolnił z projektowanej godności prezesa kom. likwidacyjnej! Ale zawsze spotykałem się z przychylną odmową. Aż nareszcie około Wielkiej Nocy, byliśmy gotowi z elaboratem, do którego nie dopuściłem żadne takiej zmiany, któraby uwłaszczała mojej pozycji czy to poli-

tycznej, czy osobistej. Z elaboratem tym miał p. Gałecki jechać do Warszawy po zatwierdzenie.

Tymczasem stała się rzecz zupełnie nieoczekiwana. Oto pewnego dnia wpada do mnie p. poseł Gałecki z wielką wiadomością osobistą: Rząd odwołał go z poselstwa i zamianował generalnym delegatem na Małopolskę, a w jego miejsce ustanowił jako „Chargé d'affaires", a w gruncie rzeczy, dla braku normalnych wówczas stosunków dyplomatycznych, jako „Chargé des affaires" pana Dr. Marcelego Szarotę. Co się stało z pismem p. Gałeckiego którem miał przedłożyć jeszcze przed odjazdem swoim projekt naszego statutu ministerstwu warszawskiemu, pozostanie już tajemnicą tegoż ministerstwa. Piewsza próba moja służenia zmartwychpowstałej Ojczyznie rozprysła się więc jak bańka mydlana. Nie mogę powiedzieć, bym się tem zgryzł zbytecznie, boć nareszcie była to rzecz przemijająca, a wówczas nie przeczuwałem jeszcze, że tu chodzi o przedsmak daleko boleśniejszych doświadczeń. Sprawa likwidacji zaś poszła swoim torem. W Warszawie utworzono urząd samoistny „Główny Urząd Likwidacyjny" zamianowano jego prezesem pana Władysława Grabskiego, późniejszego min. skarbu, do ówczas członka delegacji paryskiej, który w przejeździe z Paryża do Warszawy przyjął w Wiedniu na dworcu północnym p. Twardowskiego i dobił z nim targu co do objęcia urzędu „Pełnomocnika G. U. L." w Wiedniu. Poseł Szarota, z ktorym nawiązałem bliższe stosunki, tak umiał zaraz w pierwszych tygodniach pozyskać sfery polskie w Wiedniu, że gdy w maju miałem w czasie przejazdu p. Paderewskiego z Paryża do Warszawy przedstawiać mu kolonję polską na dworcu kolei zachodniej, mogłem śmiało stwierdzić publicznie, że p. Szarota jest najpopularniejszą z Polaków wiedeńskich osobistością. Pan Paderewski powinszował również publicznie panu Szarocie tego sukcesu, uwiadomił potem p. Twardowskiego o dokonanej nominacji na pełnomocnika, a pomówiwszy z resztą osób przybyłych, wyjechał wraz z żoną swoją i p. Szarotą sa-

mochodem na oględziny miasta, przyczem pierwsze jego słowa odnosiły się do mojej osoby. Już bowiem przedtem złożyłem wraz z min. Korytowskim i Morawskim pp. Paderewskim wizytę w wagonie: stało się to wskutek gorliwości znajomego mi urzędnika kolejowego o kilkanaście minut za wcześnie, tak że dłuższa rozmowa w wagonie opóźniła moje przybycie do oczekujących p. Paderewskiego gości, których miałem mu przedstawić. Dość, że pierwsze słowa p. Paderewskiego, wypowiedziane w samochodzie do p. Szaroty, opiewały: „Bardzo rozsądny człowiek p. Biliński, no i zupełnie dobrze mówi po polsku"!! Potrzeba dopiero było wyjaśnienia ze strony p. Szaroty o mojej 50-letniej pracy dla Polski, ażeby wychowanego po za Polską artystę-polityka odwieść od baśni, narzuconych mu przez moich „przyjaciół" endeckich!!

Ministerstwo skarbu polskiego. Zgon Małżonki.

Zbliżała się wiosna 1919 r. Po ciężko przebytej jesieni i zimie 1918/19 r., po cierpieniach rozpoczętych w dniu rocznicy zaślubin 23. IX. 1918 r., po smutnej uroczystości Bożego Narodzenia i przeżytym bez uroczystości dniu Sylwestra, potrzebowała moja biedna żona powietrza wiejskiego. W roku zeszłym wychodziła jeszcze często do pobliskiego parku, a później służył jej dobrze pobyt w Eichwald. Roku 1919 było jej już ciężko wychodzić — podobno raz tylko się na to zdołała zdobyć —; Eichwald, do którego zamierzaliśmy powrócić, znalazł się w państwie obcem (czeskiem), chroniącem się od przyjezdnych, tak że bratowa żony nie miała tam już pensjonatu; do Ischlu, jak wogóle nigdzie w oddaleniu nie można było wyjechać dla braku wszelakiej wówczas komunikacji i dla głodu; a mieszkanie nasze śliczne przy Tulpengasse, położone do północy, stało się po raz pierwszy od lat 21 niedogodnem dla braku słońca, po które nie mogliśmy już dawnym sposobem wyjechać lub wyjść piechotą. Wiosna się zbliżała, a ja po raz pierwszy od czasu naszego małżeństwa nie wiedziałem, dokąd mam się udać dla pielęgnacji

chorej tyle ukochanej i uwielbianej żony. Na pomoc przyszła mi w czas ta sama bratowa żony, u której byliśmy przed rokiem w Eichwald i do której bezskutecznie zapowiedzieliśmy się przed odjazdem na nowo. Poradziła mi ona wyjazd w pobliżu Wiednia do wili, którą sama poznała, mając plany pensjonatu w tych okolicach.

Któż z przyjaciół Wiednia niezna cudownego jego otoczenia?! Na wszystkie niemal strony prowadzą koleje wiedeńskie wokoło Wiednia przez urocze miejscowości, wspaniale zabudowane. Jakże pod tym względem biedną jest nasza Warszawa! O godzinę od Wiednia, przy kolei zachodniej, w miejscowości górzystej Tullnerbach, (stacja Tullnerbach-Pressbaum) miała być do wynajęcia willa. W sam dzień imienin swoich, d. 11. IV. 1919 r. odwiedziłem zamieszkałego w Wiedniu właściciela i po dłuższej konferencji nająłem I piętro willi tylko na podstawie dokładnego szkicu. Wieczorem przedstawiłem wszystko Najdroższej mojej i znalazłem jej aprobatę. Dopiero w kilka dni udałem się na miejsce i nie doznałem wcale rozczarowania mimo nierozwiniętej jeszcze wegetacji. A po dokonanych operacjach sprzątania w mieszkaniu wiedeńskiem i wiejskiem, pojechaliśmy za Boską pomocą d. 3. VI. koleją do Tullnerbach, wysławszy tam dniem przedtem towarowym samochodem rzeczy nasze i kufry. Zastaliśmy tam raj istny: na wzgórzu, wśród wspaniałego starego parku stoi willa (Egerergasse Nr. 6), doskonale utrzymana, o 4-ech na I piętrze (prócz bocznych lokalności) pokojach z dwoma werandami na południe i wschód. Moja droga żona z zadowoleniem zajęła mieszkanie: wielki przewiewny pokój sypialny na wschód, zkąd prawie co rano około godz. 4 podziwiałem wśród drzew wschód słońca, do ówczas prawie mi nieznany; na werandzie południowej w kształcie loggii renessensowej, przesiadywaliśmy w słońcu i cudownem powietrzu prawie całemi dniami; ja często wychodziłem na godzinę w śliczne wzgórza, albo z żoną przepędzaliśmy poranek w ogrodzie. Na werandzie czytano głośno, a ja przytem pracowałem gorliwie nad niniejszemi „Wspomnieniami“ albo pisałem listy do Lwowa z pole-

ceniem wyszukania nam mieszkania. Bo takie było nasze postanowienie: powrócić do Lwowa, siedziby naszego szczęścia młodocianego! Ale losy chciały inaczej! Losy te zaniosły mnie do Warszawy! Już w pierwszej połowie lipca otrzymywałem z Warszawy od brata Marjana, posła Starowiejskiego i rektora uniwersytetu Kostaneckiego gorące wezwania, bym zjechał do Warszawy na ankietę walutową, na którą mnie po dwakroć zaprosił minister Karpiński. Raz już byłem zdecydowany poddać się temu naciskowi, ale przed samym dniem zaniemogłem w nocy i telegramem pilnym, wysłanym jak najspieszniej przez nadzwyczaj gorliwą poczmistrzynią, panią v. Bitter — to także właściwość miła Tullnerbachu! — wytłumaczyłem moją nieobecność. Aliści 20 lipca jak grom z nieba spadł na mnie dołączony tu telegram*) zastępcy prezesa gabinetu, ministra Wojciechowskiego, wzywający mnie imieniem Naczelnika Państwa do Warszawy. Już w innem miejscu wspomniałem, że na wiadomość o tem wezwaniu moja biedna niezrównana żona wyrzekła na to do mnie tylko krótkie trzy słowa: „nie jedź tam". Co było na gruncie Jej duszy, gdy je wypowiadała? Czy prosta obawa przed daleką podróżą męża, czy przeczucie moich „tam" niepowodzeń i nieszczęść, czy przeczucie własnego „tam" zgonu?? Nigdy mi tego nie wyjaśniła! A ja — jakkolwiek zwykł byłem, stosować się do Jej rad mądrych i zawsze szlachetnych — przecież musiałem postąpić inaczej, boć na żądanie Naczelnika Państwa musi się wreszcie pojechać, nie dziś, to jutro, zwłaszcza że było ono oparte na żądaniu stronnictw sejmowych. Ale i ja, motywując wyjazd żądaniem głowy Państwa, dodałem słowa: „to widocznie los taki". I znowu ja także nie umiem ocenić, co wówczas sam rozumiałem przez

*) Telegram wiceprezesa ministrów Wojciechowskiego:

Dr Leo Biliński Wien roem 8 tulpengasse 2 =
Warschau 8698 21 20/7 1330 —
im auftrage staats-oberhauptes generals Pilsudski bitte ehestens warschau kommen =
stellvertretender ministerpraesident Wojciechowski.

wyraz „los“: czy naturalnie ostatecznie konieczność, oddania się Polsce na usługi, czy może także przeczucie nieszczęść, jakie miały spaść na mnie z tej podróży. A w związku z tem jeszcze jedno wydarzenie w kilkanaście dni później, gdy jako nowomianowany minister przybyłem do Tullnerbach celem wdrożenia przesiedlenia naszego. Jakkolwiek mój wyjazd zapowiedziany był co do dnia i prawie godziny, najdroższa żona moja wybuchła na widok mój w płacz gorzki, jakiego u niej nigdy nie zaznałem. Czy to było rozżalenie osoby chorej z rozczulenia i miłości, czy też znowu może przeczucie, że przyjechałem na to, ażeby Ją zabrać bezpowrotnie dla innego świata?! Wszak i jej rodzina była przekonana, że się z Nią żegna na wieki!!..

Odpowiedziałem tedy ministrowi Wojciechowskiemu, że przyjadę i w kilka dni potem byłem w Warszawie. Na dworcu oczekiwał mnie brat Marjan. Z hotelu Europejskiego, dokąd zajechałem, udałem się zaraz dla zorjentowania się w sytuacji do p. Wróblewskiego wiceministra w prezydjum ministerstwa (później ambasadora w Londynie). Człowiek to solidny i gruntowny; pochodzi z Krakowa. Zamówiłem sobie przez niego audjencję u Naczelnika Państwa na trzeci dzień. Nazajutrz zaś w restauracji hotelowej przystąpił do mnie marszałek Trąmpczyński z zaproszeniem na urządzone właśnie na ten dzień przyjęcie popołudniowe dla posłów sejmowych. Nie będąc posłem, podziękowałem mu z uwagą, że jako kandydat na ministra muszę przedewszystkiem być nazajutrz u Naczelnika Państwa. Tak mnie uczono w monarchji, ale podobno popełniłem wtedy błąd taktyczny, bo u nas w Polsce uchodzi za pierwszą figurę nie, jak na całym świecie w mojem przekonaniu, Naczelnik Państwa, lecz wybraniec „Sejmu suwerennego“ — Marszałek. Tego nie wiedziałem. Do tego przybywa, że Piłsudski jest radykalny lewicowiec, Trąmpczyński zajadły endek, że pierwszy ma wielki talent nie tylko wojenny, ale i polityczny, zaś drugi jest niedołęga polityczny z zajadłością endecką przeciw wszystkiemu, co nie jest „wszechpolskie“.

Zapewne więc z góry zraziłem sobie pana Marszałka, który mi za to zapłacił przy i po mojej dymisji.

Audjencja w Belwederze wypadła dość blado. Naczelnik nie przypomniał jednem słowem naszego dawnego stosunku w Wiedniu, oznajmił mi, że Endecy, acz ze wszystkiemi innemi stronnictwami podpisali żądanie mego powołania, już teraz na mnie napadają i wkońcu radził co do stosunku skarbu do innych ministerstw użyć drogi „dobrotliwej", na co się nie zgodziłem. Zresztą audjencja została przerwana przez uroczystość przyjęcia powitalnego posła szwajcarskiego z pięknym ceremonjałem wojskowym, któremu się przyglądałem na dole w towarzystwie synowej mego dawnego szefa prezydjalnego, żony Leona Kniaziołuckiego, rotmistrza i adjutanta Naczelnika. Urodził on się w marcu 1892 r., gdy właśnie ojciec wstąpił u mnie do służby kolejowej!.. Później zresztą niejednokrotnie bywałem u Piłsudskiego: raz na audjencji, która się bardzo mile i interesująco odbyła w parku Belwederskim, a kilka razy na ważnych konferencjach ministerjalnych nocnych. Wtedy był mi Naczelnik za każdym razem bardzo sympatyczny, dorastający widocznie coraz bardziej do swej roli wielkiej, której służyła także niezwykle oryginalna, jedyna w swoim rodzaju, mocno obrazowa wymowa. W sferach politycznych uważano mnie za ulubieńca Naczelnika; mieliśmy się nawet bardzo często, „prawie codziennie" schodzić w czasach przesileń. Są to jednak wręcz kłamliwe baśnie parlamentarne. Przeciwnie, w czasie mojego przesilenia nie usłyszałem w Belwederze ani słowa, a dekret mojej dymisji był najchłodniejszy ze wszystkich; a chociaż redagował go Paderewski, nie musiał go tak podpisać w formie prawie demonstracyjnej Piłsudski. Toż i po dymisji nie byłem u niego wcale i opuszczając Warszawę, pożegnałem się z nim listownie. Zapewne się już na tym świecie nie zobaczymy. Uważam go zresztą za jedynego dziś męża stanu w Polsce.

Tego samego dnia co u Piłsudskiego przedstawiłem się prezesowi ministrów, panu Paderewskiemu i jego mał

żonce, bo, jak wiadomo, pani Paderewska właściwie rządziła w Polsce za męża lub za jego pośrednictwem. Według świadectw historji, a i naszych własnych dziejów, nie był to stosunek ani normalny, ani dla narodu pożyteczny; ale w danym wypadku byłoby to może dla Polski mniejsze zło, bo pani Paderewska posiadała więcej zmysłu politycznego, niż jej fantastyczny małżonek. Wszakże niestety, i ona znowu nie była samoistną, lecz stała pod wpływem obrzydliwego otoczenia, które ją wiodło do działań politycznych i, co jeszcze gorsza, do pokrywania strasznej tego otoczenia korrupcji. Pozatem pan Paderewski robił wrażenie genjalnego artysty, znakomitego patrjoty i naiwnego dziecięcia politycznego w jednej osobie; pani Paderewska zaś, pełna pięknego ułożenia, uprzejmości, gościnności i widocznego rozumu, a zapewnie i dobrotliwości, byle — być jej posłusznym i oddanym. A ja niestety nie posiadałem tego daru! Zamieszkali zresztą — ku memu zdziwieniu — zamek królewski, w którego przedsieniach roiło się od straży wojskowych, służby cywilnej, adjutantów wojskowych i sekretarzy cywilnych, zupełnie jakby u monarchy lub Naczelnika Państwa! U cesarza Franciszka Józefa nie było wcale tak szumno, a u Piłsudskiego wprost skromnie.

Sprawę mego wstąpienia do rządu omawialiśmy z p. Paderewskim bardzo powierzchownie. Nie pytał o program, a ja oświadczyłem tylko, że zamierzam postawić pewne warunki techniczno-skarbowe. Wspomniałem jeszcze o jednej sprawie niezbyt miłej. Oto doówczas był min. spr. wewn. pan Wojciechowski, zastępca prezesa gabinetu w czasie jego częstych wyjazdów (jako ministra spraw zagranicznych) do Paryża i Londynu. Przed moim pierwszym wyjazdem do Warszawy przybył do Wiednia z powrotem z Warszawy po dłuższym tam pobycie hr. Gołuchowski. Spotkawszy mnie w poselstwie, zaklinał mnie, bym żądał połączenia wice-prezesury gabinetu z teką skarbową, gdyż inaczej nie trafię do celu. Opinję tę potwierdził mi ex post, bo w 15 miesięcy później tuż przed moim osta-

tecznym wyjazdem z Warszawy, w banku brata mego Marjana jego dobry znajomy, radca min. spr. zagr., p. Wielski, wytykając mi to jako błąd kardynalny, że przybywszy z Wiednia „jako potęga niezmierna", nie zażądałem odrazu prezesostwa gabinetu, bo wówczas musiano mi we wszystkiem ustąpić"! Ja swoją drogą nie wierzę, by wówczas p. Paderewski dał się był łatwo usunąć — wszak dużo później upadł jeszcze w roli gromowładcy! — Hr. Gołuchowskiemu odpowiedziałem też wtedy, że trudno mi będzie w chwili powołania na ministra skarbu wymagać czegoś odrębnego dla swojej osoby. Ale dla zaspokojenia sumienia opowiedziałem o projekcie hr. Gołuchowskiego panu Paderewskiemu. Na to mi odrzekł, że oddanie mi wiceprezesury byłoby niemożebne, ponieważ według prezesa umowy ze stronnictwami (scil. endeckiemi!) ma ona być nadana posłowi poznańskiemu i znakomitemu patronowi tamtejszych stowarzyszeń, księdzu Adamskiemu. Co do osoby swojej nie podniosłem wobec p. Paderewskiego żadnej dalszej trudności; co zaś do kandydatury ks. patrona oświadczyłem po namyśle wiceministrowi Wróblewskiemu, odprowadzającemu mnie do domu, że trudnoby mi było stać w gabinecie pod kierunkiem tak młodego, niedoświadczonego polityka. Nawiasem mówiąc, nigdy zresztą przez czas swego ministerstwa nie spotkałem się osobiście z ks. Adamskim, ani go nawet nigdy nie widziałem. On ze swej strony nie taił się podobno ze swą wobec mnie nieprzychylnością i nawet miał mi później szkodzić w sprawie pożyczki w Ameryce!

O mojem stanowisku wobec kandydatury ks. Adamskiego nie robiłem tajemnicy; a że ta kandydatura endecka była skierowana przeciw Naczelnikowi Państwa, przyjacielowi osobistemu dotychczasowego wiceprezydenta Wojciechowskiego, przeto sytuacja przybrała znamię krytyczne. Skorzystali z tego moi przyjaciele polityczni w sposób trochę niezwykły. Wiedzieli oni odemnie, że ja mimo rady hr. Gołuchowskiego, skierowanej przeciwko min. spr. wewn. Wojciechowskiemu, przyje-

chałem z wielkiemi dla tego ministra sympatjami, opartemi na jego mowach sejmowych; wiedzieli też, że jestem szczerze oddany Naczelnikowi Państwa. Otóż, wyciągając z tych dwóch przesłanek konsekwencje, owi przyjaciele moi wybrali się, zupełnie bez mojej wiedzy, nocą do wiceministra spraw zagranicznych p. Skrzyńskiego i spowodowali go do natychmiastowego udania się do Belwederu, ażeby oświadczyć Naczelnikowi w mojem imieniu, że ja nie wstąpię do gabinetu pod wiceprezesurą ks. patrona, a natomiast wstąpię chętnie pod takąż władzą p. Wojciechowskiego. Ta deklaracja zadecydowała o losach: ks. Adamskiego, p. Wojciechowskiego i moim, bo Naczelnik zgodził się na pozostawienie wiceprezesem Wojciechowskiego i na moją nominację ministrem, a uchylając kandydaturę posła endeckiego, wznowił śmiertelną znowu nienawiść endecji ku mnie. O tem wszystkiem zawiadomili mnie rano posłowie Starowieyski i Halban, nie zdając sobie widocznie sprawy ze skutków tej akcji, której nie można chyba odmówić cechy intrygi. A w danej sytuacji trudno mi było nawet im to wytknąć, bo musiałem przyjąć już tekę bez oporu.

Skutkiem jej była stała już nieprzyjaźń endeków. Wprawdzie w kilka dni potem poseł Halban przybył do mnie do hotelu z posłem Stanisławem Grabskim, przywódcą tego stronnictwa. Może to był pierwszy krok do jakiejś wspólności, może, jak mi ktoś później powiedział, miałem w ręku klucz do stałych w Polsce rządów przy pomocy Endeków, — gdybym był chciał persekwować stosunek rozpoczęty. Ale ja najprzód nie mogłem mieć animuszu, jak żądali odemnie rozmaici posłowie zaprzyjaźnieni, a może w duchu i Grabski, prowadzenia polityki ogólnej, mając ratować skarb polski pracą dni i nocy; powtóre nie mogłem jużci po 50-letnim niemal jednolitym kierunku politycznym w duchu zachowawczym raptem przenieść się do radykalnego obozu wszechpolskiego, z jego cechą ekskluzywności narodowej, zaprawionej moskalofilstwem; po trzecie zaś pan

Grabski tak troskliwie wystrzegał się w czasie swej wizyty wszelakiej choćby najdrobniejszej wzmianki o polityce wewnętrznej, że mógłbym się był nawet narazić na rekuzę, gdybym był chciał ze swej strony sam poruszyć ten temat. Ograniczyłem się tedy do złożenia panu Grabskiemu biletu wizytowego i mimo dość uprzejmych z nim później w Sejmie stosunków osobistych — wniosłem ze sobą do ministerstwa zaród rozłąki z Endekami. Innej polityki nie mogłem robić ani z przekonania, ani w konsekwencji owej intencji naszej.

Tymczasem sam urząd dostał się do rąk moich gładziej niż się spodziewałem. Po audjencji mojej zjednany był dla mnie Naczelnik Państwa; zaraz nazajutrz złożył mi wizytę minister Wojciechowski, zanim zdołałem być u niego i był mi też — muszę to podnieść z wdzięcznością — wiernym kolegą aż do końca, nawet po ustąpieniu mojem. Odstąpiwszy od żądania wiceprezesury, przedstawiłem dziesięć warunków moich, czysto z punktu widzenia ministra skarbu, a ten mój „dekalog", jak go nazywano, został przyjęty tak przez p. Paderewskiego jak z jego polecenia z d. 2 VIII 1919 r. do L. 9835 przez wszystkich innych ministrów, z których każdy musiał by był ustąpić z urzędu w razie odmowy podpisu. W dniu 31 lipca 1919 r. został podpisany przez Naczelnika i wręczony mi dekret nominacyjny. a wieczorem tegoż dnia złożył mi wizytę p. Paderewski, u którego znowu byłem nocą na wielkim raucie z okazji jego imienin. Oglądano mnie tam dość ciekawie. Dzień 31 VII uważałem za szczęśliwe omen, bo nominacja na ministra polskiego nastąpiła dokładnie w 48 lat po nominacji na profesora wszechnicy lwowskiej z d. 31 VII 1871 r. A i całe to powołanie uważałem za cud Boży po tylu niegodziwych odsądzeniach mnie od patrjotyzmu i polskości. W tem też poczuciu nowego w mem życiu cudu Bożego napisałem liścik z d. 2 VIII 1919 r. do żony mej: „widocznie cudem Bożym objąłem ministerstwo skarbu" i dodałem w dalszym ciągu słowa: „w Bogu najmiłosierniejszym nadzieja, że zdrowie twoje tutaj uczyni szybsze

postępy, o co Go proszę z głębi serca". I w jednym i w drugim kierunku ziściła się w pierwszych miesiącach nadzieja moja, że zaś ludzie wkrótce złamali bezpośrednio jedno, a pośrednio drugie, to nie zmienia faktu pierwotnej łaski Boskiej. Wszak wszystko na świecie musi się źle skończyć, tak czy owak!

W dniu 1 sierpnia, wstąpiwszy po drodze do kościoła Świętokrzyskiego — gdzie w rok niespełna musiałem złożyć zwłoki Najdroższej mojej! — objąłem urząd przy ul. Nowy Świat, dawnym pałacu Zamojskich, skonfiskowanym przez rząd rosyjski w 60-tych, po dokonanym ztamtąd zamachu na przejeżdżającego namiestnika hr. Berga. Przy przedstawieniu mi najwyższych urzędników przez wiceministra p. Byrkę, znakomitego i bardzo mi wiernego później współpracownika, spowodowałem zaraz usunięcie drugiego wiceministra p. Pflauma, który też przedtem zakupił był w Paryżu bez potrzeby i upoważnienia tytoniu za 10 miljonów franków. Stała się z tego cause celèbre, która mi dodała wiele w Sejmie i mieście autorytetu. Biuro moje było położone bardzo miło z oknami na park wielki; po $1^1/_2$ roku miało być i zostało też zastąpione wspaniałemi apartamentami w przydzielonym dla ministerstwa skarbu pałacu ongiś króla Stanisława Leszczyńskiego. Przyjąłem w biurze zaraz w pierwszych dniach szefów sekcji bar. Manteuffla (kredyt) i Dr. Zaczka (budżet), z którymi pracowałem cały czas bardzo dobrze i zgodnie.

Po załatwieniu spraw najpilniejszych należało coś pomyśleć o żonie i jej przesiedleniu. Sprawa przedstawiała się dość jasno: skoro nie zawachałem się przyjąć misji w Warszawie mimo ciężkiej choroby żony najdroższej, skoro nie odmówiłem, jak w istocie mogłem był odmówić słusznie, powołując się na tę ciężką chorobę — ach wieleż to bolów byłbym sobie tem oszczędził! — to już i nie wolno mi było pozostawić jej w samotności przez zimę w Wiedniu, lecz należało przeprowadzić się z nią do Warszawy, do „wskrzeszonej Ojczyzny naszej", jak jej pisałem w liście z d. 2 VIII 1919 r. Po odbyciu więc jeszcze

pierwszego posiedzenia Rady ministów, wybrałem się we czwartek d. 7 VIII wieczorem pociągiem tak zw. „koalicyjnym“ do Wiednia, gdzie wraz z towarzyszącym braterstwem Maryanami (także się przesiedlającymi do Królestwa) przybyłem w piątek 8 VIII popołudniu. Autem przyjechałem przed wieczorem do Tullnerbach. Wtedy to powitała mnie biedna żona moja ciężkim, głośnym płaczem. W Warszawie zapewniłem sobie przez p. Fijałkowskiego, bardzo dzielnego zastępcę mego szefa prezydjalnego, maleńkie mieszkanko w pensjonacie pani Wojciechowskiej przy ul. Kredytowej L. 9, na 4 piętrze w ogromnym domu 7-o piętrowym. Należało przeto drobną część rzeczy zabrać ze sobą w wagonie salonowym do Warszawy: reszta musiała być pakowana powoli w pomieszkaniu dawnem wiedeńskiem przy Tulpengasse 3, świadku 21 letniego pożycia naszego najszczęśliwszego, które telegraficznie wymówiłem był 1 sierpnia na koniec października. Chodziło tylko jeszcze o podział pracy. Dawna kamerysza żony i po części pielęgniarka (później się ta czynność wzmogła) czeszka Lina Fuka, musiała na każdy sposób jechać z nami, a że ona sama bała się Warszawy (w końcu wyszła tam za mąż za woźnego Zawiszę!). Drugą niepolkę, pannę do towarzystwa i daleką krewną żony, pannę Karlę Nudera odradzali Marjanowie zabrać do Warszawy z uwagi na panującą tam nienawiść do Niemców. Chciałem się zastosować do tego i zapowiedziałem to tej pannie ku wielkiej jej zgryzocie. Ale żona moja, usłyszawszy o tem, tak znowu zaczęła płakać (co nie było wcale jej zwyczajem), że natychmiast odstąpiłem od zamiaru. I jakże to mądrze doradziła mi żona najdroższa, najlepsza zawsze doradczyni moja! W Warszawie była nam p. Nudera nadzwyczaj pomocną; a wcale po mojem nieszczęściu była bardzo gorliwą w domu i w gospodarstwie. Pozostała ona w Wiedniu do dozoru przy pakowaniu rzeczy naszych i przyjechała do Warszawy później, gdzie się nauczyła po polsku. Zaś pokojówka acz w końcu wyszła za Polaka, wywołała w Warszawie — zapewne już po mojej dymisji — „obu-

rzenie“ nawet w Sejmie, ponieważ któryś z odwiedzających mnie posłów, przemówiwszy do niej po niemiecku, otrzymał odpowiedź w tym samym języku. Takim to ja byłem „Niemcem“ z polskiem nazwiskiem!

Przez sobotę i niedzielę 9 i 10 sierpnia 1919 r. zostałem był z drogą żoną w Tullnerbach, w którem pierwotnie zamierzaliśmy zabawić do końca września; zaś w poniedziałek rano (11 VIII) wyjechałem na dwa dnie do Wiednia gdzie byłem gościem braterstwa. Miałem tam cały szereg obowiązków urzędowych i towarzyskich. Przedewszystkiem udałem się do Banku austro-węg., ażeby z gubernatorem bar. Wimmrem (niestety zmarłym wkrótce potem) i dyrektorem drukarni bankowej p. Nadhernym omówić sprawę druku banknotów polskich w sławnych drukarniach wiedeńskich. Musiałem dalej przygotować w poselstwie całą naszą, trudną na owe czasy, podróż do Warszawy. Miałem dalej odebrać z banku dyskontowego zajętą przez skarb austr. biżuterję żony mojej, niemniej w banku austro-węg. podnieść równie zajęty przez skarb majątek nasz ruchomy i zlikwidować go ze znacznemi niestety stratami. Niemniej pragnąłem pożegnać się z kilkoma z najlepszych znajomych: pozatem wyjechawszy nieprzewidzianie do Warszawy, wysłaliśmy ztamtąd do wszystkich bez wyjątku znajomych i przyjaciół osobne pożegnanie. W domu miałem wziąść udział w urządzonych dla mnie dwóch objadach pożegnalnych: u ministra Korytowskiego i u ministra skarbu austrjackiego, sekretarza stanu Dr. Schumpetra. Pierwszy objad zgromadził w gościnnym domu pp. Korytowskich resztkę dawnych dygnitarzy polskich (Gołuchowski, Morawski, Lanckoroński, Ćwikliński, Twardowski); Po objedzie omawiałem z gospodarzem poufnie sprawę powołania go do Warszawy na prezydenta Izby Najw. kontroli państwa, czego jednak potem nie dopuścił prezes Paderewski, nie chcąc usunąc „królewiaka“ na korzyść „galicjanina“ (Korytowski był jak wiadomo poznańczyk). Drugi objad odbył się u Sachera w najsympatyczniejszej dla mnie z dawnych czasów

sali w gronie moich dawnych urzędników skarbowych. Mieszkałem u braterstwa mego Marjanów i wieczorem we wtorek powróciłem do Tullnerbach. Przez środę (12 VIII) pakowaliśmy rzeczy, a we czwartek (13 VIII) — zamiast według dawnego planu 30 IX! — wyjechaliśmy na 2 dnie do Wiednia celem pożegnania się z rodziną. Wyjazd z Tullnerbach, utrudniony bardzo przez napływ podróżnych, ułatwił mi bardzo b. austr. urzędnik państwowy, muzyk i poeta z urodzenia, dawny mój pupil p. Szarlitt, którego powołałem na szefa prasowego do ministerstwa ku wielkiemu zadowoleniu memu i moich następców. Był on mi ze swoją poezją później pocieszycielem w ciężkim smutku, a żona moja najdroższa z zachwytem przysłuchiwała się jeszcze wkrótce przed zejściem swojem ze świata, gdy jej odczytywałem cudowne dzieło Szarlitta o Chopinie. Jemu też poruczyłem staranie o wydanie niniejszych „Wspomnień“ po mej śmierci. Ale tenże sam poeta, pocieszając mnie w nieszczęściu, zarzucił mi, żem mimo jego próśb wyjechał z Tullnerbach właśnie trzynastego sierpnia i znalazł jakby koło zaczarowane w cyfrach: 13 XII 1919 (dymisja moja) i 13 VII 1920 (przeddzień Jej śmierci). Ja o tem wszystkiem nie myślałem przedtem, bo najprzód pełen wiary w Boga, nigdy nie miałem dni feralnych, a powtóre ustanowiłem był dzień wyjazdu z Wiednia do Warszawy, jużci bardziej decydujący, na 15 sierpnia, w święto Matki Boskiej. Któż zresztą wie, kędy pójdą jego przyszłe losy?!

Też smutnie spędziliśmy te dwa dnie w Wiedniu, w pomieszkaniu, bardzo po Tullnerbach ciemnem i ponurem, wśród żalu rodziny żony, pełnej przeczuć najczarniejszych. „Już Jej w życiu nie obaczymy“, mówili mi krewni z płaczem do ucha; a i mnie ciężki opadł żal, gdy 15 VIII rano po najłzawszem pożegnaniu naszem z rodziną, wylęgłą z płaczem aż na ulicę, ruszył nasz powóz z przed domu do którego po 21-letniem przeszło pobycie nie mieliśmy już nigdy wrócić na mieszkanie. Dziś w sercu mojem łączy się myśl o tym wyjeździe z chwilą najstraszliwszą w mem życiu, gdy zwłoki mojej jedynej wyru-

szyły 17 VII 1920 r. to znaczy w 11 miesięcy, także przedpołudniem z przed mieszkania warszawskiego, do kościoła Św. Krzyża!... Wówczas jednak przybyliśmy szybko na dworzec, gdzie z rozkazu ministra skarbu zwolniono nas od wszelkich przepisanych rewizyj i wsiedliśmy do wozu salonowego, żegnani serdecznie łzami przez bratową żony i jej córkę.

Wyruszyliśmy najpierw do Krakowa, bo miał tam przybyć słynny przyjaciel Polski, Amerykanin Sir Hoover, a rząd nasz prosił mnie telegraficznie, bym się z nim spotkał i zapoznał. Z odnośnych telegramów rządu wynikła była dla mnie w Wiedniu mała kolizja, bo trudno mi było się zdecydować, czy mam, wyjechawszy do Krakowa, powrócić ztamtąd znowu do Wiednia po żonę, czy też zabrać ją razem ze sobą i z uwagi na jej stan zdrowia zamieszkać na dworcu w naszym wagonie. Przedłożyłem to pytanie Najdroższej mojej i otrzymałem czarującą odpowiedź krótką: „ja chcę być z Tobą", wypowiedzianą z tą samą łagodnością, jaka Ją odtąd, a raczej już od pobytu w Tullnerbach cechowała aż do zgonu. A więc razem wyjechaliśmy w południe w dzień Matki Boskiej, przybyliśmy 16 VIII rano do Krakowa, gdzie najprzód złożyłem kilka wizyt na mieście, a potem powróciłem na dworzec dla powitania przybywających pp. Paderewskich i obaczyłem z daleka witanego przez ludność słusznie z wielką serdecznością Hoovera żywiciela dzieci polskich po wojnie. W kilka godzin potem poznałem się z nim w starostwie przy pomocy tłumaczy, gdyż niestety nie jestem tak biegły w języku angielskim, zaś Hoover jak prawdziwy Anglik — podobnie jak Lloyd George — nie posiada absolutnie innego języka, prócz dość niezrozumiałej angielszczyzny amerykańskiej. Kilkakrotna rozmowa z tym wielkim filantropem i socjologiem, przyjacielem i żywicielem dzieci, bardzo mnie niestety rozczarowała. Może niesłusznie odniosłem wrażenie, że p. Hoover sam nie wiele posiada zapasu wiedzy, co najmniej ekonomiczno-finansowej, bo mnie za każdym razem brał na egzamin co do moich planów, dodając do moich ogólniko-

wych z natury rzeczy wyjaśnień, tylko żądanie, bym się starał zniszczyć i unicestwić rubel rosyjski. Przypuszczałem że i on był ze mnie rozczarowany, podobnie jak później Francuzi z mego programu Sejmowego!... W licznych festynach na cześć Hoovera nie brałem udziału z wyjątkiem wielkiego objadu u starosty w d. 14 VIII.

Wieczorem tegoż dnia wyjechaliśmy do Warszawy, gdzie stanęliśmy w poniedziałek d. 18 VIII 1919 w południe, dziwnym trafem w dniu urodzin cesarza Franciszka Józefa, dawniej tak uroczyście zawsze obchodzony w Ischlu. Moja żona najmilsza przebyła z łaski Boskiej podróż długą wcale nieźle. Z bijącem sercem wysiedliśmy w Warszawie, gdzie nas na dworcu oczekikiwali dwaj urzędnicy mego prezydjum: p. Fijałkowski i pan Michciński, królewiak i galicjanin. W otwartym powozie jechaliśmy wspaniałą ulicą Marszałkowską na ulicę Kredytową: pan Fijałkowski, towarzyszący nam w drugim powozie, radził stale zajechać ze strony placu Dąbrowskiego, 8, zkąd mieliśmy później wchód do mieszkania naszego prywatnego, ja jednak stanowczo byłem za stroną od Kredytowej, 9. Miałem w tem słuszny powód na myśli, łatwość dojścia do pokoju w pensjonacie na 4 piętrze, ale widocznie współdziałało w mojem sercu takie przeczucie, że z tamtej strony ładniej, ale dla mnie od pierwszej chwili niesympatycznej, nastąpi wkrótce odjazd — na wieki!... Mieszkanko w pensjonacie spodobało się bardzo mej żonie, mimo że wychodziło na dachy sąsiednie. Była zadowolona i z pokoi i z pościeli i z pożywienia pensjonackiego do którego także często zapraszała bratową Marjanową, zwłaszcza gdy ja musiałem jeść poza domem. Najdroższa moja była od tego dnia wesoła, ruchliwa, witała mnie zawsze przy drzwiach, a nawet pisała — acz niestety już nie kaligraficznie — liczne listy do rodziny. W takiem otoczeniu byłem pierwsze 4 tygodnie mego życia ministerjalnego w Warszawie bardzo szczęśliwy: nadzieją wyzdrowienia Jej i Polski! Jakżeż bolesnem było rozczarowanie! A przecież, nawet poważny bardzo wypadek zetknięcia

mego samochodu z drugim, w najbliższą niedzielę, d. 24 VIII w czasie jazdy do biura nie wywołał u mnie uczucia przesądnego niepokoju. Wysiadłem z uszkodzonego samochodu i wstąpiwszy do kościoła Świętokrzyskiego, ażeby Bogu podziękować za ocalenie, poszedłem piechotą do biura, gdzie przy pomocy wiceministra Byrki i szefa prezydjalnego Mikuleckiego robiłem okłady na skaleczonej twarzy, a potem dalej pracowałem. Twarz z ranką zalepioną udało mi się przez kilka tygodni uchronić przed wzrokiem żony, tak jak zataiłem przed nią wypadek z dnia poprzedniego (sobota d. 23 VIII) na polu lotników. Zaproszony przez ministra wojny na uroczystość wzlotu pierwszego aeroplanu wojennego, zbudowanego w Polsce, wziąłem w niej udział u boku Naczelnika Państwa, oglądałem — po nabożeństwie i przemowie kapłana — szczegóły urządzenia statku przy pomocy wyjaśnień dwóch oficerów jego załogi a i samego ministra wojny. Miałem przytem nawet uczucie, że gdyby mi minister był zaproponował udział w wzlocie, nie miałbym był chęci narazić się na zarzut tchórzostwa. A jednak statek, który w minutę potem wzleciał wspaniale, po dalszych dwóch minutach spadł w naszych oczach, grzebiąc pod sobą dwóch oficerów, z którymi mówiłem przed chwilą! W głębokim smutku powróciłem do biura, zkąd zaraz kazałem rodziny oficerów zaopatrzyć dostatnio. Ale ani ten ani tamten wypadek, jakiemi mnie przyjęła Warszawa, nie zachmurzył duszy mojej, a tem samem ominął i duszę żony mojej. Toż ona w ślicznej Warszawie, przy cudownej porze letniej, we wspaniałym powozie — zakupionym już przedtem przez ministerstwo skarbu do użytku ministra i tegoż rodziny, gdy pani Paderewska odmówiła przyjęcia tego daru dla niej sporządzonego z polecenia jakiejś grupy wielbicieli — w tym, mówię, powozie zwiedzała ogrody, okolicę, a często także oryginalne przedmieścia żydowskie, — i to aż do połowy grudnia. Ja zaś, nie mając czasu do towarzyszenia jej, prócz w niedzielę — sam byłem z Marjanem przy Cytadeli na modlitwe u krzyża Traugutta —

oddałem się z zapałem obowiązkom wielkiego urzędu. Żona moja zakwitła prawie pod wrażeniem pierwszorzędnego, dyktatorskiego niemal stanowiska mego; ja zaś wskoczyłem obu nogami w przepaść, którą, miałem dzięki temu stanowisku, wypełnić skutecznie dla Polski. Trwało to tylko od połowy sierpnia do połowy grudnia; ale pracy i materjału do niej było tyle, że mogę z niej podać kilka szkiców.

A) Waluta.

Ściśle rzeczy wziąwszy, stronnictwa sejmowe powołały mnie dla waluty i pretekstu tejże użyły, chcąc mnie usunąć. Poprzednik mój pan Stanisław Karpiński wzywał mnie już w czerwcu (1919) na ankietę walutową, która się zakończyła dość bezowocnie: byłem zadowolony, że stan zdrowia nie dozwolił mi wziąść w niej udział. Mój poprzednik znajdował się w położeniu kłopotliwem. Spowodował on wydanie nowych w miejsce marki niemiecko-polskiej, banknotów polskich z nazwą „złotego“ z podstawą rachunkową franka. On sam a z nim Sejm i społeczeństwo wierzyli ślepo w jak najszybszą wymianę marek na złote, których druk obstalował podobno jeszcze poprzednik p. Karpińskiego pan Englich w Paryżu i Londynie. Informacje, jakie co do stanu rzeczy otrzymałem od 1 do 6 sierpnia, tj. dnia wyjazdu mego do Wiednia, w konferencjach z doświadczonym p. Byrką, światłym p. Manteufflem oraz znakomitym fachowcem p. Makowieckim, informacje te, połączone z mojem własnem doświadczeniem i pewną wiedzą, przekonały mnie ku wielkiemu przestrachowi swemu, że naród oddaje się najzgubniejszej iluzji. Oczekiwaniom narodu brakło poprostu podstawy tak technicznej, jak gospodarczej.

W konferencjach powyższych obliczono, że w owym czasie obiegało w Polsce 11 do 13 miljardów banknotów o trzech kategorjach, a mianowicie: w Królestwie (w okupacji niemieckiej) marki i ruble, w okupacji austrjackiej ruble i korony austrjackie, w Galicji korony. W sierpniu było z pewnością najmniej marek na

całym obszarze Polski: około $1^1/_2$ miljarda. Przybyło do tego zaraz w czasie mojej nieobecności w Wiedniu $^1/_2$ miljarda, na których emisję przez „Polską krajową kasę pożyczkową“ (P. K. K. P.) dał niestety bez mojej wiedzy pozwolenie wiceminister. Subjektywnie muszę twierdzić, że ani wtedy ani później o tem nic nie wiedziałem, aż mi dopiero w styczniu 1920 dawno po mojej dymisji opowiedział o tem sam p. Byrka, wówczas już naczelnik Kasy pożyczkowej. Podobno miałem po powrocie z Wiednia podpisać w prędkości jakiś protokół z Rady ministrów, która w czasie mej nieobecności uchwaliła zapewne owe $^1/_2$ miljarda. We wrześniu 1919 r. przybył do obrotu dalszy miljard, na którego emisję już ja dałem zezwolenie na podstawie jednogłośnej uchwały Rady ministrów. Tylko, że przy tej sposobności stało się prawdziwe nieszczęście polityczne. W krajach z bankiem biletowym normalnym jest wzrost emisji banknotów uregulowany statutem ustawowym: czy ten bank spoczywa w rękach rządu lub prywatnego zarządu, wysokość emisji zależy od każdorazowego „pokrycia“ banknotów złotem lub wekslami kupieckiemi, tak że ani parlament, ani nawet sam rząd jako taki nie mają na to jakiegokolwiek wpływu. Rząd wie o każdorazowym stanie rzeczy od swych komisarzy nadzorczych, a parlament dowiaduje się o tym stanie na równi z resztą publiczności z wykazów tygodniowych czy dziesięciodniowych, ogłaszanych przez zarząd banku. Tak daleko nie doszła była Polska jeszcze wtedy: zamierzałem wszystko przeprowadzić z wiosną roku 1920, ale tymczasem upadłem w grudniu, a następca mój, świadek ciężkiej wojny, nie mógł się zająć planem moim. Do dziś więc (maj 1922) bankiem biletowym w znaczeniu powyższem nie jest Kasa pożyczkowa: zajmuje się ona emisją banknotów, które w przeważnej części wypożycza rządowi, zaś resztek używa do własnych interesów. Ponieważ zaś tym sposobem emisja banknotów jest faktycznie zaciągnieniem pożyczek państwowych, przeto z natury rzeczy potrzeba do ich realizacji ustawy sejmowej. Wiedziałem o tem bardzo dobrze; a jednak

natłok moich zajęć był wówczas tak straszliwy, że nie otrzymawszy ostrzeżenia ani ze strony urzędów ministerstwa, ani ze strony któregoskolwiek z głosujących ministrów, wydałem do Kasy Pożyczkowej dekret na własną odpowiedzialność rządu. Bardzo niedługo potem przyszedłem do przekonania, jaki się stał błąd polityczny, jakie nieszczęście, jaka obraza dla Sejmu i w przewidywaniu skutków ciężkie o to robiłem wyrzuty bar. Manteufellowi, jako referentowi. Przewidywane przezemnie konsekwencje zjawiły się w kilka dni po mojej dymisji. Poseł Rząd, narodowy demokrata i tem samem mój przeciwnik, opowiedział Sejmowi o emisjach „tajnych"; mój następca, który już w pierwszych dniach urzędowania swego zmuszony był wydać także na własną rękę polecenie dalszej emisji, zrobił woltę i zapowiedział projekt do ustawy; a Sejm i komisja z rozkoszą podniosły moją winę, podnosząc dowolnie sumy, jakoby emitowane przezemnie, ale też i dając zezwolenie na 9 czy nawet 11 miljardów nowej emisji naraz. Nie będąc ani ministrem ani posłem, nie miałem możności zabrania głosu do obrony; czy miałem milczeć? a jeżeli nie, czy miałem się przyznać do winy „przeoczenia", w którą by nikt nie wierzył? Zdecydowałem się więc przesłać ministrowi Grabskiemu pismo z prośbą o odczytanie go w komisji: przyjąłem w niem na siebie winę samowolnej emisji z uwagi na cele militarne, których dyskusja byłaby szkodliwą dla narodu. Wzięto mi to bardzo za złe, acz w piśmie uznałem kompetencję Sejmu; ale przynajmniej nie posądzono mnie o kłamliwe powoływanie się na „przeoczenie".

Wróćmyż tedy do pracy około waluty w Polsce. Gdy jeszcze przed moim wyjazdem do Wiednia stwierdzono zapotrzebowanie około 13 miljardów banknotów na wykupno i unifikację dawnych, musiałem zapytać, czy są gwoli wymiany przygotowane banknoty nowe? Okazało się z korespondencji z naszym a raczej Kasy Pożyczkowej wysłannikiem p. Tupalskim z Paryża, iż do końca sierpnia będzie do

dyspozycji zwyż 900 miljonów, to znaczy nie cały miljard w „złotych". A jednak pierwszym krokiem reformy walutowej musiała być ich unifikacja czyli zwolnienie społeczeństwa od strasznych strat i niewygód z tytułu trojakiego rodzaju banknotów! Zdziwiłem się mocno odwagą mego poprzednika, wdrożenia ustawy o nowej walucie bez przygotowania technicznego, przestraszyłem się odpowiedzialności własnej za niemożność natychmiastowej unifikacji, oczekiwanej niejako „z dnia na dzień"; ale znalazłem, że brak „złotych" stanowił rebus sic stantibus traf prawdziwie szczęśliwy. Bo oto Sejm, sam niedoświadczony i przez niedoświadczonego prowadzony ministra skarbu, wychodził widocznie ze stanowiska, że wymieniwszy stare banknoty na nowe, i do tego jeszcze wcale nie wydrukowane, „złote", Polska otrzyma rzeczywistą walutę frankową na równi z Francją! Tymczasem to właśnie było straszliwem nieporozumieniem u całego społeczeństwa: nie chodziło o nazwę, ani o jednostkę nowego pieniądza, chodziło raczej o to, by stworzyć najprzód warunki ekonomiczne dla wzrostu wartości pieniądza i stworzyć bank, ufundowany złotem na tegoż emisję, a potem dopiero puścić nowe pieniądze w obieg. Że zresztą, jak mi to później przyznał p. Tupalski, druk „złotych" odbywał się tak w Paryżu jak Londynie bez jakiejkolwiek kontroli, to już tylko dodaję nawiasowo!

Z powyższego wychodząc stanowiska, rozłożyłem zamierzoną akcję walutową na następujące etapy: 1) zachowanie tymczasowe marki jako jedynego banknotu i zarządzenie druku marek w dostatecznej ilości i w znakomitej jakości dla ochrony od fałszerstwa. Ponieważ zaś drukarnie warszawskie stoją niestety co do druku banknotów bardzo nisko, a drukarnie wiedeńskie (rządowa i bankowa) przewyższają techniką swoją niemal całą Europę, przeto za porozumieniem z mymi doradcami omówiłem tę rzecz w Wiedniu i przywiozłem ze sobą do Warszawy dyrektora Nadherny'ego dla omówienia obstalunku. W dniu 19. VIII. 1919 r. po moim powrocie z Krakowa obstalunek już

był gotów. Swoją drogą popełniono przy tym obstalunku, dokonanym w mojej nieobecności przez Kasę pożyczkową i Ministerstwo Skarbu błąd, który byłby się dał uczuć katastrofalnie, gdybym ja był pozostał u steru. Ministerstwo bowiem zamierzało obstalować, swoją drogą za pośrednictwem Kasy pożyczkowej około 13 miljardów nowych banknotów markowych, ażeby po ich wygotowaniu wymieniać stosownie do nowych uchwał ministerjalnych wszystkie naówczas obiegajace banknoty o trzech walutach, to znaczy: także obiegające w danej przyszłej chwili banknoty markowe, czy to stare niemieckie, czy pierwotne polskie, czy też nowe w razie potrzeby i na obstalunek Kasy pożyczkowej sporządzane. O takich banknotach „nowych“ ale „starego autoramentu“ musiano myśleć, zwłaszcza na wypadek, gdyby druk obstalowanych z ramienia rządu „nowych“ ale nowego „autoramentu“ miał się opóźnić. Z tego punktu widzenia zarząd Kasy pożyczkowej, znając nieudolność drukarń warszawskich i wielkie niebezpieczeństwo fałszowania ich wyrobów, obstalował przy sposobności pobytu p. Nadhernyego obok banknotów dla rządu także banknoty dla siebie; a rząd, nie wtajemniczając wcale Kasy w swoje zamiary, nie sprzeciwiał się obstalunkowi tych banknotów, których żywot — mimo ich spodziewanej doskonałości — miał być bardzo krótki. Ależ w takim stanie rzeczy należało nowe banknoty markowe tymczasowe odróżnić w jakiś sposób od prawdziwie nowych! Słusznie musiałem przypuszczać, że bar. Manteuffel o tem nie zapomniał, zwłaszcza że pierwsza próba ślicznych banknotów, opiewających na 500 Mk nosiła podobiznę królowej Jadwigi, kiedy banknoty stare, nosiły podobiznę Kościuszki, która powinna się była oczywiście znajdować także na tymczasowych nowych. Jakież było jednak moje zdziwienie, gdy na innych sztukach definitywnych znalazłem także Kościuszkę(!) zamiast królowej Jadwigi lub np. Stefana Batorego! Biedny szef sekcji zasmucił i zastraszył się mocno tem przeoczeniem, bo tym sposobem wymiana banknotów markowych stała się

niemożliwą: było to jednak już na krótko przed moim upadkiem, zaś mój następca odstąpił bez tego od moich planów.

Na wymianie wszystkich bez użytku banknotów — zasadniczo można było mieć wątpliwości co do rubli, — zależało mi nie tylko dla unifikacji walut, lecz także dla tego, ponieważ zamierzałem z chwilą wymiany banknotów wdrożyć pierwszy krok konsolidacji pieniądza polskiego. Nie był mi przy tem sympatyczny wzór czeski, przyjęty w zasadzie także przez Sejm polski: konfiskaty połowy banknotów w formie emisji przymusowej pożyczki z czasowym zakazem sprzedaży otrzymanych od skarbu obligacyj. Znajdowałem bowiem, że pożyczka przymusowa jest ostatnim refugium skarbu w perturbacjach, ale nie może być pierwszym krokiem w akcji, mającej oczyścić a nie zabagnić targ kredytowy. Natomiast, wychodząc ze stanowiska, że konsolidacja waluty winna być rozpoczętą przez ofiarność właścicieli majątku narodowego, najbardziej interesowanych w regulacji waluty, byłem zdania, że przedewszystkiem winni ponieść tę ofiarę posiadacze dawnych banknotów, których poprawa wartości banknotów, służy od pierwszej chwili, bez względu na to, czy te banknoty są ich istotnym „majątkiem", czy też kapitałem obrotowym lub choćby tylko funduszem na życie. Postanowiwszy tedy zaproponować Sejmowi — w toku przedłożeń walutowych — wprowadzenie 20%-wego podatku majątkowego, rozłożonego na 5—10 lat na specjalne cele walutowe, zamierzając przy wymianie banknotów potrącić po raz pierwszy na te cele 20% od sumy nominalnej. Podatek ten przyniósłby przy 13 miljardach: 2, 6 miljardów, których można było użyć albo na wykupno zapadającej 1/XII 1919 r. pierwszej 4%-wej pożyczki „asygnatowej", albo — posiadacze asygnacyj niechętnie słyszeli o jej spłacie — na wycofanie z obiegu 20% banknotów i zapobieżenie spadkowi ich wartości. Mój następca ani nie wdrożył tego kroku, ani nie przyjął systemu czeskiego, któremu Czechy zawdzięczają

swoją drogą walutę. U nas zaś zamiast jednego czy drugiego systemu nastąpiła ciężka wojna z Rosją i straszna inflacja.

Cały w państwie podatek majątkowy byłby później — nawet przy rozmiarach jakie przybrała z czasem inflacja — znakomitym środkiem deflacyjnym. Wzrost produkcji i wywozu mógłby z biegiem czasu przysporzyć państwu, walut obcych; a wkońcu miała nastąpić reorganizacja „Banku Polskiego" na zasadach racjonalnej polityki emisyjnej z równoważoną fundacją w złocie, którego dostarczenie zapewniłem później u amerykanina O'Laughlina przy sposobności zaciągniętej u niego pożyczki i na wypadek jej powodzenia. Najważniejszą jednak rzeczą było od pierwszej chwili systematycznie podtrzymywać w kraju i zagranicą walutę polską finansowo i psychologicznie i nie dać akcji tej usypiać, nawet na wypadek ciężkiej wojny i najcięższej inflacji: pożyczka amerykańska byłaby była dała na to środki, które mogły swobodnie spoczywać w Nowym Yorku. Ale pierwszym tego wszystkiego warunkiem, był druk banknotów nowych i możność wymiany starych za pobraniem podatku.

A jakie trapiły mnie z tego powodu zgryzoty! Najprzód już sam fakt, że nie zastawszy gotowych nowych banknotów, nie stwierdziłem tego niestety przed objęciem urzędu publicznie: bo ztąd powstała moja „wina„ czyli odpowiedzialność za brak banknotów, powtóre nędzne tempo w sporządzeniu nowych biletów. W październiku miał się zgromadzić Sejm, który przyrzekłszy społeczeństwu, reformę walutową, musiał jej naturalnie żądać od rządu. Cała moja nadzieja spoczywała na dyrektorze Nadhernym w Wiedniu, który miał pierwotnie być gotów z drukiem w październiku. Aliści już we wrześniu, przyszedł do mnie urzędnik P. K. K. P., używany za pośrednika z Wiedniem pan Tabowski, ażeby mi donieść urzędownie, że druk będzie się mógł rozpocząć dopiero w drugiej połowie grudnia. Był to dla mnie cios prawdziwy, który w goryczy pogrążył cały mój żywot ministerjalny! Wmięszał się do sprawy z natury rzeczy Sejm. W komisji skarbowo-budżetowej z przewodniczącym p.

Głąbińskim rzucili się na mnie Endeki z księdzem Lutosławskim na czele, którzy jak nie chcieli zrozumieć ani obowiązku ani nawet prawa mego, obstalowania w czas banknotów bez zapytania Sejmu, tak wyznawali barbarzyńskie przekonania, że fabryki wiedeńskie, związane z Polską kontraktem, zaleją ją miljardami fałszowanych banknotów! Taki sąd o pierwszorzędnych zakładach w Europie! Przytem zaś zawsze jeszcze w komisji marzono o przejściu natychmiastowem do waluty „złotego". Tej samej iluzji oddany Sejm wysłuchał mowy mojej pierwszej i jedynej jaką w nim wygłosiłem, dowiadując się ze smutkiem, że ani nie można przejść zaraz do złotego bez obawy o przyszły los franka i całej reformy, ani też z prostych przyczyn technicznych nie można nawet za pomocą marki przeprowadzić unifikacji przed lutym lub marcem roku przyszłego. Jestem przekonany, że sprawa waluty już sama przez się zatruła mój stosunek do Sejmu, całkiem pominąwszy dziwaczną budowę długiej i wąskiej sali sejmowej, w której głębi ja stary parlamentarzysta, przyzwyczajony jednym rzutem oka obejmować wszystkie zgromadzone w amfiteatrze stronnictwa, nigdy nie zdołałem zapoznać się z licznemi zasiadającemi tutaj stronnictwami... Ale nie dość na tem! Z końcem października powstała obawa, że roboty wiedeńskie nie zaczną się nawet w grudniu, jeżeli dla fabryk nie przyszlemy sporo benzyny, a dla robotników mąki, ziemniaków i węgli. Liczne telegramy do Wiednia, ciężkie obrady z ministerstwami, zawiadującemi żywnością i węglem dla Polski, trudności transportowe, potrzeba asekuracji wojskowej dla pociągów, potrzeba ochrony ich dyplomatycznej od zakazu przez Czechów: wszystko to były moje przyjemności banknotowe! Jedyną nagrodę za to otrzymałem we 2 niespełna lata później, gdy p. Manteuffel, żegnając mnie przed moim wyjazdem do Wiednia, zapewnił mnie gorąco, że Polska nie byłaby mogła prowadzić zwycięskiej wojny z bolszewikami, gdybym ja

nie był w czas obstalował banknotów we Wiedniu. Cześć szlachetnemu współpracownikowi!

Zaledwo przełamano powyższe przeszkody zewnętrzne, nadeszła równocześnie niemal ciężka wewnętrzna. Oto w chwili, gdy dawna Galicja tak była zalana koronami, że przywódcy Cieszyńscy, chcąc w walce plebiscytowej sprostać Czechom z ich dobrą walutą koronową, wymogli na mnie iście nielegalną tajną wymianę koron w Cieszyńskiem na marki, w tej samej chwili rozszalała się w Galicji na granicy rumuńskiej szalona spekulacja wywozowa koronami. Siedem do ośmiu miljardów zanotowaliśmy obieg koron, które miały być przy unifikacji wymienione na marki; 2 miljardy, wydobyte sztucznie ze skrzyń chłopskich mimo krzywdzącego kursu 70 fenigów za koronę; wymienił faktycznie na wiosnę 1920 r. mój następca, natomiast w dniu 1 listopada 1919 r. nie mógł ani jeden bank lwowski, ani rząd w swoich kasach wypłacić urzędnikom płacy, bo korony znikły zupełnie, a marka nie była tam jeszcze pieniądzem obiegowym. Była to dla mnie katastrofa, bo najprzód potrzeba było sztucznie i nielegalnie przymusić urzędników do przyjmowania marki za koronę w stosunku dowolnym, ustawowo nieuregulowanym. Powtóre musiałem już zaraz po 1 listopada wydać dyrekcji P. K. K. P. zlecenie, by się starała wszelkiemi siłami kupować na targach dawnej okupacji niemieckiej korony. Nie było to zdrożne, bo w tej okupacji nie były korony pieniądzem, jeno towarem; a było tem potrzebniejszem, że już także w dawnej okupacji austrjackiej, gdzie korona była pieniądzem zabrakło tych banknotów i na płace urzędników i zwłaszcza na płace we fabrykach. Powiadomiła mnie o tem deputacja fabrykantów, którym kazałem telefonicznie wydać potrzebną ilość koron z Kasy pożyczkowej. Do tego przybyły olbrzymie potrzeby wojska, które w kampanji wschodniej płaciło w koronach. Dyrektor P. U. Z. A. P. P-u, zaopatrującego wojsko w zboże, przybył do mnie wówczas z żą-

daniem dostarczenia mu 40 miljonów w koronach, które winien za zboże dla armji. I to żądanie nie mogło być spełnione inaczej, jak w drodze zakupna koron przez P. K. K. P. w zamian za banknoty markowe. Któż tedy nie zrozumie, że połączone razem działanie tych wszystkich przyczyn musiało sprowadzić dla korony w dawnej okupacji niemieckiej(!) wysoki kurs na targu, to znaczy że za towar ten, nie dający się pomnożyć w drodze emisji, wydobywany tylko niechętnie ze skrzyń chłopskich i zakamarek spekulantów, musiano płacić coraz więcej w pieniądzu, tj. w marce, dającej się mnożyć w drodze emisji!? A jednak politycy warszawscy tego nie rozumieli i robili z tego najsilniejszą broń przeciwko mojej czynności ministerjalnej, dążącej rzekomo do sztucznego „upadku" marki polskiej, na — (horribile dictu!) korzyść korony „austrjackiej"!! („Zdrajca" Biliński — prawda?) Po trzecie stosunek wartościowy koron do marek zaczął się sztucznie układać na targu nie tylko wbrew życzeniom Warszawy, lecz także wbrew ustalonym planom moim, utrzymywanym w tajemnicy właśnie dlatego, ażeby spekulacja nie stanęła rządowi w drodze! Jedno i drugie wymagało szybkich zarządzeń, dla tego nie łatwych, ponieważ nowa emisja koron, jako waluty austrjackiej była wykluczoną. Wysłałem więc na skutek długich obrad banków lwowskich z P. K. K. P. niestety dopiero z początkiem grudnia radcę Makowieckiego z nieograniczonem pełnomocnictwem i listem do dyrektora Steczkowskiego (późniejszego ministra skarbu), w którym żądałem, by banki lwowskie wydały za poręką rządową bony kasowe w kwocie 600 miljonów, opiewające na korony. Wszystko to przyjęto, ustalono tekst, druk bonów i wyznaczono na 2-gi dzień godzinę dla podpisania między rządem i bankami umowy. Ale dniem tym był 14 grudnia 1919 r., w którym nadeszła z Warszawy wiadomość o mojem w dniu poprzednim ustąpieniu. Dyrektorowie banków lwowskich znaleźli wtedy jakiś pretekst, aby umowy nie podpisać.

Wspomniałem już, że unifikacja banknotów mogła nastąpić dopiero około lutego 1920 r. W ustawie odnośnej należałoby było ustanowić także stosunek wartości korony do marki. Królewiacy, wrogo usposobieni przeciw „niemieckiej“ Galicji, a podbechtywani przez warszawskich bankierów, wrogich Galicji z interesu lub finansowego analfabetyzmu, ustanowili od dawna i utrzymywali także za moich czasów wartość korony w wysokości 50 fenigów. Nie odpowiadało to absolutnie ani rzeczywistej wartości korony, spadkobierczyni najświetniejszych czasów w polityce Banku austro-węgierskiego, ani też stanowi faktycznemu w Galicji, której ludność już od czasu Rzeczypospolitej płaciła zawsze za towary tyle w koronach, ile ludność północnej kongresówki w markach. To też Galicja liczyła zawsze koronę za 100 fenigów, co nie przeszkadzało spekulantom, skupować prześladowane przez królewiaków korony i sprzedawać je jeszcze drożej Rumunji, która, jak zobaczymy w innem miejscu, przy likwidacji Banku austro-węg. zbiera owoce z ówczesnej swej polityki i za nasze korony otrzymuje udział w złocie bankowem 4 razy niemal wyższy niż Polska, „dumna“ swego czasu ze skromnej sumy wymiany koron!! Ja jako minister znajdowałem się w całej tej sprawie w położeniu bardzo przykrem; nie mogąc dla Galicji zrównać korony z marką, zamierzałem zaprojektować Sejmowi w lutym 1920 r. wykupno koron po 80 fenigów, stosując tym sposobem do banknotów, pozbawionych w owej chwili podstawy metalicznej, dawny stosunek wartościowy jednych i drugich banknotów krytych metalicznie. Boć marka niemiecka była wybijana o 20% wyżej od korony austro-węg. i taki sam był stosunek odnośnych banknotów, o ile banknoty koronowe nie zyskiwały, jak w czasie po r. 1901, pewnego agia nad korony złote, co się podobno przy markach nigdy nie wydarzało. Ale plan mój powyższy stawał się iluzorycznym w miarę, jak kurs korony zaczął wzrastać z 60% na 70, 80, a nawet — swoją drogą

po mojem ustąpieniu! — na 90, 100% i ponad pari. Stan ten wprowadził przeciwników moich w szał formalny, a nawet zaniepokoił mocno przyjaciół moich, którzy — jak np. znakomitych zdolności ekonomicznych księżna Marja Lubomirska, łaskawa nasza przyjaciółka — wierzyli, że moja nominacja sprowadzi zaraz kurs marki do pari. I ja byłem zaniepokojony i zgryziony; ale nieprzyjaciele moi widzieli i w tym kursie wyniki usiłowań i złych chęci moich, skierowanych rzekomo ku pożytkowi Galicjan i memu własnemu. Ukuto zabawną ze stanowiska nauki ekonomicznej formułkę, że ja podbijam koronę austrjacką, zabijam markę polską" (!) i tę formułkę powtarzano we wszystkich cukierniach, sklepikach i tramwajach warszawskich, nie pomnąc lub nie znając prawidła ekonomicznego, że wzrost ceny towaru (w tym wypadku korony) nie może się inaczej wyrazić, jak w upadku wartości pieniądza (w tym wypadku marki). Poseł łódzki i w najbliższym potem czasie prezes ministrów, pan Skulski (z zawodu — aptekarz!) wypowiadał podobne zarzuty z trybuny sejmowej w chwili, gdy rząd wniósł już był dymisję i nie przemawiał już w Izbie; a szefowi sekcji, zaprzyjaźnionemu ze mną bar. Manteufflowi, którego ksiądz arcybiskup Teodorowicz (endek, ale osobiście memu urzędowaniu przychylny) wysłał (naturalnie bez mojej wiedzy) z kartą polecającą do p. Skulskiego, powtórzył tenże wszystkie swoje dziecinne argumenty „fachowe", dodając nie zbyt chrześcijańskie jak na przyjaciela księdza arcybiskupa słowa: „O ile mi wiadomo, pan Biliński posiada majątek w koronach"! Jak gdyby to w Austrji mogło było być inaczej! Toż nic dziwnego, że tworząc gabinet, p. Skulski oświadczył, że nie mógłby ze mną zasiadać w gabinecie, bo jużci nie miałby był odwagi, po wypowiedzeniu tak dziwnej opinji o mojej etyce, zaproponować mi wstąpienie do gabinetu, które musiałbym naturalnie odrzucić z oburzeniem.

Następca mój, pan Władysław Grabski, bardzo

zresztą wobec mnie lojalny, zastawszy rozbite układy lwowskie, przeprowadził w Sejmie, pod grozą wspomnianych skoków w kursie, ustawę o wykupnie koron po 70 fenigów, czem w porównaniu z kursem 80 skrzywdził Galicję o 27 miljonów marek, w porównaniu z kursem pari o 91 miljonów (30% dodatku do 2,7 mil.) marek. Uzyskał przez to niezawodnie jedną ważną korzyść: walor marki jako pieniądza w całej Polsce, jednolitą wszędzie wypłatę płac itd. w markach. Ale ile wygnał tem koron z Polski, które w rękach Rumunji stały się asygnatą na złoto Banku austr.-węg.(!), a ile pozostało nadal w skrzyniach chłopów, pełnych jeszcze zaufania do koron! Wszakżeż sztuki banknotów na 10.000·— koron, wykluczone od wymiany, sprzedawano we Lwowie, na targach galicyjskich a i w Warszawie, nie po 7.000·— lecz nawet zwyż po 10.000·— marek! A przytem cała ta, wymiana koron na marki wypadła niejako epizodycznie, bez związku z wielką reformą walutową i bankową i bez skutku zarówno walutowego jak skarbowego. Zapewne, że przynajmniej skarb polski otrzymał na fundację „Banku Polskiego“ około 25 miljonów koron złotych; ale według klucza, proponowanego paryskiej likwidacji Banku austr.-węg. przez delegatów państw sukcesyjnych (dla Polski jestem ja delegatem) w lutym 1921 r. miałaby Polska prawo do poboru złota w stosunku do 4 miljardów 600 miljonów banknotów, gdyby posiadała tyle banknotów wymienionych. Nadwyżka, brakująca Polsce w kwocie 1·3 miljarda banknotów skutek dorywczej ustawy walutowej, przypadnie jako rezerwa dla żądań złota Czechom i Rumunom!

O ile zresztą w krótkiem urzędowaniu mojem nie mógłbym był przeprowadzić nawet tak chybionej unifikacji, gdybym się mógł był na nią zdecydować, o tyle byłem w stanie podjąć jeszcze w tym krótkim czasie jeden krok ku utrwaleniu waluty, niestety — znowu, jak się okaże, bezskuteczny. Walutę markową wprowadzili, jak wiadomo, Niemcy za czasów okupacji.

Miała ona być identyczną z niemiecką, a dla utrzymania jej w równej wartości z niemiecką, zarząd niemiecki postanowił był, fundować każdą emisję polską przy pomocy równej sumy w fundowanych złotem banknotach, które zarząd składał za każdym razem jako sumę gwarancyjną na rzecz Polski w kasach Banku Rzeszy niemieckiej (Reichsbank). Gdy w nocy z d. 10 na 11 listopada 1918 r. późniejszy minister skarbu Englich objął przemocą Kasę pożyczkową w posiadanie Polski, nie było czasu na rozprawianie się o powyższą sprawę prawną; sporządzono jedynie akt przejęcia chwilowych aktywów i passywów przez Polskę i stwierdzono przytem podpisami Englicha i naczelnika Kasy pożyczkowej pana Theussnera, że całość emisji marek polskich wynosiła 850 miljonów, zabezpieczonych w Berlinie. Dokument ten nie znajdował się w ministerstwie skarbu w chwili, gdy ja się tą sprawą zająłem: okazało się, że dostał się w posiadanie późniejszego ministra Karpińskiego, może z woli jego poprzednika p. Englicha. Rozumie się samo przez się, że p. Karpiński na moją prośbę zwrócił mi natychmiast dokument.

Moje zajęcie się tą sprawą nie wyszło, muszę to przyznać, z mojej własnej inicjatywy. Byłbym się rzecz jasna, musiał nią zająć po bliższej informacji na każdy sposób; ale ubiegł mnie w tem rząd niemiecki, wysyłając zaraz w pierwszych dniach mego urzędowania pana Theussnera do Warszawy celem wdrożenia układów. Na nieszczęście wysłannik ten przybył do Warszawy w chwili mego wyjazdu do Wiednia, a nie zastawszy mnie, wyjechał i powrócił znowu dopiero w październiku. Mówię „na nieszczęście", bo w sierpniu byłyby zarówno stosunki polityczne niemiecko-polskie, jak moje stanowisko w rządzie znacznie korzystniej oddziałały na powodzenie całej akcji. Rząd niemiecki stanął od pierwszej chwili, jeszcze przed objęciem przezemnie teki skarbu na stanowisku, że suma 850 mil. marek niemieckich jest wprawdzie własnością skarbu polskiego, że jednak może być Rządowi polskiemu zwróconą wprost lub drogą częściowej

dyspozycji tylko po zwolnieniu skarbu niemieckiego z odpowiedzialności za wydane przez zarząd okupacyjny banknoty polskie. Słuszna ta zasada byłaby się w sierpniu dała przeprowadzić z łatwością; gdy pan Theussner przybył do mnie z początkiem października, zaszły już były ze sumą powyższą zmiany natury nietylko finansowej, ale i politycznej. Najprzód wydarzyło się kilkakrotnie, że P. K. K. P. mając dla skarbu polskiego dokonywać wypłat za granicą, dysponowała na rachunek po wyższej sumy. Bank Rzeszy, będąc w dobrym stosunku z P. K. K. P. wykonywał zazwyczaj jej dyspozycje. Wydarzało się także inaczej, gdy zwłaszcza atmosfera polityczna w Berlinie była dla Polski, szczególniej niepomyślną: tak n. p. gdy pod jesień 1919 r. rząd polski, zakupiwszy cukier w Czechach, kazał przekazać potrzebnych kilka miljonów marek niem. czekiem na Pragę, Bank Rzeszy niem. nie honorował tego czeku, o czem się rząd nasz dowiedział znacznie później przez Pragę. Jednakże w chwili rokowań z p. Theussnerem była ze sumy 850 mil. marek niem. skonsumowaną przez Polskę drogą przekazów P. K. K. P. suma około 200 mil. marek niem. na cele aprowizacyjne, a po części i militarne. Z biegiem czasu nastąpiła dalsza zmiana stanu z tytułów politycznych. Gdy mianowicie, stosownie do traktatu wersalskiego Polska miała objąć przypadające jej części zaboru pruskiego (Poznań, Prusy zachodnie), trwożliwsze sfery niemieckie tych ziem wszczęły emigrację do Rzeszy, wywożąc przytem pieniądz, jaki miały pod ręką: w markach niemieckich i polskich. Banknoty polskie, zawierające obowiązek Rzeszy do wymiany, prezentowano zaraz w Berlinie do wymiany na marki niemieckie; a że te marki polskie drukowane były wówczas, tj. za czasów polskich, z formułką dawną okupacyjną, przeto Bank Rzeszy, nie potrzebując się wdawać w badanie, czy banknot prezentowany pochodzi z czasów okupacji, dokonywał wymiany bez trudności. Za przykładem emigrantów poszli z czasem spekulanci, wywożąc tajemnie marki polskie, za które także otrzymywali niemieckie. Rzecz jasna, że Bank Rzeszy, za wiedzą

swego rządu, używał do tych wymian marek niemieckich na rachunek funduszu gwarancyjnego, nie troszcząc się o to, czy to rządowi polskiemu miłe czy nie. Tym sposobem naruszono ten fundusz znowu o jakieś 100—150 miljonów marek niem., tak że w październiku 1919 r. wynosił on już tylko około **500** miljonów marek niem.

I o tę połowę miljarda przyjechał do mnie traktować pan Theussner. Łączył on przytem interesa swoje własne i na pół polityczne z interesami skarbu niemieckiego. Jako reprezentant poznańskiego „Ostbanku" i kilku filij berlińskiego „Deutsche Bank" na Górnym Śląsku, pragnął on uniknąć likwidacji tych banków w zamian za przychylne ich potem stanowisko wobec naszej akcji plebiscytowej: mogłem mu w tym względzie, oparty o pewne rozmowy z posłem Korfantym, robić nadzieje teoretyczne, acz sprawy poznańskie i plebiscytowe wchodziły w mój zakres tylko ze stanowiska czysto skarbowego. Jako przedstawiciel ministerstwa skarbu Rzeszy niemieckiej pragnął p. Theussner zwolnić skarb niemiecki od odpowiedzialności za marki polskie bez szkody dla Polski. Z tego punktu widzenia wyłonił się w obradach, prowadzonych u mnie przy udziale pp. Theussnera, Byrki i Manteuffla, projekt układu, mocą którego Bank Rzeszy niemieckiej zaprzestanie wymiany marek polskich na niemieckie i zwróci Polsce pozostałą sumę około 500 miljonów m. niem., skoro Polska przyjmie na siebie odpowiedzialność za wszystkie marki polskie, bądź to wydane przez zarząd okupacyjny, bądź za czasów polskich przez P. K. K. P. z tekstem tamtych marek polskich. Po osiągnięciu zgody zasadniczej odroczyłem narady na dwa dni, chcąc się zabezpieczyć od strony naszego ministerstwa spraw zagranicznych.

Udałem się tedy do kolegi i przyjaciela mego wiceministra Skrzyńskiego, który prowadził ministerstwo pod nieobecność ministra, p. Paderewskiego. Mówiłem z nim obszernie w gmachu sejmowym. Przedstawiłem mu najprzód meritum sprawy; zaznaczyłem potem, że zawarcie układu między

obu państwami jest rzeczą jego ministerstwa, które prowadząc układy w drodze dyplomatycznej, potrzebuje do tego czasu i swobodnego umysłu i prawdopodobnie także przyzwolenia Sejmu; oświadczyłem wskutek tego, że pragnąłem, dla zapobieżenia dalszym stratom skarbu, zawrzeć układ tymczasowy między obu ministerstwami skarbu, nie ministrami i nie państwami i dać go podpisać w zastępstwie mojej osoby przez wiceministra Byrkę; po podpisaniu akt zostanie przesłany do ministerstwa spraw zagranicznych dla dalszego dyplomatycznego i parlamentarnego traktowania. Otrzymawszy więc bez trudności zgodę p. Skrzyńskiego na ten projekt, udałem się jeszcze na posiedzenie komisji skarbowo-budżetowej i znalazłem tam także bardzo przychylne w tej sprawie przyjęcie. Pan poseł Radziszewski, fachowy profesor, później jako Endek mój twardy przeciwnik, przyznał z wielkiem uznaniem wysokie zalety projektowanego układu i przedstawiał korzyści użycia 500 milj. mk. niem., które wówczas równały się 1500 mil. m. p. — (ile byłyby warte dzisiaj?!) — dla utrzymywania kursu naszej marki za granicą. Zgodzono się więc w komisji na tymczasowe załatwienie sprawy bez Sejmu.

I dopiero po takiej dwustronnej asekuracji powołałem znowu p. Theussnera i zaproponowałem zawarcie układu na powyższej formie. Gdy p. Theussner się zgodził, ułożyliśmy więc tekst dokładny, przytem okazało się, że suma 500 mil. mk. n. będzie zwrócona dopiero po zawarciu układu dyplomatycznego ale też nawiasem dyspozycja z Warszawy będzie ułatwioną, a wszelka inna dyspozycja wykluczoną. Zabezpieczono jeszcze rząd niemiecki na wypadek, gdyby, wyrzekłszy się prawa i obowiązku wymiany marek polskich na niemieckie, został przez sąd któregoś państwa centralnego, zasądzony na wymianę. Poczem narady zakończono z uwagą, że p. Theussner, nie mając pełnomocnictwa do zawarcia i podpisania układu choćby prowizorycznego, uda się natychmiast z powrotem do Berlina, przedłoży rzecz natychmiast ministrowi Rzeszy i w jak naj-

krótszym czasie spowoduje zawarcie układu. I w samej rzeczy, nie minęło 8—10 dni, gdy nadszedł do mnie telegram ministra skarbu Rzeszy p. Wirtha (późniejszego kanclerza) z wyrazem zgody na układ i żądaniem przysłania do Berlina osoby, upoważnionej do podpisu. Żądanie to było bez zarzutu, bo oparte na zasadzie równouprawnienia stron: dwa razy był Theussner w Warszawie, tym razem więc musiał polski wysłannik przybyć do Berlina. A jednak w żądaniu tem tkwiło tragiczne dla sprawy niepowodzenie! Bo oto, chcąc wysłać p. Byrkę, musiałem z min. spraw zagr. zażądać dla niego paszportu: żądanie to musiałem uzasadnić potrzebą podpisu układu. Zapewne, że p. Skrzyński, wiedząc o wszystkiem, nie mógł stawiać trudności. Ale, — ale! pan Skrzyński nie kierował już ministerstwem, bo właśnie powrócił z Paryża minister p. Paderewski! A to oznaczało zgubę każdego pożytecznego dla Polski interesu, jeżeli szedł przez moje ręce. P. Paderewski, znajdując się jeszcze w paryskim wagonie podróżnym, zetknął się przypadkowo z posłem Hipolitem Śliwińskim. Nie wiedząc o tem, że mówi z przyjacielem moim, opowiedział mu, że w Paryżu nie kontenci z mowy mojej sejmowej, że „przeto"(!) ja będę musiał ustąpić. To była zdaniem Paderewskiego „Polska niezawisła", której ministrowi nie wolno było oświadczyć z trybuny Sejmu suwerennego że nie zaciągnie pożyczki zagranicznej, jak długo będą mu stawiane warunki ciężkie, niegodne państwa samoistnego! Otóż i w chwili zażądania paszportu dla p. wiceministra Byrki, zaczął mnie p. Paderewski przez radcę Olszowskiego (bardzo zdolnego prawnika i polityka) prosić o szczegółowe dane co do interesu banknotowego. Wysławszy je, otrzymałem ponaglenie telegraficzne od ministra Rzeszy niemieckiej o wysłanie delegata do podpisu układu. Odpowiedziałem odwrotnie, że są trudności, które spodziewałem się w krótce usunąć. Tymczasem zaraz potem doniósł p. Olszowski telefonicznie, imieniem p. Paderewskiego, że

przed ostatecznem zawarciem pokoju nie wolno nam traktować z Niemcami bezpośrednio, jeno pośrednio przez Paryż. Zatwierdzenie z Paryża zaś nastąpi na podstawie dostarczonych przezemnie danych „za kilka dni". Można sobie wyobrazić, jak „te kilka dni" wyglądały! To też tak ten mój układ, jak późniejszy obszerny projekt układu między Polską i Niemcami co do przeprowadzenia traktatu wersalskiego, ułożony w długich konferencjach osobnej delegacji (Diamand, Korfanty i Wróblewski) w Berlinie i zatwierdzony przez Radę ministrów, wbrew głosowi prezesa Urzędu likwidacyjnego Władysława Grabskiego (późniejszego ministra skarbu), powędrowały do Paryża. Jaki los spotkał tam układy berlińskie, tego niewiem. Natomiast znalazłem znacznie później notatkę w dziennikach, że w Paryżu zobowiązano Niemców do pokrycia banknotów, wydanych przez okupację. Ile jednak z tego „pokrycia" pozostało, ile banknotów fałszywych Niemcy z prawdziwym gustem wymieniali na banknoty niemieckie, ażeby jak najbardziej zmniejszyć pokrycie, to można sobie wyobrazić. W każdy sposób muszę tylko stwierdzić, że nigdy o tem nie słyszałem, by rządowi polskiemu daną była kiedy sposobność, użycia owych 500 mil. mk. niem. (dziś równych 5 miljardom m. polskich) na wzmocnienie kursu naszej waluty. Natomiast wiadomo mi, że na wiosnę 1922 r. miał przyjść do skutku układ nie między rządami, lecz między Bankiem Rzeszy a P. K. K. P. Wysokości salda na korzyść Polski nie znam.

Jeszcze jeden środek dla utrzymania waluty starałem się zastosować: zaprowadziłem centralę dewiz. Już w ciągu września 1919 r. zaczął się objawiać zatrważający wzrost kursu walut zagranicznych w Warszawie. Stwierdziwszy że wzrost ten wynikał nie tyle z popytu na zapłatę przywozu, ile ze spekulacji „czarnej giedy" warszawskiej, wprowadziłem uchwałą Komitetu ekonomicznego ministrów (o którym później), centralę dewiz w drodze administracyjnej, ponieważ projekt mego po-

przednika do ustawy zalegał w Sejmie, a forma ustawy potrzebną była tylko do ustanowienia kompetencji karno-sądowej, bez której można się było obyć. Centralę ustanowiłem przy Kasie pożyczkowej, a przewodniczącym centrali znakomitego radcę ministerstwa Makowieckiego. Miała ona trudne bardzo zadanie; przyznawanie po kursach miernych waluty zagranicznej każdemu, kto wykazał jej potrzebę realną. Sprzedaż była osobom prywatnym wzbronioną. Ponieważ główne źródło popytu tkwiło w przywozie towarów z zagranicy — a Polska już wtedy sprowadzała tak potrzebną żywność, jak niepotrzebne artykuły zbytkowe w wielkich ilościach — musiała Centrala stać w ciągłej styczności z tak zw. „Komisją dla przywozu i wywozu", bez której zezwolenia nic nie było wolno przywozić. Był to oczywiście skutek stanu powojennego! Już do kilkunastu dni okazała się szalona praca techniczna, a i biurokratyczna, z powodu niezliczonych podań o walutę. Czyje podanie zaległo, a jużci komu odmówiono choćby najsłuszniej waluty, ten stawał się nieprzyjacielem Centrali i agitatorem przeciw jej istnieniu. Jednym z pierwszych, a jak się okaże, najniebezpieczniejszych nieprzyjaciół był Francuz niejaki pan Bastide z Paryża. Zażądał on miljona franków na zapłatę towarów paryskich, które wysprzedał całkowicie na targu warszawskim za banknoty polskie. Kurs franka wynosił wtedy (z końcem września) około 4 marki. Sumy tak znacznej nie chciała Centrala dostarczyć jednej niezbyt znacznej osobie; ale z uwagi na narodowość kupca dała mu przezemnie upoważnienie na zapotrzebowanie franków w swoim banku. „Bank handlowy" oświadczył jednak że tyle franków nie posiada: czy tak było istotnie, czyli też bank z nieprzyjaznym mi dyrektorem Karłowskim na czele odmówił dla zaszkodzenia Centrali, tego nie mogę ocenić. Dość, że ambasador francuski, bardzo szorstki i daleki od elegancji francuskiej p. Pralon wniósł skargę do ministerstwa spraw zagr., które mi przysłało też zażalenie przez p. Olszowskiego. Omówiłem rzecz całą z nim i pp. Manteufflem i Makowieckim i okazało się, że p.

Bastide, który nadto napadł p. Makowieckiego w bardzo ordynarny sposób w biurze, nie miał powodu do skargi, o ile Centrala miała wogóle ograniczać wydawanie dewiz. A nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że pan Bastide jest przyjacielem czy też krewnym pana Pichon, ministra spr. zagr. w Paryżu... To była pierwsza przyjemność z powodu Centrali! Dalsze wynikły z zachowania się przemysłowców i ich naturalnego opiekuna, Ministerstwa handlu. Nie było sposobności, z której nie korzystały te sfery ażeby wypowiadać żale z powodu utrudnienia im dowozu surowców przez Centralę dewiz. Prawda, że odbudowa przemysłu, pierwsze główne stadjum odbudowy gospodarczej Polski, wymagała dowozu surowców; prawda że na zakupno surowców potrzeba było obcych dewiz; prawda że Centrala, utrudniając wydanie dewiz, utrudniała pośrednio odbudowę przemysłu. Słyszałem to w najrozmaitszych odcieniach, że w Komitecie ekonomicznym ministrów toczyła się gorąca o to walka między ministerstwem skarbu i handlu. Ale przemysł i handel nie chciały zrozumieć, że mniejsze zło tkwi w utrudnieniu otrzymania dewiz przez Centralę, niż w przewidywanym strasznym wzroście cen dewiz po jej zniesieniu. Lepiej było dla narodu, gdy Centrala w pewnych tylko granicach, dostarczała dewiz po cenach umiarkowanych, niż gdy po jej zniesieniu tak zw. wolny handel czynił to po cenach szalenie wysokich. I możnaby było utrzymać się przy tej tezie, gdyby najprzód autonomiczna Komisja przywozu i wywozu nie była bezwzględnie wydawała pozwoleń na przywóz surowców, za które brakło tanich dewiz i gdyby dalej pozycja moja polityczna — acz zawsze jeszcze i do końca silna w Komitecie ministrów — osłabiona już przez agitację „koronową", wstrząśnięta przez rozpoczynającą się walkę z p. Paderewskim, dozwoliła mi była wytrwać w oporze aż do końca. Ale oto p. Paderewski, jak we wszystkiem paraliżował po swoim powrocie z zagranicy moje najważniejsze akcje, tak i Centralę starał się dobić. Zaprosiwszy mnie do siebie — był wtedy w łóżku — zapytał mnie, co będzie z Centralą. Od-

rzekłem, w pełnem zaufaniu do szefa rządu i kolegi, jak czułem: że prawdopodobnie będzie ją trzeba znieść z powodu licznych oporów. Czy istotnie, i kiedy i jak to nastąpi, było to rzeczą mego resortu. Ale cóż zrobił p. Paderewski we dwa dni po rozmowie ze mną? Oto, nie porozumiewawszy się już więcej ze mną, umieszcza w wielkiej politycznej mowie swojej w Sejmie, bez najmniejszej potrzeby i bez żadnego z celem tej mowy związku, następujący ustęp: „Centrala dewiz nie dopisała, więc zostanie zniesioną". Z pewnością w żadnem państwie cywilizowanem nie uczynił czegoś podobnego szef rządu ministrowi ressortowemu; ale cóż miałem robić? czy miałem mu przerwać z protestem, czy po nim z trybuny protestować? Jużci wolałem dla uniknięcia skandalu przyjąć ten cios w milczeniu. Ale losy Centrali zachwiały się tem mocno i w takiej właśnie chwili zapowiedział się u mnie minister Skrzyński z p. Pralonem.

Odczytawszy mi depeszę paryzką Pichona, w której bardzo twardo i energicznie domaga się Francja naprawy krzywd pana Bastide, dodawszy, że Francja z tego powodu wstrzymała wysyłkę zakupionych u niej dla walczącej w mrozie armji naszej mundurów i płaszczów(!!) bo Francja kocha nas szczerze w polityce, ale w interesach nie zna żartu —, przyprowadził mi nasz wiceminister ambasadora Pralona. Ten był tak pewny sprawy, że jak obaczyłem później, przyprowadził ze sobą dla redakcji układu, sekretarza legacji. Musiałem najprzód wysłuchać całego „kazania" p. Pralona, który, jak to później w czasie kryzysu państwowego opowiadał memu przyjacielowi z ministerstwa spraw zagr. radcy Perłowskiemu, uważał mnie za niebezpiecznego „austrofila" (gdzie też już wówczas była ta straszna Austrja?!) i dlatego tem silniej dążył do zwyciężenia mnie! W danej sytuacji uważałem za rzecz naturalną, ustąpić w sprawie p. Bastida. P. Pralon wywodził, że Bastidowi odmówiono z końcem września, tuż po założeniu Centrali, sprzedaży miljona franków po kursie 4 mp.; obecnie zaś stoi frank 8 mp., p. Bastide stracił zatem

4 mil. mp. i żąda odszkodowania! Na to odrzekłem, że polecę Centrali, by mu dostarczyła 1 mil. franków za 4 mil. mp. a resztę dopłaci skarb polski. Jeżeli jednak sądziłem, że sprawa została załatwioną, to się omyliłem grubo. Pan Pralon bowiem, uznawszy moją koncesję dla p. Bastide, zażądał jej jeszcze dla licznych innych kupców francuskich. Na to odrzekłem logicznie: „dobrze, proszę mi ich przysłać, podobnie jak p. Bastida". Tymczasem teraz dopiero usłyszałem, niespodziankę w słowach następujących: „Misja francuska nie może ich Panu przysłać, bo ich sama nieznа z uwagi na ich nieobecność w Polsce". Istnieją bowiem w Paryżu liczni, nieznani nam kupcy, którzy jeszcze przed wprowadzeniem Centrali dewiz otrzymali od polskiej Komisji przywozu i wywozu upoważnienie do importu towarów do Polski. Gdyby byli przywieźli te towary zaraz po zaprowadzeniu Centrali, byliby żądali zwolnienia na zakupno franków po 4 mp. i nie byliby go uzyskali. Obecnie mogliby każdej chwili przybyć z towarami i ponieśliby szkodę po 4 mp. za franka. Rząd polski musi więc dać gwarancję, że każdemu z przyszłych przybyszów zwróci różnicę ponad 4 mp., czyli poniesie stratę"! Oburzony do głębi podobną groźbą rabunku, wykrzyknąłem z ominięciem wszelkich form dyplomatycznych: „Jakto, Francja żąda nieograniczonej gwarancji skarbu polskiego za nieznane straty nieznanych obywateli francuskich?" Pan Skrzyński przestraszył się niepomału mego tonu; gdy zaś p. Pralon potwierdził swoje żądanie jako nieodzowne żądanie pana Pichona, ja zapytałem: „A jeżeli do tego czasu nie będzie już Centrali?", na co pan Pralon: „A to co innego, wtedy nie będzie instytucji, na którą moglibyśmy u rządu polskiego wnieść skargę!"

I teraz dopiero, pod ciosami polskiemi zarówno jak francuskiemi musiała runąć Centrala dewiz. Wbrew żałosnym i słusznym radom moich referentów — wysoce zasłużony radca i prezes centrali p. Makowiecki wręczył mi dymisję, której nie przy-

jąłem — wniosłem sprawę na Komitet ministrów i spowodowałem uchwałę zniesienia Centrali. Na drugi dzień wpłynęła nota ministerstwa spraw zagr. z poparciem żądania pana Pralona. Odpowiedziałem krótko, że Centrala dewiz została zniesioną i że dla p. Bastide kazałem zakupić 1 miljon franków, skarb polski dopłacił do tego „interesu“ około 5 mil. mp., tylko dla tego, że pragnął ochronić Polskę od zgubnej haussy w dewizach. W kilka dni później na „wolnym“ już targu warszawskim dosięgnął kurs franków, zgodnie z przepowiednią moich doradców, cyfry 15 mp. Dnia 19 lutego 1921 r. wynosił 58 mp. a znakomity mój drugi następca pan Steczkowski rozważa podobno wznowić jakąś centralę. Jak wówczas, pierwszych dni grudnia 1919 r. jeden z pierwszych przemysłowców, gorący przeciwnik centrali, przeczytawszy ogłoszenie o jej zniesieniu, przybiegł do p. Manteuffla z ciężkiemi o to wyrzutami. Zaś dzisiaj czują chyba wszyscy nasi przemysłowcy, jak ciężkim jest przywóz surowców przy tak szalonych cenach dewiz... Muszę więc powtórzyć w innej cokolwiek formie swoje zdanie: kocham serdecznie Francję, jako jedyną wierną sojuszniczkę naszą polityczną — przypominam niedawny w Paryżu pobyt Naczelnika Państwa —, ale mam trwogę przed Francją kupiecką. Sam tylko p. Paderewski, który politykę przynajmniej odczuwa instyktownie, ale o ekonomji niema najmniejszego wyobrażenia, mógł być zadowolony z upadku centrali, tej podpory dla waluty!

B) Ład w skarbie polskim.

Jeżeli uważałem regulację waluty za pierwszą pobudkę powołania mnie do rządu naszego, to wprowadzenie ładu w skarbie polskim musiało z natury rzeczy być pierwszym moim obowiązkiem ze względu na całą przyszłość ojczyzny. W owej chwili miały temu celowi służyć trzy środki, które przedstawiłem już na pierwszem posiedzeniu Rady ministrów. Pierwszym był mój t. zw. „dekalog“, nakładający pęta dotychczasowej dowolności ministrów. Państwo polskie istniało w sierpniu 1919 r.

dopiero od 9—10 miesięcy; ministerstwa były tworzone dorywczo; ani społeczeństwo polskie w Kongresówce, powołane w pierwszym rzędzie do rządów, a niestety niedoświadczone w administracji państwowej, ani członkowie pierwszych rządów nie znali naturalnego szerokiego zakresu działania i wpływu jaki posiadają ministrowie skarbu na całym świecie. Nawet sami ówcześni ministrowie skarbu polskiego nie mieli jasnego wyobrażenia o swojem powołaniu i sam widywałem pisemne orzeczenia mego bezpośredniego poprzednika, p. Karpińskiego, zabraniające ministrowi skarbu, mięszania się do spraw innych ministerstw! Tenże sam minister zajął przy uchwale Sejmu z lipca 1919 r. o reformie rolnej stanowisko zupełnie bierne, nie troszcząc się o miljardowe zapewne skutki skarbowe tej reformy z uwagi na kompetencję ministra rolnictwa w sprawach rolniczych. Minister skarbu był według tej zasady widocznie tylko kasjerem, dostarczającym pieniędzy innym ministrom. Za rządów p. Moraczewskiego sam prezes, jako reformator społeczny i dawny urzędnik kolejowy, podniósł wszystkie płace kolejowe — może i słusznie — o kilkadziesiąt miljonów, nie troszcząc się wcale o ministra skarbu!

Nie chcę tem oskarżać nikogo, stwierdzam tylko fakta. Każdy z ministrów, często mało fachowy, ale zawsze bardzo gorliwy i patrjotyczny, zarządzał wydatki, uznane przezeń za potrzebne, nie myśląc o środkach materjalnych. Niektórzy ustanawiali sobie własne dochody (np. z kar w urzędzie lichwy), któremi dysponowali dowolnie, wypożyczając je, lub udzielając subwencji itd. Ministrowie skarbu nie trzymali ręki na gotowiźnie „Kasy centralnej", a p. Karpiński poprostu ją zniósł i przekazał jej czynności Kasie pożyczkowej. W krajach z dawną rozwiniętą administracją stanowi przekazanie wypłat bankowi biletowemu najwyższy szczyt rozwoju w związku z Clearingiem. Ale w Polsce stało się to o kilkadziesiąt lat za wcześnie, a skutek był taki, że każdy minister

otwierał sobie „Conto“ w P. K. K. P. i dysponował niem zupełnie dowolnie. Ja zaś w ciągu krótkiej działalności mojej nie byłem w stanie naprawić ten błąd kardynalny, bo zdemontowane kasy nie dały się już ustawić w zajętych na inne cele lokalnościach i dopiero mój następca p. Grabski mógł je kazać znowu zmontować i ustawić, otrzymawszy zrestaurowany tymczasem na cele Ministerstwa Skarbu wspaniały pałac dawniej króla Stanisława Leszczyńskiego... Każdy minister przyjmował sobie urzędników, ilu chciał i jakich chciał, przyznawał im płace, czy to honorarja kontraktowe zupełnie dowolnie. Rada ministrów próbowała ukrócić tę samowolę, każąc sobie przedkładać nazwiska kandydatów; ale skutek był taki, że na każdem posiedzeniu uchwalano ogromne listy nowych urzędników. Ministrowie wyjeżdżali dowolnie za granicę lub wysyłali urzędników na zakupy, zupełnie znowu dowolnie. Słynną była podróż min. zdrowia publicznego, dzielnego zresztą bardzo p. Dr. Janiszewskiego, który najprzód sam a później podobno przez p. Paderewskiego zakupił w Francji takie mnóstwo towarów sanitarnych, automobilów i t. p., że sam nigdy nie zdołał stwierdzić, wysokości sum ceny kupna. Już za czasów mego ministerstwa opowiadał w komitecie ministrów jenerał Romer, wysłannik do zakupów ze strony min. wojny, że jeszcze wtedy leżały po stacjach kolejowych liczne wagony, w których znajdowały się towary sanitarne polskie, ulegające coraz to większemu zepsuciu. Naturalnie, te i nieskończone inne, mniej lub więcej zbędne towary — nie mówię tu o żywności i przyborach wojskowych — kupowano na kredyt, pod warunkami mniej lub więcej lichwiarskiemi. Boć każdy minister rościł sobie prawo do sięgania po kredyt zagraniczny albo towarowy, albo nawet w gotówce! Sam p. Paderewski opowiadał mi ze zgorszeniem, że mu w Paryżu przedłożono do współpodpisu dwa skrypta dłużne, dwóch ministrów. Naturalnie, że odmówił, ale, jak zobaczymy w październiku 1919 r. sam coś podobnego próbował.

Toż gdy objąłem tekę, ministerstwu skarbu nie była wcale znaną cyfra wszystkich długów zagranicznych: podałem je w mowie swojej sejmowej z listy, ułożonej na podstawie bonów, wystawionych przez ministra skarbu. Bo ten jeden przywilej, wystawiania bonów — naturalnie na żądanie wierzycieli — przyznawali ministrowie resortowi ministrowi skarbu, nie zapytawszy się przedtem o jego na zaciągnięte przez nich długi zezwolenie. Nie chcę zresztą zataić, że w Paryżu przesiadywali także ajenci ministra skarbu: jednego z nich zastałem w osobie p. Stefana Markowskiego, bardzo dzielnego finansistę, któremu dałem potem ścisłe instrukcje co do jego zakresu działania, potem był mi bardzo pożytecznym i przestrzegał nawet przed pana Paderewskiego eskapadami finansowemi. Ale pęd do zakupów zagranicznych był tak żywiołowy, że nawet już za moich czasów własny mój wysłannik, zamiast zorjentować się według mego polecenia co do stoków wojennych amerykańskich w Paryżu, nakupił za szereg miljonów tychże towarów — swoją drogą za namową pp. Paderewskiego i bawiącego tam w przejeździe do Washingtonu naszego posła księcia Lubomirskiego. Zakupów tych nie chciałem długo zatwierdzić. Jeszcze trudniej było się ochronić od zakupów osobnych urzędów zakupna, jak „Puzapp“ w ministerstwie aprowizacji, „Guza“ w ministerstwie wojny itd. Osobne takie jakoby biura zakupów zdawał się tworzyć w Londynie tamtejszy nasz poseł książe Sapieha, który nie tylko wiecznie traktował tam o pożyczki, ale — z polecenia p. Paderewskiego — kupował po cenach lichwiarskich towary mniej lub więcej potrzebne. Gdy razu pewnego rozgniewany wręczyłem wiceministrowi Skrzyńskiemu celem ekspedycji do Londynu telegram, z ustępem: „proszę księcia nie zakupywać nic bez mego zezwolenia“, otrzymałem nazajutrz wiadomość, że p. Paderewski jako bezpośredni przełożony ks. Sapiehy, odmówił ekspedycji telegramu. Tak się działo za moich czasów, gdy obowiązywał mój „dekalog“; cóż dopiero w czasach poprzedzających. Do tego

wszystkiego powstawały za granicą długi także i bez bonów, n. p. w Paryżu i Londynie z mocy „Komitetu Narodowego“ i na cele tegoż komitetu. W czasie mego urzędowania wyliczył mi był nasz poseł paryski hr. Zamoyski — według wrażenia mojego znacznie rozsądniejszy, niż go przedstawiają — długi francuskie na 300 mil. franków. Do tego przybyło bardzo wiele z tytułu przyborów wojennych. Jednem słowem, trudno o stwierdzenie długów zagranicznych; próbował to uczynić w lutym 1921 r. rząd Witosa, nie znam wszelako cyfr. Dopiero w 1922 r. minister Michalski jak we wszystkiem, tak i na tem polu, zrobił porządek dzięki swej bezwzględności, swoim rządzeniom „żelazną miotłą“.

Jeżeli do tego wszystkiego dodamy, że ministrowie, nie dość zadowoleni jeszcze z urzędów swoich centralnych, tworzyli sobie na własną rękę, znowu bez wiedzy ministra skarbu, całe szeregi władz podrzędnych w niższych instancjach, to niepodobna mi było — acz nawet nie znałem jawnego zła w całej pełni — objąć zarząd skarbu bez wspomnianych 10-ciu punktów.

Gdy p. Paderewski przyjął je w zasadzie, udałem się do p. wiceministra Skrzyńskiego, ażeby się z nim zapoznać i prosić go o poparcie. Znalazłem w nim kolegę, z którym się od pierwszej chwili nawiązała coraz to bliższa przyjaźń. Po za sprawami czysto fachowemi skarbu nie było chyba sprawy gospodarczej czy politycznej, której nie bylibyśmy omawiali i załatwiali razem. Czy obstalunki żywności lub wojenne, czy środki troskliwości około armji, czy wielkie sprawy dyplomatyczne (np. sprawa generała Zuelenića, który pragnął u nas pożyczyć paręset miljonów franków), czy sprawa litewska, sprawy plebiscytowe, czy wreszcie sprawa ruska, zawsze działaliśmy wspólnie i zgodnie. W owym dniu uprosił Skrzyński swego zaufanego i przyjaciela, radcę Perłowskiego, by dla dochowania dyskrecji udał się do mnie do hotelu osobiście wraz z maszyną do pisania, celem spisania dokładnego mego „dekalogu“. Dyktando to było początkiem przyjaźni mojej także z p. Perłowskim, który mi pozostał wiernym do końca. Niestety, jeszcze przed mojem

ustąpieniem, p. Paderewski wygnał obydwu tych moich przyjaciół: Skrzyńskiego wysłał na posła do Madrytu a Perłowskiego na radcę legacyjnego do Berna szwajc. (dziś — marzec 1921 — jest na wybitnem miejscu generalnego sekretarza Polski przy Radzie Ligi Narodów). Żegnając się ze mną, p. Perłowski opowiadał mi ciekawą rozmowę swoją pożegnalną z panem ambasadorem Pralonem. Tenże wyrażał wobec niego wielkie obawy na wypadek mojego pozostania w ministerstwie polskiem, z uwagi na mój „austrofilizm". P. Perłowski wierząc w to moje pozostanie w urzędzie, perswadował mu najprzód, że ministrowie austrjaccy nie mogli być austrofilami, powtóre, że tej strasznej Austrji już niema, a po trzecie, że był sam świadkiem następującej sceny w lutym r. 1918 w Bernie. Było to w parę dni po ogłoszeniu treści traktatu brzeskiego i cały świat zachodni spoglądał na Wiedeń i Polaków, a przy stole, wkoło którego zebrali się byli na wspólne śniadanie wszyscy dyplomaci berneńscy, rozprawiano także na temat powyższy. W tem ktoś z obecnych otrzymawszy od służącego „N. Fr. Presse" wiedeńską, zaczął odczytywać sprawozdanie z posiedzenia Izby Panów austrjackiej i podaną w niem w streszczeniu mowę moją, w której, jak wiadomo, byłem zniewolony wziąć imieniem narodu polskiego rozbrat z monarchją i Austrją. I wtedy wszyscy orzekli: „Jeżeli tak przemawia Biliński, to widocznie traktat brzeski zjednał już wszystkich Polaków, także austrjackich, dla Ententy". Miałem oryginał tej mojej mowy, niemniej mowy ostatniej z dn. 24./X. 1918 r., przesłać panu Perłowskiemu dla sporządzenia ich tłumaczeń dla zdziwionego bardzo Pralona. Ale zaniechałem tego, gdy tak Pralon jak i ja sam ustąpiliśmy z posterunków naszych.

Ale wróćmy do „dekalogu". Jak czytelnik rozpozna z dołączonego tekstu 10-ciu punktów moich, starałem się zabezpieczyć skarb na przyszłość od wszystkich klęsk, które powyżej opisałem dość szczegółowo jako raka, toczącego żywe ciało państwa polskiego.

PREZYDENT MINISTRÓW
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Warszawa, dn. 2 sierpnia 1919 r.

Odpis.

Nr. 9835/19.

Do

wszystkich pp. Ministrów, Prezesa Głównego Urzędu Likwidac.

w miejscu,

W celu uporządkowania gospodarki skarbowej, która znajdować się musi pod stałym i jednolitym kierunkiem Ministra Skarbu, wszyscy PP. Ministrowie zechcą w wykonywaniu swoich obowiązków urzędowych stosować się do ustalonych przezemnie i zaaprobowanych przez Naczelnika Państwa wskazań, a mianowicie:

1. Budżet każdego Ministerstwa przychodzi do skutku po szczegółowem rokowaniu z Ministerstwem Skarbu, na podstawie oryginalnych aktów odnośnego Ministerstwa i po uzyskaniu zgody Ministra Skarbu.
2. Budżet tak ułożony i przez Radę Ministrów zatwierdzony winien być, nawet jeszcze w stadjum przed uchwałą Sejmu, przestrzeganym ściśle przez każde Ministerstwo. Wszelkie przekroczenie budżetu lub przenoszenie z jednej jego pozycji na drugą (virenent) wymagają tak co do wydatków bieżących, jak i co do inwestycji, uprzedniego przyzwolenia Ministra Skarbu.
3. W budżecie każdego Ministerstwa muszą być zawarte także wydatki na personal. W celu ich ustanowienia przedstawia każde Ministerstwo Ministerstwu Skarbu projekt etatu urzędników, pomocników, pomocnic i sług, tak co do ilości osób, jak do ich rangi i poborów. Etat może być wstawiony do budżetu dopiero po uzyskaniu zgody Ministra Skarbu.
4. Przekroczenie etatu, tak co do ilości osób, jak i co do wydatków (nominacje extra etatum, lub zaoszczędzenie innych pozycji personalnych) może nastąpić tylko za uprzedniem zezwoleniem Ministra Skarbu.
5. W pół roku po uchwaleniu budżetu przez Radę Ministrów, winno każde Ministerstwo przesłać Ministrowi Skarbu szczegółowy co do osób i wydatków stan etatu całego bez wyjątku personalu swojego.
6. Żadnemu Ministerstwu nie przysługuje dyspozycja docho-

dami, wpływającymi do jego kasy z tytułu resortowego. Dochody te winny być do 24 godzin przekazane Kasie Centralnej Ministerstwa Skarbu, które natomiast przekazuje każdemu Ministerstwu dotacje należne mu z budżetu w terminach odpowiadających potrzebom tegoż Ministerstwa i stanowi naszej kasy centralnej.

7. Żadne Ministerstwo nie jest upoważnione samo lub przez swoje organa, do zaciągania dla swego wydziału pożyczek, lub przyjmowania innych zobowiązań pieniężnych. Kredyt Państwa spoczywa wyłącznie w ręku Ministra Skarbu.
8. Tworzenie i organizowanie władz podrzędnych lub innych organów w pojedynczych wydziałach Ministerstw może nastąpić tylko po przeprowadzeniu rokowań z Ministerstwem Skarbu, o ile wymienione organizacje wymagają specjalnych funduszów, w budżecie nieprzewidzianych.
9. Wszelkie wydatki na prasę winny być przewidziane w budżecie, mogą jednak być wstawione za zgodą Ministra Skarbu tylko do budżetu Prezydjum Rady Ministrów i Ministerstwa Spraw zagranicznych.
10. Każdy projekt ustawy treści ekonomicznej, dalej każdy projekt ustawy, która będzie wymagała odrębnych wydatków, lub przynosiła odrębne dochody, winien być przedewszystkiem przedmiotem rokowania z Ministerstwem Skarbu i może być przedłożony Radzie Ministrów dopiero po uzyskaniu zgody Ministra Skarbu.

Zechce Pan Minister potwierdzić odbiór powyższego własnoręcznym podpisem, co będę uważać za wyrażenie zgody na przestrzeganie tych wskazań w swoim resorcie.

PREZYDENT MINISTRÓW.

PRZEZYDENT MINISTRÓW
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Warszawa, 2 sierpnia 1919 r.

Nr. 9835/19.

Panu D-rowi Leonowi Bilińskiemu
Ministrowi Skarbu
w miejscu

do wiadomości.

Prezydent Ministrów *Ig. Paderewski.*

Nie chcę twierdzić, żeby już w czasie 4-o miesięcznego urzędowania mego wszystkie te prawidła weszły w krew i mózg wszystkich organów polskich. Byłoby to prawie nienaturalne; ale starania moje nie były jak się okaże, bezowocne. Na każdy sposób zobowiązali się ministrowie — i prawem ciężkości przyrodzonej także ich następcy — trzymać się budżetu, nie przekraczać go bez zezwolenia ministra skarbu, trzymać się w granicach etatu urzędników, oddawać wszystkie swoje dochody ministerstwu skarbu i żyć z jego „dotacyj", nie zaciągać długów, nie tworzyć bez niego władz podrzędnych. nie wnosić ustaw, doniosłych dla skarbu bez tegoż ministra zgody itp. Sam Paderewski żądał tego zobowiązania od ministrów pod groźbą ich dymisji. Drogę do wykonania tego wszystkiego wskazałem już na I. posiedzeniu Rady ministrów: stworzenie „Komitetu ekonomicznego ministrów" i postępowanie budżetowe w łonie rządu.

C) Komitet ekonomiczny ministrów.

Z inicjatywy ówczesnego przewodniczącego Rady ministrów p. Wojciechowskiego i mojej, uchwalono na pierwszem posiedzeniu stworzenie „Komitetu ekonomicznego", do którego mieli wejść wszyscy ministrowie, z ressortem przeważnie gospodarczym. Weszli tym sposobem zaraz wówczas ministrowie: rolnictwa, handlu i przemysłu, poczt, kolei i aprowizacji; wkrótce potem wszedł z dalszej uchwały Rady minister wojny (ze względu na zakupy wojskowe itd.) i osobno jako wolontarjusz min. robót publicznych. Nie długo później zgłosił swoją przynależność do komitetu energiczny i jurny komisarz generalny dla Kresów wschodnich Osmółowski ze swoim zastępcą warszawskim p. Kozakowskim. Jeżeli do tego dodam, że na posiedzenia Komitetu przybywali przy ważnych sposobnościach: bardzo często mój przyjaciel p. Skrzyński, a czasami również mój przyjaciel p. Wojciechowski, znakomity minister spraw wewnętrzych i szlachetny, bezstronny, gorąco patrjotyczny polityk lewicowy, to mogę niemal powiedzieć, że pod mojem przewod-

nictwem zorganizowała się i działała jakby „mała Rada Ministrów". Załatwiała ona bezpośrednio i w ostatniej instancji najważniejsze sprawy gospodarcze i zasłużyła się dobrze ojczyźnie już przez pierwszych cztery miesięcy — nie wątpię, że i później. Ale ile to wymagało wysiłków z mojej strony i od kolegów! Zbieraliśmy się dwa razy na tydzień od godz. 5 do 9 wieczorem. Z początku był ton cokolwiek chłodny i wstrzemięźliwy; koledzy musieli się powoli przyzwyczaić i do mojego sposobu przewodniczenia i do ścisłego obcowania z problemami ekonomicznemi wreszcie i do skrupulatnego liczenia się z wymogami polityki skarbowej. Ale z czasem takeśmy się zharmonizowali, że wytworzyły się między nami stosunki przyjazne, a z otwartych i sumiennych rozpraw wynikało rozkoszne poczucie gorliwej pracy dla narodu. Z umysłu pozostawiałem kolegom swobodę i dyskusji i decyzji, a przecież w licznych wypadkach godzili się ostatecznie na moje zdanie. Toż nie mogłem znaleść piękniejszej nagrody za moje usiłowania, jak w słowach pożegnalnych, które mi wypowiedzieli — nie na posiedzeniu, lecz u mnie w domu już po mojej dymisji — dwaj koledzy. Odwiedzając mnie z pożegnaniem, wyrzekł ustępujący również minister handlu Szczeniowski, dzielny szlachcic ukraiński z jasną znajomością stosunków przemysłowych: „Przychodzę, ażeby W. E. podziękować za jedyną pracę istotną, jaką spełnialiśmy w czasie naszych rządów, za pracę w Komitecie". A wiceminister i stały kierownik min. rolnictwa Chmielewski, pełen słodyczy i charakteru mąż z grona dawnych aktywistów, znakomity i energiczny zastępca interesów rolnych: „Przychodzę, ażeby W. E. podziękować za tyle nauki, ileśmy wynieśli z prac Komitetu".

Nie potrafię wyliczyć wszystkich spraw, załatwionych w Komitecie ministrów przez krótkie cztery miesiące, choćby dlatego że na początku każdego posiedzenia omawiałem z kolegami po krótce publiczne sprawy bieżące. Ale zdołałem może wyliczyć sprawy najważniejsze.

Wspomniałem już dawniej, że tak założenie jak zniesienie

Centrali dewiz przeszły przez narady Komitetu: pomiędzy jednem i drugiem toczyły się walki zajadłe między zastępcami min. skarbu i handlu. Początek i koniec poszły gładko: założenie z nadziejami, zniesienie z pewnym żalem.

Aprowizacja armji walczącej zajmowała nas często. Między ministerstwem wojny, które reprezentował jenerał Majewski — z dawnej armji austryjackiej, południowej, mąż zacny ale trochę miękki i niezdecydowany — a ministerstwem aprowizacji, toczyły się niejednokrotnie walki gorące: czy władza cywilna dostarcza przyrzeczone artykuły, zwłaszcza z Poznańskiego, lub czy też władza wojskowa w czas je każe przewozić i odbierać, lub nie rekwiruje bez potrzeby żywności na własną rękę i po najwyższych cenach, o to się zawsze spierano. Ministerstwo wojny sprowadzało na posiedzenie całe szeregi oficerów; ze strony min. aprowizacji walczyli osobiście, najprzód minister Minkiewicz — z początku mi trochę nieprzyjazny, później bardzo blizki — a po jego ustąpieniu znowu dzielny szlachcic ukraiński, pełen zapału i wiedzy wicemin. Sobański z doskonałym, prawie uczonym szefem sekcji Dr. Arztem. Za pierwszym razem wysłaliśmy nawet min. aprowizacji z zażaleniem do Naczelnika Państwa; ale wkońcu musieliśmy raczej przyznać rację armji na froncie. Często musiał się przytem bronić także kierujący wiceminister kolei Eberhart — dobry administrator i umiarkowany socjolog — gdy się okazało, że dostawa wozów nie dopisała. A zarzut ten podnoszono także ze strony ministra handlu co do transportu węgli dla przemysłu, jak wogóle sprawa węglowa była częstym przedmiotem żalów i obrad. To też z uwagi na brak środków komunikacji towarowej chętnie uchwaliliśmy z czasem ułatwienia skarbowe, potrzebne do założenia dwóch fabryk wagonów, w Krakowie i Poznańskiem (Ostrów). Sprawami przemysłu zajmowaliśmy się dość często, choćby tylko przy sposobności Centrali dewiz i dostarczaniu surowców. Tuż przed moim ustąpieniem powstała była myśl sprowadzenia surowców z Anglji nie za gotówkę, lecz za część (50—70%)

fabrykatu z tych surowców; chodziło tylko o gwarancję rządu za dostarczenie fabrykatu. Myśl tę omawiałem z ajentami angielskimi i bardzo jej byłem przychylny, ale nie miałem już czasu do wniesienia tej sprawy za Komitet. Natomiast przeprowadziłem tam, po przezwyciężeniu wielkich trudności z projektantami założenie dwóch fabryk wojskowych: broni i amunicji („Pocisk"). Trudność polegała na tem, że projektanci żądali pierwotnie tyle gwarancji i pieniężnej pomocy rządowej, że wydawało się raczej stosownie, myśleć o założeniu fabryk kosztem rządu. Gdy przypuszczeni (książę Stanisław Lubomirski) odstąpili od pomocy pieniężnej, Komitet chętnie się zgodził na przedsiębiorstwa prywatne. Od tego czasu „Pocisk" już jest w toku, o fabryce broni nie wiem nic bliższego. Natomiast wiadomo mi, że się niestety rozbiła o trudności biurokratyczne myśl, bardzo dla mnie ponętna: przewiezienie do Polski fabryki karabinów ze Steyr in natura. Pierwszorzędna ta fabryka zaopatrywała nie tylko monarchję austr.-węg.; ale i cały wschód w broń najznakomitszą, systemu w końcu Mannlichera, a traktat w St. Germain zabrania Austrji prowadzenia dalej tej fabryki. Wielka szkoda dla Polski że nie skorzystała z tej sposobności; podobno jeszcze dziś (czerwiec 1922) myśl ta dałaby się zrealizować.

Ważną sprawę napół przemysłową, napół skarbową traktowało się kilkakrotnie w komitecie z tytułu podatku od cukru. Przemysł cukrowniczy w Królestwie jest znacznie silniejszy od galicyjskiego (powstałego najpóźniej i to głównie staraniem ks. Andrzeja Lubomirskiego), ale nie może się równać z poznańskim. W Małopolsce i Poznaniu obowiązują jeszcze dawne ustawy o podatku cukrowym, pobieranym tu i tam według wyniku produkcji; w Kongresówce wprowadzono monopol handlu cukrem. Produkcja jest wolna, ale zorganizowana w „Związku cukrowników" pod kierownictwem bardzo energicznego prezesa, zmarłego niestety r. 1922 p. Tołłoczki i Związek przedstawia ministerstwu co roku przed kampanją wnioski co do spodziewanych kosztów produkcji, zwłaszcza co do wydajności i ceny

buraków, niemniej wnioski co do ceny, po której skarb — w czasach obecnych minister aprowizacji — ma zakupić całą produkcję od Związku. Na tych podstawach sporządza się co roku układ pisemny między skarbem i Związkiem. Dzielny ale też i bezwzględny prezes został mi zaraz w początkach przedstawiony przez min. handlu p. Szczeniowskiego, wielkiego ongiś cukrownika na Ukrainie. P. Tołłoczko prosił mnie o pewne zmiany w kontrakcie, które też poruczyłem referentowi mego ministerstwa, radcy Terczyńskiemu. Na nieszczęście czy szczęście referent był równie energiczny i bezwzględny, jak jego kontrpartner prezes, i stąd wynikły spory, które musiałem przedstawiać do rozstrzygnięcia Komitetowi ministrów. Strawiliśmy na to kilka długich posiedzeń, na których przyszło do walk gwałtownych i osobistych: po jednej stronie referent — szefa sekcji monopolowej nie miałem jeszcze, dopiero po mojem ustąpieniu powołał na ten urząd mój następca p. Mikuleckiego, mego dawnego prezydyalistę — po drugiej stronie ministerstwo handlu i przemysłu, ministrowie Szczeniowski i Sobolewski jako znawcy ukraińscy, a i przedstawiciel związku (nie prezes Tołłoczko). Tylko wiceminister rolnictwa Chmielewski pełnił wraz ze mną urząd bezstronnego sędziego. P. Terczyński wystąpił z ogromnym materjałem cyfrowym, z którego dowodził autentyczność, że wszystkie pozycje kosztów, podawane przez każdą fabrykę z osobna, jak węgle, robocizna itd., są podane za wysoko, że to się działo już za czasów okupacji, tak że już wówczas wprowadzono władze w błąd przy ustanowieniu ceny cukru, i że jak zawsze tak i dzisiaj konsumenci poniosą ogromną krzywdę, jeżeli rząd wyznaczy cenę cukru według wniosków Związku. Zawrzała walka namiętna, skomplikowana jeszcze przez sprawę węglową; okazało się bowiem, że fabryki otrzymywały od rządowego zarządu węgli więcej węgla, niż potrzebowały, więc znowu ze szkodą innych konsumentów węgla. Sprawa ta była tem drażliwszą, że ówczesny naczelnik biura węglowego przy ministerstwie przemysłu i handlu, p. Pepłowski (póź-

niej aż do pierwszych dni marca 1921 minister pracy i opieki społecznej) stwierdził na Komitecie dostawę wykazanej ilości węgli nad potrzebę. Mimo tłumaczeń strony przeciwnej, Komitet uchwalił wkońcu cenę cukru znacznie poniżej wniosku Związku cukrowników. Ale co byłaby wartą energja prezesa Tołłoczki, gdyby nie umiał się był oprzeć tej uchwale?! Otrzymawszy przeciw niej pismo z zarzutami podniesionemi przez Związek, wniosłem sprawę cukru ponownie na Komitet. Tam już energja była cokolwiek osłabła, zwłaszcza gdy dwaj ministrowie Szczeniowski i Sobański ujęli się gorąco i fachowo za naszem cukrownictwem. Najwymowniej wszakże przemówił za niem argument, że Polska, musząc kupować także cukier zamorski (Ceylon) i płacić zań wielokrotnie wyższe ceny od krajowych, może i powinna postąpić cośkolwiek także w cenie cukru krajowego. I tak się też stało.

Omawiano zresztą w związku z całą tą sprawą także stosunki dzielnicy pruskiej i sprawy naftowe. Ustawą dnia 31. VII. 1919 r. t. j. w dniu mojej nominacji, nadał Sejm dzielnicy pruskiej autonomję tak szeroką, że z wyjątkiem spraw wojskowych i cłowych, wszystkie inne oddano osobnemu rządowi poznańskiemu. Stojący na jego czele minister, będąc członkiem Rady ministrów w Warszawie, miał pośredniczyć między rządem centralnym względnie Sejmem polskim a rządem poznańskim. Pierwszy minister pan Seyda, którego barwę polityczną określił znakomicie marszałek Trąmpczyński dwuznacznem słowem „wolnomyślący", człowiek spokojny i umiarkowany, (brat jego Zygmunt jest gwałtownym endekiem), utrzymywał ze mną bliskie stosunki urzędowe i chętnie też ze swymi współpracownikami przybywał na posiedzenia Komitetu ministrów. Jego podsekretarz stanu dla spraw skarbowych, b. profesor krakowski p. Rybarski (po mojem ustąpieniu wiceminister skarbu w Warszawie), zastępował bardzo fachowo i umiarkowanie interesa dzielnicy pruskiej. Nie trudno było nam przekonać kolegów poznańskich, że n. p. sprawy kolejowe i sprawy podatków pośrednich

nie dadzą się całkiem wyłączyć z pod wpływu warszawskiego. W sprawach kolejowych nastąpiła też, już wkrótce po mojem ustąpieniu, unifikacja; co zaś do podatków, zwłaszcza co do cukru, to Poznań, acz własne posiada ustawodawstwo (dawne niemieckie) i własną prowadzi politykę cen nietylko cukru, lecz także zboża, ziemniaków itd., znajdował się w zawisłości od Królestwa z powodu braku węgli i nafty.

Znakomite cukrownie poznańskie, oparte dawniej o bogate dostawy węgli górnośląskich, znalazły się nagle — po przyłączeniu do Polski Poznania r. 1919, a przed przyłączeniem do niej G. Szląska r. 1922 — wobec braku dostatecznej ilości węgli z Królestwa. Nie łatwo to odpowiedzieć pokrótce, dlaczego bogate pokłady węglowe Królestwa, dawniejsza podstawa całego przemysłu polskiego, pokrewne sąsiednim Śląskim, acz nie tak świetne, nie zdołały za rządów polskich podołać potrzebom Królestwa, a już wcale Poznańskiego. Spowodowali to Niemcy swoją polityką okupacyjną, po części robotnicy ciągłymi strajkami, po części rząd polski, który zagarnąwszy kopalnie z rąk przeważnie obcych (głównie francuskich), nie starał się o poprawę produkcji, przez inwestycje ani z funduszów skarbowych, ani z obcokrajowych. Ja byłem za rokowaniem z Francuzami w celu skłonienia ich do inwestycyj w zamian za udział w dochodzie, albo za warunkowem oddaniem ich zarządu. Na krótki czas przed mojem ustąpieniem zapowiedziała się była pewna grupa francuska na rokowania, których już nie mogłem prowadzić. Czy i co się potem stało, nie jest mi wiadomem. Ale brak węgla trwał na każdy sposób tak silnie, że energiczni Poznańczycy sami sobie podali radę: oto rozpoczęli przerabiać ogniska swoich cukrowarni z opalania węglem na opał naftowy i zażądali dostarczenia ropy.

W chwili objęcia ministerstwa zastałem sprawy naftowe w rękach ministerstwa handlu i przemysłu; w czasie mego krótkiego pobytu w Wiedniu zastępca mój wiceminister Byrka zgodził się na utworzenie osobnego urzędu naftowego przy

powyższem ministerstwie. Nie bardzo mi się to podobało, gdyż byłem zasadniczym przeciwnikiem ulubionych w Warszawie „urzędów", niby zawisłych a niby niezawisłych od ministerstwa, którego powinny być „wydziałem" czy „sekcją", stosownie do swej objętości. Odpowiadałoby to zarówno odpowiedzialności ministra, jak stanowisku jego doradców. Ale wówczas rzecz była gotową i nie mogłem już odebrać ministrowi handlu tego „skarbu" jakim był nowy „urząd". Natomiast byłem od pierwszej chwili zdania, że nafta czy z „urzędem" czy bez niego, powinna należeć bezwarunkowo do ministerstwa skarbu. Bo jako przedmiot podatku musi się znajdować w ręku ministra skarbu, który znowu umiejąc z natury swego urzędu cenić znaczenie bogatego przemysłu jako źródła podatkowego, musi być opiekunem przemysłu naftowego. Dał tego liczne dowody dawny rząd austrjacki, którego ministrowie skarbu (jak Korytowski) stworzyli w Drohobyczu największą rafinerję („odbenzyniarnię") w Europie, tak (jak ja sam) wyratowaliśmy przemysł galicyjski od wchłonięcia przez wszechpotężną amerykańską „Oil Company". To też od początku mego urzędowania w Warszawie popierałem myśl, przekazania spraw naftowych ministerstwu skarbu, zwłaszcza że pod moją krótką nieobecność z powodu wyjazdu do Wiednia po meble moje, która jak wiadomo, spowodowała także emisję pierwszego półmiljarda banknotów nielegalnych — ministerstwa zapędziły się były także jeszcze na sekwestr przedsiębiorstw naftowych przez organa armji, co uważałem za niesłuszne i niepotrzebne. Przytem groziło naszym przedsiębiorstwom rodzimym niebezpieczeństwo ze strony cudzoziemców. Jeszcze mianowicie przed objęciem spraw naftowych, musiałem prowadzić na życzenie min. Skrzyńskiego, wskutek żądania rządu angielskiego bardzo ciężkie rokowania z reprezentantami grupy angielskiej „Primus" vel „Premier". Żądała ona przez usta zastępców (w tem Polak Litwinowski) przymusowego złączenia w jedno towarzystwo wszystkich rafineryj „nieprzyjacielskich" z wielkiemi dla tychże stratami, a przy-

wilejami dla Anglików. Wraz z wiceministrem Byrką broniliśmy się według możności, zwłaszcza, że potrzebaby było przedtem kazać zarejestrować akcje wszystkich rafineryj, celem stwierdzenia ich narodowości, często zmienionej w czasie wojny. Nadto według traktatu w St. Germain majątki austrjackie nie miały być likwidowane, a Anglicy pragnęli właśnie zabrać także i te kopalnie. Dzięki długiej korespondencji, zdołaliśmy sprawę całą utopić, aż się w końcu — tuż przed mojem ustąpieniem — okazało, że zarząd przymusowy (z ramienia min. handlu) z p. Litwinowskim na czele, rujnuje systematycznie całe przedsiębiorstwo „Premiera". Na żądanie posła francuskiego, chargé d'affaires szwajcarskiego i licznej deputacji galicyjskiej postanowiłem był — jako kompetentny, ale już jako ustępujący minister — znieść zarząd przymusowy. Zgody ministerstwa spraw zagranicznych już nie doczekałem w urzędzie.

Sprawa kompetencji naftowej przeciągała się przez dwa miesiące, z uwagi na opór min. Szczeniowskiego, którego bardzo miłowałem. Nie chcąc decydować sam o takiej ważnej sprawie, przedstawiłem ją tylko na komitecie, a decyzji zażądałem od „wielkiej Rady ministrów". Przewodniczący p. Wojciechowski bardzo był przeniesieniu kompetencji przychylny; gdy więc kolega Szczeniowski zmiękł cokolwiek, wniosłem sprawę na Radzie ministrów, która po przemowie przychylnej samego pana Szczeniowskiego uchwaliła mój wniosek. Wprawdzie na najbliższem posiedzeniu pan minister, oczywiście steroryzowany przez swoich doradców, przysłał w zastępstwie swojem wiceministra Strassburgera, który starał się dowodzić na podstawie protokołu z posiedzenia poprzedniego, że jego minister pojmował swoje przemówienie inaczej. Ale ja na to odrzekłem, że nie mogę przyjąć interpretacji przemowy ministra od tegoż zastępcy, który nie był obecny w czasie tej przemowy.

I tak z dniem 1 października 1919 r. przeszły sprawy naftowe do ministerstwa skarbu — formalnie, ale nie materjalnie, bo ministerstwo przemysłu robiło jeszcze rozmaite trudności

formalistyczne. Były zresztą do zwalczenia jeszcze dwie przeszkody materjalne. Najprzód nie chciałem objąć w rzeczywisty zarząd losów nafty, nie zwolniwszy jej od sekwestru wojskowego. Przedstawiłem tę sprawę na tem samem posiedzeniu Rady ministrów i uzyskałem zgodę na kroki potrzebne w celu uchylenia zarządzeń, spowodowanych na szkodę przemysłu polskiego i austrjackiego w Małopolsce, przez oficera p. Szczepanowskiego (syna znakomitego ekonomisty) i podobno przez b. dyrektora odbenzyniarni, pana Starkla (syna czy bratanka znakomitego literata i pracownika w Wydziale krajowym ś. p. Juliusza Starkla). Na mocy upoważnienia Rady ministrów udałem się na audjencję do Naczelnika Państwa, który, przyjąwszy mnie w ślicznym parku belwederskim, wśród bardzo pięknej i orzeźwiającej rozmowy politycznej, przyrzekł mi zniesienie sekwestru. Nastąpiło to wkrótce. Teraz dopiero mogłem myśleć o organizacji „Urzędu naftowego": miał on zarządzać sprawami naftowemi i prowadzić sprzedaż wyrobów naftowych drogą autonomicznego komitetu rafinerów, przy udziale dawnego dyrektora odbenzyniarni Dra Stanisława Pilata (syna mego dawnego kolegi prof. Dra Tadeusza P.). Było to zresztą pomyślane tylko jako prowizorjum, ponieważ zorganizowani producenci surowców oświadczyli mi przez usta swego prezesa Długosza (dawnego ministra i uśmiechającego się do mnie tym razem wielkiego ongi wroga mego politycznego), gotowość przedstawienia mi projektu organizacji wspólnej dla obu grup: dla t. zw. producentów i dla rafinerów. Swoją drogą nie przyszło do tego za mego urzędowania. Ale potrzeba było przynajmniej zamianować naczelnika Urzędu naftowego. I tu robiło mi ministerstwo handlu trudności, bo z początku prawie już objął naczelnictwo jeden z tamtejszych szefów sekcji p. Klarner, ale w chwili stanowczej pozostał w swym ministerstwie. Jakkolwiek w panu Klarnerze poznałem urzędnika bardzo tęgiego i sumiennego, które to ostatnie przy nafcie jest również ważnem, jak fachowość, to jednak byłem zadowolony z jego ustąpienia. Bo miałem już od

sierpnia w rezerwie idealnego kierownika nafciarstwa, p. Karola Klobassę, nafciarza zarówno fachowego jak absolutnie czystego. Życzył sobie zostać „wiceprezesem“ urzędu, więc go nim zrobiłem, jakkolwiek jestem przekonany, że jako szef sekcji w łonie ministerstwa byłby pod moim bezpośrednim nie nadzorem lecz wpływem stał się dopiero kierownikiem idealnym. Zbytnia bowiem samoistność, niezbędna w sprawach samego fachu, zawiodła go do niejakiej rozrzutności w sprawach personalnych, które swoją drogą obiecał mi najchętniej poddać mojej rewizji. Niestety i na to nie starczyło już mego czasu służby publicznej. Ale jak długo w niej pracowałem, mogę powiedzieć sumiennie, że $2^1/_2$ miesiąca kierownictwa p. Klobassy pod bacznem okiem wiceministra Byrki było zbawiennem dla naszego przemysłu interstícium w administracji naftowej. Po mojem ustąpieniu został pan Klobassa zastąpiony zupełnie niefachowym urzędnikiem z „Guzy“ w min. wojny; a w roku podobno 1921 przywrócono dawną kompetencję ministerstwa handlu dla spraw naftowych.

W czasie powyższego interstícium położyliśmy też podwalinę pod nowy system opalania cukrowarni poznańskich t. zw. „ropałem“. Materjał ten, przyrządzany z odpadków nafty, znany już był w naszym przemyśle z czasu, gdy najprzód ja jako prezydent kolei państwowych austr. zacząłem r. 1894 opalanie lokomotyw kolejowych naftą, a potem w latach 1904 i 1908 p. Korytowski założył odbenzyniarnię dla masowego dostarczania ropału kolejowego. Roku 1919 chodziło tylko o to, by w czas dostarczyć dostateczną ilość ropału dla Poznańskiego, a temu stały na przeszkodzie ciężkie stosunki transportowe owego czasu. Znakomicie pomysłowy p. Klobassa zaproponował mi stosowną organizację kolejową dla przełamania tych trudności. Dzięki pomocy wiceministra Sosnkowskiego otrzymaliśmy bardzo energicznego oficera kolejarza na kierownika ruchu nafty; na moją interwencję listowną oddał nam prezes dyrekcji kolejowej warszawskiej dwóch równie znakomitych fachowców dla Królestwa i Małopolski. Mogłem przeto zdać sprawę Komitetowi

ministrów, który się często troskał, czy ropał będzie dochodził punktualnie. Obecny p. minister Eberhart wprawdzie był nieco dotknięty ominięciem jego interwencji w tej sprawie; ale w swej dobroci przebaczył, gdy mu wyjaśniłem pilność i nasze dobre chęci nie wtrącania się do jego własnego resortu. Organa Urzędu naftowego miały tylko doglądać nieprzerwanego ruchu ropału; z jakim zresztą to się działo skutkiem, tego niewiem, gdyż wkrótce musiałem ustąpić z urzędu.

Jeszcze dwie sprawy przemysłowe przypominają mi się z Komitetu Ekonomicznego ministrów. Najprzód wywóz przerobionego drzewa. Mimo szkód i rabunków wojennych i powojennych pozostały Polsce ogromne drzewostany tak w Małopolsce, jak zwłaszcza na Kresach wschodnich. Dla tamtych potworzyły się były znamienite spółki eksploatacyjne; co do lasów kresowych komisarz generalny przystąpił bezwarunkowo do akcji Komitetu ministrów, a wobec mnie zobowiązał się do odstąpienia skarbowi polskiemu wszystkich dewiz, napływających z zagranicy za drzewo. Na kupcach nie zbywało wcale: Francuzi, Anglicy, Holendrzy stale oczekiwali dowozu, a grupa amerykańskich finansistów z niejakim p. Dropiowskim na czele proponowała mi wielką akcję eksploatacyjną własnemi tej grupy maszynami i robotnikami i własnemi jej pociągami kolejowemi, które miały przejść na własność skarbu polskiego. Naturalnie, że znowu nie doczekałem się zakontraktowania tych propozycyj. Ale całej tej akcji stały w drodze dwie przeszkody. Pierwszą była potrzeba budulca na odbudowę kraju: potrzeba zupełnie uzasadniona, ale także dająca się zaspokoić przez ustanowienie pewnej obliczalnej rezerwy odbudowlanej z każdego kompleksu czy drzewostanu, czy też produktów leśnych. Niestety już ta przeszkoda rozszerzała swoje skutki w rękach nieudolnej administracji państwowej. Nie wiele dni przed mojem ustąpieniem zgłosiła się była do mnie wielka deputacja leśników Królestwa z wielkiemi na to żalami, że władze z punktu widzenia odbudowy poprostu zamykają całe kom-

pleksy lasów i zabraniają ich eksploatacji ze szkodą nie tylko dla dochodów właścicieli, lecz i dla całej kultury lasowej, wymagającej wycięcia pni starszych. Obiecałem deputacji, że skoro jeszcze doczekam jednego posiedzenia Komitetu Ekonomicznego, wniosę tam ich sprawę i zaproszę ich do udziału w naradzie. Było to jednak niestety już niemożebne; pozostawiłem tylko notatki w aktach... Druga przeszkoda w eksploatacji była natury niejako syngularnej i lokalnej. Oto mianowicie w Małopolsce zachodniej (wschodnia a raczej wschodnio-południowa jest jak wiadomo stepem bezleśnym), zaczęto wykonywać błędnie ustawę polską o dostarczaniu paliwa i budulca ludności wiejskiej bezleśnej. Na Komitecie Ministrów biadał wicem. Chmielewski często i donośnie, że generalny delegat we Lwowie, p. Kazimierz Gałecki (mój dawny urzędnik ministerjalny), wydaje sprzeczne z ustawą rozporządzenia na szkodę lasów i ich właścicieli. Dochodziły nas też skargi ustne i pisemne właścicieli lasów tej treści, że p. delegat, chętny stronnictwu ludowemu — co było jego prawem politycznem — każe im dla ludności wiejskiej dostarczać po cenach minimalnych drzewo i budulec w ilościach przekraczających wielokrotnie istotną potrzebę i prowadzących do handlu lichwiarskiego na miejscu. Naturalnie, że taka gospodarka en detail nie dała rozwinąć się wielkiej produkcji i wielkiemu handlowi. Komitet Min. postanowił wtedy udać się do Rady Min. i żądać wydania zleceń co do stosowania ustawy leśnej polskiej, dla Małopolski, której p. delegat nie uznawał. Sprawę wówczas odrzucono z uwagi na zamierzoną w najbliższym czasie organizację wojewódzką w Małopolsce. Ale organizacja ta dopiero podobno z końcem 1921 r. weszła w życie; a ile tymczasem przez dwa przeszło lata uroniło się towaru leśnego dla Polski i jej waluty, nie umiem naturalnie ocenić. Wówczas nie zasypialiśmy sprawy w Komitecie Ekonomicznym i w Sejmie. Dowiedziawszy się, że komisja sejmowa rolnicza wnosi na posiedzenie komisji skarbowo-budżetowej swoją uchwałę o zakaz wywozu drzewa bez zgody komisji rol-

niczej; udałem się więc na to posiedzenie i zdołałem wyjednać odroczenie uchwały, niemniej prowadzenie dalszych studjów. Później powiodło się wicem. Chmielewskiemu wespół z min. robót publicznych porozumieć się z komisją sejmową co do organizacji handlu drzewnego. O dalszym losie sprawy tej tyle mi tylko wiadomo, że mój następca stworzył przy min. skarbu osobny „Urząd drzewny". Na szczęście następca jego znowu p. Steczkowski wypowiedział pożądaną bardzo dla skarbu polskiego wojnę przeciw wszelkim „urzędom" przybocznym.

Jeszcze jedną wielką sprawę ekonomiczną z dziedziny prac Komitetu Ekonomicznego Ministrów pragnę przypomnieć: sprawę sztucznych nawozów. Wiadomo, że depekoracja terminów wojny sprowadziła ciężki i długotrwały brak nawozów zwierzęcych. Nie zawsze i nie wszędzie da on się zastąpić nawozami sztucznemi; ale jeżeli gleba, choćby najlepsza, niema z czasem stać się bezpłodną — a nawet w Poznańskiem okazał się ubytek w urodzajności ziemi — należy się starać o nawozy sztuczne. Ztąd to już za czasów austrjackich staraliśmy się, jak opowiadałem, o stworzenie fabryki nawozów sztucznych, a owocem tych starań jest „Azot" w Borkach, której to fabryki wykończenie zostało umożliwione dopiero przez moją pomoc w ministerstwie skarbu polskiego. W jesieni 1919 r. poruszył min. Chmielewski na Komitecie potrzebę sprowadzenia sztucznych nawozów z Anglji. Zabraliśmy się tedy gorliwie do studjum przy pomocy zaproszonych ad hoc przedstawicieli syndykatu rolniczego, zwłaszcza znakomitego prezesa Chrzanowskiego i postanowiliśmy w końcu ofiarować jako gwarancję rządową sumę niespełna 1 milj. funtów szterl. Syndykat miał na podstawie skryptu gwarancyjnego rządu polskiego zakupić w Londynie na kredyt nawozów w ilości potrzebnej, przewieść je via Gdańsk na czas do Polski, i wkońcu rozdzielić je na wiosnę 1920 r. na wszystkie części Polski znowu na kredyt za skryptami, mocą których każdy rolnik zobowiązuje się tytułem ceny kupna za nawóz dostawić syndy-

katowi odpowiednią ilość wyprodukowanego przy pomocy nawozu cukru lub krochmalu. Temi to towarami miał w końcu być in natura spłacony dług angielski. Była to konstrukcja ściśle naukowa i nadzwyczaj dokładna, polegająca na stosunku między ilością użytego nawozu do nadwyżki uzyskanych przez ten nawóz gotowych produktów. Ilość nawozu, wyrażona w powyższej sumie gwarancyjnej, zasilona ponadto produkowanemi w Poznańskiem nawozami, miała na jeden rok starczyć na pierwsze uzdrowienie ziemi polskiej. Na komitecie zdołałem jeszcze przeprowadzić potrzebne uchwały, a tylko skrypt gwarancyjny nie mógł już być wygotowany aż do chwili mego ustąpienia: odchodząc więc w sobotę (13/12) poczyniłem skuteczne starania, ażeby mój następca podpisał skrypt gwarancyjny w poniedziałek, co się też stało istotnie. O ile mnie doszły wiadomości, nawozy z owego obstalunku nadeszły były dopiero na wiosnę 1920 r. Tymczasem i produkcja „Azotu“ rozwinęła się mocno.

A na zakończenie jeszcze jedna niezmiernej wagi sprawa: zaopatrzenie armji, w płaszcze, mundury i obuwie. W ciężkich warunkach walczyła nasza świetna armja na kresach wschodnich w jesieni 1919 r. Przedwczesne mrozy zastały ją prawie nagą i bosą, jak ongiś armję pierwszej rewolucji francuskiej. Ale nie można powiedzieć, żeby rząd nie troszczył się o dostarczenie potrzebnych przyborów; trudności polegały głównie na braku towarów w kraju i uciążliwem sprowadzeniu ich z zagranicy. Jak wspomniałem, zastałem przy objęciu ministerstwa misję wojskową w Paryżu pod kierownictwem jenerała Romera. Bawiąc w Warszawie, wyrachował się on przedemną z wielkich sum, wydanych — naturalnie na kredyt — we Francji; a jednak Naczelnik Państwa, zawezwawszy mnie do siebie w towarzystwie ministrów Wojciechowskiego i Skrzyńskiego na nocną konferencję, kazał nam przedstawić przez ówczesnego wiceministra (późniejszego ministra) Sosnkowskiego stan zapasów ubrania wojskowego i ich braków. Braki te okazały się istotnie zatrważającemi. Od tej chwili poczęliśmy przeto

z mniejszym lub większym skutkiem poszukiwać materjałów w Londynie, Berlinie, Rzymie i Wiedniu, (tu z pobudek politycznych niestety najmniej, jakkolwiek było tam najwięcej zapasów i po najniższych cenach) Po za Wiedniem najłatwiej jeszcze, acz najdrożej można się było zaopatrzeć w Paryżu. Zaraz po owej konferencji otworzyłem generałowi Romerowi nowy kredyt w wysokości 75 miljonów franków; zanim zaś generał wyjechał do Paryża przybył do mnie do domu wraz z pp. Skrzyńskim i Sosnkowskim z usilną prośbą o wydanie mu 13 czy 15 miljonów franków na zakupno za gotówkę pewnych tańszych z tego powodu mundurów. Mimo niesłychanych trudności walutowych poleciłem zaraz telefonicznie p. Manteufflowi, ażeby na moją odpowiedzialność kazał Kasie pożyczkowej ściągnąć potrzebne waluty lub dewizy w ratach do 3-ch tygodni. Ale p. Sosnkowski poczynił po owej konferencji na własną rękę kroki, do których się czuł upoważniony obecnością moją u Naczelnika Państwa. Przedstawił on listownie marszałkowi Foch'owi trudne położenie armji, z prośbą o jak najszybsze zaradzenie. To pomogło. Gen. Romer nie był dobrze zapisany w zarządzie armji francuskiej, bo miał dobry, mojem zdaniem, obyczaj szukania towaru taniego i targowania się o drogi. Tego nie lubią Francuzi wogóle, a ich armja w szczególe jeszcze mniej. Wspomniałem już, że Francja jedyna w Europie kocha nas szczerze w dziedzinie politycznej; ale na polu gospodarczem kocha więcej siebie samą, jest tylko i wyłącznie kupcem. W lot pochwycił sztab francuski sytuację, przedstawioną przez sztab polski. W odpowiedzi zaofiarowano nam towaru poddostatkiem, ale po cenach bardzo drogich.

O tej korespondencji nic nie wiedziałem i czułem się tem trochę dotknięty: wiedział o niej trochę min. Skrzyński, któremu zrobiłem wyrzut, że mnie nie uprzedził. Tymczasem, było to ile pomnę pod koniec września — gen. Sosnkowski zapowiedział telefonicznie swoje przybycie na Komitet ekonomiczny ministrów. Posiedzenie to było iście historyczne, choćby tylko

z tej przyczyny formalnej, że wiceminister wojny przybył na nię z orszakiem najmniej 25 oficerów. Zabrał tedy głos p. Sosnkowski, odczytał obszerną i bardzo szczegółową korespondencję z Paryżem i zakończył wystosowaną do mnie prośbę o przyznanie potrzebnych kredytów. Minister Skrzyński radził, bym je przyznał stante sesione. Tego odmówiłem i zająłem stanowisko wprawdzie nie wprost odmowne, ale tak stanowcze z punktu widzenia kontrolującego ministra skarbu, że gen. Sosnkowski po posiedzeniu widział się spowodowanym do tłumaczenia się przedemną. Samo zaś posiedzenie zakończyłem oświadczeniem, że sobie rzecz całą przez noc rozmyślę i że proszę generała o przysłanie mi na drugi dzień rano swoich referentów.

Rzecz to była jak zaraz wykażę, wcale nie bagatelna: chodziło bowiem o nowy kredyt 75 mil. franków! Przed konferencją poranną sądzili moi doradcy urzędowi, że należałoby wobec min. wojny traktować rzecz dylatoryjnie. Wytłumaczyłem im, że to z punktu widzenia państwa jest niedopuszczalne. Nadeszli reprezentanci min. wojny i usłyszeli odemnie decyzję: kredyt gen. Romera będzie cofnięty, o ile dotyczy samych ubrań wojskowych (nie broni, koni itp.); ministerstwu wojny otwieram kredyt 75 mil. fr.; na razie 50 milj. fr.; na rachunek tego kredytu policzoną będzie gotówka przyznana Romerowi. Akt będzie dziś u mnie wypracowany, przesłany do przejrzenia gen. Sosnkowskiemu, a w razie jego zgody może w dniu jutrzejszym odjechać do Paryża kurjer z moim i ministra wojny reskryptem. Jen. Sosnkowki akt mój podpisał, a na drugi dzień przybył do mnie osobiście z podziękowaniem. Kurjer odjechał owego dnia i obstalunek nastąpił zapewne do kilku dni. Że później rząd francuski z powodu sprawy pana Bastide zaczął sztucznie zwlekać z dostawą sprzedanych materjałów, o tem wspomniałem już wyżej. Że dalej powstały trudności przewozowe towarów przez Szwajcarję (z powodu kosztów przewozu) i przez Czechy (z powodów politycznych), tego nie mogę zaprzeczyć. Ale ostatecznie potrzebne dla armji materjały zostały przezemnie zaku-

pione i dostawione z Paryża. A stało się to we wrześniu, to znaczy — dodaję to dla pamięci historycznej — na długo przed końcem października, w którym p. Paderewski, powróciwszy z zagranicy, wywołał spór o własne swoje zakupy i spowodował tem wielkie przesilenie rządowe. Spotkamy się z tą sprawą w późniejszych rozdziałach.

Nie wątpię, że niejedna jeszcze sprawa nad którą radziliśmy w Komitecie, wyszła mi już z pamięci. Ale sądzę, że to co opowiedziałem, starczy za dowód, ile arcyważnych spraw ekonomicznych znajdowało się wówczas na porządku dziennym. Ale ile razy ostateczne ich załatwienie wydawało się utrudnionem, przez grożącą dymisję moją, i ile czasu musiałem poświęcać tym sprawom z niewątpliwą krzywdą dla spraw politycznych i dla ustalenia mego stanowiska politycznego! Sam sobie niejednokrotnie wyrzucałem, że nie utrzymywałem dość stosunków z kołami sejmowemi, a i z innej strony czyniono mi niezawodnie ten zarzut. Ale zarazem znowu zarzucano mi, iż jestem nieprzystępny dla stron prywatnych, że „Austryjacy“ w prezydjum min. skarbu nie dopuszczają do mnie nikogo! Nic niesłuszniejszego nad to! Jeżeli bowiem jeszcze do reszty zabrakło mi czasu do snucia myśli i rozmów politycznych, to działo się to właśnie z powodu nawału audjencji. Codziennie schodził mi prawie cały czas przedpołudniowy aż do godz. 2-ej na przeliczne posłuchania, którym się nie tylko nie opierałem, lecz owszem dodałem poparcia, bo nastręczały mi sposobność poznawania wszelakich sfer ludności i ich interesów. Ileż to spraw niesłychanie ważnych załatwiało się na tych audjencjach, gdy miasta (np. Łódź) żądały subwencji, gdy posłowie popierali zakładanie wielkich przedsiębiorstw (np. scentralizowanie sił wodnych dla elektryki w Małopolsce zachodniej), gdy wielka szlachta i wielcy finansiści przychodzili z projektami wielkich przedsiębiorstw fabrycznych, gdy przedstawiciele banków zanosili skargi walutowe, gdy urzędnicy przedstawiali swoje słuszne żale, gdy robotnicy ujmowali się za swemi kooperwatywami, gdy duchowieństwo domagało

się słusznie polepszenia swego losu i t. d. bez końca. Ponadto przybywali ciągle cudzoziemcy z projektami, jak Amerykanie ze sprawami humanitarnemi, Francuzi z projektem dzierżawy monopolu tytoniu, Włosi z projektem osobnej kolei towarowej włosko-polskiej — dalej posłowie zagraniczni, wysłannicy generała Judenica, adjutanci Naczelnika Państwa, kierownicy kresów wschodnich itd. Nie publiczność więc bywała pokrzywdzana, jeno właśnie współpracownicy moi w urzędzie, dla których nie mogłem często znaleźć chwilki wolnej lub używać bodaj tylko telefonu. A jużci nie wolno mi jeszcze zapomnieć, że tyle i tyle razy na tydzień musiałem brać udział: albo w pracach sejmowych czy komisyjnych, albo w posiedzeniach Rady ministrów, lub komisji plebiscytowej, albo wreszcie w innych poufnych konferencjach ministrów, bardzo często mnie odwiedzających. A już dla czytania i załatwiania aktów lub wcale listów nie było prawie czasu, acz jedne i drugie musiały znaleść drogę do mnie... Bóg jeden wie, że w tem drogiem sercu memu Państwie Polskiem nowo budowanem, gdzie kwestje skarbowe musiały decydować o wszystkiem, nie łatwy był los, nie łatwem było życie ministra skarbu! Ale najmniej ciężką była przecież praca w Komitecie Ekonomicznym ministrów; przeciwnie była ona tak owocną, że nawet w rokowaniach budżetowych, o których teraz mam mówić mniej mi robili trudności, więcej byli wdrożeni w zrozumienie interesów skarbu ministrowie, zasiadający w Komitecie, niż większość reszty kolegów.

D) Budżet i podatki.

W sprawie budżetowej zastałem stan następujący: niezałatwiony w Sejmie budżet na r. 1919 i niezałatwiony tamże projekt rządowy prowizorjum budżetowego na drugie półrocze 1919 r. Na pierwszem posiedzeniu Rady ministrów zaproponowałem, by z uwagi na całkowitą zmianę stosunków gospodarczych i finansowych w ciągu ubiegłych pierwszych 7 miesięcy roku, ułożyć jak najprędzej nowy budżet od 1/7 1919 r. do końca marca 1920 r.,

tj. na 9 miesięcy, poczem rok budżetowy miał się rozpoczynać zawsze, podobnie jak w Anglji od 1/IV każdego roku. System ten posiada w tem korzyść, że wydatków na budowy wiosenne, letnie i jesienne nie preliminuje się na ślepo w jesieni poprzedzającego roku, lecz w lecie i tuż przed rozpoczęciem sezonu budowlanego samego roku budżetowego, co daje gwarancję dokładniejszych cyfr potrzebnych. Rada ministrów przyjęła ten wniosek z dodaniem, że poszczególne ministerstwa mają przedłożyć swoje preliminiarze min. skarbu najdalej do 20 sierpnia, tak by Sejm mógł w sesji jesiennej zastać już budżet gotowy... Jeżeli się nie mylę, system ten został już tymczasem zniesiony i zastąpiony rokiem kalendarzowym.

Rozpoczęły się tedy prace budżetowe — nie powiem że pod szczęśliwą gwiazdą. Budżet na r. 1919 był dowolnem zestawieniem dowolnych grup cyfrowych: naturalny wynik pierwszej w nowem państwie próby pracy niedoświadczonych ministrów i ich urzędników. Zadaniem mojem było, ułożyć budżet na sposób europejski. Trudności jednak były tak ciężkie, że nie mogłem go dokończyć przed dymisją, zostawiając następcy znaczną część prac przygotowaną. Trudności spoczywały tak w min. skarbu, jak we wszystkich innych. W min. skarbu zastałem na czele sekcji budżetowej młodego, ale doświadczonego i wielce zdolnego Dra Zaczka (kierownik ministerstwa w gabinecie Artura Śliwińskiego w lipcu 1922), pełnego taktu i znajomości równie spraw jak aktów. Powagę wobec innych ministerstw musiał sobie dopiero zdobyć, a do pomocy miał tylko kilku wybitniejszych naczelników wydziału i nie dość licznych urzędników fachowych. Sekcji jego doskwierał nadto brak zorganizowanej rachunkowości, właściwej podwaliny prac budżetowych; dość powiedzieć że np. wysokość sumy płac urzędników lub kosztów rzeczowych urzędu, potrzeba było dopiero obliczać najrozmaitszemi sztukami. Brak ten pochodził przedewszystkiem z niedostatecznej liczby urzędników rachunkowych w ogóle: wszak w Królestwie nie była za czasów rosyjskich wykonywaną

rachunkowość kameralistyczna — z kupiecką skarb sobie nie zdoła dać rady — a z Małopolski nie można było dostać na wagę złota rachunkowca z czasów austrjackich. Za jednym z takich fachowców ubijałem się bezowocnie u prezydjum Najwyższej Izby Kontroli Państwa. Dopiero min. Michalski zorganizował rachunkowość z początkiem r. 1922. Ale brak powyższy stał także w związku z organizacją tejże Izby. W zacofanej (!) Austrji istniały w każdem ministerstwie, w każdem namiestnictwie, w każdej krajowej dyrekcji skarbu, poczt lub kolei, w każdem prezydjum sądu itd. odrębne fachowe departamenty rachunkowe. Miały one podwójne zadania i wskutek tego podwójne przełożeństwo. W ciągu roku stały pod naczelnikiem odnośnej władzy, jako jego zaufany i surowy zarazem organ kontrolny, jako jego własne sumienie tak przy układaniu budżetu, jak i przy tegoż stosowaniu pod względem wydatków a i dochodów. Szef urzędu mógł przy układaniu budżetu wstawić dowoli jakiś wydatek wyższy, ale departament rachunkowy był obowiązany przestrzedz go przed wydatkiem niepotrzebnym lub przesadnym; szef urzędu mógł pod swoją odpowiedzialnością przekroczyć pozycję budżetową, ale zazwyczaj cofał się przed uwagą departamentu, a raczej rozstrzygał ten spór z odnośnem biurem administracyjnem na korzyść kontrolującego departamentu. Ze sumy prac tych wszystkich departamentów całego państwa mogło ministerstwo skarbu czerpać dane faktyczne i sumienne tak dla prac budżetowych, jak dla ważnych rozstrzygnięć skarbowych. Mutatis mutandis odnosiło się to wszystko także do preliminarza dochodów, np. przypuszczalne dochody z podatków, z transportu, poczt itd... Drugie posłannictwo departamentów rachunkowych objawiało się przy centralnej kontroli całego państwa i wtedy stały one pod Najwyższą Izbą obrachunkową. Izba ta pracowała u siebie stale przez cały rok na podstawie cyfr dostarczanych przez min. skarbu; ale de casu ad casum, dla zbadania rzeczy ważnych lub szczegółowszego skontrolowania żądała wprost od departamentów rachunkowych sprawozdania lub wysyłała do nich

komisarzy, którzy wespół z departamentem rewidowali akta i rachunki odnośnego urzędu. Przy tej sposobności miano prawo, badania prócz cyfr także legalności w postępowaniu władz przy wydatkach lub dochodach! Ostatecznie zaś Prezydent Najw. Izby przedkładał sprawozdanie o stanie skarbu za rok cały najprzód cesarzowi, a potem z tegoż zgodą parlamentowi, któremu służyło prawo krytyki i ostatecznych uchwał merytorycznych.

Cały ten „system austrjacki" miał zapewne także słabe strony: często mówiono o jego reformie, ale w kierunku rozwoju dotychczasowego. W nowej Polsce nie przyjęto go oczywiście dlatego, że „austrjacki", a może dlatego, że w Rosji był system inny, który u nas zastosowano. U nas tedy żadna władza centralna czy pośrednia nie posiada departamentu rachunkowego, jako doradcy mentora i domowego kontrolora; natomiast Najw. Izba Kontroli państwa z Prezesem odpowiedzialnym przed Sejmem na czele, kontroluje wszystkie władze i instytucje państwowe przy pomocy zakładanych w większych miastach Wydziałów N. I. K. P., które ani na układanie budżetu odnośnej władzy ani na jej całoroczne postępowanie budżetowe żadnego wcale nie wywierają wpływu. N. I. K. P. jest więc tylko postrachem i jakby karzącym ojcem, ale wcale nie troskliwą zapobiegliwą matką. Już samo to urządzenie, za moich czasów jeszcze nie rozwinięte — nie było jeszcze ani jednego wydziału Izby — utrudniało bardzo prace budżetowe i ministerstwom resortowym i ministerstwu skarbu, zwłaszcza że żadne z nich nie posiadało budżetów dawniejszych do porównania i orjentacji.

Dalsze trudności w układaniu budżetu wychodziły od samych ministerstw. Większa ich część spóźniła się z przedłożeniem preliminarza znacznie po za drugą połowę sierpnia. Inne, acz późno, przedłożyły preliminarz znośny jako podstawa do układów z ministerstwem skarbu. Tak przyszły do skutku budżety: rolnictwa i robót publicznych, a i sprawiedliwości i sztuki. Wszyscy ci czterej ministrowie, nie doszedłszy do zgody z sekcją budżetową

przybyli do mnie. Dwaj pierwsi jako członkowie Komitetu ekon. Ministrów, zrozumieli odrazu potrzebę ustępstwa; dwaj drudzy przekonali mnie o uzasadnieniu niektórych ze swoich żądań. Typem ministerstwa, nieobytego z obyczajami europejskiemi było min. oświecenia i wyznań. Po bezowocnych próbach w sekcji przybył do mnie p. minister Lukasiewicz z dwoma szefami sekcji: dla uniwersytetów i dla szkół przemysłowych fachowych. Sam minister bardzo uprzejmy i delikatny, ale jego radcy wychodzili z założenia, że min. skarbu, nie rozumiejąc fachowo spraw oświaty nie może decydować o odnośnych zarządzeniach czy cyfrach. A wszakżeż w takim razie p. min. oświaty byłby zarazem ministrem skarbu. W towarzystwie szefa Dr. Zaczka i naczelnika wydziału radziłem dłuższy czas z ministrem oświaty i jego dwoma panami. Ale ci ani litery czy cyfry nie chcieli opuścić ze swoich projektów, a ministerstwo nie miało odwagi, choćby jednem słowem nakłonić ich do ustępstw lub wcale samoistnie uczynić ustępstwo. Układy się rozbiły, zaczem według przyjętych w Europie form budżet, który nie przyszedł do skutku w układach z sekcją budżetową ani w wyższej instancji w układach z ministrem skarbu, musiał być podyktowany ostatecznie przez ministra skarbu. A ponieważ głównym przedmiotem sporu były szkoły fachowe, wystosowałem według wniosku wiceministra Byrki obszerną do ministra oświecenia notę, w której szczegółowo uzasadniłem potrzebę i dopuszczalność takich i takich skreśleń na przyszły rok budżetowy. Cyfry te z mojej noty utrzymały się naturalnie w budżecie, przedłożonym Sejmowi już przez mego następcę. Ale wówczas sprawa nie została jeszcze tą notą załatwiona, ponieważ ministerstwo oświecenia czuło się w prawie „bronienia od zamachów“ ze strony ministra skarbu. Taki to jeszcze brak autorytetu panował w ministerstwach, których szefowie nie zasiadali w Komitecie Ekonomicznym Ministrów.

Ministerstwo oświecenia najpierw puściło do dzienników wiadomość, że minister skarbu „zabija“ tak potrzebne dla przemysłu naszego szkoły fachowe. Na wiadomość o tem komisja

skarbowo-budżetowa, obradująca przypadkowo, zażądała od ministerstwa skarbu wyjaśnienia. Poruczyłem wiceministrowi Byrce, który przedstawił osobiście obszernie fakta: że ministerstwo oświecenia bez wiedzy ministra skarbu upaństwowiło na rok szkolny 19/20 kilkaset szkół fachowych prywatnych, że równie samowolnie przyznawało dyrektorom i naczelnikom, dotychczas prywatnym, płace szefów sekcji i radców ministerjalnych, że zabrało na własność państwową także budynki prywatne, nie troszcząc się ani o ich stan techniczny, ani o stosunki prawne i że tym sposobem powstał naraz wydatek kilkudziesięciu miljonów marek, które minister skarbu chce najpierw skontrolować i przerachować, a potem rozdzielić stopniowo na kilka lat z rzędu. Komisja wysłuchała sprawozdania z zadowoleniem bez żadnych — rzecz jasna — uchwał. I to jednak nie starczyło jeszcze opornym doradcom ministra oświecenia! Z powodu jakiejś innej kwestji szef sekcji dla szkolnictwa fachowego, będąc obecnym na komisji skarbowo-budżetowej, wniósł poprostu formalną na mnie skargę do komisji! Po ponownem wyjaśnieniu podobno szefa sekcji Zaczka — już nie byłem obecny, nie mogąc wiedzieć, co zajdzie — komisja znowu nic nie uchwaliła, boć budżet musi bez tego przyjść pod jej obrady; ale prezes komisji, wcale dla mnie nie przychylny poseł Głąbiński, uważał jednak za stosowne pouczyć ministerstwo oświaty, że budżet nie może inaczej przyjść do skutku, jak w sposób przezemnie wprowadzony... A teraz ja znowu nie dałem zaspać sprawie, bo dowiedziawszy się o zajściach na komisji, poruszyłem rzecz całą na najbliższej Radzie ministrów. Połączyłem ją ze skargą na jeszcze dowolniejsze postępowanie ministerstwa oświecenia, które bez wiedzy ministra skarbu a i komisji skarbowo-budżetowej, wniosło i przeprowadziło na komisji podwyższenie płac wszystkich nauczycieli ludowych w Państwie kosztem licznych miljonów, których minister skarbu nie mógł już zwalczać skutecznie. Po

długiej dyskusji Rada ministrów poleciła zacnemu i uczonemu ale bardzo chwiejnemu ministrowi oświaty, ażeby się wypadki, jak ostatnie, nie powtarzały i żeby szefowi sekcji dla szkół przemysłowych — wielkiemu zresztą fachowcowi — wyraził naganę za samowolne wznowienie sporu w komisji.

Tak szły rokowania budżetowe aż do mego ustąpienia. Tym sposobem prowadził je zapewne i nadal szef sekcji Dr Zaczek (później „dyrektor departamentu" według systemu rosyjskiego) za czasów mego następcy, któremu wreszcie uchwalono budżet w Sejmie — ze strasznym niedoborem, wynikiem wojny polsko-bolszewickiej. To też nie śmiem wcale twierdzić, że ja byłbym już dziś uzdrowił budżet! Położyłem tylko dla tego celu dwie podwaliny: formalne postępowanie, oparte na „dekalogu" i opracowanie dwóch najważniejszych podatków, dochodowego i spadkowego. Swoją drogą, zastałem już prace przygotowawcze daleko posunięte przez szefów sekcji: Birkfelnera dla podatku dochodowego i Dra Kozubowskiego dla podatku spadkowego, moich dawnych znakomitych urzędników z ministerstwa wiedeńskiego. Podatek spadkowy był już przed mojem przybyciem przedmiotem obrad sejmowych; ale ustawa odnośna nie uzyskała zgody Sejmu, który zażądał zasady progresji. Jakkolwiek żądanie to nie zgadza się z teorją skarbową, sądziłem, że trudno się sprzeciwić dzisiaj obramowaniu socjalnemu nawet przy podatku nie czysto bezpośrednim. Mój następca mógł przeto wkrótce po objęciu urzędu przedłożyć nowy projekt ustawy o podatku spadkowym progresyjnym, którą też uchwalono z terminem wstecz od 1 stycznia 1920 r. Podatek dochodowy natomiast przerobiłem i sam i wespół z szefem sekcji bardzo szczegółowo i sądzę, że ustawa, którą już także uchwalono w Sejmie, będzie ozdobą ustawodawstwa skarbowego polskiego. Byle ją tylko skrupulatnie wykonano. O podatku majątkowym wspomniałem już przy omawianiu waluty.

E) Kredyt państwowy.

Nowo powstające wśród wojny państwo, bez skonsolidowanych urządzeń podatkowych, musi nabyć niejako obywatelstwo między równemi sobie państwami przez oparcie się o kredyt. Tak było i z Polską. Każda dzielnica zjednoczonej Polski posiadała odrębne ustawy podatkowe o nierównym stopniu ciężaru i pojętości; w czasie przejściowym podatki te wpływały słabo, w Małopolsce raczej na ręce Polskiej Komisji Likwidacyjnej, w Poznańskiem jeszcze na rzecz Prusaków. Nie było przeto w skarbie warszawskim więcej gotowizny, jak z poborów dawnych rosyjskich; a że ogołocone przez okupantów targi krajowe musiały być w początkach zastępywane zagranicznemi, więc, jak już opisywałem, poszczególni ministrowie rozpoczęli od pożyczek towarowych za granicami Polski. Na potrzeby w walucie krajowej służyły wyniki zaciągniętego zaraz w początkach państwa długu bieżącego w formie jednorocznych (od 1 listopada 1918 bieżących) 4%wych obligacyj, z których mimo sabotażu z opozycyj przeciw rządom socjalistycznym, wpłynęła znaczna jak na owe czasy suma $1^1/_2$ miljarda marek. A świat kupiecki tak polubił z czasem te obligacje jako sposób lokowania przemijających zapasów gotowizny, że w rok później Związek banków przysłał do mnie deputację z prośbą, bym nie wykupował tych bonów, jak to w rzeczy samej było moim zamiarem na wypadek unifikacji banknotów. Z powodu opóźnienia tej unifikacji kazałem bankowi biletowemu prolongować bony na $^1/_2$ roku, co publiczność chętnie przyjęła: publiczność prywatna z patrjotyzmu, jak świadczył list otrzymany od damy nieznajomej, ofiarującej dobrowolną dla Ojczyzny prolongatę — banki dla interesu. Tylko że wszystkie banki warszawskie, niejednokrotnie jeszcze naiwne w sprawach kredytu państwowego — Rosja ich nie kształciła w państwowości — pomieszały przeznaczenie bonów jednorocznej pożyczki bieżącej z powołaniem niskooprocentowanych „bonów kasowych“ (bons du trésor), wydawanych przez rząd stale na trzymiesięczne najwyżej terminy, celem ściągania z targu

pieniężnego i oprocentowania zapasów kasowych krótkoterminowych świata kupieckiego dla przemijających potrzeb skarbu. Wszak na targach rozwiniętych spotyka się często oferty zapasów „pływających“ (flottant) na 2 lub 3 dnie za najdrobniejszym procentem. Na takich targach wdraża się obrót bonów skarbowych z terminem 2- lub 4-tygodniowym: kupcy chętnie kupują takie bony, opłacają n. p. 2% pro rata temporis i prezentują je w dniu zapadłości skarbowi, który tymczasem przez emisję bonów otrzymał zaliczkę na zapadłe już n. p. raty podatkowe. Emisja takich bonów stała w programie moim kredytowym na pierwszem miejscu. Ministrowie Steczkowski i Michalski wprowadzili je istotnie ze skutkiem. Owe zaś 4% obligacje pożyczki z r. 1918 zostały w r. 1920 wykupione przez min. Grabskiego z wielkiej pożyczki wewnętrznej.

Wszystkie dalsze moje plany kredytowe stały w związku z akcją walutową, a w drugim rzędzie dopiero z budżetem. Miałem na myśli pożyczki wewnętrzne dobrowolne, a w najgorszym razie przymusowe, przedewszystkiem na spłatę dalszej części zbędnej banknotów niepokrytych złotem lub wekslami, o ile nie wykupiono ich z 2% podatku od banknotów wymienionych. Zapewne, że było to w czasie, gdy inflacja nie przybrała była jeszcze rozmiaru katastrofalnego; ale i na ten ostatni wypadek był w zanadrzu 20% podatek majątkowy ogólny. Pożyczki tej nie zaciągnąłem, nie tylko dlatego, że wymiana banknotów nie była jeszcze technicznie możebną, ale także dla fizycznego braku czasu. W ciągu roku 1920 przeprowadził pożyczkę wewnętrzną mój następca Grabski ze skutkiem dość pomyślnym, podobno w wysokości 8-miu miljardów marek i także projektowane przezemnie dwie formy, obligacyj i losów, przyjęto z niejaką co do losów zmianą. Mimo to popełniono przy tych emisjach pewne błędy zasadnicze. Najprzód dozwolono, a nawet polecano zastaw (lombard) nowych obligacyj w P. K. K. P. Naśladowano tem „znienawidzoną Austrję“ tam, gdzie najmniej zasługiwała na zaszczyt przykładu. Lombard obli-

gacyj wojennych w banku austro-węg. był pierwszym powodem faktycznego bankructwa Austrji. Pożyczka wewnętrzna ma tylko o tyle rację ekonomiczną, o ile społeczeństwo może państwu wypożyczyć część swoich kapitałów starych czy też nowo zaoszczędzonych: w położeniu tem była niezawodnie Polska i jest dziś, mimo 7-mio letniej wojny, bo i wojna raczej powiększyła zapasy kapitałowe, acz je społecznie przesunęła. Jak tedy kapitalista, chcący wypożyczyć pieniądze rządowi w drodze subskrypcji na obligacje, mobilizuje swoje kapitały ruchome i nieruchome czy mianowicie część ich pozbywa się lub zastawia, to rzecz jego wolnej decyzji. Społeczeństwu zależy przy tem tylko na jednej rzeczy: żeby przy tej sprzedaży lub przy tym lombardzie obracał się kapitał za kapitał, albo przynajmniej nowe obligacje za kapitał. Kapitalista może więc nie tylko swoje dawne kapitały, lecz także przyszłe swoje obligacje rządowe, które w chwili emisji są tylko kawałkiem odrukowanego papieru, zastawić w momencie ich objęcia, byle tylko ta pożyczka była mu udzieloną w kapitale i z dawnego kapitału. A to następuje zawsze, z wyjątkiem jednego wypadku: jeżeli zastaw następuje w banku biletowym, albo choćby banku prywatnym, któremu służy prawo lombardu tych nowych obligacyj w banku biletowym. Tu następuje szkoda lub nawet katastrofa dla społeczeństwa. Czy mianowicie z nowo emitowanemi obligacjami rządowymi udaje się do banku biletowego sama strona prywatna subskrybująca, czy bank prywatny sam subskrybujący lub pomagający lombardem stronie prywatnej, w każdym wypadku następuje główne zło: że pożyczka nie zostaje wypłaconą z kapitału, jeno z nowych środków obiegowych, wydanych przy tej sposobności przez bank biletowy. To znaczy innemi słowy: jeżeli P. K. K. P. jest zobowiązaną a choćby tylko uprawnioną do lombardowania nowo emitowanych obligacyj rządowych, to właściwie ona sama udziela rządowi pożyczkę w nowych banknotach, to jest to samo, jak gdyby Sejm zezwolił na nową pożyczkę w banknotach. Ta ostatnia forma pożyczki jest z pew-

nością najszkodliwszą, a każda inna lepszą, bo przynajmniej nie jest oprocentowaną i nie wymaga długich i ciężkich zabiegów. Wydawać wszakże z wielkim nakładem czasu i pieniędzy i rzekomo dla uniknięcia nowych emisji banknotów oprocentowane obligacje na to, ażeby się one w 80%-ach przemieniły w banknoty niepotrzebne dla obrotu, więc zgubne dla społeczeństwa, to chyba już kombinacja najfatalniejsza! A tak było z naszą pożyczką z r. 1920; jeżeli istotnie wydano jej 8 miljardów, to osiągnięto faktycznie tylko 1.600 miljonów kapitału; reszta 6.400 miljonów przemieniła się w banknoty nowe, nie fundowane ani na złocie, ani na interesach kupieckich i pomnożyła tylko znacznie zgubną inflację. I to był pierwszy główny błąd, że zamiast zabronić P.K.K.P. lombardowania pożyczki nowej, przynajmniej przez rok od ukończenia subskrypcji, ogłoszono ten lombard jako dozwolony przywilej subskrybentów. Z pobudek patrjotycznych nie odezwałem się z tem nigdy publicznie; ale dziś wolno mi to powiedzieć dla przestrogi na przyszłość!

Były jeszcze inne błędy, acz nie tak znaczne. Pożyczka wymaga bezsprzecznie propagandy; ale zadanie to nie przypada nigdy samym władzom skarbowym, bo na to są banki i dzienniki! Wyobrażałem sobie, że zaproszę sobie dyrektorów wszystkich banków na kilkudniową konferencję dla omówienia sprawy pożyczki. Naturalnie, że banki nie przeprowadzą emisji za darmo; ale prowizja ich da się określić stale i zmniejszyć nawet na razie przez przyznanie im kursu emisyjnego niżej pari, odpowiadającego bieżącej stopie procentowej. Na pytanie bowiem, czy należy silniejszy kłaść nacisk na stopę procentową czy na kurs emisyjny, odpowiada nauka, że dla zaoszczędzenia kapitału pożyczkowego i dla możności przyszłej konwersji należy dążyć do oprocentowania zbyt niskiego, że jednak i dla ułatwienia przyszłej konwersji i dla dodania bodźca emisji należy i przy kursie niżej pari dać „marge“ odpowiednią dla banków i dla publiczności. Tak można

bez zbytnich kosztów emitować pożyczkę łatwo, ustanawiając kurs objęcia pożyczki i kurs jej emisji poniżej pari; tak też można ustanowić bliski termin dla ukończenia emisji... Tych wszystkich wskazówek nauki i praktyki europejskiej nie uwzględniono w Polsce r. 1920 ani też później za czasów p. Jastrzębskiego! Zamiast oddać pracę biurokratyczną przy pożyczce naczelnikowi odnośnego wydziału w ministerstwie skarbu, a pracę techniczną konsorcjum banków, utworzono obok ministerstwa wielki i kosztowny „Urząd pożyczkowy“ z prezesami, wiceprezesami i dygnitarzami bez końca, z olbrzymim, niezawsze nawet odpowiednim personalem i rozpoczęto najniemożliwszą, prawie dziecinną, a na każdy sposób miljony pochłaniającą propagandę, podcinając jej zarazem skrzydła przez ustanowienie jednolitego kursu al pari! Czy wiadomy dziś kurs targowy tych papierów? W cedułach kursu giełd warszawskiej i krakowskiej nie widać ich wcale!! A cóż to za renta państwowa, której kurs nie daje zagranicy wskazówek co do sytuacji politycznej państwa? I jakżesz może się kiedyś przygotować konwersja?!

O ile, jak widać z powyższego szkicu, w sprawie pożyczki krajowej mogłem pozostawić po sobie tylko program jej emisji, to co do pożyczki zagranicznej danem mi było akt cały przeprowadzić, acz później i na tem polu dotknęła mnie ciężka krzywda. Już w chwili objęcia urzędu zastałem na porządku dziennym myśl pożyczki złotej, głównie dla celów walutowych. Było to w końcu sierpnia lub w początku września 1919 r., gdy się do mnie zgłosił prezes Związku banków, dyrektor Banku Handlowego p. Karłowski. Wyszedłszy z galicyjskiego Banku Krajowego (założonego pod moim jako ministra skarbu austr. patronatem), którego filję prowadził w Krakowie, stanął on odrazu na czele pierwszych instytucyj warszawskich, nie tyle dla umiarkowanych — sądzę — zdolności swoich, ile dla manier rzekomo eleganckich i form wielkopańskich, a może i dla ko-

neksyj swej małżonki księżniczki Ponińskiej (córki ks. Aleksandra, ongiś dzielnego, podwładnego mi dyrektora skarbu w Krakowie). Charakterystycznem było żądanie p. Karłowskiego w prezydjum ministerstwa, by mu na uproszonej u mnie pierwszej audjencji zarezerwowano z góry dwie godziny czasu! Ponieważ żądanie to było w obec natłoku zgłoszeń niewykonalne, przeto się audjencja opóźniła kilkanaście dni, widocznie dla uspokojenia dotkniętej ambicji. Ale w końcu przybył do mnie, znalazł sporo czasu dla uprzejmej obopólnie rozmowy i przedstawił mi obszerny memorjał w sprawie pożyczki angielskiej. Bo trzeba wiedzieć, że p. dyrektor jest anglomanem i chętnie wyjeżdżał za granicę w sprawach finansowych na koszt Związku banków. Rozumie się samo przez się, iż ja także nie byłem przeciwnikiem Anglji, zwłaszcza w owych czasach, gdy nam Lloyd George nie był jeszcze zalał tyle sadła za skórę, jak później. Obiecałem zatem zająć się pilnie memorjałem.

Ale lektura jego nie zdołała mnie niestety rozentuzjazmować. Jako „skończony“ już wówczas „Królewiak“ p. dyrektor podsunął bankom angielskim pierwszy warunek walutowy: wykupno korony austrjackiej po 50 fenigów. Tak marzyli i pragnęli Królewiacy zniszczyć przebrzydłych „Galileuszów“, odbierając im połowę majątku. Toż w tem świetle nietrudno zrozumieć późniejszą nienawiść Warszawy dla mojej osoby, gdy za moich rządów a raczej zdaniem „ekonomistów“ warszawskich dzięki moim rządom wartość korony doszła na targu do 80 fen. (na 100 doszła dopiero po mojem ustąpieniu!) Nie potrzebuję dodawać, że już ten pierwszy warunek nie mógł mnie zbyt przychylnie usposobić dla projektu londyńskiego. Pożyczka miała dalej być oprocentowana po 8 od sta przy kursie emisyjnym nieznanym. Na taką lichwę Polska nie zasłużyła w owych przynajmniej czasach, kiedy wojna wschodnia nie sprowadziła była jeszcze strasznej inflacji banknotów. Na domiar tego wszystkiego miał być z ramienia kapitału

angielskiego ustanowiony kontrolor u boku ministra skarbu! To mnie ostatecznie poróżniło z projektem angielskim. Wiedziałem wprawdzie, że pan Paderewski ślepo oddany Zachodowi, nie widział nic zdrożnego w takich kontrolerach czyli „doradcach", jakich n. p. dodał ministerstwu kolei (Anglika) i aprowizacji (Amerykanina). I mnie też pewnego razu zrobili podobną propozycję jacyś projektanci angielscy, na co im krótko odpowiedziałem, że jestem ministrem Polski niezawisłej i nigdybym się nie zgodził na podobne upokorzenie. Boć można sobie wyobrazić jaką rolę musiałby odgrywać minister skarbu obok kontrolora kapitałów zagranicznych: minister jest n. p. właśnie w toku zezwolenia nowych wydatków na uniwersytety, albo na dotacje biskupstwa, albo na zdobycie siły wodnej dla elektryki, a tymczasem pan kontrolor znajduje, że właśnie tyle mu będzie brakowało do pokrycia pełni należnych procentów, ile wynoszą zamierzone wydatki. I któż rozstrzygnie spór? I czy taki minister byłby nim jeszcze istotnie?!...

To też przeczytawszy pilnie memorjał, znalazłem go nie do użytku i oddałem go pp. Manteufflowi i jego referentowi do przejrzenia i złożenia do aktów. A z p. dyrektorem Karłowskim pomówiłem o tem przy późniejszej stosownej, jak zobaczymy, sposobności. W mowie sejmowej zaś oświadczyłem otwarcie bez podania bliższych szczegółów, że jak długo kapitał zagraniczny będzie nam dyktował warunki upokarzające, będziemy musieli wyrzec się jego pomocy. I ten właśnie ustęp mej mowy niezadowolił „Paryża", jak to opowiadał po swoim powrocie ztamtąd p. Paderewski, który przyzwyczaiwszy się do padania plackiem przed Ententą w sprawach najważniejszych dla Polski (Gdańsk, oba Śląski, Galicja wschodnia), uważał naturalnie za swój obowiązek myśleć zaraz o mojem usunięciu.

Nie myślałem też od owej lektury o dalszych próbach pożyczki zagranicznej i byłbym dłużej pozostał w tem usposobieniu, gdyby nie właśnie p. Paderewski, od którego otrzyma-

łem w początkach Października list z Paryża, gorąco popierający projekt jadących właśnie do Warszawy Amerykanów pp. O'Laughlin'a i towarzysza Patschina co do udzielenia pożyczki dolarowej Polsce. List podobny otrzymał i minister Skrzyński, do mnie zaś wystosowane pismo zawierało jeszcze odpis telegramu wicedyrektora „National City Bank" w Nowym Yorku p. Samuela Mac Robertsa z poparciem propozycyj tych panów, z którymi według wyraźnych słów p. Paderewskiego należałoby zawrzeć umowy ile możności „bezzwłocznie". Tak, te listy jak inne liczne dokumenty, odnoszące się do wielkiej, prawie historycznej tej sprawy, podaję tutaj w autentycznem brzmieniu dla wiecznej pamięci*).

Amerykanie zgłosili się do mnie, zrobili stosownie do pism polecających pp. ambasadora Gibsona i sekretarza stanu Lansinga najlepsze wrażenie, jako dawni mężowie stanu, i przedstawili swój projekt na konferencji, w której wzięli udział: wicemin. Byrka, szef sekcji Manteuffel, jeden z dyrektorów P.K.K.P. i na moją prośbę radca min. spr. zagr. Perłowski, jako znakomity znawca języka angielskiego. Mówiliśmy po francusku. Musiałbym zapisać całą książkę, chcąc przedstawić szczegółowo prace 3-tygodniowe, aż do dnia 30 października 1919 r.; podam więc tu tylko główne zarysy. Goście moi byli wysłannikami towarzystwa pod nazwą „The peoples industrial-Corporation of the United States" założonego pod protektoratem słynnego miljardera, bardzo „chrześcijańskiego" — muszę to podkreślić — p. Rockefellera specjalnie dla przeprowadzenia pożyczki polskiej; że prezesem Corporation był „żyd" — naturalnie amerykański — p. Rosenbaum, tegośmy wtedy ani nie wiedzieli ani nie bylibyśmy się też bardzo tem martwili. Technika finansowa miała spoczywać w ręku jednego z największych i najsłynniejszych banków nowojorskich, „National City Bank", którego wiceprezes, właśnie jako dobry znajomy p. Paderew-

*) Patrz załącznik E na końcu książki.

skiego telegrafował mu do Paryża. Na pierwszej konferencji przedłożono mi kardynalną zasadę projektu korporacji: Rząd polski miał w zamian za swoje obligacje otrzymać obligacje rządowe złote Stanów Zjednoczonych. W pierwszym momencie wydała mi się ta myśl tak dziwaczną, że zgóry oświadczyłem proponentom, że nie jestem dość poetą — miałem widocznie mimowoli na myśli artystę Paderewskiego — bym się mógł wdać w interes tak skonstruowany. Ale ostatecznie nie mogłem przecież z góry odrzucać projektu, tak mi zaleconego i prosiłem o tegoż przedstawienie. Wkrótce pogodziłem się ze samą myślą, której studjum tak odrębnemu jak wspólnemu poświęciliśmy najbliższe tygodnie: pracowaliśmy w mojem biurze, u p. Manteuffla i u mnie w domu.

Oto treść propozycji: Rząd polski zaciąga pożyczkę w Ameryce za pośrednictwem korporacji i przy współudziale „National C. B." pożyczkę aż do pewnej wysokości w dolarach i wydaje w tym celu obligacje 7—10-procentowe. Korporacja wpłaca w zamian za obligacje polskie po kursie 93% — licząc sobie jako koszta 7% — w pierwszym rzędzie bony $4^1/_2$, 4 i 3-procentowe pożyczki amerykańskiej al pari, w drugim rzędzie gotowiznę; obligacje, bony i gotówkę przechowuje na rachunek Rządu polskiego i do tegoż rozporządzenia „National C. B." Akcja korporacji rozpoczyna się 1 grudnia 1919 r. i ma być ukończoną 30 listopada 1920 r.; korporacja nie przyjmuje odpowiedzialności za wysokość uzyskanych sum w bonach lub gotówce i może w razie niepomyślnym powstrzymać swoją akcję. Korporacja żąda na przeciąg powyższego roku: wyłącznego dla siebie targu w Ameryce, prawa załatwiania dla Rządu polskiego ubocznych spraw finansowych (z tytułu dotychczasowych pożyczek na krótkie bony) i prawa pierwszeństwa przy innych interesach kupieckich Rządu polskiego.

W ciągu rozpraw ustanowiliśmy wysokość maksymalną pożyczki do 250 miljonów dolarów, nie zapoznając przy tem słabej strony umowy, zwalniającej korporację od gwarancji za tę

sumę. Dla naszego uspokojenia służył telegram wiceprezydenta „National C. B." do p. Paderewskiego, według którego korporacja przedsięwzięła bardzo gruntowne badania co do szans otrzymania od ludności polskiej w Ameryce bonów amerykańskich w zamian za obligacje polskie. Ażeby zaś nie pozostawiać samej korporacji przy prawie powstrzymania akcji, zastrzegliśmy także Rządowi polskiemu to prawo na wypadek zbyt niskiego kursu bonów. W owym czasie zresztą bony te miały kurs bardzo bliski pari, 3%-we, jako najbliższe wykupna, były już wprost pari. A zresztą, przy całej niepewności przyjścia do skutku zamiany aż do 250 miljonów dolarów szanse Rządu polskiego były jednak bardzo korzystne: bo najprzód w braku zamiany były kontraktowo przewidziane jeszcze wpłaty w gotówce, a powtóre, o ile zamiana byłaby się udała, Rząd polski otrzymywałby miasto gotówki, którą potrzeba było oprocentować całkowicie, bony najpierwszej w świecie jakości, z oprocentowaniem, które z góry pokrywało część procentów od obligacyj. Przynajmniej na tak długo, aż te bony nie byłyby były sprzedane. A moim zamiarem było, sprzedać tylko tyle, ileby potrzeba niezbędnie n. p. na zakupno zboża, resztę zaś pozostawić w N. Yorku w bonach amerykańskich w tym celu, ażeby na podstawie tego funduszu zapasowego dysponować we wszystkich stolicach sumami, potrzebnemi dla utrzymywania kursu marki polskiej w należytej wysokości. Z zamiarem tym nie ukrywałem się przed p. O'Laughlin'em, któremu się to bardzo podobało i w przeczuciu zapewne niejakich trudności ze strony Rządu amerykańskiego w razie zbyt szybkiej sprzedaży i w uwzględnieniu związku, jaki zachodził między zadaniem walutowem powyższego funduszu a między pożyczką w efektywnem złocie, którą mi obiecał przeprowadzić w roku przyszłym na ufundowanie banknotów przyszłych.

Zgodziwszy się na zasadę pożyczki „zamierzonej" w powyższem znaczeniu, zredukowałem wysokość stopy procentowej naszych obligacyj z 7 na 6% i tak samo ryczałt na koszta

z 7 na 6%, przyczem stwierdzono, że wszystkie bez wyjątku koszta — o ile ich nie zarządzi Rząd polski — mają być z tego ryczałtu pokryte: koszta druku bonów na miejscu w Ameryce, koszta usług bankowych, a i wszelakie podatki państwowe czy lokalne, któreby nałożono z tytułu pożyczki i zamiany. Dodatek ten przeprowadziłem, aczkolwiek dwa podane tutaj przezemnie telegramy rządu amerykańskiego, zapewniły rządowi polskiemu wolność od wszelakich podatków. Z powyższej redukcji wynikała dla Rządu polskiego emisja 6%-wych obligacji po kursie emisyjnym 94, co i samo przez się wobec sytuacji skarbowej i politycznej Polski i niemniej w porównaniu z ofertą angielską, zawierało propozycję niemal świetną — zwłaszcza wobec sperandy pokrycia części procentów kuponami bonów amerykańskich.

Na żądanie „wolności targu" na rok dla obligacyj naszych, tudzież na pośrednictwo w innych sprawach finansowych zgodziłem się naturalnie bardzo łatwo. Natomiast powstała w ciągu narad konstrukcja nowa. Proponenci zażądali prawa pierwszeństwa do zawierania jakiegokolwiek innego interesu kupieckiego — nie czysto skarbowego — Rządu polskiego w Ameryce. Wiele czasu upłynęło, zanim powstał art. 9 załączonego*) układu. Zgodziliśmy się w końcu na myśl powyższą, gdy ona przybrała formę nie monopolu dla korporacji, lecz przeciwnie zabezpieczenia Polski od monopolu z jakiejkolwiek innej strony. Rząd, chcąc czynić zakupy w Ameryce, otrzyma oferty ze strony jakiejkolwiek firmy i musi ten interes proponować korporacji przed przyjęciem odnośnej oferty; gdy ta zaproponuje warunki korzystniejsze, Rząd odda jej interes, o ile będzie go w ogóle uważał za korzystniejszy. Było to jak się okazało politycznem nieszczęściem, żeśmy taki artykuł wstawili; ale treść jego była bez skazy, a i zastosowanie byłoby było z pewnością zbawienne dla Polski, gdyby nie były zaszły przeszkody, o których opowiem poniżej.

*) Patrz załącznik F na końcu książki.

Po kilkutygodniowej pracy przystąpiliśmy w dniu 30 października 1919 r. do podpisania układu, które się odbyło w mojem biurze bardzo uroczyście w asystencji zasłużonych moich doradców pp. Manteuffla i Perłowskiego. Wypowiedziano mowy w duchu stałej przyjaźni z Ameryką, a po podpisaniu przezemnie i p. O'Laughlina odfotografowano całą scenę. Pozostawszy sam na sam z moim partnerem, omówiłem z nim jeszcze dokładniej plan przyszłej pożyczki złotej na fundację naszego banku emisyjnego. Pan O'Laughlin, który kilka dni przedtem oświadczył w mojej obecności: „siedzimy u stóp mistrza", zapewnił mnie na zakończenie, że kapitał amerykański ufa niezłomnie mojej osobie, a p. minister Skrzyński w kilka godzin później powtórzył mi to samo na Radzie ministrów w tej formie, że Czesi musieli na swoją pożyczkę amerykańską dać ciężkie zastawy, zaś Polska dostała pożyczkę „na zastaw mojej osoby". Swoją drogą ofuknął go za to p. Paderewski, przybyły właśnie z zagranicy. Jeżeli zaś tego odruchu prezesa gabinetu nie pojąłem może odrazu, to wyjaśniła mi się sytuacja w kilka dni później, gdy odmówił swego podpisu na „Odezwie do ludu polskiego w Ameryce", ułożonej w cudownym stylu na moją prośbę przez znanego literata p. Tadeusza Smarzewskiego (dzielnego syna znakomitego ongiś w Wiedniu polityka), a podpisanej już przez ks. kardynała Kakowskiego... W dniu 31 października rano przedstawiłem treść układu zaproszonym reprezentantom prasy, a potem zaraz pospieszyłem do komisji skarbowo-budżetowej, ażeby jej przedstawić układ, zawarty przezemnie i na moją odpowiedzialność na podstawie upoważnienia ustawy o pożyczce zagranicznej, wydanej jeszcze za czasów mego poprzednika.

Komisji nie zataiłem naturalnie nic z treści układu i nie miałem wcale do tego powodu. Dyskusja była bardzo obszerna: słyszałem same tylko pochwały i wyrazy zadowolenia. Nawet ks. Lutosławski był zadowolony, gdy opowiadałem o odezwie, mającej być podpisaną przez biskupów. Nie przeszkadzało to zresztą posłowi ks. Adamskiemu udać się do Ameryki,

ażeby tam, agitować przeciw pożyczce mojej! I biskupi, którym kardynał Kakowski zamierzał z okazji ich zgromadzenia przedstawić odezwę do podpisu, wymówili się pod jakimś pozorem, jak mi zaraz wtedy opowiadał ks. biskup przemyski. Już wtedy więc, w parę dni po podpisaniu układu i po obradach komisji, będącej w rękach Endeków, dawał się spostrzegać zwrot u kół, okrążających osobę p. Paderewskiego, który mi kazał oświadczyć, że on, znając charakter ludu polskiego w Ameryce, napisze i wyszle odezwę w innym stylu. Zaraz się z tym „stylem" zapoznamy!

P. Paderewski poruczył był z początkiem 1919 r. zaciągnięcie pożyczki amerykańskiej niejakiemu p. Smulskiemu, bankierowi polskiemu w Chicago, o którym mi opowiadał przybyły za moich rządów przypadkowo z Chicago p. profesor Żurowski, że któryś z dzienników tamtejszych polskich ogłosił fotografię kwitu p. Smulskiego na zakupione u chłopa polskiego dolary za cenę horendalnie lichwiarską (kilkakrotnie za niską!). Pan Smulski nic nie uczynił aż do końca października; mogłem więc tem spokojniej napisać do p. Paderewskiego odezwę, w której stosownie do przyjętego w układzie amerykańskim zobowiązania, domagałem się cofnięcia pełnomocnictwa p. Smulskiego. Potrzeba było jeszcze przypadku, że wiceminister p Skrzyński natychmiast telegraficznie wysłał do Ameryki odmowę Smulskiemu, ażeby dla p. Paderewskiego utorować ostatecznie drogę najbliższemu jego doradcy w sprawach ekonomicznych, p. Horodyskiemu. Nic autentycznego niewiem niestety o tym panu: członek rodu znakomitego i zasłużonego w Galicji wschodniej, musiał dla jakichś „trudności finansowych" schronić się do Ameryki, gdzie znalazł się w gronie najsmutniejszego otoczenia ówczesnego mistrza — artysty i późniejszego polityka Paderewskiego. W czasie tegoż rządów bawił w Warszawie, podobno jako człowiek bardzo bogaty i w czasie podróży na zachód towarzyszył zwykle prezesowi, będąc mu w jego interesach finansowo-państwowych zwłaszcza w Londynie bardzo pomocnym. Otóż

tenże p. Horodyski miał, dowiedziawszy się o treści pożyczki amerykańskiej, oświadczyć najkategoryczniej: skoro art. 9. daje korporacji prawo monopolu, to pożyczka musi upaść! Oznaczało to myśl następującą: skoro art. 9 chroni skarb państwa polskiego od lichwiarzy amerykańskich, zaprzyjaźnionych z otoczeniem p. Paderewskiego, to pożyczka musi upaść i skarb polski musi się wyrzec korzyści choćby najlepszego układu. P. Horodyski znał się dobrze ze Smulskim, więc się obaj zabrali do pracy, a kto im w tem sekundował, obaczymy. I tak na pożegnanie swoje obaczyłem obraz straszny: gdy chodzi o interes własnej kieszeni, a przytem o utrącenie przeciwnika politycznego, niema wcale ani Polski, ani jej interesów politycznych czy skarbowych, jest tylko kieszeń i nienawiść!! Opowiem, jak to było:

Na krótko przed mojem ustąpieniem, zapewne pierwszych dni grudnia, przysłano mi z min. spr. zagr. telegram przybyłego właśnie do Washingtonu posła polskiego, ks. Kazimierza Lubomirskiego. Znałem p. Kazimierza z dawnych czasów wiedeńskich, gdzie mu byłem niejednokrotnie pomocnym w licznych jego interesach. Jako prezes Koła w czasie wojny wyświadczyłem mu nawet wprost przysługę, chroniąc go od surowych kroków, jakie zamierzano podnieść w Kole polskiem przeciw jego planowi zmonopolizowania do spółki z drugim niejakimś panem, drzewostanu w Galicji. W tej sprawie miałem z nim długą konferencję w biurze mojem. Jadąc w lipcu 1919 r. do Warszawy, powołany przez p. Wojciechowskiego, znalazłem się w pociągu koalicyjnym wspólnie z ks. Lubomirskim, który podążał do Krakowa. Wtedy to książe był kandydatem dezygnowanym na posła do Ameryki, a w połowie sierpnia był nim już mianowany i jako taki wziął wraz z swoją małżonką — bardzo miłą, dystyngowaną i rozumną — udział w uroczystościach krakowskich na cześć p. Hoovera. Wtedy i przez następne miesiące aż do wyjazdu księcia za morze, traktowałem go nie

tylko z należną mu grzecznością, lecz wprost z przyjacielską życzliwością dla jego misji i jego planów amerykańskich. Na życzenie też jego powołałem Dr. Adamskiego z zakładu kredytowego we Lwowie na doradcę skarbowego przy poselstwie w Washingtonie. Niezbyt wdzięcznie odpłacił mi się już po drodze do Ameryki w Paryżu, nakłaniając — widocznie pod wpływem p. Paderewskiego — mego wysłannika do zakupów miljonowych, do których nie był upoważniony. Ledwie zaś książe Lubomirski uczuł stały ląd amerykański pod nogami, dał się natychmiast zaprząc przez zaprzyjaźnionego z nim widocznie p. Horodyskiego do stworzenia sojuszu w trójkę z niezbyt czystym p. Smulskim.

Jeszcze kilkanaście dni przed upadkiem moim odbyła się u mnie konferencja ministrów spr. zagr. (Skrzyński) i aprowizacji (Sobański) w sprawie sprowadzenia żywności dla Polski z Ameryki. Obecny szef sekcji Manteuffel zwrócił uwagę na to, że w myśl art. 9 naszego układu amerykańskiego korporacja ma obowiązek przeprowadzenia tego interesu, włączając zakupno statków transportowych ze statków armji amerykańskiej. W tym duchu wystosowałem do p. O'Laughlina telegram bardzo gorący i pochlebny. Ale widocznie pod wpływem tego telegramu wybuchło w Ameryce „przesilenie pożyczkowe". Bo nie tylko p. Hoover, który w ciągu sezonu 1918/19 r. zajmował się zaopatrzeniem Polski w żywność, pojął na krótki czas, aż do wyjaśnienia mu rzeczy przez O'Laughlina mój telegram jako pominięcie czy zapomnienie jego zasług, lecz i ks. Lubomirski otrzymał był oczywiście już via Horodyski instrukcje od pana Paderewskiego i może sam ze swej strony podrażnił p. Hoovera lub go co najmniej nie uspokoił. Dość, że w jaki tydzień po moim telegramie do O'Laughlina otrzymałem z ministerstwa spr. zagr. telegram urzędowy księcia treści następującej: Żaląc się za to, że go nie pytano o radę — a wszakże był razem z p. Paderewskim w Paryżu, gdy tenże bombardował Warszawę listami od O'Laugh-

leina i gdy także z Paryża pisał za nim ambasador Gibson do min. Skrzyńskiego — donosi nasz poseł waszyngtoński co następuje: „Korporacja składa się z żydów, prowadzi handel z Rosją i trudni się lichwą, pożyczka jest więc niemożliwa!“ W następnym telegramie donosi, że sekretarjat dla skarbu (treasury department) nie zgadza się na wymianę bonów amerykańskich i mimo obrony naszej pożyczki, prowadzonej przez p. Lansinga, sekretarjat stanu (state department), nie chce dopuścić do jej emisji. Będąc już in statu demissionis, nic nie odpowiedziałem ani na te dwa telegramy, ani na dalsze jeszcze szczegółowe pana Adamskiego, za które miałem żal do niego, jako mego zastępcy aż do wyjaśnienia osobistego w obecności ówczesnego ministra skarbu p. Steczkowskiego tuż przed moim wyjazdem z Warszawy. Natomiast udałem się do ambasadora amerykańskiego p. Gibsona, wiedząc, że O'Laughlin mieszkał u niego i że wszystkie nasze telegramy w ciągu rokowań o pożyczkę szły przez jego ręce najkrótszym kablem amerykańskim. Ambasador zapewnił mnie, że znany mu jest tekst wszystkich telegramów ks. Lubomirskiego, że zarzuty przeciw korporacji są zupełnie nieuzasadnione, że oczekuje jeszcze bliższych wiadomości i przeszle mi je pisemnie w takiej formie, ażebym mógł spożytkować je publicystycznie*). Nie przyszło do tego, bo tymczasem ustąpiłem z rządu; ale akcja przeciw pożyczce jako utworowi mojemu nie ustała wcale, lecz raczej rozwinęła się dalej. Zamiast ją nakreślić w ustępie, traktującym o mojej dymisji, wolę dla związku podać tutaj dalsze losy tej akcji i pożyczki...

Przedewszystkiem zajęli się telegramami naszego posła zarówno mój następca jak i szef następnego rządu. Pan Wł. Grabski wysłuchawszy w tej sprawie klasycznego, a pod względem charakteru czystego jak łza pana Manteuffla,

*) Bilet wizytowy p. Gibsona z następującą wiadomością: „The Corporation is in discussion withe the Departm. of state and the Departm. of treasury for possible changs to the benefit of the Polish Governmt 6/XII 1919 r.

przekonał się tak o patrjotycznych intencjach moich, jak i o skutecznem ich zrealizowaniu dla Polski. Pan prezes ministrów Skulski, acz zaciekły mój wróg polityczny i osobisty i acz nie mógł się podobnie jak minister skarbu poinformować u równie klasycznego i czystego świadka p. Perłowskiego który (wprost wypędzony przez panią Paderewską bawił wówczas w Bernie szwajcarskiem, a od 1921 r. zajmuje odpowiedzialne stanowisko gen. sekr. polskiego przy Lidze Narodów), zachował jednak pożądaną bezstronność. Na konferencji obu tych ministrów i endeckiego szefa sekcji p. Okęckiego w ministerstwie skarbu postanowiono wysłać do ks. Lubomirskiego telegram tej mniej więcej treści: „Pożyczka jest zawartą przez Rząd polski i musi być przeprowadzoną przez posła polskiego, który w razie przeciwnym musiałby ustąpić ze stanowiska“ (dosłownie tekstu nie czytałem niestety). Telegram został wysłany z ministerstwa spr. zagr., tylko że p. Okęcki... wyjednał u ministrów telefonicznie zezwolenie, by ustęp osobisty dla posła złagodzić do niepoznania. Naturalnie: ręka rękę myje! Pod tym samym zapewne wpływem p. prezes ministrów uznał wiadomy art. 9 układu pożyczkowego za szkodliwy... Tymczasem nasz poseł, nie zagrożony w telegramie w swojej egzystencji politycznej, nie dał za wygraną, boć zasada, że układ Rządu polskiego z zagranicą winien być choćby dla honoru Państwa wykonany, nie mogła zrobić wrażenia na osobie, stojącej za pośrednictwem panów Horodyskiego i Smulskiego pod ochroną byłego prezesa ministrów. Bardzo sprytny książe chwycił się zmiany, jaka istotnie zaszła była w zapatrywaniach ministerstwa skarbu amerykańskiego na wymianę bonów amerykańskich. Obawy tegoż ministerstwa opierały się na przypuszczeniu, że Rząd polski skupiwszy bonów za 1/4 miliarda dolarów, rzuci je znowu na targ i zdewaluje go dla papierów państwowych. Poseł polski powinien się był poinformować pod tym względem u polskiego ministerstwa, które miało zgoła inne zamiary i na podstawie tych informacyj tem energiczniej domagać się wykonania, ile że Rząd polski posiadał właśnie ze strony

amerykańskiego „teasury department" telegram o wolności od podatku, pośrednio stwierdzający przyzwolenie tegoż departamentu na wymianę. Ale poseł polski, będący w służbie Endeków, u których interes partyjny stoi ponad interesem Polski, skorzystał chętnie z oporu departamentu. Ten zaś, nie znajdując oporu ze strony posła polskiego, przełamał nawet opór „teasury department" i ubił myśl wymiany bonów na obligacje polskie.

Wszelako i ta gwałtowna, kardynalna przeszkoda nie musiałaby była jeszcze spowodować upadku układu, gdyby ten upadek nie byłby był celem koalicji warszawsko-washingtońskiej. Skoro nie dozwolono w ostatniej chwili wydawać obligacyj polskich w zamian za bony amerykańskie, korporacja nie mogła przecież otrzymać ze strony poselstwa polskiego wezwania, zastosowania drugiej alternatywy, przewidzianej w układzie: wydawania obligacyj polskich wprost za gotówkę. Korporacja była do tego gotową. Gdy zaś ze strony poselstwa zwalczano tak art. 9 układu jak wysokość kosztów (6%), korporacja wystosowała do Warszawy olbrzymi telegram z wyjaśnieniem swoich intencyj i z gotowością ustępstwa tak co do art. 9 jak co do kosztów. Cierpliwy i dobrotliwy p. Gibson doręczył natychmiast ten niezwykle obszerny telegram ministerstwu spr. zagr. w przekonaniu, że sprawa została tem odłożoną na dawne tory. Niestety nie liczył się przytem ze stosunkami, panującemi w min. spr. zagr. pod wpływem żywiołów endeckich. Wprawdzie ministerstwo skarbu, gotowe do ustępstw dla naszego posła w Washingtonie, oczekiwało cierpliwie wniosków korporacji gwoli uratowania pożyczki, zawartej pod tak korzystnemi warunkami; ale niestety nie wiedziało, że wnioski te znajdowały się już dawno w kształcie powyższego telegramu w rękach ministerstwa spr. zagr., ponieważ to ministerstwo zataiło telegram Korporacji przed ministerstwem skarbu przez cały szereg tygodni! W braku tej wiadomości ministerstwo skarbu czuło się wreszcie zniewolone przesłać do posła telegram z unieważnieniem podpisanej w d. 30/X. 1919 r. pożyczki,

poczem dopiero ku swemu zgorszeniu otrzymało z min. spr. zagr. telegram w 9 podobno tygodni po jego nadejściu od Gibsona! Tak to pan Okęcki stanął godnie do spółki w walce przeciw pożyczce, czyli przeciw Polsce z pp. Horodyskim, Paderewskim, Smulskim i ks. Lubomirskim. Gdy zaś zastępca korporacji w Warszawie pan O'Neill — były attaché poselstwa amerykańskiego, odkomenderowany do korporacji przez p. Gibsona — poinformowany został z New Yorku o wypowiedzeniu, pospieszył do szefa sekcji Manteuffla z zapytaniem, dlaczego to wypowiedzenie nastąpiło mimo telegramu korporacji, otrzymał odpowiedź: „naturalnie nie bylibyśmy zerwali z korporacją, gdybyśmy mieli w rękach telegram, ale otrzymaliśmy go niestety o 9 tygodni za późno". I wtedy to p. Gibson wyjechał na dłuższy urlop do Ameryki, a w kołach amerykańsko-warszawskich zaczęła krążyć następująca „zagadka": „Jaki byłby skutek z tego, gdyby Stany Zjednoczone formalną notą piśmienną wypowiedzieli Polsce wojnę?" Odpowiedź: „Żaden, bo p. Okęcki schowałby notę do szuflady i zataiłby cały fakt przed rządem i społeczeństwem". Bardzo byłoby to wesołe, gdyby nie było tak smutne dla Polski!

Z polecenia ministerstwa skarbu rozpoczęto na wiosnę 1920 r. nowe rokowania z Korporacją w Nowym Yorku. Zgoda nastąpiła bardzo łatwo: usunięto art. 9 — stosownie do zapowiedzi p. Horodyskiego — i zamianę bonów amerykańskich, utrzymano zaś całą resztę, to znaczy nie tylko subskrypcję w gotówce, ale także 6% kosztów i to wbrew Korporacji, która ofiarowała obniżenie! I czytaliśmy w dziennikach warszawskich hymny pochwalne dla Rządu, który zdołał zwycięsko usunąć „szkodliwości", wprowadzone rzekomo przezemnie do układu pożyczkowego. Ale gdy przyszło oglądać wyniki tego „zwycięstwa", okazało się, że do lipca 1920 r. wpłynęło tylko 17 miljonów dolarów, kiedy p. O'Laughlin

miał już na grudzień 1919 r. zapewnionych 35 miljonów dolarów. Dołączony tu list jego z d. 11/3 1920 r. *) daje jasny, niezawodnie bezstronny, obraz postępowania naszych władz, boć te władze oddały panu O'Laughlin w ręce wielki interes!

Do krytyków mego układu należał także pomieniony dyrektor Kozłowski. Tu i po ogłoszeniu wiadomości o zawarciu pożyczki przybył do mnie z okazji zamierzonego wyjazdu swego do Londynu. Zapytawszy dyskretnie na moją umyślną wzmiankę o pożyczce amerykańskiej, czy układ jest serjo zawarty, dodał drugie pytanie, czy może tentować pożyczkę także w Londynie. Odrzekłem, że skarb polski będzie jej niezawodnie potrzebował z czasem i że ja bynajmniej nie zapoznaję znaczenia targu i kapitału londyńskiego, a tylko nie mogłem się zgodzić na podane mi w swoim czasie przez p. Kozłowskiego warunki. Wyliczając je, po porządku, otrzymałem od p. dyrektora spóźnione cokolwiek zapewnienie, że ani 50%-wa dewalwacja korony, ani 8%-we odsetki, ani kontrola naszego skarbu przez Anglików nie były nieodzowną częścią przedstawionych przez niego propozycyj angielskich. Na co znowu ja mu odrzekłem, że otrzymawszy teraz pożyczkę amerykańską po 6%, musiałbym kapitałowi angielskiemu proponować niższą od 6% odsetki i zupełną dla Polski suwerenność. Naturalnie, że to wszystko odpowiadało p. dyrektora zapatrywaniom. Ale to mu nie przeszkodziło wcale, by zastawszy po powrocie z Londynu moją dymisję, napisać w „Kurjerze Warszawskim" taki na mnie i pożyczkę amerykańską paszkwil, że banki małopolskie czuły się zmuszone dać panu temu odprawę rzeczową, energiczną w pismach publicznych. To był epilog do mojej pożyczki amerykańskiej! Czytałem później w dziennikach naszych, że ministrowi Steczkowskiemu powiodło się zawarcie umowy o wielką pożyczkę również w Ameryce. Z całego serca życzyłem to jemu i Polsce; ale niestety tak ta pożyczka amerykańska, jak późniejsza

*) Patrz załącznik G na końcu książki.

min. Michalskiego pożyczka frankowa, traktowane w Brukseli i Paryżu przez prof. Radziszewskiego, nie przyszły mimo ich półoficjalnej zapowiedzi do skutku.

Jeszcze jedną sprawę kredytową muszę tu poruszyć, o ile przeszła przez moje ręce. Tuż przed objęciem ministerstwa przezemnie Sejm uchwalił jak wiadomo większością jednego głosu reformę rolną. Jej przeprowadzenie wymaga zmobilizowania tylu miljardów marek, ile potrzeba tak na zapłatę ceny kupna za ziemię rozparcelowaną, jak na urządzenie nowych majątków włościańskich. Tamto ma się odbyć bez „mobilizacji kapitału“: właściciel wielkich obszarów będzie musiał przyjąć jako cenę kupna obligacje rządowe in natura z zakazem sprzedawania ich przed upływem kilku lat. Na urządzenie zaś zagród potrzeba będzie szukać gotówki na targu drogą sprzedaży obligacyj. Jedno i drugie będzie wymagało emisji obligacyj rolniczych, a rzeczą ministra skarbu będzie obmyślić formę ich emisji i sposób pokrycia znacznej części ich oprocentowania, którego z natury rzeczy nie można przerzucić na przyszłych właścicieli nowych zagród włościańskich. Swoją drogą autorowie reformy przedstawiali sobie tę akcję dość lekko, a nawet pierwszy dyrektor „Głównego Urzędu Ziemskiego“, słynny kierownik całej znakomitej Raiffeisenowskiej organizacji „Kółek rolniczych“ — przy ich pierwotnem tworzeniu w „Galicyjskiem Tow. gospodarczem“ brałem swego czasu wraz z Bronisławem Dulębą udział — pan Stefczyk nie dał był tę kwestję kredytową pogłębić. Ale przynajmniej poruczał ją ministrowi skarbu, kiedy mój poprzednik chciał się sam usunąć od wszelkiego wpływu.

Zresztą minister skarbu musiał ocenić sprawę reformy rolnej jeszcze z innego stanowiska: jako konkurencję tak dla kredytu czysto państwowego, jak dla kredytu hipotecznego, udzielanego dotychczas przez rozgałęzioną organizację „towarzystw kredytowych rolniczych“. Towarzystwa te, będące w pełnym rozkwicie w wszystkich trzech dawnych dzielnicach Polski, a i niektóre banki akcyjne, małopolskie, wydające za przykładem towarzystw

także „listy zastawne", przejrzały bardzo wcześnie wielkie grożące im z reformy rolnej niebezpieczeństwo. Bo każdy wielki majątek, przeznaczony do parcelacji przymusowej, obciążony bez wyjątku wierzytelnością towarzystwa, będzie w przyszłych stworzonych zagrodach obciążonym z tytułu ceny kupna i emisji obligów rolniczych, ale jego właściciel dotychczasowy nie będzie miał prawa sprzedaży tych obligów celem spłaty długu w towarzystwie. Co ztąd grozi towarzystwom, to trudno ocenić; ale łatwo zrozumieć, że zagrożone na każdy sposób towarzystwa prosiły mnie o to, bym przed ostateczną decyzją co do obligów rolniczych zwołał do siebie reprezentantów wszystkich towarzystw polskich.

Gdy tedy p. dyrektor Stefczyk — ze swego stanowiska słusznie — naglił mnie o zadecydowanie w kwestji kredytu na reformę rolną, zarządziłem przedewszystkiem po zbyt spóźnionem nadejściu aktów z Urzędu ziemskiego studjum tej sprawy w sekcji kredytowej mego ministerstwa. Dość szybko otrzymałem referat, który z referentem p. Manteufflem omówiłem szczegółowo. Zgodziwszy się w tej konferencji na myśli przewodnie referatu, wyrażone swoją drogą raczej w krytyce i poważnych obawach, niż w szczegółowych propozycjach, poleciłem wystosować zaproszenia do wszystkich towarzystw kredytowych na przyrzeczoną wspólną naradę pod mojem przewodnictwem. Ale znowu, jak wszędzie tak i tutaj przerwała się zamierzona akcja wskutek mojej dymisji. Do narady z towarzystwami nie przyszło wtedy, a chyba i później nie, bo inaczej trudnoby było zrozumieć, że w 16 miesięcy po mojej dymisji, w kwietniu 1921 r. zanosiło się na ustąpienie ministra Steczkowskiego z powodu jego oporu przeciw proponowanemu przez Stronnictwo ludowe założeniu Banku Ziemskiego. Zrewidowana więc w lipcu 1920 r. jednogłośną uchwałą Sejmu — w oczach zalewu bolszewickiego — ustawa rolna stanęła znowu przed ciężką przeszkodą: kredytu państwowego na cele jednej z największych w świecie

i najgłębszych reform społecznych. Oby Polska mogła podołać skutecznie temu niezmiernie trudnemu problemowi!

F) Sprawy polityczne.

Wszystko co działa minister odpowiedzialny, więc każda jego praca fachowa ma znaczenie polityczne, bo wpływa bezpośrednio czy pośrednio na stanowisko polityczne gabinetu lub przynajmniej samego ministra. Ztąd i każda narada i uchwała gabinetu ma powyższe znaczenie. Działalność ministrów: spraw zagranicznych, spraw wojskowych, wewnętrznych i finansów bywa najdonioślejszą dla polityki. Szef rządu zaś sam ma kat'exochen prowadzić politykę i czasami czyni to u jego boku wybitny bardzo minister fachowy, jak np. ongiś Dunajewski obok premiera hr. Taaffego w Austrji.

Powiedziałem już na innem miejscu, że wbrew oczekiwaniom sfer konserwatywnych nie zamierzałem dobijać się udziału w kierownictwie polityką. Może dłuższe sprawowanie urzędu z wybitniejszym sukcesem mogłoby mnie było automatycznie wciągnąć w wir wielkiej polityki: zanosiło się na to niejednokrotnie za prowizorjów zastępcy prezydenta, p. Wojciechowskiego, a byłoby się niezawodnie rozwinęło za niedoszłego ministerstwa Wojciechowskiego, którego byłem osobistym i politycznym przyjacielem. Za rządów Paderewskiego, genialnego artysty-patrjoty, ale kompletnie nieudolnego męża stanu, nie przyszło mi na myśl próbować „rządzenia", acz na Radzie ministrów zwykle się stosowano do mojej opinji, na doświadczeniu opartej. Wyraźnie zaś zastrzegałem się przed każdym pozorem dążenia do obalenia pp. Paderewskich. Wreszcie wspomniałem już podobno także o tem, że brak mi było do polityki stanowiska w Sejmie, utrudnionego mi choćby tylko „topograficznie" przez dziwną budowę sali posiedzeń. Ale ważniejszym był brak stałej informacji o codziennych zajściach w Izbie, komisjach i klubach: ofiarował w tym względzie swoje usługi bez mojej wiedzy poseł Jabłoński, dawny nasz sekretarz Koła,

ale niestety prezydjum moje nakłoniło go do cofnięcia swojej przyjacielskiej oferty, zupełnie bez mojej wiedzy znowu. Dowiedziałem się o tem dopiero na wiosnę w 1921 r. w Wiedniu od samego Wicusia Jabłońskiego. Bez takiej informacji zaś nie może kierować polityką żaden minister, a mnie ona była tem niezbędniejszą, że ciężki urząd nie pozwalał mi na zbyt częste wyjazdy do Sejmu.

Pomimo to wszystko brałem — w łonie rządu — niejednokrotnie udział w kwestjach politycznych większej wagi. Minister Wojciechowski, referent rządu w sprawie konstytucji i autor projektu ustawy konstytucyjnej, odbył ze mną dłuższą naradę, zanim wniósł projekt na Radę ministrów, gdzie zresztą przyjęto jeszcze liczne moje poprawki. Z tymże ministrem wdrożyłem i prowadziłem razem konferencje w sprawie żydowskiej. Jeszcze p. Paderewski nie był wyjechał za granicę, gdy wiceminister Byrka przywiózł mi list otrzymany ze Lwowa, w którym mu adwokat chrześcijanin Dr Władysław Smoleń donosi podobnie jak w dołączonym później liście do mnie z d. 29/9*) 1919 r. o życzeniu żydów — syonistów przedstawienia

---

Ekscelencjo!

Mam zaszczyt przedłożyć załączony, do mnie wystosowany list.

Przy tej sposobności proszę mi pozwolić, wyrazić moje osobiste wrażenia i spostrzeżenia, oparte na faktach, że dziś, gdy coraz bliższą jest chwila rozstrzygnięcia przynależności Galicji wschodniej, przywódcy żydowscy, powodowani i rozumem i uczuciem, opierającem się na wychowaniu wśród kultury polskiej — pragnęliby — pomimo głoszonej dotychczas neutralności — przechylić szalę ewentualnego plebiscytu na stronę polską.

Będzie to jednak możliwem wtedy tylko, jeżeli nie stracą swego wpływu na masy żydowskie.

Niezależnie od tego menerzy żydowscy w byłej Kongresówce, zmianę swej nieufnej postawy wobec Rządu uzależniają od rezultatu pertraktacyj galicyjskich.

Zatem w Polsce wogóle, a specjalnie w Galicji wschodniej, polska racja stanu wymaga wywołania wśród żydów (wchodnio galicyjskich) nastroju, któryby unicestwił zataczającą już kręgi agitację wrogich polskości czynników.

Rzaczy mi Wasza Ekscelencja wybaczyć moje powyższe wywody. Podjąwszy się jednak akcji, będącej obecnie w toku, pragnąłbym ją doprowadzić do jaknaj-

rządowi swoich petytów przez deputację. Ponieważ assymilowani żydzi, czujący się Polakami, nie potrzebują osobnych konferencyj, bo mają przez swych posłów sposobność znoszenia się z Rządem, byłem zdania iż właśnie opozycyjnym syonistom należy umożliwić zetknięcie się z Rządem. Zdaje mi się, że zarzuty czynione z tego powodu po przyjacielsku przez dzielnego i patrjotycznego posła stanisławowskiego p. Raucha, nie były słuszne. Jakkolwiek znane mi były endeckie, antysemickie przekonania p. Paderewskiego, nie wolno mi go było pominąć, ani bez jego wiedzy rozpocząć rokowań. Zawiadomiłem go więc o liście lwowskim i uzyskałem na to zgodę, by deputacja zgłosiła się do niego, a w razie jego wyjazdu za granicę, do mnie. Zaznaczyłem przytem zaraz, że zaproszę do współpracy pana wiceprezesa gabinetu i min. spr. wewn. Wojciechowskiego. Nim deputacja przybyła, p. Paderewski wyjechał; porozumiałem się przeto z p. min. Wojciechowskim, który najchętniej się zgodził na narady pod mojem przewodnictwem. Udział też jego osobisty był tak znakomity i skuteczny, że mogliśmy po całym szeregu konferencyj, przerobić cały materjał piśmiennych zalów, przedłożony przez deputację. Iście dramatycznie przedstawił je niezwykle wymowny prezes syonistów Dr. Henryk Rosmarin, zwłaszcza o ile chodziło o ucisk ludności żydowskiej przez władze i organizacje polskie w Galicji wschodniej z okazji wojny ukraińskiej. W wojnie tej ludność żydowska stanęła po stronie nieprzyjaciół Polski; a jeżeliby nawet była tylko zajęła stanowisko „neutralne“, to już zdradziła Polskę, bo „przyjaciel-neutralny“ w razie wojny jest przecież wrogiem. Wytknęliśmy to deputacji bardzo wyraźnie i tem trudniejsze były narady o naprawie powyższych stosunków, o niedopuszczaniu żydów do wojska i do uniwersytetów, o obozach dla internowanych żydów i o licznych sprawach

---

najlepszego rezultatu, w przeświadczeniu, że w ten sposób mogę najlepiej Ojczyźnie służyć. Z wyrazami najgłębszej czci zupełnie oddany

Warszawa 29. IX. 1919 ul. Żórawia 10. Dr Władysław Smoleń.

administracyjnych. Zastrzegłszy się z góry przeciw osobnemu „narodowi" żydowskiemu w łonie narodu polskiego i językowi hebrajskiemu w urzędzie, zgodziliśmy się na cały pakt w duchu sprawiedliwości i tolerancji. Znaczną część naszych wspólnych uchwał przyjęła Rada ministrów jeszcze za moich czasów na podstawie referatu p. Wojciechowskiego, przyczem min. wojny Leśniowskiego i min. oświecenia Łukasiewicz musieli ponieść dobrowolnie ciężkie ofiary przekonania, ażeby umożliwić żydom zapisy na uniwersytet, zawisłe od spełnienia obowiązków wojskowych. Uchwalono też na Radzie ministrów utworzenie komisji dla dwóch celów: dla perlustracji obozów koncentracyjnych i dla zbadania zachowania się w czasie wojny urzędników-żydów, stojących pod zarzutem zdrady, a przeto niedopuszczonych do ponownej służby państwowej. Skład tych komisyj ustalono po części na Radzie ministrów, po części na konferencji p. Wojciechowskiego ze mną, na której przyznano udział także niesyonistom...

I znowu nie mogłem już dalej współdziałać w tej sprawie z powodu ustąpienia z urzędu. Niedługo później — po upadku gabinetu Skulskiego ustąpił także Wojciechowski. Ale z wiadomości o konferencjach żydowskich pod przewodnictwem Daszyńskiego za rządów Witosa muszę wnosić, że akcja nasza tak czy owak znajdowała się lub może się jeszcze znajduje w dalszym ciągu. Jeżeli ją zresztą — jak mi się wydaje — rozszerzono na całą Polskę, to tem lepiej, bo naród polski, posiadający w Małopolsce ludność żydowską w 10%, a w Kongresówce 17%, musi, bez względu na sympatję czy antypatję, zająć się stanowczem załatwieniem sprawy żydowskiej. Bezwarunkowe przyznanie się do narodu polskiego ze strony żydów, przyznanie szeregu równouprawnień ze strony Polski, szkoły polskie dla żydów z przyznaniem nauki języka hebrajskiego: oto granica przyszłej ugody!

Tworzyła się zresztą za mego urzędowania jeszcze druga akcja żydowska, spowodowana przez Amerykę, której

wysłannik, b. ambasador konstantynopolitański p. Morgenthau, zwiedzał Polskę i po powrocie z Małopolski zatrzymał się dłużej w Warszawie. Wysłany pod presją zaalarmowanych przez Dmowskiego i spółkę żydów amerykańskich Morgenthau, przyjaciel osobisty Wilsona, pragnął z nami podzielić się wrażeniami, które zamierzał złożyć w memorjale prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Między innymi złożył i mnie wizytę długą, a pewnego wieczora dał min. Skrzyński na jego cześć w klubie myśliwskim (kasyno szlacheckie) objad uroczysty, na który byli prócz mnie zaproszeni ministrowie Wojciechowski i Szczeniowski. Przy czarnej kawie p. Morgenthau, który we Lwowie badał dokładnie przyczynę „pogromu", roztoczył obraz wcale pomyślnego stanu żydów pod rządami Polski. W ciągu ożywionej bardzo dyskusji próbowałem naszkicować w kilkunastu zdaniach dzieje żydów w Polsce i zapytałem gościa, czy byłby skłonnym podnieść w swoim memorjale następujące fakta historyczne: a) że w XIV wieku, gdy żydów w całej Europie zachodniej palono żywcem i wypędzano, Polska za Kazimierza W. dała żydom gościnny przytułek; b) że z biegiem wieków nie musiał być w Polsce ucisk zbyt dotkliwy dla żydów, skoro w czasie powstania z r. 1863/4 ludność żydowska, prowadzona przez rabinów, brała gorliwy udział w organizacji polskiej przeciw Moskalom; c) że w ciągu 50-o letnich rządów polskich w Galicji znaczna część ludności żydowskiej przyjęła dobrowolną z narodem polskim assymilację i wydała całe szeregi gorących patrjotów polskich; d) że wreszcie z początkiem XX stulecia rząd rosyjski wygnał z Rosji i z Litwy miljony żydów (Litwaków), nieznających ani języka ani narodu polskiego, pełnych do tego narodu jawnej nienawiści i właściwych tem samem inicjatorów tak zw. „pogromów". Ambasador, wysłuchawszy uważnie moich wywodów, odpowiedział stanowczo, że zamieści je w swojem dziele. Nie widziałem tego dzieła, więc nie mogę stwierdzić dotrzymania przyrzeczenia. Ale to można stwierdzić z ówczesnej publicystyki amerykańskiej, że po ogłoszeniu memorjału p. Mor-

genthaua uspokoiła się opinja żydowska w Ameryce na korzyść Polski, że zatem — jeśli mi wolno dodawać — słuszność miał ówczesny min. Skrzyński, starając się przy każdej sposobności jednać dla Polski przybywających do nas na oględziny, nie zawsze usposobionych dobrze cudzoziemców.

Drugą, równie ważną dla Polski sprawą polityczną, a mianowicie sprawą ruską nie mogłem się zająć tyle, jak za dawnych czasów we Lwowie i w Wiedniu. Stosunki były odmienne w danej chwili. Na widowni stał Petlura, przyszły naczelnik Ukrainy zazbruckiej, którą mieliśmy stworzyć w przyszłym świetnym, wiekopomnym, ale niestety przemijającym pochodzie na Kijów. Wielka myśl dziejowa Piłsudskiego połączona była dla Polski z zabezpieczeniem dla nas linji Zbrucza i części Wołynia: było to przełamanie bezmyślnej linji Curzona i zawiązkiem postanowień przyszłego traktatu ryskiego. W tej akcji wielkiej nie brałem najmniejszego udziału urzędowego choćby dlatego, że w maju 1920 r. byłem już dawno w dymisji. Dwie tylko bezskuteczne próby bardzo drobnej interwencji za moich rządów muszę tu przytoczyć. Odwiedził mnie pewnego dnia oficer polski z misji naszej w Bernie szwajcarskim i wręczył mi nie list, lecz drukowane na maszynie otwarte pismo bezimienne, w którem poseł ukraiński w Szwajcarji p. Mikołaj Wassilko, mój dawny kolega z parlamentu austr., zwraca moją uwagę, iż byłoby pożytecznem dla sprawy polsko-ruskiej, gdyby rząd polski ułatwił Wassilce przyjazd incognito do Warszawy. Przedstawiłem tę rzecz zaraz p. Skrzyńskiemu, zaznaczając, że, o ile znam charakter Wassilki, jest on szczerym i lojalnym dla każdej sprawy, której się raz poświęcił. Z dyskusji wynikło, że ministrowi byłaby rozmowa z Wassilką dogodną: w tym duchu miał zasięgnąć decyzji Naczelnika Państwa. Ale na drugi dzień przybył do mnie z wiadomością, że Naczelnik uważałby podróż Wassilki za rzecz zbyt ryzykowną. Wskutek tego dałem owemu oficerowi, gdy przyszedł do mnie z pożegnaniem, ustną odpowiedź wymijającą.

O ile przyszła Ukraina zabezpieczała nam posiadanie Galicji wschodniej (a i ziemi Chełmskiej), o tyle zadaniem naszem było, tem gorliwiej zająć się sprawą przyszłego współżycia naszego z Rusinami w granicach na zachód od Zbrucza. Była też w owym czasie delegacja ruska z ramienia prawdopodobnie rządu Stanisławowskiego, z którą traktowano w min. spr. zagr. Przewodniczący delegacji Dr. Stefan Witwicki (adwokat stryjski) przedstawił mi się z uwagi na znane moje akcje ruskie w dawnej Austrji i żalił się przy tej sposobności na zbyt lekkie i powierzchowne prowadzenie układów ze strony młodych i niedoświadczonych urzędników. Nie wiele mi opowiedział rzeczy merytorycznych; innym razem przyprowadził mi dwóch towarzyszy swoich, zajętych w układach sprawą przysięgi służbowej dla urzędników — Rusinów, pragnących po wojnie domowej wrócić do służby państwowej, obecnie już polskiej. Władze nasze małopolskie traktowały takich kandydatów z byłej armji ukraińskiej jako byłych urzędników obcych (austrjackich), to znaczy wypowiadały im służbę bez emerytury. Postępowanie to — formalnie odpowiednie — było naturalnie pod względem materjalnym dla jednostek zgubne. Ztąd kwestja przysięgi (wierności „Polsce“ czy „władzy przełożonej“!), ztąd dyskusje, podobne do żydowsko-polskich. Rada ministrów starała się rzecz załagodzić; ale w ministerstwie spr. zagr. rokowania grzęzły coraz bardziej, jak mi to ponownie zapewniał p. Witwicki. Wtedy to zapytałem go, czy nie chciałby się rozmówić z min. Skrzyńskim, na co się z wdzięcznością zgodził. Zaraz zaprosiłem do siebie kolegę Skrzyńskiego, przedstawiłem mu zapatrywania moje na sprawę ruską i dawne usiłowania moje dla jej rozwiązania i uzyskałem chętne przyzwolenie zejścia się w trójkę u mnie z p. Witwickim. Było to — jeżeli się nie mylę — w sobotę, a czas p. Skrzyńskiego był tak rozerwany, że nie mógł się zgodzić na inny dzień, jak następny piątek, tj. w 6. dzień po rozmowie ze mną. Dałem o tem znać Witwickiemu, który przybiegł osobiście, ażeby mi podziękować i zapowiedzieć swoje przybycie. Przypominaliśmy

to sobie jeszcze znacznie później, gdy mnie odwiedził w domu w lecie 1920 r. Ale wtedy, podobno z samym końcem listopada 1919 r. losy zrządziły inaczej. Wrócili już byli pp. Paderewscy i spór mój z panem prezesem gabinetu był w toku. Jakkolwiek pan Skrzyński starał się spór ten łagodzić i uczciwie ujmował się za swoim szefem, pani Paderewska uznała go winnym i zaprosiwszy go do siebie, zasypała go gradem wyrzutów. Po takim objawie ze strony „najwyższej wówczas instancji rządowej", pan prezes gabinetu postarał się u Naczelnika Państwa o natychmiastową dymisję swego zasłużonego i jedynie fachowego zastępcy w min. spr. zagr. Pp. Skrzyński i Perłowski uznani winnymi „konspiracji zemną" przeciwko „prawowitej władzy" pp. Paderewskich, musieli natychmiast zniknąć z Warszawy: pierwszy „wyleciał" jako poseł I kl. (ambasador) do Madrytu, drugi jako radca legacyjny do Berna. Dla konferencji ruskiej nie było już czasu, miejsca i uczestników, a dla mnie otworzyła się droga do dymisji.

G) Dymisja.

Przez cały listopad 1919 r. przygotowywała się systematycznie moja dymisja. Rozpoczęła się od ataków w Sejmie i prasie z powodu wzrostu kursu korony. Pojawiały się coraz częstsze artykuły z zarzutem braku programu w sprawach podatkowych, a powrót p. Paderewskiego doprowadził do skutku tak dymisję całego gabinetu, uchwaloną wskutek nieprzyjaznej dyskusji sejmowej (zwłaszcza przez usta posła Skulskiego) zaraz w gmachu sejmowym na wniosek p. Wojciechowskiego i za mojem poparciem, jak i mój upadek. P. Paderewski, obecny przy uchwale dymisyjnej, nie uważał siebie za związanego! Wyrobił sobie jakąś „pozaeuropejską teorję" o unoszącym się po nad swoimi kolegami rządowymi w obłokach prezesie rządu. Uchwała zapadła, o ile pamiętam, około 1. grudnia, ale moja sprawa osobista powstała kilka tygodni wcześniej. Zaraz po swoim powrocie z zagranicy pod koniec

października p. Paderewski przysłał swego sekretarza do min. skarbu z wiadomością, że zakupił rozmaite towary w Anglji i żąda ich zapłaty w walucie angielskiej! Wiadomość tę przyjął zastępujący mnie z powodu chwilowej niedyspozyji mojej p. wiceminister Byrka i poinformowawszy się osobiście w prezydjum ministerstwa, przybył do mnie, by mi o tem zdać sprawę. Natychmiast mu odrzekłem, że tych zakupów nie zrealizuję, najprzód dlatego, ponieważ prezes ministrów nie miał prawa zakupu bez mojego upoważnienia (dekalog!), a powtóre dlatego, ponieważ płaszczy i mundurów wojskowych ani nie potrzebujemy (zakupiliśmy je właśnie urządu francuskiego), ani nie możemy kupować po cenach lichwiarskich. P. Paderewski, prawdziwe „dziecię“ tak polityczne, jak finansowe dał się w Londynie uwikłać swoim tak zw. „sekretarzom“ i znalazł w osobie posła tamtejszego, ks. Eustachego Sapiehy (późniejszego nieudolnego ministra spr. zagr.) powolnego a przytem analfabetycznego pod względem finansowym wykonawcę jego tak zw. „planów komercjalnych“. Powróciwszy do biura, poleciłem wypracować akt z odmową kredytu. W kilka dni potem odwiedził mnie p. Paderewski w domu i między innemi wspomniał mi o swoich interesach, na co mu odrzekłem, że nie mogę się zgodzić na zakupy, co go mocno oburzyło, ale do zerwania ze mną stosunku nie doprowadziło. Przy sposobności wiadomej rozmowy naszej o centrali dewiz w Zamku p. Paderewski przyjął mnie leżąc w łóżku, zaprezentował mi ponownie telegram księcia Sapiehy o potrzebie zrealizowania interesu, na co dałem znowu odpowiedź odmowną. W kilka dni później przybył p. Paderewski do mnie do biura, a wywoławszy mnie z posiedzenia, zaprodukował telegram nowy o nowem zakupie (bielizny, lokomotyw i maszyn) po cenach tak szalonych, że musiałem mimo gorących próśb bardzo stanowczo odmówić mego przyzwolenia. Na najbliższem posiedzeniu Rady ministrów p. prezes wniósł na mnie zażalenie, że ja mu zarzucam przedsiębranie

„zakupów za granicą". Ale w motywach sam przedstawił każdy z tych zakupów, tylko w świetle nie tak czarnem, jak ja je przedstawiłem w mojej odpowiedzi, stwierdzając zarazem, że zarzut „zakupów" został przez niego samego przyznany. Z członków rządu nie zabrał nikt głosu, prawie że nikt pary nie puścił: cóż mieli mówić na te „zakupy" koledzy, którzy według dekalogu nie mieli prawa przekroczyć budżetu o tysiące, kiedy szef ich uznał się sam suwerennie za uprawnionego, zakupić towarów za sumy, wynoszące wedle ówczesnego kursu przeszło 2 miljardy marek polskich! Nie będę tu opisywał dalej szczegółowo ani owych interesów, ani interwencji min. Sosnkowskiego i Skrzyńskiego, ponieważ będę musiał w dalszym ciągu przedstawić mój memorjał o całej tej sprawie.

Tymczasem kryzys ogólny począł się zaostrzać. P. Paderewski uważał się po naszej dymisji z góry za uprawnionego do stworzenia nowego rządu. Jego adepci podali już z góry w dziennikach pewnik, że ja jako przeszkoda w jego „planach komercjalnych" (!) nie mógłbym wejść do gabinetu, zwłaszcza, że ani nie uregulowałem waluty (we 4 miesiące!) ani nie zreformowałem podatków. Swoją drogą w owem stadjum ks. arcyb. Teodorowicz próbował mnie utrzymać, wysyłając, jak sobie czytelnik przypomni, p. Manteuffla do p. Skulskiego. Gdy się próba utworzenia gabinetu rozbiła w Sejmie wobec uporu ludowców i socjalistów, p. Paderewski rozpoczął drugą próbę i dopiero po jej nieudaniu złożył u Naczelnika Państwa pisemną dymisję. Wtedy Naczelnik, antykonstytucyjnie usposobiony, przybył do gmachu sejmowego, celem pozozumienia się z konwentem seniorów; a gdy tu nie doszło do porozumienia co do osoby przyszłego prezesa rządu, Naczelnik zastrzegł sobie o tem decyzję. To była owa chwila, kiedy w Belwederze stanął gotowy gabinet Wojciechowskiego, którego — jeżeli się nie łudzę — ja miałem być ministrem skarbu. Było to tego samego dnia, kiedy żegnał się ze mną mój przyjaciel p. Perłowski, pocieszający się w swem wygnaniu

nadzieją niemal pewną takiego rządu. Ale na cóż byliby endecy ze swoją „manją rządzenia"?! Tego samego dnia odbył się w salonach „Hotelu Europejskiego" wielki raut u pp. Jerzych Baworowskich i wszystkie rozmowy stały pod znakiem gabinetu Wojciechowskiego, a mnie w szczególności dostawały się słowa bardzo pochlebne ze strony szlachty kresowej, zasilonej w swej energji przez moją pomoc. Dość już późno pojawił się na salonach ks. arcyb. Teodorowicz. Zbliżyłem się do niego, aby go powitać i przypomnieć mu zarazem list mój, w którym, stosownie do dawniejszej z nim rozmowy, wykazałem dowodnie, iż min. Wojciechowski bynajmniej nie znajdował sie w opozycji z kościołem lub biskupami. Ks. Arcybiskup potwierdził mi list ten z zadowoleniem; gdy jednakowoż dodałem okazjonalnie: „no, a teraz Wojciechowski szefem gabinetu!", odrzekł mi z naciskiem: „o nie — p. Paderewski!" Muszę przyznać, że mi pierwszy raz w życiu zabrakło, jak to mówią, „języka w gębie": tak byłem tą wiadomością zaskoczony z nienacka, że nie byłem w stanie nic na nią odpowiedzieć, a odpowiedź moją musiał ks. Arcybiskup wyczytać z oczu moich. Wkrótce wychodząc z rautu, podzieliłem się tą wiadomością z gospodarzem i innymi przyjaciółmi politycznymi. A na drugi dzień wiedziano już w Warszawie, że późnym wieczorem udali się do zamku pp. marszałek Trąmpczyński, ks. arcyb. Teodorowicz i p. Głąbiński, ażeby p. Paderewskiego nakłonić do dalszej jeszcze trzeciej próby utworzenia gabinetu. Ztamtąd udał się ks. Arcybiskup jako najpóźniejszy gość na raut do hotelu, a p. Marszałek do Naczelnika Państwa, który — mimo podobno wygotowanych już dekretów nominacyjnych dla gabinetu Wojciechowskiego — podpisał natychmiast nowe powołanie p. Paderewskiego. Uczynił to z powodów konstytucyjnych — bo Marszałek zastępujący Sejm, suwerenny tworzył rząd, — a jak złe języki twierdziły, dla tem gruntowniejszego i ostatecznego ubicia p. Paderewskiego. To mu się powiodło znakomicie; ale w chaosie, jaki nastąpił po tem sztucznem wskrzeszeniu naszego mistrza, przepadł i p.

Wojciechowski jako prezes, no i ja przepadłem z kretesem. Ale przedewszystkiem przepadł sam Paderewski. W Sejmie toczyły się w ciągu tej ostatniej na szczęście akcji Paderewskiego targi bardzo gwałtowne, a ze strony endeków używano tak namiętnych argumentów przeciw mojej kandydaturze, że z porady przybyłego do mnie niespodzianie posła Stapińskiego, musiałem się zdecydować na rozmowę z Witosem, wrogiem Stapińskiego a moim obrońcą. W owej sytuacji nie było już mowy o ratowaniu teki: chodziło mi tylko o to, by stronnictwo ludowe nie nabrało o mnie zdania krzywdzącego. Zresztą, jak już zdaje się wspomniałem w innem miejscu, b. prezes ministrów Kucharzewski, bardzo przezemnie ceniony, wezwał mnie był niedawno w toaście przy stole u p. Stefana Dziewulskiego, bym dla utrzymania swej służby dla Polski poniósł choćby największą ofiarę. Poniosłem ją, udawszy się pozornie z prośbą o pomoc do prezesa stronnictwa ludowego. Pan Witos, dawny mój przeciwnik wiedeński (znakomity i zasłużony prezes rządu) znalazł bardzo miłą formę przyjęcia dla mnie: wysłuchawszy spokojnie wyjaśnień w sprawie banknotów koronowych i zakupów Paderewskiego, odrzekł, że dla niego tych wyjaśnień nie byłoby było potrzeba, bo w odnośne obmowy nie wierzył, że jednak p. Skulski desygnowany prezes ministrów jest moim zasadniczym przeciwnikiem. To mi starczyło, zwłaszcza że i bez tego zamierzałem na wypadek nieprawdopodobny, gdyby p. Skulski chciał mi ofiarować tekę, odmówić mu z odwołaniem się na jego wobec Manteuffla wypowiedziane podejrzenie przeciw uczciwości mojej, jako posiadacza banknotów austrjackich. Proszę czytelnika mi wierzyć, że nie mówię tego pod pozorem „kwaśnych winogron". Wszakże właśnie po takim zarzucie nie mógł się do mnie zwrócić p. Skulski. W bramie gmachu sejmowego przywiodła mnie na inne myśli wdowa po oficerze, urzędniczka pocztowa, pani Oroszowa, która acz nieznajoma zatrzymała mnie, aby mi entuzjastycznie podziękować za przyznaną jej wśród długich walk emeryturę wdowią.

We dwa dni później p. Paderewski musiał wystosować do Naczelnika drugie z rzędu pismo z doniesieniem o niemożności utworzenia gabinetu. Ale wśród owych namiętności Sejm zapragnął już sam stworzyć rząd: (szefem jego został istotnie p. Skulski ze stronnictwa spokrewnionego z Endecją. P. Wojciechowski tylko na żądanie Naczelnika Państwa objął tekę ministra spr. wewn.). W „Monitorze" ogłoszono pisma demisyjne i nominacyjne, tamte z kontrasygnaturą Paderewskiego, te Skulskiego: nie potrzebuję tłumaczyć, dlaczego pismo odręczne Naczelnika, wystosowane do mnie, było najchłodniejsze ze wszystkich.

Po mojej dymisji publiczność warszawska, w sklepach, cukierniach i tramwajach tak samo zaczęła potępiać głośno moje zabójcze plany około marki polskiej, jak przed czterema miesiącami opiewała we mnie zbawcę i cudotwórcę! — Musiałem przeto szukać okazji, opowiedzenia publiczności powodów mojej dymisji. Skorzystawszy więc z bardzo uprzejmego i pochlebnego przemówienia pana wiceministra Byrki, opowiedziałem zgromadzonym na pożegnanie urzędnikom i o moich planach walutowych tudzież podatkowych i o zakupach pana Paderewskiego. Zwłaszcza tego ostatniego nie wolno mi było pominąć. Bo powołany przez wszystkie stronnictwa do uporządkowania finansów Polski, poświęciwszy temu posłannictwu, zaiste nie dla „karjery", lecz dla ciernistej służby ojczystej, wszystko: wygody domowe z lat kilkudziesięciu, swoją starość i troskę o życie ciężko chorej ukochanej żony — musiałem przynajmniej opowiedzieć, dlaczego to posłannictwo moje nie spełniło się w ciągu czterech miesięcy! Więc najprzód nie zaprzeczyłem panu Paderewskiemu jego zasług narodowych niespożytych: agitacją swoją w Ameryce na rzecz Polski spowodował on wiadomych 14 punktów Wilsona, acz swoją drogą jako minister i wysłannik rządu Polski zgodził się na zatracenie tych punktów na Śląsku i w Gdańsku. Ale czy tak czy owak, miljardowych długów nie wolno mu było robić za granicą! Mowy pożegnalne zostały na moje życzenie ogłoszone w dziennikach.

Pożegnawszy się serdecznie z każdym z licznych urzędników, opuściłem według dawnej metody ostatnie w życiu mojem biuro ministerjalne: zabrałem wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej tudzież tę samą zawsze fotografję mojej żony, a z szuflady kilkanaście listów prywatnych, i wyjechałem na zawsze do domu w towarzystwie brata Marjana, który mi aż do tej najcięższej chwili asystował wiernie. Przybywszy do biednej żony mojej, zapragnąłem chętnie znowu jak dawniej spocząć pod jej, acz nadwątlonemi niestety skrzydłami i oddać się kontynuacji „Wspomnień“ niniejszych. Ale nie było to na razie możebne, bo rzucona przezemnie przy pożegnaniu rękawica została podjęta, przez co okres czasu mojej „dymisji“ został cokolwiek przedłużony.

W konsekwencji mojej przemowy, czy też w związku z nią, a może i bez żadnego zgoła związku, z prostej nienawiści partyjnej, wygłosił poseł Głąbiński na zwołanem ad hoc zgromadzeniu stronnictwa endeckiego przemowę, w której mi zarzucił nie tylko pokrzywdzenie marki polskiej, ale ponadto nieprzychylne traktowanie państw ententowych, że rzekomo groziła ztąd nawet wojna Polski z niemi. Dowiedziałem się o tem z tak zw. „Dwugroszówki“, tj. „Gazety Porannej“, organu endeckiego, który już w czasie przesilenia napadał na mnie wrogo, a po dymisji mojej wpadł na mądry koncept artykułu wstępnego „Przed Sąd“, domagającego się zasądzenia mnie za popsucie waluty! Niechcę dziś odpowiedzieć, jak mój następca p. Grabski ładnie walutę „naprawił“, boć w czasie wojny każdy minister skarbu „psuje“ walutę; przypominam tylko charakterystycznie naiwną myśl „Sądu“ za walutę ze strony organu endeckiego, który zresztą, po całym szeregu napadów, zaprzestał ich nagle ze strachu przed moim jakimś ogromnym wpływem (?!), niebezpiecznym — dla Polski czy dla Dwugroszówki?! — w Niemczech.

Zarzut wrogiej wobec Ententy polityki mojej musiał być dla mnie najdotkliwszym, boć i tak uchodziłem i po wojnie za niezmiennego zwolennika państw centralnych, czyli, jak się wyra-

ziła wówczas ta sama „Dwugroszówka“, byłem „Niemcem z polskiem nazwiskiem“. Zarzut taki z ust p. Głąbińskiego był tem dotkliwszy, ponieważ właśnie ten polityk prowadził ze mną przez lata całe politykę austro-polską, zaś w pierwszych dniach sierpnia 1914 r., będąc u min. hr. Berchtolda jako wysłannik jakiegoś towarzystwa politycznego lwowskiego, przyznał się jawnie do tej polityki, w czasie wojny zaakcentował ją uroczyście na Kole polskiem wobec moskalofilskiego zachowania się p. Stan. Grabskiego w czasie najazdu rosyjskiego we Lwowie, później na konferencji komisji politycznej Koła u min. hr. Czernina podniósł — wówczas sam jeden — austrofilskie uczucia ludności polskiej w Kongresówce, a wreszcie od grudnia 1916 do wiosny 1917 r. brał najgorliwszy i bardzo skuteczny udział w pracach Koła nad wyodrębnieniem Galicji pod berłem habsburskiem. Ten sam więc polityk, tak oddany polityce austro-polskiej, że r. 1907, pragnąc wyboru na prezesa Koła polskiego, przesłał przez moje ręce cesarzowi Franciszkowi Józefowi na piśmie wyznanie wiary politycznej austro-polskiej, nie miał chyba prawa w roku 1919 z tytułu tej samej polityki, już wówczas zamkniętej pod wpływem zwycięstw Koalicji, zarzucić mnie narażanie Polski na wojnę z tąże Koalicją. Dlatego to zdecydowałem się na krok energiczny, listu otwartego, którego tekst tu załączam *). Słyszałem, że list ten zrobił przykre bardzo wrażenie w klubie sejmowym p. Głąbińskiego, a członek tegoż ks. Kotula opowiadał głośno, że p. Głąbiński musi ustąpić z prezesostwa klubu, jeżeli nie zdoła odpowiedzieć należycie. Ale nie stało się nic tragicznego, bo mój przeciwnik pobił mnie zarzutem, użytym już parę dni przedtem przez naczelnego redaktora „Kurjera Warszawskiego“, jakobym był winnym wybuchu wojny. Zabawna zaiste kopia baśni z niemieckiego narodowo-liberalnego

*) Patrz na końcu książki załącznik H.

„Neues Wiener Journal“ we Wiedniu na łamach pism oficjalnych narodowej demokracji, która przecież jako jedyne źródło najczystszego patrjotyzmu polskiego, nie mogła potępić wojny i jej skutku: Polski niezawisłej! A może to był tylko żal za chybioną „autonomją“ moskiewsko-polską?!

Drugim skutkiem mojej przemowy pożegnalnej była „uroczysta skarga“ p. Paderewskiego, wniesiona na mnie do p. Marszałka. Pokrzywdzony tak sromotnie exprezes, zażądał wysłuchania swej ekskuzy wobec konwentu seniorów. Pan Trąmpczyński zawiadomił o tem żądaniu konwent, w swej większości — okazało się to przy tworzeniu rządu — mnie nieprzychylny; toż gdy ze strony podobno socjalistów zażądano, by i mnie dano sposobność odpowiedzi, sprawiedliwy p. Marszałek zbył to uwagą, iż ja, nie będąc posłem, nie mam prawa do pojawienia się na konwencie. Zasiadł tedy na drugi dzień w konwencie sam jeden p. Paderewski, który się umiał namiętnie opierać memu udziałowi: opór zupełnie zrozumiały po nieudałej próbie dyskusji na Radzie ministrów! Exprezes przemawiał długo, a jego „przyjaciel“, p. Trąmpczyński uważający go jak się sam wyraził za „największego dla Polski szkodnika, dla którego pozbycia się warto było poświęcić — Bilińskiego!“ (ipsissima verba p. Marszałka!) chcąc być, jak zawsze, i dla mnie „sprawiedliwy“, kazał mi zatelefonować, iż mogę stenogram przejrzeć w kancelarji sejmowej. W naiwnem przypuszczeniu, że będzie mi wolno przy przejrzeniu poczynić od siebie uwagi, uprosiłem sobie — z powodu złej aury — nadesłanie stenogramu do domu na kilka godzin. W istocie nadesłano mi go zaraz; ale uprzejmy urzędnik zawiadomił mnie równocześnie telefonicznie, że „z rozkazu p. Marszałka“ stenogram musi być natychmiast rozesłany dziennikom. Pocóż więc owa dla mnie „sprawiedliwość“?!

Ale nadesłanie stenogramu było mi przecież bardzo pożyteczne. Przedewszystkiem dla tego, że znowu poznałem bliżej „sprawiedliwość“ p. Marszałka. Jego przyjaciel p. exprezes zagrał w swej prze-

mowie na bardzo wdzięcznej nucie: oto ja, minister skarbu, nie chciałem dać wojsku bielizny, płaszczów i obuwia, on zaś, prezes gabinetu, przejęty żalem gorącym nad żołnierzem frontowym, gołym i bosym, postarał się za drobnostkę miljardową o tę odzież, którą jednak „Biliński odrzucił". Przytem użył p. Paderewski bardzo ładnej pointy: minister skarbu zwlekał z zakupnem odzieży dla wojska, a dlaczegoż tak się spieszył z zawarciem pożyczki amerykańskiej?! Pan Marszałek, nie znając akcyj i aktów ministerjalnych, nie mógł naturalnie wiedzieć, że ja jeszcze przed powrotem p. Paderewskiego zakupiłem ubrania dla wojska u rządu francuskiego za 75 milj. fr. i że dalej sam p. Paderewski zalecał mi z Paryża pospiech w zawarciu pożyczki amerykańskiej. Ale jużci mógł przypuszczać, że ja będę się może próbował wytłumaczyć, może nawet skutecznie, z tych zarzutów, a przeto winien był zachować bezstronne milczenie. Tymczasem stenogram zawiera krótkie resumé p. Marszałka, bardzo stanowczo mnie potępiające. Nawet mój przyjaciel Dr. Diamand uznał mnie winnym „skandalu", ale Marszałek wprost wypowiedział sentencję, którąby powinne sobie wziąść za przykład państwa cywilizowane, tej treści: że należy zapobiedz na przyszłość, ażeby się minister skarbu mieszał w wydatki innych ministrów, zwłaszcza gdy chodzi o szefa rządu i tylko o miliardy!

Otrzymawszy stenogram dopiero w chwili jego opublikowania, nie miałem innej drogi, jak odpowiedzieć na mowę p. Paderewskiego osobnem pismem publicznem. Ale nie była to rzecz zbyt prosta. Samą odpowiedź napisałem naturalnie łatwo, boć miałem wszystkie szczegóły w głowie; ale jak to podać do wiadomości publicznej? Zaprosiłem sobie tedy pp. Rosnera i Bazylewskiego (znanego dziennikarza ludowców, ongiś korespondenta organu Stapińskiego), dawniej w r. 1909 mi wrogiego, obecnie zaprzyjaźnionego. Odczytałem im mój elaborat i otrzymawszy ich aprobatę, postanowiłem za ich zgodą nadać mu

formę sprawozdania do Naczelnika Państwa, któremu sprawa zaopatrzenia wojska nie mogła być i nie była obojętną. Po tem postanowiono, że dla dzienników należy sporządzić wyciąg (po warszawsku: „skrót"). Wyciąg ten sporządziłem przy pomocy kochanego radcy Szarlitta, który pomagał mi zawsze w mych pracach. Poczciwy p. Szarlitt objął też na barki swoje dobrowolnie tak „skróty", jak i korekty całego elaboratu. Ten ostatni w niewielu odbity egzemplarzach rozdałem osobiście*). Naczelnikowi Państwa przedłożyłem go z osobnem pismem, które — przypuszczam — dostało się do rąk jego własnych. Wyciągi oddano do Polskiej Ajencji Telegraficznej (P. A. T.), której dyrektor Grot był mi zawsze przychylnym i pomocnym od czasu, gdy w Wiedniu kierował dla Koła polskiego pod ręką Wicusia Jabłońskiego prasą. Ale tym razem nie starczyło mu sił do pomocy dla mnie, bo mu prezes gabinetu p. Skulski zabronił rozsyłki mego „skrótu" z uwagi na brak charakteru urzędowego! Udałem się na to pisemnie do przyjaciela mego, min. Wojciechowskiego, który też, odwiedziwszy mnie łaskawie, był już gotów, nakłonić prezesa do ustępstwa. Ale w owej chwili było to już zbyteczne, gdyż dziennikarze skorzystali z kilku egzemplarzy mojego elaboratu i rozesłali wyciągi zwłaszcza do pism małopolskich, na których mi zależało najbardziej. Boć w czasach całego mego i urzędowania i przesilenia gabinetu stała droga sercu memu Małopolska, od urodzenia „macierz" moja przy moim boku: więc choćby tylko z wdzięczności pragnąłem, by usłyszeć mogła odpowiedź moją na rzucone na mnie kalumnje. I, jeżeli się nie mylę, w „Naprzodzie" krakowskim podobno poseł Diamand napisał z okazji obrony mojej świetny artykuł — czysto objektywny — zakończony okrzykiem oburzenia za to, że p. Paderewski, pomimo przyrzeczenia swego ustnego, nie przysłał mi dla aktów i dla złagodzenia sytuacji parlamentarnej listu z zapewnieniem i własnem przekonaniem, że przy kupnie

*) Patrz na końcu książki załącznik I.

lokomotyw londyńskich nikt z Polaków nie zarobił niedozwolonej prowizji!! (Horodyski!)

Pan Paderewski, zadowolony z owacji przed balkonem jego hotelowym, nie był tak nieostrożnym, by na pismo moje cośkolwiek odpowiedzieć, a przeto na tem piśmie mojem zakończył się w rzeczywistości akt dymisji mojej. Może mi wolno jako jej epilog załączyć wydany w 5 kwartałów później numer „N. Reformy", z artykułem pióra niezawodnie znakomitego redaktora i literata p. Konstantego Srokowskiego. Niemniej dla urozmaicenia listy min. Grabskiego i znakomitego publicysty Niemojewskiego, który po mojej dymisji naturalnie obsypał mnie stekiem zarzutów.

Prace domowe aż do zgonu małżonki.

Załatwiwszy się z przeciwnikami politycznymi, osiadłem spokojnie w domu, ażeby tam obok kontynuowania „Wspomnień", oddać się gorącemu pragnieniu serca, pielęgnowaniu ciężko chorej żony, bez której porad nie byłbym mógł doprowadzić do stanowiska życiowego, na którem zdołałem w końcu źle czy dobrze służyć Ojczyźnie. Nigdy nie przestanę dziękować Bogu za tę łaskę, że mnie drogą klęski dymisji poprowadzić raczył na stały pobyt w domu. Od pierwszego dnia choroby mojej niezrównanej żony i przez całych pięć lat wzrastającego jej męczeństwa pielęgnowałem ją osobiście, sam lub przy pomocy pielęgniarki. Od chwili objęcia teki ministerstwa polskiego pochłonęła mnie była szalona, nieograniczona praca dla budowy skarbu ojczystego. Nie wykluczało to wprawdzie służby około chorej, ale zasłaniało mi widok na całokształt obrazu choroby. A właśnie od owego czasu zaczęły się znaczne jej postępy: niewidzieć ich dokładnie, byłoby mi było głębokim żalem, bawić zaś wcale poza domem, gdy Anioł śmierci owionął oblicze mej Jedynej na świecie, uwielbianej istoty, byłoby mogło mnie przyprawić o zdrowe zmysły!...

To też od 13/12 1919 r. dnia dymisji mojej do wieczora d. 14/7 1920 r. pozostawałem w domu, o ile nie należało mi

wyjść do kościoła lub po interesie. Trzy razy wychodziłem na posiedzenia „Towarzystwa ekonomistów polskich", do którego przystąpiłem na życzenie Dr. Stefana Dziewulskiego. U niego też raz byłem na kolacji w towarzystwie dzielnych aktywistów. W ciągu tych całych 7-u miesięcy dwa razy tylko musnęła mnie fala polityki. Raz na wiosnę 1920 r. gdy po upadku naszej świetnej wyprawy na Kijów upadł był gabinet Skulskiego, a miał się tworzyć gabinet Witosa. Wtedy endecja warszawska zaczęła grozić Witosowi „chłopu galicyjskiemu" kosami chłopów kongresowieckich. Wtedy miałem sposobność, przybyłym do mnie na naradę kilku posłom sejmowym z grona konserwatystów galicyjskich pod wodzą bardzo spokojnego i rozsądnego hr. Jerzego Baworowskiego, doradzać stanowczo, by popierali dla dobra Polski kandydaturę Witosa. Wtedy też rzucono w sejmie myśl kandydatury mojej na minisrra skarbu; a gdy braterstwo moi Marjanowie bardzo gorąco odradzali mi tego łączenia się z „czerwonymi", zapytałem o radę drogiej żony mojej, przedstawiając jej otwarcie cały stan rzeczy. Bez namysłu odrzekła mi: „przyjąć", to znaczy nie znalazła kandydaturę Witosa za „czerwoną" czy szkodliwą dla kraju. Nie miałem zresztą czego „przyjmować", bo mi teki nie ofiarowano, gdyż Witos nie przyszedł wówczas do steru, lecz objął go min. skarbu Wł. Grabski. Ale niedługo potem, gdy wojska rosyjskie zdążały ku Warszawie, Witos ze socjalistami objął rządy; a choć mnie Bóg ochronił od urzędu właśnie w chwili dla mnie najboleśniejszej, dając klubowi „pracy konstytucyjnej" natchnienie oparcia się kandydaturze mojej, stawianej przez ludowców, to jednak zmysł polityczny dogorywającej nieszczęśliwej żony mojej okazał się w jaśni: Witos stał się wówczas obok Piłsudskiego jedynym w Polsce mężem stanu!

W tymże samym czasie, gdy Naczelnik Państwa, odwołując z biur wojskowych wszystkich oficerów, potrzebnych do obrony Wisły, wezwał publicznie ludność cywilną do zgłaszania się na miejsca tych oficerów, wystosowałem do Naczelnika pismo z goto-

wością wstąpienia do służby pomocniczej. Niestety nie otrzymałem na to wcale odpowiedzi; ale znów mnie Bóg uchronił, bo działo się to w początkach lipca, tuż przed mojem nieszczęściem.

Wolność od urzędu spożytkowałem na dalsze spisywanie niniejszych wspomnień moich. Ale nie ograniczałem się do tej pracy, choćby dlatego, że ona nie zdołała tak zaprzątać mego umysłu zaniepokojonego, i serca zgryzionego widokiem chorej żony, jak lektura lżejsza. Zatapiałem się więc w całym zapasie posiadanych powieści z naszej literatury z połowy XIX wieku. Trudno może lepiej przypomnieć sobie stosunki narodowe i społeczne z końca XVIII i z 1. połowy XIX w. we wszystkich dawnych dzielnicach polskich, a nawet i z wieku XVII-go, jak zatapiając się w powieściach Rzewuskiego, Kaczkowskiego, Korzeniowskiego i Dzierżkowskiego, nie mówiąc o Kraszewskim. Wszystkie te dzieła odnawiałem i pochłaniałem w siebie i pełen miłości dla kraju i z bolu nad umiłowaną żoną: jeszcze ostatniego dnia świętobliwego Jej życia — nie przeczuwając wszakże końca — czytałem z zajęciem Rzewuskiego „Rycerza Lizdejkę", zamiast, jak to sobie do dziś wyrzucam, siedzieć bez przerwy bezpośrednio przy jej łożu. Ale do ostatnich dni także czytałem Jej głośno interesujące ją po za znanemi jej powyższemi powieściami, dzieła, jak np. Szarlitta wspaniałą, wysoce poetyczną monografję Chopina lub pamiętnik francuzki rosyjskiej hrabiny Łapuszyn z czasów Katarzyny, Pawła i Aleksandra I. Toż dziwnym trafem, gdy trumna z najdroższemi Jej zwłokami potrzebowała drobnej podpory, służąca schwyciła powyższe dwie książki, nadające się na ten cel wybornie!

Tak to spędzałem z Nią czas, przy Jej krześle, w pobliżu słonecznego balkonu, byłem Jej sam lub z pielęgniarką pomocnym, nie wiele mówiąc, aby Jej nie natężać. Nawet, gdy uważałem w Jej oczach i ruchach chęć żegnania się ze mną — było to w lipcu — nie miałem ani serca ani odwagi do dzielenia się z Nią tym strasznym bolem! Przebywaliśmy prawie całkiem osa-

motnieni w Warszawie, po tak rozlegle towarzyskiem życiu wiedeńskiem, czasem zajrzał do nas brat mój lub dwie czy trzy osoby ze znajomych. Ona, ciężko a cicho bolejąc nad tem osamotnieniem, zdala od kochanej, licznej rodziny, pytała tylko kilkakrotnie, kiedy odwiedzimy grób jej rodziców. Zrozumiałem za późno, co znaczy to pytanie, zwłaszcza w związku z przypadkową uwagą, że niechce być pogrzebaną w obcej Jej zupełnie Warszawie!... Ale piękna ta stolica była przedmiotem pożądanych Jej wyjazdów tak długo, aż siły Jej i na to już nie starczyły. Jeszcze d. 20 maja wyjeżdżała po raz ostatni do parku w Łazienkach i, jak zawsze, uśmiechała się do zieleni i natury słodko i uroczo; ale nie tylko wsiadanie do powozu i wysiadanie wśród gapienia się gości cukiernianych, lecz nawet przebycie kilku schodów z liftu i do liftu były połączone z tak strasznym dla Niej, a i dla mnie boleśnym trudem, że wreszcie oświadczyłem niemożność dalszych wyjazdów. Później wprawdzie wymyśliłem ku wielkiemu zadowoleniu lekarza wyjazd z używaniem innego liftu, bez schodów i w podwórzu; ale lift ten tak zw. gospodarczy czy kuchenny się zepsuł, ministerstwo robót publicznych nie chciało go dać naprawić i przeto ów wyjazd, jedyna Jej przyjemność, stał się jej ostatnim w życiu. Zresztą — co prawda — i aura się była tymczasem popsuła i zdrowie znikało coraz widoczniej.

W poniedziałek Zielonych Świąt, d. 24 maja wręczyliśmy zaproszonemu rejentowi p. L a n d a u w obecności 6-u świadków nasze testamenty do przechowania sądowego. Ona była przy tem tak miłą i prawie wesołą, jak by nie chodziło o podpisy każdego z nas obojga, wzajemnie ustanawiających się sukcesorami uniwersalnymi na wypadek śmierci. Z każdą z tych 6-u osób (świadkowie byli obcy i nie zbyt wysoce postawieni) żegnała z dziwną, uśmiechu pełną uprzejmością.

Jeszcze słodziej i niemal uroczo zachowała się w trzy dni później, d. 27 maja, przy spowiedzi wielkanocnej, która była niestety już zarazem przygotowaniem do jej wiatyku! Co roku chodziliśmy w Wiedniu razem do spowiedzi, do księży Benedyk-

tynów („Szottów"). R. 1918 już tak trudno i niepewnym krokiem szła od konfesjonału, że nasz młody szlachetny spowiednik wybiegł z konfesjonału, by jej na czas mojej spowiedzi podać krzesło. Przyjmowanie Przenajświętszego Sakramentu, tej najwznioślejszej dla nas zawsze rozrzewniającej rozkoszy dusznej, musiałem mojej biednej towarzyszce życia religijnego być pomocnym w uklęknięciu. Spotkaliśmy się wówczas w kościele z hr. Berchtoldami, którzy przyjmowali św. komunję z okazji jego wyruszenia na front włoski!... Odtąd brakło mi już Jej towarzystwa przed ołtarzem świętym. W r. 1919 musiałam niestety, wbrew jej prośbom, zostawić ją w domu, będąc przekonanym, że nie podoła trudom kościelnym. A że to był ostatni dzień spowiedzi, więc potem już niestety zaniedbało się to naprawić, o co sobie dziś robię wyrzuty. To też tem gorliwiej przygotowałem jej spowiedź w roku 1920. Zamówiwszy w kościele św. Krzyskim (w Warszawie) mszę św. na intencję jej uzdrowienia, uprosiłem spowiednika do domu. Bardzo inteligentny i bogobojny, w średnim wieku kapłan przybył do naszego domu z Chlebem Bożym, któremu staraliśmy się przygotować skromne a strojne przyjęcie. Jedyna moja, ustrojona, była pełna wyrazu szlachetności i bojaźni Bożej. Ja z całą służbą czekaliśmy w czasie spowiedzi w drugim pokoju, a potem byliśmy klęcząc obecni przy Przenajświętszej Komunji. Odprowadzany przezemnie kapłan wyrzekł dla mnie słowa: „Taka milutka staruszka, a taka święta!" W niespełna 7 tygodni tenże sam kapłan dokonał eksportacji zwłok Jej tyle mi drogich z domu i odprawił mszę św. żałobną przy Jej pogrzebie!... Po Jej spowiedzi ja we dwa dni — znowu w ostatni dzień spowiedzi wielkanocnej — poszedłem, znowu sam niestety, do stołu Pańskiego do kościoła pp. Wizytek. A cóż dopiero r. 1921 w całkowitem sieroctwie. w Wiedniu! Gorzkie wtedy przelewałem łzy w kościele Pijarów.

Mieliśmy zwyczaj, w niedzielę i święta czytać wspólnie ewangelję św. ze starej czcigodnej biblji. Jeszcze w d. 11/7 1920 r. czytałem Jej przypadającą ewangelję św. Łukasza, a ona głośno i wyraźnie powtarzała za mną jej słowa. Były to ostatnie wyraźne Jej słowa

i ostatnia wspólnie czytana ewangielja. W biblji zanotowałem po Jej zgonie na str. 130 słowa, krwawiące serce moje: „po raz ostatni w życiu dn. 11 lipca 1920 r. czytała ze mną tę ewangielję moja Juziuńcia, mój świat, moje słońce“ i słowa te odczytuję sobie każdej niedzieli i każdego święta!.. Na kilka dni przedtem dn. 5 lipca 1920 r. natrafiłem, czytając Jej głośno pamiętniki p. Łopuszynowej na ustęp: „Mon Dieu! je veux ce que vous voulez, parce que vous le voulez, comme vous le voulez et autant que vous le voulez“. Z głębokiem rozrzewnieniem powtarzaliśmy sobie te słowa tak pełne chrześcijańskiej pokory przed Bogiem. A w dziewięć dni potem, w d. 14 lipca 1920 r. o g. $^3/_4$ na 10 wieczorem nadeszła najcięższa dla mnie chwila, zastosowania się do tych słów świątobliwych i przyjęcia ich za hasło na dalszą resztkę życia sierocego na tym świecie, gdzie tyle zaznałem z Nią szczęścia, nie dość nigdy cenionego i zrozumianego! — — — Nie łatwo chybaby było podołać obowiązkowi życia samotnego z hasłem powyższem, gdyby nie nadzieja i wiara w życie przyszłe i połączenie się z Nią na szczęście wiekuiste w tej duchów krainie, gdzie niema „ani łez ani rozłąki“. Toż dzień i noc rozmawiam z Nią, z Jej duchem i portretem, przejęty wiarą, że duch Jej szlachetny, którego zmysły moje ludzkie nie zdołają spostrzec, krąży z woli Bożej koło mnie i że Bóg Wszechmocny i Wszechmiłosierny, który mnie przed laty właśnie 50-u obdarzył przed ołtarzem najwyższem szczęściem mojem ziemskiem, raczy mi przed Najwyższym Tronem Swoim przywrócić szczęście wiekuiste!

W sobotę d. 17 lipca 1920 r. pożegnałem na wieki zwłoki najdroższe, do których złożyłem moją fotografję. W kościele Św. Krzyża, gdzie w obecności niewielu bliższych mi znajomych, urzędników i posłów odbyło się nabożeństwo złożyłem zwłoki tymczasowo w krypcie, gdzie je odwiedzałem i opłakiwałem kilkakrotnie; aż w d. 18 października 1920 r. nastąpił jakby drugi pogrzeb: przewóz zwłok na dworzec. W dniu 29 października 1920 r. złożyłem skarb mój najdroższy ostatecznie

w grobie rodzinnym w Cieplicach. Oby mi Bóg Najdobrotliwszy dał spocząć tam u Jej boku!

Do tej epoki mojego życia muszę zaliczyć jeszcze kilkanaście dni, przebytych w Krynicy. Na smutny mój obrzęd przybyła z Krynicy jako jedyna z rodziny mojej bratowa Marjanowa Bilińska, której z tego powodu, winien jestem szczerą wdzięczność. Brat mój Marjan musiał dla złego stanu zdrowia pozostać w Krynicy, każąc mnie bardzo nagląco prosić o przybycie do niego. Nie widziałem w tym projekcie ani czynu całkowicie stosownego w mojem tak bardzo świeżem nieszczęściu, ani środka uspokojenia duszy mojej. Ale dla zdrowia kochanego bardzo, najbliższego mi brata zdecydowałem spełnić jego życzenie, zwłaszcza, że przybyły w towarzystwie mej bratowej dawny mój szef prezydjalny p. szef sekcji Mikulecki obiecał zająć się — acz bezskutecznie — wyjednaniem ułatwień w czasie podróży. Więc wyjechaliśmy 19 lipca wieczorem i przybyliśmy do Krynicy w południe, przyjęci na dworcu przez brata Marjana. Zamieszkałem z braterstwem w willi pani Burzyńskiej w malutkim, ale porządnym pokoiku, gdzie spędziłem właściwie znaczną część czasu na pisaniu podziękowań za niezliczone kondolencje, nadsyłane mi przez poczciwego radcę Szarlitta z Warszawy, dokąd były adresowane, tudzież na czytaniu przywiezionych książek polskich. Codziennie chodziłem do ślicznego kościoła zdrojowego, gdzie przed ołtarzem Matki Boskiej mogłem wśród głębokiej ciszy wylewać żale moje. Bardzo często zwiedzałem część właściwego zakładu zdrojowego, gdzie mimo rażącego mnie naturalnie wesołego ruchu kuracjuszów, mogłem podziwiać piękne budynki i urządzenia, tworzone skutecznie i systematycznie przez dawny rząd austrjacki, w charakterze właściciela Krynicy i jego polskie organa miejscowe. Cała Krynica i jej otoczenie są śliczne. Im więcej mnie raziła przy wspólnych objadach niezwykła hałaśliwość szczęśliwych gości, o tyle spędzałem chętnie popołudnia na spokojnej grze w whista, której zaniechać musiałem dla zajęć, począwszy od lutego 1909 r.

Prócz brata Marjana, p. Mikuleckiego i mnie brał w tych partjach udział późniejszy minister skarbu Dr Steczkowski, już wówczas tak bliski sercu mojemu: spokojem i rozumem odznacza on się przy grze w karty, podobnie jak w fotelu ministerjalnym. Grywaliśmy zwykle u brata, niejednokrotnie zaś także u ministra w pięknym jego apartamencie w „Kurhausie", jeżeli wolno użyć tego wyrazu międzynarodowego. Spacerów nie używałem wiele dla braku i pogody i usposobienia i towarzysza (bo brat był zajęty bardzo kuracją). To też z niecierpliwością wyczekiwałem powrotu do Warszawy, nie chcąc wracać bez brata: miał sam jechać ze mną, ale z powodu zbliżenia się Bolszewików do Warszawy wyjechała z nami także jego żona z córką i zaproszony przezemnie p. Steczkowski. Graliśmy w whista po południu aż do wieczora w wagonie salonowym, który mi kazał przysłać poczciwy ówczesny szef sekcji, a późniejszy znakomity minister kolei, zwycięsca nad strajkiem komunistycznym, niesłusznie dymisjonowany we wrześniu p. Zygmunt Jasiński. Było to 3 sierpnia 1921 r.: koniec epoki mej najboleśniejszej w mojem życiu.

Misja dyplomatyczna w Wiedniu.

W chwili naszego powrotu do Warszawy zbliżała się armja bolszewicka do Wisły, a i w Małopolsce poczyniła takie postępy, że uchodząca ludność musiała być wysyłaną na zachód: między innemi było zapowiedzianych w samej Krynicy 40.000 uchodźców. Z Warszawy miały uchodzić przedewszystkiem banki do Krakowa. „Bank przemysłowy warszawski" zabrał mi, dzięki interwencji mego brata Marjana, naczelnego tej instytucji dyrektora, 7 sztuk moich kufrów z najkosztowniejszemi rzeczami mojemi do przechowania w trezorach krakowskich. Pomieszczono je łatwo w gronie 180 skrzyń bankowych z efektami i księgami. Wyjazd ministerstw przygotowywał się do Poznania: ministrowie mieli wyjechać ostatni. Na szczęście nie było tego potrzeba: dzięki nieustraszonemu męstwu ochotniczych dzieci

warszawskich z księdzem Skorupką na czele — zastrzelonym w pierwszej zaraz bitwie — dzięki wznowionemu pod tem wrażeniem męstwu reszty armji, dzięki genjuszowi wodza Piłsudskiego i jego doradcy szlachetnego, Francuza Weyganda Polska z rządem znakomitego Witosa przetrwała burzę światową i osiągnęła w marcu 1921 r. pod wodzą równie znakomitego członka rządu wiceministra Dąbskiego korzystny pokój w Rydze. Ludność cywilna Warszawy poszła w owym sierpniu 1921 r. po części za przykładem misyj dyplomatycznych, które wszystkie wyjechały do Gdańska lub Poznania. Wyjechał też wówczas do Poznania p. Dmowski ze swoim sztabem politycznym, ażeby pod opieką wielkopolską przygotować samozwańczy rząd na wypadek zwycięstwa moskiewskiego, którego się nasi Endecy widocznie mocno obawiali, jeżeli nie spodziewali. Przedwcześnie wysłany do prasy nowojorskiej telegram o upadku Piłsudskiego i Witosa, tudzież zastąpieniu ich Dmowskim i Dowbór-Muśnickim odkrył światu intrygę, którą tylko w Polsce, kraju dawnych konfederacyj, wolno było urządzić bezkarnie!

W owych dniach była także mowa o moim dobrowolnym wyjeździe z Warszawy. Mimo stanowczych moich przeczuć i przepowiedni zwycięstwa polskiego, znajomi nakłaniali mnie do wyjazdu z uwagi na obawę wzięcia mnie jako zakładnika przez Moskali. Miałem też przytem i sam pewne szkrupuły z uwagi na dwie cudzoziemki (Czeszkę i Niemkę) z dotychczasowej służby mojej drogiej żony, których jużci nie wypadało chyba narażać na niebezpieczeństwa wojenne w obcej im Warszawie. Była wskutek tego chwila, w której poczciwy szef sekcji Jasiński zabezpieczył mi był podróż do Krakowa, gdzie miał się nami w pierwszej chwili zaopiekować zamieszkały tam Dr Henryk Kowalski, wówczas lekarz-jenerał wojsk polskich na emeryturze — mimo jego prac dobrowolnych dla armji nie zdołałem mu niestety wyjednać przyjęcia w stan

czynny — dawniej w Wiedniu nasz ukochany lekarz domowy i przyjaciel, a w nauce i praktyce wojennej słynny bakterjolog. Ale do tego wszystkiego nie przyszło, bo Bóg Wszechmocny, jak dawniej w czasach szczęśliwych, tak i wówczas w ciężkiem nieszczęściu mojem znowu cudem Swoim pokierował losem moim. Dzięki tej Łasce cudownej nie tylko nie potrzebowałem pomnożyć osobą swoją rzeszy wychodźców, której przed sześciu laty byłem pierwszym opiekunem, lecz mogłem nadto udać się otwarcie do Wiednia bez obawy ciężkich zarzutów „emigracji“ i „niemieckości!! Bo oto wieczorem przed owym dniem, w którym mi zatelefonował był p. Jasiński iż będę mógł wyjechać wygodnie za dwa dni do Krakowa, przybył do mnie poczciwy i szlachetny p. Bogdanowicz, odwiedzając mnie jak codziennie od dnia mego nieszczęścia i przyniósł mi wiadomość, że zwróciwszy uwagę p. Daszyńskiego na moje niezliczone stosunki w Wiedniu, przynosi mi do niego zaproszenie na jutro.

Propaganda zagraniczna.

Uprosiwszy tedy na drugi dzień telefonującego mi p. Jasińskiego o jednodniową zwłokę w odpowiedzi na jego łaskawą propozycję, udałem się do pałacu Namiestnikowskiego. Prezes klubu socjalistycznego, p. Ignacy Daszyński, wstąpiwszy do gabinetu Witosa jako wicepremier, zastrzegł sobie u Naczelnika Państwa prawo urządzenia i kierownictwa propagandy polskiej za granicą. Powołany równocześnie na ministra spr. zagr. książę Eustachy Sapieha, do ówczas bardzo słaby ambasador polski w Londynie — z tejże samej przyczyny utrącony z teki jednogłośnem votum nieufności komisji sejmowej dla spraw zagr. w maju 1921 r. — próbował wprawdzie opozycji przeciw propagandzie Daszyńskiego. Wszelako mimo słusznego w zasadzie zarzutu, że propaganda zagr. stanowi część ministerstwa spr. zagr., słabiutki książę nie mógł się ostać wobec siły Naczelnika Państwa i Daszyńskiego.

W chwili, gdy mnie powołał p. Daszyński, biuro propagandy pod jego bokiem już urzędowało z radcą legacyjnym Baranowskim — krewnym mojego najstarszego i najlepszego kolegi szkolnego, znakomitego pedagoga i uczonego Bolesława B. — na czele. Wiceprezes Daszyński mówił ze mną bardzo krótko: podniósłszy moje rozliczne stosunki w Wiedniu, zaproponował mi wyjazd do tej stolicy na razie na sześć tygodni, poczem miałbym, powróciwszy, złożyć sprawozdanie z tego terenu propagandy i ewentualnie objąć ją na dalszych 5 miesięcy. Wszystkie szczegóły miałem omowić z p. Baranowskim. Odrzekłem, że zamiast, jak na to wyglądało, zbijać bezowocnie bruki w Krakowie, wolę służyć Polsce w Wiedniu, dokąd mnie swoją drogą ciągnęło także serce moje zbolałe. Przy tej sposobności stwierdziłem z zadowoleniem, że owego 10-go sierpnia 1920 r. p. Daszyński zapatrywał się na niebezpieczeństwo wojenne z silną dozą odwagi i wiary... Nazajutrz byłem u p. Baranowskiego i znalazłem bardzo dobre przyjęcie, ale za to — nie mogę tego zataić — także brak wszelkiej wskazówki co do programu mojej pracy propagandystycznej. To też gdy w dniu następnym przyszedłem z bruljonem dekretu piśmiennego dla mnie, pozostawiłem wolne miejsce na wskazanie mi programu, czy tematu pracy, czy tezy. Stanęło na tem, może nie bez wpływu mojej rady, żebym otrzymał za zadanie: „zbadać możność i celowość zbliżenia się politycznego i ekonomicznego Austrji z Polską“.*) Program bardzo mi osobiście sympatyczny a zarazem, jak na rządy polskie, złożone zwykle z Austrofobów, sam przez się sympatyczny. Nie był on tyle propagandystyczny, ile raczej polityczny i jako taki musiał być zachowany w tajemnicy; ale właśnie dlatego należało go zamarkować akcją propagandy, której zatajenie nie polecono mi ani ustnie ani pisemnie, zwłaszcza wobec jawnych jej okre-

*) Jak wiadomo, zbliżenie to nastąpiło w roku 1923 z okazji wizyty kanclerza austr. X. Seipla w Warszawie. (Przyp. wydawcy).

śleń z wymienieniem wszystkich nazwisk wysłanników w dziennikach warszawskich. Jedno tylko polecenie otrzymałem ustnie i, znowu na mój własny wniosek, pisemny: utrzymanie ścisłego związku z posłem polskim w Wiedniu.

Kilka dni minęło na przygotowaniach: dekretu i paszportów, wysłaniem kufrów, zabezpieczenia miejsca w sypialnym wozie, tudzież mieszkania w Wiedniu, aż wreszcie ustanowiono wyjazd na noc z d. 14-go sierpnia 1920 r. Dziwny zbieg okoliczności. Był to dzień najkrytyczniejszy w dotychczasowym przebiegu wojny: awangarda rosyjska stała już tuż przed Pragą, cały dzień przejeżdżały automobile wojskowe i armaty, przez miasto przebiegały oddziały wojsk męskich i żeńskich(!!), zresztą miasto jakby wymarłe, tylko na Placu Saskim czyniono na setkach wozów przygotowania do przesiedlenia sztabu czy też ministerstwa wojny. W taką to noc wyjechałem z Warszawy, dowiedziawszy się przedtem, że wozu sypialnego do pociągu wiedeńskiego już owej soboty nie miano dodać, a tylko ze względu na moją podróż urzędową zmieniono to postanowienie, wykluczając swoją drogą dodanie drugiego zwykłego wozu II klasy. Około g. 10-tej wieczorem przybyliśmy z mojemi dwiema osobami służebnemi, w towarzystwie dobrego p. Bogdanowicza na dworzec warszawsko-wiedeński, gdzie zastaliśmy istne piekło. Nie tysiące, lecz dziesiątki tysięcy osób, mężczyzn, cywilnych, a zwłaszcza wojskowych, kobiet i dzieci przeciskało się w istnej gorączce między pociągami, których odjazdu nie można się było doczekać. W naszym pociągu brakło do północy zapowiedzianego wagonu sypialnego; po nadejściu został formalnie prawie przemocą zdobyty przez kogokolwiek, czy z kartami sypialnemi czy bez nich. Przy pomocy p. Bogdanowicza dostały się także moje towarzyszki do tegoż wagonu, gdzie musiały spać w sieniach na podłodze, opłaciwszy z mojej kieszeni należytość za sypialnię. Kufry nasze, nadane dniem przedtem i zaasekurowane za ogromną opłatą, nie dały się rozpoznać w całym legjonie zwożonych w oczach czekającej publiczności bagaży. Jeszcze w domu mu-

siałem niestety się dowiedzieć, że urzędnik zapisał moje bagaże zamiast do Wiednia do Bydgoszczy, czego mój służący nie spostrzegł. Stwierdził to dopiero będący u mnie wtedy na kolacji radca Szarlitt, któremu się też nazajutrz udało sprawę pomyślnie załatwić. Mimo to dopiero w 10 dni później rzeczy nadeszły do Wiednia, i te przez ręce oddanego mi z dawna wyższego urzędnika kolejowego, p. Menkesa, który wyjechawszy osobiście aż do granicy polsko-czeskiej, odnalazł kufry, spokojnie złożone w stacji granicznej czeskiej Oderberg (Bogumin). Dostanie się do Wiednia, nie było w owych dniach rzeczą tak prostą. Wsiadłszy w Warszawie po wielu trudach do wagonu, położyłem się wkrótce do łóżka, a wstawszy rano około g. 8., zapytałem służby, czy daleko do Trzebini, skąd część naszego pociągu (krakowskiego) miała się odłączyć gwoli połączenia z pociągiem paryskim i wiedeńskim. Odpowiedziano mi, że przez całą noc nie dojechaliśmy nawet do pierwszej stacji, do Skierniewic. Jechaliśmy bardzo powoli lub wcale nie; ale za to jechały przez całą noc, często przy pomocy odczepionej z naszego pociągu lokomotywy, pociągi wojenne z wojskiem, armatami lub tankami. Warto dla takich celów było nam jechać żółwim krokiem. Takim samym sposobem dostaliśmy się przez dzień niedzielny, aż pod noc do następnej stacji Koluszki, podziwiając w drodze często dzielnych żołnierzy naszych, siedzących nawet na dachach przepełnionych pociągów przejeżdżających. Jadąc tak powoli, przybyliśmy w poniedziałek rano do Częstochowy — tak zawsze w Warszawie przezemnie upragnionej i na pierwszą podróż urzędową bezskutecznie przeznaczonej — a dopiero w południe do Trzebini. Tam po raz pierwszy od soboty wieczorem udało nam się zdobyć w silnym ataku jakąś ciepłą potrawę i szklankę piwa, poczem wóz nasz sypialny został z polecenia „compagnie des wagons-lits“ zabrany pociągiem do Oderbergu, zkąd już powoli, ale normalnie połączyliśmy się pociągami osobowemi do Wiednia. Przebyliśmy jeszcze — nie osobiście, bo chroniły nas mój pasz-

port dyplomatyczny i polecenia czeskie i austrjackie — kilkakrotne, wielogodzinne rewizje cłowe, także piekiełka w najstraszniejszem tego słowa znaczeniu — najłagodniejsze jeszcze w Oświęcimie polskim, najsroższe w Lundenburgu czeskim (mimo zaludnienia niemieckiego), dawniej jakoby przedmieściu wiedeńskiem. Po upływie trzech nocy i dwuch dni przybyliśmy we wtorek rano d. 17 sierpnia do Wiednia, gdzie zajechaliśmy do przygotowanego dla mnie mieszkania w hotelu Imperial, w którym odwiedziły nas wkrótce pani i panna Seiche z rodziny najdroższej żony mojej.

Nie potrzebuję chyba zapewniać, jakie uczucia opanowały zbolałe serce moje przy wjeździe do Wiednia, gdzie przeżyłem najszczęśliwszych lat 36 u boku niezrównanej małżonki i na najwyższych pozycjach politycznych. Nie miałem jednak czasu, oddawać się zbytnio żalowi, bo już tuż po mojem przybyciu zaczęło mnie odwiedzać liczne grono znajomych a zwłaszcza dziennikarzy. Czyż mogłem przeczuwać, że te odwiedziny zgubią całą moją misję?! Prócz reprezentantów i redaktorów wielkich dzienników zgłosiło się do mnie dwóch młodych ludzi z „Dziennika wiedeńskiego". Właśnie ta ich młodość i polskość na gruncie wiedeńskim skłoniła mnie do dłuższej, otwartszej rozmowy: opowiedziałem im (dla zamaskowania misji), że mam prowadzić w Wiedniu propagandę, ale sam jeden bez osobnego urzędu, tak jak n. p. pp. Askenazy w Szwajcarji a Diamand w Berlinie, poczem rozmawiałem o innych sprawach, nie przewidując wcale, by tu chodziło o wywiad, którego odmawiam z zasady. W parę dni później otrzymałem szkic formalnego wywiadu przez ręce protektora tych redaktorów bar. Lipowskiego, dawnego mego urzędnika bankowego, zięcia jenerała hr. Geldern, któregośmy poznali i spotykali często u bardzo gościnnej pani Ochockiej-Rey, dalekiej powinowatej mojej. Niechcąc już zniechęcać młodych redaktorów, skreśliłem tylko większą część artykułu, przeoczając swoją drogą w jego napisie słowa: „urząd propagandy". Zaraz pierwszego

dnia pobytu mego w Wiedniu zgłosiłem się do znajomego mi posła Szaroty, przedstawiając mu mój dekret. Niemile dotknięty tą misją, zarzucił mi, że wszakże on sam tę propagandę prowadzi; ale na moją uwagę, że jużci ja nie spowodowałem misji, stanęło na tem, że będziemy wszystko robili wspólnie i do wszystkich władz chodzili razem, o ile tego zajdzie potrzeba. Tymczasem miałem studjować liczne przesłane mi z poselstwa akta. Zalecone w dekrecie dla mnie oddanie mi do dyspozycji pokoju i sił pomocniczych p. poseł uchylił, odsyłając mnie do nieobecnego p. Twardowskiego, który na 2-gim piętrze prowadził likwidację. Pan Twardowski, powróciwszy z urlopu, kazał natychmiast mi urządzić dwa pokoje: dla mnie i mego sekretarza prowizorycznego (bezpłatnego) radcy ministerjalnego Janickiego. Licząc na wspólność pracy, zaproponowałem posłowi Szarocie wspólną naradę nad zakupami rządowemi w Wiedniu z panem Krupskim i nad sprawą prasową, bo jedno i drugie było ważnem dla propagandy polskiej, jedno ujemne, drugie dodatnie. Zgodził się na to p. poseł, ale potem obrażony był na mnie za te narady, jak niemniej za lokal, otrzymany z jego własnej porady. Zaraz potem zaczęły pojawiać się w prasie zagranicznej telegramy, z powtarzaną upornie wiadomością, że ja mam godzić Polskę z Niemcami. Temat, jak nie potrzebuję dodawać, wielce niepopularny w Warszawie, gdzie też po moim odjeździe do Wiednia, dzienniki endeckie rozpoczęły na mnie nagonkę. Bo trzeba wiedzieć, że moja misja została zatwierdzoną w Radzie Obrony pod przewodnictwem Naczelnika Państwa wszystkiemi przeciw jednemu głosami; ale ten jeden głos pochodził od hr. Skarbka, mego dawnego i niezmordowanego wroga politycznego. Gdy zaś wkrótce pojawił się „wywiad“ w „Dzienniku Wiedeńskim“ i tego samego dnia zaraz został przedrukowany w warszawskiej endeckiej (p. Paderewskiego) „Rzeczypospolitej“ — reprezentant wiedeński „PAT“-a (polskiej agencji telegraficznej) nie mógł o własnej sile tak przyspieszyć publikacji — wdro-

żono całkiem zorganizowaną nagonkę na mnie. Endecja codziennie dobierała się do teki p. Daszyńskiego za tworzenie „urzędów“ propagandy, p. poseł wysłał swego zastępcę p. Henzla do Warszawy ze skargą na mnie (sam p. Daszyński mi opowiadał, że p. Henzel podniósł niemożliwe skargi) i wkrótce nadszedł z Warszawy podpisany przez p. Baranowskiego telegram do poselstwa, z poleceniem dementowania w prasie wiadomości o „urzędzie“ propagandy. Nie przeczuwając wówczas jeszcze całokształtu nagonki i jej kierownictwa przez poselstwo, prosiłem p. Szarotę o wstrzymanie dementi aż do odpowiedzi rządu na mój telegram, który zaraz wystosowałem do p. Daszyńskiego. Podniosłem tam, że nigdy nie twierdziłem przed kimkolwiek o „urzędzie“ i że dementi podkopie moje stanowisko. Tymczasem p. poseł dementi opublikował a zaraz potem nadeszła do mnie odpowiedź p. Daszyńskiego, że misja jest tajną i nie znosi wywiadów. Poszedłem z tym telegramem do p. Szaroty z prośbą, o określenie, co znaczy w języku dyplomatycznym wyraz misja „tajna“. Odrzekł mi na to, że to znaczy, iż on oficjalnie nic nie wie o mnie, a ja o nim. Na mój zarzut, jak taka „tajność“ miała się godzić ze ścisłą naszą współpracą, przepisaną moim dekretem i z jego planem, chodzenia w razie potrzeby wspólnie po ministrach i dyplomatach, odrzekł, że konferencje o zakupach i o prasie nie były zgodne z jego stanowiskiem i że ambasador francuski był u niego z zapytaniem, co znaczy moje biuro w gmachu poselstwa! To znaczy, że sam p. poseł Szarota sprowokował to zapytanie, tak samo, jak kampanję prasową w Warszawie.

Odszedłem — z pożegnaniem na dłuższy chyba czas — i wolny od pęt „współpracy“ z posłem, rzuciłem się w odmęt pracy, zdolnej ułatwić mi wykonanie mego zadania. Z wszelką swobodą i bez żadnych utrudnień rozmówiłem się na szeroką skalę z b. kanclerzem państwa, ówczesnym sekretarzem stanu dla spraw zagranicznych Dr Rennerem, zaprzyjaźnionym mi

z czasów parlamentu austr., z Dr Cerovic'em, gen. konsulem serbskim, dawniejszym sekretarzem moim prezydjalnym w min. wspólnem skarbu i z Dr Pestą, sekretarzem stanu kolejowym, dawniej za mego drugiego ministerstwa austr. oddanym mi szefem prezydjalnym ministerstwa kolei. Uporządkowawszy materjał z tych rozmów, zamierzałem zgłosić się do posła francuskiego, ażeby z nim omówić program, który przygotowywałem dla rządu polskiego z zastrzeżeniem poparcia i wykonania go przez najbliższą już wówczas Polsce Francję. Ale i tego nie mogłem przeprowadzić, bo koalicja b. lewicowego posła wiedeńskiego z endecją warszawską tak silnie dopiekła p. Daszyńskiemu, że czuł się zmuszony odwołać mnie telegraficznie przed czasem. Zamiast więc, jak było przewidziane, około 20 września wyjechałem z Wiednia d. 8 września, nie zaniedbawszy przedtem jeszcze pod ciepłem wrażeniem wyżej wspomnianych rozmów naszkicować sprawozdanie moje dla rządu.

Do tego niezasłużonego zerwania stosunków moich urzędowych z Polską przyłączyła się otrzymana jeszcze w Wiedniu na parę dni przed odwołaniem, wiadomość o wymówieniu mi przez rząd (min. robót publ.) mieszkania warszawskiego. Niejedno wspomnienie przeżytych lat szczęśliwych ciągnęło mnie już dłużej do Wiednia; niejedno też boleśne wspomnienie krzywd i nieszczęść odgradzało mnie od Warszawy, do której ongiś dążyłem z sercem, przepełnionem entuzjazmem. Ale pozbawienie mnie mieszkania, acz świadka ciężkiego nieszczęścia mego, stało się faktycznie jakby przymusowem wydaleniem mnie ze stolicy Polski, boć o uzyskaniu mieszkania innego nie było nawet co marzyć. I ta wiadomość z Warszawy przechyliła w sercu mojem szalę na stronę Wiednia, w którym można się było łatwiej stosunkowo osiedlić niż we Lwowie. Kazałem przeto oświadczyć rządowi, że jestem gotów opuścić mieszkanie z końcem października (to znaczy o jeden miesiąc później niż żądano, jeżeli otrzymam od min. kolejowego tech-

niczną możliwość, przewiezienia zwłok śp. żony mojej do Cieplic a ruchomości moich do Wiednia.

Dnia 10 września zgłosiłem się u wiceprezesa gabinetu p. Daszyńskiego. Pan Daszyński, zaznaczywszy niemożliwe przeciw mnie oskarżenia p. Henzla, przyjął mnie z uwagą, że delegując mnie do Wiednia, zapomniał niestety, iż mnie tam znają wszyscy dziennikarze i naturalnie opadną mnie odrazu, to znaczy, że gdyby był o tem wtedy pomyślał, nie byłby by mnie był wysłał. Dziwne qui pro quo! Bo ja sądziłem, że mnie rząd wysyła do Wiednia właśnie ze względu na moje tam znajomości i stosunki. Toż tym stosunkom mam do zawdzięczenia, że zaraz pierwszego dnia (17 sierpnia), gdy bolszewicy ostrzeliwali jeszcze Pragę, mogłem drogą „N. fr. Presse“ zapewnić społeczeństwo niemieckie, że naród polski i jego armja wyjdą z tej wojny zwycięsko. W tej chwili dopiero całe dziennikarstwo wiedeńskie, doówczas informowane pessymistycznie przez poselstwo nasze, stanęło gorąco po stronie Polski, walczącej za cywilizację. I w tym samym czasie delegat naszego min. spr. wojskowych w Wiedniu p. Dr Lewenstam doniósł swemu ministerstwu, że dopiero moja interwencja uratowała honor armji polskiej wobec opinji publicznej nietylko w Austrji, ale ze względu na światowość „N. F. Presse“ niemal na całym świecie!.. Tego wszystkiego nie opowiadałem naturalnie p. Daszyńskiemu, jeno poprosiłem go o zwolnienie mnie z obowiązków w urzędzie propagandy, z uwagi na skuteczną nagonkę, jaką wobec niego urządziła na mnie koalicja Endecji z poselstwem polskiem w Wiedniu. Pan Daszyński bardzo uprzejmie obiecał rozważyć moją prośbę i na nią odpowiedzieć, skoro złożę piśmienne sprawozdanie z mej misji.

Na drugi dzień, dnia 11 września 1920 r. podyktowałem w biurze PAT-a za uprzejmem zezwoleniem tegoż dyrektora Grotta obszerne sprawozdanie i zaraz ztamtąd wysłałem je

do p. Daszyńskiego w tekscie, którego odpis dołączam*). Jeden egzemplarz tego sprawozdania wręczyłem za pośrednictwem p. Bogdanowicza panu wiceministrowi spr. zagr. Janowi Dąbskiemu, dobremu memu znajomemu politycznemu. Zależało mi bowiem na tem, ażeby o wyniku misji mojej było także poinformowane ministerstwo spr. zagr. a to ze względu na obiegające Warszawę bajki o moich w Wiedniu niepowodzeniach, o których mówił mi kochany p. Szarlitt. Pan Dąbski zaprosił mnie wkrótce do siebie, ażeby mi powiedzieć, że rząd polski dotychczas nie wiele jeszcze otrzymał od posłów swoich zagranicznych podobnych sprawozdań jak moje.

Ale jeszcze na jednym szczególe bardzo mi zależało. Przypomina sobie czytelnik, że po dymisji oskarżył mnie p. Głąbiński o nieprzyjaźń dla Ententy; a nawet francuzki ambasador z moich czasów oskarżał mnie o to samo przed radcą Perłowskim jeszcze przed moją dymisją. Nie chcę tu ponownie rozbierać kwestji stosunku Ententy do Polski, boć niezawodnie aż do wiosny 1917 myślałem o niej, acz w szczupłych ramach terytorjalnych, i działały dla niej więcej mocarstwa centralne. Ale któż rozsądny zdoła zaprzeczyć, że gdy najprzód mocarstwa centralne, przy pomocy Legionów polskich, powaliły Moskwę, a potem rewolucja powaliła tam carat i obwołała przez usta Kiereńskiego wśród manifestacyjnej uroczystości Polskę niezawisłą, Ententa przeprowadziła myśl Polski niezawisłej, zjednoczonej w szerokich stosunkowo granicach. I znowu nie chcę rozbierać bliżej kwestji, jak poszczególni członkowie Ententy byli czynni przy wytyczeniu tych granic, boć Śląsk jeden i drugi, Gdańsk, Galicja Wschodnia, linia Curzona i Wilno opowiadają nam dość o „miłości“ np. Anglji dla Polski „zjednoczonej“. W maju 1921 r. w czasie powstania Korfantego na Śląsku Górnym nawet i Włochy przeszły na stronę naszych „przyjaciół“ na modłę Lyod George'a, który

*) Patrz dodatki na końcu książki: załącznik K.

nie umie rozróżnić „Galicję“ od „Cylicji“, a o stosunkach narodowościowych na Śląsku Górnym przemawia publicznie, zanim, jak sam potem przyznaje, otrzymał urzędowe dane statystyczne, nie mówiąc już o monografiach, nieznanych temu „księgofobowi“. Ale — Francja zawsze i wszędzie od czasu noty Kiereńskiego i aż po dzień dzisiejszy, tak dla nas krytyczny na Śląsku, stoi twardo przy swej przyjaźni dla Polski! Ja zaś jestem z tego dumny, że w d. 11 września 1920 r. miałem fachową niejako sposobność przyznania się w swojem sprawozdaniu dyplomatycznem z mej czynności propagandystycznej w Wiedniu do zaufania w politykę Francji, bezpośrednio czy, jak w mem sprawozdaniu, pośrednio przychylną i korzystną dla Polski. Że mimo to, jak dowiodę później, Ententa jeszcze do dziś uważa mnie za wroga, to nie zmienia mojej opinji o Francji i mojego do niej przywiązania.

A p. Daszyński? Nie wiem czy miał czas i sposobność do przeczytania mego sprawozdania, i nie mam do tego jako były tylekroć minister pretensji. Ale miałem pretensję, by p. Daszyński, stosownie do swego przyrzeczenia, potwierdził mi — bez pochwały, a ewentualnie z naganą — otrzymanie sprawozdania i oficjalnie uwolnił mnie z urzędowania. To się wcale nie stało. Podobnie jak ongiś 1918/19 r. nie odwołano mnie wcale z urzędu członka konferencji poselskich, tak i 1920 r. zaniedbano wobec mnie najprostszych form towarzyskich, jeżeli już nie urzędowych! A właśnie p. Daszyńskiemu byłoby to było do twarzy; bo skoro miał czas, nawiedzać mnie we Wiedniu dołączanemi tu (3 sztuki) telegramami i komunikatami*), dobijającemi po dymisji

---

POSELSTWO POLSKIE
w Wiedniu III. Rennweg 1
Telefon 203 i 240

Wiedeń, dnia 30. sierpnia 1920

Ściśle poufne!

L. 63/S

Do J. E. JWP. Dra Leona Bilińskiego w Wiedniu.

Niniejszem mam zaszczyt zakomunikować JWPanu treść telegramu szyfro-

z urzędu ministra skarbu do reszty moją reputację polityczną, to godziłoby mu się było, zakończyć formalnie stosunek urzędowy ze mną. W szczególności nikt sprawiedliwie myślący nie zapozna

---

wego w sprawie Jego misji, otrzymanego wczoraj wieczór z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

„Proszę zawiadomić Dra Bilińskiego: Misja Pańska ma charakter poufnej misji badającej, nie mającej wchodzić w niczem w kompetencje Poselstwa. Proszę wstrzymać się od wszelkich interwiewów i wystąpień na zewnątrz. Jak było postanowione, po sześciu tygodniach od wyjazdu oczekuję osobistego sprawozdania w Warszawie...

Prezydjum Rady Ministrów. Daszyński.

(Pieczęć) 29. VIII. Polexterne Nr. 5."

Dr. M. Szarota.

POSELSTWO POLSKIE
w Wiedniu III. Rennweg 1
Telefon 203 i 240

Wiedeń, dnia 3 września 1920.

Ściśle poufne!

No. 71/S.

Do Jego Ekscelencji JWielmożnego Pana Dr. Leona Bilińskiego
b. Ministra Skarbu w Wiedniu.

Niniejszem mam zaszczyt zakomunikować JWPanu treść telegramu szyfrowego, otrzymanego dziś z Ministerjum Spraw Zagranicznych w sprawie Jego misji:

„Proszę zakomunikować Panu Bilińskiemu: Chwila obecna nie pozwala na rozwinięcie misji określonej w Pańskich pełnomocnictwach. Nie przesądzając przyszłości, zechce Pan zatem powrócić zaraz do Warszawy dla ustnego porozumienia. Prezydjum Rady Ministrów. Daszyński.

(Pieczęć) 2/IX Polexterne Nr. 6."

Dr. M. Szarota.

Komunikat prasowy Poselstwa Polskiego w Wiedniu, zaprzeczający misję Dr. Bilińskiego, poruczoną mu przez Daszyńskiego.

Keine polnische Propagandastelle in Wien.

Im Auftrage des Ministerratspräsidiums in Warschau stellt die Polnische Gesandtschaft in Wien fest, dass die in letzter Zeit aufgetauchten Gerüchte, als wäre der ehemalige Finanzminister Dr. Biliński mit der Errichtung einer polnischen Propagandastelle in Wien betraut worden, der Wahrheit nicht entsprechen*). Da eine derartige Stelle in Wien überhaupt nicht geschaffen wurde, ist es klar, dass Dr. Biliński mit einer solchen Mission nicht betrau werden konnte.

*) Porównaj wyżej pismo Poselstwa Polskiego z daty 3 września 1920 r.

kompromitującej mnie zwłaszcza we Wiedniu sprzeczności między nakazanym z Warszawy komunikatem, a podpisanym przez samego p. Daszyńskiego i przez niego spowodowanym dekretem mojej misji do Wiednia.

Powrót do Wiednia.

Po powrocie do Warszawy i załatwieniu sprawy propagandy zabrałem się z całą siłą do zwinięcia mego tamtejszego osieroconego domu, tudzież do uregulowania tamtejszych interesów moich. Niemała była naturalnie sprawa pakowania mebli. Dostarczeniem wozów do Wiednia i wozu do Cieplic dla zwłok ś. p. żony mojej, zajął się najpoczciwszy pan szef sekcji Jasiński, późniejszy minister kolei. Obrachunek z kosztów pierwotnego odnowienia mieszkania naszego zrobiłem w osobistej konferencji z radcą Fijałkowskim, z ministerstwa skarbu ongiś dzielnym prezydjalistą moim i złożyłem do rąk jego obliczoną godziwie należytość moją. W przeniesieniu emerytury mojej do Wiednia byli mi pomocni pp. dyrektor departamentu budżetowego w min. skarbu p. Zaczek i szef sekcji p. Eysymontt (Litwin!). Przyjąwszy boleśną rolę uniwersalnego sukcesora po niezrównanej żonie mojej, musiałem ciężkie dla zrozpaczonego serca mego odbywać interwencje: u notarjusza, bardzo doświadczonego p. Landau'a, mojego przedtem doradcy testamentarnego, w sądzie u adwokata Dra Maryńskiego (tęgiego prawnika z Galicji i Wiednia) i u szefa sekcji min. skarbu, bardzo znakomitego jeszcze z czasów wiedeńskich Kozubowskiego w sprawie podatku spadkowego, którego zapłata stanowi warunek wręczenia spadku. Wszystko to załatwiałem osobiście i łatwo, dzięki nie tylko świetnemu w Warszawie telefonowi, lecz także wielkiej bardzo uprzejmości wszystkich powyższych panów. Paszportami zajął się przyjaźny mi bardzo pan minister Bertoni. Ale gdy czego gdziekolwiek zabrakło, uzupełnił to nieodstępujący mnie p. Bogdanowicz. Wizyt nie robiłem poza ministerstwem skarbu i p. Bertonim nikomu: wszystkim

bliższym mi trochę osobom rozesłałem krótkie listy pożegnalne. Naturalnie żegnałem się osobiście z braterstwem Marjanami, z nim nawet trzy razy: raz w banku przemysłowym, gdzie mu jako naczelnemu tam dyrektorowi oddałem formalnie zarząd majątkiem moim w Warszawie — bo chciałem i chcę nadal pozostać i na tem polu obywatelem polskim — drugi raz w domu u niego i u niej, po raz trzeci na dworcu, gdy przypadkowo równocześnie ze mną wyjeżdżał do siedziby swojej w Kaliskie. Pożegnanie z braterstwem, jedyną bliższą mi rodziną, było mi ciężkie! Ona bardzo odradzała wyjazdu do Wiednia, on się nań godził rebus sic stantibus. Pp. Sawiccy i Mikuleccy byli tak uprzejmi, złożyć mi wizytę pożegnalną. Na dworzec odprowadzili mnie p. Mikulecki i jak zawsze wierny p. Bogdanowicz; nie mógł niestety przybyć dziś nieszczęśliwy p. Szarlitt (w kwietniu 1921 r. zmarła mu niespodziewanie młoda ukochana żona) a to z powodu nieporozumienia z mej strony telefonicznego (podałem mu był godzinę mylną).

Ostatnie dnie przed wyjazdem były i boleśne i niewygodne. Boleśne, bo pragnąc przed wyjazdem moim zabezpieczyć przewóz zwłok Najdroższych, zarządziłem eksportację na dworzec w poniedziałek d. 18 października w obecności mojej, p. Bogdanowicza, Karli i Liny. Niewygodne, bo nietylko rozpoczęte zaraz nazajutrz pakowanie mebli i skrzyń było samo przez się męczące, ale głównie dla tego, ponieważ we czwartek musiały być zapakowane już także łóżka z pościelą, a w żadnym pensjonacie nie można było otrzymać pokoju na nocleg. I tylko dzięki faktowi, że służącej naszej Linie z okazji jej zamęścia darowałem był trochę mebli i naczynia, które zostały jeszcze w mieszkaniu mojem, mogłem przy jej pomocy przebyć w niem dwie noce i obejść się bez restauracji. W sobotę dnia 23 października 1920 r. wyjechałem nocą z Warszawy na zawsze; tym razem odbyła się jazda bez spóźnienia; w Piotrowicach — dawnej polskiej, a obecnie Czechom przyznanej stacji — dopędziłem i oglądałem wóz z resztkami najdroższego Skarbu mego, a w niedzielę dnia 24

paźdz. nocą, a raczej już po północy (więc 25 paźdz.) przybyłem do Wiednia. W kilka dni udałem się do Cieplic, ażeby spełnić ostatni w mem życiu ciężki a drogi obowiązek wobec uwielbianej, niezrównanej towarzyszki życia mego, o czem swego czasu pisałem.

Konferencja w Portorose.
Likwidacja Banku austro-węgierskiego.

Aż do dnia 10 stycznia 1921 r. przechodziłem istne piekło dantejskie z walką o mieszkanie. Znalazłszy je nareszcie zajmowałem się najprzód przeistoczeniem naszego dawnego wspólnego testamentu na zastosowany do ustaw austrjackich testament niemiecki, zgodny z wolą mojej Jedynej — a poza tem kontynuacją pracy nad temi tu „Wspomnieniami". Praca ta nie doznawała przerwy znaczniejszej, boć uważam ją także ze względu na moją intencję za pracę dla dobra Polski, choć może nieudolną. Nagle 10 stycznia 1921 r. zawitała do mnie pierwsza z Warszawy jaskółka: bardzo pochlebne pismo p. ministra skarbu Dr. Steczkowskiego z d. 4 stycznia, w którym prosi mnie o doniesienie telegraficzne, czy chciałbym przyjąć godność delegata rządu polskiego (min. skarbu) na projektowaną konferencję handlową i finansową państw sukcesyjnych. Naturalnie przyjąłem tę misję, dającą mi możność służenia Polsce poza jej granicami.

Może nie od rzeczy będzie opisać zaraz tutaj losy tej konferencji. Już późną jesienią pojawiły się były w prasie wiadomości o konferencji, któraby miała zbliżyć pod względem ekonomicznym wszystkie państwa sukcesyjne (Austrję, Czechy, Jugosławię, Polskę, Rumunję, Węgry i Włochy) i uregulować ich wzajemne stosunki. Według pierwszej wiadomości mieli Czesi zaprosić konferencję i to najprzód do Preszburga (w dawnych Węgrzech), potem do Marjenbadu; później zaprosiły ją Włochy do Portorose (w dawnej Istrji austrjackiej). Miała się ta konferencja zebrać: najprzód z końcem stycznia 1921 r., potem w lutym i w marcu; gdy później Włosi zwołali konfe-

rencję przygotowawczą do Rzymu, odroczano Portorose z miesiąca na miesiąc, aż wreszcie postanowiono zwołać ją na 2 lipca. Acz chętny do usług Polski, byłem osobiście dość skwaszony już samą myślą wyjazdu w strony Adryatyku, gdzie tyle chwil szczęśliwych przeżyłem z niezrównaną żoną swoją. W miarę coraz to nowych odroczeń przybywała dla mnie obawa, że wyjazd na konferencję może wejść w kolizję z sprawą drugą: wielką pracą, powierzoną mi przez min. Steczkowskiego.

Tymczasem zaczęły mnie z Warszawy dochodzić słuchy, jakoby ministerstwo spraw zagranicznych robiło p. Steczkowskiemu trudności co do kandydatury mojej jako delegata na tą konferencję. Jakkolwiek zapewniono mnie zarazem kilkakrotnie, że p. minister opiera się twardo tym zakusom, stanęło o mnie postanowienie, że ani nie wolno mi narzucać Polsce usług moich, ani tem mniej wolno mi narażać tyle drogiego mi p. Steczkowskiego na nowe w jego ciężkiem zawodzie kłopoty. Toż już w kwietniu wystosowałem doń list z prośbą, by mnie zechciał zwolnić od obowiązku jazdy do Portorose, na co otrzymałem odpowiedź uprzejmą z potwierdzeniem, że istotnie były pewne trudności. O tych trudnościach dowiedziałem się znacznie później. Oto misji mojej sprzeciwił się poseł włoski w Warszawie p. Tommasini, i to, jak on twierdzi, poduszczony przez Austrję, której jakoby niewygodną była moja czynność w likwidacji Banku austro-węg. Niezbyt mi trafiła do przekonania ta ostatnia interpretacja; wierzyłem raczej, że „przyjaciele“ moi w ministerstwie spraw zagr., tj. sam minister Sapieha i szef sekcji Okęcki zamówili sobie tę odmowę u posła włoskiego, którego musieli bez tego pytać o „agrément“ z powodu przynależności Portorose do Włoch. A że p. Tommasini z zamiłowaniem przybiera w Warszawie pozę dawnych „rezydentów“ moskiewskich w epoce przedrozbiorowej — przypominam tylko przymusowe przez silnego zresztą prezesa Witosa wypędzenie z urzędu szefa departamentu politycznego w min. spr. zagr., zasłużonego weterana politycznego p. E. Piltza — przeto chętnie spełnił życzenie moich „przy-

jaciół". Bóg widzi, że życzenie to ich, jeżeli podejrzenie moje jest słuszne, zgadzało się z życzeniem mojem własnem! Tak to się stało, że pod wpływem energicznego żądania min. Steczkowskiego dekret na delegata do Portorose został dla mnie wygotowany i przez ks. Sapiehę podpisany, ale zarazem unieważniony przez dodanie przypisku ołówkiem: „poseł Tommasini się sprzeciwia". W końcu może zresztą moje podejrzenie jest przecież niesprawiedliwe, bo z innej strony znowu otrzymałem wiadomość, że poseł włoski „dwa razy" odmówił agrément dla mnie. Z tego możnaby wnosić, że samo ministerjum spr. zagr. jeszcze raz próbowało mnie „wyratować". Jeżeli tak było, to chętnie cofam swoje zażalenie i wdzięczny jestem za bezskuteczność tej „obrony", która byłaby mnie wepchnęła w grono dyplomatów, z fachu mało mi jako niedyplomacie znanych, a z przekonań ententowych niesłusznie mi nieprzyjaznych. Uniknąwszy tego z przyjemnością, nie mogę naturalnie wstrzymać się od uwagi, że ex re Portorose obeszli się ze mną w Warszawie całkiem na tej samej linji, jak r. 1918/9 przy misji wiedeńskiej, a choćby i 1919 r. przy moim urzędzie ministerjalnym!

Może mi wolno mieć nadzieję — ale chyba nie całkiem pewną! — że zajęcie moje obecnie urzędowe ostatnie, chyba że zapewne w życiu ostatnie, zakończy się bez cechy tragicznej. We dwa dni po 10 styczniu 1921 r., mianowicie 12/I 1921 r. zgłosili się do mnie dwaj kurjerzy z Warszawy, urzędnicy P.K.K. Pożyczkowej z pismem p. ministra Steczkowskiego z dnia 6/I 1921 r. zapraszającem mnie w tonie bardzo serdecznym do objęcia urzędu delegata polskiego przy likwidacji banku austr.-węg., z żądaniem niemal błagalnem wzięcia udziału w konferencji odnośnej już na drugi dzień tj. 13/I 1921 r. Kurjerów, którzy mi służyli potem przez kilkanaście dni bardzo skutecznie przy pracach bankowych (pp. dyrektora Mokrzyckiego i młodego Dr. Ramułta) wprowadził do mnie dotychczasowy delegat p. Dr. Binder, mój dawny kolega z parlamentu i przezemnie w jesieni

1919 r. ustanowiony zastępcą ministerstwa skarbu we Wiedniu, de jure sędzia przy Najwyższym Trybunale Administracyjnym. Przykro mi było, odbierać z rąk p. Bindera delegację do likwidacji, co też wyraziłem otwarcie; ale jużci nie mogłem się wdawać w cichy konflikt, który podobno wywołało między ministerem skarbu a tegoż zastępcą tutejsze nasze poselstwo, chętne za czasów pp. Szaroty i Henzla do udziału w napaściach na tutejsze osoby mu niesympatyczne. Więc misję przyjąłem i po przejrzeniu przedłożonych mi aktów o dotychczasowym stanie likwidacji udałem się d. 13/I do Banku austro-węg., zaopatrzony w nadesłane mi nieograniczone pełnomocnictwo Rządu polskiego.

Któż nie zrozumie uczuć, jakie mną owładnęły gdy się pojawiłem na sali, w której za mego gubernatorstwa zapadały najważniejsze pod mojem przewodnictwem uchwały Banku, pełnego sławy w całej Europie! Wojna nieszczęśliwa, niezbyt ostrożne wyzyskanie banku biletowego przez dwa rządy dla celów wojskowych, zgubne dla państwa zarówno jak dla społeczeństwa i banku przymusowe lombardowanie pożyczek wojennych, wszystko to razem sprowadziło katastrofę na bank, który jeszcze w ciągu wojny r. 1916 obchodził 100-letni jubileusz świetnego, wysoce zasłużonego żywota swojego. I mnie los wybrał na wspólnika operatorów, krających żywcem na śmierć organizm, niedawno jeszcze pełen soków najzdrowszych! Ale upadek banku był faktem nieuniknionym, a moim obowiązkiem jako znawcy doświadczonego stało się z polecenia rządu naszego obrona wielkich interesów Polski przy likwidacji banku dawnej monarchji, do której należała przedtem Małopolska (Galicja). Więc wśród napadów ze strony dawnych przyjaciół austrjackich, zwłaszcza słynnego z uporu gubernatora Spitzmüllera, zabrałem się z zapałem do nowej pracy dla Ojczyzny ukochanej!

Posiedzenie z d. 13/I 1921 r. odbyło się w wielkiej sali posiedzeń rady generalnej banku. Przewodniczyli tam trzej likwidatorowie, zamianowani przez komisję reparacyjną w Paryżu: Amerykanin p. White, właściwy przewodniczący, Włoch p.

Luxardo (dawny mój wysoki urzędnik w ministerstwie skarbu) i Rumun p. Zenceanu. Brali udział zastępcy 7-u państw sukcesyjnych (według alfabetu francuskiego, bo obrady toczyły się po francusku): za Austrję pp. Schwarzwald i Thaa, za Węgry p. Marffy (dawny za moich czasów zastępca komisarza węgierskiego przy banku), a później także jako pierwszy pan Popović (dawny pierwszy komisarz, później mój następca w gubernatorstwie, wkońcu, jak ja minister skarbu), za Włochy pp. Scaramanga (bardzo znakomity znawca spraw i mowca francuski) i Dolzani (dawny mój urzędnik w min. skarbu), później w miejscu pierwszego p. Ciarocca (bardzo słaby w rzeczy, a po francusku mówiący bardzo niezrozumiale), za Polskę ja z p. Mokrzyckim i tow., za Rumunję p. Antonescu (świetnych zdolności przyjaciel Polski, ale tyran wszystkich kolegów, pracujących na zasadzie jednogłośności czyli liberum veto), za Serbję pp. Ploj (były mój kolega z parlamentu, wysoki sędzia austrjacki) i Dr Novaković (znakomity dyrektor banku biletowego w Belgradzie, zamaszysty mowca i debator), za Czechy pp. Dr Kučera (dyrektor banku krajowego w Pradze, gładki i dobry mowca). Zastępcy państw sukcesyjnych zasiadają w porządku alfabetycznym z tą odmianą, że Austrja i Węgry jako państwa „zwyciężone“ przytaczano w protokołach posiedzeń dopiero po 5-u państwach „zwycięskich“, tj. po Czechach („Tchéco-Slovaques“!).

Oprócz powyższych uczestników, głównie uprawnionych, brali udział w powyższem posiedzeniu: gubernator banku Dr Spitzmüller (dawny mój urzędnik w min. skarbu, później minister handlu, skarbu i ostatni minister wspólnego skarbu, pełen zdolności zarówno jak zajadłości), — dalej przedstawiciele banków holenderskich, austrjackich i węgierskich w zastępstwie wierzycieli banku. Przedmiotem narad bowiem była kwestja spłaty długu banku austro-węg., zaciągniętego w czasie wojny w złocie dla państwa u grupy kapitalistów holenderskich N.U.M.). Z tego ostatniego tytułu wzięli udział w posiedzeniu trzej spe-

cjalni wysłannicy ad hoc komisji reperacyjnej paryskiej: Amerykanin, Anglik i Serb p. Gjurgić (bardzo zdolny i wymowny dyplomata). Rozprawy trwały bardzo krótko: były deklaracje ze strony likwidacji, komisji reparacyjnej, banków holenderskich i austrjackich, jak również ze strony gubernatora, który z natury tragicznego położenia banku dość smutną zajmował na posiedzeniach rolę, o ile go likwidacja wogóle na posiedzenia zapraszała.

Na drugi dzień po tem posiedzeniu ropoczęły się prace przedstawicieli 5-u zwycięskich państw sukcesyjnych w gmachu komisji reparacyjnej wiedeńskiej (w nowym gmachu dawnego ministerstwa wojny nad kanałem) pod przewodnictwem dotychczasowem p. Ploya. Prace te stanowiły dalszy ciąg prac grudniowych — likwidacja została ustanowioną w listopadzie — dlatego wymagały z mej strony pewnej akomodacji i bliższego poinformowania się. Acz byłem przez przewodniczącego zmuszony zabrać głos już na pierwszej naszej konferencji, musiałem być z początku wstrzemięźliwym; a lubo się z czasem wżyłem w tok szczegółów, muszę chętnie uznać wyższość wyrobionych już Serbów, pp. Ploy, który zasiadał już dłuższy czas — statutarnie per nefas — w radzie generalnej Banku jako komisarz rządowy serbski i Novakovića jako dyrektora banku jugosłowiańskiego. Punktem wyjścia naszych prac ówczesnych był wypowiedziany na wielkiej konferencji zamiar komisji reparacyjnej użycia zapasów złota bankowego do spłaty długów zaciągniętych przez Bank austro-węg. dla rządów u firm holenderskich i szwajcarskich, jak niemniej długu, powstałego wobec banków austrjackich z powodu niedotrzymania zobowiązań przedwojennych banku austr.-węg. dostarczenia im dewiz. Ponieważ państwa sukcesyjne, wykupiwszy na mocy traktatów pokojowych banknoty austr.-węg., uważają się — nie bez zgody likwidatorów — za głównych pretendentów do złota bankowego, przeto uważały postawić w tym charakterze pewne warunki co do wydania złota, na pokrycie powyższych długów ze szkodą pretensyj państw sukcesyjnych jako posiadaczy wykupionych bank-

notów. Zgodziliśmy się na trzy główne warunki. Pierwszy ograniczył z góry wysokość pretensji banków prywatnych. Co do N. U. M. (holendrów) żądaliśmy, by z pozostałej jeszcze nie spłaconej sumy 17 miljonów guldenów holend., opuszczono bankowi 9 miljonów guld., i by przy tej spłacie banki austrjackie i węgierskie przyczyniły się dodatkiem 1 miljona guld. holen. Co do długu szwajcarskiego, zaciągniętego w formie sprzedaży cukru, miały banki dodać także 1 mil. guld. hol., a żądaliśmy — stosownie do projektu p. Gjurgića na naszej konferencji — żeby rząd czeski, jako następca austrjackiego, zrzekł się pozostałego salda za cukier. Co się wkońcu tyczy długu 34 mil. K. zł., należącego się Bankom austrjackiemu i węgierskiemu, żądaliśmy opustu 50%. Na spłatę długów złotych tak ograniczonych, zgodziliśmy się pod kilku warunkami, z których dwa były kardynalne: żądaliśmy, by sprzedano każdemu państwu położone w jego granicach gmachy bankowe po cenie bilansu z r. 1913 w koronach złotych i dalej żądaliśmy, by państwom jako posiadaczom banknotów wycofanych, wypłacono ze skarbu bankowego zaliczkę w złocie. Tylko w razie spełnienia tych warunków zgodziliśmy się na spłatę powyższych trzech długów w ograniczonej przez nas wysokości. Wynik naszych częstych obrad przedstawiliśmy w liście wspólnym, wystosowanym do komisji paryskiej i złożyliśmy go na ręce likwidatorów, z którymi na częstych konferencjach omawialiśmy nasze pismo. Dwaj likwidatorowie — trzeci Amerykanin ustąpił — zgodzili się ostatecznie przedłożyć nasz list komisji paryskiej do zatwierdzenia.

To była pierwsza część naszej pracy. Zaraz 13/I. rozpoczęli delegaci paryscy układy z Holendrami o opust; gdy jednak uzyskano opustu tylko 6 zamiast 9 miljonów, rozjechały się obie strony do domu z postanowieniem rokowań piśmiennych. Około połowy lutego otrzymaliśmy najprzód telegraficznie od naszych komisarzy reparacyjnych w Paryżu (polskim był p. Mrozowski, dawny sędzia najwyższy w Warszawie, później prezes pol-

skiego oddziału Komisji reparacyjnej w Wiedniu, człowiek bardzo dzielny, rozumny i miły) wiadomość tymczasową, a potem na konferencji u likwidatorów oficjalną, iż Holendrzy zgodzili się na opust 9 milj. guldenów. Komisja paryska zażądała na to zezwolenia naszego, na cośmy odpowiedzieli, że żądamy sprzedaży gmachu i zaliczki w złocie, którą ja zaproponowałem w wysokości 100 mil. K. Odpowiedź na to mieliśmy otrzymać za 10 dni, jeszcze przed terminem dla Holendrów ustanowionym na dzień 28/II. Ale na owem posiedzeniu lutowem byli po raz pierwszy Austrjacy (a i Węgrzy) i po raz pierwszy dowiedzieli się o naszem żądaniu zaliczki, ponieważ wbrew przyrzeczeniu, danemu nam na 2-giej wstępnej konferencji u min. skarbu Grimma, nie dali nam sposobności do ponownej merytorycznej rozmowy. Wyszedłszy z posiedzenia, Austrjacy rozpoczęli w prasie wielką akcję w sprawie „*uratowania złota*“, wszczęli w parlamencie i dziennikach nagonkę na mnie jako „wynalazcę“ zaliczki i wystosowali skargę do Komisji reparacyjnej paryskiej. W Wiedniu napadły mnie dzienniki i w parlamencie nawet, jak wyżej wspomniałem mój osobisty przyjaciel polityczny Dr Renner, w Warszawie chwaliły mnie za to nawet endeckie pisma jak „Rzeczpospolita“; w Paryżu radzono w marcu bardzo dobrotliwie nad skargami Austrji i Węgier i uchwalono doradzać we wszystkiem porozumienia („accord“), a w samym Banku likwidatorzy, przyznali nam 5-u państwom zaliczkę 50 miljonów, pozostawiając nam wolność jej rozdziału. Po długich naradach porozumieliśmy się co do klucza podziału: $^1/_3$ według ludności, $^2/_3$ według wykupionych banknotów. Wszyscy z wyjątkiem Rumunów byliśmy za kluczem równym po połowie, ale musieliśmy ustąpić Rumunom: liberum veto. Przy małej cyfrze wykupionych u nas banknotów austro-węg. (2 miljardy, 700 miljonów) wypadło na Polskę $7^1/_4$ mil. K. Ale wypłata opóźniła się znacznie, bo Austrjacy i Węgrzy, udawszy się do Paryża, oskarżyli nas skutecznie przed Komisją reparacyjną.

Skuteczność ta była na szczęście tylko pozorną, a wynikała z postawionej przez Komisję zasady, że należy wszędzie dążyć do układu i że w braku jednomyślności mniejszość może wnosić zażalenie do Paryża. Dzięki trafnej taktyce likwidatorów nie przyszło do takich kroków; powiodło się bowiem likwidatorom swoim wpływem osobistym w konferencjach z poszczególnemi państwami, nakłonić Austrję i Węgry do cichej zgody na rozdział zaliczek. Nawet zdołano — za naszą zgodą — stworzyć formułkę do wzięcia ze strony tych dwóch państw udziału w zaliczce złotej bez wyrzeczenia się zasadniczych swych pretensyj do całego złota. Swoją drogą użyto do tego głównie kompenzacyj — wszak Austrja i Węgry są od czasu wojny głównymi dłużnikami Banku — tak że tylko drobne sumy (1—1½ mil.) wypłacono gotówką. Wskutek tej zgody i po odrzuceniu przez Komisję reparacyjną pretensji p. Siengalewicza o udział „Ukrainy zachodniej" w złocie, mogliśmy podnieść złoto dla państw sukcesyjnych, po zwalczeniu rozmaitych trudności technicznych, zwłaszcza w kierunku zabezpieczenia złota przy podjęciu i przewozie. Ztąd wynikło, że konferencja radziła już długo nad innemi sprawami, gdy poszczególne państwa podnosiły już złoto. Ja je podniosłem w pierwszej połowie czerwca w gmachu bankowym przy Bankgasse 1, przy współudziale dwóch urzędników P. K. K. P., którzy mieli złoto przejąć i odwieść do Warszawy, tudzież przy pomocy całego szeregu urzędników i robotników bankowych. Otrzymaliśmy 29 skrzyń, napełnionych woreczkami ze złotem, głównie angielskiem, razem, jak się okaże z rachunku: 4,464.668·05 koron złotych. Każdą z tych skrzyń otwierano, badano i komisjonalnie opieczętowywano. Na koniec wywieziono liftem wszystkie skrzynki znowu komisjonalnie na zamknięte podwórze, gdzie oczekiwał nas szef eskorty polskiej, porucznik Mazur. Załadowano tam 29 skrzynek do samochodu bankowego, dokąd wsiedli zarazem pp. Mazur, dwaj urzędnicy P. K. K. P., Taborski i Starzecki, dalej wypożyczony mi za pośrednic-

twem p. Dra Bindera inspektor policji austr., przydzielony do poselstwa Schneider, dwóch policjantów austr., wreszcie 8-u robotników bankowych. Ja osobiście wyprowadziłem samochód aż na ulicę, a na dworcu zostało złoto — dzięki staraniom p. Dra Bindera jako zastępcy ministerstwa skarbu — objęte przez liczną eskortę wojskową i cywilną polską. Transport do Warszawy odbył się za łaską Boską szczęśliwie.

Stosownie do drugiego z naszych powyższych warunków załatwiliśmy w czasie konferencyjnym drogą osobnych z każdem państwem układów, sprawę zakupna gmachów bankowych w każdem państwie. Zgodnie z pierwotnemi naszemi uchwałami przyjęliśmy wartość gmachów w złocie, ponieważ w bilansie z r. 1913 były po raz ostatni wstawione w wartości banknotów, równej złotu, zaś szacunek według wartości teraźniejszej byłby zbyt dowolny. Zresztą wszystkie aktywa w Banku — jako przedwojenne — oblicza likwidacja w złocie. W konsekwencji tej zasady ustanowiono dalej po twardych dyskusjach, że wartość zakupionych przez państwo domów będzie potrąconą od ich udziału w zaliczce na złoto. Zatrzymane tym sposobem złoto pozostanie w skarbcu, który bez tego spodziewamy się rozdzielić w końcu między 7 państw sukcesyjnych wraz z banknotami cudzoziemców, o ile były wydane przed 28/X. 1918 r. i wyszły za granicę nie później jak 15/VI. 1919 r. (traktaty!). Domy w liczbie 14-u położone w dawnej Galicji, wykazane były w bilansie z r. 1913 cyfrą 4,880.000·— K. zł.; powiodło mi się wytargować u likwidatorów cenę kupna na 1,766.000·— K. zł. Po potrąceniu tej sumy i kwoty 18.000·— K. zł.; skonfiskowanej r. 1918/9 przez Rząd nasz (całkiem niepotrzebnie!) od sumy zaliczki 7-miu mil. K. zł., otrzymaliśmy powyższą gotówkę do przesłania do Warszawy w kwocie 4,464.668 K. zł.

Dość trudności było ze sporządzeniem kontraktu kupna-sprzedaży. Bo mój adwokat, znakomity, tudzież pod każdym względem sumienny i doświadczony Dr Leon Faust sporządził projekt według zwyczajów i ustaw, obowiązujących w Mało-

polsce jako dawnej części Austrji, a dzielni bardzo i wybredni prawnicy likwidacyjni pp. Barry (gen. sekr.) i Morel (zastępca) ułożyli bardzo szczegółowy projekt na podstawie Code Napoleon, obowiązującego tylko w dawnej Kongresówce. Po długich dyskusjach utrzymał się w zasadzie piękny bardzo projekt francuski, ale z tem zastrzeżeniem, że główne ustępy, t. j. wstęp i klauzula intabulacyjna, ułożone po „austrjacku", zostały do kontraktu wstawione z tekstem autentycznym polskim i krótką interpretacją francuską.

Powstała znowu kwestja co do miejsca, w którem miał być podpisany kontrakt. Z uwagi na obawę wymierzenia spłat przenośnych przez skarb austrjacki, zamierzałem pierwotnie podpisać kontrakt w poselstwie polskiem. Uzyskałem do tego nawet zgodę posła Szaroty, który swoją drogą pragnął go sam podpisać i dać sporządzić przez swego „doradcę" prawnego, profesora Bergera. Wyperswadowałem mu jednak, że mam od Rządu naszego (min. spr. zagr. i min. skarbu) nieograniczone pełnomocnictwo, jak niemniej, że prof. Berger, acz znakomity uczony, nie jest jednak z zawodu adwokatem, bez którego nie odważyłbym się podpisać kontraktu na blisko 300 miljonów koron w banknotach. Nie przyszło zresztą do tego wszystkiego, ponieważ p. Ploy, zastępca Serbji, mając podpisać jej imieniem kontrakt kupna, przyniósł tymczasem z min. skarbu austrjackiego w sprawie opłat przenośnych bardzo niepomyślną informację. Oto bez względu na sporządzenie kontraktu w poselstwie, władze miały wymierzyć opłatę wprawdzie nie państwom sukcesyjnym, ale likwidacji; ponieważ zaś obciążenie likwidacji równałoby się obciążeniu państw sukcesyjnych jako głównych wierzycieli, a opłata wyniosłaby była dla samych Serbów z najniższą ceną kupna przeszło 5 mil. K. (dla Polski znacznie wiecej), przeto zdecydowaliśmy się, podpisać kontrakty na ziemi odnośnego państwa.

Pierwsi Serbowie wyjechali wraz z likwidatorami autem do Marburga i wrócili stamtąd tej samej doby po podpisaniu.

Nie tak prosta rzecz była z Polską. Myślałem pierwotnie o wyjeździe do Oświęcimia, ale likwidatorowie zapragnęli słusznie obaczyć słynny Kraków, na co się zgodziłem z dumą. Ponieważ według kontraktu tegoż sporządzenie miało być dla likwidacji wolne od kosztów, aby nie obciążać masy likwidacyjnej, czyli pośrednio znowu państw sukcesyjnych, przeto także za przykładem Serbji oświadczyłem likwidatorom, że przez 3 dni, przeznaczone na jazdę do Krakowa, pobyt tamże i powrót, będą gośćmi Rzeczypospolitej Polskiej. Zaopatrzywszy się w zaliczkę u pana Dr Bindera (20.000·— K. i 30.000·— Mp.) wybraliśmy się w 5 osób (likwidatorowie, ja i adwokat Dr Faust) w piątek, d. 1/VII. 1921 r. rano do Krakowa, dokąd przybywszy nocą, zajechaliśmy powozami miejskiemi (uproszonemi przezemnie u p. prezydenta Federowicza) do Grand Hotelu. W sobotę rano załatwiliśmy najprzód w biurze notaryusza, a potem w hotelu przygotowane przez Dr Fausta formalności i w końcu podpisaliśmy kontrakt. W owej chwili oczekiwał nas już uproszony przezemnie słynny profesor historji sztuki hr. Jerzy Mycielski, który nas zabrał na Wawel i tak w kościele katedralnym jak na zamku był niezrównanym Ciceronem, używając równie płynnie języka francuskiego i włoskiego. Na objedzie, który w hotelu wydałem dla nas pięciu wraz z hr. Mycielskim, było wielkie zadowolenie, gdy oświadczyłem w krótkim toaście, że nasi goście są nie tylko likwidatorami, ale i przyjaciółmi. Po południu obwoził ich jeszcze hr. Mycielski dalej, a ja zostałem w domu, ażeby przyjąć brata mego Edmunda i p. Marjana Bogdanowicza, którzy obaj bardzo poczciwie przybyli na moje powitanie. Przed wieczorem dałem o stanie likwidacji obszerną informację zaproszonym przedstawicielom dzienników, z redaktorem „Reformy“ p. Konstantym Srokowskim na czele. Postanowiwszy dla odpoczynku pozostać w Krakowie jeszcze przez niedzielę, pożegnałem się w sobotę przy kolacji z likwidatorami pp. Des Monnès (Francuzem), Zenceanu (Rumunem) i Luxardem (Włochem), nie mogąc

pozostać w Krakowie przez niedzielę, wyjechać mieli w niedzielę do dnia. Ja zaś wróciłem do Wiednia w poniedziałek wieczorem z dzielnym, niewyczerpanym w zręczności i pomysłach adw. Dr Faustem.

Po rozrachunku okazało się, że podróż kosztowała razem 40.000·— K. i około 45.000·— Mp., co przy szalonych cenach kolei i hotelu było jeszcze połączone z oszczędnością. Była to — obok 37.400·— K. remuneracyj bankowych — druga pozycja kosztów, połączonych z zaliczką złotą i kupnem domów. Trzecią pozycję stanowiłoby honorarjum p. Dr Fausta, które z uwagi na wysokość sumy kupna, tudzież bardzo gorliwą i skuteczną obsługę prawną musiałoby wypaść dość znacznie. Dr Leon Faust wyrzekł się jednak honorarjum, pod warunkiem, że Rząd nasz za to jemu i bratu jego Szymonowi, już obecnie bardzo mocno i zawsze bezinteresownie zajętemu sprawami poselstwa, zwłaszcza dowództwa wojskowego (attaché wojskowy w Wiedniu), nada tytuł „honorowego (bezpłatnego) radcy prawnego". Projekt ten, sprawiedliwy sam w sobie, a dla skarbu korzystny, poleciłem bardzo gorąco ministrowi skarbu, p. Steczkowskiemu. Z góry jednak obawiałem się rekuzy, z powodu, że, jak wówczas było słychać, jeden z najmłodszych adwokatów polskich w Wiedniu, z praktyką podobno nie całoroczną, miał już uzyskać tytuł, upragniony nie tylko przez pp. Faustów, ale także przez wszystkich innych tutejszych adwokatów-Polaków, zwłaszcza przez ich seniora Dr Kornfelda, który przez lat kilkadziesiąt był tu syndykiem Wydziału krajowego galicyjskiego. Nominat Dr Merwin robi niezawodnie wrażenie wielkiej zdolności; ale tem smutniej byłoby, gdyby się okazało prawdą, że p. Merwin zawdzięcza swoją nominację li tylko przystąpieniu do — antisemickiego w zasadzie — stronnictwa ludowego (chłopskiego). W sprawozdaniu do p. ministra doniosłem, że p. Faust, o ile nie uzyska nominacji, przedstawi na moje ręce honorarjum adwokackie według normy wiedeńskiej Izby adwokackiej, ale i wtedy koszta całej akcji złotej będą minimalne w porównaniu

z opłatami przenośnemi w wysokości kilku miljonów Koron. Sprawa ta została załatwioną znacznie później i później zostanie tu omówioną.

Musiałem antycypować czas aż do początku lipca, ażeby przedstawić całość akcji co do złota; ale likwidacja jako taka nie była tą akcją jeszcze wyczerpana, jak to sobie przedstawiała nasza publiczność. Przeciwnie, akcja ta zawierała jeden tylko akt likwidacji, zrealizowanie części aktywów masy likwidacyjnej, tkwiących w domach bankowych. A i ten akt był właściwie tylko formalny, ponieważ środków na tę likwidację (zakupno) dostarczyły inne aktywa banku; skarb złoty. Ponadto zaś nawet tej formalności nie dokonano we wszystkich 7-u państwach. Bo najprzód Austrja nie byłaby w ogólności w stanie zapłacić wszystkich kosztownych gmachów na jej terytorjum położonych i w przyszłości też nie będzie ich potrzebowała wszystkich; powtóre Węgry nie są w stanie kupić pałacu budapeszteńskiego (budowanego za moich czasów!); a to samo twierdzą — mojem zdaniem niesłusznie — Czesi o swoim pałacu pragskim; po trzecie domy na nowem terytorjum włoskiem zostały już przed likwidacją sprzedane z wolnej ręki przez zarząd banku; po czwarte Czesi i Rumuni zapragnęli tak bardzo całego udziału w złocie, a tak wiele musieliby byli poświęcić na domy, że uzyskali za naszą wiedzą odroczenie kupna, podpisując równocześnie zobowiązanie, opłacania od domów czynszu najmu i zakupna ich pod warunkami naszemi przed upływem likwidacji. Tak więc właściwie tylko Serbja, Polska — i poza pałacem budapeszteńskim — Węgry przeprowadziły likwidację budynków bankowych w powyższej formie. I postąpiły przezto bardzo praktycznie i pożytecznie, bo ta likwidacja zabezpiecza im własność niezbędnych dla emisji banknotów gmachów i chroni je od dowolnej sprzedaży tych domów przez likwidację. Tembardziej muszę ubolewać, że w P. K. K. P. panowało niezadowolenie z powodu zakupna gmachów. Ministerstwo skarbu stało po mojej

stronie, jak mnie listownie zapewnił następca p. Steczkowskiego p. minister Michalski.

Dla rozpoczęcia właściwych obrad likwidacyjnych likwidatorowie wyznaczyli byli termin około 7 maja i udali się do wszystkich rządów z prośbą o wyznaczenie delegatów z nieograniczonem pełnomocnictwem, tak by się nie potrzebowali odwoływać do decyzyj swych rządów i spowodowywać tem zwłokę w obradach. Otrzymawszy wprost z likwidacji odpis tego okólnika, postawiłem ministrowi Steczkowskiemu moją osobę do dyspozycji, niemniej wyraziłem gotowość pracowania w towarzystwie drugiego delegata. Pan minister bardzo łaskawie oświadczył, że uważa moją osobę za dostateczną, jak niemniej moje pełnomocnictwo za nieograniczone. Pierwsze posiedzenie odbyć się miało 12 maja, lecz zostało odroczone dla braku zastępców Włoch i Rumunji. To samo powtórzyło się 19 maja i dopiero na trzecie posiedzenie pod koniec maja zeszliśmy się wszyscy, to znaczy zastępcy wszystkich 7-u państw sukcesyjnych. Likwidatorowie wystąpili z pierwszem przedłożeniem likwidacyjnem o przejęciu przez rządy wszystkich aktywów i passywów banku, na własną odpowiedzialność i ryzyko państw odnośnych. Ściągnięcie wszystkich pretensyj Banku z eskontu i lombardu, tudzież spłata wszystkich długów Banku, także gira i bonów kasowych, — oto główna część likwidacji, której saldo czynne zwiększy masę likwidacyjną, a bierne będzie nowym dla rządów — obok wycofanych banknotów — tytułem wierzytelności wobec masy bankowej. Ponieważ tedy w rozmowach luźnych poprzednich zwłaszcza Czesi bardzo się wzdrygali przyjąć na swoją odpowiedzialność ściągnięcie pretensyj lombardowych, opartych na zastawie pożyczek wojennych, płatnych według traktatu tylko przez Austrję i Węgry, przeto likwidatorowie uczynili we wniosku swoim następującą koncesję. Zastawy na papiery przedwojenne przejmują państwa bezwarunkowo na siebie, zastawy zaś na pożyczki wojenne mają być przez każde państwo zbadane w kierunku płatności każdego dłużnika.

W razie, gdy dłużnik znikł lub podał fałszywy adres, pożyczka będzie odpisaną; w razie, gdy rząd wykaże niewypłacalność dłużnika, likwidatorzy odpiszą pożyczkę; w razie wątpliwej wypłacalności, likwidatorzy zbadają wspólnie z odnośnem państwem, czy i wielę należy odpisać. W braku zgody rozstrzygnie arbiter, którego dla danego kraju zamianuje pan Adolf Ador, b. prezydent Rzeczypospolitej Szwajcarskiej. Ponieważ dalej w Wiedniu z jego dawnem stanowiskiem, i podobnie w Peszcie, zaciągali pożyczki klienci z całej monarchji, którzy się wskutek wojny z obywateli austrjackich i węgierskich przemienili w obywateli jednego z reszty 5-u państw sukcesyjnych, przeto postawili byli likwidatorzy wniosek, ażeby każde państwo sukcesyjne umiało zawrzeć układ z obowiązkiem egzekwowania długów swoich obywateli na żądanie odnośnego państwa, jako wierzyciela. Słuszny ten wniosek upadł wobec zarzutów Serbji i Rumunji, że zgromadzenie nasze nie jest kompetentne do takiej uchwały międzynarodowej. Na to powstał przedstawiciel rządu austrjackiego, który przytoczył następujący przykład: Oto najbogatszy fundusz publiczny dawnej Austrji, „grecko-orjentalny fundusz kościelny“ w Czerniowcach, subskrybował swego czasu w patrjotycznem poczuciu zwyż 30-u miljonów pożyczki wojennej i zastawił ją zaraz w Wiedniu; obecnie stawszy się obywatelem rumuńskim, ani myśli o obowiązku spłaty długu 30 miljonów, zaś rząd rumuński nie ma powodu do interesowania się egzekucją tego długu. Austrja oświadczyła przeto, że nie mogłaby przystąpić do wniosków likwidatorów, gdyby jej nie stworzono możności egzekucji w krajach dawniej austrjackich. Na ten słuszny argument postawili likwidatorowie nowy wniosek: odezwę likwidatorów do rządów wszystkich państw sukcesyjnych, ażeby zechciały dla ułatwienia likwidacji i niejako w zastępstwie uprawnionych do tego likwidatorów, przyznać dobrowolnie egzekucje, wdrożone w toku likwidacji przez inne państwa sukcesyjne. Wniosek ten został na konferencji przyjęty z warunkiem, że będzie uwzględniony przez wszystkie bez

wyjątku państwa, czego się też wszyscy spodziewamy. Ja ze swej strony pisałem o tem panu min. skarbu; nie mogę wszakże zaprzeczyć, że skrupuły rządu polskiego, wyrażone, jak się okaże, w październiku przeciw egzekucji sum z walutą wysoką (w sierpniu 1922 r. stała np. korona czeska w Wiedniu przeszło 1400 Koron austr.!); były zgodne z interesami ludności polskiej.

Tak to został przyjęty cały projekt likwidatorów co do objęcia aktywów i passywów przez państwa. Zatwierdzono go także w Paryżu, dokąd likwidatorowie jeździli w czerwcu ze wszystkiemi naszemi uchwałami. Objęcie to było dla mnie od pierwszego momentu bardzo sympatyczne mimo pewnego ryzyka dla państwa naszego na wypadek, jeżeli passywa przekroczą aktywa. Bo najprzód ryzyko to jest w gruncie pozorne: nadwyżkę aktywów musi rząd oddać masie, a zapłaconą nadwyżkę passywów zgłosi do masy poza złotem. Natomiast nikt jak rząd nie jest w tem tak interesowany, by likwidacja, której koszta pochłaniają dużo pieniędzy, nastąpiła jak najspieszniej, a jużci pospiech spoczywa teraz w rękach organów rządowych. Co najważniejsza zaś, Rządowi musi zależeć na uproszczeniu likwidacji, a trudno o prostszą jak przyjęta formuła, mocą której do ostatecznej likwidacji stanie 8-u wierzycieli: 7 państw sukcesyjnych (z tego dwa chyba tylko dla formy!) i zagraniczni posiadacze banknotów za pośrednictwem swoich rządów. Zapewne, ten ostatni 8 wierzyciel będzie trochę skomplikowany i trudno będzie dokładnie się zorjentować, aż nadejdą z całego świata w terminie 15 września br. wykazy posiadaczy banknotów na całej kuli ziemskiej. Na wiosnę 1922 r. mieliśmy już pogląd z wykazu, który — bez zaległych Francji i Rosji — przedstawiał 1.300 miljonów, w czem Niemcy 838 mil., Holandja 131 mil., Belgja 120 mil. Ponad $1^1/_2$ miljarda cyfry te chyba nie wzrosną. Po uchwaleniu powyższego programu należało dla każdego państwa ustanowić datę, której status miał decydować o sumie aktywów i passywów do zrealizowania na rzecz likwidacji. Interesa późniejsze od dnia ustanowionego miały

już być liczone na rachunek odnośnych banków biletowych. W tym względzie miałem co do Polski wątpliwości, ponieważ doówczasowe wykazy ksiąg centralnych nie zdołały mi dać obrazu dokładnego i cyfrowego co do jakości i wysokości zobowiązań, jakie miałem przejąć imieniem mego Rządu. Wspomniałem już, że p. minister skarbu w swojem zaszczytnem zaufaniu do mnie, nie wysłał do Wiednia drugiego delegata. Przyjąwszy to z wdzięcznością do wiadomości, uprosiłem jednak p. ministra o przysłanie mi buchhaltera celem stwierdzenia podstaw rachunkowych dla aktywów i passywów. W kilka dni potem przybył do Wiednia naczelny buchhalter P. K. K. P. pan Rybiński, a po kilkudniowych ciężkich, skomplikowanych i nawet niejednokrotnie bałamutnych obradach stwierdzono co następuje. Późną jesienią 1918 r. zawarła była P. K. K. P. z bankiem austro-węg. umowę, mocą której kasa obejmuje z dniem 30-go kwietnia 1919 r. wszystkie interesa banku na swój własny rachunek. Gdyby ta umowa została była wykonaną, likwidacja w dawnej Galicji byłaby dawno skończona. Ale w rzeczywistości P. K. K. P. objęła na siebie tylko eskont weksli i bony kasowe, to znaczy od 1/V. 1919 r. eskontuje ona weksle na własny rachunek i wydaje, a raczej może wydawać — bo podobno tego nie czyni — bony kasowe (Kassenscheine) na własny rachunek. Wiemy przeto, ile bank miał 30/IV. 1919 r. wierzytelności wekslowych i ile zobowiązań z bonów; potrzebujemy tylko jeszcze stwierdzić, czy i ile P. K. K. P. ściągnęła należytości wekslowych i spłaciła wycofanych bonów. Natomiast dwa najważniejsze interesa: wierzytelności z lombardu i zobowiązań z wkładek żyrowych P. K. K. P. wbrew układowi nie przyjęła na siebie, jeno prowadzi je imieniem banku austr.-węg. Wskutek tego stanu rzeczy stwierdzono i uchwalono za moją zgodą na konferencjach buchhalterów, że podstawę dla przyjęcia aktywów i passywów przez rząd polski ma stanowić stan interesów w dwóch terminach; co do eskontu i bonów stan z d. 30/IV. 1919 r., zaś co do lombardu, żyra a i co do rozrachunków

między P. K. K. P. z Bankiem austr.-węg. z tytułu wymiany dawnych marek okupacyjnych za bony austr.-węg., stan z dnia 30/6 1921 r. Postanowienie to zapadło w pierwszej połowie czerwca i pan naczelny buchalter wyruszył zaraz do Warszawy, ażeby, zdawszy sprawę znakomitemu dyrektorowi p. Bigo (dawnemu urzędnikowi celującemu z czasu mego gubernatorstwa w Banku austr.-węg.), wydać zaraz stosowne polecenie do filji małopolskich. W późnej jesieni 1921 r. była na powyższej podstawie likwidacja w Polsce skończoną. Wynik był bierny, tak że P. K. K. P. ma do likwidacji drobną pretensję około 600.000 koron.

Objęcie aktywów i pasywów, jakkolwiek najgłówniejsza część właściwej likwidacji nie wyczerpuje jej jeszcze całkowicie. Na posiedzeniach z maja i czerwca omawiano więc dalsze jej części, bądź z punktu widzenia współdziałania państw sukcesyjnych, bądź z tytułu uproszenia opinji ich przedstawicieli. Wielki personal Banku wymagał zaopatrzenia wysłużonych urzędników, tudzież wdów i sierót po urzędnikach. Dla tego celu Bank, będący pewny „wiecznej“ niejako egzystencji swojej jako banku biletowego, nie stworzył formalnego „funduszu pensyjnego“ jako osoby prawnej z wierzytelnościami wobec zarządu Banku, lecz dokonywał wypłat odnośnych od siebie, a przytem dobrowolnie zasilał bilansowo osobny fundusz pensyjny. Był to błąd, spowodowany podobno dawniej przez zarządy z powodów fiskalnych; za moich rządów, w epoce najwyższego rozkwitu Banku, nikomu niestety nie przyszła na myśl potrzeba sanacji tego funduszu. Skutki tego zaniedbania okazały się w czasie wojny. Jeszcze wtedy, gdy licząc napewne na ostateczne zwycięstwo, monarchja nie miała wcale poczucia ruiny, w którą wciągnęła Bank dla celów wojennych, zażądały oba rządy od Banku uzupełnienia funduszu pensyjnego do wysokości matematycznej. Dzięki olbrzymim zyskom, pochodzącym z nadmiaru cyrkulacji banknotów, zabieranych zresztą w przeważnej części przez rządy mocą solennych ustaw, mógł Bank spełnić powyższe

polecenie i ze zysków r. 1917 i 1918 r. wyznaczył dla funduszu rezerwowego raz 88 mil. K., drugi raz 82 mil., razem 170 mil. K. Ponieważ w czasie likwidacji stan formalny (bilansowy) funduszu wynosił 41 mil., zaś wartość matematyczna wypłat emerytur wynosiła 192 mil. K., przeto potrzeba uzupełnić go z rezerwy sumą 152 mil. K. Odpowiada to jednak niestety tylko emeryturom i pensjom normalnym, nie zaś wysokości ich, spowodowanej straszną drożyzną. Zarząd Banku za zgodą likwidacji wypłaca olbrzymie dodatki drożyźniane z bieżących dochodów, to znaczy ze szkodą masy likwidacyjnej; gdyby zaś fundusz był już wcześniej na należytej wysokości, możnaby go było uzupełnić stosownie do wzrastającej drożyzny. Po części w tem i mea culpa z czasów mego gubernatorstwa!

Otóż wobec danego stanu likwidatorowie zaproponowali, a zastępcy państw sukcesyjnych przyjęli wniosek, by fundusz pensyjny, uzupełniony do sumy 192 mil. K. rozdzielono między państwa sukcesyjne według stanu emerytur, pensyj wdowich i sierocych w każdem z państw dla jego obywateli w d. 1-go czerwca 1921 r. Chodzi o 890 osób, z których narodowość 75-u była jeszcze nie znaną w chwili uchwały; na Polskę przypadnie do zaopatrzenia 39 osób (+ cząstka owych nieznanych z 75-u). Sumy wypłat nie były jeszcze obliczone według państw, stąd sumy udziału przypadające w kwartale nie mogły być oznaczone. Polska otrzyma może 13%; Austrja sama utrzymuje 516 osób, Węgry 185! Cyfry te nie są jeszcze w sierpniu 1922 r. znane, acz istniał plan w likwidacji, sfinalizowania tej sprawy z nowym rokiem 1922. Czy zresztą i o ile państwa będą miały z tej części likwidacji korzyść materjalną, to trudno orzec. Polska np. stanie się nieograniczoną właścicielką otrzymanego kapitału po śmierci powyższych 39 osób; ale musi im z dobrej woli dokładać dodatki drożyźniane i oprócz tego opłacać emerytury i pensje na rzecz urzędników, których P. K. K. P. już nie objęła od banku, lecz przyjęła samoistnie.

Bez udziału państw sukcesyjnych, a tylko za poradą ich

przedstawicieli będą zlikwidowane oddziały: hipoteczny i depozytowy, tudzież fabrykacja banknotów. Stwierdziliśmy z naszych energicznych opinij, iż dłużnikom hipotecznym Banku wolno spłacać dług swój w listach zastawnych — stosownie do brzmienia i tych listów i skryptów dłużnych — likwidatorowie wydali zaraz odnośne polecenie do zarządu Banku, co przyspieszy likwidację. Poza tem noszą się likwidatorowie z myślą sprzedaży oddziału hipotecznego tel quel jakiejś instytucji hipotecznej prywatnej, któraby interes hipoteczny prowadziła dalej samoistnie na własny rachunek. O ile by to się nie powiodło — a szans po temu niewiele — musiałoby się we wszystkich państwach sukcesyjnych likwidować cały interes, i to tem powolej, że Bankowi tylko wyjątkowo (§ 34 statutów) wolno wymówić dłużnikowi kapitał. Czy likwidatorom wolno żądać kapitału naraz, zamiast w ratach kilkudziesięciu, to rzecz wątpliwa. Natomiast wielkiem ułatwieniem byłoby dla likwidacji, gdyby dłużnicy państw o dobrej walucie nabywali korzystne listy zastawne i niemi spłacali długi. Odnosi się to do Węgrów; Austrjakom i Polakom nie uśmiecha się taki interes.

Oddział depozytowy, prowadzony wzorowo na wielką skalę, był zawsze mało aktywny, a teraz jest wprost bierny, ponieważ niepodobna podwyższać stronom opłat depozytowych w takim stopniu, w jakim wzrosły płace personalu. Stąd bezpośrednio nie wpłynie nic z tego działu do masy likwidacyjnej. Gdyby go jednak chciano sprzedać innemu, staremu czy nowemu bankowi, możnaby za ten „interes“ otrzymać znaczne odszkodowanie, zwłaszcza że oddział depozytowy, oderwany od banku biletowego, będzie pobierał od swych klientów znaczne zyski z godziwych interesów giełdowych, które idą na rachunek filij („Hauptanstalten“) wiedeńskiej i budapeszteńskiej. Po części znajdzie się w tym oddziele środek jakiegoś odszkodowania dla akcjonarjuszy, którym bez ich winy, a jeno z patrjotyzmu ich wysłańców do rady generalnej, usuwa się grunt pod nogami.

Konferencja nie miała powodu zajmować się dłużej oddzia-

łem depozytowym. Wyraziła tylko życzenie, by obywatele dawni austrjaccy, dziś obywatele państw sukcesyjnych, mogli otrzymywać zwrot papierów swoich unarodowionych bez jakiegokolwiek stempla. Było to avis au lecteur, do rządu austrjackiego, który nakazując stemplować papiery, nadawał im charakter austrjacki.

Obowiązek drukowania banknotów zawiera urządzenie techniczne drukarni i zabezpieczenie personalu technicznego, administracyjnego i robotniczego. Wszystko to posiadał Bank w najdoskonalszym stopniu, dzięki zwłaszcza działalności obecnego dyrektora p. Nadherny'ego, znakomitego technika Austrjaka, którego za mego gubernatorstwa powołano ze słynnej drukarni petersburskiej. Drukarnia bankowa wespół z drukarnią rządową mogą spokojnie wytrzymać porównanie z najpierwszemi typografjami cywilizowanego świata. Pracują dla własnego państwa, ale także dla obcych: banknoty polskie, technicznie świetne, wychodzą z tej samej instytucji.

Zarząd Banku, zaopatrzywszy drukarnię w maszyny najdoskonalsze, jakich od czasu wojny już nie można dostać, wybudował tuż przed wojną i w czasie jej trwania nowy gmach dla drukarni sumptem wielkiego nakładu. Dla Austrji samej jest to wszystko dziś naturalnie za wielkie; dlatego na konferencji proponowałem objęcie zakładu przez wszystkie państwa sukcesyjne. Gdy to nie znalazło poklasku u moich kolegów, postanowiono oddać drukarnię po najwyższej cenie bądź Austrji bądź towarzystwu prywatnemu.

Omówiwszy tak wszystkie wstępne do likwidacji sprawy i uzyskawszy przez likwidatorów zatwierdzenia naszych uchwał na miejscu w Paryżu przez Komisję reparacyjną, rozpoczęliśmy z końcem czerwca 1921 r., tuż przed moją podróżą krakowską obrady nad kwestją zasadniczą: nad prawami posiadaczy banknotów. Tu dopiero zetknęły się sprzeczne interesa Austrji i Węgier z interesami reszty państw sukcesyjnych. Sprzeczność zresztą bardzo zrozumiała. Austrja i Węgry, odnawiając w 1911 r.

koncesję Banku w myśl moich jako ówczesnego ministra skarbu z bankiem, zawartych układów, działały naturalnie w dalszym ciągu akcji monetarnej, rozpoczętej r. 1892 i prowadzonej w ciągu całego gubernatorstwa mego i mojego następcy aż do wybuchu wojny. Wielki skarb złoty, zdobyty za moich czasów przez zarząd Banku, powstał pierwotnie z zasilań zwyż 400 mil. Kor. złotych, które państwa ofiarowały Bankowi w zamian za banknoty, równą ze złotem posiadającemi wartość. Wtedy rządy zastrzegły sobie zwrot złota na wypadek, gdyby po upływie przywileju, z winy Banku zamiast dalszej prolongaty przywileju przyszło do likwidacji. Wybuchła wojna: Bank służył państwom monarchji całym szeregiem ofiar, inflacją banknotów, stratą $^5/_6$ złota, zadłużeniem za granicą. Wojnę monarchja przegrała: nowe państwa muszą tworzyć nowe banki, stary, poważny 100-letnią przeszło egzystencją (1816 r.) i znakomity Bank musi ustąpić miejsca, a i ginąć pod ciężarem ofiar. Następuje „likwidacja", ażeby nie było bankructwa: ale Austrja i Węgry trzymają się słowa „likwidacja" i żądają zwrotu złota, notabene w wysokości całej pozostałej reszty 220 mil., wydawszy w czasie wojny nie tylko włożonych dawniej 400 mil., lecz więcej niż drugie tyle na cele obrony monarchji. I oto toczy się walka, idą skargi do Paryża, rozwija się agitacja w dziennikach i parlamentach itd.

Zaliczkę na złoto musiała Austrja i Węgry przeboleć, bo niema dla niej pokrycia w skarbcu, ale walki o resztę nie zastanowiły, a to jest właściwa treść likwidacji, czyli pytania, jakie prawa służą posiadaczom banknotów. Austrja (nie wiem czy i Węgry) podobno zniszczyła wycofane 1919 r. z okazji stemplowania banknoty z czasu przed 28/X. 1918 r. i dlatego tem namiętniej opiera się prawom banknotów do złota, zamiast schronić się pod skrzydła naszej formułki, która toleruje zniszczenie banknotów. Zresztą Komisja reparacyjna dozwoliła Austrji oprzeć się na wykazach bankowych. Przytem posługuje się Austrja teorją amerykańską, która wymianę banknotów przez państwa

sukcesyjne uważa za należny skup długu państwa austrjackiego, nie pomnąc, że Bank austro-węg. był towarzystwem akcyjnem, nie instytucją rządową. W najgorszym razie Austrja żąda, a raczej żądała w czerwcu 1921 r. drogą wniosku kompromisowego b. ministra Reischa „precipuum" w złocie; a pozatem pragną doliczenia żyrów z d. 28/X. 1918 r. do banknotów z tego samego dnia, ażeby przy równym dla wszystkich podziale otrzymać z uwagi na najwyższe w Wiedniu i Peszcie żyra większy udział w złocie. Państwa zwycięskie stoją natomiast na stanowisku, że całe pozostałe przy ostatniej likwidacji złoto winno być podzielone — po zaspokojeniu posiadaczy zagranicznych — między państwa sukcesyjne z tytułu ściągniętych banknotów, przyczem wówczas tylko Czesi, spłaciwszy dobrowolnie 2 miljardy żyrów, zgadzali się na porachowanie pewej części żyrów do banknotów.

Likwidatorowie nie chcąc z góry przesądzać swego stanowiska co do praw banknotów i pragnąc na razie tylko naszej opinji, a i przynagleni tak podróżą krakowską, jak i własnemi urlopami letniemi, przerwali 28 czerwca dalsze obrady. Wysłali jednak już przedtem do państw obcych okólnik co do przedłożenia banknotów zagranicznych w terminie do połowy września, do którego to terminu odroczono nasze konferencje. Tuż przedtem na moje zwłaszcza żądanie, wysłano podobny okólnik także do państw sukcesyjnych, które — z wyjątkiem Austrji, Węgier i Czech — posiadają kraje tak dawne austrjackie, jak inne i w tych ostatnich miały zbierać banknoty, np. Polska w Poznańskiem, w dawnej okupacji warszawskiej i na kresach wchodnich.

O skutku tych okólników już pisałem wyżej. O ile zaś chodzi o wymianę przez państwa sukcesyjne, staliśmy w czerwcu 1921 r., tak jak w chwili pisania listu mego styczniowego do ministra skarbu na stanowisku, że przepis traktatu, dający przywilej tylko banknotom, wydanym przed 28/X. 1918 r. musi być zneutralizowany przez formułkę. Wprawdzie niefachowi autorowie traktatów w St. Germain i Trianon nakazali tak zw.

„triage“ (przebieranie) przedstawionych przez rządy banknotów co do jej wysokości i co do terminu jej emisji: wydane po 28/X. 1918 r. byłyby wykluczone od wymiany na złoto. Ale ci panowie ani nie wiedzieli, że państwa zbiorą zwyż 40 miljardów koron, ani też nie mieli wiadomości fachowej, że „triage“ 40 miljardów banknotów zająłby kilkuset urzędników przez kilkanaście lat, to znaczy zjadłby sam całą masę likwidacyjną. Dowiedziawszy się o tym stanie rzeczy za naszą inicjatywą od likwidatorów, Komisja reparacyjna paryska, najwyższa w likwidacji instancja, oświadczyła, że chętnie zgodzi się na formułę, omijającą „triage“, jeżeli likwidatorowie ją jej do aprobaty przedstawią. Taką formułę wymyślił p. Ploj, zastępca serbski przy likwidacji jeszcze w sierpniu 1921 r. Podzieliwszy znaną z wykazów bankowych sumę 30 miljardów, wydanych po dzień 27/X. 1918 r. przez cyfrę ludności monarchji przy rozbiorze w wysokości 50 miljonów głów, otrzymuje się kwotę 600 K. jako ilość przypadających na każdego obywatela monarchji banknotów w d. 28/X. 1918 r. Mnożąc tę ostatnią kwotę przez ilość głów, zamieszkałych wówczas w każdym z dawnych krajów monarchji, otrzymuje się sumę banknotów, która w owym dniu musiała obiegać w tym kraju i którą odnośne państwo sukcesyjne mogło maksymalnie ściągnąć u swoich nowych obywateli. Z tem maksimum przystąpi państwo do ostatecznego podziału złota, otrzymawszy na swe banknoty certyfikaty bez osobnego dowodu pochodzenia z przed 18/X. 1918 r. O ile państwo jakieś ściągnęło mniej, niż wypadało na nie maksymalnie, otrzyma certyfikat na ściągniętą mniejszą sumę, a reszta aż do maksimum przypadnie jure caduco innym państwom, których banknoty przekraczają maksimum. Do pierwszej kategorji należy niestety tylko Polska, której maksimum wobec 8 przeszło miljonów ludności w samej Małopolsce (bez Śląska Cieszyńskiego) wynosiłoby 4 miljardy i 800 miljonów, a wymiana faktyczna wynosi 2.700 miljonów! A włościaństwo małopolskie siedzi podobno na skrzyniach naładowanych nie tylko

markami, lecz koronami. Gdyby się więc dała przeprowadzić ponowna, poruszona wobec mnie przez likwidatora Dr Luxardo, tudzież gen. sekr. likwidacji Mr. Barry myśl, by Rząd polski przedsięwziął ponowną konwokację, wcale niezabronionej traktatem, to Polska zamiast oddać Rumunji i Serbji 2.100 miljonów ze swego kontyngientu, mogłaby w zamian za należne jej z formułki 2 miljardy marek, otrzymać w złocie około 1 do $1^1/_2$ miljona koron, któremi zdołałaby pokryć bankowo co najmniej $^1/_2$ miljarda doskonałych banknotów. Wszelako pan minister Steczkowski, któremu to wszystko przedstawiłem, nie zgodził się na ponowną konwokację.

Walka o „prawa banknotów", o klucz do rozdziału złota i o formułkę nie mogła być niestety rozstrzygniętą w 1921 r. Wdrożono jednak rozstrzygnięcie w ciągu jesieni 1921 r., której likwidatorowie użyli do osobistego porozumienia się ze wszystkiemi rządami sukcesyjnemi. Do Warszawy wybrali się likwidatorowie w październiku i życzyli sobie, bym im towarzyszył. Gdy się nowy minister p. Michalski (później wielce zasłużony około uzdrowienia skarbu) zgodził na moją podróż, zebraliśmy się d. 14/X. w Warszawie, nie wyjąwszy adwokata p. Dr Fausta. Likwidatorom przydzielono mieszkanie w hotelu Europejskim, mnie zabrała z dworca do siebie na mieszkanie bratowa Marjanowa, na wezwanie swego męża, który bawił właśnie w interesach w Wiedniu i w parę dni po mnie nadjechał do Warszawy. Pobyt u braterstwa był bardzo miły i wygodny, a gościnność bardzo serdeczna. Pobyt sam w Warszawie połączony był dla mnie z najboleśniejszemi wspomnieniami: z ciężkim bolem serca oglądałem z ulicy dom naszych wspólnych cierpień i Jej zgonu!

Honorarjum adwokackie.

Ale znaczną część czasu zajęła mi praca urzędowa. Przybywszy do Warszawy dzień przed likwidatorami, byłem przed nimi u ministra Michalskiego — już w pałacu króla Lesz-

czyńskiego przy ul. Rymarskiej. Przyniosłem mu oryginał kontraktu kupna domów, ułożyłem z nim szczegóły formalne konferencji z likwidatorami i przedstawiłem osobiście Dr Fausta, jako współautora kontraktu. Potem wykazałem ministrowi w obecności jego szefa prezydjalnego Dr Wyszatyckiego (dawnego urzędnika za moich ministerstw w Wiedniu i Warszawie), że według taryfy urzędowej dla adwokatów wiedeńskich należałoby się Drowi Faustowi honorarjum 36.000·— koron złotych, to znaczy suma bajońska, kiedy on się zadowala niewinnym tytułem. Minister kazał też zaraz telefonować do min. spr. zagr. z poparciem wniosku o tytuł, a później ja osobno poleciłem tę sprawę gen. sekr. tegoż ministerstwa, panu Bertoniemu, przy której to sposobności poznałem w ciągu kilkuminutowej rozmowy na ulicy przed ministerstwem p. ministra Skirmunta. W późniejszych czasach, a zwłaszcza po konferencji genueńskiej w czasie pobytu p. Skirmunta w Wiedniu miałem zawsze wrażenie, że Polska po raz pierwszy znalazła prawdziwego min. spr. zagr. Tem mocniej bolałem nad jego upadkiem w czasie osławionego przesilenia z r. 1922. Ale... wracając do Dr Fausta! Usiłowania moje odniosły skutek pożądany: ministerstwo spr. zagr. nadesłało poselstwu w Wiedniu reskrypt z oświadczeniem, że gotowe jest udzielić panu Dr Leonowi Faustowi tytuł radcy prawnego Poselstwa, wszelako pod warunkiem, że ten tytuł będzie służył tylko jednej osobie. Na to, wezwany przez Poselstwo, p. Dr Leon Faust dał pisemną deklarację, że zrzeka się tego tytułu na rzecz swego starszego brata Szymona również adwokata. Stosownie do tego nastąpiło załatwienie sprawy, to znaczy pan Leon Faust nie otrzymał — z własnej swej woli — ani honorarjum, ani tytułu. Podziwiałem zarówno brata młodszego dla jego ofiarności, jak starszego dla łatwości przyjęcia niezasłużonej ofiary!

Po południu dnia przyjazdu likwidatorów do Warszawy przedstawiłem ich ministrowi Michalskiemu w pałacu Namiestnikowskim, skąd powracając ze mną p. de Monnès

wyraził wobec mnie pragnienie swoje i swoich kolegów otrzymania orderu polskiego, na podobieństwo aktów odnośnych rządu serbskiego i rumuńskiego. Przyrzekłem poczynić starania, nie tając trudności w młodem demokratycznem państwie. Poinformowawszy się o „apetytach“ pp. likwidatorów i ich zdobyczach na tem polu, wniosłem do min. skarbu w ciągu listopada 1921 r. umotywowany wniosek o nadanie likwidatorom trzech wielkich wstęg, a 6-u urzędnikom niższych orderów. Z końcem grudnia 1921 r. powiadomiono mnie w Poselstwie, że min. spr. zagr. nie byłoby w położeniu nadać orderów w liczbie 9-u. Prosiłem tedy o odpowiedź do Warszawy, że ja się zadowolę 5-u orderami dla samych osób dyplomatycznych, tj. 3 dla likwidatorów, a dwa dla gen. sekr. i tegoż zastępcy. Zaledwie wpłynęła ta odpowiedź do Warszawy, już nadeszła około połowy stycznia 1922 r. decyzja ministerstwa. Mówię „decyzja“, bo zawiadomił mnie o niej telefonicznie nowy poseł nasz, zaprzyjaźniony ze mną z czasów parlamentarnych hr. Lasocki, na szczęście kolonji polskiej w Wiedniu następca p. Szaroty, któremu w radości z jego ustąpienia nie odmówiłem na prośbę p. Twardowskiego nawet mego podpisu na adresie pożegnalnym. Swoją drogą, bez mego podpisu nie chcieli podpisać adresu pp. Lanckorońscy i inni. Otóż poseł Lasocki zawiadomił mnie oficjalnie, iż Naczelnik Państwa nadał likwidatorom: de Monnès, Luxardo i Zenceanu ordery „Polonia restituta“ III klasy, a gen. sekr. Barry i zastępcy Moral czwartej klasy. Na mój zarzut, że stopnie są za niskie, odrzekł pan Poseł, że rzecz rozstrzygnięta, i że zresztą tak on sam, jak szef sztabu jeneralnego jen. Rozwadowski (znany czytelnikowi z Wallnerstrasse) otrzymali III klasę. Nie pozostało mi więc nic innego, jak z upoważnienia Posła zatelefonować do likwidacji, umotywować stopień — co mi się powiodło — i zapowiedzieć nadejście dekoracyj w najkrótszym czasie. Nie wiele minęło dni od tej rozmowy telefonicznej, gdy mnie do telefonu wezwał z poselstwa referent hr. Romer, z doniesieniem, że

min. spraw zagr. zapytuje poselstwa, czy te i te (tj. powyż wymienione) stopnie odznaczenia byłyby dostateczne; poselstwo byłoby gotowe, na moje życzenie postawić wniosek o stopnie wyższe. Rozmowa ta była rozczarowaniem pierwszej klasy: p. Poseł (— chyba czy nie pod lekturą p. Henzla? —) przeoczył, zdaje się, że akt ministerjalny nie zawierał nadania orderów, jeno zapytanie o ich stopnie, zaś ja z jednej strony zostałem pozbawiony wpływu na podwyższenie stopni, a z drugiej strony doniosłem interesantom o nadaniu, które wcale jeszcze nie nastąpiło. Któż sobie wyobrazi taktykę, jaką miałem w tym stanie rzeczy wdrożyć wobec nalegających na mnie panów, zwłaszcza francuza, przyzwyczajonego do noszenia orderów na szlafroku i żądnego popisać się orderem polskim na przyjęciu lutowem w ambasadzie francuskiej? Ciągle musiałem opowiadać likwidatorom, jak przewlekle traktują się u nas sprawy orderowe, a przytem domagać się od Warszawy wybawienia mnie z tego kłopotu. Nakoniec w pierwszych dniach kwietnia napisałem do min. Michalskiego list z prośbą o uwolnienie mnie z urzędowania, w którem muszę cudzoziemcom okazywać tak mało uwagi. Na to dopiero nadszedł telegram tej treści, że Rada ministrów już w marcu uchwaliła ordery i przedłożyła rzecz Naczelnikowi Państwa, który znowu oczekuje wniosków „kapituły“ („kolegium“ profesorów uniwersyteckich z prof. Kochanowskim na czele! Szczyt demokracji!) W maju dopiero nadeszły nareszcie ordery ku wielkiej radości wszystkich interesowanych. Ale wróćmy do Warszawy.

Na drugi dzień po owem przedstawieniu likwidatorów ministrowi p. Michalskiemu, odbyła się w min. skarbu wielka z nimi konferencja. Minister, zajęty w parlamencie, poruczył przewodnictwo prezesowi głównego urzędu likwidacyjnego; obradowaliśmy w 20 prawie osób. Likwidator Luxardo zdawał sprawę w imieniu swoich kolegów: na jego zapytanie, czy ma przemawiać w języku francuskim, lub w nieznanym panu de Monès i Zenceanu języku niemieckim, zgromadzenie oświad-

czyło się za niemieckim! Stało się to — horribile dictu! — w Warszawie w obecności kompromitującej takich jak ja „Niemców"! Ale żart na stronę, zgromadzenie to, złożone może w większości z Galicjan, okazało w całym swym, bez wyjątku, składzie tyle wiedzy fachowej i zdolności taktycznej, że mogłoby się było zaprezentować w każdem ministerstwie europejskiem.

Omówiono tedy wszystko, począwszy od kupna gmachów, zaliczki złota — ogół zdawał się raczej być ex post po stronie metody czeskiej, nie kupowania gmachów — egzekucji lombardów zagranicznych — uchwalono dobrowolną egzekucję w markach polskich — aż do właściwego programu likwidacji. P. Luxardo zaproponował w tym względzie trzy etapy postępowania: 1) przyznanie charakteru banknotów z przed 28/X. 1918 r. wszystkim ściągniętym przez państwa sukcesyjne banknotom, z pewną dla każdego państwa redukcją procentową; 2) przerzucenie sum okrojonych wraz z innemi państw zwycięskich pretensjami do zaspokojenia walorów, pozostałych w rękach Austrji i Węgier i złożonych w banku; 3) dobrowolne zrzeczenie się pretensji do tych walorów w zamian za częściowe zrzeczenie się Austrji i Węgier udziału w złocie, który miał przypaść państwom zwycięskim. Dziwnym trafem dyskusja nad tym programem była krótszą, niż poprzedzająca; a stąd poszło, że jakkolwiek punkt pierwszy pozbawiał Polskę przy pierwszym rozdziale złota pewnej części drobnego już i bez tego jej zapasu banknotów i pozbawił ją współczynnika ludności obok pozostawionej sumy banknotów — reszta banknotów miała się przy punkcie trzecim znaleść w gorszym jeszcze stosunku udziałowym — to jednak zgromadzenie, z wielką lojalnością i wyrozumiałością dla interesów reszty także państw zwycięskich, przyjęto wszystkie trzy z rzędu etapy. Ponieważ minister właśnie pod koniec posiedzenia powrócił był do biura swego, udałem się do niego z prezesem zgromadzenia i z naczelnikiem wydziału, przedstawiłem mu treściwe wnioski likwidatorów i uzyskałem na naszą wspólną propozycję ich zatwierdzenie. Nastąpiło to

wkrótce potem formalnie drogą obszernej do likwidacji odezwy. Likwidatorów nie mógł już minister Michalski przyjąć osobiście: zaprosiłem ich na popołudniowy piękny podwieczorek do ich hotelu i oddałem ich potem Dr Faustowi, który towarzyszył im do ofiarowanej im przez ministra loży operowej i wyprawił ich nocą na dworzec.

Uzyskawszy zgodę wszystkich państw sukcesyjnych na swoją zamierzoną akcję, udali się likwidatorowie do Paryża; a uzyskawszy i tam aprobatę, zwołali na d. 1 lutego 1922 r. nową sesję, celem rozpoczęcia obrad nad powyższą akcją i doprowadzenia rzeczy do końca. Sesja ta nie była zbyt długą, bo trwała tylko 6 tygodni, do 14 marca; ale możnaby rzec przesadnie, trwała dzień i noc i wymagała od nas wielkich trudów fizycznych, że ja — w połączeniu z brakiem wehikułu na tak dalekie odległości, którego nie zdołałem sobie uprosić jeszcze u min. Steczkowskiego — okupiłem tę sesję stratą zdrowia. Ale... koniec końców, na dzień 14 marca stanął układ, w którym zdołano wśród tysiącznych sprzeczności interesów 7-u państw sukcesyjnych zrealizować cały w Warszawie uchwalony program. Ile każdy musiał wyrażać gróźb i czynić koncesyj, tego nie zdoła wyrazić najdokładniejszy protokół, zwłaszcza że decyzje najważniejsze przygotowywano na konwentyklach. Ale — powtarzam — cel zamierzony został osiągnięty. Według dołączonego „Protocol général" z d. 14/III. 1922 r.*) postąpiono istotnie naprzód według punktu 1. propozycyj warszawskich: okrojono wszystkim część banknotów ściągniętych, a mnie się jedynie powiodło uzyskać dla Polski okrojenie najmniejsze. Polsce przyznano ze ściągniętych 2.700 mil. K. jako pochodzące z przed 28/X. 1918 r.: 2.150 mil. K., to znaczy zredukowano sumę o 550 mil. K., czyli o 21·525%, kiedy innym państwom zredukowano sumę banknotów o 24, 27, 28, 30, 46 (Austrji) i o 52·9% (Węgrom).

*) Patrz na końcu książki: załącznik L.

Polsce więc pozostało 78·4% banknotów z przed 28/X. 1918 r. Z tą sumą 2.150 mil. K. weźmie Polska udział w rozdziale ostatecznym złota, które pozostanie prawdopodobnie z końcem likwidakcji w sumie 230½ miljonów. Ponieważ ta suma będzie rozdzieloną między 29 miljardów banknotów austr., przeto na jeden miljard wypadnie 7.902 miljonów złota, a ztąd na 2.150 miljonów polskich wypadnie 16,989.300 koron złotych. Najmniej ze wszystkich państw, bośmy dobrowolnie najmniej wymieniali banknotów. Dodawszy 7¼ miljona z domów i gotówki, otrzyma Polska z likwidacji około 24 miljonów koron złotych. Drobnostka jeszcze przybędzie z zarządów następnych.

Stosownie dalej do punktów 2. i 3. referatu warszawskiego pozostały walory przy Austrji i Węgrzech w zamian za sumę 5 milj. K. w złocie, które będą rozdzielone między 5 państw zwycięskich w miarę zaprocentowanych (według klucza powyższego) banknotów z czasów po 27/X. 1918 r. Ponieważ w całości wymieniano banknotów 44.927 milj. K., a własność banknotów z przed 27/X. 1918 r. przyznano 29.120 miljonom koron (w tem Polsce najmniej, 2.150 milj., bo najmniej wymieniała), przeto niespełna 16.000 mil. K. w banknotach będą stanowiły podstawę do rozdziału 5 miljonów złota, odstąpionego przez Austrję i Węgry. Już tutaj Polska niknie prawie ze swoją pretensją 550 mil. K. w banknotach. Ale na tem nie koniec. Suma 5 milj. K. złotych ma służyć w zastępstwie walorów także dla innych pretensyj likwidacyjnych państw zwycięskich, mianowicie dla ich salda z aktywów i passywów. Otóż i tutaj Polska stoi najgorzej. Kiedy bowiem np. Czechy, spłaciwszy dobrowolnie w zastępstwie Banku austr.-węg. 2 miljardy długów żyrowych, zgłoszą tę pretensję do funduszu 5 milj. K. złotych, Polska już r. 1919 czy 1920 rozrachowała się z Bankiem co do ściągniętych żyrów i będzie miała tylko bagatelę podobno kilkakroć stotysięcy Koron w banknotach do żądania jako wynik likwidacji aktywów i passywów.

Zapewne pozostanie jeszcze jedna pretensja, o ile się da utrzymać. Nie wspomniałem o niej dotychczas, ponieważ pojawiła się wobec likwidacji dopiero w lecie 1921 r., acz swoją drogą została omówioną na konferencji warszawskiej. Oto w lipcu 1921 r. doniósł mi mój poprzednik, p. Dr Binder na podstawie całego szeregu aktów, że istnieje kwestja sporna bankowa między Polską a Austrją, traktowana przez oba rządy i bank jeszcze przed ustanowieniem likwidacji banku. Traktat pokojowy w St. Germain ustanawia, jak wiadomo, t. zw. system terytorjalny, mocą którego państwa sukcesyjne stały się ipso facto właścicielami przedmiotów nieruchomych, które w chwili rozpadnięcia się monarchji były jej własnością. W listopadzie 1919 r. znajdowała się w ekspozyturze filji banku krakowskiego w Lublinie suma przeszło 50 milj. K., złożona na rachunek bieżący przez rozmaite urzędy i organa wojennego tamże gubernatorstwa austro-węg. Jakkolwiek była ona od dnia 11/XII. 1918 r. według traktatu własnością Polski, centralny zarząd Banku przeniósł ją bezprawnie — rzekomo dla względów bezpieczeństwa — nie do kompetentnej filji krakowskiej, lecz do głównego zakładu w Wiedniu, gdzie kazał ją zapisać na rzecz ministerstwa wojny nowego państwa austrjackiego. Rząd polski, dowiedziawszy się o tem, zgłosił swoje prawa w styczniu 1919 r. u zarządu bankowego, który sprawę wniósł na radę generalną Banku, wzmocnioną już wówczas delegatami państw sukcesyjnych. Polski delegat p. Dr Binder popierał żądanie polskie; serbski p. Ploy przemawiał za współwłasnością wszystkich państw sukcesyjnych, cofnął jednak tę deklarację po oświadczeniu austrjackiego komisarza rządowego p. Thaa, przyznającem rację panu Dr Binderowi. Jasny ten stan rzeczy został jednak zaciemniony przez korespondencję urzędową Polski z bankiem i rządem austr., która się ciągnęła bezowocnie od stycznia 1919 r. do lipca 1920 r. i bezowocnie utknęła na oporze rządu i banku. Jako minister polski (sierpień do grudnia 1919 r.) nic o tej sprawie nie słyszałem, a przedtem i potem byłem osobą prywatną. W styczniu

1921 r. musiałem pana Dr Bindera zastąpić w likwidacji, a w lipcu 1921 r. otrzymałem od niego oficjalne zawiadomienie o stanie rzeczy, który podałem do wiadomnści Rządu naszego. Na konferencji październikowej w Warszawie poruszyłem całą sprawę w obecności likwidatorów, którzy oświadczyli, że nie posiadają wprost kompetencji do załatwienia tej sprawy, że jednak ze swej strony położyli tymczasowy sekwestr na całą sumę sporną, zaś nam zalecają rozpoczęcie rokowań z rządem austrjackim, a w braku zgody odwołanie się do Komisji reparacyjnej w Paryżu. Rząd polski przyjął tę deklarację do wiadomości i umieścił osobny o tem punkt w protokole, na którym później likwidatorowie położyli swoje podpisy. Po powrocie do Wiednia mówiłem z tym samym panem Thaa, jako jednym z zastępców austr. w likwidacji i dałem mu do przestudjowania plik aktów, wydobyty z wielką trudnością dopiero w lutym 1922 r. z biur likwidacji. Był to już czas prac naszych ostatecznych w likwidacji, zaczem przed podpisaniem „protocol général" zgłosiłem za uprzednią zgodą prezesa de Monnés do protokołu oświadczenie, iż zamierzam postąpić według powyższej warszawskiej deklaracji.

Wkrótce po podpisaniu układu z d. 14/III. 1922 r. likwidatorowie wyjechali do Paryża, a ja rozpocząłem badania buchalteryjne co do spornego depozytu i rokowania z Austrją. Z badań okazało się przedewszystktem potwierdzenie centralnej rachunkowości Banku, że likwidatorowie nie położyli byli aresztu na ten depozyt i że wskutek tego Austrja rozporządziła nim w sumie 22 milj. K., tak że dziś, po dokonanej tymczasowej sekwestracji wynosi tylko 28 milj. K. Pan Luxardo zapewniał uroczyście, że sekwestr w czas nastąpił, ale nie został wykonany z winy czy niedbalstwa buchalterji; wszelako odnośnego aktu nie można odszukać, przeto twierdzenie księgowości pozostaje w mocy. Nie dotykając zresztą wcale tej kwestji drażliwej, wysłałem na wiosnę pismo obszerne do p. Thaa, na które otrzymałem oficjalną odpowiedź rządu austr. z wyrazem niejakiej

chęci do układu, ale z nowemi argumentami przeciw naszemu żądaniu. Odpis tego pisma posłałem z obszerną notą do likwidatorów do Paryża, a na odpisie tej znowu noty wyraziłem rządowi austr. życzenie układów kompromisowach. Od Austrji nie otrzymałem jednak do dziś odpowiedzi z uwagi na to, że rząd jej nie mógł jeszcze przedłożyć parlamentowi układu z d. 14/III. 1922 r. Natomiast likwidatorzy odpisali mi, że ich ta sprawa wcale nie obchodzi. Otrzymali na to odemnie pismo bardzo energiczne z odwołaniem się na protokół warszawski, stanowiący jednolitą całość i z zapewnieniem, że Rząd polski nie zatwierdzi układu marcowego bez załatwienia sprawy lubelskiej. Na pismo to, którego odpis przesłałem ministrowi skarbu, odpowiedział mi ustnie p. Luxardo po powrocie z Paryża. Przybył do mnie osobiście z oświadczeniem, że skoro mi tak na tej sprawie zależy, on się nią zajmie osobiście i zaprosi imieniem likwidacji p. Thaa dla wdrożenia rokowań o ugodę; w razie zaś jej niepowodzenia, Likwidacja przedłoży akt Komisji paryskiej. Konferencja ta ma nastąpić po powrocie likwidatorów z urlopu, zapewne we wrześniu, o czem mi dla mego uspokojenia doniósł telefonicznie p. Luxardo tuż przed swoim wyjazdem na urlop.

In merito jest on zdania, że może Austrjacy będą skłonni oddać Polsce pozostałą kwotę 28 milj. K.; więcej trudno się spodziewać. Jeżeli się to powiedzie, zwiększą się o uzyskaną kwotę nasze pretensje, i to z tytułu zrealizowanego „żyra“ do funduszu 5 milj. złota.

W drugiej połowie sierpnia odwiedziłem p. Luxarda po tegoż powrocie z zagranicy; dwaj jego koledzy jeszcze nie byli z powrotem. Uzyskałem u niego zobowiązanie oddania sprawy lubelskiej przed sąd polubowny, na który się zgodził dobrowolnie p. szef sekcji austr. min. finansów Schwarzwald, objąwszy spuściznę po p. Thaa. Ponadto p. Luxardo oświadczył mi, że likwidatorowie przygotowują zaliczkę dalszą na złoto, zwłaszcza pod wpływem nacisku Czechów, obawia-

jących się rozruchów komunistycznych w Wiedniu. Czesi odnieśli się w tym samym duchu do poselstwa polskiego w Wiedniu, któremu na żądanie dałem pisemne wyjaśnienia. O wszystkiem tem zdałem także obszernie sprawę ministerstwu skarbu w Warszawie, a wychodząc ze stanowiska art. XII., protokołu z dnia 14/III. 1922 r., według którego zaliczki mogą być udzielane dopiero po zatwierdzeniu protokołu przez wszystkie państwa, zaleciłem związanie zatwierdzenia protokołu ze sądem polubownym i z realizacją kupna gmachów przez Czechy i Rumunję. Po dłuższym czasie zażądano odemnie z naszego min. skarbu odpisu mojego pełnomocnictwa ze stycznia 1921 r., ponieważ min. spr. zagran. ma wątpliwości konstytucyjne, ażali „protokół" może być zatwierdzony przez Rząd bez Sejmu. Po wysłaniu tego pełnomocnictwa z uwagą, iż z wyjątkiem Austrji, gdzie zatwierdzenie przez parlament już nastąpiło, wszystkie inne rządy zatwierdziły już protokół we własnym zakresie, otrzymałem z Likwidacji pisemne zawiadomienie o wypłacaniu zaliczek wbrew art. XII. i żądanie, by Polska podniosła przypadającą na nią ze sumy 100 milj. K. zaliczkę 7,3 miljonów koron złotych. Natychmiast wysłałem to pismo do Warszawy z wnioskami szczegółowemi co do podniesienia zaliczki. W dniu 27/X. przybyli do mnie likwidatorowie osobiście z oświadczeniem, że nie przyjmują na siebie odpowiedzialności na wypadek, gdyby udział złota Polski nie podniesiony przez nią, został zniszczony przez vis major. Zaraz o tem telegrafowałem do Warszawy drogą poselstwa. Gdy i to nie poskutkowało, donieśli mi likwidatorowie pisemnie, że jadą do Warszawy, gdzie będą przyjęci 10/X. przez min. Jastrzębskiego. Dnia 18/X. odwiedził mnie oficjalnie likwidator de Monnès, ażeby mi donieść, że p. min. Jastrzębski po wyjaśnieniu sprawy zakupna budynków przez Czechy i Rumunję, oświadczył gotowość zatwierdzenia „protokołu" z d. 14/III. i podniesienia zaliczki. Kwestja konstytucyjna załatwiła się sama przez rozwiązanie Sejmu i rozpisanie wyborów. Ale

zatwierdzenie nie nastąpiło do dziś (piszę to 7 listopada): otrzymałem pod d. 23/X. z min. skarbu odpis tegoż pisma do min. spr. zagran. z prośbą o wniesienie na Radę ministrów wniosku o zatwierdzenie „protokołu". Ponieważ to ostatnie ministerstwo musi naturalnie studjować akta, począwszy od ustanowienia likwidacji (listopad 1920), można sobie wyobrazić, dlaczego dotychczas nie nastąpiło ani zatwierdzenie protokołu, ani podniesienie zaliczki. Wszystkie inne państwa podniosły ją już dawno!

Bank Austro-Polski.

Ostatni rozmach w mojem długiem życiu, ostatnia kreacja tuż po ukończeniu 76 roku życia: Bank austro-polski.

Jeszcze w sierpniu 1920 r. dochodziły mych uszu częste skargi na brak instytucji finansowej, w której publiczność polska mogłaby zaopatrywać się w marki polskie gwoli subskrypcji na pożyczkę polską. Tak skromnie tę rzecz pojmowano! Po powrocie do Warszawy, spotkawszy się w banku przemysłowym (brata Marjana) z dyr. Szarskim z Banku przem. lwowskiego, wspomniałem mu o owych narzekaniach. Na to on mi „pod największym sekretem" oznajmił, że jego Bank zakłada taką instytucję, która będzie tak rentowną, że pragnąłby, by w niej wzięła udział kolonja polska w Wiedniu. Będąc tuż przed wyjazdem do Wiednia, oświadczyłem panu Szarskiemu, że chętnie wziąłbym także udział w Banku wiedeńskim, co zostało chętnie przyjęte do wiadomości. Wkrótce też otrzymałem w Wiedniu list od p. Szarskiego z doniesieniem, że rzecz dojrzewa, i że pp. Lewakowicz i Filippi (wicedyrektor krakowski), którzy się udają do Wiednia dla przygotowania prac, otrzymali polecenie porozumienia się ze mną. Że ci panowie byli wówczas w Wiedniu, dowiedziałem się przy sposobności od min. Twardowskiego, ale ich samych nie widziałem. Doniosłem o tem p. Szarskiemu, który w odpo-

wiedzi zaznaczył bardzo ostro ponowne polecenie porozumienia się ze mną. Ale i to nie pomogło, a wkrótce dowiedziałem się z dzienników, że za udziałem Banku przemysłowego powstała w Wiedniu przy Singerstrasse, 27 spółka komandytowa (nie bank akcyjny) pod firmą Robert Goldschmid & Comp.

Nie znając naturalnie przeszłości, nie interesowałem się tą firmą, nawet wtedy, gdy w ciągu r. 1921 przybywali do mnie rozmaici projektanci, niezbyt zresztą poważni, uważając nie bez racji kapitał 100 milj. K. przy ówczesnych stosunkach (w I. półroczu) za dostateczny. Wtedy — był to czas ciężkich starań moich o mieszkanie — także adwokat Dr Leon Faust wyraził mi gotowość zajęcia się kwestją banku. Po powrocie z Warszawy, w drugiej połowie października 1921 r. zabraliśmy się do tego na serjo i rozpoczęliśmy rozmowy z rozmaitymi kapitalistami. Myśl założenia banku była jednak traktowana wówczas, a może już wcześniej przez komitet, który pod przewodnictwem szefa sekcji p. Herbeta (znanego nam z akcji wodnej i odbudowy kraju) i za udziałem pp. Dr Bindera (wówczas zastępcy min. skarbu), Jana Lewickiego (b. szefa b. kancelarji gabinetowej za dwóch cesarzy) i p. Władysława Pytlaka (b. dyrektora organizacji handlowej Kółek rolniczych w Galicji), zamierzał stworzyć ze swej strony spółkę komandytową polską. Pierwsi dwaj odwiedzili mnie kilkakrotnie w tej sprawie; ale w szczególności p. Dr Binder sprzeciwił się formie komandyty, a wypowiedział za formą akcyjną, odmawiając jednocześnie stanowisko przewodniczącego w przyszłej Radzie nadzorczej. Zarazem zaproponował mi p. Dr Binder wciągnięcie do akcji bankiera tutejszego p. Mehrera, za którym przemawiały nie tylko znane jego zdolności fachowe, lecz ponadto jego rola jako upoważnionego przez polskie ministerstwo skarbu do akcji polepszenia kursu marki polskiej na targu wiedeńskim. Akcję tę wdrożył był słusznie p. Dr Binder pod wrażeniem strasznego spadku kursu marki aż do 35 halerzy austrjackich i zaproponował do jej przeprowadzenia p. Mehrera, którego też tem

spokojniej mógł mnie polecić. P. Mehrer przybył też do mnie, rozwinął bardzo zajmująco możność założenia banku akcyjnego i oświadczył gotowość subskrybowania 100—200 milj. K., jakoteż ewentualnego „aportu“ (sprzedaży) swego kantoru bankierskiego na rzecz nowej spółki. W niedługi czas potem przybył do mnie p. Herbet z deputacją swego komitetu, który reprezentując około 200 milj. K. ze subskrypcji średnich i małych kupców i przemysłowców polskich (ztąd nazwałem ich oficjalnie „grupę demokratyczną“), zaproponował mi po formie objęcia prezydjum najprzód w komitecie założycieli, a potem w banku. Mając z jednej strony już w ręku ofertę p. Mehrera, a z drugiej strony zapewnienie Dr Leona Fausta subskrypcji około 100 milj. K. ze strony szlachty polskiej, nie zawahałem się przyjąć propozycję p. Herbeta.

Było to, zdaje się w drugiej połowie grudnia. Gdy zaś niebawem przyprowadził mi p. Herbet szefa pierwszorzędnej firmy drzewnej p. Oskara Koernera i tegoż alter ego hr. Sizzo-Noris (dawnego gen. konsula austr. w Anglji), z których pierwszy oświadczył gotowość subskrypcji 100 milj. K.; i gdy dalej p. Lewicki przywiódł mi Józefa Steinera (znanego reprezentanta loterji klasowej w Austrji i Czechach) ze subskrypcją 1 miljona koron czeskich, co się wówczas równało 100 milj. K. austr. (dziś w sierpniu 1922 r. 15—16 miljardów!!), — mogłem spokojnie przystąpić — do prac przygotowawczych. Chodziło przy tem nie tylko o szczegóły przyszłej organizacji wewnętrznej, które omawiano u mnie na częstych konferencjach reprezentantów powyższych grup (zgodzono się też na kapitał 1000 milj. K.), lecz o trzy zasadnicze akty przygotowawcze: o zapewnienie koncesji rządowej na założenie spółki akcyjnej, o zapewnienie współudziału któregoś z wielkich banków, jako asekuracja od przyszłych wypadków i wreszcie o zapewnienie kierującego dyrektora. Poza tem miał się każdy z nas (głównie p. Dr Faust) oglądać za lokalem, który mimo

ofert niezliczonych był prawie nie do zdobycia; tamte trzy akty ja wziąłem na siebie.

Austrja pozostała jeszcze zawsze — nie bez racji — przy systemie koncesjonowania spółek akcyjnych według dowolnego przekonania władz powołanych, t. j. min. spraw wewn. i finansów. Formalnie udziela koncesji pierwsza z tych władz, u której też jeszcze w grudniu 1921 r. wniosłem podanie wespół z pp. Dr Binderem, Faustem i Mehrerem, ale naturalnie decyduje co do banków opinja min. finansów. Chodziło przeto przedewszystkiem o zjednanie sobie tej drugiej władzy. Mając tam tylu przyjaciół z dawnych moich rządów, udałem się najprzód do b. ministra Dr Grimma (mego dawnego prezydjalisty), który wespół z radcą generalnym Anglobanku, znakomitym finansistą p. Rosenbergem był dodanym do boku ministrowi parlamentarnemu p. Gürtlerowi. Krok ten mój nie przyniósł owoców widocznych: z ministerstwa samego nie otrzymałem wcale wiadomości, a p. Rosenberg, salonowiec z angielska, złożył mi bardzo uprzejmą i bardzo interesującą wizytę, nie wspominając wszelako ani słowem o moich planach. Z boku tylko słyszałem, że miał się „tout hautement“ oświadczyć za koncesją. Udałem się tedy tam, gdzie mi należało zapukać zaraz, do szefa sekcji, znanego mi z doskonałej strony z obu ministerstw moich, p. Pollaka. Gdym się do niego zgłosił telefonicznie, przyleciał do mnie jak najlepszy przyjaciel, odwiedzał mnie później często, dawał rady doskonałe i oświadczył, że minister za jego poradą udzieli mi z pewnością koncesji. Wkrótce potem minister Gürtler, któremu oświadczyć kazałem zamiar odwiedzenia go, przybył do mnie, nie dozwalając fatygi mojej wizyty i zawiadomił mnie wśród licznych komplimentów dla „przedstawiciela ancien-regime'u“, że wydał swoim radcom w ministerstwie polecenie, ażeby wszelkie bez wyjątku moje życzenia spełnili. Było to w pierwszej połowie stycznia; a gdy w kilka tygodni zanosiło się na kryzys gabinetowy, p. Gürtler napisał mi list uprzejmy z zapewnieniem uzyskania z ministerstwa kon-

cesji. Resztę aż do skutku robił i zrobił najpoczciwszy p. Pollak.

Po tem zabezpieczeniu warunku pierwszego zabrałem się do warunku drugiego, do zjednania pomocy któregoś z wielkich banków. Już w czasie pierwszych naszych konferencyj zwrócił p. Koerner uwagę moją na Anglobank; przedtem jeszcze p. Mehrer rozmawiał z jakimś urzędnikiem tegoż banku i uzyskał pomyślną — zdaniem tego urzędnika — odpowiedź. Znając z dawnych czasów jednego z decydujących dygnitarzy tego banku, radcę generalnego i dyrektora p. Hugona Schwarza, posłałem do niego na wywiady p. Dr Bindera. Odpowiedź była w zasadzie bezwarunkowo dobrą; udział jednak banku w mojej akcji zawisłym był od zgody angielskiej rady nadz. banku, który się właśnie był przemieniał na bank istotnie, nie tylko z nazwy, angielski. P. Schwarz był w danym momencie na wyjeździe i obiecał przywieść z powrotem dobrą z Londynu odpowiedź. Gdy p. Schwarz powrócił do Wiednia, odwiedziłem go i to w jego domu. Musiał on bowiem będąc przeziębiony, leżeć w łóżku i nie mógł przeto ani mnie odwiedzić, ani przyjąć u siebie w biurze. Przy łóżku tedy przedstawiłem mu moje plany, na co on — widocznie już uspokojony o Londyn, o co go już nie pytałem — przyrzekł udział Anglobanku w kapitale naszej instytucji 250 miljonów K., wejście swoje własne (Schwarza) do zarządu w charakterze wiceprezydenta, troskę o dobrego dyrektora, a nawet i pomoc w uzyskaniu lokalu, dając mi upoważnienie porozumienia się w tym względzie w jego imieniu z „Bankiem przemysłowym“ w Pradze, posiadającym gmach w Wiedniu.

Gdy dokładnie w tydzień później zatelefonowałem panu Schwarzowi z doniesieniem o poczynionych w Pradze krokach i zapytałem o szanse w Londynie, odrzekł, że są najgorsze, bo Anglicy nie chcą, by bank nadal zajmował się zakładaniem banków. Może tę wiadomość przywiózł mu przybyły o parę dni później z Londynu p. Rosenberg, a może — i to

prawdopodobniejsza — przyczyna tej raptownej zmiany frontu tkwiła tam, gdzie jak zaraz opowiem, tkwił powód odmowy posady dyrektora. Faktem jest, że dziwacznej propozycji telefonicznej p. Schwarza, ażebym „się usadowił“ w tak zw. Biedermann-Bank“, założonym już przez Anglobank stanowczo nie przyjąłem. Gdy zaś tym sposobem rozbiła się szczęśliwa myśl oparcia o Anglobank — a starania poczciwego szefa sekcji p. Pollaka o zjednanie współpracy „Allg. Verkehrbank“ ze znanym mi dobrze dyrektorem, nie doprowadziły do celu — postanowiłem tem bardziej zająć się sprawą dyrektora.

Nie była to rzecz prosta. Dyrektor kierujący istniejącym już wielkim bankiem, nie przejdzie do początkującego; inny urzędnik zaś nie daje gwarancji zdolności na kierownika; mnie ponadto potrzeba było szukać kogoś ze znajomościami czy stosunkami polskiemi. Jeden taki kandydat wydawał mi się stosownym: p. Eichner, nie kierujący, ale zawsze dyrektor „Länderbanku“, będącego zastępcą „Polskiej Kasy Poż.“ na targu wiedeńskim, przytem Ślązak, mówiący po polsku, dobrze zapisany we Lwowie i w Warszawie. Chętnie przybył do mnie na moje zaproszenie i obszernie omówił cele przyszłego banku. Ale na propozycję, na którą — jak otwarcie oświadczył — był przygotowany, odrzekł dosłownie: z Panem poszedłbym chętnie, choćby na koniec świata, ale jakże Pan może przypuszczać, bym ja się zdecydował objąć dyrekcję w banku, w którego zarządzie będzie zasiadał p. Mehrer?!“ Naturalnie zauważyłem, że Mehrer wchodzi do naszego koncernu jako kontrahent rządu polskiego, polecony mi przez zastępcę rządu p. Dr Bindera. Na to jednak objaśnił mnie p. Eichner, że w Warszawie ma p. Mehrer najgorszą opinję, właśnie z uwagi na swoją akcję markową, i że właśnie z tego powodu także p. Dr Binder stał się tam persona ingrata (zauważyłem to sam w paźdz. 1921 r.). Gdy w ciągu rozmowy wspomniałem zaś o nieudałej akcji z Anglobankiem, domyślając się związku z Mehrerem, mój gość wypowiedział stanowcze zdanie, że raptowna

zmiana frontu spowodowaną była niechęcią współdziałania z Mehrerem.

Odszedł p. Eichner, odrzuciwszy propozycję, a w najkrótszym czasie potem zaczęły mnie dochodzić wieści, że subskrybenci z grupy tak zw. demokratycznej noszą się z myślą interpelowania mnie na zgromadzeniu konstytuującem co do osoby p. Mehrera, że w Krakowie miał się odbyć proces karny o szachrajstwa walutowe, w ciągu którego wymieniano Mehrera jako wspólnika wiedeńskiego (wiadomości redaktora tutejszego „Głosu wiedeńskiego"), że w Warszawie na jakimś raucie poseł austrjacki p. Post żalił się wobec mego brata o udział Mehrera w moim koncernie itd. itd.

W tym ciężkim stanie rzeczy postanowiłem wstrzymać na jakiś czas wszelkie konferencje z konsortami i przyczekać, aż się sytuacja tak czy owak wyjaśni. Możnaby to nazwać „przyczajeniem się". W czasie tym około trzytygodniowym, przyjąłem u siebie trzy osobistości. Najprzód odwiedził mnie p. Zygmunt Lewakowski, dawny mój znajomy z prac sejmowych we Lwowie, urosły własną pracą i zręcznością na polu naftowem do rozmiarów „Stinnesa" polskiego, główny założyciel domu bankowego „Robert Goldschnid & Comp.". Rozmowa była bardzo serdeczna i dotyczyła także banków; ale ja, mimo życzenia połączenia się z tą istniejącą już placówką polską, nie mogłem robić propozycji jemu jako „beato possidenti", on zaś, jak się dowiedziałem później, widział zaporę w Mehrerze. Stanęło więc na tem, że oba banki będą się wzajemnie popierały, a p. Lewakowski powrócił na dłuższy pobyt do Lwowa.

Wkrótce potem zaprosiłem sobie p. Dr Bindera, ażeby mu opowiedzieć o trudnościach, wynikłych ze współudziału Mehrera. Binder oświadczył gotowość ustąpienia z konsorcjum, czego nie przyjąłem; ale mnie zarazem zapewnił i poparł to aktami, że Mehrer przeprowadził poprawę kursu marki naszej bardzo zręcznie i jeszcze rządowi polskiemu dał udział 32 milj. marek w osiągniętym z tego interesu zysku. Swoją drogą w War-

szawie wierzą, że rząd mimo to został mocno pokrzywdzony, czego świadkiem fakt, znany mi z ust p. Bindera z czasów owej akcji, iż min. skarbu telegraficznie nakazał wstrzymanie dalszej akcji; o procesie krakowskim w związku z Mehrerem bardzo nie wiele miał wiadomości pan Binder.

Tem bardziej uważałem za wskazane pomówić o tem wprost z p. Mehrerem. Zapraszając go do siebie, miałem pełne poczucie trudności położenia u niego i u mnie; wszelako res publica wymagała tej rozmowy. Łagodnie ale otwarcie opowiedziałem mu stan rzeczy: nie zaprzeczając jego zasług około sprawy założenia banku i zapewniając go, że nie wierzę w zarzuty, podnoszone przeciw niemu, stwierdziłem, że opinja w Warszawie i w kolonji polskiej w Wiedniu jest mu mocno przeciwną i że jego udziałowi w konsorcjum muszę przypisać trudności tak ze strony Anglobanku, jak w wyszukaniu dyrektora. Na jego zapytanie, czego żądam od niego, odpowiedziałem, że niemam ani serca ani prawa żądania od niego ustąpienia, że jednak proszę go o powzięcie jakiejś stosownej decyzji. Po dłuższej rozmowie stanęło na tem, że p. Mehrer dał mi następującą deklarację: „proszę szukać innych wielkich firm w moje miejsce, a jeżeli się panu powiedzie pozyskać współudział magnatów (dosłownie!) finansowych lub przemysłowych, to ja dobrowolnie ustąpię". Deklarację tę przyjąłem z wdzięcznością do wiadomości.

Nie długo czekałem na tak zw. „magnatów". Pierwszych dni lutego telefonuje mi p. Binder, że otrzymał z Krakowa od b. prez. apelacji p. Hausnera list za pośrednictwem kupca krakowskiego p. Mayera, który znając firmę Robert Goldschmid & Comp., gotów jest, skłonić ją do wejścia ze mną w układy. Po niedawnej wizycie p. Lewakowskiego nie bardzo mi się chciało wierzyć w „cudowną" działalność tego rabina czy faktora z Krakowa. Ale się pomyliłem, bo dn. 7/II. przyprowadził mi ten istny faktor, jakby dawny „Hausjud" szlachecki, pana Goldschmida z zasadniczą propozycją zlania

jego towarzystwa z mojemi grupami pod pewnemi warunkami. Chodziło najprzód o usunięcie z kombinacji p. Mehrera, jak sądziłem wówczas błędnie, z powodu niekorzystnej o nim opinji. Pozatem i inni członkowie mego koncernu nie bardzo konwenjowali arystokratycznym usposobieniom komandytystów p. Goldschmida. P. Koerner np. nie był sympatycznym firmie Liebiga, p. Steiner był za młody itp. Razem zebrawszy mogliśmy się co do tej sprawy porozumieć. Z drugiej strony firma Goldschmid pragnęła dla siebie zapewnienia większości w prezydjum banku. Trudno było odmówić temu żądaniu firmy, składającej się naprawdę ze samych „magnatów“ finansowych i przemysłowych. Oto ich nazwiska: „Polski bank przemysłowy“ we Lwowie (ongiś przezemnie współzałożony z kapitałem dziś 1 miljarda Mp.), Zygmunt Lewakowski (miljarder), pp. Ofenheim i Liebig, dwie największe w dawnej monarchji firmy, ich szefowie najbogatsi w całej Europie jako osoby fizyczne, dziś wielkie firmy naftowe z zastępcą słynnym Dr Klobassą i bankiem „Metallbank“ we Frankfurcie, wreszcie Herzfelder, największa firma cementowa w Austrji i Polsce. Nie potrzeba mi było zaiste szukać łaski ani u „Anglobanku“ ani u „Verkehrsbanku“, otrzymując tak potężnych spólników dla banku naszego. Przyznałem mu więc chętnie 60% udziału w kapitale, który miał wynosić nie, jak projektowałem, 1 miljard, jeno 600 milj., z czego na firmę miało przypaść 360 milj., a na nas 240. Pan Goldschmid, któremu, poznawszy w nim z pierwszego wrażenia wielki talent, zaproponowałem zaraz urząd naczelnego dyrektora, spisał nasze punktacje celem przesłania ich p. Lewakowskiemu. Obecnym był przytem cały czas „faktor“. Rzecz zdawała się w zasadzie szczęśliwie wdrożoną. Niezbyt długo potem nadszedł do mnie obszerny list p. Lewakowskiego ze zgodą zasadniczą i z wielkiemi perspektywami, niemniej z zapowiedzią przybycia w marcu do Wiednia celem ewent. ukończenia sprawy. Odpisałem równie obszernie i serdecznie, dotykając zwłaszcza dwóch szczegółów,

poruszonych w liście p. Lewakowskiego. Nie mogłem się mianowicie zgodzić na wstąpienie do spółki i staranie się wspólne o koncesję, bo nie chciałem sobie popsuć pozycji osobistej i materjalnej, którą mi zapewniało stanowisko wyłącznego koncesjonarjusza. Natomiast przystałem na usunięcie z kombinacji naszej tak Mehrera, jak p. Bindera, a to po następujących wyjaśnieniach ustnych p. Goldschmida, przynoszącego mi list p. Lewakowskiego.

Wspomniałem już, że p. Mehrer, na polecenie p. Bindera jako zastępcy naszego ministerstwa skarbu, prowadził w lecie 1921 r. akcję poprawy kursu marki polskiej na targu wiedeńskiem. Wspomniałem także o niezadowoleniu Rządu naszego z wyniku tej akcji i o nieprzychylnej z tego tytułu opinji publicznej: wszak w październiku 1921 r. p. min. Michalski na moją uwagę o potrzebie utrzymania placówki skarbowej w Wiedniu, bardzo energicznie oświadczył się przeciw pozostaniu p. Bindera na tem miejscu, skąd też musiał niestety — mojem zdaniem niesłusznie — ustąpić z końcem grudnia 1921 r. Natomiast nie mogłem wspomnieć nic o fakcie, którego nie znałem, aż do czasu wyjaśnień p. Goldschmida. Oto w ciągu owej akcji giełdowej p. Mehrer łącząc cały szereg banków tutejszych za udziałem w zysku, wykluczył dom Goldschmida, związanego przecież bardzo mocno z interesami polskimi. P. Goldschmid (mówiąc nawiasem katolik z najlepszemi koneksjami polskiemi!) tłumaczy to procesem o obrazę honoru, którą niedawno przedtem wytoczył był Mehrerowi z takim skutkiem, że Mehrer musiał mu przed sądem dać bardzo pokorną i potulną satysfakcję. P. Mehrer natomiast chciał wykluczenie firmy Goldschmida wytłumaczyć inaczej, mianowicie oskarżeniem, że w chwili akcji rządu polskiego w kierunku haussy marki naszej, firma Goldschmid rzuciła jednego dnia na targ wielkie sumy w markach i spowodowała jej baissę. Nie mogę zaręczyć, że tak dosłownie argumentował Mehrer; ale muszę to wnosić z faktu, że w owym czasie p. Binder wysłał

do Warszawy telegram oficjalny z takiem oskarżeniem przeciw osobie p. Lewakowskiego, decydującego w sprawach firmy Goldschmida. Acz telegram był tajny, prawdopodobnie szyfrowany, p. Lewakowski, bawiąc w owych czasach w Warszawie, znalazł przyjaciela, który mu w zaufaniu wyjawił tajemnicę. Twardy i gwałtowny p. Lewakowski, dotknięty ciężko i na honorze i w swoich uczuciach patrjotycznych, umiał się oczyścić przed władzami warszawskiemi, a za to przybywszy do Wiednia wyprawił p. Binderowi awanturę pierwszej klasy. Wprawdzie — a o tem dowiedziałem się jeszcze później od samego p. Bindera — tenże, acz miał rzekomo ową wiadomość fatalną giełdową nie od Mehrera, lecz od wiedeńskiej Centrali dewiz(?), wystawił pod wpływem Poselstwa pisemne odwołanie na korzyść p. Lewakowskiego, z którym sobie podali ręce. Ale p. Lewakowski nie byłby sobą, gdyby mógł był zapomnieć podobnej obelgi, jeżeli ją nawet przebaczył.

W pierwszej połowie marca 1922 r. przybył p. Lewakowski do Wiednia i odwiedziwszy mnie wraz z p. Klobassą, stwierdził zasadniczą naszą zgodę na myśl połączenia mojej grupy z jego koncernem. Nie zwichnęła tej myśli ani wizyta p. dyr. Szarskiego (dawniej urzędnika austr. min. finansów, zkąd mu ułatwiłem przejście do „Banku przemysłowego"), pragnącego wiadomości o stosunkach w mojej grupie, ani wizyta p. Bindera z opowiadaniem o pogodzeniu się z p. Lewakowskim. P. Szarski zrozumiał, że ja chcę dosłownie łączyć całą moją grupę z firmą Robert Goldschmid & Comp., co musiałem dementować wobec p. Lewakowskiego, poczem byliśmy razem wraz z p. Klobassą na tegoż zaproszenie gośćmi w hotelu Imperial; zawiadomienie p. Bindera podałem listownie p. Lewakowskiemu tuż przed jego odjazdem z zapytaniem, czy wobec pogodzenia nie możnaby p. Bindera wybrać do Rady Nadzorczej banku, na co odpowiedź ustną, bardzo twardo odmowną przyniósł mi nazajutrz p. Klobassa, odwiedzając mnie wraz z p. Goldschmidem.

W ciągu owego objadu p. Lewakowski upoważnił p. Klobassę do prowadzenia akcji ze mną we dwójkę. Ale także już wtedy mnie zawiadomił, że firma Goldschmid & Comp. traktuje z towarzystwem asekuracyjnem „Anker“ o układ wszechstronny, który między innemi miał nam zapewnić lokal tak trudny do uzyskania w Wiedniu. Klobassa i Goldschmid poinformowali mnie więc, że układ jest jakby ukończony, że „Anker“ weźmie udział w subskrypcji na bank, któremu poruczy wszystkie swoje interesa, że odda 2 piętra umeblowane na biura za czynszem 24 milj. K., że odda w zarząd banku swoje rezerwy (1—2 miljardów), a w zamian za to otrzyma rocznie „praecipuum“ 10% od kapitału bankowego. Gen. dyrektor „Ankera“, który miał wejść do banku jako wiceprezes, zwołał wówczas na 4 kwietnia Radę Nadzorczą, która z pewnością przyjmie układ, poczem powróci znowu do Wiednia p. Lewakowski, i bank może być zaraz założony. Nie bardzo byłem zachwycony tą zwłoką, zwłaszcza, że drogi lokal, a i obowiązek wciągnięcia do banku na żądanie „Ankra“ jeszcze jednego domu bankowego, nie przedstawiały mi się finansowo korzystnie. Ale wpływu na to wszystko mieć nie mogłem, ponieważ chodziło tu o interes firmy Goldschmida, do której przecież nie należałem. Były tu niestety jednak same złudzenia. Rada nadzorcza „Ankra“ odraczana kilkakrotnie, odrzucała układ z Goldschmidem, rzekomo dla innej jakiejś koncepcji czysto asekuracyjnej, a w rzeczywistości dlatego, ponieważ inny bank (Central-Boden Credit Bank) nas podkupił i zgodził się płacić za lokal podobno 100.00 fr. szwajcarskich (coby np. w sierpniu 1922 r. wynosiło 1.400,000.000 koron!). Pan Dubsky pozostał na stanowisku, więc się nie identyfikował z powyższym dawniejszym układem.

Jak więc tym sposobem z jednej strony nastąpiła przez tę porażkę stagnacja w sprawie banku, tak z drugiej strony przewlekał się ten stan niepomiernie przez opóźnienie przyjazdu p. Lewakowskiego, który miał nastąpić w drugiej połowie kwietnia. Muszę powiedzieć, że zwlekanie tej rzeczy dotykało

mnie osobiście bardzo dotkliwie, ponieważ nie mogłem nikomu odpowiedzieć rozsądnie na liczne zapytania, dlaczego bank nie powstaje, skoro zgoda z firmą Goldschmid nastąpiła. Napróżno rozpisałem przykre dla mnie bardzo listy do firm, których się musiałem wyrzec: do Koernera, Steina i Mehrera, któremu zwróciłem uwagę na „magnatów" Goldschmidowskich. Bank jak nie powstawał, tak nie powstawał. Irytacja z tego powodu, złość, wstyd i niecierpliwość kilkutygodniowa pozbawiły mnie ostatecznie zdrowia. Wspomniałem już w innem miejscu o ciężkich wysiłkach fizycznych, na jakie byłem w ciągu lutego i pierwszej połowy marca narażony z okazji sesji likwidacyjnej. W tym samym niemal czasie, ale jeszcze i przez dalszych półtora miesięcy dokuczały równie a ciężko dolegliwości moralne. Wynik tych podwójnych wpływów był dla mego zdrowia fatalny: jeszcze 22 kwietnia tuż przed spodziewanem a nie doszłem przybyciem p. Lewakowskiego, jeździłem i chodziłem z p. Dr Faustem w dzień bardzo słotny oglądać na wysokiem piętrze lokal dla banku i wróciłem do domu już bardzo osłabiony. Na drugi dzień rano wybuchła choroba sercowa, której się już do jesieni nie pozbyłem i zapewne się nigdy nie pozbędę. Zapewne, że po 76 latach zdrowia niespożytego winien jestem poddać się woli Bożej; zapewne, że i teraz jeszcze serce funkcjonuje najprawidłowiej (puls 72—6), a arterje nie mają śladu zwapnienia. Ale osłabienie mięśnia sercowego odbiera mi niejaką część siły fizycznej do pracy umysłowej, której się oddaję niezmiernie; a tę dolegliwość zawdzięczam naszemu ministrowi skarbu (które mi odmówiło wehikułu na czas czynności mej w likwidakcji Banku austro-węg.) i p. Lewakowskiemu.

Pierwszych dni maja zawitał nareszcie tenże p. Lewakowski, a w d. 6/V. podpisała firma Robert Goldschmid & Comp. wraz ze mną w mojem mieszkaniu protokół, obowiązujący obie strony do założenia banku, — zapewne z kapitałem, którego cyfrę zdeklarowałem zaraz za niską, 400 milj. koron, z czego firma miała dać 250 milj., a moja grupa 150 milj. Na

pół godziny przedtem byłem tak osłabiony, że p. Lewakowski biegał po pomieszkaniu za kroplami cucącemi! Ale posiedzenie samo przetrwałem z łaski Boga fizycznie i umysłowo dobrze. Protokołem powyższym ustanowiono pod mojem przewodnictwem komitet dla przygotowania i przyspieszenia założenia banku. Ale znowu upłynęły dwa miesiące, wypełnione w znacznej części ciężkiemi i spornemi często pracami, ale w części także zmarnowane z powodu wyjazdów rozmaitych panów, między innymi naturalnie także p. Lewakowskiego. Po niezliczonych sporach i przykrościach nastąpiły wreszcie d. 5 lipca 1922 r. ukonstytuowanie „Banku Austro-Polskiego“ i mój wybór na prezesa Rady Nadzorczej. Jeszcze wieczorem przedtem sytuacja była tak naprężona, że groziło rozbicie rokowań. A po 5 lipca byłby już chyba bank nie przyszedł do skutku i w tem znowu widzę i podziwiam nowy cud Boży dla mojej drobnej istoty. Już w kilka dni później rozpoczęła się bowiem w Austrji szalona epoka dewaluacji pieniądza i wzrostu drożyzny, w której nikt rozsądny nie miałby był odwagi do zakładania nowego banku. A i w takim razie ja osobiście byłbym po trudach niemal rocznych i po nabawieniu się choroby zmuszony, stanąć o własnych siłach wobec drożyzny, której przykładu nie było chyba w dziejach. Dość powiedzieć, że np. już w sierpniu nie zdołałem utrzymać gospodarstwa domowego (ja, krewna nasza panna Nudera i kucharka) sumą miesięczną miljona koron. Jako właściciel wysoko wartościowej koncesji nie żenowałem się walczyć o korzystny kontrakt co do moich poborów sześcioletnich i w ciągu tej walki musiałem niejedno, może niesłuszne zrobić ustępstwo. Ale, gdybym, stojąc nadal twardo, opóźnił był założenie banku, byłbym stracił na długi czas całą wartość koncesji, to znaczy, byłbym stracił wszystko. A z drugiej strony, gdyby bank stosownie do moich życzeń powstał na wiosnę, byłbym sobie wyjednał przy ówczesnych niższych stosunkowo cenach emolumenta o tyle niższe, że już w lipcu był-

bym był czuł braki w mej kasie prywatnej. I w tem znowu objawił się cud Boży!

Dwa pierwsze miesiące, lipiec i sierpień, nie mogłem wiele wpływać na zarząd banku, prowadzony tymczasowo zresztą znakomicie przez dyr. naczelnego p. Goldschmida, ponieważ dopiero na wrzesień uzyskaliśmy jaki taki lokal pod biura prezydjalne i dyrekcyjne. Przez ten czas, wolny od codziennej pracy biurowej, a w posiadaniu poboru jeszcze nie zbyt wysokiego (17.000·— koron za pracę $^1/_2$ dnia, z końcem lipca już 43.000!) wyjeżdżałem codziennie niemal do ślicznego zawsze Prateru, gdzie wśród rzewnego wspomnienia niezliczonych chwil szczęśliwych, spędzanych tam z niezrównaną żoną moją, wzmocniłem zdrowie swoje wśród cudnego lasu. Z końcem sierpnia zaprzestałem najmowania przedrogiego powozu, a 11-go września spodziewałem się zająć biuro bankowe przy Singerstrasse 27. Nadzieje te się niestety nie ziściły. Bank jako taki otrzymał lokal w domu powyższym na 1 piętrze dopiero 3 listopada. Dla mnie i tam nie znalazł się pokój; a że to nastąpiło — z winy czy z przeoczenia dyrektora Goldschmida — w formie, wyglądającej na chęć pozbycia się mnie z banku, wniosłem zaraz 4 listopada 1922 r. pismo z dymisją na ręce 1 wiceprezydenta Dr Letha. Rada dyrekcyjna przysłała na to do mnie p. Letha, zaprzyjaźnionego ze mną, b. min. skarbu i gubernatora Kasy Oszcz. pocz., któremu wręczyłem na piśmie warunki mego odstąpienia od dymisji. Przesilenie trwało do wczoraj i zostało załatwione przyjęciem moich 4 warunków: 1) lokal (na 4 piętrze sala posiedzeń), jako konieczny akcydens współpracy w banku; 2) codzienne sprawozdanie dyrektota wobec mnie i 1 wicep.; 3) zwoływanie posiedzeń za mojem zezwoleniem; 4) publiczne artykuły dziennikarskie za mojem placet.

W poniedziałek d. 20 bm. mam w Imię Boga rozpocząć nareszcie pracę w Banku po $1^1/_2$ miesięcznem czekaniu; czy Bóg mi raczy dać zdrowe serce, a i oczu, zaczynających szwankować?! Wola Jego Przenajświętsza niech się dzieje!!

A zanim to wszystko się ułoży, zanim przybędą może jeszcze nowe szczegóły do opisania, kończę tymczasem pracę niniejszą, którą uważam za publiczną dla Polski pracę. Kończę ją pod tem samem hasłem „Cudu Bożego", pod którem ją rozpocząłem d. 16/V. 1917 r. Rozpocząłem ją za życia Najdroższej, acz chorej już ciężko żony, kończę ją tylko w obecności Jej Ducha Czystego. Siedzę wśród wizerunków Nieocenionej mojej, wśród pamiątek po Niej, wśród Jej dawnych cudownych iście listów, wśród otaczających mnie codziennie dowodów dawnej Jej, rozrzewniającej dla mnie troskliwości, wśród ciężkiej, bezgranicznej za Nią tęsknoty. Wkońcu jak zawsze poddaję się woli Najświętszej tego Boga, którego cudów doznawałem całe życie, którego cudów tak pełne są niniejsze wspomnienia aż do ostatniej stronicy!

Wiedeń, dnia 17 listopada 1922 r.

Rocznica urodzin mojej Jedynej!

Biliński

(już 2 lata i 4 miesiące bez Niej).

ZAŁĄCZNIKI

Załącznik I (do str. 2 t. II.)

Dom polski przy Wallnerstrasse.

Na ostatniem posiedzeniu Koła polskiego d. 18 V. 1917 uchwalono z okazji mojego ustąpienia z urzędu Prezesa wybrać komisję, któraby wespół ze mną miała opracować i ogłosić drukiem sprawozdanie ze starań, podjętych przez Koło za mojej prezesury w sprawie gospodarczej odbudowy kraju. Rozumie się samo przez się, że gotów jestem z całą przyjemnością wziąć udział w tej pracy zaszczytnej; zanim jednak ją rozpoczniemy, nie zawadzi zapoznać ogół społeczeństwa polskiego z Domem, w którym się te starania robiło, a to choćby tylko dlatego, ażeby dla przyszłego dziejopisarza nie zatrzeć śladu miejsca, w którem się odegrał kawał dziejów polskich w czasach najsmutniejszych dla narodu.

Jeszcze późną jesienią roku 1914, kiedy pierwsza nawała wychodźców wojennych z Galicji przybyła do Wiednia, powiodło mi się, jako prezesowi założonego przezemnie już w połowie września komitetu opiekuńczego, uzyskać od właściciela dwóch domów przy Wallnerstrasse p. Frankla zobowiązanie oddania obu tych domów, położonych w centrum miasta, bezpłatnie do dyspozycji naszego komitetu. W styczniu 1915 otworzono w nich cały szereg instytucyj dla wychodźców polskich, jako to: prowadzoną przez panie polskie kuchnię i jadalnię na 600 osób, zakłady wychowawcze od szkółek freblowskich aż do kursów uniwersyteckich, ambulatorja lecznicze itp. Zakłady te, służące wielu setkom osób za drobną stosunkowo opłatą, zwinięto z końcem sierpnia 1915, gdy po odzyskaniu Lwowa przeważna część wychodźców z grona inteligencji powróciła do kraju.

Tymczasem już w lutym 1915 po mojem ustąpieniu z ministerstwa przenieśliśmy ztamtąd także kierownictwo komitetu wychodźczego na Wallnerstrasse, gdzie przemysłowcy wiedeńscy za staraniem członka komitetu, słynnego przedsiębiorcy i filantropa p. Ofenheima urządzili biura ze zbyteczną niemal wytwornością. Tam też przedewszystkiem poświęciliśmy się sprawie wychodźców, a zwłaszcza ratunkowi wychodźców polskich w barakach, których męczarnie powiodło się złagodzić drogą wpływów szlachetnej arcyksiężnej i jej interwencji u wielkodusznego monarchy.

Z biegiem czasu jednak tworzyły i przyłączały się do komitetu wychodźczego w krótkich odstępach dalsze komitety dobroczynności polskiej, jako to: komitet austr.-węgierski dla dostarczania pomocy Królestwu polskiemu, komitet opieki nad internowanymi z Królestwa polskiego i Centrala handlowa dla dostarczania żywności Królestwu polskiemu. Pierwsza z tych instytucyj powstała za wspólnem staraniem naszem i ministerstwa spraw zagranicznych, druga z naszej własnej inicjatywy, trzecia przy pomocy powyższego komitetu austr.-węgierskiego za współ-

udziałem naszym i byłego gubernatora lubelskiego bar. Dillera. Wszystkie one urodziły się przy Wallnerstrasse i wszystkie znalazły tam pomieszczenie pod biura, kasy i t. p.

W tymże samym domu nastąpiło ukonstytuowanie komitetu opiekuńczego dla superarbitrowanych legjonistów polskich, niemniej komitetu kołowego przy udziale referenta ministerstwa spraw wewn. dla opieki nad wychodźcami i ewakuowanymi z r. 1916. Po dokonaniu zjednoczenia wszystkich stronnictw na zebraniu krakowskiem przeniosło się do naszego domu także biuro prezydjalne N. K. N., gdzie prócz codziennych starań około legjonistów chorych, urlopowanych i t. d. zajmował się naczelnik Dr Habicht z wielką gorliwością losem jeńców z Królestwa polskiego w barakach austrjackich i węgierskich.

Jeżeli do tego dodamy, że nieskończona ilość klijentów komitetu wychodźczego z ewakuacji z roku 1916 zaludniała codziennie i aż do ostatniego dnia z prośbą o zapomogę lokale na Wallnerstrasse i że ponadto organizacje legjonowe wiedeńskie, przejmujące od naszego komitetu uwolnionych przezeń internowanych, były z natury rzeczy tego ostatniego komitetu klijentelą, to wolno może powiedzieć, że całość dobroczynności wojennej polskiej skoncentrowana była w krytycznej epoce narodu polskiego w domu przy Wallnerstrasse.

Wybrany w dniu 26 lutego 1915 r. prezesem Koła polskiego, zaprosiłem kolegów do korzystania z lokalu obszernego przy Wallnerstrasse, głównie z uwagi na to, że w gmachu parlamentarnym, zajętym pod szpital wojskowy, można było dawny lokal oficjalny Koła tylko z trudnością i tylko w pierwszych czasach mieć do rozporządzenia. Jakkolwiek więc dom przy Wallnerstrasse nie starczył na posiedzenia pełne, to wszystkie komisje i nieskończone konferencje znalazły tam wszechstronne miejsce. Tam to pracowały przez dwa lata przeszło obie komisje gospodarcze: wiejska ze współudziałem Centrali rolniczej polskiej w Wiedniu i miejska; tam się z inicjatywy tych komisyj urodziły plany dwóch instytucyj bankowych wojennych i Centrali odbudowy; tam powstawały projekta i plany trzech wielkich konferencji z rządem, na których zabezpieczono najprzód dach prowizoryczny nad głową do swych siedzib wracającej ludności, potem sfinansowanie odbudowy i wprowadzenie w życie Centrali odbudowy, jak niemniej ciągłą i stopniowe ulepszanie warunków tak kredytu wojennego, jak odbudowy samej. W tych samych lokalnościach odbywały się kilkakrotnie konferencje posłów z całym szeregiem interesantów z kraju nad sprawą moratorjum i szczęśliwem ostatecznem załatwieniem ich żądań; tam obradował komitet aprowizacyjny obu komisyj gospodarczych; tam radziła podkomisja tych dla ochrony od podatków wojennych; tam radzono z namiestnikiem Dillerem nad przyspieszeniem odbudowy kraju.

Przy Wallnerstrasse ukonstytuowały się za współudziałem członków Izby Panów i obradowały przez cały czas także komisja polityczna i jej stały subkomitet. Wszystkie większe i wielkie sprawy narodowe były tam omawiane z mniej-

szym lub większym skutkiem. Poświęciwszy swą uwagę przedewszystkiem niewyjaśnionemu stosunkowi Koła polskiego do N. K. N., komisja otrzymała najpierw oświadczenie prezesa N. K. N., że bez porozumienia się z prezesem Koła nie będzie odtąd załatwiał spraw narodowych. W myśl tego oświadczenia odbywały się w biurze naszem codziennie niemal wcale pomyślne konferencje dwóch prezesów aż do chwili zdobycia Warszawy, kiedy to celem święcenia uroczystości tego wielkiego faktu historycznego pojawiła się najprzód odezwa Komitetu Narodowego, a potem w dniu 9 sierpnia 1915 r. uchwaloną została wielka manifestacja Koła polskiego z żądaniem utworzenia z Królestwa i Galicji samoistnego państwa polskiego w związku monarchji habsburskiej. Dla zapobieżenia podobnym dysonansom wdrożono rokowania ze stronnictwami, stojącemi bądź to po za Kołem, bądź po za Komitetem Narodowym i po wielomiesięcznych konferencjach ze stronnictwami t. zw. podolskiemi powiodło się, dzięki zwłaszcza zmysłowi politycznemu św. p. posła Garapicha doprowadzić do zgody. Komisja polityczna uchwaliła na całym szeregu posiedzeń projekt układu, mocą którego N. K. N., zachowując wyłącznie dla siebie akcję legjonową, uznaje dla wszystkich innych spraw narodowych kompetencję Koła polskiego, poczem stronnictwo socjalno-demokratyczne bez żadnych zastrzeżeń i rokowań, tylko na podstawie programu narodowego wstąpiło do Koła polskiego. Ostatniego kwietnia 1916 r. nastąpiło w Krakowie uroczyste zjednoczenie wszystkich stronnictw polskich w N. K. N., a układ powyższy został zatwierdzony tak przez Koło, jak i N. K. N.

Dążenie do zjednoczenia stronnictw było tylko środkiem do celu, do jednolitego i silnego bronienia sprawy polskiej, a w szczególności przyjętego dnia 16 sierpnia 1914 r. przez zjednoczone poraz pierwszy wszystkie stronnictwa programu austrjacko-polskiego. Przy czynnościach tych weszła komisja w stosunek urzędowy z ministrem spraw zagranicznych bar. Burianem. Niestety stosunek ten nie przyniósł pożądanych owoców tak z powodu, że minister dopuszczał do siebie tylko prezesa, który na licznych posiedzeniach komisji musiał bądź to układać wstęp do konferencji z ministrem, bądź zdawać sprawę o jej przebiegu, jak zwłaszcza z powodu, że minister, osobiście sprawie polskiej zresztą bardzo oddany, pod wpływem wrogich nam żywiołów nie skorzystał z przychylnej po zdobyciu Warszawy chwili, zaś później pod naciskiem zmienionej w roku 1916 sytuacji wojennej i opinji berlińskiej musiał poświęcić program, który przez dwa lata ciężkiej wojny uważany był przez ludność polską w Galicji za najszczęśliwsze rozwiązanie kwestji polskiej.

Komisja polityczna wprawdzie z początkiem czerwca 1916 r., nie bez widomych skutków, wypracowała przez swój subkomitet do rządu wielki memorjał, wykazujący sprzeczność między dążeniami polityki polskiej w monarchji, a licznemi błędami administracji tak w Galicji jak w Królestwie. A jeszcze z końcem lipca 1916 r. próbowała komisja wejść w ściślejszy stosunek z ministrem, ażeby go wzmocnić w usiłowaniach, którym on sam nie odmawiał nawet wówczas wszel-

kich widoków. Wkrótce jednak potem komisja skonstatowała, że podróż sierpniowa kanclerza Niemiec do Wiednia sprowadziła upadek systemu austrjacko-polskiego, przekształcając go w system, którego wyrazem były manifesty dwóch cesarzy z dnia 5 listopada 1916 r. i list odręczny cesarza Franciszka Józefa z dnia 4 listopada 1916 r. Posiedzenie Koła polskiego z dnia 4 listopada w Krakowie, na którem reprezentacja polska postanowiła była bronić dawnego programu swego i uroczyste posiedzenie Koła sejmowego wraz z N. K. N. z dnia 12 listopada w Krakowie, na którem wielką manifestacją narodową powitano zmartwychwstanie Polski, były przygotowane przez komisję polityczną i spowodowały zarazem przerwę w jej pracach narodowych.

Z chwilą bowiem, gdy rola czynna w wielkiej sprawie narodowej polskiej została przez wyłączenie Galicji z niezawisłego państwa polskiego odjętą Kołu polskiemu, przeszła specjalna mniejsza sprawa narodowa, t. zw. wyodrębnienie Galicji, na komisję parlamentarną Koła. I znowu w domu polskim przy Wallnerstrasse rozpoczęła się 5-cio miesięczna gorliwa i gorąca praca, około urzeczywistnienia szlachetnej spuścizny po wielkim zmarłym Monarsze, która nas miała zabezpieczyć skutecznie od dalszego losu gniecionej prowincji na wypadek, gdyby z woli Opatrzności pokolenie dzisiejsze niemiało dożyć zrealizowania całego swego programu narodowego. Za udziałem i uroczystem błogosławieństwem Episkopatu naszego, za współpracą znakomitych uczonych naszych i najznakomitszych przedstawicieli rolnictwa, górnictwa, przemysłu i handlu powstał z niestrudzonej pracy komisji parlamentarnej wspólnie z ministrem Bobrzyńskim całkowity projekt konstytucji, który naturalnie nie może się ostać wobec pełnego programu narodowego, ale sam w sobie stanowi świadectwo niezwykłej dojrzałości politycznej narodu polskiego. A gdy wątpliwość, która dziś pod względem aktualności wyodrębnienia Galicji ogarnęła całe społeczeństwo, przed niejakim czasem poruszyła była także umysły w Kole polskiem, zajęła się jej rozwiązaniem znowu komisja polityczna, która uchwaliła jednogłośnie, że interes narodowy wymaga bezwarunkowo przeprowadzenia tak manifestu obu cesarzy, jak i pisma odręcznego cesarza Franciszka Józefa.

Tak to w murach domu przy Wallnerstrasse rozgrywały się wszystkie najważniejsze w tej epoce sprawy nasze narodowe, polityczne i ekonomiczne. Nawet sprawa tak drogich sercu naszemu Legjonów znalazła się tam na porządku dziennym w konferencjach brygadjera Piłsudskiego z komendantem Legjonów Puchalskim, której owocem było potem przyznanie Legjonom tak rozmaitych ich żądań fachowo-militarnych, jak i charakteru korpusu pomocniczego. Gdy zaś przed ogłoszeniem manifestu z dnia 5/XI. deputacja warszawska po powrocie swoim z Berlina przybyła także do Wiednia, skorzystała obradująca właśnie komisja parlamentarna Koła polskiego z tej sposobności, ażeby na wspólnej z tą deputacją konferencji omówić na Wallnerstrasse szczegóły zamierzonej przez państwa cen-

tralne akcji i przejąć się wspólnem uczuciem patrjotycznem na myśl powstania w dniach najbliższych niezawisłego Państwa Polskiego.

To też nie zbywało na powadze imieniu polskiemu, gdy przez otwarte zawsze podwoje Domu polskiego przesunęło się wiele tysięcy osób w krótkim ale wielkim historycznym okresie nieszczęśliwego narodu. Przybywali doń prezydenci ministrów i urzędujący i dezygnowani i nowo mianowani, przybywali ministrowie austrjaccy i członkowie Rady Stanu polskiej, przybywali namiestnikowie Galicji i jeneralni gubernatorowie lubelscy, jak niemniej komendanci Legjonów, przybywali dowódzcy stronnictw parlamentarnych, ubiegający się o sojusz z Kołem. Setki współziomków naszych z Królestwa szukało przy Wallnerstrasse rady i pomocy w trudnych wielokrotnie sprawach publicznych lub prywatnych, a społeczeństwo polskie z Galicji, którego część znamienna znajdowała się z początku roku 1915 jeszcze na wygnaniu, szukało nie bez pewnego zaufania przy Wallnerstrasse tak wówczas pociechy i otuchy jak później pomocy i poparcia. W okresie powyższym stał się Dom wygnańczy Koła polskiego, oderwanego od parlamentu, jakby centralnym urzędem polskim, z którym się oficjalnie znosiły władze rządowe i autonomiczne i z którym w najściślejszym zetknięciu stało dwóch po sobie następujących ministrów-rodaków jak niemniej marszałek krajowy.

Dziś parlament zwołany, Koło polskie przywrócone właściwemu posłannictwu swemu, da Bóg dla szczęścia narodu! Dom zaś polski, gdzie od pierwszego do ostatniego dnia jego istnienia stał u boku prezesa jako niestrudzony współpracownik i wierny doradca poseł Wincenty Jabłoński, dom ten dziś sprzedany i przez Koło polskie zarówno jak przez N. K. N. opuszczony. Neque locus ubi Troja! Niechżeż dziejopis polski zanotuje kiedyś choć kilku słowami istnienie i znaczenie Domu przy Wallnerstrasse w najcięższych dla narodu polskiego chwilach.

Biliński.

Załącznik A. (do str. 16 t. II.)

MILITÄR-KANZLEI
Sr. MAJESTÄT DES KAISERS U. KÖNIGS

Nr. 3187.

Seiner Exzellenz
dem Herrn k. und k. Geheimen Rat
J. Dr. Leon Ritter von BILIŃSKI
k. und k. gemeins. Finanzminister.
etc. etc. etc.

Auf Allerhöchsten Befehl Seiner k. und k. Apostolischen Majestät beehre ich mich Euer Exzellenz die Abschrift des alleruntertänigsten Vortrages des Armeeoberkommandos Op. Nr. 3222 zur gefälligen ausschliesslich eigenen Kenntnisnahme zu übermitteln.

Die in diesem Vortrage erwähnte Beilage ist Euer Exzellenz bereits vom Armeeoberkommando zugesendet worden.

Genehmigen Euer Exzellenz den Ausdruck meiner ausgezeichnetsten Hochachtung.

Wien, am 22. Oktober 1914.

Bolfras, G. d. Inf.

K. und k. Armee-Oberkommando.
Op. Nro 3222. **Abschrift.**

Allergnädigster Herr!

Seit der Besitzergreifung Galiziens und der Bukowina durch die Monarchie bis zur Gegenwart hat das polnische Element eine fast unbeschränkte Oberherrschaft über die anderen in diesen Ländern ansässigen Nationalitäten ausgeübt, da es allein über eine alte Kultur, einen einflussreichen Adel und über Grossgrundbesitz verfügte und fast ausschliesslich für die Besetzung der Beamtenstellen aller Kategorien in Frage kam.

Die gegen diese Oberherrschaft gerichteten Bestrebungen des erst in verhältnismässig später Zeit erwachten ruthenischen Nationalismus blieben mangels aller politischen Machtfaktoren fast gänzlich erfolglos, lösten dadurch in einem grossen Teil der ruthenischen Bevölkerung die Ueberzeugung von der Nutzlosigkeit weiterer Anstrengungen aus und machten ihn einer irreführenden ausländischen Agitation zugänglich, die im Volke den Glauben zu verbreiten verstand, dass es nach Rasse, Sprache und Religion zu Russland gehörend, von den Polen und der kaiserlich-königlichen Regierung widerrechtlich unterdrückt werde.

Dieser Bewegung konnten die ukrainischen vaterlandstreuen Organisationen umsoweniger machtvoll entgegentreten, als die polnischen Parteien die russophile Wühlarbeit vielfach offen oder geheim unterstützten, im Wahne, dass eine gemässigte russophile Strömung der Erhaltung ihrer überragenden Stellung weniger gefährlich sei, als ein seiner Kraft bewusstes, wenn auch für die Monarchie loyales ruthenisches Volk.

So kam es, dass die ruthenische Bevölkerung zu Beginn des Krieges in zwei feindliche Parteien getrennt war, deren eine sich nicht scheute, den eindringenden Gegner in jeder Weise zu unterstützen.

Was andererseits die polnischen Parteien Galiziens betrifft, so ist wohl für sie alle die Hoffnung auf Schaffung eines selbsständigen Nationalstaates massgebend. Diese Hoffnung stützt sich aber bei fast allen Parteien auf die Mitwirkung der Monarchie und nur bei den National-Demokraten (Allpolen) auf die Versprechungen Russlands. Hievon hat letzgenannte Partei untrügliche Beweise gegeben. (Beilage).

Diese Verhältnisse verursachten in den letzten Friedensjahren bei Polen und Ruthenen ein krasses Misstrauen gegen jede leitende Persönlichkeit, welcher Nation und Fraktion sie auch angehören mochte, da bei aller Anerkennung der persönlichen Qualitäten jede Partei in der gerechten Behandlung der anderen eine Vernachlässigung ihrer Interessen erblickte, was in weiterer Folge zu einer

unsicheren Haltung mancher Regierungsorgane, ja sogar zur Verkennung und Duldung monarchiefeindlicher Strömungen durch diese führte.

Unbefriedigte Hoffnungen der Ukrainer hatten unter anderem auch das Attentat zur Folge, dem Statthalter EURER MAJESTÄT Graf Potocki zum Opfer fiel.

Schon seit langem hat die Heeresleitung die aus diesen ungesunden Zuständen entspringenden Nachteile erkannt und ihre Bekämpfung gefordert; mangels einer radikalen Abhilfe nahm jedoch die staatsfeindliche Bewegung einen derartigen Umfang an, dass im Beginn des jetzigen Feldzuges unsere Truppen im eigenen Lande durch die Spionage und den Verrat durch die russophille Bevölkerung schwer zu leiden hatten, während der Feind, als „Befreier" auftretend, jeder Förderung sicher sein konnte.

Das feindliche Armeeoberkommando schritt sogar zur Ausgabe einer die nationalen Verhältnisse kennzeichnenden Broschüre, in welcher Galizien und die Bukowina als durchaus reif für die russische Okkupation bezeichnet werden.

Ein von solchen Parteiwirren zerrissenes Gebiet erheischt energische und zielbewusste Massnahmen, eine feste, führende Hand, um nach dem Kriege wieder ein wertvolles und verlässliches Kronland zu bilden.

Neben unnachsichtlicher Unterdrückung staatsfeindlicher Bestrebungen muss die Masse der Bevölkerung durch unparteiische Behandlung, materielle Unterstützung wiedergewonnen werden. Hiebei genügt es aber nicht, dass die leitende Persönlichkeit über die nötigen Eigenschaften verfüge, es müssen auch alle Kreise volles Vertrauen in ihre unbefangene Haltung haben.

Nach den bestehenden Verhältnissen kommen für die Besetzung der höchsten Stellen in Galizien und der Bukowina nur Staatbeamte oder Politiker polnischer Nationalität in Frage. Welcher Partei sie auch angehören, nie werden sie sich der Unterstützung der gesamten polnischen Fraktionen erfreuen und in keinem Falle geeignet sein, die Gegensätze zwischen den leitenden Parteien zu überbrücken.

Für den Ruthenen aber, sei er russophiler oder ukrainischer Gesinnung, wird der polnische Chef der Landesverwaltung stets als Repräsentant der polnischen Unterdrückung gelten.

Das notwendige einhellige Vertrauen Aller wird nur ein Vertreter der Wehrmacht zu erringen vermögen, da diese seit Jahrzehnten das Prinzip der gleichmässigen Behandlung aller Nationalitäten verkörpert.

Bei der Einrichtung der Verwaltung in den wiedergewonnenen eigenen Gebieten muss ferners in hervorragender Weise auf die Bedürfnisse der Feldarmee Rücksicht genommen werden, da von ihr allein die Gestaltung der Zukunft der Monarchie abhängt.

Strenge Massnahmen gegen militärfeindliche Wühlereien sind hiebei ebenso unerlässlich, wie eine zielbewusste Beeinflussung des Beamtenkörpers und der

autonomen Behörden, dann wie eine das reibungslose Zusammenleben von Volk und Armee sichernde materielle Hebung des vielfach ruinierten Landes.

Alle diese Umstände lassen erkennen, dass in der nächsten Zeit die Tätigkeit politischer Beamten als Statthalter von Galizien und Landespräsident der Bukowina auf kaum zu bewältigende Schwierigkeiten stossen muss.

Das Armeeoberkommando unterbreitet daher nach reiflicher Erwägung die treugehorsamste Bitte EURE MAJESTÄT geruhen, mit der Verwaltung der beiden Kronländer bis auf weiteres einen höheren General zu betrauen und diesen zum Gouverneur für Galizien und die Bukowina Allergnädigst zu ernennen.

Erzherzog FRIEDRICH, G. d. I. m. p.

Załącznik B. (do str. 96 t. II.)

STRENG VERTRAULICH! NUR ZUR PERSOENLICHEN INFORMATION

Denkschrift des Polenklubs.

In einen Zeitpunkte, in welchem die für die Zentralmächte immer glücklichere Wendung der kriegerischen Ereignisse die Aussicht auf den Beginn von Friedensverhandlungen in absehbarer Zeit zu begründen scheint, betrachtet es der Polenklub, als nunmehrige Vereinigung aller polnischen politischen Parteien in noch höherem Maase zur Führung der nationalen Angelegenheiten berufen, für seine Pflicht, der k. u. k. gemeinsamen, wie nicht minder der k. k. österreichischen Regierung jene Wahrnehmungen mitzuteilen, welche sich ihm in betreff der glücklichen Lösung der österreichisch-polnischen Frage aufdringen.

Unter dem Eindrucke der geschichtlichen Logik ist mit dem ersten Tage des Kriegsbeginnes unserer Monarchie mit dem russischen Reiche eine spontane Interessengemeinschaft, ja eine Art stillschweigenden Abkommens zwischen der Monarchie und den polnischen Bewohnern derselben entstanden. Den ihr von Russland aufgedrungenen Krieg beschloss die Monarchie durch ihre berufenen Organe sozusagen am ersten Tage mit der internen Absicht zu beantworten, im Falle des Sieges das im russischen Besitze befindliche, durch den Wiener Kongress geschaffene Königreich Polen der Monarchie anzugliedern. Zu eben derselben Zeit hat das polnische Volk in Galizien den politischen Gedanken gefasst, dass im Falle des Sieges das ganze ungeteilte, nach Osten ensprechend erweiterte und gesicherte Kongresspolen der Monarchie einverleibt und mit Galizien vereint, im Verbande der Habsburger Monarchie unter dem Szepter ihres Kaisers und Königs zu einem mit selbständiger Staatlichkeit ausgestatteten Königreiche Polen umgestaltet werden möge. Der fünfzehn Tage nach Kriegsbeginn, am 16 August 1914, in Krakau durch die Abgesandten aller, auch der radikalsten Parteien einhellig gefasste Beschluss, für die Sache der Monarchie und an der Seite ihrer Armee freiwillige polnische Legionen aufzustellen, war der vor ganz Europa geoffenbarte Beitritt des polnischen Volkes in Galizien zu der von der gemeinsamen Regierung geschaffenen politischen Konzeption.

Diese Gedanken und Interessengemeinschaft zwischen der Monarchie und dem polnischen Volke in Galizien verstärkt durch die Hoffnung und Absicht des letzteren, den gleichen politischen Gedanken auch unter die Stammesbrüder des Königreiches zu verpflanzen, hat sich in seiner Reinheit, d. h. in dem beiderseitigen ungeschmälerten geistigen Verständnisse, bedauerlicherweise nur kurze Zeit erhalten. Das polnische Volk allerdings glaubt seine diesfälligen Pflichten voll und ganz erfüllt zu haben. Die polnischen Regimenter unserer Armee haben nicht blos mit Pflichtbewusstsein, sondern auch mit patriotischen Enthusiasmus

ihr Blut für den geliebten Kriegsherrn vergossen und sollen manche unter ihnen — leider nicht immer durch die Schlachtenberichte angeeifert, oder wie das Hausregiment der Stadt Krakau Nr. 13 als „schlesisches" bezeichnet — im Laufe des Krieges sehr zahlreiche Mannschaftserneuerungen erfahren müssen. Die polnischen Legionen, zumeist aus kaum aufblühenden Jünglingen bestehend, haben sich auf verschiedenen Kriegsschauplätzen einen Heldenruf errungen, der nicht blos bei unserer Armee, sondern auch bei jener unseres deutschen Verbündeten schmeichelhafte Zustimmung gefunden hat. Die Zivilbevölkerung aber, welche durch den Gang der kriegerischen Ereignisse in die Lage versetzt, Hab und Gut, Haus und Hof, für das Vaterland zum Opfer zu bringen, trachtete diese Drangsale mit patriotischer Ruhe zu tragen. Nicht so ganz auf der geraden Linie ist das Verhalten der öffentlichen Organe der Monarchie zu dem polnischen Volke geblieben.

Schon in wenigen Wochen nach dem Beschlusse vom 16 August 1914, kaum nachdem die erste Differenz in betreff des Textes des militärischen Eides der Legionen, und zwar zu ungunsten der polnischen Idee, entschieden worden war, wurde plötzlich und unvermittelt in der Oeffentlichkeit die Behauptung von dem sogenannten „polnischen Verrat" lanciert. Nicht um die Schöpfer dieses tollen Gedankens, der die Polen an ihrer eigenen, heiss ersehnten Idee eines polnischen Staates in der Monarchie Verrat üben liess, handelt es sich; auch nicht um eine ganz vereinzelte widersinnige Handlung einiger Politiker oder gar nur eines einzigen bei der Schaffung der sogenannten ostgalizischen Legion, welche zum Ausgangspunkte der schwersten Schmähung gegen das polnische Volk ins Feld geführt wurde. Vielmehr handelt es sich darum, dass die öffentlichen Organe der Monarchie das polnische Volk zu dessen Entsetzen fast bei keiner Gelegenheit vor der obgenannten Schmähung in Schutz nahmen, dass diese Passivität insbesondere sehr zahlreiche polnische Flüchtlinge bei ihrem Aufenthalte in den westlichen Kronländern den schwersten öffentlichen Insulten aussetzte, ja dass es nicht wenige, wenn auch nicht vielleicht sehr hohe öffentliche Organe gab, welche ganz offen in Galizien und ausserhalb Galiziens vom „polnischen Verrat" sprachen.

Nichts half dagegen die durch die Polen erbetene Konstatierung seitens des Landwehrobergerichtes, dass die Gerüchte über Hinrichtungen hochverräterischer hoher Staatsbeamten in Galizien böswillige Märchen seien, nichts half die amtliche Kundgebung des Statthalters von Galizien mit der wörtlichen Bestätigung aller dortigen Zivilbehörden über das Nichtvorkommen von Hochverratsprozessen gegen irgend einen Staatsbediensteten. Im Gegenteil, alle polnischen Staatsbeamten und der ganze polnische Adel, aber auch die polnischen Bauern wurden unter stiller Duldung der Behörden zu „Verrätern" gestempelt und gar die Eisenbahnbeamten wurden, — dem Müssiggange und den Verwünschungen seitens der Bevölkerung im Hinterlande ausgesetzt — durch Beamte aus anderen Kronlän-

dern ersetzt, obwohl ausnahmsweise der Herr Eisenbahnminister ihre Staatstreue öffentlich anzuerkennen sich bewogen fand. Wie viele lebensfrohe, tüchtige und zweifellos treue Untertanen des Kaisers ihr arbeitsames Leben diesem schweren politischen Irrtum haben zum Opfer bringen müssen, konnte die polnische Welt nur aus schauerlichen Sagen erfahren. Und wie viele Familien in den Internierlenlagern als politisch gefährlich darben müssen oder bereits verkommen sind, wird erst die Zukunft lehren.

Der gewaltige Zuzug von Flüchtlingen nach Wien und in alle westlichen Kronländer hat in seinen Konsequenzen die Stimmung bei der polnischen Bevölkerung noch verschlimmert. Es mag ohneweiters zugegeben werden, dass die Regierung bei der Unterbringung der Flüchtlinge mangels jedweder Erfahrung auf sozusagen blinde Versuche angewiesen war; auch das muss dankbar anerkannt werden, dass die wohlhabenderen Klassen der Bevölkerung in Wien und in den Kronländern sehr erhebliche Wohltätigkeitsakte für die armen Flüchtlinge widmeten. Dagegen hatten hunderttausende von Flüchtlingen nicht blos unter der Feindseligkeit der niederen Bevölkerungsklassen, sondern in noch viel höherem Masse unter der entsetzlichen Behandlung in den staatlichen Baracken zu leiden. Erst sehr spät sind diese letzteren Leiden über Einschreiten einer edlen Erzherzogin auf Allerhöchsten Befehl teilweise behoben worden; dagegen konnte nicht verhindert werden, dass zahlreiche Flüchtlinge angeblich mit Gewalt nächtlich aus den Betten gerissen wurden, um zu militärischen Zwangsarbeiten nach Serbien geschafft zu werden und dass jener Teil derselben, der lebendig zurückkehrte, ansteckenden Flecktyphus in die Baracken zurückbrachte. So sind viele Tausende armer Flüchtlinge dem Barackenleben zum Opfer gefallen und die Sterblichkeit der Kinder füllte in kurzer Zeit grosse neuerrichtete Friedhöfe.

Trotz dieser furchtbaren Bedrängnisse verfolgte die ganze geflüchtete und daheimgebliebene polnische Bevölkerung mit patriotischer Sehnsucht die heldenmütigen Kämpfe, welche unsere Armee um die Wiedereroberung unseres Heimatlandes führte. Die weltberühmte Offensive des Mai und Juni 1915 brachte fast ganz Galizien wieder in des Kaisers Machtbereich und die Wiedereroberung Lembergs enthüllte vor ganz Europa das Bild einer anhänglichen, kaisertreuen Bevölkerung, von welcher die sehnsüchtig erwartete kaiserliche Armee mit Tränen der Rührung und Dankbarkeit begrüsst wurde. Bald darauf hat es sich herausgestellt, dass seitens der Bevölkerung über 10.000 österreichische Gefangene den seinerzeitigen russischen Siegern teils entrissen teils entlockt worden waren und in Privathäusern der verschiedensten Gesellschaftsklassen mit Lebensgefahr versteckt gehalten und bis zur Beseitigung der Invasion genährt und gekleidet wurden.

Diese für uns alle so freudige und beglückende Offensive hat für die polnische Bevölkerung Galiziens drei traurige Folgen gezeitigt. Wiewohl es allgemein bekannt wurde, dass Seine Majestät in Allerhöchtseiner Milde und Weiss-

heit anbefohlen hatte, von irgend welchen Vergeltungsakten gegen die polnische Bevölkerung des wiedereroberten Lembergs abzusehen, mehrten sich bis zu dem vor nicht geraumer Zeit erfolgten Wechsel in der Person des Stadtkommandanten von Lemberg die Hochverratsprozesse und Verhaftungen selbst gegen angesehene und notorisch tadellose Personen in erschreckender Weise. Angeblich über Verlangen des Eisenbahnministeriums wurden hohe Beamte der Staatsbahndirektion unbegründeterweise in vielwöchentliche Haft gebracht und die Zahl der während der Invasion daheimgebliebenen Eisenbahnbeamten, welche durch die gemischten Kommissionen vor das Kriegsgericht gestellt wurden, soll sehr erheblich gewesen sein. Man hat sich eben in Lemberg nicht einen Augenblick zu der Höhe der im kaiserlichen Befehle enthaltenen Lehre aufzuschwingen vermocht, dass die angeblich verräterischen Handlungen treuer Staatsbürger nur vom Gesichtspunkte des psychischen Zustandes der unter vielmonatlicher Invasion eines ebenso grausamen als listigen Feindes stehenden Bevölkerung beurteilt werden müssen.

Als zweites Ergebnis der ruhmreichen Offensive muss wenigstens zeitlich die Ersetzung des polnischen Zivilstatthalters durch einen, der polnischen Nationalität nicht angehörenden General bezeichnet werden. Die Rücksicht auf den seitherigen Tod dieses Statthalters lässt die Klagen nicht detailiert aufkommen, die wir gegen dieses Regime anzuführen hätten. Es mag ja bei dem Verstorbenen gewiss der gute Wille vorhanden gewesen sein, aber die Ausschaltung jeder Verbindung mit den verfassungsmässig berufenen Vertretern der Bevölkerung, die Ernennung von nichtpolnischen Offizieren auf die Stellen von Bezirkshauptleuten, eine gewisse Gegnerschaft gegen die polnischen Legionen und der Versuch der Auflösung ihrer Organisationen, eigensinnige Fehler in der Beschaffung von Nähr- und Saatgut, alldiese und ähnliche schmerzliche Erinnerungen sind aus den polnischen Herzen nicht leicht zu entfernen.

Als Glücksfall müssen wir dankbar anerkennen, dass, nachdem einmal der von uns nach wie vor bekämpfte, ausnahmsweise nur gegen die Polen gerichtete Grundsatz aufrechterhalten wurde, es könne in der Kriegszeit in Galizien — im Gegensatze zu dem gleichfalls im Kriegsgebiete gelegenen Bukowina, aber auch zu Tirol, Istrien, Triest und Dalmatien — kein Zivilstaatsbeamter zum Statthalter ernannt werden, als Nachfolger des Verstorbenen ein General deutscher Zunge bestellt worden ist, welchem wir nach seiner kurzen Tätigkeit im Königreiche Polen das vollste Vertrauen entgegenbringen und von dem wir uns den erfolgreichen Wiederaufbau des Landes erhoffen. Dass aber auch dieses Regime die Konsequenzen des unmittelbar vorhergehenden nicht so leicht zu beseitigen imstande ist, ergibt sich z. B. aus einer vertrauenswürdigen Schilderung der am 14 d. M. in Drohobycz stattgefundenen Wehrmannsfeier, bei der der dortige militärische Bezirkshauptmann in seiner Anrede das polnische Volk verletzt haben soll und dessen Nationalhymne nicht abspielen liess, während er die Ruthenen öffen-

tlich belobte und zum Schluss durch das Korrespondenzbüro das Fest als ausschliessliches Verdienst der Ruthenen hat feiern lassen, denen er auch die grösstenteils aus polnischen Petroleumwerken gespendeten Gelder zuführte.

Kurz nach Befreiung Lembergs erfloss — sozusagen als dritte Konsequenz — die Julivorordnung des Eisenbahnministeriums, welche einerseits von den Bewerbern um Unterbeamten-, Arbeiter- und Dienerstellen den Nachweis der Kenntnis der deutschen Sprache verlangt und anderseits dem gesammten Personale verbietet, während der Dienstzeit und in den Amtslokalitäten auch nur privat anders als in der deutschen Sprache untereinander zu verkehren. Diese anscheinend im militärischen Interesse erlassene Verordnung ist, wie seitens des Obmannes des Polenklubs amtlich konstatiert wurde, nicht von der Militärbehörde veranlasst worden, da diese nur im Oktober des Jahres 1914, nicht später und zwar lediglich die Durchführung der bestehenden Sprachenverordnung vom Jahre 1896 verlangte. Hiedurch erscheint der Eingriff der Regierung in das nationale Leben der Polen in Galizien nur umso härter.

Die Verordnung des Eisenbahnministeriums widerspricht ihrem politischen Wesen nach nicht blos den durch Allerhöchste Entschliessung der polnischen Sprache seit dem Jahre 1869 zustehenden Gerechtsamen, sondern überdies auch noch jenen edlen Versicherungen, welche der Hochherzige Monarch aus Anlass der kurz vorher erfolgten Ernennung des ersten militärischen Statthalters ganz spontan gegenüber dem zur Audienz befohlenen Obmanne des Polenklubs im Sinne der vollsten Aufrechterhaltung der sprachlichen Rechte der Polen auszusprechen die Allerhöchste Gnade hatte.

Ist die Verordnung des Eisenbahnministeriums auf diese Weise ein bedenklicher, ja staatsgefährlicher Hebel zur Untergrabung des Vertrauens in des Kaisers Wort, so enthält sie inhaltlich zwei Unmöglichkeiten. Einesteils eine widernatürliche, ja unvernünftige und bei einem Kulturvolke ganz undurchführbare Vorschrift in betreff der alltäglichen Umgangssprache: stellen sich denn die Verfasser der Verordnung vor, dass es irgendwo auf der Erde möglich wäre, z. B. zwei Deutschen zu verbieten in irgend einem Amte deutsche Gespräche untereinander zu führen? Andernteils enthält die Verordnung, wenn sie auch nur halbwegs durchgeführt werden sollte, tatsächlich den Ausschluss aller Landeskinder, der polnischen wie der ruthenischen aus dem niederen und niedersten Staatseisenbahndienste, weil ja die arbeitenden Klassen bei den Polen und Ruthenen weder deutsch sprechen noch je sprechen werden. So hat denn die Verordnung zur Folge gehabt, dass auf den galizischen Staatseisenbahlinien eine ganze Völkerwanderung von Bediensteten umherirrt und dass überdies sprachliche Inspektoren die Linien bereisen und jedes gehörte polnische Wort mit Geldbussen belegen, wobei allerdings nach Schilderung von Ohrenzeugen die Amtshandlung selbst nicht immer deutsch, aber auch nicht polnisch geführt werden soll.

Der Polenklub hat vergeblich versucht, bei zwei Instanzen die Zurückziehung

oder wenigstens Milderung der genannten Einsenbahnverordnung zu erwirken. Der Misserfolg dieser Bestrebungen ist umso bedauerlicher, als es nicht viele Regierungsmassregeln gibt, welche soviel Hass in die weitesten Schichten jener Bevölkerung getragen hätten, die physisch und seelisch unter den Kriegsgreueln so grausam zu leiden hatten.

Ueber die Heilung der durch den Krieg hervorgerufenen Schäden hat der Polenklub mit der k. k. Regierung von Ende Februar 1915 bis in die jüngsten Tage Verhandlungen gepflogen. Dieselben hielten sich bis zur Maioffensive des Jahres 1915 naturgemäss in beschränkten Grenzen und dehnten sich nach Massgabe der Erweiterung der wiedereroberten Gebiete aus. Auch im Verlaufe dieser Verhandlungen gab es für das polnische Volk manche Bitternisse und manche Hoffnungslosigkeiten, manche Enttäuschungen und schweren Stunden. Aber fast über alle diese Hindernisse hat der energische Wille Seiner Exzellenz des Herrn Ministerpräsidenten, der Erfüllung der staatlichen Pflichten gegenüber Galizien zum Durchbruche zu verhelfen, den Sieg davongetragen. Dank der 14-monatlichen, ausdauernden Einflussnahme des mit dem Polenklub in dauernder Fühlung stehenden Chefs der Regierung ist es, abgesehen von einer Anzahl untergeordneter Massregeln, gelungen, eine staatliche Kriegskreditanstalt zu schaffen und allmählich entsprechend auszugestalten, im Spätherbst des Jahres 1919 der unglücklichen Bevölkerung ein provisorisches Dach für den Winter zu schaffen und in jüngster Zeit eine Landeszentralstelle zu errichten, welcher die gesammten Mittel für den technischen und wirtschaftlichen Wiederaufbau des Landes teils aus staatlichen Subventionen teils aus staatlichen Darlehen sichergestellt worden sind.

Das erhebende Gefühl, für die nächste Generation ein verjüngtes, der Kultur wieder zugängliches Land gewährleistet zu haben, wird aber wieder durch den Umstand getrübt, dass der Bevölkerung auf einem, dem Wiederaufbaue verwandten Gebiete zu ihrem Rechte nicht verholfen werden kann. Entgegen den Bestimmungen des erst kurz vor Ausbruch des Weltkrieges erlassenen Kriegsleistungsgesetzes befinden sich nämlich die Zahlungen des Staates für in Anspruch genommene Kriegsleistungen in einem tief beklagenswerten Rückstande. Hunderte von Millionen gebühren den Grossen und Kleinen für requirierte Tiere und bewegliche Sachen, ebenso wie für vernichtete Immobilien und deren Annexe. Wenn wir uns nun auch, allerdings widerwillig mit dem Gedanken befreunden mussten, dass der Ersatz der eigentlichen Kriegsschäden erst nach Friedensschluss durch ein besonderes Gesetz geregelt und bis dahin durch staatliche Darlehen suppliert werden soll, so ist die Nichtausführung des bestehenden Kriegsleistungsgesetzes eine Tatsache, welche namentlich den kleinen Mann in seinen Rechtsanschauungen beirrt und als wirtschaftliche Schädigung bei Allen Gefühle der Empörung hervorruft. Fügt man dem noch den erschwerenden Umstand hiezu, dass im völligen Widerspruche mit dem Texte und Geiste des Kriegsleistungsgesetzes eine Interpretation desselben platzgegriffen hat, welche die nahmhaftesten Kriegs-

leistungsansprüche in das Gebiet der Kriegsschädenansprüche verweist, so wird es begreiflich erscheinen, dass wir es tief und schmerzlich empfinden müssen, dass es dem Herrn Ministerpräsidenten, welcher auch auf diesem Gebiete unseren Bestrebungen die tatkräftigste Unterstützung zu leihen versuchte, immer noch nicht gelungen ist, jene ausserhalb seiner Regierung stehenden Faktoren zu gewinnen, deren Zustimmung zu einer loyalen Durchführung des Kriegsleistungsgesetzes staatsrechtlich erforderlich ist.

Die oben ausgeführte Leidensgeschichte des polnischen Volkes in Galizien während der letzten 22 Monate war sicherlich geeignet, die politische Gedankenrichtung des Volkes bedenklich zu beeinflussen. Zum Glücke hat, abgesehen von etwaigen Schwächen Einzelner, eine solche Beirrung nicht stattgefunden. Hat auch der Entusiasmus des Kriegsbeginnes sich teilweise verflüchtigt, die polnische Nation in Galizien hält treu zu ihrem Kaiser und hält fest an jener ideelen Basis, welche seit den Augusttagen des Jahres 1914 das Volk mit der Monarchie seelisch verbindet. Mag man auch daher mit vielem Rechte den Vorwurf erheben, dass die öffentliche Macht in der Monarchie durch ihre Vorgangsweise gegenüber dem polnischen Volke anscheinend beinahe beflissen war, dessen warme österreichische Gefühle zu dämpfen und dessen feste österreichische politische Orientierung zu untergraben, so kann darauf immer noch wieder nicht ohne Unrecht geantwortet werden, dass es sich hiebei um österreichische Untertanen handelt, welche eben ihre Untertanenpflichten unbeirrt um Hemmungen und Störungen zu erfüllen haben.

Aber schon vieles von demjenigen, was der polnischen Bevölkerung Galiziens Schmerzen verursachte wird seine Wirkung auf die politischen Gesinnungen der Stammesbrüder im Königreiche Polen nicht verfehlt haben. Kann denn z. B. die Abschaffung eines polnischen Zivilstatthalters auf eine Bevölkerung ohne Einfluss bleiben, die gegen russische Militärgouverneure durch ein Jahrhundert ankämpfte? Oder konnte die Germanisierung der Staatseisenbahnen Galiziens an einer Bevölkerung spurlos vorübergehen, welche erst vor wenigen Jahren die Russifizierung der bis dahin rein polnisch gebliebenen Hauptlinien bitterlich beklagte? Wie schwerverständlich mögen für das Gemüt des polnischen Volkes im Königreiche jene Leiden gewesen sein denen in den Internierunslagern zahlreiche polnische Männer, Frauen und Kinder ausgesetzt sind, welchen nichts anderes vorzuwerfen ist, als dass sie Bürger jenes Königreiches sind, das ja der Krone unseres Monarchen angehören soll!

Noch viel schwerer fällt selbstverständlich alldasjenige ins Gewicht, was den Polen im Königreiche direkt widerfahren ist. Die Aufgabe der österreichischen Verwaltung in den okkupierten Gebieten Polens hatte angesichts des Kriegszieles naturgemäss kein anderes Ziel als der Bevölkerung durch jeden einzelnen Verwaltungsakt anschaulich zu beweisen, dass die neue Verwaltung besser und volksfreundlicher sei, als die vorhergehende russische. Um eine solche, zweifellos

sehr schwierige Aufgabe zu erfüllen, muss man aber vor allem das Land und den Charakter sowie die Sitten des Volkes genau kennen. Da nun eine solche Kenntnis von der Armee nicht von Haus aus erwartet und verlangt werden kann, hat der Obmann des Polenklubs sich zweimal, vor und nach der Maioffensive, im Wege zweier zuständigen Stellen bemüht, die Berufung eines polnischen Staatsmannes bezw. hohen Beamten an den Sitz des Armeeoberkommandos zu erwirken. Hiebei wurde, unter ausdrücklicher Betonung der obbezeichneten grundsätzlichen Aufgabe, der Gedanke entwickelt, dass ein Vertrauensmann an der Seite des Durchlauchtigsten siegreichen Führers der Armee berufen wäre, in betreff der Auswahl der Personen und der Ergreifung von Massregeln auf dem Gebiete der Verwaltung Polens national-fachliche Ratschläge zu erteilen. Dieser zweimalige Versuch ist bedauerlicherweise misslungen und das Verhängnis hat seinen Weg genommen.

Am Anfange der Organisation wurden für die Verwaltung des Königreiches Kreisämter mit militärischer Spitze, ohne eine konzentrierende Oberbehörde geschaffen. Hieraus ergab sich vor allem anderen eine, der Individualität der einzelnen Kreiskommandanten entsprechende Verschiedenheit in der Verwaltung jedes Kreises. Bei der Auswahl der Kommandanten wurde selbstverständlich auf die Fähigkeiten und den Charakter, aber naturgemäss weniger auf die fachliche Eignung und unnatürlicherweise noch weniger auf die sprachlichen Qualitäten Rücksicht genommen. Da man nun auch von dem allertüchtigsten Offizier nicht die genügende Fachkenntnis auf den zahlreichen Gebieten der Verwaltung, als die politische Verwaltung, Schul-, Steuer-Justitzverwaltung und zugleich noch die Kenntniss der polnischen Sprache fordern kann, so wäre es angezeigt gewesen, jedem militärischen Kreiskommandanten einen tüchtigen polnischen Zivilverwaltungsmann als Stellvertreter für die ganze Verwaltung beizugeben. Statt dessen hat man zwar für einzelne Ressorts polnische und auch nicht polnische Beamte mittlerer und niederer Rangstufen bestellt, liess aber als Einzelchef den Offizier mit seinem oft auch nicht polnischen Adjutanten walten.

Die Kreischefs entwickelten zweifellos einen regen und auch bestgemeinten Eifer bei der Ausübung ihres Amtes. Aber viele von ihnen fühlten in sich den Beruf, volkswirtschaftliche Probleme in die Hand zu nehmen, für deren Lösung auch die höchste akademische Bildung nicht immer ausreicht. Unter oft desperaten Bestrebungen hat namentlich die Industrie der okkupierten Gebiete sehr stark gelitten. Soferne die einzelnen Fabriksetablissements sei es durch Kriegsschäden oder durch Metall- und sonstige Requisitionen der Armee genötigt waren, ihren Betrieb einzustellen, ist dagegen bei allem Bedauern kein Wort zu sagen. Wenn aber in manchen Fällen die Einstellung zu dem Zwecke erfolgte, um z. B. das von der Fabrik noch in der russischen Regierungszeit aufgestappelte kostbare Rohmaterial im Requisitionswege an Privatfabriken in der Monarchie verkaufen zu lassen, so wurde bei den Fabriksbesitzern das bittere Gefühl einer

Zurücksetzung gegenüber der Monarchie wachgerufen, welches in jedem einzelnen Falle gewisse politische Schäden für die Monarchie bewirkte. Aehnlich wirkten verschiedene Vorkommnisse bei der Montanindustrie.

Viel nahmhaftere Schäden ergaben sich aus der Unkenntnis der polnischen Sprache. So schwer die Hand der russischen Verwaltung auf der Bevölkerung des Königreiches gelastet hatte, der Zutritt zu den Aemtern war doch für die Interessenten nicht übermässig behindert und der Bauer, den die russische Regierung aus nationalen und sozialen Rücksichten zu bevorzugen bestrebt war, war wohl fast immer in der Lage, seine Bitten und Beschwerden vor der Behörde und insbesondere auch vor dem Vorstande derselben persönlich vorzutragen. Der Vorstand der Bezirksbehörde kannte wohl etwas polnisch und die russische Sprache war an sich kein Hindernis der Verständigung mit dem Bauer. Nach der Okkupation ist nun durch die Bestellung von Kreiskommandanten nicht polnischer Zunge ohne einen polnischen Zivilvertreter für die Bevölkerung der ihr so beliebte persönliche Verkehr mit dem Amtschef unmöglich geworden. Die Bauernbevölkerung musste sich infolgedessen entweder an zugeteilte polnische Beamte wenden oder den Weg zum Amtschef durch einen Vermittler suchen. Dieser letztere Weg war der häufigere, indem sich als Vermittler jüdische Kaufleute und sonstige Interessenten bei der Hand fanden, welche immer der deutschen und grossenteils der polnischen Sprache mächtig sind. Hieraus ergab sich ein Zustand, an sich ausserordentlich heikel, der zu den bedenklichsten Folgen unserer Organisation im Königreiche gezählt werden muss.

Die führenden polnischen Kreise denken in Bezug auf die Juden nichts weniger als antisemitisch: hat ja in Galizien im Laufe der Jahrzehnte die nationale Assimilierungspolitik gewisse Erfolge aufzuweisen gehabt. Aber schon in Galizien hat sich gerade in der Kriegszeit das Verhältnis zwischen der christlichen und jüdischen Bevölkerung recht verschlimmert. Der Perzentsatz der jüdischen Bevölkerung ist aber in Galizien um etwa 5—7% niedriger als im Königreiche Polen. Daraus folgt, dass sich die Polenführer schon jetzt der Pflicht bewusst sein müssen, in dem künftigen Königreiche Polen die Judenfrage systematisch vom Standpunkte der Humanität und Gerechtigkeit, ebenso wie von jenem der nationalen und staatlichen Interessen endgiltig zu lösen. Hiezu ist als Vorbedingung notwendig, dass während der provisorischen Militärverwaltung nicht faktische Zustände geschaffen werden, welche das im Königreiche in dem letzten Jahrzehnt unter dem Einflusse der russischen Regierung sowohl, als unter jenem einzelner politischer Parteien ohnehin sehr verschärfte Verhältniss zwischen der christlichen und der jüdischen Bevölkerung noch mehr vertiefen könnten.

Letzteres scheint nun infolge der Organisation der Kreiskommanden bereits geschehen zu sein. Nicht blos der polnische Jude, der im vorigen Jahrhunderte sich mit dem polnischen Volke zur nationalen Gemeinschaft bekannte, sondern zum Teil auch der dem polnischen Volke völlig fremde, seitens der russischen

Regierung im Laufe des letzten Jahrzehents aus Litauen nach dem Königreich Polen mit Gewalt hinausgejagte, der polnischen Sprache mit keinem Worte mächtige russische Jude („Litwaki") gilt heutzutage bei der Bevölkerung als der Allmächtige. Er kann angeblich mit seiner deutschen Sprachkenntnis alles beim Amte erwirken, er kann vom Amte jedes Geschäft erhalten, er kann für jedermann jedes Geschäft vermitteln. Das ist selbstverständlich nicht richtig. Aber die Bevölkerung aller Schichten glaubt daran und die antisemitischen Instinkte mehren sich in einer solchen Weise, dass schon jetzt Gefahren vorausgesehen werden müssen, die in der Zukunft die Lösung der jüdischen Frage unmöglich machen können. Dies scheint die deutsche Verwaltung in Warschau sehr wohl durchblickt zu haben, indem sie, offenbar um den „Litwaken" und den sogenannten deutschen Juden gleichmässig zu begegnen in der Wahlordnung für den Warschauer Gemeinderat das aktive Wahlrecht von der Staatsangehörigkeit im Königreiche Polen und das passive von der Beherrschung der polnischen Sprache in Wort und Schrift abhängig gemacht hat.

Der Polenklub ist sicher weit entfernt, der österr-ungarischen Verwaltung im Königreiche Polen eine antisemitische Richtung anzuempfehlen, er glaubt jedoch eine vorsichtige Aenderung jenes Kurses anregen zu sollen, welcher es bewirkt hat, dass die unter dem russischen Regime an die grausame judenfeindliche Politik gewöhnte Bevölkerung nunmehr das österreichische Regime als direkt judenfreundlich bezeichnet und diesen Vergleich zu ungunsten unserer Monarchie auslege.

Der Mangel sprachlich geeigneter Organe äussert sich übrigens nicht blos bei den Spitzen der Verwaltung, sondern auch bei deren untersten Ausläufern. Es scheint nämlich, dass auch bei der Auswahl der für die Militärverwaltung bestimmten Regimenter und Gendarmerietruppen an das Verständnis der polnischen Sprache nicht gedacht wurde. Man hört nämlich oft Klagen darüber, dass der kleine Mann in das Regierungsgebäude nicht gelangen kann, weil ihn die ungarische Wache nicht versteht und daher nicht hereinlassen will. Noch mehr aber klagt man und zwar nicht blos sporadisch, sondern im ganzen okkupierten Gebiete über die Gendarmerie, deren Mannschaft angeblich fast auschliesslich der böhmischen Bevölkerung entnommen ist. Die Feindseligkeit der tschechischen Gendarmerie gegen die polnische Bevölkerung überhaupt und namentlich gegen die Bauernbevölkerung ist geradezu sprichwörtlich geworden. Typisch wiederholt sich die Erzählung, dass tschechische Gendarmen bei Amtshandlungen den Bauer mit Kolbenstössen und den Worten traktieren: „da hast du polnisches Schwein, damit du weisst, ob wir nicht besser schlagen als die Russen". Schon solche Erzählungen an sich, selbst wenn sie der Wahrheit nicht entsprechen, bilden eine politische Gefahr, da der Bauer bekanntlich konservativ veranlagt ist und durch Misshandlungen seitens der österreichischen Gendarmen zu Vergleichen mit den alten russischen Gendarmen veranlasst werden könnte. Der „tschechische Gendarm" ist eben zum Schaden unserer Verwaltung ein Schlagwort geworden.

Nach längerer Zeit war der Gedanke einer konzentrischen Zusammenfassung der Verwaltung herangereift, so dass ein Generalgouverneur und zwar in der Person des Generalmajors Freiherrn von Diller ernannt wurde. Diese Tatsache allein bildete schon die Bürgschaft für eine gewisse Vereinheitlichung der Verwaltungsgrundsätze. Der neue Gouverneur widmete sich mit grossem Eifer seinem Amte und da er durch gerechtes, wohlwollendes, die wirtschaftlichen Interessen des Landes, sowie die nationalen Gefühle der Bevölkerung schonendes Vorgehen sich die Herzen der Bevölkerung sowohl als der ihm beigegebenen Beamtenschaft gewann, überdies auch noch eine gewisse Kenntnis der polnischen Sprache besass, wurde er zu einer starken Stütze des österreichischen Regimes in den Augen der polnischen Bevölkerung, Man hat ihn mit grossem Bedauern von seinem Posten scheiden sehen. Aber auch ein Gouverneur von den Qualitäten des Herrn von Diller kann nicht für alle Fehler und gar den bösen Willen einzelner Organe einstehen. Dies zeigte sich bei Finanzorganen und noch mehr bei politischen Behörden.

Es sollen hier nicht all jene fiskalischen Massnahmen erörtert werden, welche zu Anfang unserer Okkupation mit der allgemein verhassten und dann zurückgezogenen Kopfsteuer beginnend, einzelne mehr oder weniger wohlhabendere Klassen übergingen und zum Schlusse in allerjüngster Zeit 54 Grossgrundbesitzern fühlbar geworden sind, die über Zureden der Finanzbehörden ihre Branntweinbrennereien mit bedeutenden Mitteln wiederaufgebaut haben, um schliesslich zu erfahren, dass sie zwar von dem zu erzeugenden Branntwein die erhöhte Steuer zu bezahlen haben, aber mit Rücksicht auf das einzuführende Monopol die Ware unverkauft liegen lassen müssen. Dagegen können Bedrängnisse der Bevölkerung durch die politischen Behörden nicht übergangen werden.

Um nicht zu sehr ins Detail zu geraten, möchten wir in dieser Richtung nur einen einzigen, aber beinahe das ganze Okkupationsgebiet berührenden Fall besprechen. Schon im Jahre 1915 und auch in dem laufenden sind die arbeitenden Klassen aufgefordert worden, sei es in die Arbeiterabteilungen für das Okkupationsgebiet selbst einzutreten, sei es sich für die Sommerarbeiten in der Monarchie zu melden. Die erstere Aufforderung scheint sich auf eine Kriegsleistungsarbeit bezogen zu haben, da die Arbeiter ärztlich untersucht wurden und dem Publikum kundgemacht wurde, dass nur jene Personen von dem Eintritte in die Zivilarbeitsabteilungen befreit sind, welche sich mit amtlichen Krankheitszeugnissen ausweisen. Nun wurde diese Massregel in einer Form durchgeführt, welche, wenn sie bestätigt werden sollte, die schlimmsten Erinnerungen der russischen Greuel aus dem Jahre 1863 wachrufen müsste. Im Kreise Radom sollen sich Bauern vor dieser sogenannten „Assentierung" in die Wälder geflüchtet haben, wo sie von der Gendarmerie verfolgt wurden und aufrührerischen Widerstand leisteten. In den Städten wurden ganze Stadtteile von der Gendarmerie umstellt und die Einzuberufenden bei Nacht aus den Betten geschleppt. Im Orte Glinice, Kreis Radom,

soll hiebei ein siebzigjähriger Mann weggeschleppt worden sein. Auch anderwärts sollen Gewaltakte vorgekommen sein. Zu Neujahr wurde angeblich nächtlich assentiert. In irgend einem Orte soll die Bevölkerung beim Austritt aus der Kirche abgefangen worden sein.

Falls von alledem auch nur ein kleiner Teil richtig sein sollte, kann man sich die Aufregung der Bevölkerung vorstellen. Die Intelligenz klagt dieser Massregel wegen ein einziges Militärorgan an, aber die Masse der Bevölkerung schiebt dies wieder der österreichischen Verwaltung als solcher in die Schuhe und die radikalsten Parteien veröffentlichen geheime Aufrufe, wonach ruhige Bürger auf die Strassen „wie die Hunde durch Schinder in der Person von tschechischen Frontausreissern oder madiarischen Taubstummen abgefangen wurden". Man kann sich den politischen Eindruck der Durchführung dieser Massregel kaum vorstellen.

Und nun erscheint inmitten dieser Misstimmung der polnischen Bevölkerung in unserem Okkupationsgebiete die grosse Wendung in der Polenpolitik des Warschauer Gouvernements: die Dritte-Mai-Feier. Die deutsche Verwaltung, welche noch bis vor kurzem gegenüber der polnischen Bevölkerung eine dem eroberten Lande zukommende kühle Neutralität an den Tag legte und nur durch untergeordnete Organe bei dieser Bevölkerung gegen Oesterreich schürrte, tritt plötzlich im Angesichte des herannahenden Gedenktages der polnischen Verfassung vom 3. Mai 1791 mit einer grossen polnisch-nationalen Aktion auf. Bekannt ist, dass die imposante, viele Hunderttausende Menschen aller Stände und Parteien umfassende Manifestation sich in Warschau mit Zustimmung der deutschen Verwaltung völlig frei in den Strassen bewegte. Bekannt ist, dass Generalgouverneur von Beseler an die Dankesdeputatien eine geradezu nationalpolnische Rede richtete. Nicht bekannt ist es, dass die Zeitschrift „Świat" in einer Sondernummer, mit einem grossen polnischen weissen Adler im roten Felde auf dem Titelblatte, einen hochpolitischen Leitartikel und eine Reihe illustrierter Beschreibungen des Festes veröffentlichte, welche im österreichischen Okkupationsgebiete und gar in Galizien von der Zensur kaum durchgelassen worden wären. Nicht bekannt ist es ferner dass über deutsche behördliche Bewilligung an einem und demselben Junitage in den gesammten städtischen Gemeinden des deutschen Okkupationsgebietes Vorlesungen über die Drittemaiverfassung abgehalten werden sollen, welche in ihrer Gesamtwirkung den polnischen Staatsgedanken wohl zur höchsten Potenz steigern werden. Nicht öffentlich bekannt ist es endlich, dass seither schon hohe deutsche Würdenträger, von denen es in Warschau sozusagen wimmelt — man spricht von dem zugereisten Unterstaatssekretär Zimmermann — den Polen ganz offen die glänzendsten Anbote für einen grossen polnischen Staat unter preussischer Patronanz machen.

Was geschieht aber zu der gleichen Zeit im österreichischen Okkupationsgebiete? Am 28. April scheint die Drittemaifeier im ganzen Gebiete verboten worden zu sein. Nachrichten, die zu jener Zeit nach Krakau gelangten, wussten

von der Auflösung projektierter Vereine und sonstigen harten Massregeln in zahlreichen Städten zu erzählen. Ueber telefonisches Ersuchen aus dem Krakauer Festungskommando soll das Armeeoberkommando einen mildernden Zirkularerlass hinaustelephoniert haben und sind darauf hin in Lublin selbst und in manchen anderen Orten ganz hübsche Festlichkeiten veranstaltet worden. Aber es gab auch andere Erscheinungen. Insbesondere in Piotrków, wo sich allerdings infolge der behördlichen Behinderungen radikale Parteien der Sache bemächtigt hatten, wurde nicht blos jedwede Feier, ja die Einmauerung einer Gedenktafel verboten, sondern es wurde der Gedenktag des dritten Mai mit Haussuchungen, Fussbodenaufreissen, Verhaftungen, ja sogar mit einer Razzia von berittenen Gendarmen gefeiert. Die Details mögen nicht alle richtig sein, die Tatsache bleibt bestehen. Die Tatsache nämlich, dass derartige Vorgänge in unserem Okkupationsgebiete geeignet erscheinen könnten, die polnische Bevölkerung von der ihr noch vor Monaten so herzlich sympatischen österreichischen Orientierung abzudrängen und sie der deutschen oder gar russischen näher zu bringen.

Der 3. Mai ist denn bei dieser Bevölkerung zum Ausgangspunkte einer politischen Argumentation geworden, bei welcher man eine Reihe von Vergleichen zwischen der deutschen und der österreichischen Verwaltung anstellt. Es sei hier eine Auslese derselben gestattet. Die Deutschen errichten eine polnische Universität und eine polnische Technik, im österreichischen Gebiete ist nicht einmal die alte landwirtschaftliche Schule in Puławy wiederhergestellt worden; die Deutschen lassen die „Macierz polska" wiederauferstehen und rein polnische Volksschulen errichten, im österreichischen Okkupationsgebiete wird für die Volksschulen von der dritten Klasse an, der Unterricht der deutschen Sprache vorgeschrieben, welche der Bauer nie gekannt hat; die Deutschen lassen in Warschau eine liberale, rein polnische Gemeindeverfassung in Kraft treten, im österreichischen Okkupationsgebiet funktionieren unter Vorsitz von Regierungskommisären Gemeinderäte, in welche nach einer amtlichen Kundgebung „auch" Landeskinder gewählt werden dürfen; die Deutschen halten sich an den Text der Kongressakte von 1815 und der Manifeste russischer Kaiser, wonach es im Königreiche Polen nur „Untertanen des Königreiches Polen" gibt; im österreichischen Okkupationsgebiet werden, angeblich unter Berufung auf die Haager Konvention vom 18 Oktober 1907, die Bewohner des Königreiches konsequent als „russische Untertanen" bezeichnet; deutsche Würdenträger versprechen die Angliederung Litauens an das künftige Polen, die österreichische Verwaltung hat sich noch immer nicht entschlossen, das den Polen so teuere, durch die Russen vom Königreiche abgetrennte Chełmer Gebiet der Verwaltung des Königreiches wieder einzuverleiben; unterm 25. Mai kommt gar aus Warschau die kaum glaubliche Nachricht, dass im dortigen amtlichen Postverkehre die polnische Sprache eingeführt werden soll, im österreichischen Okkupationsgebiete wird in Postämtern gleich wie in allen anderen Aemtern ausschliesslich deutsch amtiert.

Man hat auch aus dieser Kette von Vergleichen im Königreiche Polen eine politische Konsequenz gezogen, die der hohen Regierung vielleicht entgangen ist. Durch den Abstand in dem Verhalten der beiden Regierungen und durch die deutschen offiziösen Anbote ist die polnische politische Welt sozusagen in die Rolle der Ausübung eines Optionsrechtes zwischen den zwei Zentralmächten versetzt worden. Nun sind tatsächlich die Sympatieen für die Deutschen minimal; aber nachdem die letzteren einmal den Polen ihre Verheissungen unter Berufung auf die berühmte preussische Verwaltung sich keine Sympatieen zu erwerben imstande war, ist jetzt spontan das Schlagwort enstanden, man könnte zur österr.-ungar. Monarchie, bei aller Verehrung für die Dynastie und deren Traditionen, nur auf Basis des, eine selbständige Verwaltung verbürgenden Trialismus angehören. Hiebei wird die Erreichbarkeit der trialistischen Ausgestaltung damit begründet, dass in unserem Okkupationsgebiet Organe der Verwaltung den Politikern angeblich zuraunen sollen, der Trialismus könne nur infolge der Opposition der Ungarn nicht sicher in Aussicht gestellt werden.

* * *

Der Polenklub welcher sich seit 50 Jahren neben der Sorge um die Interessen seines Heimatlandes treu und unentwegt den Interessen der Monarchie und der Machtstellung derselben widmet, glaubt der Monarchie den besten Dienst zu erweisen, indem er die hohe Regierung unter Berufung auf ihre Kriegsziele auf all die obskizzierten Zustände aufmerksam macht. Man kann in Friedens- und Kriegszeiten sehr verschiedene nationale Politik machen: man kann von einem nationalen Einheitsstaate ausgehend, auf die Auffassung eines kleineren Volkes bedacht sein, man kann auch vielleicht in einem polyglotten Staate mit Recht oder Unrecht einzelne Völkerschaften zugunsten der anderen bedrücken. Man darf aber, wenn man einen Krieg mit der ausdrücklichen Absicht der Angliederung eines grossen Landes mit fast einheitlicher Bevölkerung, mit alter Geschichte und abendländischer Kultur beginnt, ganz unmöglich diese Bevölkerung teils bei sich im Inlande, teils in dem okkupierten Auslande vor den Kopf stossen. Es verschlägt hiebei nicht, dass wir uns noch in der Kriegszeit befinden, denn der Krieg ist kein Selbstzweck, sondern ein der Diplomatie dienendes, allerdings blutiges Mittel und der diplomatische Zweck der Regierung darf selbst bei dem siegreichsten Kriege nicht durch die Verwaltung erschwert oder gar frustriert werden.

Wir zweifeln keinen Augenblick, dass ebenso wie der Herr Ministerpräsident durch seine überragende Stellung manche Unbill im polnischen Volke in Oestereich abgewendet hat, auch die Spitzen jener hohen Stellen, welchen die Verwaltung der okkupierten Gebiete im Königreiche direkt oder indirekt obliegt, es tadeln würden, wenn staatliche Organe das polnische Volk drangsalieren und der Monarchie entfremden. Wir hegen diese feste Ueberzeugung von dem Armeeoberkommando ebensowohl als vom Herrn Minister des Aeussern. Der Durch-

lauchtigste Chef des Armeeoberkommando ist doch selbstverständlich im Vollgefühle der grossen Traditionem des Erzhauses wie der grossen politischen Sache, dem sein siegreicher Feldzug zu dienen hat. Auch der Herr Generalstabchef ist sich, wie der unterzeichnete Obmann von ihm persönlich erfuhr, des politischen Zussammenhanges zwischen dem Kriege und der Frage der Wiederaufrichtung Polens vollkommen bewusst. Von Seiner Exzellenz dem Herrn Minister des Aeussern ist uns aber wohl bekannt, dass er die Interessen der Monarchie an einer für sie und das polnische Volk zweckentsprechenden Lösung der polnischen Frage mit staatsmännischer Konsequenz und Wärme vertritt und demgemäss energisch bestrebt ist, die dieser Lösung zuwiderwirkenden Schäden der Verwaltung zu beseitigen. Aber man darf nicht vergessen, dass die Zeit drängt und die polnische Bevölkerung des Königreiches in ihrem Vertrauen zur Monarchie umsomehr zu wanken beginnen könnte, als ja die Monarchie, im Gegensatze zu Deutschland, dieser Bevölkerung weder feierlich noch vertraulich, weder offiziell noch offiziös über ihre Absichten nach dem Kriege Mitteilungen zu machen gewillt oder imstande war.

Der Polenklub und die hinter ihm stehende Bevölkerung wollen, in unwandelbarer Anhänglichkeit und Dankbarkeit für den edelsten Herrscher, bei jenem stillschweigenden Pakte vom August des Jahres 1914 treu und unentwegt verharren. Wir sind selbstverständlich bereit, im Sinne dieser Gefühle auch weiter auf die Bevölkerung Einfluss zu nehmen, falls die hohe Regierung dieser unserer Wirksamkeit einen Wert beilegt. Wir wären ebenso bereit, einen Schritt weiter zu gehen und über etwaige Aufforderung Seiner Exzellenz des Herrn Ministers des Aeussern jene positiven nicht gar so komplizierten Ratschläge auseinanderzusetzen, die in der vorliegenden Denkschrift als deren Konsequenz nur deshalb fehlen, weil uns der ablehnende Standpunkt der Regierung in betreff der Mitwirkung österreichischer Untertanen bei Behandlung der polnischen Frage bekannt ist.

Immerhin aber wird es Sache der Regierung sein, jene Behinderungen der grossen österreichisch-polnischen Idee zu beseitigen, welche ihr von den eigenen Staatsorganen in den Weg gelegt werden.

Wien am 3. Juni 1918.

Biliński m p

Załącznik C. (do str. 127 t. II.)

Rozdział pierwszy.

Nazwa kraju.

Z chwilą wprowadzenia nowej konstytucji będzie kraj koronny Galicja i Lodomerja wraz z Wielkiem księstwem Krakowskiem i Księstwami Oświęcima i Zatora nosił jednolitą nazwę „Królestwo Galicja". Stosowna zmiana herbu nastąpi na wniosek rządu Królestwa przez powołane czynniki w państwie i monarchji.

Rozdział drugi.

Sejm Królestwa Galicji.

I. Zakres działania Sejmu.

A) W granicach każdoczesnej ugody austro-węgierskiej i wydawanych dla jej wykonania ustaw austrjackich niemniej w granicach międzynarodowych traktatów państwowych i każdoczesnych traktatów handlowych przejdzie do zakresu działania Sejmu:

1) ustawodawstwo we wszystkich sprawach skarbowych a w szczególności o podatkach i monopolach;
2) w sprawach komunikacyjnych;
   a) ustawodawstwo o budowie dróg wodnych w Galicji, o żegludze i ruchu, niemniej o taryfach dla żeglugi na drogach wodnych wewnątrz kraju z zastrzeżeniem wpływu na ustanawianie taryf w ruchu zewnętrznym,
   b) ustawodawstwo o budowie kolei żelaznych w Galicji i o ruchu, niemniej o taryfach kolejowych wewnątrz kraju z zastrzeżeniem wpływu na ustanawianie taryf w ruchu zewnętrznym i przy pełnem uwzględnieniu interesów wojskowych,
   c) ustawodawstwo o urządzaniu wewnętrznej organizacji dla urzędów pocztowych, telegraficznych i telefonicznych;
3) ustawodawstwo przemysłowe wraz z ustawodawstwem społecznem, niemniej ustawodawstwo asekuracyjne, kredytowe i bankowe z wyjątkiem ustawodawstwa o banku biletowym;
4) ustawodawstwo zdrowotne i — z zastrzeżeniem porozumienia z rządem państwowym — ustawodawstwo weterynaryjne;
5) ustawodawstwo o przynależności gminnej z zastrzeżeniem możności utworzenia w obrębie ogólnego obywatelstwa austrjackiego przynależności do Królestwa Galicji;
6) ustawodawstwo o szkołach ludowych i fachowych, o seminarjach nauczycielskich, szkołach średnich i o uniwersytetach;
7) ustawodawstwo karne, policyjno-karne i cywilne, dalej ustawodawstwo handlowe i górnicze;

8) ustawodawstwo o zasadach organizacji władz sądowych i administracyjnych;
9) ustawodawstwo wyznaniowe, prasowe, tudzież ustawodawstwo o stowarzyszeniach i zgromadzeniach.

B) Część integralną konstytucji Królestwa Galicji stanowią ustawy zasadnicze państwa austrjackiego z 21 grudnia 1867 dz. u. p. No 142, 144 i 145 w obecnem ich brzmieniu z następującymi wyjątkami, stanowiącymi rozszerzenie kompetencji sejmu:

1) w ustawie zasadniczej Nr. 142 (o powszechnych prawach obywateli)
   a) artykuł 6 tejże ustawy nie wyklucza ustawodawstwa krajowego w dziedzinie układu posiadłości gruntowych,
   b) wykonanie zasad określonych w art. 12 jest rzeczą ustawodawstwa krajowego,
   c) w art. 19 w ustępie trzecim słowa „bez wywierania przymusu nauczenia się drugiego języka krajowego" nie będą krępować ustawodawstwa krajowego,
   d) wydanie ustawy przewidzianej w art. 20 będzie w Galicji rzeczą ustawodawstwa krajowego;
2) W ustawie zasadniczej Nr. 144 (o władzy sędziowskiej):
   a) do art. 8 tej ustawy dodaje się, że sędziowie galicyjscy wykonują przysięgę także i na zachowanie konstytucji Królestwa,
   b) art. 13 ustawy doznaje tej zmiany, że wnioski o amnestję co do osób, zasądzonych przez sądy galicyjskie przedkłada rząd krajowy galicyjski,
   c) postanowienia artykułów 11, 12 i 15 ustępy 2 i 3 tej ustawy podlegają ustawodawstwu krajowemu;
3) W ustawie zasadniczej Nr. 145 (o władzy rządowej i wykonawczej):
   a) zajdą zmiany, podyktowane artykułem konstytucji Królestwa Galicji, przyprzyznającym rządowi krajowemu w pewnym zakresie stanowisko samoistne jako organu władzy rządowej i wykonawczej Cesarza, a odpowiedzialnego przed Sejmem,
   b) w art. 6 tejże ustawy zajdzie ten wyjątek, że zmiana granic Królestwa Galicji wymaga zgody Sejmu galicyjskiego,
   c) do art. 13 ma wejść dodatek tej treści, że wszystkie organa władzy państwowej w Galicji wykonują przysięgę także na zachowanie konstytucji Królestwa.

C) Do wykonania osobnych ustaw, przewidzianych postanowieniami ustaw zasadniczych o powszechnych prawach obywateli, o władzy sędziowskiej, tudzież o władzy rządowej i wykonawczej kompetentne jest ustawodawstwo galicyjskie.

D) O ile w tychże ustawach zasadniczych miałyby zostać poczynione w drodze ustawodawstwa państwowego austrjackiego jakieś zmiany, mogłyby zmiany te mieć moc obowiązującą dla Galicji tylko za zgodą Sejmu tegoż Królestwa.

E) Sejm Królestwa Galicji wybiera delegatów galicyjskich do ciała parla-

mentarnego, które będzie powołane według konstytucji austrjackiej do ustawodawczego traktowania spraw wszystkich krajów korony austrjackiej, niemniej stosownie do ustroju tego ciała, ewentualnie także członków galicyjskich do delegacji austrjackiej dla spraw austrjacko-węgierskich.

II. Ustrój Sejmu.

Sejm Królestwa składa się z dwóch Izb: Izby poselskiej i Senatu.

A) Izba poselska składa się z 228 posłów, w tem 62 Rusinów. Wybory odbywają się na podstawie powszechnego, bezpośredniego, równego i tajnego prawa głosowania i na zasadzie katastru narodowego. Okręgi wyborcze wiejskie są dwumandatowe, okręgi miejskie jedno- lub więcejmandatowe; wybory w okręgach dwu- i więcejmandatowych odbywają się na podstawie systemu proporcji z list.

Przy wyborach dwumandatowych wedle list, jest wybrany posłem przedewszystkiem pierwszy kandydat, umieszczony na liście, na którą padła największa liczba głosów. Jeżeli jedna z list otrzyma dwa razy większą liczbę głosów, niż wynosi ilość głosów, oddana na najbliższą pod względem liczby listę, wówczas obaj kandydaci pierwszej listy są wybrani posłami. Jeżeli zaś najbliższa lista otrzymała większą liczbę, niż wynosi połowa głosów oddana na pierwszą listę, wówczas wybranym jest drugim posłem pierwszy kandydat tej listy najbliższej.

Posłowie polscy i ruscy tworzą w Izbie poselskiej odrębne kurje narodowe, którym służy — z wyjątkiem wyborów marszałka — prawo dokonywania wyborów z Izby, niemniej prawo samoistnego uchwalania na podstawie narodowego katastru podatków bezpośrednich, wydatków nieuregulowanych ustawami na cele ekonomiczne i kulturalne, z wpływów podatkowych odnośnej narodowości w kraju.

Marszałka swego wybiera cała Izba poselska, zaś każda kurja narodowa jednego zastępcę marszałka. Na wypadek opróżnienia miejsca marszałka sejmowego następuje ponowne ukonstytuowanie się Izby poselskiej.

Kobiety mają prawo wyboru z tytułu studjów akademickich lub urzędu publicznego, muszą jednak wykonywać to prawo osobiście.

B) Senat składa się z 130—140 członków a to:

a) z pełnoletnich członków rodziny cesarskiej, zamieszkałych w Królestwie Galicji;

b) z 17 wirylistów, a to z 13, ustanowionych dzisiejszą ordynacją wyborczą sejmową z dodaniem rektora przyszłej akademji górniczej, prezydentów miasta Lwowa i Krakowa i mianowanego przez cesarza zastępcę wyznania mojżeszowego;

c) z 45 członków (w czem jeden Rusin), wybranych przez kurję większej własności;

d) wybranych po dwóch członków z każdej ziemi;

e) z trzech członków, wybranych przez radę miejską we Lwowie;

f) z trzech członków, wybranych przez radę miejską w Krakowie;

g) z trzech członków, wybranych przez Izbę handlową i przemysłową lwowską;

h) z trzech członków, wybranych przez Izbę handlową i przemysłową krakowską;

i) z jednego członka, wybranego przez Izbę handlową i przemysłową brodzką;

k) z mianowanych przez cesarza na wniosek rządu Królestwa członków dziedzicznych;

l) z członków dożywotnich, mianowanych na wniosek rządu Królestwa przez cesarza z pomiędzy mężów z Królestwa Galicji, którzy się zasłużyli około cesarstwa austrjackiego, Królestwa Galicji i kościoła, około nauki, sztuki lub gospodarstwa społecznego;

Wszystkie wybory od *c* do *i* odbywają się na czas każdej kadencji sejmowej, a wybory od *d* do *h* opierają się na systemie proporcjonalnym z list.

Prezydjum Senatu mianuje cesarz na wniosek rządu Królestwa Galicji.

C) Sejm obraduje w ciągu roku kalendarzowego przynajmniej 3 miesiące.

Równocześnie z tą konstytucją wydaną zostaje ustawa z regulaminem dla obu Izb z postanowieniami, zapewniającemi bezwarunkową normalną działalność Sejmu.

Każdemu członkowi Senatu wolno przyjąć mandat do Izby poselskiej nie może on jednak przez czas piastowania tego mandatu zasiadać w Senacie, a o ile jest senatorem z wyboru, traci mandat do Senatu.

Rozdział trzeci.

Rząd Królestwa Galicji.

Usuniętym zostanie dotychczasowy system dualizmu administracyjnego (Wydział krajowy, obecne rady powiatowe) i zostanie zastąpiony systemem jednolitych władz rządowych z dodaniem im wybranych obywatelskich ciał przybocznych.

I. Rząd centralny.

A) Na czele kraju stoi rząd Królestwa Galicji, mianowany przez cesarza, a odpowiedzialny za wykonywanie ustaw krajowych Sejmowi, złożony pod przewodnictwem kanclerza Królestwa Galicji z sekretarzy stanu w odpowiedniej ilości dla administracji politycznej, skarbu, oświaty i wyznań, sądownictwa, rolnictwa, przemysłu i handlu, niemniej dla komunikacji i robót publicznych itp. Kanclerz będzie mianowany z łona Sejmu.

B) Przy sekretarjatach stanu będą utworzone ciała doradcze, jak rada edukacyjna, sanitarna, rada kultury, przemysłowa, kolejowa, górnicza itd.

C) Rząd Królestwa Galicji jest najwyższą władzą rządową i ostatnią instancją w sprawach zastrzeżonych wyłącznie ustawodawstwu krajowemu.

W sprawach należących i nadal do wyłącznej kompetencji austrjackiej Rady państwa i rządu austrjackiego będą odnośne galicyjskie sekretarjaty stanu, stanowiły przedostatnią instancję. Sprawy te będą wszelako załatwiane w Królestwie

wyłącznie przez władze galicyjskie i wyłącznie przez urzędników przez rząd galicyjski mianowanych lub cesarzowi do nominacji przedstawionych.

II. W ł a d z e z i e m s k i e.

A) Królestwo będzie podzielone na okręgi („Ziemie"), obejmujące około pół miljona ludzi.

„Władza ziemska" stanowi bezpośrednio po rządzie krajowym instancję administracyjną z zakresem działania, obejmującym znaczną część dotychczasowego zakresu namiestnictwa i wydziału krajowego, niemniej pewną część zakresu dotychczasowych starostw powiatowych.

Na czele władzy ziemskiej stoi „Prezydent ziemski". Przy boku prezydenta urzęduje pod wybieranym corocznie „przewodniczącym" „rada ziemska" złożona z 36 członków, wybieranych systemem kurjalnym przez rady powiatowe w okręgu ziemi, z wykluczeniem majoryzowania reprezentantów wszystkich innych kuryj przez reprezentantów jednej kurji.

Rada ziemska uposażona jest w prawo uchwalania wydatków i dozwolonych przez ustawę dochodów na cele ekonomiczne i kulturalne i inne cele, wskazane przez ustawę; wybrany przez nią z jej łona „wydział ziemski" złożony z pięciu do ośmiu członków współdziała z prezydentem pod jego przewodnictwem w załatwianiu spraw administracyjnych, o ile one nie są ustawą zastrzeżone wyłącznie decyzji prezydenta.

B) W ziemiach narodowo-mieszanych z mniejszością narodową najmniej 15% tworzą członkowie polscy i ruscy rady ziemskiej odrębne kurje narodowe, którym w obrębie ziemi służy równe prawo ustanawiania wydatków na cele ekonomiczne i kulturalne, jak kurjom narodowym w Sejmie.

C) Pełne rady ziemskie zostają zwoływane przez rząd na kadencję przynajmniej co kwartał.

Sprawy polityczne wykluczone są z pod rad ziemskich pod rygorem kasacji.

D) Przy boku prezydenta ziemskiego będą nadto ustanowione podobne ciała doradcze jak przy sekretarjatach stanu.

E) Gminy miejskie z ludnością wyżej 100.000 dusz mają stanowisko Ziemi. Zarząd jej sprawuje „prezydent miasta", wybrany przez radę miejską z grona osób, posiadających ustawową kwalifikację urzędnika administracyjnego lub wogóle wykształcenie akademickie, a zatwierdzony na wniosek rządu galicyjskiego przez cesarza. Prezydent sprawuje zarząd ziemi z magistratem t. zw. szerszym, złożonym z magistratu t. zw. ściślejszego, do którego wybiera rada miejska 6—10 członków, w tem połowę kwalifikowanych urzędników, tudzież z mianowanych przez rząd 3—5 członków, w tem przynajmniej jeden sędzia.

Rada miejska obraduje pod przewodnictwem wybieranego corocznie „przewodniczącego" nad sprawami zarówno miejskiemi, jak nad przekazanemi radom ziemskim sprawami. Magistrat ściślejszy urzęduje pod przewodnictwem prezydenta dla spraw miejskich.

III. Władze powiatowe.

A) Każda ziemia podzielona jest na powiaty administracyjne z siedzibą i obszarem sądów powiatowych, z wykluczeniem miast średnich, oznaczonych przez ustawę krajową. Na czele powiatu stoi mianowany przez rząd „starosta powiatowy" dla reszty administracji politycznej pierwszej instancji.

Pod przewodnictwem wybieranego corocznie przewodniczącego obraduje „rada powiatowa" złożona z 16—20 członków, wybranych proporcjonalnie z list przez rady gminne miasteczek i wsi, a kurjalnie przez wielką własność najwyżej opodatkowanych, przyczem wykluczonem jest majoryzowanie reprezentantów wszystkich innych kuryj przez reprezentantów jednej kurji.

W powiatach z ludnością mieszaną z mniejszością narodową przynajmniej 15% tworzą członkowie polscy i ruscy rady powiatowej odrębne kurje narodowe, którym w obrębie powiatu służy równe prawo ustanawiania wydatków na cele ekonomiczne i gospodarcze, jak kurjom narodowym w Sejmie.

Rada powiatowa wybiera ze swego łona „Wydział powiatowy" złożony z 4—6 członków, urzędujący pod przewodnictwem starosty.

Przy boku starosty będą ustanowione podobne rady przyboczne jak przy boku prezydentów ziem.

B) W miastach z ludnością powyżej 100.000 dusz wykonywa administrację polityczną w pierwszej instancji Magistrat ściślejszy.

Policję miejscową wykonywa w tych miastach prezydent miasta.

C) Każde miasto średnie, oznaczone przez ustawę krajową, stanowi osobny powiat administracyjny pod kierunkiem „burmistrza", wybranego z grona osób, posiadających wykształcenie akademickie przez Radę miejską, a zatwierdzonego przez rząd. Rada miejska, powołana do funkcji rad powiatowych, wybiera corocznie osobnego przewodniczącego swych obrad. Policję miejscową i całą administrację wykonywa burmistrz przy pomocy Magistratu, wybieranego przez Radę miejską z 4—6 członków płatnych w czem połowa z kwalifikacją ustawową.

D) Postępowanie w sprawach karno-policyjnych z ewentualnem zastosowaniem postępowania mandatowego („osądu") zostanie określone osobną ustawą.

IV. Władze gminne.

Inne gminy miejskie oraz gminy wiejskie są zarządczyniami majątku i dochodu gminnego, jakoteż gminnych urządzeń humanitarnych i szkolnych, niemniej przedsiębiorstw gminnych.

Zarazem są one powołane do załatwiania części spraw policji miejscowej, jakie określi ustawa; inne sprawy policji miejscowej załatwia w powyższych gminach i na obszarach dworskich starosta powiatowy, do którego kompetencji należy także załatwianie innych spraw publicznych w tych gminach i na tych obszarach (dawny zakres poruczony gminom).

Instytucja sądów rozjemczych gminnych pozostaje i nadal w mocy.

Ustrój gmin i administracji gminnej będzie unormowany ustawami krajowemi, które będą zawierały między innemi następujące postanowienia:

a) że łączenie gmin mniejszych i podział większych nie będą nadal przedmiotem ustawodawstwa krajowego, lecz wejdą w kompetencję władzy ziemskiej z prawem rekursu do rządu;

b) że rady gminne, nowo wybrane rozpoczynają swoje urzędowanie, jeżeli nie nastąpi najdalej w trzy miesiące po skończeniu wyborów ich unieważnienie lub wniesione przeciw wyborom protesty nie zostaną przez sąd administracyjny ziemski załatwione najdalej do trzech miesięcy;

c) że do wyborów do rad gminnych będą dopuszczeni w ramach obowiązującego systemu wyborczego wszyscy pełnoletni i nieskazitelni mieszkańcy gminy z przynależnością krajową, o ile w danej gminie przynajmniej przez przeciąg jednego roku mieszkają.

Rozdział czwarty.

Organizacja skarbowa.

Zarząd skarbowy odłączony jest zupełnie od zarządu politycznego.

1) W siedzibie każdej władzy ziemskiej istnieje „skarbowa dyrekcja ziemska“ dla wszystkich spraw podatkowych i należytościowych całej Ziemi. Dyrekcja załatwia sprawy podatków pośrednich i należytości w instancji pierwszej, a sprawy podatków bezpośrednich w instancji drugiej. Przy boku i pod przewodnictwem „skarbowego dyrektora ziemskiego“ urzęduje „komisja apelacyjna“ dla podatku dochodowego i zarobkowego.

Dla spraw cłowych, które w imieniu rządu austrjackiego poruczone są galicyjskiemu Sekretarjatowi stanu dla spraw skarbowych i jego podwładnym organom urzędują przy dyrekcjach ziemskich odrębni „inspektorowie cłowi“ podlegający dyrektorowi skarbowemu. Wymiaru ceł dokonują urzędy cłowe, a pobór następuje przez te urzędy, lub, gdzie się to okaże dogodniejszem, przez kasy powiatowe.

2) W siedzibach starostw powiatowych istnieją „skarbowe urzędy powiatowe wyłącznie dla spraw podatków bezpośrednich. Rząd może kilka okręgów powiatowych złączyć w jeden urząd skarbowy.

3) Dla miast z ludnością wyżej 100.000 dusz sprawują czynności skarbowych urzędów powiatowych odrębne „administracje podatkowe“. Administracje takie mogą być zakładane także w innych większych miastach.

4) Przy każdym powiatowym urzędzie skarbowym i przy każdej administracji podatkowej urzęduje komisja szacunkowa dla wymiaru podatku dochodowego i komisja dla wymiaru podatku zarobkowego pod kierownictwem naczelnika odnośnego urzędu.

5) Dla poboru podatków i należytości cłowych, jakoteż dla wypłat z funduszów publicznych istnieją „skarbowe kasy powiatowe“.

6) Królestwo będzie posiadało Najwyższą Izbę obrachunkową.

Rozdział piąty.

Prawo rekursu.

Rekursy we wszystkich sprawach administracyjnych i skarbowych dopuszczalne są tylko do jednej instancji.

Rozdział szósty.

Zarząd kolejowy.

Wszystkie koleje galicyjskie stoją pod najwyższą władzą Sekretarjatu stanu dla komunikacji. Zarząd ich będzie zorganizowany według zasad, wydanych przez rząd krajowy.

Rozdział siódmy.

Zarząd edukacyjny.

A) Władze szkolne.

1) Rektoraty uniwersytetów, szkoły politechnicznej i szkół, mających charakter akademji, znoszą się bezpośrednio z sekretarzem stanu dla wyznań i oświaty.

2) Sekretarz stanu ma u swego boku, tudzież w Ziemiach i powiatach organy administracyjne i nadzorcze dla szkół średnich, przemysłowych, handlowych, seminarjów nauczycielskich i szkół ludowych.

3) Rada edukacyjna krajowa, złożona z reprezentantów wyznań, ludności nauczycielstwa i stanu lekarskiego, zajmuje się wskazaniem celów, zasad i metod wychowania publicznego, układaniem planów lekcyjnych i spraw podręczników w zakresie szkół średnich, przemysłowych, handlowych, seminarjów nauczycielskich i szkół ludowych.

4) Rady szkolne ziem i powiatów, podobnie złożone, są organami doradczemi w swoim zakresie terytorjalnym.

B) Język wykładowy.

1) O języku wykładowym w szkołach powszechnych ludowych postanawia rząd na wniosek gminy, mającej całkowicie lub częściowo utrzymywać szkołę. O ile według postanowienia rządu językiem wykładowym danej szkoły jest język większości mieszkańców gminy, winna być założoną kosztem kraju szkoła z językiem wykładowym mniejszości, jeżeli się w tej gminie znajduje przynajmniej 400 dzieci w wieku szkolnym, których rodzice mieszkają przynajmniej przez 3 lata w tej gminie i żądają założenia tej szkoły.

W szkołach powyższej kategorji zostaje przymus nauki drugiego języka krajowego zniesiony.

W miejscowościach, w których niema szkół dla dzieci obu narodowości, będzie przeto w szkołach powszechnych polskich nauka języka ruskiego przedmiotem nauki obowiązkowej tylko dla dzieci ruskich, zaś w szkołach powszechnych ruskich nauka języka polskiego przedmiotem nauki obowiązkowej tylko dla dzieci polskich.

2) O zakładaniu szkół średnich i ich języku wykładowym stanowi rząd z zastrzeżeniem pokrycia budżetowego przez ustawę sejmową.

3) Językiem wykładowym wszystkich dotychczasowych szkół wyższych jest język polski. Na uniwersytecie lwowskim pozostają dotychczasowe prawa języka ruskiego jako wykładowego tak długo w mocy, jak długo nie zostanie założony uniwersytet ruski.

4) Po wejściu w życie nowej konstytucji dla Królestwa Galicji będzie założony uniwersytet ruski.

W miarę otwarcia lat wykładowych na poszczególnych fakultetach tego uniwersytetu ruskiego gasną powyższe prawa języka ruskiego na dotychczasowym uniwersytecie lwowskim. Z chwilą pełnej funkcji uniwersytetu ruskiego przywróconym zostanie Uniwersytetowi imienia ces. Franciszka wyłączny charakter polski tak co do języka wykładowego, jak i urzędowego.

5) Do założenia dalszych uniwersytetów, akademij i innych wyższych szkół w kraju potrzebną jest ustawa krajowa.

Rozdział ósmy.

Sądownictwo.

1) Sądownictwo w sprawach cywilnych i karnych wszystkich instancyj będzie się znajdowało w Królestwie.

2) Ustawodawstwo krajowe powoła do życia sądy pokoju.

3) Królestwo będzie posiadało własny trybunał stanu dla odpowiedzialności członków rządu Królestwa.

Rozdział dziewiąty.

Rada Stanu.

Utworzoną będzie „Rada stanu"

1) z charakterem i kompetencją dzisiejszego trybunału administracyjnego z prawem decyzji merytorycznej w sprawach administracji politycznej i skarbowej;

2) z kompetencją dzisiejszego austrjackiego trybunału państwa;

a) w sprawach sporów kompetencyjnych między sądownictwem i administracją;

b) w sprawach zażaleń przeciw naruszeniu praw politycznych obywateli przez władze Królestwa;

c) w sprawach prawno-politycznych pretensyj do Królestwa Galicji;

3) z kompetencją rozstrzygania o ważności protestowanych wyborów do Sejmu i do rad ziemskich;

4) z kompetencją rozstrzygania w sprawach odpowiedzialności cywilnej urzędników rządowych za akta działalności urzędowej;

5) z kompetencją sądu dyscyplinarnego nad prezydentami Ziem włącznie prezydentami miast.

6) z kompetencją najwyższej instancji sądownictwa administracyjnego i z prawem decyzji merytorycznej w sprawach administracji politycznej i skarbowej.

Instancję pierwszą w sądownictwie administracyjnem będzie stanowił w każdej ziemi „sąd administracyjny" ziemski, złożony pod przewodnictwem wyższego sędziego z jednego urzędnika administracyjnego, dwóch sędziów i trzech członków, wybranych przez radę ziemską. Sąd administracyjny ziemski rozstrzyga ostatecznie o ważności protestowanych wyborów do rad powiatowych i gminnych.

Osobne ustawy postanowią, które sprawy administracyjne wyjęte są z pod sądownictwa administracyjnego, a w których sprawach dopuszczalne jest odwołanie się od zarządzenia administracji politycznej pierwszej instancji wprost do sądu administracyjnego.

Rozdział dziesiąty.

Ciało urzędnicze i nauczycielskie.

Nominacja wszystkich bez wyjątku urzędników i nauczycieli w Królestwie następuje przez rząd tegoż Królestwa w ten sposób, że urzędników i nauczycieli wyższych przedstawia rząd cesarzowi do nominacji.

Prawa i obowiązki urzędników i nauczycieli, niemniej urzędników pomocniczych, sług i robotników państwowych zostaną określone ustawą krajową. Nabyte już prawa dotychczasowych urzędników państwowych i nauczycieli, niemniej urzędników pomocniczych, sług i stałych robotników, pozostają w mocy. Podobnie pozostają w mocy wszystkie prawa, nabyte przez dotychczasowych urzędników autonomicznych, krajowych, powiatowych i gminnych.

Rozdział jedynasty.

Język urzędowy.

I. Język urzędowy w służbie wewnętrznej władz.

A) Język polski jest językiem urzędowym dla służby wewnętrznej:

1) rządu Królestwa Galicji, tudzież podlegających mu wszystkich władz i urzędów wszystkich stopni i instancyj, oraz ich organów przybocznych, pomocniczych i wykonawczych;

2) w szczególności sądów i prokuratoryj państwa oraz ich urzędów pomocniczych i wykonawczych;

3) rady stanu i sądów administracyjnych;

4) wszystkich urzędujących w Królestwie Galicji władz i urzędów, podległych c. k. austrjackiemu ministerstwu obrony krajowej, oraz ich organów pomocniczych i wykonawczych wraz z krajowemi organami c. k. żandarmerji i obrony krajowej;

5) wreszcie jak dotychczas we wszystkich zakładach naukowych z językiem wykładowym polskim. Władze galicyjskie korespondują ze sobą w języku polskim

B) Cesarz jako najwyższy wódz armji postanowi na podstawie wniosku rządu galicyjskiego, przedłożonego mu w drodze rządu austrjackiego, w jakich granicach dla celów wojskowych obok języka polskiego używanym będzie język niemiecki w służbie wewnętrznej zakładów komunikacyjnych żandarmerji i obrony krajowej.

Urzędnicy w służbie kolejowej z wyłączeniem podurzędników, sług i robotników, mają się wykazać znajomością języka niemieckiego w słowie i piśmie.

C) W zakładach naukowych z językiem wykładowym ruskim jest ten także językiem służby wewnętrznej.

Prawa, przyznane językowi ruskiemu w służbie wewnętrznej uniwersytetu lwowskiego pozostają tak długo w mocy, jak długo nie zostanie założony osobny uniwersytet ruski.

II. Język urzędowy w służbie zewnętrznej władz.

A) Pisma rządu Królestwa Galicji do Tronu będą wystosowane w języku polskim i równolegle niemieckim.

B) Władze galicyjskie korespondują z władzami, urzędami innych krajów koronnych i z władzami wojskowemi w języku niemieckim, zaś z władzami centralnemi w państwie w języku polskim z dodaniem tłumaczenia niemieckiego. Wszelkie jednak akta potrzebne, będą dołączone w polskim oryginale lub odpisie.

C) Ogłoszenia wszystkich władz rządowych w Królestwie Galicji następują w języku polskim, zaś w gminach pod względem narodowym mieszanych także w języku ruskim.

D) Wszystkie władze centralne przyjmują podania stron zarówno w języku polskim, jak w ruskim i odpowiadają na nie w tym samym języku.

Władze niższe przyjmują również podania w obydwóch językach, odpowiadają jednak po rusku tylko wtedy, jeżeli ich okręg zamieszkały jest przynajmniej w 10% przez Rusinów.

Z urzędu wysyłane do stron pisma opiewają w języku polskim, o ile władzy nie jest wiadomem, że strona jest narodowości ruskiej, w którym to wypadku pismo winno być ułożone w języku ruskim. Do instytucji z uznanym charakterem ruskim stosuje się z góry ten obowiązek władzy.

E) W szczególności dla sądów obowiązują przepisy następujące:

1) Stronom pozostawia się w każdego rodzaju sprawach, które przedkładają władzom sądowym lub prokuratorjom państwa, swobodę posługiwania się językiem polskim lub ruskim, także zastępcy stron mogą w podaniach przedkładanych w ich imieniu używać każdego z tych dwóch języków, stosownie do tego, który z nich jest językiem zastępowanej strony.

2) Protokoły z ustnych wniesień stron, jak i z przesłuchiwań ich, oraz świadków i rzeczoznawców przy rozprawach sądowych w ogólności, winne być spisywane w którymkolwiek z tych trzech języków, stosownie do tego, który z nich jest językiem ojczystym danej strony.

3) W pismach, wygotowanych do stron, mają sądy i prokuratorje państwa

używać tego z dwóch wyżej wymienionych języków, w którym albo podanie pisemne nastąpiło, albo wniesienie ustne wpłynęło, albo przesłuchanie protokolarne się odbyło.

4) W braku czy to podania, czy ustnego wniesienia, czy protokołowanego przesłuchania zważać trzeba na to, aby wygotowanie pisma nastąpiło w tym z dwóch powyższych języków, który jest językiem ojczystym danej strony.

Jednakże władze sądowe niższe obowiązane są odpowiadać na podania ruskie w języku ruskim i używać języka ruskiego w ustnem zetknięciu tylko w tych swoich okręgach, w których jest przynajmniej 10% Rusinów.

5) Przy rozprawach sądowych w sprawach spornych i niespornych, w których kilka stron bierze udział, mogą przedewszystkiem nietylko strony posługiwać się jednym z tych dwóch języków, lecz także zostawia się swobodę zastępcom stron przemawiać w języku polskim lub ruskim stosownie do tego, który język jest językiem ojczystym zastępowanej strony. Jednakże orzeczenia władz sądowych razem z ich motywami winny być w takich wypadkach w tym języku wygotowane, w którym napisaną została prośba czy skarga, względnie w którym wniesione zostało pisemne podanie lub ustne żądanie. Jeżeli te orzeczenia z motywami — t. zw. ekspedycja do stron — mają w myśl powyższych przepisów być wydane w innym jak polskim języku, należy używać — o ile to być może — przy wykładzie i obradowaniu tego języka, w którym ekspedycja wygotowaną być powinna.

6) Główna rozprawa ustna, ogłoszenie i wygotowanie wyroku w sprawach karnych ma nastąpić w tym z dwóch wymienionych języków, który jest językiem oskarżonego, jednakże bez naruszania praw języka polskiego, jako języka służby wewnętrznej.

7) Gminy mają pod względem języka urzędowego być traktowane na równi ze stronami prywatnemi.

F) Władze i sądy, w których okręgu znajduje się conajmniej 10% Rusinów, muszą posiadać stosowną ilość urzędników z dokładną znajomością języka ruskiego w słowie i piśmie.

G) Wszystkie dotychczasowe prawa języka niemieckiego w służbie zewnętrznej władz i sądów galicyjskich pozostają nienaruszone.

III. Język urzędowy ciał reprezentacyjnych.

A) Sejm krajowy.

1) Językiem urzędowym Sejmu krajowego jest język polski. Przewodniczący urzęduje więc w języku polskim. Na podania ruskie udziela się odpowiedź w języku ruskim, na wszelkie inne zaś podania w języku polskim.

2) Przy stawianiu i uzasadnianiu wniosków, wnoszeniu interpelacji i przy rozprawach wolno używać tylko języka polskiego albo ruskiego. Na interpelacje ruskie odpowiada rząd po rusku.

3) Sprawozdania Komisji będą rozdawane członkom Sejmu w języku polskim

i ruskim. Za podstawę do obrad służy sprawozdanie w języku polskim, za podstawę do uchwał tekst w języku polskim. Przy trzeciem czytaniu podane będą tekst polski i ruski pod uchwałę Izby. W razie wątpliwości tekst polski jest rozstrzygający. Niewygotowanie tekstu ruskiego do trzeciego czytania nie wstrzymuje powzięcia uchwały w języku polskim, lecz w takim razie tekst ruski powziętej uchwały złożony będzie u laski marszałkowskiej na jednem z następnych posiedzeń do przejrzenia.

4) Ustawy krajowe i uchwały Sejmu, mające moc obowiązującą, winne być obwieszczone przez zamieszczenie ich w dzienniku praw i rozporządzeń krajowych a więc w języku polskim jako autentycznym, oraz ruskim, niemniej stosownie do potrzeby w tłumaczeniu niemieckiem.

B) Reprezentacje ziemskie i powiatowe.

Reprezentacje ziemskie i reprezentacje powiatowe stanowią same o języku swego wewnętrznego urzędowania, tudzież o języku uchwał powziąć się mających na ich plenarnem zebraniu. Podania wolno wnosić do wszystkich tych reprezentacyj w języku polskim lub ruskim.

Przemawiać w obradach i interpelować można również w każdym z tych języków.

Natomiast odpowiedzi na podania i interpelacje udzielane będą w języku mniejszości tylko tam, gdzie mniejszość ludności w Ziemi lub powiecie wynosi przynajmniej 10% całej ludności.

C) Gminy.

Gminy stanowią same o języku swego wewnętrznego i zewnętrznego urzędowania, muszą jednak przyjmować podania stron w językach polskim, ruskim i niemieckim.

B) Obszary dworskie.

W obszarach dworskich wyznacza sam przełożony obszaru ten język, w którym on sprawuje swe funkcje, tudzież którego używa w korespondencji z władzami i stronami.

Rozdział dwunasty.

Sprawy wspólne austrjacko-galicyjskie.

A) Ustawodawstwo.

a) Dla wykonywania władzy ustawodawczej w sprawach wspólnych austrjacko-galicyjskich będą delegaci galicyjscy brali udział w tej reprezentacji, której konstytucja austrjacka poruczy ustawodawstwo w sprawach pomienionych.

Jeżeli tą reprezentacją pozostanie dzisiejszy parlament austrjacki, będzie kurja polska i ruska Izby posłów Sejmu galicyjskiego wysyłać do Izby posłów tegoż parlamentu 78-u polskich i 28-u ruskich, razem 106-u delegatów, a członkowie galicyjscy austrjackiej Izby panów będą w takim razie stanowić tam 20% wszystkich członków. Wybór w obrębie obu kuryj Izby deputowanych Sejmu

będzie się odbywał na zasadzie systemu proporcji z list, tak, żeby ilość wybranych delegatów odpowiadała stosunkowi ilości głosów, oddanych na każdą listę.

Wybory do delegacji austrjackiej dla spraw wspólnych austrjacko-węgierskich będą się w powyższym wypadku odbywały w ten sposób, że z Izby deputowanych Rady Państwa wybiorą delegaci Sejmu galicyjskiego według postanowień dzisiejszej konstytucji austrjackiej siedmiu delegatów i dwóch zastępców, zaś w zastępstwie członków galicyjskich Izby panów Rady Państwa wybierze Senat Sejmu galicyjskiego na zasadzie proporcji z list czterech delegatów i jednego zastępcę.

B) Organa rządowe.

1) Minister dla Galicji.

Dla utrzymania stałej łączności między rządem austrjackim i galicyjskim utworzone będzie „Ministerstwo dla Galicji", jako urząd samoistny pod względem administracyjnym i budżetowym, z fachowemi sekcjami. Na czele tego ministerstwa będzie stał Polak z tytułem „Ministra dla Galicji". Minister dla Galicji jest członkiem rządu austrjackiego z pełnią praw ministrów austrjackich.

Minister dla Galicji ma w szczególności następujące prawa i obowiązki:

a) kontrasygnuje wespół z austrjackim prezydentem ministrów swoją nominację i wespół z austrjackim prezydentem ministrów i kanclerzem Królestwa Galicji nominację tego ostatniego;

b) przedstawia w radzie ministrów sprawy galicyjskie;

c) zastępuje w ciele ustawodawczem austrjacko-galicyjskiem rząd Królestwa Galicji;

d) bierze udział we wszystkich pracach rządu austrjackiego, tyczących się ugody austrjacko-węgierskiej i traktatów handlowych;

e) bierze udział w układaniu taryf kolejowych i taryf żeglugi rzecznej kanałowej dla ruchu wychodzącego poza granice Galicji;

f) otrzymuje ze strony ministerstw w sprawach, w których rząd państwa jest instancją przełożoną rządu galicyjskiego wszystkie obchodzące Galicję akta przed ich ekspedycją (ante expeditionem);

g) bierze na zaproszenie kanclerza galicyjskiego udział w obradach rządu Królestwa Galicji z głosem doradczym.

2) Kanclerz Królestwa Galicji.

Kanclerz kontrasygnuje nominację członków rządu galicyjskiego, przedkłada uchwalone przez Sejm galicyjski ustawy do sankcji monarszej i kontrasygnuje je wespół z fachowym rządu galicyjskiego sekretarzem stanu.

Kanclerz ma prawo udziału w obradach rady ministrów austrjackiej z głosem doradczym w sprawach galicyjskich i winien być na odnośne posiedzenia zapraszanym.

Rozdział trzynasty.

Stosunek finansowy kraju do Państwa.

I. Dochody kraju i jego udział w ciężarach państwa.

1) Rząd Królestwa Galicji obejmuje we własny zarząd wszystkie bez wyjątku dochody skarbowe, pobierane przez c. k. rząd w Galicji w chwili wejścia w życie konstytucji. Rząd galicyjski będzie więc pobierał dochody:

a) z podatków bezpośrednich,
b) z podatków pośrednich,
c) z ceł,
d) z fabryk tytoniu i ze sprzedaży fabrykatów,
e) ze sprzedaży soli,
f) z kolei żelaznych,
g) z dóbr rządowych (domen),
h) z kopalni węgli i innych kopalń rządowych,
i) z terenów naftowych, zbiorników nafty, z rurociągów dla nafty, tudzież z odbężyniarni w Drohobyczu.

2) W tym celu odda c. k. rząd rządowi Królestwa Galicji wszystkie budynki urzędowe z urządzeniem, wszystkie fabryki z maszynami, warsztaty, wszystkie saliny, koleje żelazne, dobra rządowe, kopalnie, zakłady górnicze i przemysłowe, wszelaki fundus instructus, cały inwentarz ruchomy i nieruchomy, słowem co jest potrzebne do wykonywania wszystkich działów administracji, a w szczególności administracji skarbowej.

3) Administracja tych wszystkich źródeł dochodów będzie samoistnie prowadzoną przez rząd galicyjski z uwzględnieniem postanowień każdoczesnej ugody węgierskiej i wydanych dla jej wykonania ustaw austrjackich. Przy zarządzie ceł i monopolów będą nadto utrzymane zasady ustawy cłowej i monopolowej („Zoll und Monopolsordnung“).

Z uwagi, że dochód z ceł przeznaczony jest ugodą węgierską na pokrycie wydatków wspólnych monarchji będą dochody z ceł pobranych w Galicji przepływały jedynie przez kasy galicyjskie i odstawiane do kas c. k. rządu za potrąceniem umówionej kwoty na koszta poboru. C. k. rządowi służy prawo kontroli administracji cłowej z Galicji na podobieństwo kontroli przewidzianej ugodą austrjacko-węgierską.

Sejmowi służy prawo zmiany stopy powyższych podatków i wprowadzenia dalszych własnych podatków, opłat i monopolów handlowych, nieobciążających konsumcji pozakrajowej, z zastrzeżeniami poczynionemi wyżej co do źródeł dochodów, objętych od c. k. rządu.

W razie budowy dróg rzecznych i kanałów przez Królestwo Galicji będą dochody z ich ruchu wpływały także do kas Królestwa.

4) Królestwo Galicji będzie się przyczyniało w stosunku procentowym do

sumy wydatków monarchji państwa, która się będzie składała z następujących wydatków corocznych:

a) wydatki wspólne, przypadające na cesarstwo austrjackie według klucza kwotowego z uchwał delegacji austrjackiej i węgierskiej;

b) takież wydatki przypadające na cesarstwo bądź z kredytów dodatkowych, bądź z przekroczeń;

c) wydatki Austrji na listę cywilną;

d) wydatki cesarstwa na kancelarję gabinetową;

e) wydatki cesarstwa na c. k. obronę krajową;

f) wydatki cesarstwa austrjackiego na procenta i amortyzację długów austrjackich, stojących w etacie austrjackiego ministerstwa skarbu kolejowego, wedle stanu w dniu wejścia w życie konstytucji dla Królestwa Galicji;

g) wydatki cesarstwa austrjackiego na procenta i amortyzacje długów państwowych austrjackich, jakie będą zaciągnięte po dniu wejścia w życie konstytucji galicyjskiej, bądź na cele wspólne monarchji, na podstawie uchwał delegacyj wspólnych, bądź na cele wspólne austrjacko-galicyjskie na podstawie uchwał wspólnego ciała ustawodawczego dla spraw austrjacko-galicyjskich;

h) wydatki na wspólne austrjacko-galicyjskie ciało konstytucyjne.

5) Królestwo Galicji będzie tytułem udziału swego w powyższych wydatkach opłacać stale, aż do ewentualnej w przyszłości zmiany, przeprowadzonej w porozumieniu obu stron, rocznie $y^0/_0$ od każdorocznej sumy tychże wydatków. Wypłata będzie następowała w dwóch ratach półrocznych z dołu, a to 30 czerwca każdego roku $25^0/_0$ rocznej należytości, a 31 grudnia każdego roku $75^0/_0$ należytości za rok ubiegający.

6) Z uwagi wszakże, że ciężkie zniszczenia wojenne pozbawiły Galicję przeważnej części dotychczasowej siły podatkowej, z uwagi, że dla jej wzmocnienia potrzeba przedewszystkiem odbudowy kraju, wymagającej przynajmniej upływu pięciolecia, z dalszej uwagi, że pierwotna siła podatkowa zostanie zaledwie po dalszem pięcioleciu przywrócona, zaś rozkwit ekonomiczny a tem samem finansowy kraju może być przy dobrej administracji spodziewany dopiero po upływie trzeciego pięciolecia, ustanawia się dla opłaty udziału Galicji na cele wspólne okres przejściowy.

Królestwo Galicji będzie mianowicie, począwszy od 1 lipca po roku, w którym konstytucja Galicji i tem samem jej autonomja skarbowa wejdą w życie, przelewać do skarbu państwa w terminach wyż wymienionych, a to:

w 1 pięcioleciu	rocznie	$X^0/_0$
w 2 pięcioleciu	„	$X^0/_0 + 1^0/_0$
w 3 pięcioleciu	„	$X^0/_0 + 3^0/_0$
od 4 pięciolecia	„	$X^0/_0 + 7^0/_0 = y^0/_0$.

II. Kredyt kraju.

1) C. k. rząd spowoduje przyjście do skutku ustawy państwowej, mocą której wszystkie papiery publiczne, które ustawą Sejmu Królestwa Galicji otrzymały prawo papierów pupilarnych, będą posiadały prawo papierów pupilarnych dla całej Austrji.

2) C. k. rząd zastrzeże w układzie z bankiem austrjacko-węgierskim, by papiery z pożyczek Królestwa Galicji były przy lombardowaniu traktowane na równi z papierami państwowemi.

3) C. k. rząd zastrzeże w układzie z bankiem austrjacko-węgierskim, by w radzie generalnej i w ciele kierującem (Geschäftsleitung) banku zasiadał zawsze jeden członek, przedstawiony przez rząd galicyjski.

III. Zarządzenia przejściowe.

A) Odbudowa kraju.

1) Z uwagi, że Galicja została jako wał ochronny monarchji zniszczona przez wojnę światową, nastąpi techniczna i gospodarcza jej odbudowa włącznie z odbudową dróg i kolei żelaznych, wraz z pełnem wynagrodzeniem reszty szkód wojennych, kosztem cesarstwa austrjackiego. Przy tem c. k. rząd uwzględni faktyczne koszta przywrócenia gospodarstwa do stanu pierwotnego i wypłaci odszkodowania w jak najkrótszym czasie ewentualnie we formie odprawy.

Dla uproszczenia akcji powyższej c. k. rząd odda jej przeprowadzenie rządowi Królestwa Galicji za przyznaniem sumy płatnej w ciągu lat pięciu od wejścia w życie niniejszej konstytucji w dziesięciu równych ratach półrocznych z góry. Sposób rozdziału odszkodowań od c. k. rządu uzyskanych, postanowi ustawa krajowa.

Aż do czasu wejścia w życie konstytucji będzie c. k. rząd przy szczególnym współudziale ministra dla Galicji prowadzić odbudowę dalej w drodze subwencji i pożyczek rządowych za pośrednictwem centrali krajowej dla gospodarczej odbudowy kraju i galicyjskich zakładów kredytowych wojennych, poczem z chwilą wejścia w życie konstytucji Centrala ta przejdzie na etat i we własny zarząd rządu galicyjskiego.

2) Niezależnie od akcji powyższej c. k. rząd uskuteczni bez zwłoki ustalenie należytości za świadczenia wojenne w Galicji i wypłaci je z funduszów państwa austrjackiego w ten sposób, by najpóźniej do roku po zawarciu pokoju wszelkie należytości w zupełności były wyrównane.

B) Pomoc państwowa.

1) C. k. rząd będzie Królestwu Galicji udzielał w ciągu pierwszych pięciu lat od chwili ustanowienia rządu galicyjskiego pożyczek oprocentowanych o dwa procent poniżej stopy bankowej i zwrotnych najwyżej w dziesięć lat po wypłaceniu. Pożyczki te będą wynosiły rocznie najwyżej sto miljonów, zaś razem najwyżej 500 miljonów koron. Pożyczki te nie uchylają obowiązku Królestwa Galicji opłaty na rzecz państwa kwoty, wymierzonej na pierwsze pięciolecie postanowieniami rozdziału trzynastego l. 6).

2) C. k. rząd spowoduje przyjście do skutku państwowej ustawy, mocą której zaliczki, które c. k. rząd udziela Galicji na pokrycie bieżących niedoborów i będzie udzielał w razie potrzeby aż do wejścia w życie konstytucji dla Królestwa Galicji, zostaną w chwili wejścia jej w życie umorzone.

3) Z uwagi, że ustawa o budowie dróg wodnych z dnia 11 czerwca 1901 dz. u. p. nr. 66 była wynikiem kompromisu pomiędzy stronnictwami interesowanymi w uchwalaniu rozmaitych inwestycyj państwowych, a Koło Polskie przyzwalając inne inwestycje, tymczasem już wykonane (koleje alpejskie, port tryjestyński, kanalizacja rzek w Czechach), nabyło prawo domagania się wykonania także inwestycji w Galicji, c. k. rząd przekaże Królestwu Galicji wszystkie kredyty, jakie z biegiem czasu uzyska dla przeprowadzenia powyższej ustawy w Galicji.

Rozdział czternasty.

Postanowienia przejściowe.

Konstytucja Królestwa Galicji wejdzie w życie najpóźniej w rok po zawarciu pokoju. Dzień wejścia w życie konstytucji będzie ogłoszony rozporządzeniem cesarskiem. Przed tym dniem zostanie zamianowany rząd Królestwa Galicji.

Dopóki konstytucja galicyjska, a z nią autonomja finansowa kraju nie wejdzie w życie, będą posłowie z Galicji brali udział we wszystkich pracach Izby posłów Rady państwa.

W ciągu tego czasu i zanim Sejm galicyjski nie zostanie zwołany, będzie zastępstwo interesów kraju sprawować ciało dwuizbowe, złożone z posłów galicyjskich do Izby poselskiej Rady państwa i z galicyjskich członków Izby panów. Ta „Tymczasowa reprezentacja galicyjska“ obradować będzie w Wiedniu aż do dnia zebrania się Sejmu Królestwa Galicji. Na wypadek, gdyby w tym czasie rozpisane zostały wybory do Izby poselskiej Rady państwa, mandaty posłów galicyjskich, stanowiących jedną z Izb reprezentacji, zgasną dopiero z chwilą wyboru nowych posłów z Galicji do Izby poselskiej Rady państwa. Posłowie ci natychmiast wejdą do reprezentacji galicyjskiej i pozostaną tam aż do dnia zebrania się Sejmu galicyjskiego.

C. k. rząd będzie przedkładał prowizorycznej reprezentacji do zaopinjowania projekty ustaw, jakie się okażą niezbędne dla wprowadzenia w życie konstytucji i zorganizowanie ustroju administracyjnego. Wydział krajowy zaś, który aż do wejścia w życie konstytucji galicyjskiej zatrzyma cały swój dotychczasowy zakres działania, będzie wobec reprezentacji przedstawiał dotychczasową krajową władzę autonomiczną.

Osobnem rozporządzeniem cesarskiem będą wydane przepisy o organizacji i o regulowaniu obrad tymczasowej reprezentacji galicyjskiej, tudzież o powołaniu do życia biura kodyfikacyjnego.

Załącznik D (do str. 171 t. II.)

List posła Waldnera do ministra Twardowskiego.

Abgeordnetenhaus, 20 Juni 1918.

Eure Exzellenz!

Bitte ich zur geneigten Kenntnis zu nehmen, dass der Verband der deutsch-nationalen Parteien jederzeit bereit ist, mit den geehrten Vertretern des Polenklubs den ganzen Bereich der polnischen Frage eingehend zu besprechen und alles zu erwägen, was zur Förderung einer deutsch-polnischen Interessengemeinschaft für Gegenwart und Zukunft führen könnte. Eine solche Aussprache wäre unseres Erachtens nur dann Erfolg verheissend, wenn die geehrten Herren des Polenklubs in die Besprechungen mit dem Willen eintreten, zusammen mit den deutschen Parteien im Abgeordnetenhause eine feste Mehrheit für die Staatserfordernisse in der furchtbar ernsten Zeit, in der wir leben, zu bilden. Zugleich müsste wohl bei den geehrten Herren des Polenklubs einerseits der Entschluss feststehen, sich gegen die staatsfeindlichen Untriebe und gefährlichen Pläne der Tschechen und Süd-Slaven zu wenden, andererseits aber auch die uneingeschränkte Geneigtheit, Vorstösse von tschechischer oder südslavischer Seite gegen die Deutschen gemeinsam mit den Abgeordneten des Verbandes und der christlich-sozialen Vereinigung abzuwehren. Die deutschnationalen Parteien würden jedenfalls die Ermöglichung einer im Interesse des Staatswohles gelegenen kurzen Sommertagung freudigst begrüssen und würden in einer bestimmenden Auffassung der geehrten Herren des Polenklubs ein Unterpfand für die unversehrte Wahrung der beiderseitigen nationalen Interessen in der Zukunft und die Grundlage für eine beide Teile befriedigende Vereinbarung erblicken, die nach der Befreiung des Staates von seinen drückendsten Sorgen unmittelbar nach der Sommertagung getroffen werden könnte.

Ich ergreife den Anlass meines heutigen Schreibens, die geehrten Herren des Polenklubs der vollen Loyalität der deutsch-nationalen Parteien zu versichern und die geehrten Herren auf das freundlichste zu begrüssen.

Eurer Exzellenz ergebener

Dr. Waldner m. p.

Obmann des Verbandes der deutsch-nationalen Parteien.

Szkic nakreślony przez ministra Twardowskiego dla posłów niemieckich Izby deputowanych austrjackich.

Angesichts der ungeheueren Gefahren, welche in einem sich immer steigernden Grade den Bestand des österreichischen Staates bedrohen, hat zwischen deutschen und polnischen Mitgliedern beider Häuser des Reichsrates ein Meinungsaustausch

stattgefunden, bei welchem der Ueberzeugung Ausdruck gegeben wurde, dass dem gemeinsamen Interesse an der Erhaltung des gegenwärtigen Gefüges dieses Staates ein einvernehmliches politisches Zusammenwirken entspricht.

In dieser Aussprache kam die übereinstimmende Anschauung zur Geltung, dass das Bundesverhältnis der beiden Mittelmächte in der Zukunft stärkerer politischer, militärischer und wirtschaftspolitischer Sicherungen bedarf.

Zu den unmittelbaren, dringendsten Aufgaben der Bündnispolitik gehört vor allem die rasche, den beiderseitigen Interessen der Bündnismächte gleichmässig entsprechende Lösung der polnischen Frage im austro-polnischen Sinne, vorbehaltlich aller politischer, militärischer und wirtschaftspolitischer Voraussetzungen, die für diese Lösung hergestellt werden müssen.

Soweit zur Schlichtung des durch die Abtretung von Chelm und Podlachien entstandenen Streites eine Revision des Brest-Litowsker Friedensvertrages erwünscht ist, kam in der Besprechung die Meinung zum Ausdrucke, dass der deutsch-nationale Verband und die christlich-soziale Partei in dieser Hinsicht ihre Unterstützung zusagen mögen.

Mit Rücksicht auf den zwischen den Polen und den Ruthenen bestehenden Konflikt über die Teilung von Galizien, beziehungsweise hinsichtlich der nationalen Autonomie in Ostgalizien, wurde dem Vorschlage zugestimmt, dass die genannten deutschen Parteien bzw. Verbände ihre guten Dienste zur Schlichtung dieser Streitfragen anbieten sollen.

Die deutschen Parteien bezw. Verbände behalten sich ihrerseits vor, über ihre Wünsche bezüglich der künftigen Stellung der Bukowina, sowie wegen der Sicherung der nationalen Interessen der Deutschen in Galizien und der Bukowina mit den polnischen und ruthenischen Parteien in Verhandlung zu treten.

Unter diesen Voraussetzungen wurde anderseits der Meinung zugestimmt, dass sich die polnischen Parteien bereit erklären sollen, die Abwehr der Deutschen gegenüber den in den Deklarationen vom 30. Mai 1917 kundgegebenen Bestrebungen der Tschechen für die Errichtung eines tschechoslowakischen Staates und der Slowenen für die Schaffung eines jugoslawischen Staates zu unterstützen.

I. Projekt Bilińskiego.

Die parlamentarischen Vertreter des deutschen Volkes in beiden Häusern des Reichsrates sprechen die Ueberzeugung aus, dass die sogenannte austro-polnische Lösung der Polenfrage, welche von dem Grossteile des polnischen Volkes als die festeste Sicherstellung des künftigen polnischen Staates, sowie der nationalen und kulturellen Interessen Polens herbeigewünscht wird, auch für die vitalsten

Interessen unserer Monarchie und Dynastie, für die Lebensinteressen der Deutschen in Oesterreich, für die Verwirklichung der Vertiefung des Bündnisses der Zentralmächte und demgemäss für die wichtigsten Interessen beider Zentralmächte dringend nötig ist und mit allen Mitteln angestrebt werden soll. Die deutschen Vertreter sind daher fest entschlossen, die austro-polnische Lösung, d. h. die Bildung eines selbständigen polnischen Staates aus dem ungeteilten Kongresspolen und dem ungeteilten Galizien im Verbande der Habsburger Monarchie, in jeder Weise tatkräftig und überzeugungstreu zu fördern.

Die deuschen Vertreter sind insbesondere bereit:

A. ihren Einfluss in Berlin dahin geltend zu machen, dass das deutsche Reich:

1) von strategischen Gebietserweiterungen im Westen, Norden und Nordosten Kongresspolens gänzlich absehen;

2) dem künftigen polnischen Staate nach Osten hin eine Erweiterung über die von Polen bewohnten Gebiete Littauens gegen Russland zu als unentbehrliches Expansationsgebiet zuerkennen;

3) einer voraussichtlich von Oesterreich-Ungarn anzuregenden Revision des Vertrages von Brześć Litewski im Sinne der völligen Integrität Kongresspolens und Galiziens zustimmen und

4) dem Weichselstrome den Charakter eines international freien Verkehrsweges zuerkennen und dem künftigen polnischen Staate einen Freihafen in Danzig gewähren möge; sowie dass

5) im Königreiche Preussen das Verhältnis des Staates und dessen Regierung zu der Preussen bewohnenden polnischen Bevölkerung und zu deren parlamentarischen Vertretern sachlich und persönlich eine Milderung erfahren möge;

B. beim k. u. k. Minister des Aeussern ihren Einfluss dahin auszuüben, dass die obbezeichnete Revision des Vortrages von Brześć Litewski noch rechtzeitig vor dessen Ratifizierung in der Richtung eingeleitet werde, dass sowohl die im Vertrage selbst kontrahierte Abtretung des Chełmer Landes und Podlachiens an die Republik Ukraina restlos rückgängig gemacht, als auch die in den geheimen Zusatzartikeln in Aussicht gestellte Abtrennung Ostgaliziens noch vor der hiefür festgesetzten Fallfrist des 30. Juni d. J. für ungiltig erklärt werden möge;

C. beim k. k. österreichischen Ministerpräsidenten ihren Einfluss dahin geltend zu machen, dass:

1) von der Abtrennung Ostgaliziens und allen vorbereitenden Massregeln hiefür unbedingt abgesehen werden möge;

2) dass in dem mit der Regierung in Betreff der Bedürfnisse aller Länder zu vereinbarenden Programme jene der Regierung bekannten Begehren des Polenklubs, welche sich auf den Wiederaufbau Galiziens, sowie die Wiederherstellung der Zivilverwaltung beziehen, aufgenommen und energisch auch durchgeführt werden mögen;

D. dem ukrainischen Reichsratsklub im Namen der Vertreter des polnischen

Volkes zu erklären, dass die letzteren bereit seien, mit den ukrainischen Vertretern in freie Verhandlungen von Volk zu Volk in der Richtung und zu dem Zweck einzutreten, um jenes weitgehende Ausmass der nationalen Autonomie zu vereinbaren, welches in ganz Ostgalizien bei vollster Parität beider Volksstämme für den Fall der Angliederung des ungeteilten Galiziens an das Königreich Polen verfassungsmässig und zwar bereits im Augenblick der Errichtung des polnischen Staates sichergestellt werden soll;

E. mit den Vertretern des polnischen Volkes über die nationale Sicherstellung der Polen im Teschener Gebiete Schlesiens Verhandlungen zu pflegen.

Die Vertreter des polnischen Volkes in beiden Häusern des Reichsrates erkennen die Bedeutung des deutschen Volkes in Oesterreich und dessen historisch begründete Ansprüche im österreichischen Staatsleben an und sind in der Ueberzeugung, dass zwischen dem deutschen und dem polnischen Volke in Oesterreich keine weiteren nationalen Gegensätze bestehen, bereit, mit den deutschen Vertretern ein festes Bündnis einzugehen, welches, ohne etwa auf die Unterdrückung anderer Völker im Staate abzuzielen, berufen sein soll, zunächst das parlamentarische Leben in dem gegenwärtigen österreichischen Staate zu regeln und in Zukunft für die Regelung der Beziehungen des künftigen polnischen Staates mit dem österreichischen Staate in dessen künftigem Gefüge eine dauernde Grundlage zu bilden.

Drugi, ostateczny projekt Bilińskiego.

Die parlamentarischen Vertreter des deutschen Volkes in beiden Häusern des Reichsrates sprechen die Ueberzeugung aus, dass die sogenannte austro-polnische Lösung der Polenfrage, welche von dem Grossteile des polnischen Volkes als die festeste Sicherstellung des künftigen polnischen Staates, sowie der nationalen und kulturellen Interessen Polens herbeigewünscht wird, auch für die vitalsten Interessen unserer Monarchie und Dynastie, für die Lebensinteressen der Deutschen in Oesterreich, für die Verwirklichung der Vertiefung des Bündnisses der Zentralmächte und demgemäss für die wichtigsten Interessen beider Zentralmächte dringend nötig ist und mit allen Mitteln angestrebt werden soll. Die deutschen Vertreter sind daher fest entschlossen, die austro-polnische Lösung, d. h. die Bildung eines selbständigen polnischen Staates aus dem ungeteilten Kongresspolen und dem ungeteilten Galizien im Verbande der Habsburger Monarchie, in jede Weise tatkräftig und überzeugungstreu zu fördern.

Die deutschen Vertreter sind insbesondere bereit:

A. ihren Einfluss in Berlin dahin geltend zu machen, dass das deutsche Reich:

1) von strategischen Gebietserweiterungen im Westen, Norden und Nordosten Kongresspolens gänzlich absehen;

2) dem künftigen polnischen Staate als Kompensation für den aus ethno-

grafischen (nicht strategischen) Gründen in Aussicht stehenden Verlust von vier Bezirken des Gouvernements Suwałki (Kongresspolen), eine Erweiterung in den ethnografisch polnischen Gebieten Littauens und Weissrusslands, westlich der Narew-Bug-Niemen-Linie zuerkennen;

3) einer voraussichtlich von Oesterreich-Ungarn anzuregenden Revision des Vertrages von Brześć Litewski im Sinne der völligen Integrität Kongresspolens und Galiziens zustimmen und

4) dem Weichselstrome den Charakter eines international freien Verkehrsweges zuerkennen und dem künftigen polnischen Staate einen Freihafen in Danzig gewähren möge; sowie dass

5) im Königreiche Preussen des Verhältnis das Staates und dessen Regierung zu der Preussen bewohnenden polnischen Bevölkerung und zu deren parlamentarischen Vertretern sachlich uud persönlich eine Milderung erfahren möge;

B. beim k. u. k. Minister des Aeussern ihren Einfluss dahin auszuüben, dass die obbezeichnete Revision des Vertrages von Brześć Litewski noch rechtzeitig vor dessen Ratifizierung in der Richtung eingeleitet werde, dass sowohl die im Vertrage selbst kontrahierte Abtretung des Chełmer Landes und Podlachiens an die Republik Ukraina restlos rückgängig gemacht, als auch die in den geheimen Zusatzartikeln in Aussicht gestellte Abtrennung Ostgaliziens, letztere noch vor der hiefür festgesetzten Fallfrist für ungiltig erklärt werden möge.

C. beim k. k. österreichischen Ministerpräsidenten ihren Einfluss dahin geltend zu machen, dass:

1) von jeder Störung der legislativen oder administrativen Einheit des Landes Galizien und von allen vorbereitenden Massregeln hiefür unbedingt abgesehen werden möge;

2) dass in dem mit der Regierung in Betreff der Bedürfnisse aller Länder zu vereinbarenden Programme jene der Regierung bekannten Begehren des Polenklubs, welche sich auf den Wiederaufbau Galiziens, sowie die Wiederherstellung der Zivilverwaltung beziehen, aufgenommen und energisch auch durchgeführt werden mögen;

D. dem ukrainischen Reichsratsklub im Namen der Vertreter des polnischen Volkes zu erklären, dass die letzteren bereit seien, mit den ukrainischen Vertretern in freie Verhandlungen von Volk zu Volk in der Richtung und zu dem Zweck einzutreten, um jenes weitgehende Ausmass der nationalen Autonomie zu vereinbaren, welches in ganz Ostgalizien bei vollster Parität beider Volksstämme für den Fall der Angliederung des ungeteilten Galiziens an das Königreich Polen verfassungsmässig und zwar bereits im Augenblick der Errichtung des polnischen Staates sichergestellt werden soll;

E. mit den Vertretern des polnischen Volkes über die nationale Sicherstellung der Polen im Teschener Gebiete Schlesiens Verhandlungen zu pflegen.

Die Vertreter des polnischen Volkes in beiden Häusern des Reichsrates

erkennen die Bedeutung des deutschen Volkes in Oesterreich und dessen historisch begründete Ansprüche im österreichischen Staatsleben an und sind, in der Ueberzeugung, dass zwischen dem deutschen und dem polnischen Volke in Oesterreich keine weiteren nationalen Gegensätze bestehen, bereit, mit den deutschen Vertretern ein festes Bündnis einzugehen, welches, ohne etwa auf die Unterdrükkung anderer Völker im Staate abzuzielen, berufen sein soll, zunächst das parlamentarische Leben in dem gegenwärtigen österreichischen Staate zu regeln und in Zukunft für die Regelung der Beziehungen des künftigen polnischen Staates zu dem österreichischen Staate in dessen künftigem Gefüge eine dauernde Grundlage zu bilden.

Program rządu p. Steczkowskiego.

Warszawa, dnia 18/V. 1918.

W instrukcji udzielonej Maciejowi ks. Radziwiłłowi i Adamowi hr. Ronikierowi dał Departament Stanu wyraz następującym zapatrywaniom.

a) Integralność Królestwa Polskiego winna być zapewniona bez żadnych warunków i ograniczeń.

b) Rząd polski gotów jest wejść w sojusz z państwami centralnemi na zasadzie równorzędności tak pod względem politycznym, jak i ekonomicznym.

c) W zamian za zrzeczenie się czterech litewskich powiatów gubernji Suwalskiej rząd polski żądać będzie etnograficznych polskich obszarów na wschodzie od linji Narwi, Bugu i Niemna.

d) Dla rozwoju ekonomicznego Polski koniecznym jest dostęp do morza przez wolną żeglugę na Wiśle, wolny port w Gdańsku i ulgi taryfowe na linjach kolei żelaznych, łączących Polskę z morzem Bałtyckiem.

e) Dążyć należy do porozumienia z Litwinami, salwując jednakże pretensje do obszarów etnograficznych polskich oraz całkowitego zabezpieczenia praw mniejszości polskiej na Litwie.

f) W związku z aspiracjami naszemi na Wschodzie i potrzebami ekonomicznemi popierać należy dążność Białorusinów do wyodrębnienia się i dążyć do wytworzenia autonomicznej jednostki państwa białoruskiego (w łączności z Królestwem).

g) Na wypadek przyjęcia rozwiązania niemieckiego wykazać należy wszelkie gospodarcze braki Królestwa Polskiego i dążyć do uzyskania rekompensaty zarówno terytorjalnej, jak i w postaci ulg handlowo-politycznych na wschodzie Europy.

Załącznik E. (do str. 279 t. II.)

I.

List prezesa ministrów Paderewskiego do ministra skarbu Bilińskiego z daty Paryż 1 października *).

Kochany Ministrze! Polecam życzliwości Pańskiej pp. John Collan O'Laughlin'a i Filipa Patchina, specjalnych przedstawicieli „Korporacji przemysłowo-handlowej ludów" w Stanach Zjednoczonych.

Panowie ci przedstawili mi projekt finansowy dla Polski, który mi się wydaje bardzo interesującym. Proszę Pana o łaskawe ułatwienie misji pp. O'L. i P. i poddanie ich projektu zbadaniu, by w danym razie móc z niego skorzystać bezzwłocznie.

Dodaję, że „National City Bank" w N. Jorku zapewnia mnie o finansowej odpowiedzialności towarzystwa przemysłowego i handlowego, które ci panowie reprezentują.

Chciej przyjąć i t. d. i t. d.

II.

Depesza kablowa od Samuela Mc. Roberts'a. wiceprezesa „National City Banku" w New-Yorku do P. Paderewskiego,

wysłana w odpowiedzi na orędzie wywiadowcze tego ostatniego, dotyczące projektu „Korporacji Przemysłowo-Handlowej Ludów" w New-Yorku, w celu natychmiastowego (bezpośredniego) udzielenia kapitałów i kredytu finansowego dla Polski:

New-York, 1 paźdz. 1919.

Pańską depeszę kablową otrzymałem. Sądzę, że plan Korporacji Przemysłowo-Handlowej Ludów, jest całkowicie wykonalny, pod warunkiem, że warunki wymiany i charakter polskich obligacyj są rozsądne (umiarkowane) i sprawiedliwe dla posiadaczy obligacyj wolnościowych (Liberty Bonds). Polskie obligacje powinny być d z i e s i ę c i o l e t n i e**), na siedem procent***), a procenty dwuletnie powinny być odłożone na bok z dochodów polskich obligacyj w celu wymienienia ich na obligacje wolnościowe (Liberty bonds) al pari, lub w celu sprzedaży za gotówkę po cenie targowej obligacyj wolnościowych. Należałoby przedsięwziąć pewne kroki dla ochrony (protection) polskiego kredytu przez zaopatrzenie

*) W oryginale po francusku pisany, gdyż był wręczony obu wymienionym Amerykanom.
**) W kontrakcie ustanowiono termin 20-letni.
***) W kontrakcie ustanowiono 6 proc.

targu dla obligacyj po ich wydaniu. W tym celu proponuję, aby od pięciu do dziesięciu procent dochodu (zysku) były użyte dla celów handlowych, aby w ten sposób utrzymać targ w umiarkowanych granicach i przy niezbyt wielkich kosztach dla polskiego rządu. Fundusz ten nie może być administrowany przez Korporację Handlową Ludów, albo przez Komitet specjalny; każda z metod ma być pod Waszą kontrolą *).

Korporacja Przemysłowo-Handlowa Ludów jest nową organizacją, utworzoną przez ludzi, należących do pierwszorzędnej klasy i o wysokich zdolnościach finansowych. Przez to Korporacja może rozporządzać bardzo rozgałęzioną podporą. Jak sądzę, mają oni zdolności, by osiągnąć rezultaty, a Pan może budować na ich uczciwość. Miara powodzenia zależałaby od stanowiska, jakieby zajęli Polacy tego kraju względem swych narodowych obligacyj, stanowiska, co do którego doszły korzystne wiadomości do Korporacji. Jeżeli Korporacja Przemysłowo-Handlowa Ludów przeprowadzi tę operację, ten bank jest skłonny działać jako Wasz i ich depozytarjusz.

III.

List J. E. Posła Stanów Zjednoczonych w Warszawie do Radcy Legacyjnego, p. Perłowskiego z 4 października 1919.

Kochany Panie Perłowski!

Podczas mojego pobytu w Paryżu nadszedł tu do mnie telegram od p. Lansinga, donoszący, że John Collon O'Laughlin, oraz p. Philip H. Patchin są w drodze do Warszawy, w sprawie doniosłych interesów amerykańskich, celem przedstawienia Rządowi polskiemu pewnych propozycyj charakteru finansowego. P. Lansing polecił mi poczynić tym panom wszelkie możliwe ułatwienia w złożeniu tych propozycyj Rządowi polskiemu.

Dla informacji Pana dodaję, że p. O'Laughlin był podsekretarzem stanu za rządu prezydenta Roosevelta i że przez pewien czas miał styczność z bardzo poważnemi interesami finansowemi.

P. Patchin zajmował dwukrotnie ważne stanowiska w departamencie stanu i do niedawna był sekretarzem wykonawczym amerykańskiej misji pokojowej w Paryżu. Ze stanowiska tego obecnie ustąpił celem powrócenia do interesów prywatnych.

Ani p. O'Laughlin ani p. Patchin nie prosili mnie o pomoc urzędową, ale sądziłem, że przydadzą się Panu te wiadomości, w razie, gdyby Pan otrzymał zapytanie z innego wydziału rządu. P. Paderewski napisał, zdaje mi się, obszernie do ministra skarbu.

---

*) W kontrakcie wszystko to usunięto.

IV.

List ministra Skrzyńskiego do ministra skarbu Bilińskiego z dnia 4 października 1919.

Wielce Szanowny Panie Ministrze!

Panowie I. C. O'Laughlin i P. H. Patchin, których przybycie do Polski zapowiedziane było przez p. Lansinga, pragną zgłosić się do Pana Ministra w sprawie operacji finansowej, mającej zapewnić Polsce znaczną pożyczkę w gotowiźnie. Panowie ci przedstawią listy od Pana Prezesa Paderewskiego i są poleceni przez posła amerykańskiego p. Gibsona.

Zaznaczyć należy, że p. O'Laughlin był podsekretarzem stanu za rządu prezydenta Roosevelta, zaś p. Patchin, który dwukrotnie zajmował w departamencie stanu wysokie stanowiska, był do niedawna sekretarzem wykonawczym amerykańskiej misji pokojowej w Paryżu.

Upraszam Pana Ministra o zawiadomienie mnie, kiedy ci panowie mogliby być przez Niego przyjęci.

V.

List p. Skrzyńskiego do min. skarbu p. Bilińskiego z 20 października 1919.

Panie Ministrze!

Na zapytanie o opinję Ministerjum Spraw Zagranicznych, dotyczącą pp. J. C. O'Laughlin P. H. Patchin, którzy wystąpili z propozycją pośredniczenia pomiędzy Polskiem Ministerjum Skarbu, a grupą finansistów amerykańskich w sprawie zaciągnięcia przez Polskę pożyczki państwowej, mam zaszczyt zakomunikować, co następuje:

P. J. C. O'Laughlin sprawował funkcje drugiego podsekretarza stanu w „Department of State" t. j. w Ministerjum Spraw Zagranicznych Stanów Zjednoczonych za prezydentury p. Roosevelta, z którym go jaknajściślejsze łączyły stosunki. P. O'Laughlin jest jednym z pięćdziesięciu członków znanego zrzeszenia publicystów w Waszyngtonie, które przyjmuje do swego grona jedynie ludzi wyróżniających się wybitnie zarówno pod względem umysłowym jak etycznym.

P. P. H. Patchin był do ostatnich czasów pierwszym sekretarzem delegacji Stanów Zjednoczonych na konferencjach pokoju i stanowisko to opuścił po podpisaniu wersalskiego traktatu.

Obydwaj ci panowie przedstawili listy polecające od pana Prezydenta Paderewskiego, pozatem zaś mają jak najlepsze rekomendacje od tutejszego posła Stanów Zjednoczonych p. H. Gibsona.

Wobec tego i wobec dodatkowych, następnie otrzymanych informacyj, które

zgodnie przedstawiają tych panów nie tylko jako ludzi, zasługujących na osobiste zaufanie, lecz także jako reprezentantów bardzo poważnych sfer finansowych Ameryki Północnej, Ministerjum Spraw Zagranicznych doszło do wniosku, iż nic nie stoi na przeszkodzie do podjęcia z nimi rokowań.

VI.

List J. E. Posła Stanów Zjednoczonych w Warszawie do Ministra Skrzyńskiego z 28 października 1919 r.

Ekscelencjo!

Mam zaszczyt przesłać przy niniejszem memorandum, zawierające informacje, w sprawie pierwszych czterech emisyj rządowej pożyczki wolnościowej w St. Zjednoczonych.

Pozwalam sobie przy tej sposobności przesłać wyrazy głębokiego szacunku dla Waszej Ekscelencji. *Hugh Gibson.*

VII.

List posła St. Zjednoczonych do p. ministra Skrzyńskiego z 29 października 1919 r.

Ekscelencjo!

Mam zaszczyt podać do Wiadomości Waszej Ekscelencji dwie depesze, które otrzymałem od sekretarza stanu, w sprawie podatku dochodowego od bonów pożyczki wolnościowej, posiadanych przez rząd polski w St. Zjednoczonych:

1) „W obecnym stanie prawnym rząd polski będzie uwolniony od podatku dochodowego od dochodu, wypływającego z bonów wolnościowych, posiadanych w St. Zjednoczonych *Lansing* m. p. i 2) Departament skarbu oświadcza, że bony wolnościowe, posiadane przez rząd polski w Nowym Jorku, będą uwolnione nietylko od podatku dochodowego, lecz i od wszelkich innych podatków państwowych lub federalnych. *Lansing*" m. p.

Pozwalam sobie przy tej sposobności, Wasza Ekscelencjo, przesłać wyrazy głębokiego szacunku. *Hugh Gibson.*

VIII.

Wyjątek z pisma ministra skarbu po podpisaniu umowy o pożyczkę.

Do Ministerjum Spraw Zagranicznych w miejscu.

Ponieważ żaden punkt umowy z p. Smulskim, którą przy niniejszem dla wiadomości Ministerjum Spraw Zagranicznych załączam, nie został wykonany, przeto Ministerstwo Skarbu czuje się uprawnione do oświadczenia,

iż umowa ta nie doszła do skutku; chcąc zaś zadość uczynić warunkowi, zawartemu w art. II umowy wzmiankowanej na początku niniejszego, zawartej między rządem Rzplitej Polskiej a Związkiem „The Peoples Industrial Trading Corporation of the United States", Ministerstwo Skarbu prosi niniejszem Ministerstwo Spraw Zagranicznych o oświadczenie w drodze dyplomatycznej przez poselstwo polskie w Waszyngtonie panu J. Smulskiemu w Chicago, używając do tego połączenia telegraficznego, iż rząd polski unieważnia niniejszem wszelkie prawa, jakie mu w swoim czasie zawarta pomiędzy nim a Delegacją Ministerstwa Skarbu w Paryżu umowa nadała.

O wykonaniu niniejszego Ministerstwo Skarbu prosi łaskawie zawiadomić je w swoim czasie, komunikując mu jednocześnie odpowiedź poselstwa w Waszyngtonie.

IX.

Wyjątek z pisma ministra skarbu po podpisaniu umowy o pożyczkę.

Do Pana Prezydenta Ministrów P. J. Paderewskiego w Warszawie. Zamek

Wobec powyższego postanowienia punktu 9 umowy, śmiem prosić Pana Prezydenta o łaskawe zarządzenie rozwiązania kontraktu zawartego w dniu 8 lipca r. b. w imieniu Pana Prezydenta przez ks. Kazimierza Lubomirskiego z p. majorem Shumanem w charakterze doradcy handlowego i przemysłowego Prezydenta Ministrów i Państwa Polskiego. Tę samą prośbę pozwalam sobie wyrazić co do pomocników p. Shumana.

Załącznik F. (do str. 282 t. II.)

Umowa w sprawie pożyczki amerykańskiej.

Odpis.

Warszawa, d. 2 października 1919 r.

Pomiędzy:
RZĄDEM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ, w której imieniu działa Minister Skarbu, Dr Leon Biliński, należycie przez Sejm ustawodawczy na mocy ustawy z dnia 28 marca 1919 roku Nr. 252 upoważniony, — z jednej strony a ZWIĄZKIEM, prawnie w Stanach Delaware w Stanach Zjednoczonych Ameryki zorganizowanych, w mieście New-Yorku, przy ulicy Nassau Street Nr. 140, w Stanach Zjednoczonych Ameryki siedzibę mającym i noszącym nazwę: „THE PEOPLES INDUSTRIAL CORPORATION OF THE UNITED STATES", który to związek dla krótkości w tekście niniejszym nazywany będzie „Związkiem" i w którego imieniu działa p. John C. O'Laughlin, na mocy plenipotencji zalegalizowanej dnia 5 września r. b. przez notarjusza publicznego w New-Yorku, Howarda Campbella, do niniejszego w oryginale dołączonej — z drugiej strony została zawarta umowa treści następującej:

1) W celu dokonania wymiany przeważnie tej części emitowanych przez Rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej bonów, pod nazwą „Liberty and Victory Essues", wyszczególnionych niżej w art. 3, które znajdują się w rękach Polaków zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych, na emitować się mające obligi państwowe polskie, które tutaj nazywane będą „obligami", Rząd Polski przystąpi natychmiast po podpisaniu niniejszej umowy do emisji sześcioprocentowych (6%) obligów państwowych (w tekście angielskim „bonds"), wystawionych w walucie Stanów Zjednoczonych Ameryki w sztukach po pięćdziesiąt (50) dolarów, sto (100) dolarów i pięćset (500) dolarów w złocie. Obligi te będą wystawione na okaziciela i będą płatne w Banku „The National City Bank of New-York" w mieście New-Yorku, który to Bank dla krótkości w tekście niniejszym nazywany będzie „Bankiem". Spłata wszystkich obligów nastąpi w czasie aż do pierwszego (1-go) grudnia 1939 (tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego) roku, w amerykańskiej złotej monecie o wadze i próbie monet teraźniejszych; rzeczone obligi będą przynosić sześć (6) od sta rocznie, płatnych półrocznie z dołu, każdego pierwszego (1-go) czerwca i pierwszego (1-go) grudnia w tymże Banku, począwszy od pierwszego (1 go) czerwca 1920 (tysiąc dziewięćset dwudziestego) roku, w takiej samej złotej walucie, i za złożeniem właściwych kuponów.

W powyższych obligach zostanie dokonana legalna emisja pożyczki Rządu Polskiego w wysokości dwustu pięćdziesięciu miljonów (250,000.000) dolarów nominalnej wartości. Obligi te wypuszczane będą przez Rząd Polski w takich ilościach i w takich terminach, jakie okażą się niezbędne dla wykonania niniejszej umowy. Rząd polski składać będzie wszystkie powyższe obligi w Banku, zaś Bank doręczać je będzie Związkowi w sposób niżej wyszczególniony, w ilościach odpowiadających zapotrzebowaniom Związku.

2) Zanim obligi zostaną wygotowane, Rząd Polski przystąpi niezwłocznie do emitowania kwitów tymczasowych, których forma i treść w porozumieniu ze Związkiem zostaną ustalone. Kwity tymczasowe będą wystawione w walucie i w sztukach, wymienionych wyżej w art. I.

W tekście kwitów tymczasowych zostanie zaznaczone, że są one wydane z nakazu i w imieniu Rządu Polskiego oraz że Rząd Polski zobowiązuje się wymienić je, na żądanie okazicieli, po upływie trzech (3) miesięcy od daty wystawienia, na oryginalne obligi Rządu Polskiego w ilościach, odpowiadających wartości nominalnej tychże kwitów tymczasowych. Kwity te Rząd Polski złoży na swój rachunek w Banku, zaś Bank wydawać je będzie w ten sam sposób, jaki wskazany jest dla obligów oryginalnych.

Emisja obligów oryginalnych jak również i kwitów tymczasowych, wykonana będzie przez Rząd Polski w New-Yorku za pośrednictwem odpowiednio uwierzytelnionego delegata polskiego Ministerstwa Skarbu.

Rysowanie, rytowanie, drukowanie i przygotowanie tymczasowych kwitów oraz obligów ma być dokonane przez Związek w ilościach potrzebnych do wykonania niniejszej umowy. Czynności te, jak również wydawanie Bankowi obligów i kwitów, podlegać będą nadzorowi i kierownictwu delegata polskiego Ministerstwa Skarbu oraz jego podwładnych, należycie uwierzytelnionych. Związek zobowiązuje się zapewnić wspomnianemu delegatowi Ministerstwa Skarbu oraz jego podwładnym warunki, jakie delegat uzna za potrzebne dla wykonania tego nadzoru i kierownictwa.

Wszystkie koszty rysowania, rytowania i przygotowania wspomnianych obligów i kwitów tymczasowych jak również drukowania tych obligów i kwitów, w ilościach, potrzebnych Związkowi dla wykonania niniejszej umowy, wreszcie koszty dostarczenia ich Bankowi, ponoszone będą wyłącznie przez Związek z jego własnych funduszów i bez prawa regresu do Rządu Polskiego.

3) W ciągu trwania niniejszej umowy, t. j. w ciągu dwunastu (12) miesięcy od dnia dzisiejszego, Związek dołoży wszelkich starań i wysiłków, aby za pośrednictwem swych własnych organizacji i agencji dokonać na rzecz Rządu Polskiego w możliwie największych ilościach wymiany bonów Rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej „Liberty & Victory Issues", przynoszących od trzech i pół ($3^1/_2$) do czterech i trzy ćwierci ($4^3/_4$) procent rocznie, na obligi Rządu Polskiego, zaś w czasie przejściowym na tegoż Rządu kwity tymczasowe. Wy-

miana dokonywana będzie zawsze dolar za dolar nominalnej wartości. Niezależnie od tego Związek dołoży starań, aby wedle możności sprzedać część obligów polskich za gotówkę w dolarach, al pari, na rachunek Rządu Polskiego.

4) Rząd Polski wyznaczy Bank „The National City Bank of New-York", jako swego depozytarjusza. Bank ten według zapewnienia niżej podpisanego przedstawiciela Związku, zgodził się na podjęcie tej funkcji. W Banku tym Rząd Polski składać będzie wszystkie przez siebie emitowane obligi względnie kwity tymczasowe, a to w miarę ich drukowania, bezzwłocznie.

Rząd Polski wyda Bankowi polecenie doręczania wyłącznie Związkowi, na jego piśmienne zlecenia, kwitów tymczasowych względnie obligów, wzamian: albo za bony Stanów Zjednoczonych wyszczególnionych wyżej w art. 3, w kwotach równych nominalnej wartości tychże bonów, albo też wzamian za gotówkę w dolarach amerykańskich, również nominalnej wartości kwitów tymczasowych względnie obligów Rządu Polskiego.

Związek będzie składał do Banku na rachunek Rządu Polskiego, i to natychmiast po ich otrzymaniu, bony Rządu Stanów Zjednoczonych z kuponami bieżącymi oraz wszystkimi dalszymi kuponami, w zamian za co Związek otrzymywać będzie od Banku obligi Rządu Polskiego tej samej nominalnej wartości, również z kuponami bieżącymi oraz wszystkimi dalszymi kuponami.

W wypadkach, w których Związek złoży do zamiany bon amerykański bez bieżącego kuponu, Bank — jako depozytarjusz Rządu Polskiego — obowiązany będzie zasadniczo wydać mu w zamian, na rachunek Rządu Polskiego, oblig tegoż Rządu również bez bieżącego kuponu,

W razie jednak, gdyby rozliczenie się z posiadaczem bonu amerykańskiego, ze względu na różnicę terminów płatności kuponów amerykańskiego i polskiego, przedstawiało dla Związku zbyt poważne trudności, to Bank będzie władny wydać Związkowi, wzamian za bon amerykański bez bieżącego kuponu — oblig polski z kuponem bieżącym. W tych atoli wypadkach Związek, a w szczególności także podpisany na niniejszym kontrakcie przedstawiciel Związku, dołożą wszelkich starań, ażeby ewentualne straty Rządu Polskiego przy powyższej alternatywie ograniczyć do minimum. Związek zobowiązuje się zabezpieczyć w granicach możliwości interesy Rządu Polskiego zarówno pod tym względem, jak i pod innymi względami, przy wykonywaniu niniejszej umowy.

W celu zagwarantowania, że pierwszy kupon od obligów Rządu Polskiego w czasie właściwym zapłacony zostanie, Rząd Polski pozostawi w Banku bądź odpowiednią ilość bonów Rządu Stanów Zjednoczonych, bądź też gotowizny w dolarach. Pozatem Rząd Polski przedsięweźmie środki dla zapewnienia i nadal akuratnej opłaty kuponów następnych w terminach właściwych.

Rząd Polski baczyć będzie, aby przez czas trwania niniejszej umowy Bank miał stale w swoim depozycie obligi Rządu Polskiego względnie kwity tymcza-

sowe na sumę ogólną nie mniejszą, niż pięć miljonów (5,000.000) dolarów wartości nominalnej.

5) Rząd Polski wyda Bankowi polecenie, aby doręczał Związkowi na każde jego pisemne żądanie, obligi Rządu Polskiego lub kwity tymczasowe wartości nominalnej nie większej, jak pięć miljonów (5,000.000) dolarów, bez obowiązku natychmiastowej ich wymiany przez Związek na bony Rządu Stanów Zjednoczonych lub na gotowiznę, wszelako pod warunkiem, że Związek złoży na rzecz Rządu Polskiego takie gwarancje, jakieby Rząd Polski za wystarczające uznał. Związek zobowiązuje się zwrócić Bankowi na rachunek Rządu Polskiego, i to nie później, jak w ciągu dni piętnastu (15): albo otrzymane w powyższy sposób obligi polskie, względnie kwity tymczasowe, albo też złożyć w tym samym czasie w Banku na rachunek Rządu Polskiego bony Rządu Stanów Zjednoczonych względnie gotówkę w amerykańskich dolarach, w kwotach odpowiadających wartości nominalnej kwitów względnie obligów Rządu Polskiego, otrzymanych w sposób powyższy.

6) W nieprawdopodobnym wypadku, gdyby kurs bonów Rządu Stanów Zjednoczonych spadł o piętnaście (15) punktów poniżej kursu, notowanego w dniu dzisiejszym na giełdzie w New-Yorku, Rząd Polski będzie miał prawo zawiesić wykonywanie umowy niniejszej aż do czasu, gdy kurs bonów tych wróci do poziomu, notowanego dzisiaj na tejże giełdzie. Czas przerwy, któraby nastąpić, mogła, doliczony będzie do czasu trwania niniejszej umowy, z tem jednak zastrzeżeniem, że w żadnym wypadku umowa niniejsza nie będzie trwać dłużej, niż osiemnaście (18) miesięcy, licząc od dnia dzisiejszego.

7) Związek zobowiązuje się ponieść wszystkie wydatki, związane z wykonaniem niniejszej umowy i sam określi rodzaj i wysokość tych wydatków. Związek zapłaci z własnych funduszów, bez prawa regresu do Rządu Polskiego wszystkie wydatki związane z rysowaniem, z rytowaniem, drukowaniem i przygotowaniem rzeczonych obligów i tymczasowych kwitów Rządu Polskiego, wydatki związane bądź z wymianą, bądź też ze sprzedażą rzeczonych obligów i kwitów, zarówno jak wydatki na reklamę, prowizję, ogłoszenia, organizację sprzedaży lub roszczenia jakichkolwiek opłat federalnych, pojedyńczych Stanów albo komunalnych, któreby mogły być nałożone w Stanach Zjednoczonych na zawarcie niniejszej umowy. Związek zapłaci również Bankowi całkowite wynagrodzenie za wszystkie operacje bankierskie z wykonaniem niniejszej umowy związane i poniesie również wszelkie inne wydatki, któreby uznał za wskazane. Natomiast o ileby Rząd Polski poczynił z własnej inicjatywy jakiekolwiek wydatki dla wykonania umowy niniejszej, to za takie wydatki Związek nie ponosi żadnej odpowiedzialności.

8) Za usługi oddane i za wszystkie wydatki poniesione w związku z wykonaniem niniejszej umowy, Rząd Polski zapłaci Związkowi wynagrodzenie w sposób następujący:

Rząd Polski zobowiązuje się do dania Bankowi zlecenia, aby Bank wypłacał

Związkowi pięć (5) procent od nominalnej wartości wszystkich obligów Rządu Polskiego, wymienionych przez Związek na bony Rządu Amerykańskiego lub też sprzedanych za gotówkę w ramach umowy niniejszej. Wypłata owych pięciu procent odbywać się będzie codziennie w stosunku do sumy tranzakcyj przez Bank na zasadzie niniejszej umowy dokonywanych i uskutecznioną będzie — według wyboru Rządu Polskiego — albo w gotówce w dolarach amerykańskich, albo też w bonach Rządu Stanów Zjednoczonych wszystkich emisyj, w posiadaniu Rządu Polskiego na zasadzie niniejszej umowy pozostających i według ich kursu na giełdzie New-Yorskiej, po zamknięciu giełdy codziennie oszacowywanej.

9) W ciągu trwania niniejszej umowy t. j. w ciągu dwunastu (12) miesięcy od dnia dzisiejszego, Rząd Polski zobowiązuje się nie dokonywać na obszarze Stanów Zjednoczonych pośrednio lub bezpośrednio żadnych interesów, czy to handlowych, czy to finansowych, bez uprzedniego zawiadomienia o tem Związku i bez zaproponowania Związkowi danego interesu. Rząd Polski zawrze ze Związkiem umowy co do rzeczonych interesów, o ile Związek zaproponuje mu warunki, które Rząd Polski, po starannem zbadaniu, uzna za dobre i słuszne. W razie, gdyby co do danego interesu zgłosili się konkurenci, to Związek będzie miał prawo pierwszeństwa przed nimi, o ileby podane przezeń warunki były równe lub korzystniejsze dla Rządu Polskiego od warunków konkurentów.

10) Rząd Polski mianuje i uznaje Związek jako jedyną swoją dla wykonania niniejszej umowy finansową agencję w Stanach Zjednoczonych, przez co jednak nie zostają naruszone prawa Polskiego Ministerstwa Skarbu do mianowania w Stanach Zjednoczonych dla tychże celów swojego delegata, jak to jest przewidziane w umowie niniejszej. O ileby Rząd Polski zamierzał w ciągu trwania niniejszej umowy wymienić lub wykupić emitowane przez siebie przed dniem dzisiejszym w Stanach Zjednoczonych obligi lub też umorzyć istniejące przed tymże dniem w tychże Stanach inne zobowiązania przez siebie przyjęte, albo zamierzał wydać nowe obligi lub przyjąć nowe zobowiązania w Stanach Zjednoczonych na podstawie umów, już obecnie go obowiązujących, natenczas Rząd Polski wykona to wyłącznie za pośrednictwem Związku, wszelako pod warunkiem, że wynagrodzenie za tego rodzaju usługi będzie obliczone według najniższej skali, w Stanach Zjednoczonych za wykonywanie tego rodzaju czynności przyjętej, a przez delegata Polskiego Ministerstwa Skarbu zaaprobowanej.

11) W celu uniknięcia możliwej deprecjacji obligów Rządu Polskiego, będących przedmiotem niniejszej umowy, przez sprzedaż lub umieszczenie w Stanach Zjednoczonych innych obligów tegoż Rządu lub zobowiązań przez Rząd ten przyjętych, ustanawia się, że w ciągu trwania niniejszej umowy t. j. przez dwanaście (12) miesięcy od daty dzisiejszej, Związek będzie miał wyłączne prawo przedstawicielstwa Rządu Polskiego we wszystkich sprawach, dotyczących nietylko sprzedaży obligów, będących przedmiotem niniejszej umowy lub ich wymiany w Stanach Zjednoczonych lecz i wszelkich innych obligów, emitowanych lub mających

być emitowanymi przez Rząd Polski w Stanach Zjednoczonych względnie zobowiązań jakiegokolwiek rodzaju przez Rząd Polski tamże przyjętych, o ileby Rząd Polski uważał za wskazane i potrzebne takiej sprzedaży względnie wymiany dokonać. Rząd Polski zobowiązuje się unieważnić wszelkie upoważnienia przed dniem niniejszym wydane, a dotyczące wymiany w Stanach Zjednoczonych jakichkolwiek obligów Rządu Polskiego względnie jego bonów na bony Rządu Stanów Zjednoczonych, albo też dotyczących sprzedaży za gotówkę obligów względnie bonów dla Rządu Polskiego lub innych zobowiązań przez Rząd Polski przyjętych, z tem jednakże zastrzeżeniem, że Rząd Polski zachowuje dla siebie prawo emitowania i wydawania bonów prawnych z tytułu już obecnie istniejących kontraktów, przyczem wysokość pojedyńczych odcinków tych bonów nie powinna przewyższać sumy pięciu tysięcy (5.000) dolarów nominalnej wartości.

12) O ileby Związek doszedł do przekonania, że pomimo najlepszych jego chęci wymiana względnie sprzedaż obligów Państwa Polskiego nie da się przeprowadzić z dostatecznem powodzeniem, to będzie mógł rozwiązać umowę niniejszą za trzydziestodniowem (30-dniowem) piśmiennem wymówieniem, doręczonem Poselstwu Polskiemu w Waszyngtonie.

13) Polskie Ministerstwo Skarbu wyznaczy niezwłocznie swego delegata w Stanach Zjednoczonych, uposażonego w należyte pełnomocnictwa celem działania w imieniu Ministerstwa w sprawie wykonania niniejszej umowy, tak w stosunku do Związku, jak i do Banku. Rząd poleca Związkowi zawrzeć niezwłocznie, ściśle podług warunków niniejszej umowy i na czas nie dłuższy od jej trwania, umowę z Bankiem w przedmiocie usług, jakie Bank ma spełnić w charakterze depozytarjusza Rządu Polskiego. Związek, jak to już poprzednio zaznaczono, będzie opłacał z własnych funduszów wynagrodzenie należne Bankowi za dokonywane przez Bank czynności, zaś Rząd Polski żadnych ciężarów z tego tytułu nie poniesie.

14) Umowa niniejsza, jako podlegająca wykonaniu w Stanach Zjednoczonych Ameryki, w wypadkach spornych, interpretowaną będzie przez Sądy Stanu New-York, zgodnie z prawami tegoż Stanu. Skutkiem tego umowa spisaną została w dwóch językach, polskim i angielskim, zaś w razie sporu obowiązywać będzie tekst angielski.

15) O ileby dochody, które Rząd Polski ma otrzymywać z procentów, przypadających mu od bonów Stanów Zjednoczonych, przeszłych w jego posiadanie na podstawie umowy dzisiejszej, zostały obłożone podatkiem Rządu Stanów Zjednoczonych lub poszczególnych Stanów, i to w stopniu, któryby zdaniem Rządu Polskiego mógł wpłynąć ujemnie na wyniki operacji, przewidzianych w niniejszej umowie, wówczas Rząd Polski będzie miał prawo za trzydziestodniowem (30-stodniowem) piśmiennem wymówieniem, doręczonem Związkowi w New-Yorku, umowę niniejszą rozwiązać bez żadnego za to odszkodowania na rzecz Związku. W wypadku takim Rząd Polski zgadza się dopomóc Związkowi w drodze dy-

plomatycznej w jego staraniach, zmierzających do zabezpieczenia interesów Rządu Polskiego. Zaznacza się, iż w razie rozwiązania umowy, wskutek wspomnianego wymówienia, Związek otrzyma wynagrodzenie, zgodne z art. 8 niniejszej umowy, za wszystkie tranzakcje już dokonane, o ile takiego wynagrodzenia Związek jeszcze nie otrzymał, a również i za tranzakcje ewentualnie dokonane w przeciągu dni trzydziestu (30) od daty wspomnianego wymówienia.

16) Zaznacza się ze szczególnym naciskiem, iż Związek nie ma prawa przenoszenia praw swoich, wypływających z niniejszej umowy, ani w całości ani też w części na osoby trzecie bez piśmiennego na to zezwolenia polskiego Ministra Skarbu.

17) Umowa niniejsza będzie miała moc obowiązującą na przeciąg dwunastu (12) miesięcy od chwili jej zawarcia, z wyjątkiem wypadków przewidzianych w art. 6, 12 i 15 (szóstym, dwunastym i piętnastym). Rząd Polski i Związek postanawiają działać pod każdym względem zgodnie w celu wykonania niniejszej umowy.

18) Umowa niniejsza została przyjętą przez Rząd Polski i Związek i spisaną w czterech egzemplarzach, z których dwa w języku polskim i dwa w angielskim. Każda ze stron otrzymała po jednym egzemplarzu polskim i jednym angielskim.

Na potwierdzenie czego umowa niniejsza podpisaną została w Warszawie dnia dwudziestego siódmego (27) października tysiąc dziewięćset dziewiętnastego (1919) roku.

Przez RZĄD POLSKI, w osobie Dra Leona BILIŃSKIEGO, Ministra Skarbu i przez ZWIĄZEK: „THE PEOPLES INDUSTRIAL TRADING CORPORATION OF THE UNITED STATES", w osobie p. John C. O'LAUGHLIN, pełnomocnika Związku.

Minister Skarbu
Rzeczypospolitej Polskiej:
(—) *Biliński.*

Pełnomocnik Związku
„The Peoples Industrial Trading
Corporation of the United States":
(—) *John C. O'Laughlin.*

Artykuł dodatkowy:

Strony stwierdzają zgodnie, że przez wyraz: „Dolar w złocie", „Amerykańska złota moneta o wadze i próbie monet teraźniejszych", „Złota waluta" i „Dolar amerykański" rozumie się pieniądz, w którym Rząd Stanów Zjednoczonych wypłaca względnie w tym samym czasie wypłacać będzie procenty od pożyczek Stanów Zjednoczonych lub też sumy kapitalne tychże pożyczek.

Minister Skarbu
Rzeczypospolitej Polskiej:
(—) *Biliński.*

Pełnomocnik Związku
„The Peoples Industrial Trading
Corporation of the United States":
(—) *John C. O'Laughlin.*

Załącznik G. (do str. 291 t. II.)

List p. O'Laughlin.

PEOPLES INDUSTRIAL TRADING CORPORATION
140 NASSAU STREET NEW YORK CITY

Cable Address
Petracus
New York

March 11th, 1920.

The Honorable His Excellency, Dr. Leon Biliński, Warsaw, Poland.

My dear Excellency!

I take the liberty of writing this note directly to you for the purpose of explaining in detail the progress of events in connection with the agreement which we signed on October 27th, last. Throughout the entire negotiations. I made it my business to protect you in every possible way. I am satisfied that I succeeded in this respect. I refused to permit a number of things to be included in the agreement which might be missinterpreted. I repeatedly told Dr. Adamski that above all you must be safeguarded against criticism.

I never expected, when I had the honor of negotiating with you, that such mountains would be placed in the way of realization of money for Poland. There is not the slightest doubt that had the Legation supported us, we would have overcome the opposition of the Treasury Department. The attitude of the Legation gave an excuse for the change in the policy of the Treasury. Many things happened which I cannot tell you in this letter but which do not reflect well upon several of the men who interfered in the business. All kinds of lies were told about the agreement and I was busily engaged in Washington seeing this or that official, including Mr. Hoover, telling the exact truth and giving our understanding of the agreement. For example, the impression was given that we had a monopoly, which you know was false; that we were receiwing an exorbitant commision (yet the new agreement p r o p o s e d by the Minister fixes the same amount, merely dividing it into expenses and profit), and that you and I had deliberately conspired to throttle your country. Smulski and his friends got exceedingly busy. They made misrepresentations to Mr. Hoover which I corrected and did everything in their power to create a statement against the agreement in the Polish Press. The Corporation remained absolutely silent so far as the public was concerned, regarding it as of little moment that we should be criticized in view of the imperative necessity of preventing the creation of a situation in the United States which would prevent Poland from getting relief. Our State Depart-

ment in Washington resolutely supported the Corporation as you know. The change in the Treasury's attitude was brought about by very clever misrepresentations. The Treasury said that the agreement should be abrogated, first because the exchange would violate a policy of the Department designed to induce holders of Liberty Bonds to retain those bonds, and secondly because your purpose to borrow money on any bonds secured would lead to inflation.

I answered the first objection by pointing out that since the Liberty Bonds had been floated more than a billion dollars had been bought back by the Government; that such bonds were dealt in on the open market; that ignorant Poles were selling their bonds at as low a figure as sixtyfive; and that by the acquisition of the bonds by the Polish Government a large block would be withdrawn from the market, and the market would be curtailed to that extent.

So far as inflation was concerned, I suggested that the last selling campaign of Liberty Bonds was based on the slogan „Buy and Borrow"; that most business men in the United States were borrowing on their Liberty Bonds and that was all the Polish Government intended to do. Consequently there could be no inflation. Of course, this also conclusive but nevertheless the Department maintained its attitude. There upon, in mid-December I agreed in the interests of Poland and after investigating the chances of selling the Bonds, to make only a direkt sale. The Government assured us that we could go ahead on this basis but further intriguing occurred, and, as you know, nothing was accomplished.

When it was finally decided to start new negotiations it interested me very much to find the Legation take the language of the old agreement and use it as the base for the new agreement. It made a few changes, for instance, it asked us to abandon the fiscal agency which we were perfectly willing to do; to strike out the prohibition that no other bonds would be sold pending the execution of the contract and to substitude arbitration for the settlement of controversies rather than decisions by the courts of the State of New York. All the talk about high commission was forgotten and five points were fixed as the cost of the operation to the Polish Government. When I got back from Warsaw I told my Corporation about the conditions in Poland and it agreed to make a substantial return to the Government in case any real profit should be derived from the operation. I told you in Warsaw that we did not expect to make very much out of the loan flotation itself. We hoped to make about $1^1/_2\%$ as I informed the State Department last November, and this has been put into the contract as the amount as the maximum we shall receive.

I want you to know, Dear Excellency, that I deeply regret involving you in a political controversy when I believed we had done something which would redound to your credit. As it is, I am convinced that history will record that you and you alone did the thing for your country which you should have done. Had there not been interference with our program, Poland would have had money

by December. For example, we had arranged for an immediate purchase of some thirty-five million dollars of bonds by a group of banks and that money would hawe been transmitted certainly early in January. The distress which now prevails in Poland would heve been alleviated and raw materials would have been delivered which would have started factories going. I am sure that many of the deaths resulting from starvation would not have occurred had the contract we signed been carried out in good faith.

The market conditions in the United States are not as good as they were last December. The mud which has been flung must also be wiped from the public eye. I believe we will get some money — a substantial amount — but I feel there will not be the same success there would have been from the operation of the old agreement.

The memory of the friendship with which you honored me is very close to my heart. I shall always treasure the recollection of your kindness and consideration, of your squareness and of the way in which we conducted the negotiations which were in the interest of Poland and the Corporation as well.

I hope some day to be in Warsaw again when I can tell you in detail the whole story. In the meantine I hope you are vell, that you have not been too much troubled by the experience you have undergone and that you will be happy in the knowledge that what you did was for Poland's good.

I have the honor to be, Dear Excellency, with profund regard and respect,

Faithfully yours

J. C. O'Laughlin.

JCOL:EMH

Załącznik H. (do str. 308 t. II.)

List otwarty Dr. L. Bilińskiego do Jego Ekscelencji Dr. St. Głąbińskiego.

„Do Jego Ekscelencji
P. min. Stanisława Głąbińskiego.

Wyczytuję w „Gazecie Porannej", że W. E. ostatniej niedzieli na wiecu, urządzonym przez Związek Ludowo-Narodowy, stwierdzając, iż ja „przez swoją politykę działałem wprost na szkodę Państwa", uczynił mi w szczególności dwa zarzuty.

Moja polityka koronowa miała być „powodem najrozmaitszych brudnych spekulacyj finansowych". Ponieważ tu chodzić ma o działanie trzecich osób na podstawie mojej polityki, pozwalam sobie zapytać: jak W. E. dowiedzie, że tak było i jak ja mam dowieść, że tak nie było? Wszak W. E. wiadomo z własnych dawniejszych doświadczeń na terenie wiedeńskim, jak łatwo rzucić potwarz o związku pewnych działań jednostki z objawami targowymi i jak trudno je odeprzeć. Proszę więc nie traktować zbyt serjo nierozsądnych pogłosek o „brudnych spekulacjach"! O ile zaś chodzi o samą t. zw. politykę koronową, którą ja miałem uprawiać, to wynikła ona z faktu niezawisłego odemnie. Oto bowiem w dniu 1 listopada r. b. objawił się zupełnie niespodzianie taki brak koron, że kasy nie były w stanie wypłacać urzędnikom poborów w tych przepisanych dla Małopolski znakach. Na alarm, podniesiony w licznych telegramach, nie pozostawało nic innego, jak wypłata w markach, nie będących znów w Małopolsce znakami pieniężnemi. Stroskani urzędnicy z trudnościami zakupywali po rozmaitych cenach potrzebne im do życia korony. Ażeby zapobiec podobnym zajściom na grudzień, rozpoczęły Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa i banki małopolskie skupywać na gwałt korony, co przy istniejącym tychże braku, spowodowało stałe wzrastanie ich kursu. Przy bliższem studjum na miejscu okazało się, że w ciągu października wywieziono z Małopolski znaczne zapasy koron, tak w celach spekulacyjnych do Rumunji i Niemiec, jak i w celach kupieckich na Ukrainę. Doliczywszy do tego przechowywanie koron, zwłaszcza przez ludność wiejską, otrzymuje się niedobór znaków koronowych, których emisji się u nas nie uzupełnia. Tak to wyglądała w rzeczywistości przypisywana mnie przez W. E. „polityka koronowa". Wzrost kursu był wynikiem wywozu i przechowywania koron. Czy ja go spowodowałem lub chociażby spowodować mogłem, zechce może ocenić sprawiedliwie opinja.

Zarzuca mi powtóre W. E., że „prowadziłem wyraźną politykę germanofilską, zmierzającą do pokłócenia Polski z Ententą". Nie jest to już zarzut nieu-

uchwytny, jak tamten; przeciwnie, jest on z jednej strony zręczny i popularny, z drugiej zaś bardzo uchwytny, byle tylko udowodniono potwierdzające go fakta. Ja proszę o przytoczenie tych faktów. A tymczasem podziwiam W. E. zapał w stawianiu powyższego zarzutu. Czytałem bowiem w pamiętniku hr. Berchtolda, ministra spraw zagranicznych austro-węgierskiego: „Dnia 8 sierpnia 1914 r. był u mnie poseł Głąbiński, ażeby mi oświadczyć, że jego stronnictwo zadowoli się w razie zwycięstwa przyłączeniem Kongresówki do Związku austro-węgierskiego". To też, gdy W. E., bawiąc przez czas wojny w Wiedniu, znalazł się w kolizji z wręcz odmienną polityką swego stronnictwa, prowadzoną w zajętym przez Moskali Lwowie, W. E. raczył odemnie, jako prezesa Koła, chętnie przyjmować drobną pomoc polityczną, potrzebną wobec sfer wiedeńskich. Może W. E. przypomni sobie także wydany wtedy za moją zgodą komunikat Koła Polskiego o rozbieżności polityki W. E. z polityką przywódców lwowskich, niemniej i odpowiedź kijowską na ten komunikat.

Ale dziś zmieniły się czasy; wszyscy winniśmy wdzięczność dla Ententy, więc i ja, przejęty tem samem uczuciem, nie chcę spokojnie znosić zarzutu polityki przeciw-entenckiej. Zatem proszę W. E. o fakta, proszę o dowody! Dla ułatwienia Mu tej pracy, pozwalam sobie podać do Jego wiadomości, że jako minister, utrzymywałem z reprezentantami Ententy uprzejme stosunki osobiste i że — nie mając poza tem w moim resorcie sposobności do akcyj dyplomatycznych — stałem ze światem kupieckim Ententy w dość bliskich związkach. W Ameryce np. zaciągnąłem pożyczkę, którą moi przeciwnicy pragną teraz uśmiercić ze szkodą dla kredytu Polski; we Francji zakupiłem przybory wojskowe za setki miljonów; w Anglji byłem w toku układów o założenie Banku angielskiego dla Polski; jeszcze zaś w zeszłym tygodniu sprzedałem rządowi francuskiemu 20,000 wagonów produktów naftowych i to nie za marki polskie, lecz za franki! Nawet zniesienie niezbędnej dla naszego targu pieniężnego Centrali dewiz zarządziłem z ogromną szkodą dla tegoż targu, tylko celem dogodzenia interesom jednego z mocarstw Ententy. Więc może Ekscelencja teraz raczy przytoczyć fakta wręcz przeciwne powyższym intencjom.

A muszę tem silniej prosić o wyraźne dowody mojej dla Ententy nieprzyjaźni, ponieważ chciałbym sobie oszczędzić spełnienia bolesnego obowiązku zarzucenia oszczerstwa temu, którego kochałem jak brata, któremu przy osiąganiu docentury, profesury, godności prezesa Koła Polskiego i prezydentury wspólnej delegacji austro-węgierskiej dawałem czynną i skuteczną pomoc i któremu nawet wtedy nie wypowiedziałem przyjaźni, gdy w roku 1910 jako prezes Koła Polskiego oficjalnie mnie wyparł z urzędu austrjackiego ministra skarbu.

Z należnym W. Ekscelencji szacunkiem

Leon Biliński.

Warszawa, dnia 17 grudnia 1919 r.

Załącznik I. (do str 311 t. II.)

1. List do Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego.

Warszawa, 28 grudnia 1919 r.

Najdostojniejszy Panie Naczelniku!

Jak uważałem za obowiązek urzędu ministra skarbu, bronić tego skarbu od nieprawnych zakupów zagranicznych, dokonywanych przez b. prezesa rządu, tak mam sobie za obowiązek osobisty, bronić honoru mego publicznego przed tymże p. prezesem, który wykluczywszy mnie od udziału w Konwencie seniorów, oskarżał mnie tam o zbrodnię stanu, bo o złośliwy brak troskliwości około zaopatrzenia naszej dzielnej armji, walczącej przed frontem.

Mimo więc najczystszego pod tym względem sumienia i wiadomych Kołom powołanym czynów moich na polu zaopatrzenia armji, musiałem dla bałamuconej z umysłu opinji publicznej sporządzić o zakupach p. Paderewskiego exposé, które śmiem niniejszem przedstawić Najdostojniejszemu Panu Naczelnikowi Państwa. Nie śmiejąc trudzić Pana Naczelnika prośbą o audjencję pożegnalną, ośmielam się wyrazić nadzieję, iż elaborat mój znajdzie sprawiedliwą ocenę w oczach Najbezstronniejszego Naczelnika Państwa.

Raczy Pan Naczelnik przyjąć wyrazy należnego szacunku i najgłębszej czci mojej. *Leon Bilinski.*

2. Exposé

b. Ministra Skarbu Dr. Leona Bilińskiego o zakupach zagranicznych b. Prezesa ministrów Pana Paderewskiego z okazji wyjaśnień Pana Prezesa w Konwencie seniorów w nieobecności tegoż ministra.

Przedłożone Panu Naczelnikowi Państwa.

Obejmując z końcem lipca b. r. urząd Ministra Skarbu, zastrzegłem sobie jako warunek, przyjęcie przez wszystkich ministrów ustalonych 10 punktów, normujących ich stosunek budżetowo-skarbowy do Ministra Skarbu. Pan Prezes bardzo chętnie zgodził się na te punkty i polecił je podpisać ministrom, nie zaznaczając wcale, iż siebie od zobowiązań 10 punktów wyjmuje. Musiałem więc przypuszczać, iż Pan Prezes czuje się do ich przestrzegania zobowiązany i nie byłbym zresztą dopuścił dla niego wyjątku, ponieważ we wszystkich państwach cywilizowanych stoi Prezydent Ministrów, pod względem stosunku swego do praw Ministra Skarbu na równi ze wszystkimi innymi ministrami.

Zakupy zagraniczne Pana Prezesa oceniałem przedewszystkiem ze stano-

nowiska 10 punktów. Pan Prezes dokonał umów wstępnych lub stanowczych bez zasięgnięcia — z wyjątkiem jednego wypadku — mojej opinji i tem samem przekroczył jeden z 10 punktów. Jakżeż może Minister Skarbu innym kolegom swoim robić trudności o niewielkie czasem wydatki, jeżeli Pan Prezes nie troszczy się o jego kompetencję przy wydatkach miljardowych?

Ale zakupom Pana Prezesa sprzeciwiałem się także z innego punktu widzenia. Od chwili wskrzeszenia przez zwycięską Ententę Wielkiej Polski, stolice Ententy zostały formalnie zalane przez całe szeregi upoważnionych i nieupoważnionych pośredników, którzy zawsze imieniem Polski zakupywali na kredyt wszystkie potrzebne i niepotrzebne rzeczy i położyli podwalinę pod dzisiejszy nieszczęśliwy stan finansowy Polski, psując jej przytem gruntownie reputacją finansową u rządów zarówno, jak u świata kupieckiego na obczyźnie. Do dziś jeszcze nie można stwierdzić, ile tym sposobem powstało zobowiązań Państwa Polskiego, do dziś jeszcze nie mogłem ani ja sam, ani przy pomocy dzielnych kolegów w Komitecie Ekonomicznym Ministrów wykorzenić tej zarazy zakupna, tej manji chorobliwej, która ogarnia każdego Polaka na bruku stolic zachodnich, zwłaszcza na bruku paryskim, tego grzesznego przeświadczenia, że się służy Polsce zagranicą, zakupując rzeczy „bardzo dobre i bardzo pożyteczne". Do szeregu takich ludzi zaś ostatni chyba może i powienien należeć Prezes Rządu Polskiego, bawiący zagranicą w wielkich sprawach dyplomatycznych, decydujących o całym przyszłym losie Polski. A tymczasem Pan Prezes Paderewski nietylko sam kupował, lecz i innych ludzi nakłaniał do zakupów. Sam mi opowiadał, że pragnął skłonić w Paryżu jen. Romera, by zakupywał w stokach wojennych wszystko, co znajdzie, w nadziei odsprzedaży rzeczy niepotrzebnych z zyskiem. Jen. Romer odpowiedział na to, że takie kupna spekulacyjne nie są rzeczą generała wojsk polskich, przysłanego z ramienia Rządu. Inni, jak wspomnę niżej, dali się do podobnych spekulacyj nakłonić. Zdaniem moim nie jest rzeczą Prezesa Ministrów zajmować się zakupami. Polska już jest państwem na tyle zorganizowanem, by do zakupów zagranicą mogła delegować odpowiednich należycie umocowanych wysłańców.

O pojedyńczych zakupach pozwalam sobie wspomnieć, co następuje:

I. Tytoń.

Na krótko przed wyjazdem Pana Prezesa zagranicę, kiedy miałem zaszczyt korzystania z łaskawej pp. Paderewskich gościnności przy stole, wspomniał mi Pan Prezes, iż na wiosnę zakupił tytoniu za miljon dolarów w Paryżu, chcąc tem usłużyć Polsce. Wiadomość ta dość mocno mnie przejęła; ale nie domyślając się w niej symptomu całego systemu, jeno pojedyńczy wypadek, zaszły jeszcze przed moim urzędowaniem, przed przyjęciem 10 punktów, oświadczyłem spokojnie, z należnem uszanowaniem, iż tytoń ten przyjmiemy na monopol. Zarządziłem to też zaraz wtedy, tylko, że wykonanie mego polecenia nie mogło

do dziś dnia nastąpić, ponieważ Zarząd monopolowy jest tak obciążony wielkimi długami dewizowemi z tytułu zakupna tytoniów zagranicznych, że tylko stopniowo zdoła je spłacić, w miarę otrzymania waluty i w miarę nagłości zobowiązań. Tytoń więc będzie przyjęty.

Jeżeli jednak Pan Prezes powołuje się na potrzebę i pożytek zakupionego przezeń tytoniu i na przyszłe z niego zyski monopolu, to ja tego argumentu nie mogę przyjąć. Zakupem tytoniu nie ma się zajmować Szef Rządu, ani Minister Skarbu, ani nawet Dyrektor Monopolu, lecz tegoż specjalny ajent czy wysłannik, który dostaje dokładną instrukcję, jakie towary, w jakiej ilości i cenie ma zakupić. Pan Prezes nie zna zawartości zakupionego towaru, z wyjątkiem cyfry zawartych w pakach obok tytoniu cygaretek. Jakie one są i ile przyniosą zysku, tego nikt nie wie; natomiast bardzo dobrze wie Zarząd monopolu, że nie mając do dyspozycji fabryk tytoniu (w Królestwie ma jedną, to samo w Małopolsce, bo reszta zniszczona podczas wojny), będzie musiał sprzedawać zawarty w pakach tytoń surowy prywatnym fabrykantom pod presją ich przewagi ekonomicznej nad monopolem.

II. Tłuszcze.

Pan Prezes zapytywał telegraficznie Pana Ministra Spraw Wewnętrznych, czy potrzebujemy tłuszczu. Pan Wojciechowski odpowiedział wspólnie ze mną potakująco. I o tyle w zasadzie wszystko w porządku. Ale przeprowadzenie zakupu jest cokolwiek utrudnione. Naprzód zawarto umowę w formie tak prymitywnej, że jej dotrzymanie mogłoby łatwo być zakwestjonowane. Trudno wymagać od Prezesa Ministrów, by się na tych formach znał dokładniej. Powtóre Pan Prezes kazał cenę kupna (600.000 dolarów) pokryć poprostu ze znajdujących się rzekomo w konsulacie nowojorskim sum amerykańskich. Tymczasem sumy te znajdują się nie w konsulacie, lecz stosownie do 10 punktu, w nowojorskim „National City Bank" na koncie Polskiej Kasy Pożyczkowej i wysokością swą nie wiele przypominają sum bajońskich. Wierzytelność Polskiej Kasy Pożyczkowej wynosiła w ostatnich 6-ciu tygodniach 1,300.000·— do 1,800.000·— dolarów. Z tego domagało się poselstwo nasze na pokrycie kosztów przewozu zboża z Ameryki przekazania naprzód 2, a potem 10 miljonów dolarów. Naturalnie mogliśmy to życzenie spełnić tylko w drobnej części; a przed tem musiałem z sumy powyższej przekazać czekiem na Paryż kwotę 300.000·— dolarów (30—60 miljonów marek polskich), jako pierwszą ratę miesięczną na koszta utrzymania wojsk okupacyjnych Ententy dla rejonu plebiscytowego na Górnym Śląsku, gdyż wydatki na plebiscyty wypłacałem zawsze w całej pełni i natychmiast. Wskutek tego wszystkiego, co z natury rzeczy nie było wiadomem Panu Prezesowi jeno Ministrowi Skarbu i Bankowi państwowemu, tłuszcz istotnie bardziej potrzebny niż tytoń, nie jest podobno jeszcze dotychczas zapłacony. A jeszcze jedno. Pan Prezes kupując tłuszcz u firmy Wilsona za gotówkę,

zrewoltował tem wszystkich innych handlarzy amerykańskich, przywykłych dotychczas do sprzedaży na kredyt, tak że Ministerstwo Aprowizacji musi czynić teraz bardzo ciężkie wysiłki, aby sprowadzić stan dawniejszy. I znowu nie winien Pan Prezes, że, będąc sławnym na całym świecie dyplomatą, nie zna dość dokładnie usansów handlarzy tłuszczu w Ameryce, kiedy odnośni urzędnicy Ministerstwa Aprowizacji, acz nie znając się na dyplomacji, załatwiliby zakupno smalcu bardzo zręcznie.

III. Ubrania wojskowe.

Sprawę tę starał się Pan Prezes w swojej przemowie na konwencie senjorów przedstawić w świetle swojej troski około zaopatrzenia armji i tem samem wzbudzić u słuchaczy wrażenie, iż mnie zbywało na tej trosce. Dlatego muszę rzecz rozwinąć cokolwiek obszerniej.

Zaopatrywaniem armji we wszelkie przybory zajmował się zapewne od samego początku jen. Romer, delegowany przez Ministerstwo Spraw Wojskowych do Paryża. W chwili objęcia Ministerstwa Skarbu przezemnie zakupy jenerała wyniosły w markach około 1,3 miljarda, z czego drobna część musiała być zlikwidowana gotówką przezemnie. Zdawało się na razie, że tem samem misja jenerała Romera była na ukończeniu; stanęła temu na przeszkodzie wzrastająca potrzeba zaopatrywania armji w okrycie. Na konferencji odbytej u Pana Naczelnika Państwa wczesną jesienią, zostało stwierdzone przy gorliwym współudziale samego Pana Naczelnika, iż cały zapas płaszczów, mundurów i t. d. jednem słowem „kompletów", powinien wynosić pewną minimalną ilość sztuk. Wówczas było ich zaledwie 400.000, więc należało przystąpić do dalszych zakupów.

1) W tym celu, a także do nabywania innych potrzebnych przyborów, Ministerstwo Spraw Wojskowych wysłało do Paryża ponownie jen. Romera, któremu ja wystawiłem list kredytowy na 75 miljonów franków. Po niedługim czasie jen. Romer powrócił z Paryża, a zjawiwszy się w Komitecie Ekonomicznym Ministrów, złożył sprawozdanie, że Rząd francuski odmawia raptem kredytu na transport zakupionych towarów, że i on sam może zakupić łatwo komplety dla wojska, że poza tem leżą gdzieś ogromne zapasy zakupionego przez Rząd Polski już dawniej owsa, zagrożonego zgnilizną, że po stacjach leżą wystawione na kradzież i plądrowanie nieskończone składy towarów zdrowotnych, zakupionych swego czasu za nieznane do dziś dnia sumy (mówi się 5 miljonów franków) przez Pana Prezesa wskutek informacyjnej podróży Pana Ministra Zdrowia — nieszczęśliwa zaiste ta Polska: 110 wagonów niewypakowanych towarów zdrowotnych stoją do dziś dnia od wiosny na dworcach — i że on jenerał zawiezie to wszystko do kraju, jeżeli otrzyma na transport przez Szwajcarję gotówkę 2—3 miljonów franków. Jakkolwiek już wówczas było prawie niepodobna wydobyć franki, kazałem wręczyć jenerałowi 2 miljony franków. Z temi frankami w kieszeni przybył on

na parę godzin przed swym ponownym wyjazdem, do mego mieszkania w towarzystwie Ministra Skrzyńskiego, p. jen. Sosnowskiego i szefa Sztabu Generalnego, pułk. Hallera, na którego to telegramy powołuje się Pan Prezes. Panowie ci przedstawili mi konieczność zaopatrzenia jen. Romera w dalszą gotówkę, ażeby mógł, jak twierdził, zakupić za nią komplety wojskowe prawie po czwartej części ceny kredytowej t. z. ażeby mógł za tę gotówkę kupić cztery razy tyle mundurów, jak na kredyt. Brak dewiz był już wtedy straszny, telefonowałem kilkakrotnie do Sekcji Kredytowej, musiałem formalnie staczać z nią walki. W końcu rozkazałem poprostu, by p. Romerowi dostarczono jeszcze 11 miljonów franków gotówką, a to: 5 miljonów za tydzień, a po 2 miljony za każdym z dalszych trzech tygodni. Goście moi opuścili mnie uszczęśliwieni: franki naturalnie dostarczono.

2) Niezależnie od misji Romera zakontraktowało Ministerstwo Spraw Wojskowych mundury i płaszcze w Wiedniu za 220 miljonów koron austrjackich, niemniej w Berlinie za 150 milj. marek niemieckich; ja z mej strony wysłałem na żądanie Komisji zakupującej 9 milj. marek niemieckich do Berlina. O ile towary powyższe zrealizowano, nie jest mi wiadome.

3) Pewnego dnia po posiedzeniu Rady Ministrów wręczył mi Minister Leśniowski kartkę z nazwiskiem angielskiego dostawcy mundurów; na drugi dzień zacytowałem tego pana i posłałem go do Ministra Spraw Wojskowych, gdzie ułożono warunki kupna. Gdy sprawa nie została załatwioną ostatecznie dla braku adresu kupców, prosiłem posła angielskiego o przysłanie mi ich: na drugi dzień przyjąłem Anglików u siebie i kontrakt o dostarczenie nieznanej mi ilości mundurów został zawarty w Ministerstwie Spraw Wojskowych.

Dopiero po powrocie Pana Prezesa dowiedziałem się od niego, że odnośna firma jest tylko pośredniczką, a nie właściwym dostawcą. Nasz poseł londyński ks. Sapieha wyraził się później w telegramach ujemnie o tej firmie, jak równocześnie o firmie Gibsona, z którą Pan Prezes zawarł był umowę wstępną, a potem sam ks. Sapieha ostateczną.

4) Ministerstwo Spraw Wojskowych każe także w kraju sporządzić przez Główny Urząd Zaopatrywania Armji mundury z wyrobów krajowych. Komitet Ekonomiczny Ministrów wielekrotnie nalegał na przyśpieszenie tych prac. Wciąż dochodziły nas skargi od fabrykantów sukna z Bielska i od Państw. Urz. Zakupu Art. pierw. potrzeby, jako przedstawiciela firm łódzkich, że GUZA nie odbiera na czas półfabrykatu. Gdy w Łodzi zaległo tym sposobem towaru na miljon franków, zawezwałem na Komitet reprezentanta GUZY, poczem na mój wniosek uchwalono wezwać GUZĘ bardzo energicznie do najszybszego odbioru półfabrykatu i wyrobu mundurów.

5) Sukno na mundury zakupowaliśmy zresztą także zagranicą. Nawet przedstawiciel Ministra Skarbu dla Ameryki, Dr. Adamski, który miał pełnomocnictwo współdziałania przy zakupach tylko w Ameryce, zakupił jednak w Paryżu — jak

mi opowiadano — z polecenia Pana Prezesa, czy w jego imieniu, z polecenia ks. Lubomirskiego, ze stoków amerykańskich za 5,4 miljonów dolarów, w czem głównie się znajdowało znakomite sukno mundurowe. Przed tem zaś, już również na cele wojskowe wydał mój zastępca Ryfiński 6,3 milj. dolarów, razem 12 miljonów dolarów tytułem zakupów wojennych na rachunek misji amerykańskiej.

6) Na wniosek Ministra Skrzyńskiego zakupiliśmy dla wojska na targu warszawskim futra za 3 miljony rub. i buty za 4 milj. koron. Jedno i drugie wyasygnowałem gotówką; zakupem zajmował się dobrowolnie ks. Zdzisław Lubomirski. Równocześnie kazałem znowu na wniosek Ministra Skrzyńskiego zabezpieczyć pół miljona sztuk pomarańczy na gwiazdkę dla żołnierzy przed frontem.

7) Za nim jeszcze przyszły jakieś wiadomości od jen. Romera co do zakupu i transportu za gotówkę, — a oczekiwaliśmy ich bardzo gorąco i z tego to właśnie czasu dochodziły Pana Paderewskiego alarmujące telegramy — pojawił się na posiedzeniu Komitetu Ekonomicznego Ministrów p. Wiceminister Sosnkowski z pułk. Hallerem i z całym sztabem oficerów, ażeby przedstawić nowy sposób zaopatrzenia armji w mundury. Pan Wiceminister wdrożył był z upoważnienia Pana Naczelnika Państwa korespondencję z Rządem francuskim, poczem Rada Najwyższa poleciła sprzedać Polsce okrycie dla wojska za cenę 75 milj. franków. Marszałek Foch zaś rozkazał ze swej strony ładować towary natychmiast. Z licznych cyfr wywodów p. Wiceministra zdawało się wynikać, że mieliśmy dostać kompletów w liczbie około pół miljona, bo z doliczeniem stanu posiadania doszliśmy byli już niezbyt daleko do pożądanej minimalnej sumy kompletów. Niespodziewany wydatek 75 miljonów franków był mi oczywiście na razie nieprzyjemny, ale na drugi dzień odbyła się u mnie konferencja z przedstawicielem Ministerstwa Spraw Wojskowych, w której przyznałem nowego kredytu w całości 75 miljonów franków, na razie 40 miljonów franków, na zakupno gotowego już towaru od Rządu francuskiego. Na trzeci dzień odjechał do Paryża kurjer z poleceniem do jen. Romera, któremu z dawniejszego kredytu 75 milj. franków skreślono przy tej sposobności część, przeznaczoną na mundury, a pozostawiono resztę na inne potrzeby wojska. Pan Wiceminister Sosnkowski wyraził mi osobiście podziękowanie za troskliwość około armji.

8) Niewiele dni po tej sesji powrócił do Polski Pan Prezes Ministrów, a dowiedziawszy się, że jestem niezdrów w domu, wezwał p. Wiceministra Byrkę, by mu dać polecenie sfinansowania zakupna 75 tysięcy płaszczy u firmy Gibson. Nim jeszcze, wyzdrowiawszy, mogłem przybyć do biura, Sekcja Kredytowa zaczęła biadać nad trudnościami sfinansowania zwłaszcza, że sekretarze Pana Prezesa niezbyt jasne dawali wskazówki. W pierwszej chwili byłby interes prędko może przyszedł do skutku; potrzeba było tylko dać zadatek gotówką 50 tysięcy funt. sterl., których atoli absolutnie nie było i niema, ponieważ zaś Pan Prezes sam był w Londynie zaliczył od siebie 15 tysięcy funt. sterl., przeto Sekcja kre-

dytowa M. Sk. ofiarowała na zakupno reszty funt. sterl. odpowiednią sumę (około $1^1/_2$ milj.) w rublach. Ale rubli nie przyjęto ze strony czy to sekretarjatu, czy też firmy i rzecz utknęła. Tymczasem u mnie powstały prócz zasadniczego zarzutu 10 punktów (dekalog), dwa skrupuły merytoryczne. Najpierw zakupiliśmy mundury już przedtem nietylko w Anglji, lecz kolosalny zapas we Francji, wobec którego zanikał zapas 75 tysięcy płaszczy angielskich. To osobiście przedstawiłem zaraz Panu Prezesowi, gdy go zobaczyłem. Powtóre dowiedziałem się dopiero później o warunkach zakupna; 50 tysięcy funt. sterl. zadatku, co było fizycznie niemożebne, dalej bony 8-io %; spłata w trzech ratach rocznych, zabezpieczonych (po za bonami) tratami Ministra Skarbu, żyrowanemi przez P. K. K. P. i jeszcze raz zabezpieczonych depozytem w banknotach polskich na sumę dłużną plus 15%.

Takie warunki, z trudnością zresztą skonstruowane z luźnych telegramów, uwłaczały moim zdaniem honorowi Państwa Polskiego, odmówiłem więc sfinalizowania interesu. Ale tymczasem zaszły dwie nowe okoliczności. Nadszedł telegram od ks. Sapiehy, iż kontrakt został podpisany i grozi nam proces; z drugiej strony zaś transporty z Francji dochodziły wbrew nakazowi marszałka Focha bardzo powoli. Odwiedził mnie z tego ostatniego tytułu p. gen. Sosnowski, uproszony przez Pana Prezesa i zalecił zrobienie interesu. Przyrzekłem pod warunkiem, że Pan Prezes napisze mi list, iż nie będzie więcej robił zakupów. Pan jen. obiecał mi to wyjednać. Gdy list nie nadchodził, a ja przy sposobności innych zakupów powiedziałem p. Skrzyńskiemu w gniewie, iż z Gibsonem interesów robić nie będziemy, zgłosił się ponownie jen. Sosnkowski, którego zapewniłem, że dotrzymam raz danego słowa, bylem list dostał. Ponadto Pan Prezes oświadczył mi gotowość zaliczenia Skarbowi brakującej reszty 35 tysięcy funt. sterl., co przyjąłem z wdzięcznością, dodając dosłownie: „Skarb zabezpieczy Pana Prezesa od straty" (wersja przeciwna Pana Prezesa jest absolutnie błędna). Toż zaraz już tego samego dnia na Radzie Ministrów na zapytanie Pana Prezesa zapewniłem go, iż interes zrobię i prosiłem go, by w tym duchu telegrafował do Londynu. I przy słowie swoim pozostałem. Gdy mianowicie list od Pana Paderewskiego nie nadchodził, kazałem sporządzić akt, napisałem votum w powyższym duchu i wydałem Sekcji polecenie sfinalizowania interesu z Gibsonem. Wysłanemu zaś do mnie w dniu przed moją dymisją adjutantowi Pana Naczelnika Państwa odpowiedziałem zgodnie z prawdą, iż wydałem już przed tem polecenie sfinalizowania. Interes będzie przeto w najbliższym czasie zrobiony. Z powyższych wywodów okazuje się, sądzę dla każdego bezstronnego, że jako Minister Skarbu, nietylko nie zaniedbywałem armji, lecz przeciwnie otaczałem ją troskliwością, należną jej zasługom około przyszłości Polski.

IV. Tabor kolejowy.

W kilka dni po powrocie swoim odwiedził mnie Pan Paderewski w biurze i dał mi do przeczytania telegram ks. Sapiehy, według którego Rząd angielski

ofiaruje nam kredyt na 3 milj. funt. sterl., na zakupno ze stoków wyszczególnionej masy bielizny i szeregu wagonów kolejowych z lokomotywami. Uderzył mnie w telegramie najpierw warunek kredytu: na spłatę kredytu miały być użyte 80% sum, które się będą w przyszłości należały producentom polskim za sprzedanie do Anglji towarów. Warunek taki nie jest upokarzający jak poprzedni, ale byłby wobec praw prywatnych naszych obywateli niewykonalny. Ponieważ bieliznę mieliśmy dostać w kompletach francuskich, a lokomotywy angielskie są według wiadomości pana Ministra kolei dla szyn naszych za ciężkie i musiałyby nadto być ze względu na zbyt małe budki długo przerabiane, ponieważ zresztą 150 parowozów, zakupionych już po cenach horendalnych w Ameryce, mają być wraz ze zbożem wkrótce przywiezione, byłem zmuszony odmówić Panu Prezesowi. Ofiarowany kredyt ma być jego zdaniem dowodem przyjaźni Lloyd Georga dla nas, ale ponad ten dowód przyjaźni wolałbym korzystne załatwienie sprawy galicyjskiej. Po mojej odmowie spytał mnie Pan Prezes (a nie ja jego), co bym zrobił, gdyby on za ten kredyt kazał sprowadzić mąkę, na co odpowiedziałem, że na taki cel skorzystałbym z kredytu acz w innej formie. Na drugi dzień zaprosiłem sobie p. Ministra Skrzyńskiego i Sobańskiego i wysłałem do Londynu telegram o nadesłanie nam na powyższy kredyt w formie zmienionej 5 statków naładowanych zbożem i mąką. Na to otrzymaliśmy od ks. Sapiehy odpowiedź telegraficzną, że Anglja zboża nie sprzedaje.

W kilka dni potem wrócił z Londynu wysłany z polecenia Pana Prezesa dla obejrzenia taboru pułk. amerykański Barber, z którym wespół z Ministrem kolei odbyłem konferencję. Ponieważ pułk. rozprószył nasze obawy co do ciężaru parowozów, oświadczyłem na konferencji, że zaraz przystąpię do kupna, byle mi tylko Pan Minister kolei nadesłał cyfry o ilości maszyn i wozów, nie — mniej o ich cenie. Ale na drugi dzień rano zgłosił się u mnie wybitny poseł sejmowy, którego nazwisko mogę w zaufaniu wymienić Panu Marszałkowi. Poseł powiedział mi, że w Sejmie są zaniepokojeni wiadomością, że ja daję sobie od Pana Prezesa narzucać kupno taboru w Anglji — zwłaszcza, że powszechnie głoszą w Sejmie, iż za kupno to ma być zapłacona na rzecz kogoś z Polaków — nazwiskiem jego nigdy się nie interesowałem i nigdy go nie wymieniałem — wielka rzekomo, 10% prowizja. Rzecz ta dała mi wiele do myślenia. Cena jednej maszyny miała wynosić 8.400·— funt. sterl. t. j. jeszcze wtedy 1 miljon marek, dziś zaś 4 milj., a miało ich być zwyż 150, prócz tego pareset wozów; wydatek więc niezbyt daleko miljarda, a od tego 10% prowizji dałoby 100·— miljonów, lub choćby tylko połowę. Tego nie mogłem Panu Prezesowi zataić. Udałem się przeto zaraz do Sejmu, żeby Panu Paderewskiemu oświadczyć, że interes chcę bezwarunkowo zrobić, że jednak zaszła przeszkoda powyższa, że mógłbym w razie nieostrożności narazić się na ciężkie zarzuty, że zatem byłoby może najlepiej, spowodować w Sejmie wybór Komisji śledczej, której badania oczywiście wypadną pomyślnie, poczem zaraz będzie można przystąpić do zakupu. Pan Prezes

zgodził się natychmiast na wybór Komisji, gdy jednak wieczorem doniósł mi Minister kolei, iż Pan Prezes ma w tym względzie skrupuły, poszedłem na drugi dzień znowu do Sejmu, by Panu Paderewskiemu oświadczyć, że mi wystarczy list jego, w którym mnie zapewni, że według jego przekonania nikt nie mógłby w tym zakupie pobierać prowizji. I na to zgodził się Pan Prezes, ponieważ atoli i tego znowu nie dotrzymał, nie pozostawało mi nic innego, jak ponownie kazać sporządzić drugi akt, opisać wszystko we votum i wydać znowu Sekcji polecenie zakupu taboru. Na zmianę formy kredytu zgodzi się zdaniem pułk. Barbera Rząd angielski bez trudności.

V. Pożyczka francuska.

Za swego pobytu w Paryżu kazał Pan Prezes tentować zaciągnięcie pożyczki 100 milj. franków. Na szczęście przestrzeżono odnośne koła finansowe, że za tem nie stoi Minister Skarbu. Ale zastępca Ministra Skarbu p. Stefan Markowski nie mógł naturalnie przypuścić, żeby Pan Prezes Ministrów działał bez porozumienia ze mną. Wystosował więc do mnie obszerne sprawozdanie, w którem się tłomaczy, że taniej niż na 8% nie zdoła otrzymać pożyczki, i że nadto Rząd francuski nie pozwala wydać obligów Państwa Polskiego, tylko żąda zamaskowania pożyczki pod obligacjami bankowemi. Odpowiedziałem natychmiast telegraficznie, że pożyczki nie potrzebujemy. Ale czy to dobrze w ten sposób kompromitować Polskę na targach francuskich? I to w chwili, gdy nam pożyczki zagranicznej do takiej wysokości niewielkiej nie potrzeba, i gdy każde dziecko wie dobrze, że Francja sama znajduje się w kłopotach i sama poszukuje dla siebie pożyczki zagranicznej.

VI. Płaca p. Szumana.

W czasie swego pobytu w Paryżu kazał Pan Prezes ks. Lubomirskiemu zawrzeć w jego imieniu 3-ch letni kontrakt z Szumanem i dwoma jego pomocnikami, jako doradcami Pana Prezesa. Płaca miesięczna p. Szumana wynosi 1.200 — dolarów czyli rocznie 14 tysięcy czterysta dolarów t. j. wówczas 750 tysięcy marek polskich, dziś dwa razy tyle. Płace pomocników wynoszą trochę mniej. Koszta te mają być ponoszone znowu przez konsulat nowojorski, jakkolwiek konsulat musi gotówkę przekazywać Polskiej Kasie Pożyczkowej. W gruncie rzeczy musi to na każdy sposób płacić Polska: samemu p. Szumanowi w ciągu 3-ch lat razem przeszło dwa miljony, dziś w dwójnasób tyle. A o tem wszystkiem dowiaduje się o wiele później postronnie, ten sam Minister Skarbu, który każdemu z kolegów ma prawo odmówić przyzwolenia na obsadzenie posady extra statum, nie wyższej może, jak 3 tysiące marek rocznie.

Miałem więc może słuszne powody żalu do Pana Paderewskiego, gdy wkraczał w atrybucje moje, ale widocznie będę musiał mieć jeszcze żal do niego za rady, udzielane mi w granicach swej władzy.

VII. Pożyczka amerykańska.

Bo oto Pan Prezes polecił mi listem z Paryża amerykanów pp. O'Laughleina Patchina z radą, by o ile możności zawrzeć z nimi umowę bezwłocznie i to na podstawie dołączonego do listu telegramu Wiceprezydenta National City Bank, słynnego p. Mac Robertsa i proponowanych w tym telegramie warunków. Jakkolwiek obniżyłem i zmieniłem wszystkie te warunki na korzyść Skarbu Polskiego i zawarłem umowę coprawda nie bezwłocznie, lecz po wielu dniach ciężkiej pracy Pan Prezes dziwi się mojemu pośpiechowi i znajduje umowę „fatalną" zapewne z powodu punktu 9-ej umowy, który rzekomo zawiera „monopol". A oto jego brzmienie:

„W ciągu trwania niniejszej umowy t. j. w ciągu 12-tu (dwanaście) miesięcy od dnia dzisiejszego Rząd Polski zobowiązuje się nie dokonywać na obszarze Stanów Zjednoczonych pośrednio i bezpośrednich żadnych interesów, czy to handlowych, czy finansowych bez uprzedniego zawiadomienia o tem Związku i bez zaproponowania Związkowi danego interesu. Rząd Polski zawrze ze Związkiem umowę co do rzeczonych interesów, o ile Związek zaproponuje mu warunki, które Rząd Polski po starannem zbadaniu uzna za dobre i słuszne. W razie, gdyby co do danego interesu zgłosili się konkurenci, to Związek będzie miał prawo pierwszeństwa przed nimi, o ile by podane przezeń warunki były równe lub korzystniejsze dla Rządu Polskiego od warunków konkurentów".

Każdy bezstronny musi przyznać, że to jest przeciwieństwo monopolu, to silny środek, zabezpieczający Polskę od monopolu. A przecież z otoczenia Pana Prezesa, zaraz po jego powrocie oświadczono otwarcie, że ten „monopol" musi być usunięty. Towarzystwo więc Rockefellera, utworzone przez pierwszorzędny National City Bank przed kilku miesiącami ad hoc dla pożyczki polskiej, popierane najgoręcej z polecenia p. Lansinga przez posła amerykańskiego i przez nasze wszechstronnie poinformowane Ministerstwo Spraw Zagranicznych, ma być z trwałą szkodą dla kredytu Polski i dla jej stosunków z Ameryką ubite, byle przeprowadzić dowód, iż umowa była niekorzystna dla Polski, iż lepszy byłby układ z p. Smulskim z Chicago, iż każdemu spekulantowi należy wydać Polskę na łup w Ameryce.

List Pana Prezesa i dołączony doń telegram brzmią jak następuje:

Président du
CONSEIL DES MINISTERS
de Pologne

Secrétariat Particulier

Paris, le 1 Octobre 1919.

Mon cher Ministre!

Je recommande à votre bienveillance Messieurs John Gallan O'Laughlin et Philippe Patchin, représentants spéciaux de la „Peoples Industrial Trading Corporation des Etats Unis".

Ces Messieurs m'ont présent un projet financier pour la Pologne, qui me parait trés interessant. Je vous prie de bien vouloir faciliter la mission de Messieurs O'Laughlin et Patchin, et de soumettre leur projet à l'etude, en vue de pouvoir, au cas écheuant, en profiter sans delai, ajoute que la Nation. City Bank de Nev-York m'assure de la responsabilité financiére de la Société Industrielle et Comerciale, que ces Messieurs réprésent.

Veuillez agréer, Mon cher Ministre, l'assurance de mes sentiments les meilleurs.

(—) *I. J. Paderewski.*

Son Excellence Monsieur
LEON BILIŃSKI
Ministre des Finances
Varsovie.

Telegram dołączony do listu.

„Nev-York, 1 października 1919 r.

Pańską depeszę kablową otrzymałem. Sądzę, że plan Korporacji Przemysłowo-Handlowej Ludów jest całkowicie wykonalny, pod warunkiem, że warunki wymiany i charakter polskich obligacyj są umiarkowane i sprawiedliwe dla posiadaczy Obligacyj Wolnościowych (Liberty Bonds). Polskie obligacje powinny być dziesięcioletnie na 7%, a procenty dwuletnie powinny być odłożone na bok z dochodów polskich obligacyj w celu wymienienia ich na Obligacje Wolnościowe al pari; lub w celu sprzedaży za gotówkę po cenie targowej Obligacyj Wolnościowych. Należałoby przedsięwziąć pewne kroki dla ochrony (protection) polskiego kredytu przez zaopatrzenie targów obligacjami po ich wydaniu. W tym celu proponuję, aby od 5 do 10% zysku były użyte dla celów handlowych, aby w ten sposób utrzymać targ w umiarkowanych granicach i przy niezbyt wielkich kosztach dla Polskiego Rządu. Fundusz ten może być administrowany przez Korporację Handlową Ludów. Korporacja Przemysłowo-Handlowa Ludów jest nową organizacją, utworzoną przez ludzi, należących do pierwszorzędnej klasy i o wysokich zdolnościach finansowych. Przez to korporacja może rozporządzać bardzo rozgałęzioną podporą. Ja sądzę, że mają oni zdolności, by osiągnąć rezultaty, a Pan może budować na ich uczciwość: miara powodzenia zależałaby od stanowiska, jakieby zajęli Polacy tego kraju względem ich narodowych Obligacyj, stanowiska, co do którego doszły korzystne wiadomości do Korporacji. Jeżeli Korporacja Przemysłowo-Handlowa Ludów przeprowadzi tę propozycję, ten bank jest skłonny działać jako Wasz i ich depozytarjusz.

Samuel Mc. Roberts, Wiceprezydent
National City Bank".

Warszawa, 28 grudnia 1919 r.

Dr. Leon Biliński.

3. List ministra skarbu Grabskiego.

Czcigodny Panie.

List jaki od Pana przed świętami otrzymałem, wzruszył mnie bardzo i cenię go sobie wysoko. Na podziękę żadną nie zasłużyłem, bo mówiłem tylko to, co mnie sumienie dyktowało. *)

Jeżeli życzeniom Czcigodnego Pana powodzenia dla Polski w ministerstwie Skarbu stanie się zadość, będzie to w znacznym stopniu wynikiem pracy Pana jako mego poprzednika.

Serdecznie za te życzenia dziękuję, i życzę nawzajem, by chmury zawiści ludzkiej się rozproszyły i by Czcigodny Pan miał tę wdzięczność i uznanie na jakie Sobie tak wybitnie zasłużył.

Pozostaję z najwyższym szacunkiem

28/XII 1919. *Wł. Grabski.*

4. List Andrzeja Niemojewskiego.

Warszawa, 19. XI. 1919. Wilcza Nr. 35.

Wasza Ekscelencjo!

Pozwalam sobie złożyć podziękowanie Waszej Ekscelencji za list z dnia 15 listopada wraz z odpisem listu Dyrekcji Polskiej Krajowej Kasy pożyczkowej w sprawie przyjmowania złota.

Uważając, że rzecz jest załatwiona, nie będę jej poruszał w mojej Myśli Niepodległej.

Prosiłbym tylko Waszą Ekscelencję albo o polecenie zwrotu listu p. Dyakowskiego, albo o polecenie dania mi adresu w liście tym zanotowanego, abym mógł mu prywatnie donieść o pomyślnym wyniku

Życzę Waszej Ekscelencji najserdeczniejszej owocnej pracy i wyrażam nadzieję, że każdy światły patrjota oceni należycie pracę Waszej Ekscelencji i usługi oddane Ojczyźnie.

Pełen szacunku i poważania

Andrzej Niemojewski.

5. Los drugiego fachowca.

(Artykuł wstępny „Nowej Reformy" z dnia 1. IV. 1921 r.)

Kraków, 31 marca.

W szeregu dotychczasowych ministrów skarbu polskiego Dr Steczkowski jest najbardziej podobny do Dra Bilińskiego i to pod dwoma względami: pod względem kwalifikacyj i pod względem losu, jaki ich spotkał.

*) Grabski jako następca Bilińskiego w Min. Skarbu bronił go w Sejmie przed nieuzasadnionemi zarzutami. (Przyp. wydawcy).

Kiedy przed blisko dwoma laty rozeszła się senzacyjna wieść o powołaniu Dra Bilińskiego z Wiednia do Warszawy, wszyscy odetchnęli. Nawet ci, dla których Dr Biliński był wcieleniem nieudolności i niepatrjotycznej polityki, opartej na współdziałaniu z monarchją austro-węgierską. Dla ludzi mądrzejszych było jasnem, że Dr Biliński miał właśnie powody smucić się bardziej tem nagłem uznaniem, niż ową partyjną anatemą, jaką go bezpośrednio przed tem okładano. Bo jeżeli ta anatema dowodziła tylko, że w społeczeństwie polskiem gra namiętności była znacznie intensywniejszą, niż gra jasnych myśli, to owo nagłe uznanie płynęło ze źródła polityczno-ekonomicznej ignorancji, która mogła uwierzyć, że istnieje w dziedzinie finansów jakikolwiek fachowiec, umiejący rozwiązywać kwadratury koła, lub zapełniać skarb państwa, kiedy rząd prowadzi wojny i kiedy równocześnie obywatele w ogromnej swojej większości redukują pracę wytwórczą, i kwestję świadczeń swoich na rzecz państwa starają się utrzymać jak najdłużej w mistycznym półcieniu.

Kiedy Dr Biliński obejmował ster finansów w państwie i kiedy jak nowy Mojżesz ogłaszał swoje słynne dziesięć przykazań, które obcych musiały zdumieć nie swoją prostą treścią, ale tem, że na tak wielkiej połaci środkowej Europy mogła ta treść stanowić jeszcze jakąś nowość, marka polska była jeszcze bardzo wielką panią. Wszystkiego sto trzydzieści takich marek potrzeba było zapłacić za dolara. A za marne jakieś trzy czy cztery sztuki tego pieniądza dostawało się z łatwością markę niemiecką. Mimo to wszyscy czuli, że „tak dalej być nie może" i cieszyli się z przyjścia Mesjasza. Jedni czynili to dobrodusznie i serdecznie, drudzy syczeli swoje „hosanna" przez zaciśnięte i zgrzytające zęby.

Minęło kilka miesięcy. Mesjasz nie okazał się cudotwórcą. Jego stukanie w litą skałę rodzimych cnót obywatelskich nie dawało w rezultacie wytrysku nowych pieniędzy. Dr Biliński stał się najbardziej znienawidzoną osobistością w Warszawie. Siedział samotny w swojem mieszkaniu przy ulicy Kredytowej i snuł smętne myśli na temat, że człowiek do końca życia się uczy. Dopiero bowiem teraz dowiedział się, że w polityce można, pod niektóremi szerokościami geograficznemi, walczyć nietylko słowem, nietylko argumentem, lecz że można także żywcem — skalpować... Ostatecznie staruszek przesadził nieco w swym pesymizmie, zostawiono go bowiem w spokoju, a tylko zarekwirowano mu mieszkanie. A że to stało się w dniu, w którym odbył się pogrzeb ś. p. żony Dra Bilińskiego, więc było to tylko wyrazem sprężystości wykonawczych władz warszawskich...

Po Drze Bilińskim postanowiono wrócić do rodzimej mądrości finansowej. Zdaniem wielu była ona i jest o wiele pewniejsza, niż jakaś tam „obca", nie nasza, skompromitowana profesurą finansowości na uniwersytecie i doświadczeniem w administracji wielkim skarbem państwowym i wielkim bankiem emisyjnym.

Kiedy jednak Dr Grabski doprowadził markę do stanu, w którym dolar kosztował już 500 marek, wtedy znowu spostrzeżono, że „tak dalej być nie może" i zaczęto ponownie szukać — fachowca. Znalazł się w osobie Dra Stecz-

kowskiego. I znowu wszyscy ucichli i zaczęli pilnie nadsłuchiwać tego szumu, z jakim marka polska zacznie od jednego hokus pokus nowego ministra podnosić się i lecieć w górę. Byli nawet tacy, co już w dwa dni po objęciu urzędu przez Dra Steczkowskiego stwierdzali podniesienie się marki polskiej o jednę czternastą część jednego punktu... Jak na początek to wcale dobrze — mówili zacierając ręce...

Ale znowu upływały miesiące, szum rozlegał się wprawdzie, lecz nie od marki szybującej coraz wyżej w sfery wartości, ale od maszyn drukarskich, które wypuszczały coraz szybciej nowe edycje tych obrazków. Dr Steczkowski wznowił tylko dekalog Bilińskiego i nakazał mu milczenie. I potem właśnie poznać było rzeczywiście fachowca. Bo tylko niefachowiec w rodzaju Dra Grabskiego, mógł prawić o finansach państwa wszerz i w poprzek, nie chcąc zrozumieć tego, że dopóki państwo nie skonsoliduje się wewnętrznie, dopóki nie ustalą się w nim stosunki sił rządzących, dopóki nie wykrystalizuje się jakaś zdrowa myśl polityczna, zasługująca wogóle na to miano, jednem słowem, dopóki trwać będzie chaos, dopóty tylko niebezpieczny dyletant może łudzić siebie i drugich możnością uporządkowania stosunków finansowych i walutowych w państwie.

Ale z drugiej strony milczenie Dra Steczkowskiego, jakkolwiek niewątpliwie wytrawne, zaczęło budzić coraz większe niezadowolenie. Już od dość dawna słychać było po kątach różne sarkania. Jedni są niezadowoleni, że nie dość radykalnie zmienił system poprzednika, że przedewszystkiem pozostawił niezmienioną obsadę wyższych stanowisk w ministerstwie skarbu, drudzy czynią mu wyrzuty, że nie ściąga podatków, inni wreszcie, że ściąga je zbyt gwałtownie i bezwzględnie...

Ale gdy do wczoraj wszystko to stanowiło tylko przedmiot cichych rozmów między przyjaciółmi, to wczoraj stało się coś, co jest już objawem politycznym i zapowiedzią przesilenia w ministerstwie skarbu zupełnie niedwuznaczną. Oto krakowski organ prezydenta ministrów zaatakował Dra Steczkowskiego bardzo ostro o to, że udaremnia przeprowadzenie reformy agrarnej, opóźniając sfinansowanie Banku rolnego. Jeżeli w ten sposób prezydent ministrów atakuje swego własnego ministra skarbu, jest to nietylko nowością polityczno-obyczajową, jedną z tych, do których potrzeba się dopiero przyzwyczajać i to z trudnością, ale jest także objawem wielkich zbliżających się przesileń i rozstrzygnięć nietyle finansowych, ile politycznych. Oznacza to zbliżanie się ciężkiej kampanji wyborczej do Sejmu i Senatu. Oznacza jednak także, że zamiast zbliżać się do ideału obywatelskiego traktowania spraw skarbu państwa, oddalamy się od niego coraz bardziej. Wszystko to jednak są problemy tak ważne, że omówienie ich dokładniejsze potrzeba odłożyć do innego artykułu.

Tu wypada stwierdzić tylko, że oto drugi fachowiec finansowy, któremu powierzono sanację naszych stosunków finansowych, przechodzi w miły stan „odlotu". Narzuca się pytanie, kto po Drze Steczkowskim zdecyduje się objąć to wdzięczne stanowisko.

Załącznik K. (do str. 330 t. II.)

Warszawa, 11/IX 1920 r.

Do Jaśnie Wielmożnego Pana Wice-Prezesa Rady Ministrów Ignacego Daszyńskiego w miejscu.

Panie Wice-Prezesie!

Pismem z dnia 13 sierpnia b. r. 1.51/B. P. Z. raczył Pan Prezes zaproponować mi wyjazd do Wiednia „dla zbadania, w jakim stopniu celowem jest i możliwem dla interesów państwa Polskiego zbliżenie się polityczne i ekonomiczne Austrji i Polski".

Z pismem tem przybywszy do poselstwa naszego wiedeńskiego w dniu 17 sierpnia, nie znalazłem tam niestety ani pomocy, ani zachęty, jakkolwiek dla zamaskowania zadania zaiste niepropagandystycznego, lecz czysto dyplomatycznego i dla uchylenia nazewnątrz konkurencji z poselstwem, podałem się jawnie jako wysłannik urzędu propagandy. Z starć rozlicznych wynikło niemiłe opóźnienie w rozpoczęciu pracy mojej i tylko gwałtownemu wysiłkowi własnemu mam to do zawdzięczenia, że mogę niniejszym przedłożyć Panu Prezesowi pierwsze o moich spostrzeżeniach sprawozdanie.

Kwestja zbliżenia się Polski z Austrją stoi w ścisłym związku z utworzeniem t. zw. „Małej Ententy", którą obmyślili Czesi nietylko przeciw Węgrom, lecz także przeciw Polsce, zobowiązując członków do neutralności w wojnie polsko-bolszewickiej, t. zn. do odmówienia pomocy Polsce. Zbliżenie Austrji do Polski byłoby Czechom tak z powodu tej neutralności, jak i z wielu innych powodów, z pewnością bardzo niemiłe i dlatego musi nam chodzić o to, czy i o ile „Mała Ententa" jest tak ustaloną, że mogłaby stanąć temu zbliżeniu na przeszkodzie. W tym celu należało mi zbadać dyskretnie i nieznacznie usposobienie tak Austrji jak niektórych członków małej ententy co do trwałości tego utworu dyplomatycznego Czechów, a pośrednio co do myśli zbliżenia austro-polskiego.

Austrja nie należy formalnie do małej ententy, bo wszyscy ją bagatelizują i nikt się o nią nie troszczy; ale faktycznie jest ona do tej ententy zbliżona. Przyczyną tego Węgrzy. Opór ich w oddaniu komitatów niemieckich, przyznanych traktatem Austrji, a ponadto kokietowanie Węgier z ideą monarchiczną, niesympatyczną rządzącym socjalistom, spowodowały wielką ku Węgrom niechęć w Austrji. Przybywa do tego nowy zwyczaj Węgier urządzania napadów wojskowych na okręgi graniczne Austrji, która, będąc bezbronną wobec uzbrojonych Węgier, musi się ograniczać do bezskutecznych protestów. Stąd pochodzi, że Austrja, acz

maltretowana przez Czechy, a dość obojętna dla Jugosławji, trzyma się fartuszka małej ententy.

Zupełnie inaczej stanęłyby rzeczy, gdyby się Węgry zdecydowały zbliżyć się do Austrji, spełniając wobec niej zobowiązania traktatowe. Klucz do tego znajduje się w rękach Francji. Interwencja Francji w Rumunji na korzyść Węgier była bardzo zręcznym krokiem przeciw m. entencie: niema też mimo zapewnień ministra Take-Jonescu kwestji, że przynależność Rumunji do m. ententy jest wskutek interwencji francuskiej bardzo powierzchowną i problematyczną. Gdyby więc Francja, swoim sposobem lubo tylko teoretycznie bardzo przychylna Austrji, chciała spowodować Węgry do oddania komitatów niemieckich Austrji, sprowadziłaby tem samem automatyczne przesunięcie się Austrji od Czechów ku Węgrom. Wprawdzie Austrja potrzebuje zarówno czeskiego węgla jak węgierskiej żywności; ale węgiel może jej być zapewnionym z Górnego Śląska, zaś braku żywności węgierskiej nie może ona pokryć z własnych, wrogich Wiedniowi prowincji, zaczem dostarczają jej żywności Włosi, wypierając tem samem z jej serca Francję. Gdyby więc za interwencją francuską Austrja miała zapewnioną żywność węgierską, przesunęłyby się jej sympatje od Włochów do Francji, a ponadto cały wielki handel austro-węgierski rozwinąłby się bardzo intenzywnie i w myśl dawnych tradycji rozszerzyłby się na Rumunję. W tej samej chwili powstałby znowu automatycznie dalszy ruch handlowy, a z czasem i polityczny z Austrji przez Węgry i Rumunję do Polski bez dotykania terytorjów czeskich, oddzielających dotychczas Austrję od Polski.

To jest też ideałem rządzących mężów stanu austrjackich, którym przeszkadzają w tem dążeniu przedewszystkiem Włosi, przychylni m. entencie, przeciwni Francji, a udzielający Austrji skuteczniejszej od Francji pomocy, zwłaszcza w żywności. Poseł włoski obrabia p. Rennera regularnie dwa razy na tydzień i byłoby bardzo pożądanem, ażeby Francja, zwłaszcza po tak uroczystych oświadczeniach w czasie przyjęcia posła austrjackiego w Paryżu, zechciała się obecnie zająć skuteczniej Austrją, a paraliżując tem wpływy włoskie popchnąć ją ku Węgrom. Drugą przeszkodę w urzeczywistnieniu powyższych dążeń Austrji stanowi stosunek do Poselstwa Polskiego wiedeńskiego. Stosunek ten jest bardzo oziębły; osobiste zetknięcie naszego posła z Ballplatzem następuje równie rzadko jak chłodno. P. Renner bardzo się z tego powodu użala. Na to niedomaganie nietrudna naturalnie rada, jeżeliby nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych chciało zalecić Poselstwu inną metodę. Natomiast byłoby to wielkiem acz trudnem zadaniem dla naszego Rządu, gdyby uważał za stosowne, wpłynąć na Francję w duchu powyższych dążeń, w których niema ani krzty progermanizmu.

Nie mogę zresztą przy tej sposobności pominąć, że stosownie do wyniku zapowiedzianych na październik nowych wyborów do Rady Narodowej austryjackiej mogłyby nastąpić pewne zmiany w pewnych ugrupowaniach. Walki polityczne wyborcze będą się toczyły głównie między stronnictwem socjalno-demo-

kratycznem i chrześcijańsko-społecznem, które obecnie nie znajdują się w stosunku koalicyjnym. Prognoza wyników wyborów jest bardzo chwiejną. Antysemici liczą na walne zwycięstwo, a z tem ich dążeniem sympatyzuje cała burżuazja, nie wyjąwszy zamożnych żydów, zastraszonych polityką finansową socjalistów. Socjaliści liczą się z niewielką stratą mandatów i nie obawiają się większości antysemickiej. Jeżeli informacje moje są dobre, strata mandatów socjalistycznych nie przekroczy liczby 10, t. zn. niewiele zmieni wzajemny stosunek stronnictw. Na każdy jednak sposób wybory te są dla kwestji tutaj omawianej dlatego ważne, ponieważ na wypadek zwycięstwa antysemitów stronnictwo to, ongiś śmiertelnie wrogie Madjarom, obecnie połączyłoby się z rządzącymi dziś czynnikami węgierskiemi na podstawie wzajemnych sympatyj politycznych i monarchistycznych.

Niemniej ważną jest kwestja stosunku Jugosławji do m. ententy. Mam autentyczne zapewnienia, że Jugosławja niedowierza Czechom, którzy jej nigdy nie dotrzymują słowa, że społeczeństwo serbskie nie rozumie potrzeby układu, zawartego bez wiedzy i zgody kół szerszych. Jugosławja pragnie zbliżenia się do Polski, w której widzi przykład godny naśladowania. Za niedawnych rządów Protića, który dziś jest osobistym doradcą regenta i domniemanym wkrótce znowu prezesem ministrów, kopjowano wszelakie rozporządzenia polskie, zwłaszcza z dziedziny skarbowej. Za czasów mego urzędowania w Ministerstwie Skarbu desygnowano do misji jugosławskiej w Warszawie dzisiejszego jeneralnego konsula w Wiedniu dr. Cerović'a, ażeby przy mojej pomocy doprowadzić do zbliżenia się obu państw. Tylko brak znajomości języka francuskiego u wymienionego konsula i upadek rządu Protić'a opóźnił akcję, którą rząd przyszły z pewnością wznowi.

Terytorjalnie nie stałoby temu nic na przeszkodzie, ponieważ Serbja jest w bliskich stosunkach z Rumunją już od czasu traktatu bukareszteńskiego, a sąsiadując z nią bezpośrednio, może wprost za jej pośrednictwem połączyć się z Polską, znowu handlowo i politycznie. Mogłoby się to łatwo stać jeszcze wcześniej, zanim by Austrja poszła tą samą drogą na Węgry: m. ententa mocno by na tem ucierpiała. Ale i to znowu zawisło od pewnych warunków zewnętrznych.

Jugosławja kocha przy całej swojej sympatji dla Polski przedewszystkiem Rosję. Przybywa tam wielka ilość wychodźców rosyjskich wszelakich odcieni, nie wyłączając bolszewików: wszystkich ich przyjmuje się z równą miłością. Ale od gości tych słyszy się ciągle w Belgradzie, że Polska pożąda ziemi rosyjskiej, że chce podbić Rosję, że nie chce pokoju z Rosją. Jugosławja oczekuje gorąco pokoju między Polską i Rosją, dawno wierną i skuteczną opiekunką Serbów. Ale Jugosławja byłaby skłonną już teraz, t. zn. przed zawarciem pokoju, zbliżyć się do Polski, gdyby w Belgradzie urzędował poseł polski, zdolny rozwiać obawy południowców co do stosunku Polski do Rosji. Tymczasem Polska nie zdaje

się uważać placówki belgradzkiej za dość ważną, by na niej ustanowić osobistość ruchliwą i Serbom sympatyczną. O innych przeszkodach nic mi nie wspominano.

Znowu więc byłoby to w rękach rządu polskiego sprowadzić przez stosowną zmianę personalną zmianę kursu w Belgradzie dla nas korzystną. A Jugosławja zasługuje na uwagę naszą nietylko dlatego, że do niej grawitują jeszcze i Grecy, lecz także dlatego, że trzy „narody" tamtejsze, zlawszy się w tak krótkim czasie całkowicie w jednolity naród, byłyby dla nas bardzo pouczającym na tem polu przykładem, gdybyśmy się z niemi stykali. Dobrze zresztą z punktu polsko-francuskiego wiedzieć, że Serbowie, acz zobojętnieli cokolwiek dla Francji, uważają za swego wroga odwiecznego Włochów i gotują się już teraz do przyszłej — dalekiej — wojny.

Polska zmuszona od chwili zmartwychwstania prowadzić nieustannie wojny obronne ze wszystkimi niemal sąsiadami, nie miała dotychczas sposobności wzięcia udziału samoistnego w jakiejkolwiek wielkiej akcji europejskiej. Wynikło z tego pewne osamotnienie, tem dotkliwsze, że między przychylną nam wielką ententą a nami stoi twardy mur niemiecki, a z pomiędzy członków tej ententy serdecznie nam bliską jest obok Ameryki tylko Francja. Byłoby to więc dla Polski zadaniem zarówno wielkiem, jak zaszczytnem, gdyby się jej powiodło stanąć wobec Europy obok i przy pomocy Francji jako twórczyni nowego na wschodzie związku, zdolnego uwolnić ją samą, a i cały centralny wschód od brutalności i zapór terytorjalnych państwa czecho-słowackiego. Szereg zarządzeń częściowych, które wskazałem wyżej, byłby, sądzę, zawiązkiem tej wielkiej akcji pokojowej o pokroju prawdziwie europejskim, obliczonej także na wydobycie Polski z dotychczasowego odosobnienia i wtłoczenia pomiędzy trzech, czy czterech, wrogich jej sąsiadów. Akcja ta byłaby jednocześnie wyrazem zupełnej identyczności interesów Francji i Polski.

W tem przeświadczeniu przygotowałem sobie w Wiedniu planowo dalsze studja nad celowością i możnością urzeczywistnienia myśli takiego wielkiego związku, wychodzącego z punktu widzenia zbliżenia Polski do Austrji. Tymczasem w ostatniej chwili musiałem się przekonać z ubolewaniem, że pracy tej nie mógłbym dalej prowadzić. Albowiem chwiejność w określeniu cechy mojej misji, która najprzód miała być otwartą, prowadzoną jawnie wespół z posłem naszym w Wiedniu, a później znowu ściśle tajną i poufną, sprowadziła tak silne ataki niektórych stronnictw sejmowych i taką sieć intryg w Poselstwie, że mi się staje niepodobnem pozostać nadal na usługach biura propagandy zagranicznej.

Przedstawiając więc Panu Wice-Prezesowi niniejsze wstępne niejako sprawozdanie, mam zaszczyt upraszać Go o uprzejme zwolnienie mnie od dalszego stosunku obowiązkowego z tem biurem.

Proszę Pana Wice-Prezesa przyjąć wyrazy mego prawdziwego uszanowania

Biliński, m. p.

Załącznik L. (do str. 365 t. II.)

Liquidation
de la Banque d'Autriche-Hongrie
(Art 206 du traité de Saint-Germain
et Art. 189 du traité de Trianon).

EPREUVE.

3éme Conférence de Vienne.

Protocole général de 14 Mars 1922.

Les Représentants des Etats suivants:

M. le Dr. Dolzani	Représentant du Royaume d'Italie,
S. Exc. M. Biliński	Représentant de la Republique Polonaise,
M. Antonesco	Représentant du Royaume de Roumanie,
NM. le Dr. Ploj **le Dr. Novakovitch**	Représentants du Royame des Serbes-Croates-Slovènes,
M. le Dr. Roos	Représentant de la République Tchéco-Slovaque,
M. le Dr. Thaa	Représentant de la République d'Autriche,
S. Exc. M. Popovics	Représentant du Gouvernement Royal Hongrois,

sous réserve:

a) de l'approbation de la Commission des Réparations,

b) de l'adhésion définitive du Gouvernement Italien ainsi que des Gouvernements qui se sont réservés le droit de ratifier en dernier ressort ou de faire ratifier par leur Parlament les décisions prises par leurs Délégués,

ont convenu ce qui suit:

Article I.

Les Gouvernements Autrichien et Hongrois renoncent définitivement, pour le présent et pour l'avenir, à toutes leurs prétentions et revendications sur l'encaisse or de la Banque d'Autriche-Hongrie en Liquidation, revendications et prétentions dérivant, de l'avis de ces deux Gouvernements, tant des accords intervenus entre eux et la Banque d'Autriche-Hongrie, que de lois autrichiennes et hongroises et des articles 208 et 191 des Traités de Saint-Germain et de Trianon.

Article II.

L'Autriche et la Hongrie s'engagent à verser aux Liquidateurs la somme de Cr. or. 5,000.000 — pour racheter leurs obligations envers les Gouvernements

d'Italie, de Pologne, de Roumanie, de l'Etat Serbe-Croate-Slovène et de la Tchéco-Slovaquie, du chef de titres déposés à la Banque d'Autriche-Hongrie par les Gouvernements Autrichien et Hongrois anciens et nouveaux, et servant de couverture soit aux billets émis après le 27 Octobre 1918, soit aux billets émis avant cette date et qui se trouvaient le 15 Juin 1919 sur le territoire de ces Etats, mais hors des limites de l'ancienne Monarchie austro-hongroise.

Les Liquidateurs préléveront ce montant sur la première répartition qui sera faite à valoir sur l'encaisse or, à savoir:

Cr. or 2,500.000 sur la quote-part revenant à l'Autriche, et

Cr. or 2,500.000 sur la quote-part revenant à la Hongrie.

Cette somme de 5,000.000 sera répartie par les Liquidateurs entre les cinq Etats suivants: Italie, Pologne, Roumanie, Serbie-Croatie-Slovénie et Tchéco-Slovaquie, proportionnellement au montant du certificat des billets postérieurs au 27 Octobre 1918 qui leur sera délqué.

Le montant des billets postérieurs au 27 Octobre 1918 sera obtenu en déduisant de la somme totale des billets déclarés, le chiffre qui, en vertu de la clef dont il sera question à l'article VI, est considéré comme representant les billets antérieurs au 27 Octobre 1918. Ce montant augmenté ou diminué du solde net résultant de l'exécution des accords de Juin 1921 concernant la reprise des actifs et passifs commerciaux, accords faisant partie intégrante du présent protocole.

Les Etats signataires reconnaissent que l'annulation des titres prévue par le § 10 des articles 206 et 189 des Traités de Saint-Germain et de Trianon n'a pas comme conséquence l'annulation des droits des Gouvernements détenteurs des billets en couverture desquels ces titres avaient déposés.

Article III.

Les Gouvernements Autrichien et Hongrois s'engagent par application des articles 248, lettre b) et 249, lettre j), du Traité de Saint-German et des articles 231, lettre b), et 232, lettre j), du Traité de Trianon à indemniser la Liquidation de la Banque d'Autriche-Hongrie pour tout ou partie des avoirs de celle-ci bloqués ou séquestrés par les Puissances Alliées ou Associées.

Cette indemnisation correspondra à tout montant qui ne sera pas utilisé à payer directement ou indirectement des créanciers en monnaies ou devises étrangères, de la Banque d'Autriche-Hongrie en Liquidation et qui sera porté, par les Offices ou organes compétents des dites Puissances Alliées ou Associées, au crédit des Gouvernements Autirchien ou Hongrois en vertu des articles sus-mentionnés des Traités de Saint-Germain et de Trianon.

Le réglement de la quote-part incombant au Gouvernement Autrichien dans cette indemnisation, se fera conformément à l'article 12 de la Loi Féderale du 16 Juillet 1921 (Bulletin féderal des lois, No. 393), dont le texte fait partie intégrante du présent accord.

Pour le règlement de la quote-part lui incombant, le Gouvernement Hongrois s'oblige à procéder comme le Gouvernement Autrichien.

Les Gouvernements Autrichien et Hon-

grois s'obligent à indemniser la Banque d'Autriche-Hongrie en Liquidation, dans les mêmes conditions que ci-dessus, pour les actifs de la Liquidation qui ne pourraient être réalisés que par l'intermédiaire des Offices de Vérification et de Compensation, conformément aux stipulations des articles 248 et 231.

Article IV.

Sous réserve du paiement à la Hongrie du solde net en sa faveur des comptes en monnaies étrangères de diverses Caisses d'Etat, les Gouvernements Autrichien et Hongrois déclarent que les seules créances qu'ils reconnaissent pouvoir produire à la Liquidation sont celles qui dérivent des billets anterieurs au 27 Octobre 1918 qu'ils pourront présenter à la Liquidation en vertu de la clef de discrimination visée par l'article VI.

En outre, les Gouvernements Autrichien et Hongrois renoncent à toute créance, de quelque nature qu'elle soit, qu'ils pourront avoir envers la Banque d'Autriche-Hongrie en Liquidation.

Article V.

Considérant que le Gouvernements Autrichien et Hongrois,

ont consenti, d'une part à la Liquidation, les concessions ci-dessus exposées (voir §§ I, II, III et IV), et

qu'ils ont accepté, d'autre part, un pourcentage inférieur à celui de l'Italie, de la Pologne, de la Roumanie, de l'Etat Serbe-Croate-Slovène et de la Tchéco-Slovaquie, en adhérant à la clef de discrimination visée par l'article VI.

les dits cinq Etats énumérés ci-dessus se déclarent d'accord en ce qui les concerne, pour que les Liquidateurs libèrent l'Autriche et la Hongrie de toutes les obligations des Gouvernements Autrichien et Hongrois anciens et actuels envers la Liquidation, ou envers euxmêmes comme porteurs de billets antérieurs ou postérieurs au 27 Octobre 1918.

Cette libération est subordonnée à l'execution du présent accord par l'Autriche et la Hongrie des points I, II, III et IV.

L'Italie, la Pologne, la Roumanie, l'Etat Serbe-Croate-Slovene, la Tchéco-Slovaquie et l'Autriche déclarent ne renoncer à la créance sur l'Administration de l'Etat Hongrois pour solde des dommages causés à la Banque par le Régime des Soviets, que tout autant qu'aucun de ces Etats ne serait pas obligé, soit directement par la Hongrie, soit indirectement par une autorité ou commission quelconque, de payer des billets recueillis par un de ces Etats en territoire hongrois, de quelque manière et pour quelque cause que ce soit.

Les Liquidateurs auront le droit de retenir et de bloquer un montant de titres du Gouvernement Hongrois, correspondant au montant de la créance jusqu'au moment où ils seront certains qu'aucune prétention contre un des Etats signataires pour les causes cidessus ne pourrait être émise.

Si, à la fin de la Liquidation, ce différend n'était pas réglé, les Liquidateurs auront le droit de consigner les titres entre les mains d'une tierce personne ou autorité avec la mention de la clause ci-dessus.

Les Gouvernements Autrichien et Hongrois déclarent qu'ils ne metront pas en cause la Banque d'Autriche-Hongrie en

Liquidation lors du règlement des affaires pouvant dériver des accords qu'ils ont passés soit entre eux, soit avec les Départements autrichien ou hongrois (Oesterreichische et Ungarische Geschäftsführungen) de la Banque d'Autriche-Hongrie.

Article VI.

Les Etats déclarent être en mesure de présenter à la Liquidation le montant suivant de billets:

Autriche . . .	7.428	mil. de Cr. a. h.
Hongrie . . .	8.500	„ „ „ „ „
Italie	3.500	„ „ „ „ „
Pologne. . .	2.739	„ „ „ „ „
Roumanie . . .	8.717	„ „ „ „ „
Etat Serbe-Croate-Slovène . .	5.686	„ „ „ „ „
Tchéco-Slovaquie	8.357	„ „ „ „ „
	44.927	

Le montant total des billets devra être présenté à la Liquidation, sauf exemption déjà accordée par la Commission des Réparations à l'Autriche.

Pour éviter toute perte de temps et tous frais à la Liquidation, les Représentants de l'Italie, de la Pologne, de la Roumanie, de l'Etat Serbe-Croate-Slovène, de la Tchéco-Slovaquie, de l'Autriche et de la Hongrie ont convenu de déterminer, d'accord entre eux, et sur la base forfaitaire suivante, le montant maximum des billets antérieurs au 27 Octobre 1918 que chacun d'eux pourrait produire à la Liquidation:

Autriche . . .	4.000	mil. de Cr. a. h.
Hongrie . . .	4.000	„ „ „ „ „
Italie	2.500	„ „ „ „ „
Pologne . .	2.150	„ „ „ „ „
Roumanie . . .	6.100	mil. de Cr. a. h.
Etat Serbe-Croate-Slovène . . .	4.270	„ „ „ „ „
Tchéco-Slovaquie .	6.100	„ „ „ „ „
	29.120	

Au cas où un des Etats ci-dessus présenterait un montant total de billets supérieur à celui qu'il a déclaré, sa quote-part de billets antérieurs au 27 Octobre 1918 resterait invariable.

Si, au contraire, un Etat successeur n'est pas en mesure de présenter un montant total de billets égal à celui qu'il a déclaré, sa quote-part de billets antérieurs au 27 Octobre 1918 sera diminuée proportionnellement.

Le résultat de la règle de trois: $\frac{B \times C}{A} = X$ donnera le montant définitif qui pourra être considéré comme billets anterieurs au 27 Octobre 1918 pour tout Etat qui aura présenté une quantité de billets inferieure à celle qu'il avait déclarée, étant entendu que l'on désigne par:

A. — le montant total des billets qu'un Etat s'est engagé à présenter;

B. — le montant maximum fixe forfaitairement pour le dit Etat comme pouvant être considéré comme billets antérieurs au 27 Octobre 1918;

C. — le montant total des billets que l'Etat en question présente effectivement.

Article VII.

Les Représentants des Etats successeurs sont d'accord pour que la masse de la Liquidation supporte la charge d'indemniser les détenteurs de billets détenus hors des limites de l'Italie de la

Pologne, de la Roumanie, de l'Etat Serbe-Croate-Slovène, de la Tchéco-Slovaquie, de l'Autriche et de la Hongrie.

Cette indemnisation doit comprendre.

a) La quote-part à laquelle ont droit les billets remplissant les conditions prévues au Traité pour pouvoir participer à la repartition de l'actif visé par le § 9 des articles 206 et 189 des Traités de Saint-Germain et de Trianon;

b) la quote-part à laquelle ont droit les billets remplissant les conditions prévues aux Traités pour pouvoir participer à la répartition des titres émis par les Gouvernements Autrichien et Hongrois anciens et actuels et déposés à la Banque en couverture des émissions de billets antérieurs ou posterieurs au 27 Octobre 1918. Cette quote-part sera représentée pour 63.6% par des couronnes d. ö. et pour 36.4% par de couronnes hongroises, proportion suivant laquelle se partagaient les dépenses communes de l'ancienne Monarchie austro-hongroise.

Les Liquidateurs se chargent du soin de négocier les accords nécessaires avec les intéressés, tant en ce qui concerne la discrimination des billets selon les diverses catégories prévues par les Traités, qu'en ce qui concerne les droits de créanciers des dits porteurs de billets.

Article VIII.

Les Etats signataires du présent protocole s'en remettent aux Liquidateurs pour effectuer au mieux des intérêts de la Liquidation et par prélèvement sur l'actif de celle-ci, le règlement des affaires commerciales libellées en or ou en monnaies étrangères, des opérations commerciales libellées en ancienne monnaie austro-hongroise qui ne sont pas comprises dans les accords de Juin 1921, ainsi que de toutes affaires spéciales ou questions de détail en suspens, qui ne peuvent être énumérées dans le présent protocole.

Sous déduction des montants nécessaires au règlement des billets recueillis et présentés par les Gouvernements d'Etats autres que les Signataires du présent protocole et sous les réserves faites au précédent alinéa, les actifs de la Banque seront partagés entre les Etats successeurs, proportionnellement aux montants de billets antérieurs au 27 Octobre 1918 qu'ils pourront présenter à la Liquidation, conformément à l'article VI ci-dessus.

Article IX.

Par les stipulations prévues à titre tout à fait exceptionnel dans le présent protocole, dans le but de faciliter la Laquidation, les Etats Signataires déclarent qu'ils n'entendent:

ni modifier les dispositions des Traités signés en France depuis l'armistice;

ni préjuger de toute interprétation qui pourrait être donnée ultérieurement à ces dispositions,

ni adhérer à tout autre arrangement, accord ou convention qui serait intervenu.

Article X.

Après ratification du présent accord et remise des billets à la Liquidation, les Etats Signataires recevront deux certificats, l'un pour le montant des billets émis avant le 27 Octobre 1918, l'autre pour le montant des billets après cette date qui leur seront reconnus, suivant l'article II.

Ces certificats serviront aux Etats signa-

taires de titres de créance pour les répartitions successives qui seront effectuées à leur profit sur les actifs disponibles de la Liquidation, conformément à la clef prévue par l'article VI.

Article XI.

Par le présent accord, les Etats signataires ont pris en considération tous les droits des porteurs de billets visés tant par les Traités de Saint-Germain et de Trianon que par les Statuts de la Banque d'Autriche-Hongrie et la décision des Liquidateurs qui leur a été communiquée.

Les droits de tous les billets émis après le 27 Octobre 1918, qui, dans les limites des Etats signataires du présent accord pourraient encore être détenus entre les mains d'un porteur quelconque, ainsi que des billets qui pourraient l'être dans les mêmes conditions hors des limites des Etats signataires, sont considérés comme définitivement éteints: les premiers, par la déclaration ainsi que par la présentation effectuée par les Etats Signataires; les seconds par l'expiration du dernier délai de présentation que les Liquidateurs ont fixé au 31 Mars 1922.

Après ce délai, etant vertu des dispositions des §§ 7 et suivants de l'article 206, tous les Gouvernements Signataires du présent accord seront déchargés des toutes obligations ou garanties, de quelque nature qu'elles soient, contre toute prétention qui pourrait être formulée par n'importe quel porteur de billets.

Article XII.

Les Délégués des Etats Successeurs ayant exprimé le désir que les Liquidateurs leur versent, dans le plus bref délai, possible, un acompte á valoir sur le actifs á distribuer, prennent note de l'engagement des Liquidateurs de satisfaire à ce désir aussitôt que le présent accord aura été ratifié par tous les Etats Signataires.

Vienne, le 14 Mars 1922.

SKOROWIDZ

Cyfry rzymskie oznaczają tomy — arabskie stronice.

Abrahamowicz, poseł I. 104, 116, 117, 158, 200, 219. II. 97, 128, 137.
Adamski dr., radca w Waszyngtonie, II. 286, 287.
Adamski ks. poseł, II. 206, 207, 283.
Adler Fr. dr., zabójca Stürgkha, II. 105, 106.
Adler Wiktor dr., poseł, ojciec poprzedniego II. 105.
Aerenthal hr., minister spr. zagr., I. 171, 193, 196, 227, 231, 241, 254, 259.
Aleksander I, cesarz rosyjski, II. 314.
Aleksander II, cesarz rosyjski, II, 57.
Amand hr., przedstawiciel Ententy, II. 180.
Andrassy Juljusz, ojciec ministra spr. zagr., I. 19, 155.
Andrassy, minister, II. 85, 87, 88, 90, 170, 176, 180.
Apponyi Albert hr., I. 232, 256.
Arz, jenerał, II. 121.
Arzt, szef sekcji, II. 249.
Askenazy, historyk, II. 325.
Auffenberg, jenerał, minister wojny, I. 242.

Bacquehem, minister, I. 54, 58.
Badeni Kazimierz hr., prezes ministrów, I. 50, 64, 71, 76, 77, 90, 92, 93, 97—100, 103, 104, 107, 109—111, 114, 115, 119, 120, 121, 124, 125, 127, 137, 139, 152, 170, 205. II. 70.
Badeni Stanisław hr., I. 91, 149, 156.
Baernreiter, b. minister, I. 44, 109, 124. II. 170.
Bandrowski, prezes T. S. L., I. 237.
Banffy, minister węgierski, I. 98, 106, 107.
Banhans baron, minister koleji, II. 117.
Bańkowski, I. 20, 96.
Barański, adjutant namiestnika, II. 21.
Barański, radca legacyjny, II. 322.
Basagić, prez. sejmu bośn., I. 238.
Bastide, kupiec francuski, II. 235, 237—239, 263.
Batory Stefan, król polski, II. 56. 220.
Battaglia baron, przemysłowiec, II. 32.
Bauda, sekretarz prezydjalny, II. 15.
Bauer baron, minister wojny, I. 55.
Bauer Otton, austr. sekretarz dla spr. zagr., II. 194.
Baworowski Jerzy hr., II. 313.

Bazylewski, dziennikarz, II. 310.
Beck hr., szef sztabu jen. I. 153, 157, 184, 215, 277, 315.
Belcredi hr., I. 44.
Benedikt, redaktor „Neue Freie Presse“, I. 171.
Benedykt XIV, papież, II. 45.
Berchtold hr., ojciec ministra, I. 41.
Berchtold hr., minister, I. 194, 227, 228, 239, 253, 257, 261—263, 271, 272, 288, 289, 291, 293—295, 302—304, 320. II. 17, 58, 64, 66.
Berg hr., namiestnik, II. 209.
Bertoni, wice-minister, II. 333, 361.
Besseler, jenerał gubernator niemiecki, II. 103.
Bethmann-Hollweg, kanclerz niemiecki, I. 193, 194. II. 83—86.
Beyer dr., I. 14.
Bielecki, urzędnik, I. 16.
Bienerth bar., prezes ministrów, I. 166—168, 174, 179, 180, 185, 187, 198, 202, 204, 208—210, 212, 221. II. 192.
Bigo, kierownik P. K. K. P., II. 4, 353.
Bilińska Józefa, żona Leona, I. 8, 9.
Bilińska Malwina, matka Leona, I. 1.
Biliński Franciszek, dziadek Leona, I. 2.
Biliński Józef, brat Leona, I. 313.
Biliński Ludwik, brat Leona, I. 150.
Biliński Marjan, brat Leona, I. 8, 150, 202, 211. II. 151, 174, 202, 203, 212, 215, 307, 318, 371.
Biliński Wiktor, ojciec Leona, I. 2.
Billig, siostrzeniec Leona, I. 82.
Binder, sędzia, II. 344, 367, 372, 373, 375, 378.
Bischoff, kierownik budowy kolei, I. 66.
Blome, korespondent Times'a I. 121.
Blum-Pasza, dyrektor Kreditanstaltu, I. 190.
Bobrzyński, profesor, namiestnik, I. 70, 165, 169, 201, 203, 208, 209, 226, 230, 232, 295. II. 15, 39, 40, 51, 100, 103, 107, 111, 116, 119, 125—127, 132—137, 138, 142, 144, 146, 151, 154, 160.
Bogdanowicz, I. 3, 63. II. 323, 333, 346.
Böhm-Bawerk, minister skarbu, I. 138, 145, 182, 250.
Böhm-Ermolli, jenerał, II. 14, 59, 60.
Bojko, poseł, I. 224. II. 99.
Boleyn Anna, królowa angielska, I. 84.
Bolfras, jenerał, I. 264. II. 16, 19, 23, 67, 68, 72—74, 77.
Braun bar., dyrektor kancelarji gabinetowej, I. 93, 122.
Brudermann, jenerał, I. 292.
Brudziński, II. 103.
Brunicki Konstanty bar., I. 12, 63. II. 191.
Brussiłow, jenerał rosyjski, I. 243. 287. II. 60, 95.
Burian br. minister, I. 172—175, 227, 230, 235, 237, 238, 240, 249, 267, 270, 274, 285, 288, 294, 303—304, 306, 321. II. 44, 49, 50, 63, 65—67, 75, 79, 81, 85, 87, 89, 96—104, 141, 172, 173, 175, 176.
Bülow ks., kanclerz niemiecki, I. 193.
Byrka, wice-minister, II. 209,

215—217, 231, 232, 253, 255, 257, 269, 279, 295, 302, 306.

Cabrinović, wspólnik Principa mordercy nast. tronu, I. 278.
Cavriani hr., I. 19.
Cerović, sekretarz, I. 238, 291.
Chełmicki, prałat, sekretarz Rady Regencyjnej, II. 156.
Chertek bar., szef dyrekcji zarządu majątków cesarskich, I. 186.
Chlumetzky, poseł, I. 100.
Chłędowski Kazimierz, I. 15, 132, 136.
Chmielewski, minister rolnictwa, II. 248, 251, 259, 260.
Chotek hrabina, żona nast. tronu, I. 204.
Choriński hr. I. 122.
Chrzanowski, prezes syndykatu rolniczego, II. 260.
Cieński, poseł, I. 296, 298. II. 15.
Clam-Martinitz hr., prezydent ministrów, I. 45. II. 32, 37, 116, 119, 120, 125, 126, 133, 134, 136, 137, 139, 144, 146, 151, 154, 155.
Clary hr., namiestnik Styrji, I, 129, 130—139, 234, 237.
Cromvell, I. 84.
Colard, jenerał, I. 303. II. 18—22, 27, 35, 79.
Conrad-Hötzendorf, jenerał, szef sztabu, I. 241, 295. II. 16, 18, 20, 66, 67, 74, 83, 85, 286—288.
Curzon lord, II. 299.
Czartoryski Jerzy ks., I. 156.
Czartoryski Witold ks. I. 297, II. 123, 124.
Czerkawska, II. 113—116.
Czedik bar., jener. dyrektor kolei, I. 41, 55, 57, 59—61, 97, 141.
Czernin, minister spr. zagr., II. 83, 119, 121, 132, 133, 139, 140—144, 157, 159—162, 164, 168, 169, 175, 178, 308.

Dąbczański, adwokat, I. 13.
Dąbski, wiceminister, II. 48, 49, 320.
Dankl, jenerał, II. 156.
Daszyński Ignacy, poseł, I. 215, 297. II. 41, 42, 47, 49, 51, 54, 96, 97, 102, 104, 126, 141, 143, 151, 162, 169, 176, 190, 321, 322, 327, 329—332.
Deak Fr., I. 244.
Deweet bar., dyrektor biura prezydjalnego, I. 178.
Diamand, poseł, I. 195. II. 29, 36, 104, 126—128, 152, 165, 196, 234, 235, 311.
Diller bar., jenerał, II. 22—26, 37, 40.
Dimović, I. 265, 266, 292.
Dipauli, I. 124.
Długosz, minister, I. 224, 225, 271. II. 4, 47, 97, 146, 164, 256.
Dmowski Roman, poseł, II. 56, 124, 185, 298, 320.
Dowbor-Muśnicki, jenerał, II. 320.
Drahtschneid, dyrektor, I. 89.
Drucki-Lubecki Aleksander ks., II. 3.
Dubsky hr., I. 108.
Dulęba, minister, I. 158, 200, 208. II. 192.
Dunajewski, minister skarbu, I. 33, 37, 39, 42, 45—49, 51, 52, 93, 105, 189, 219. II. 16, 294.
Durski, jenerał, I. 299.
Dymsza, poseł, I. 219.
Dziedzicki, radca, II. 39.

Dzieduszycki Jerzy hr., I. 234.
Dzieduszycki Wojciech hr., I. 125, 155, 156. II. 8.
Dzierzbicki, II. 103.
Dziewulski, II. 305, 313.

Eberhart, minister, II. 249, 258.
Edward VII, król angielski, I. 83.
Eichhoff, minister, II. 76.
Eichner, dyrektor banku, II. 376, 377.
Ellenbogen, poseł, I. 272.
Engel bar., minister skarbu, I. 190. II. 9—11, 30—34, 37, 216, 229.
Eysymontt, szef sekcji, II. 333.

Falkenhayn, jenerał, II. 84.
Falkenhayn, minister, I. 81, 116.
Faust, adwokat, II. 344—347, 360, 361, 372—374.
Fedorowicz, delegat Nam., II. 74, 75.
Fijałkowski, urzędnik, II. 214.
Filippi, dyrektor banku, II. 371.
Filipowicz, wice-minister, II. 191, 196.
Flandrak dr., sekretarz, I. 213, 233, 315, 318. II. 2, 3.
Foch, marszałek Francji, II. 262.
Forstner, minister kolei, II. 71, 72, 135, 216, 249.
Franciszek Ferdynand, nast. tronu, I. 121, 172, 180, 185, 192, 204, 233, 239, 242, 243, 263, 273, 275, 276, 287.
Franciszek Józef, cesarz, I. 2, 71, 119, 121, 124, 138, 142, 185, 243, 254, 251, 307. II. 55, 57, 59, 83, 90, 111—113, 117, 146, 185.
Fryderyk arcyks., I. 14, 16, 18, 60, 73, 74, 96.
Fuk Lina, pielęgniarka, II. 148, 210.

Gałecki, b. minister dla Galicji, I. 219. II. 120, 174, 181, 192—199. 259.
Garapich, poseł, II. 48.
Garwey, amerykanin, nafciarz, I. 224.
Gautsch bar., minister, I. 47, 69, 88, 97, 103, 110, 115—120, 123, 124, 152, 153, 183, 207, 212, 213, 217, 221.
Geldern hr., jenerał, II. 325.
Georgi bar., minister, II, 33.
Gerde, komisarz rządowy, I. 280, 283.
German, poseł, I. 210, 301, 320. II. 49, 101, 152.
Germanowa, żona posła, I. 320.
Gerstl, dyrektor kolei, I. 197.
Gessmann, poseł, I. 197.
Gibson, ambasador amerykański, II. 287—290.
Giessel bar., poseł austro-węgierski, I. 292.
Ginzkey, przemysłowiec, I. 152.
Gladston, I. 116.
Gleispach, minister sprawiedliwości, I. 98, 119.
Glogier St., adwokat. I. 4.
Głąbiński prof., minister, I. 32, 157—159, 176, 182, 200—202, 205, 209, 211, 218, 313. II. 16, 96, 126—129, 135, 139, 141, 184, 223, 270, 304, 307, 308.
Gniewosz, poseł, I. 15.
Gnoiński, burmistrz m. Lwowa, I. 25.
Goldschmidt, II. 379—385.
Gołuchowski Adam hr., I. 137, 230.

Gołuchowski Agenor hr., I. 14, 17, 98, 113, 119, 126, 206, 249, 259, 260, 311. II. 5, 6, 13, 18, 19, 43, 69, 73, 79, 85, 87, 88, 96, 103, 132, 137, 141, 153, 160—162, 166, 167, 170, 188, 205.
Gorup, I. 117.
Grabski Stanisław, poseł, II. 16, 207, 208, 308.
Grabski Władysław, minister, II. 78, 199, 227, 234, 241, 301.
Grimm, minister skarbu, II. 342, 374.
Grocholski, prezes koła polskiego, I. 21, 22, 32, 36, 38, 39, 49. II. 6, 107.
Grodzicki, wiceprezydent namiestnictwa, II. 27, 35, 37, 40.
Gross, poseł, I. 139. II. 11, 29, 31, 130, 131.
Grossmann, naczelnik stacji, I. 65.
Grot, publicysta, II. 8.
Gruber, gubernator banku austr.-węgierskiego, I. 146, 171, 198.
Grünberg, dyrektor szkoły, I. 2.
Grünhut dr. profesor, I. 183.
Guttenberg, jenerał, I. 66, 92.

Habicht, prokurator, I. 299. II. 4, 52, 192, 193.
Hailig, radca, I. 12, 14, 19.
Halban, poseł, I. 50, 55, 56, 98, 99, 101, 319. II. 207.
Haller, jenerał, I. 299, 301, 302.
Hand, II. 134.
Handel, minister, II. 24, 104.
Hauenschield bar., szef prezydium, I. 127.
Hauser, prałat, II. 172.
Hausner, poseł, I. 192.
Heilinger, poseł, II. 155.
Helfferich, minister skarbu niemieckiego, I. 194.
Henzel, urzędnik, II. 329, 339.
Henryk VIII, król angielski, I. 89.
Herbst, poseł, I. 43, 46. II. 40, 41.
Herzog, dziennikarz, I. 221.
Hnatowicz, ksiądz, I. 3.
Hocevar, I. 150.
Hoenigsberg Leontyna, I. 2.
Hohenberg, żona Franciszka Ferdynanda n. tronu, I. 276, 320.
Hohenlohe, prezes ministrów, I. 141.
Hohenwarth hr., I. 47, 53, 69.
Hoover, ameryk. minister handlu, II. 213, 286.
Horodyski, sekretarz Paderewskiego, II. 284, 285, 288, 290, 313.
Horthy, regent węgierski, II. 118.
Hoyos hr., szef gabinetu Berchtolda, I. 289, 291, 293, 302.
Hussarek br., prezes ministrów, I. 301. II. 179, 180.
Huyn hr., jenerał, namiestnik Galicji, II. 26, 184.

Ilnicki, ksiądz, I. 4.

Jabłoński, burmistrz m. Rzeszowa, I. 157, 211, 212.
Jabłoński (Wicuś), sekretarz Koła polskiego, II. 7, 14, 51, 64, 78, 79, 82, 83, 101, 145, 146.
Jagow, sekretarz stanu, II. 89.
Jasiński, prezes sądu, I. 46.
Jastrzębski, minister skarbu, II. 370.
Jaworski, profesor, prezes N. K. N., I. 47, 50, 56, 74, 123, 125, 127, 129, 134, 139, 230, 296, II. 42—46, 51—54, 96, 114, 145, 158.

Jędrzejowicz, minister, I. 124, 157. II. 161, 175.
Jorkasch bar., szef sekcji, I. 126, 167, 172, 173.
Józef II, cesarz austrjacki, II. 55.
Józef Ferdynand, arcyksiążę, I. 242, 243, 285, 314.
Judenicz, jenerał rosyjski, II. 265.

Kabot, profesor, I. 14.
Kaczkowski Zygmunt, II. 314.
Kaftan, poseł, I. 134.
Kaizl, minister, I. 127.
Kakowski, arcybiskup, II. 156, 283, 284.
Kallay, minister, I. 265.
Kamiński, burmistrz m. Stanisławowa, I. 34.
Kann, szef sekcji, I. 66.
Karłowski, dyrektor banku, II 235, 276, 278.
Karol I, król angielski, I. 84.
Karol, cesarz, I. 78, 121, 142, 189. 193, 242, 255, 278, 301. II. 4, 37, 62, 74, 76, 77, 100, 114, 115, 117, 121, 122, 124, 178, 179, 186.
Karol Stefan, arcyksiążę, I. 320.
Karolyi hr., prezes ministrów, I. 232, 254, 255. II. 180, 181.
Karpiński Stanisław, minister skarbu, II. 216, 229, 246.
Katarzyna II, cesarzowa, II. 314.
Katrein, poseł, I. 131.
Kautz dr., profesor, I. 144.
Kędzior, poseł, następnie minister, I. 212, 223, 225. II. 4, 36, 37, 40, 41, 47, 135, 146.
Khevenhüller hr., I. 105.
Khuen-Hedervary hr., minister węgierski, I. 231, 232.
Kicka hr., I. 5.
Kielmannsegg hr, namiestnik, I. 82, 97.
Kiereński, szef rządu rosyjskiego, II. 61, 63, 140, 330.
Klarner, szef sekcji, II. 256.
Klobasa, nafciarz, II. 257, 381, 382.
Klucki, poseł, I. 40.
Kniaziołucki dr., b. kier. minist. skarbu, I. 65, 66, 77, 79, 82, 122, 130—132, 135, 138, 169, 170, 177.
Koerber, prezes ministrów, I. 57, 59, 66, 91, 101—103, 119, 130, 131, 137—140, 151, 155, 184, 199, 207, 214, 270, 322. II. 94, 106, 107, 124, 125, 130.
Koerner, II. 375.
Kokstein, szef sekcji, I. 191.
Kolischer, poseł, I. 176.
Kolosvary, dyrektor kolei, 63.
Konopka, bar., II. 68, 74, 100.
Korfanty, poseł, II. 230, 231, 234.
Korytowski, minister, I. 135, 149, 155, 165, 168, 170, 173, 200, 212, 240, 285, 317. II. 15, 17, 20, 52, 67, 188, 191, 200, 201.
Kościuszko, II. 55, 220.
Kosiński, lekarz, I. 29, 80.
Kossuth, minister, I. 153—155, 197.
Kotter, profesor, I. 7.
Kotula, ksiądz, II. 308.
Kowalski dr., II. 320.
Kozłowski, poseł, I. 125, 126, 131, 176, 181, 201, 222. II. 244.
Koźmian, I. 87, 101, 122. II. 178.
Kozubowski dr., szef sekcji, I. 65. II. 233, 271.
Kramarz, poseł, minister czeski, I. 127, 166, 170, 171, 173, 242, 258, 260.
Krasiński Zygmunt hr., I. 115.

Krassny, dyrektor banku, I. 192, 315. II. 3.
Kraszewski J. I., II. 314.
Krek, ksiądz, poseł, I. 174.
Kristoffy, prezydent ministrów, I. 156.
Križik, I. 85.
Krobatin, min. wojny, I. 281.
Kupka, szef sekcji, I. 117.
Krupski, delegat ministerstwa, II. 326.
Kucharzewski, prezes min., II. 157—161, 305.
Kuenburg hr., minister, I. 59.
Kuh-Chrobak, szef biura, I. 233, 234, 243, 315.
Kuk, jenerał, II. 22.
Kuković, poseł, I. 188.
Kupelwieser, poseł, I. 151.
Kühnelt, lekarz, II. 121, 122.

Lamezan hr., jenerał, II. 37.
Landau, notarjusz, II. 315, 333.
Langenhan, poseł, II. 171.
Langiewicz, dyktator, I. 4.
Lasocki hr., poseł, I. 224. II. 3, 38, 153.
Lazarus, dyr. banku, I. 145.
Lecher, poseł, I. 117.
Ledebur hr., minister, I. 99.
Lednicki, adwokat, II. 78.
Lohnstein, jen. dyrektor Länderbanku, I. 196, 197.
Leo dr., poseł, burmistrz m. Krakowa, I. 230, 295. II. 29, 31, 33, 42, 84, 126, 128, 135, 151, 152.
Leopold II, cesarz, II. 55.
Leopold Salwator, arcyksiążę, II. 156.
Leśniewski, jen., minister wojny, II. 297.
Leth, minister skarbu, gubernator kasy pocztowej, I. 109. II. 30—32, 34, 37.
Lewakowicz, dyr. banku, II. 371.
Lewakowski, prezes banku, przemysłowiec, II. 377—379, 381—387.
Lewenstam dr., II. 329.
Lewicki Kost, poseł, I. 159, 217, 226, 316.
Lichtenstein Alojzy ks., I. 31, 40. II. 2.
Lichtenstein Alfred ks., prezes ministrów, I. 40. 128.
Liebig, I. 152.
Litwinowski, II. 254, 255.
Lloyd-George, premjer angielski, II. 185, 213.
Lobkowitz, adjutant jeneralny, II. 118.
Loewenstein dr., poseł, II. 39, 111, 167.
Lubomirska Marja ks. Adamowa, I, 318, 319. II. 227.
Lubomirski Andrzej ks., II. 152, 250.
Lubomirski Kazimierz ks., II. 242, 286—288.
Lubomirski Stanisław ks., II. 78.
Lubomirski Zdzisław ks., II. 82, 156, 157, 166.
Ludendorff, marszałek polny niemiecki, I. 194. II. 157, 165, 172, 173.
Lueger, burmistrz m. Wiednia, I. 91, 95, 97, 100, 101, 117, 118, 120, 179, 209.
Lukacs, prezes ministrów, I. 95, 96, 106, 146, 149, 197, 232, 239.
Lutosławski ksiądz, poseł, II. 223, 283.

Luxardo, likw. B. austr.-węg., II. 368, 369.

Łazarski, poseł, I. 197, 206.
Łempicki, II. 103.
Łobodysz, ksiądz, I. 3.
Łopuszański, szef sekcji, II. 205.
Łopuszyn hr., II. 314, 317.
Łukasiewicz, minister II, 269.
Łukowiecki, ksiądz, I. 3.

Mackensen, jen. niemiecki, II. 84.
Madeyski, poseł, (minist.), I. 48, 70, 80, 93. II. 23.
Majewski, jenerał, minister spraw wojskowych, II. 249.
Makowiecki, prezes centrali dewiz, II. 216, 225, 235, 238.
Małecki, profesor, I. 6.
Mandić, prezes sejmu bośn. I. 238, 274.
Manteuffel bar., szef sekcji, II, 209, 216, 220, 223, 227, 231, 239, 262, 278, 279, 283, 293, 303, 306.
Marchet, minister oświaty w gab. Becka, II. 170.
Marchwicki, dyrektor banku, I. 137.
Marja Teresa, arcyksiężniczka, I. 275. II. 114.
Marja Teresa, cesarzowa, II. 55.
Marja Walerja, arcyks., I. 113.
Marschall, arcybiskup, I. 203.
Massaryk, profesor, prezydent Czechosłowacji, I. 257, 258.
Markowski, finansista, II. 242.
Marterer, jenerał, II. 20, 116.
Męciński, I. 320.
Menkes, urzędnik, II. 324.
Merwin dr., adwokat, II. 347.
Meyer, szef sekcji, I. 191, 205, 219.
Michalski, minister skarbu, II. 243, 267, 273, 349, 361, 363.
Michciński, naczeln. wydz, II. 214.
Mickiewicz, I. 289.
Mikołaj II, cesarz, I. 262. II. 60.
Mikulecki, szef sekcji, II. 215, 318. 334.
Milewski, I. 3.
Minkiewicz, minister, II. 249.
Montecuccoli hr., I. 172, 195.
Monnés de, likwidator, II. 361, 363, 368, 370.
Moraczewska, żona ministra, II. 127.
Moraczewski, prezes ministrów, II. 190, 210.
Morawski, profesor, I. 313. II. 9, 11, 35, 51, 93, 104, 105, 200.
Morgenthau, b. amb. ameryk. w Konstantynopolu, II. 298, 299.
Morsztyn hr., sekretarz N. K. N., II. 44.
Mosch, wiceprezes namiestnictwa, I. 19.
Muhr, adjutant arcyks. Ferdynanda, II. 75.
Müller dr., okulista, II. 1.
Mycielski hr., profesor, I. 319. II. 115.

Nadherny, II. 356.
Napoleon I, cesarz, I. 203.
Niemojewski, publicysta, II. 312.
Niezabitowski, I. 136. III. 111.
Nikita, król Czarnog., I. 257, 264.
Niżałowski, radca, I. 7.
Nowak, profesor, II. 28, 32.
Nowicki Adam, dziennikarz, I. 176—178, 182.
Nudera Karli, pielęgniarka, II. 149, 210.

Obogi, dziennikarz, I. 175—178.
Offenheim, minister, I. 315. II. 2.
Okęcki, II. 288, 290, 336.
Olszowski, szef sekcji, II. 233, 235.
O'Laughlin, amerykanin, II. 222, 279, 281, 291.
Ostersetzer, sekretarz, I. 15.
Ostrowski, członek Rady Regencyjnej, II. 156.
Otton, arcyksiążę, I. 121.

Paderewska Helena, II. 205, 215, 228, 301.
Paderewski Ignacy, szef rządu, I. 223. II. 199, 200, 205, 206, 208, 211, 213, 231, 233, 236, 237. 239, 241—244, 246, 247, 278, 279, 281, 283—286, 244—256, 301—306, 309—311, 326.
Pallfy, hrabianka, II. 44, 45.
Pall, dyrektor, I. 78.
Palmer, dyrektor banku, I. 78.
Parnes, radca leg., II. 52.
Pasić, prezes ministrów serbskich, I. 261, 262.
Pastor, ksiądz, I. 158.
Paweł I, cesarz rosyjski, II. 314.
Pelczar, biskup, II. 50, 80, 107, 111, 127.
Perłowski, radca min. spr. zagr., II. 237, 243, 279, 283, 303.
Petruszewicz, poseł, I. 217.
Pichon, minister francuski II. 226, 236—238.
Pilat, radca ministerjalny, I. 319. II. 256.
Piltz Erazm, polityk, II. 336.
Piłsudski, naczelnik państwa, I. 295, 299, 300. II. 56, 59, 80, 190, 203—205, 299, 313, 320.
Piniński hr., poseł, II. 48, 59.
Pittner bar., gubernator banku, I. 239.
Plener, minister I. 51, 53, 96, 105.
Poeltenberg, żona jenerała, I. 10.
Pollak, szef sekcji, II. 374.
Popović, komisarz, I. 146.
Possinger profesor I. 17, 21.
Potiorek, jenerał, I. 238, 263—266, 278—284, 287, 288, 291. II, 161.
Potocka hr. Romanowa, I. 319.
Potocki Alfred hr., namiestnik, I. 35, 150, 151.
Potocki Andrzej hr., I. 165, 208.
Pralon, poseł francuski, II. 235, 237.
Pranger, sekretarz, I. 145, 171.
Prileszky, szef sekcji, I. 253, 271, 277.
Princip, zabójca nast. tronu, I. 279. 283.
Przezdziecki hr., szef protokułu, II. 191.
Puchalski, jenerał, I. 299. 300.
Puntigam, jezuita, I. 281, 282.

Raczyński, min. rolnictwa, II. 40.
Radziszewski, profesor, II. 293.
Radziwiłł Janusz ks. II. 157.
Radziwiłł Maciej, II. 157.
Ramułt dr., II. 337.
Renner dr., II. 327, 342.
Rey, poseł, II. 80.
Rieger, poseł, I. 42.
Rittner, minister, I. 92, 110, 118, 121.
Rockefeller, przemysłowiec naftowy, II. 279.
Romańczuk, poseł, I. 317.
Romer, jenerał, II. 117, 261, 262, 362.
Ronikier Adam hr., II. 103, 157.

Rosenbaum, finansista amerykański, II. 279.
Rosmarin, poseł, II. 296.
Rotschild, I. 42, 47, 99, 108, 171, 185, 190.
Rozner, radca, II. 44, 100, 192, 310.
Roznerowa, żona poprzedniego, I. 320.
Rozwadowski, jenerał, II. 18—20, 75, 364.
Rulf, profesor, I. 12, 14.
Rummerskirch hr., wielki ochmistrz, I. 277, 283.
Rybarski, profesor, wice-minister, II. 252.
Rybiński, główny buchalter P. K. K. P., II. 352.
Rzewuski, powieściopisarz, II. 314.

Sapieha, arcybiskup, I. 232, 237, 298. II. 50, 110, 151.
Sapieha Eustachy, minister, II. 302, 321, 336, 337.
Sanguszko ks., 91.
Sapecki, ksiądz, I. 211.
Schaup, poseł, I. 142, 143.
Schemua, jenerał, I. 241.
Schliessel baron, szef kancelarji, I. 153, 255, 276, 322. II. 68, 95, 116.
Schnablowa, żona adwokata, II. 319.
Schöller, przemysłowiec, I. 187. 188.
Schönaich, minister, I. 172.
Seiche dr., teść Leona Bilińskiego, I. 8.
Seyda, I. 194. II. 252.
Sieghart, szef sekcji, I. 168, 183. 186, 188, 189, 240, 248. II. 173.
Sienkiewicz Henryk, I. 148. 149.
Sikorski, jenerał, I. 299.
Simon, arcybiskup, II. 110.
Singer, profesor, I. 153, 154.
Skarbek hr., poseł, I. 210, 213, 217, 226, 298, 313. II. 15, 168, 326.
Skirmunt, minister II. 361.
Skorupka, ksiądz, II. 320.
Skulski, prezes ministrów, I. 223. II. 227, 297, 306, 311, 313.
Skrzyński, minister, II. 158, 207, 231—233, 243, 247, 254, 261, 283, 286—288, 298, 301, 303.
Smith Adam, I. 18.
Smoleń dr., adwokat, II. 295.
Smulski, bankier w Chicago, II. 284.
Sobański, wice minister, II. 249, 252.
Sobolewski, minister, II. 251.
Sokolnicki, sekretarz N. K. N. I. 44.
Śola, prez. sejmu bośn., I. 238.
Sonnenschein, I. 184.
Sosnkowski, jenerał, I. 299. II. 257, 261—263, 303.
Spitzmüller, minister, I. 106, 184, 190—192, 270. II. 31, 37, 83, 137, 139, 144, 179, 338, 339.
Średniawski, poseł, I. 323, 324.
Stablewski, biskup, I. 95.
Stadler, arcybiskup, I. 269.
Stapiński, poseł, I. 168, 170, 173, 174, 176, 177, 184, 200, 206, 208, 210, 223. II. 165, 171.
Stadnicki hr., I. 297.
Starowieyska, I. 320.
Starowieyski, poseł, II. 36, 80.
Starzyński, poseł, II. 48.
Średniawski, poseł, II, 13.
Srokowski, dziennikarz, II. 42, 312, 346.
Stecki, II. 3, 4.

Steczkowski, minister, II. 157, 193,
Stefczyk, dyrektor, II. 292, 293.
Steinbach, minister, I. 52, 53, 69.
Steinbeis, przemysłowiec, I. 251.
Stojałowski ksiądz, poseł, I. 176. 194, 225, 260, 262, 263, 273, 291, 293, 319, 335—337, 349, 365.
Stesłowicz, poseł, II. 126.
Stransky, I. 13. II. 177.
Strassburger, vice-minister, II. 255.
Stürgkh, prezes ministrów, I. 133, 202, 215, 218—221, 223, 228—231, 239, 267, 295, 298, 304, 306—309, 311, 313, 315, 317, 319. II. 9, 15, 17, 18, 21, 26—29, 33—35, 37, 52, 65, 71, 76, 84, 86, 93, 94, 96, 104, 105, 130, 134, 135.
Suchomlinow, minister wojny rosyjski, I. 286.
Suess, profesor, I. 52, 140.
Sunarić, jenerał, I. 268, 269, 281.
Świstelski, dyrektor, I. 4.
Sydow, minister, I. 249, 250.
Szaley, szef sekcji, I. 234.
Szarlitt, szef wydziału prasowego, II. 212, 224, 314, 318, 330, 334.
Szarota, poseł, II. 199, 326, 327, 332, 338, 345.
Szarski, dyrektor banku, I. 191. II. 371, 381.
Szczeniowski, minister, II. 248, 251, 255.
Szczepanowski I. 32, 38, 136. II. 256.
Szeptycki, metropolita, II. 116, 119.

Tabowski, urzędnik, II. 222, 343.
Taffe, prezes ministrów, I. 35, 49. 51—55, 60, 69, 70, 72, 100, 186, 207. II. 125, 294.
Targowska, I. 5.
Tarnowska Zdzisławowa hr., II. 118.
Tarnowski Adam hr., I. 259. II. 90, 100, 167, 168, 170.
Tarnowski Stanisław hr., profesor, I.311, 313. II. 49, 57.
Tarnowski Zdzisław hr., II. 145.
Teleszky, podsekretarz stanu, I. 199, 243, 249.
Teodorowicz, arcybiskup, I. 228. II. 50, 59, 86, 110, 153, 166, 227, 303, 304.
Tertil, poseł, I. 301.
Thaa, komisarz, II. 367—369.
Thalloczy, szef sekcji, I. 233, 248, 284.
Thaussig, gubernator Bodenkreditu, I. 170, 182, 192.
Theussner, dyr. banku, II. 229—232.
Thun hr., namiestnik, I. 90, 126—128, 132. II. 192.
Thun, hrabianka, I. 68.
Tisza hr., prezes ministrów, I. 128, 194, 244, 259, 260, 267, 270, 279—281, 291, 304, 307, 321, 322. II. 4, 5, 17, 64, 65, 67, 75, 84, 89, 94, 124.
Tołłoczko, prezes związku cukrowników, II. 250, 251.
Trąmpczyński, marszałek sejmu. II. 203, 252, 309.
Treuinfels ks., poseł, I. 117.
Truk, minister, II. 29, 35, 38.
Tschirsky, ambasador niemiecki, I. 147, 148, 193, 293. II. 82, 92, 106, 176.
Tupalski, urzędnik, II. 218, 219.
Turman, pułkownik, II. 69.
Twardowski, minister, I. 315, 318.

II. 22, 39, 120, 171, 174, 193—197, 199, 326.

Ugron, szef sekcji, II. 2, 3, 79, 81, 89, 93, 98, 100, 103, 124.
Umiński, jenerał, I. 3.
Ustyanowski, wiceprezydent namiestnictwa, II. 40.

Wachnianin, I. 126.
Wagner, I. 75.
Wallenstein, I. 142.
Wasilko, poseł, I. 214, 215, 226, 316. II. 67, 155, 167, 175—177, 185, 294, 300.
Weckerle, premjer węgierski, I. 24, 197, 229. II. 166.
Wegner, lekarz, I. 28.
Weigel, jenerał, II. 25.
Weisskirchner, burmistrz m. Wiednia, I. 179, 180, 200. II. 171.
Weiss, korespondent, I. 153.
Welsersheimb, I. 116.
Wessely, dyrektor, I. 66.
Weygand, jenerał francuski, II. 320.
Wielopolski Aleksander margr., I. 14. II. 56.
Wiktorja, królowa angielska, I. 84.
Wilhelm II, cesarz, I. 250, 291. II. 121.
Wilson, prezydent Stan. Zjed. Ameryki Półn., II. 185, 298.
Wirth, niemiecki minister skarbu, II. 233.
Wimmer, minister, II. 28, 39, 211.
Windischgrätz ks., prezes ministrów, I. 69, 70, 71, 81, 91.
Wittek, szef sekcji, I. 73, 80, 81, 135, 136, 214.
Witos, poseł, I. 224. II. 49, 102, 151, 165, 243, 305, 313, 322, 336.
Wodzicki Ludwik hr., marszałek krajowy, I. 36—42, 189. 222.
Wojciechowski, minister, obecny prezydent, II. 78, 202, 203, 206—208, 247, 261, 294, 296—298, 301, 303—306, 311.
Wolf, poseł, I. 111, 114.
Wolski, przemysłowiec, I. 136.
Wróbel, poseł, I. 224.
Wróblewski, wice-minister, poseł w Waszyngtonie, II. 203, 234.
Wurmband hr., minister skarbu, I. 71, 73—77. II. 107.
Wyszatycki, szef prezydjalny, II. 361.

Zaczek dr., szef sekcji, II. 209, 266, 269—271, 333.
Zaleski, starosta, I. 19, 49, 50.
Zaleski Wacław, minister, I. 196, 205, 207, 215, 219, 220, 223, 229, II. 15.
Zamoyski Maurycy, ordynat, II, 243.
Zenker, minister, II. 30, 35.
Zgórski, dyrektor banku, I. 34. II. 52.
Zielonacki, profesor, I. 7.
Ziemiałkowski, minister, I. 19, 49, 50, 113. II. 107.
Zyta, cesarzowa, I. 269. II. 113, 118.

Żarliński, komisarz, I. 211.
Żurowski, profesor, II. 284.

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
44752/2 t.2
12-044752-002-0